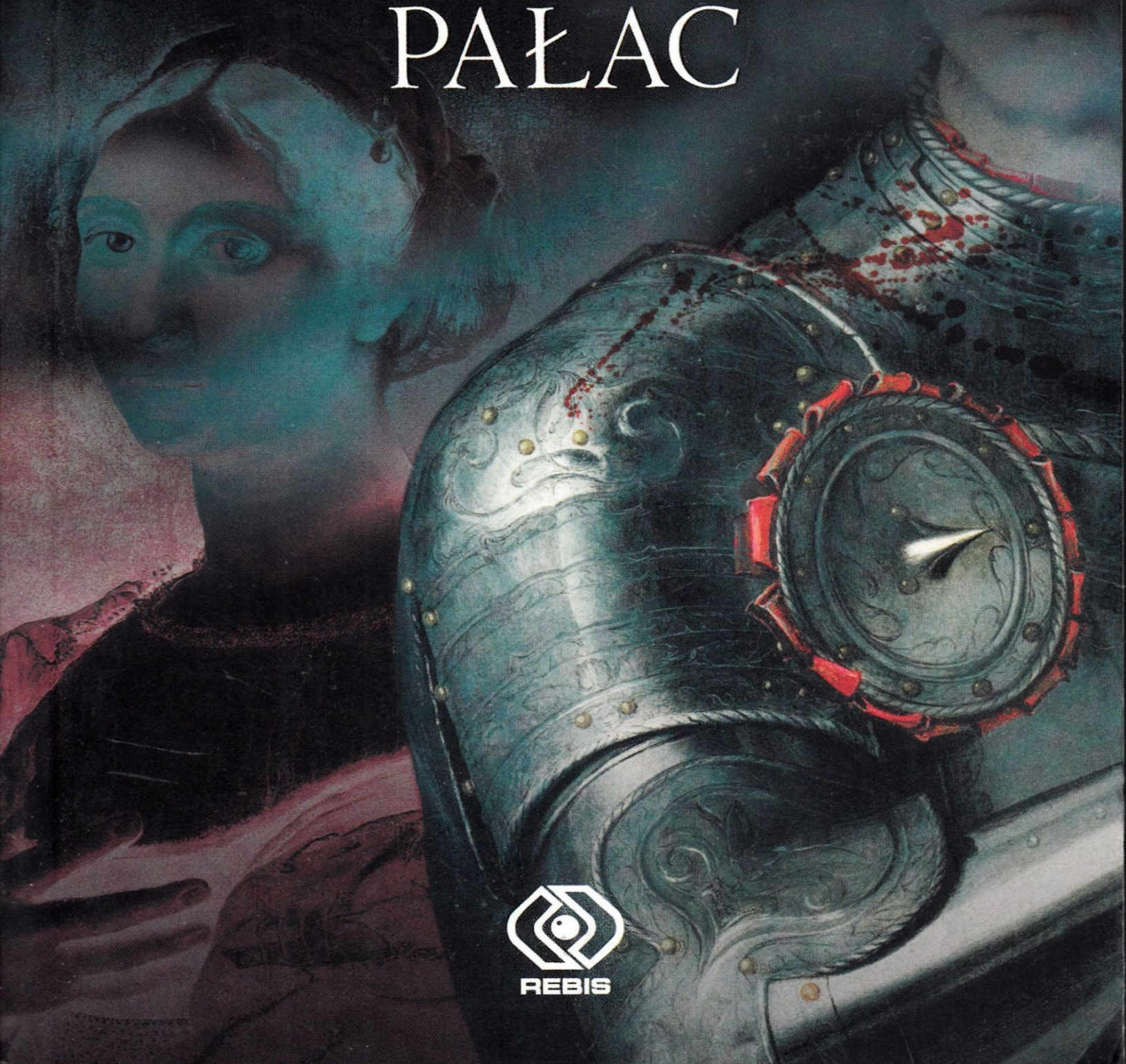


# CHELSEA QUINN YARBRO



## PAŁAC





# Spis treści

Karta tytułowa

Florencja, XV wiek.

WPROWADZENIE

CZĘŚĆ PIERWSZA

. 1 .

. 2 .

. 3 .

. 4 .

. 5 .

. 6 .

. 7 .

. 8 .

. 9 .

. 10 .

. 11 .

. 12 .

. 13 .

. 14 .

CZĘŚĆ DRUGA

. 1 .

. 2 .

. 3 .

. 4 .

. 5 .

. 6 .

. 7 .

. 8 .

- . 9 .
- . 10 .
- . 11 .
- . 12 .
- . 13 .

### CZEŚĆ TRZECIA

- . 1 .
  - . 2 .
  - . 3 .
  - . 4 .
  - . 5 .
  - . 6 .
  - . 7 .
  - . 8 .
  - . 9 .
  - . 10 .
  - . 11 .
  - . 12 .
  - . 13 .
  - . 14 .
  - . 15 .
- . EPILOG .

# CHELSEA QUINN YARBRO

## PAŁAC



Przełożył: Radosław Kot



2009



Florencja, XV wiek. Hrabia Saint-Germain, znany z Hotelu

Transylvania, nazywa się teraz San Germano i przyjaźni się z symym Lorenzem Il Magnifico! Niestety, wielkiemu księciu pozostało niewiele życia. Nad miasto, które jest perłą renesansu, nadciągają czarne chmury.

## WPROWADZENIE

Wprawdzie sceneria tej powieści oraz wiele jej postaci nawiązują do rzeczywistych miejsc i osób, całość jest wyłącznie wytworem literackiej wyobraźni i tak też powinna być traktowana, niezależnie od wielu starań, które podjęłam, aby jak najwierniej przedstawić renesansową Florencję.

Wszystkie wiersze zacytowane jako dzieła Lorenza de Medici (czyli Wawrzyńca Medyceusza) są rzeczywiście jego autorstwa, poza jednym, zawartym w rozdziale 8. części pierwszej. Sam autor podpisywał swoje listy do przyjaciół imieniem Lorenzo albo Lauro, i tę piętnastowieczną wersję jego imienia stosuję w powieści.

W kalendarzu florenckim nowy rok zaczynał się 25 marca (w święto Zwiastowania), nie zaś 1 stycznia, ale uprościłam ten element dla większej jasności narracji.

# CZEŚĆ PIERWSZA

## LAURENZO DI PIERO DE MEDICI ZWANY IL MAGNIFICO

*Quant'è bella giovinezza che sifugge tuttavia.  
Chi vuol esser lieto, sia: di doman non ce certezza.*

*Jak piękną jest młodość Odchodząca bez śladu.  
Jeśli ktokolwiek pragnie szczęścia, niech go szuka, skoro jutro  
niepewne.*

- LAURENZO DE MEDICI

Tekst dokumentu potwierdzającego sprzedaż ziemi i złożonego w siedzibie rady miejskiej Florencji dnia 5 listopada 1490 roku:

*Oświadczam niniejszym, że ja, Giovanni Babtiste Andreo di Massimo Corsarrio, kupiec z miasta Florencji i obywatel Republiki, z własnej i nieprzymuszonej woli przeniosłem za sumę sześciuset pięćdziesięciu złotych florenów na alchemika Francesco Rakoczego da San Germano wszelkie prawa własności do należącego dotąd do mnie gruntu znajdującego się pod murami miasta za SS. Annunziata.*

*Stwierdzam tym samym, że żadni moi spadkobiercy ani wierzyciele nie mogą rościć żadnych pretensji do tej ziemi, która pozostanie własnością wspomnianego Francesca Rakoczego da San Germano aż do chwili, gdy on sam, jego spadkobiercy albo wierzyciele nie zdecydują inaczej zgodnie z prawami i zasadami Republiki.*

*Francesco Rakoczy da San Germano oświadczył, że zamierza na nabytej ziemi postawić pałac w stylu genueńskim, i wynajął do tego moich*



własnych budowniczych. W związku z tym, i zgodnie z zasadami cechu, zdeponował u mnie cztery szlifowane diamenty wycenione przez kupca kamieni szlachetnych Tommasa Doattiego Capellę na sumę tysiąca czterystu złotych florenów, co gwarantować ma wynagrodzenie dla budowniczych pałacu, którego wznoszenie rozpocznie się niezwłocznie.

Wszystkie warunki transakcji zastały spełnione i niniejszy dokument potwierdza ostatecznie jej ważność. Spisane zgodnie z literą prawa w dniu świętego Zachariasza, we Florencji, roku 1490.

Gimanni Babtiste Andreo di Massimo Corsarrio kupiec sukienny, Florentyńczyk (jego pieczęć: biała uniesiona dłoń na czerwonym polu z białymi rombami)

Francesco Rakoczy da San Germano alchemik, obcokrajowiec (jego pieczęć: zaćmienie na srebrnym polu)

świadkowie:

Tommaso Doatti Capella, kupiec kamieni szlachetnych, werończyk  
Laurenzo di Piero de Medici, bankier, Florentyńczyk

# . 1 .

Mimo chłodnego wiatru Gasparo Tucchio oblewał się potem. Zarzucił na szerokie plecy dziewiąty worek żwiru i zaczął schodzić ostrożnie po niebezpiecznej stromiźnie na dno wielkiego wykopu pod fundamenty nowego pałacu obcokrajowca. Na próbę przesunął trochę wielki ciężar i zaklął pod nosem.

— Hej, nie tak szybko, Gasparo! — zawołał Lodovico da Roncale, biorąc kolejny worek. — Żebyś nie zjechał na dół — dodał nieco bez tchu, także schodząc do wykopu.

— Przeklęty cudzoziemiec — mruknął Gasparo, stawiając ostrożnie stopy na pochyłości. — Macie kopać na połowę wzrostu człowieka, powiedział. I jeszcze dostarczy nam cement i pokaże, jak go mieszać. Arogancki drań. Zamarzyła mu się warstwa żwiru na dnie. A w narożnikach mamy kopać jeszcze głębiej. Znalazł się starożytny Rzymianin.

Lodovico zaśmiał się mimo zadyszki.

— Nazbyt się uprzedzasz — powiedział. — Nawet cudzoziemcy miewają czasem dobre pomysły.

— Całe życie pracuję przy budowach — rzucił Gasparo. — Tak samo jak mój ojciec. Pomagałem wznosić katedrę Santa Maria del Fiore. Zarabiam tym na życie, od kiedy sypnął mi się pierwszy wąż, i nigdy, ale to nigdy nie pracowałem przy czymś podobnym. Mów co chcesz, ale ten Rakoczy ma nierówno pod sufitem — dodał i dla podkreślenia wagi swoich słów cisnął ciężki worek na dno wykopu.

— Całkiem dobrze — powiedział odpowiedzialny za roboty Enrico, gdy żwir został wysypany. — Jeszcze pięć czy sześć worków i starczy.

— Pięć? — zdumiał się Gasparo. — Jest za zimno. I późno już. Słońce niebawem zajdzie. Dokończymy jutro.

Enrico uśmiechnął się pojednawczo.

— Jeśli zniesiesz jeszcze jeden, i to samo zrobi Lodovico, a Giuseppe i Carlo dadzą tu swoje i też pofatygują się raz po kolejne, to razem będzie sześć. Żadna filozofia, Gasparo.

Mężczyzna nie odpowiedział. Spojrzał ze złością na obszerny wykop i pokręcił głową.

— Nic z tego nie rozumiem — mruknął pod nosem. Giuseppe z impetem postawił swój worek tuż obok.

— Czego nie rozumiesz, stary pierniku? — Skórzany dublet nosił rozpięty i grubo tkana koszula wystawała mu ze spodni. — Po prostu nie cierpisz tej roboty, to wszystko. Nawet gdyby budowę prowadził sam Lorenzo, też byś narzekał.

Pozostali roześmiali się, kiwając głowami, co mocno zirytowało Gaspara.

— Tak wam się podoba robić dla obcego? Kiedy ostatni raz ktoś mówił, jak macie stawiać domy? To nie jest w porządku — stwierdził, rozgrzebując nogą zaścielający już większość wykopu żwir. — Gdyby tu był, powiedziałbym mu, co o tym myślę.

— Co takiego byś mi powiedział? — rozległ się nagle z góry dźwięczny i nieco rozbawiony głos.

Robotnicy zamarli i unieśli głowy. Gasparo kopnął kilka kamyczków i znowu zaklął pod nosem.

Na skraju wykopu stał Francesco Rakoczy da San Germano. Jego obszyta futrem ciemna peleryna, jedwabny dublet i nieskalanie biała koszula bez dwóch zdań zwiastowały cudzoziemca, podobnie jak jego akcent oraz obcy całkiem order z rubinami noszony na srebrnym łańcuszku. Przybysz miał wyraźnie drobne stopy, obute w rosyjskie buty na obcasie, i nosił czarne wyszywane rękawiczki. Niemodnie krótkie włosy skrywał pod francuskim chaperonem.

— I jak? Usłyszę, w czym rzecz? Gasparo spojrzał na niego twardo.

— Mówiłem, że moglibyśmy już iść do domu — stwierdził. — Będzie padać.

— Ale na razie jeszcze nie pada. Możecie bez obaw dokończyć pracę. — Zeskoczył lekko do wykopu, nie tracąc nawet równowagi.

Robotnicy wymienili zdumione spojrzenia. Żaden z nich nie dokonałby tego, nie obijając sobie co najmniej kolan.

— Dobrze wam idzie — powiedział Rakoczy, przechadzając się po zwirowym podłożu. — Już prawie można cementować.

Enrico skłonił się unizenie.

— Mam nadzieję, że jest pan zadowolony. Wypełnialiśmy dokładnie polecenia.

— Wszyscy tak samo chętnie? — spytał Rakoczy, spoglądając na Gaspara. — Tak czy owak, jestem zadowolony. Dobrze się sprawiliście. Dziękuję.

— To my dziękujemy za uprzejme słowa, panie — odparł Gasparo, zerkając, jak obcokrajowiec obchodzi wykop.

Rakoczy pochylił się i zaczerpnął garść żwiru.

— Dlaczego? Sądziłem, że moje zdanie nic dla ciebie nie znaczy. — Podrzucił jeden kamyk, złapał go i rzucił ponownie.

Robotnicy przerwali pracę, patrząc podejrzliwie na obcokrajowca, Gasparo zaś podszedł bliżej do odzianej w czerń i biel postaci.

— Owszem, nie znaczy — powiedział zaczepnie. — Nie wie pan nic o budowaniu. Ja zajmuję się tym całe życie, tak jak wcześniej mój ojciec. Wiem, że wszystkie te pańskie pomysły nie są nic warte. To zwykłe marnowanie czasu — dodał, czekając na cios pięścią albo co najmniej odprawę.

Nic takiego się nie zdarzyło.

— Brawo — powiedział cicho Rakoczy i uśmiechnął się lekko. — Możliwe, że masz rację, amico mio. Ale i tak zrobimy to po mojemu.

Gasparo wysunął lekko brodę i oparł ręce na biodrach.

— Tak? Dlaczego mamy robić coś bez sensu?

— Ponieważ, carino, ja za to płacę. Jak długo to ja daję pieniądze, budujecie, co chcę, i tak, jak mi się zamarzy. W przeciwnym razie możecie szukać zarobku gdzie indziej. — Przerwał na chwilę, nadal się uśmiechając. Wprawdzie był tylko średniego wzrostu, lecz otaczała go specyficzna aura skłaniająca robotników do posłuchu. Czy brała się z czarnego odzienia, czy ze specyficznego uśmiechu, czy też może ze spokojnego, ale zdecydowanego tonu, trudno było orzec. — Gdybym nawet kazał wznieść tutaj cytadelę Maurów albo chińską fortecę, też rażno wzięlibyście się do roboty, aby dostać zapłatę.

Nawet Lodovico i Enrico nie opanowali śmiechu, Gasparo zaś pokiwał energicznie głową.

— Jeśli sugerujesz, cudzoziemcze, że masz prawo rządzić się we Florencji...

— Sądzę, że we Florencji też rozumieją język pieniądza i nawet członkowie waszego cechu nie są skłonni pozostać głusi na ten uniwersalny argument, jakim jest gotówka.

Rzucił trzymany w garści żwir i zdało się, że słucha stukotu spadających kamyków. Robotnicy ponownie wymienili spojrzenia, a Lodovico pokiwał w milczeniu głową.

— Wzniesiony tak, jak teraz budujecie we Florencji, ten pałac przetrwałby ile? Może trzy stulecia. Ale co to jest? — spytał ze smutkiem. — Trzy albo cztery stulecia to nic. Nawet pięć to za mało. Chcę, aby mój pałac stał tysiąc lat. — Roześmiał się ponuro. — Wiem, próżna to nadzieja, ale próbujcie, skoro jesteście tacy dobrzy. Ucieszcie me serce, stosując się dokładnie do wszystkich poleceń.

— Tysiąc lat? — spytał zaskoczony Gasparo. Spojrzał na obcego i pomyślał, że to naprawdę musi być szaleniec. — Co panu z tego przyjdzie? Przecież i sto to za wiele na jednego człowieka.

— To ma być prawdziwy dom — odpowiedział Rakoczy takim



tonem, jakby to wszystko wyjaśniało.

— Ale nasz patron nie jest przecież dzieckiem ani młodzieniaszkiem — powiedział Lodovico, mrugając do Giuseppe'a. — Nie ma nawet żony, a marzą mu się potomkowie zamieszkujący jego pałac po upływie tysiąca lat. Tu już za sto nikogo nie będzie.

— Potomkowie? — spytał Rakoczy, poważniejąc w jednej chwili i przymrużając trochę ciemne oczy, spojrzał przenikliwie na robotnika. — Będą. Po mnie przyjdą tu inni mojej krwi. Masz na to moje słowo.

Zapadła niespokojna cisza mącona tylko poszumem wiatru. Robotników przebiegł dreszcz. Nie tyle z zimna jednak, bo aż tak chłodno nie było, co za sprawą niespodziewanych słów odzianego w czerń obcego.

Gasparo zmarszczył brwi. Tego było mu już za wiele.

— Nie wznosimy nagrobków, szanowny panie. Jeśli o tym pan myśli, proszę zwrócić się do kamieniarzy.

Rakoczy spojrzał na mężczyznę z nowym zainteresowaniem.

— Czy to tak wiele dla ciebie znaczy, amico?

— Jestem budowniczym — powiedział Gasparo, uderzając się wielką dłonią w pierś. — Buduję domy dla żywych, nie dla martwych.

Pozostali pokiwali niespokojnie głowami, a Carlo zdobył się nawet na odwagę i klepnął Gaspara na znak, że całkiem się z nim zgadza.

— Godne podziwu — stwierdził oschle Rakoczy.

— Może pan sobie ze mnie kpić, ale to niczego nie zmieni. Mówi pan, że mamy zbudować dom, który postoi tysiąc lat. Va bene. Pan tu rządzi. Jednak nawet pan nie jest w stanie kupić za swoje pieniądze cudownej przemiany pustych murów w prawdziwy dom. — Ponownie oparł dłonie na biodrach i pochylił się lekko w stronę obcego. — Może pan szydzić ze mnie, ale nie z mojej roboty!

— Dobrze powiedziane — stwierdził Rakoczy i pokiwał głową. W jego głosie nie było słycać zgorzknienia ani potępienia dla słów

Gaspara. — Obiecuję, że nie będzie stał pusty. Dlaczego miałbym płacić aż tyle i stawiać takie wymagania, gdybym nie chciał w nim zamieszkać? Czy patrzyłbym wtedy, jak wylewacie fundamenty? Co myślicie? Gasparo wzruszył ramionami.

— Jak sam pan powiedział, pan płaci, my budujemy. Gdybyśmy nawet mieli wznieść ten pałac ze słomy, co mi do tego? — dodał i założył masywne ręce na piersi.

Rakoczy przytaknął.

— Właśnie. Byłbym niewdzięcznikiem, puszczając mimo uszu podobny wyraz troski o atmosferę mojego przyszłego domu. Pozwól, że podziękuję za uprzejme słowa. — Podszedł do Gaspara i rozłożył ramiona. — Czy mogę cię uściskać z wdzięczności?

Gasparo Tucchio nie wiedział, co powiedzieć. Nigdy jeszcze nikt szlachetnie urodzony nie zachował się wobec niego równie bezpośrednio. Mężczyzna zarumienił się i wytarł brudne ręce o portki.

— Panie, ja...

Rakoczy objął robotnika serdecznie. Gasparo poczuł natychmiast, że ten elegancki i drobny człowiek krył w sobie olbrzymią krzepę. Niezgrabnie odwzajemnił uścisk, świadom, że jego porośnięte jednodniowym zarostem policzki nijak nie pasują do gładko ogolonego oblicza obcego.

Pozostali robotnicy patrzyli i też było im trochę nieswojo. Owszem, Florencja była republiką, ale nie oznaczało to powszechnej równości. O czymś takim nawet tu nie słyszano. Enrico z miejsca poczuł się urażony. Ostatecznie to on nadzorował tę budowę i wszelkie wyrazy wdzięczności winny być składane na jego ręce.

— Te cudzoziemskie maniery — szepnął do Giuseppe'a. — Cuda wianki. Nasz patron sam nie wie, co czyni.

Giuseppe przytaknął energicznie.

— W cechu takie uściski to rzecz normalna, ale nie z kimś o

podobnej pozycji.

Jednak Gasparo przeżywał właśnie jedną z najpiękniejszych chwil swojego życia i gdyby ten cudzoziemiec zażądał od niego wykopania rowu z Florencji do Rzymu, Tuccio bez wahania wziąłby się do pracy. Z twarzy obcego biła szczerść, w jego głosie czy postawie nikt nie byłby w stanie dopatrzeć się nawet cienia szyderstwa.

— Ekscelencjo... — zaczął Gasparo, ale zabrakło mu słów.

— Byłem już i księciem, i żebrakiem, amico — powiedział Rakoczy. — Nie oceniam ludzi po tym, jakie mają ręce. Gdyby nie wy, obywatele Florencji nadal mieszkaliby w namiotach, jak pierwsi Rzymianie, którzy rozbili niegdyś swój obóz obok dawnego etruskiego miasta.

Gasparo pokiwał energicznie głową.

— Tak jak pan mówi.

— Pracujcie zatem. Wszyscy poznacie moją wdzięczność — powiedział, ogarniając grupę zamaszystym gestem. Potem odwrócił się, przebiegł kilka kroków i rozłożywszy ramiona, skoczył na szczyt wykopu. Wylądował pewnie na krawędzi, strącając tylko obcasem drobną grudkę ziemi.

Lodovico gwizdnął cicho, a Enrico zamrugał. Carlo i Giuseppe zajęli się niezwłocznie pustymi workami. Tylko Gasparo uśmiechnął się szeroko.

— Obawiam się, że moim następnym pomysłem przydam wam zmartwień — zawołał z góry Rakoczy i wskazał gdzieś za siebie. Po chwili nad wykopem pojawił się kolejny mężczyzna, który stanął obok patrona. — To Portugalczyk, Joacim Branco. Będzie nadzorcą tej budowy. Macie słuchać go we wszystkim i wypełniać jego polecenia tak, jak tylko potraficie najlepiej. Wiem, że jesteście dobrymi fachowcami, i nie wątpię, że sprawicie się ze wszystkim bez trudu.

Nowo przybyły był zdumiewająco wysoki i przerastał nawet

większość Florentyńczyków. Miał długie, smukłe dłonie i twarz wąską niczym okładka księgi. Nosił niemodny już dawno strój w stylu burgundzkiego houppelande, a długie i nie spięte w żaden sposób włosy wiły mu się wokół twarzy niczym pajęczyna.

— Dobry wieczór — powiedział tonem tak poważnym, jakby chciał konkurować z brzmieniem dzwonu San Marco.

— Jeszcze jeden cudzoziemski alchemik — mruknął Lodo-vico do Gaspara na tyle głośno, że Branco musiał to dosłyszeć.

— Zgadza się — powiedział z uśmiechem Rakoczy. — Jest niezwykle zdolny. Lepiej pilnie go słuchajcie — dodał i zaśmiał się głośno. — Ale nie, nie musicie się martwić, że będzie was zamęczał dziwacznymi zachciankami. Mistrz Branco to rozsądny człowiek. Bardziej rzeczowy nawet niż ja.

Mistrz Joacim Branco uśmiechnął się krzywo i skłonił sztywno. Enrico uniósł oczy do nieba i spytał w myślach świętą Klarę, cóż takiego uczynił, że musiało go to spotkać.

— Witaj, mistrzu — wykrztusił głośno.

Rakoczy zamienił kilka słów ze stojącym nadal obok niego wysokim Portugalczykiem i po raz ostatni zwrócił się do ludzi w wykopie:

— Materiał na fundamenty będzie przygotowywany według specjalnej receptury. Ale to jutro. Dziś starczy, że równo rozprowadzicie żwir.

Tym razem Gasparo zaniepokoił się na poważnie.

— Ależ, panie, nie da się wylewać fundamentów w deszczu. Będą do niczego i nie utrzymają ciężaru budynku. Popękają...

— Daję wam słowo, że nie będzie deszczu ani dzisiaj, ani jutro, tak za dnia czy wieczorem. Starczy czasu na wykonanie fundamentów i ułożenie dźwigarów narożnych. Potem może sobie już padać. Fundamenty będą gotowe, a wy będziecie mogli urządzić sobie

schronienia w ich narożach.

Rakoczy odwrócił się energicznie i odszedł, zostawiając Joacima Branco sam na sam z robotnikami. Giuseppe skoczył rozgarniać żwir ze swojego worka i uniósł głowę.

— Jezus Maria — wyszeptał i o mało się nie przeżegnał. Branco stał tuż nad krawędzią wykopu, a poły jego stroju łopotały na wietrze niczym ptasie skrzydła. Zdawał się trwać całkiem nieruchomo.

Dopiero Enrico przerwał zapadłą ponownie ciszę.

— Czy zechcesz zejść do nas na dół, mistrzu? — spytał.

Ku uldze robotników alchemik nie zeskoczył do wykopu, ale normalnie zszedł po rampie. Gdy podszedł bliżej, dojrzeli w jego rękach kilka niewielkich pojemników. Położył je na żwirze i spojrzał na Enrica.

— Przy płocie stoją ich całe dwa wózki. Trzeba je przetoczyć.

— Ciężkie są? — spytał Lodovico, nie ruszając się z miejsca.

— Są mocno wyładowane i trzeba kogoś silnego, aby je ruszyć — odparł Portugalczyk i zajął się ponownie swoimi pojemnikami, nie zwracając więcej uwagi na robotników.

Zrezygnowany Enrico wzruszył ramionami i wskazał na Giuseppe'”””.

— Ty i Carlo sprowadzicie na dół wózki. Gasparo i Lodovico zajmą się resztą żwiru.

Gasparo westchnął i ruszył na górę, aby bez większego entuzjazmu zarzucić sobie na grzbiet kolejny wypchany worek. Przelotnie zastanowił się nad osobliwymi manierami patrona i mimowolnie się uśmiechnął.

Uśmiechał się też później, gdy przysiadł z Lodovikiem na kufel grzańca. Późny wieczór okazał się jednak mocno chłodny, dostarczając w ten sposób pretekstu, aby wypić coś ciepłego.

— Wiele widziałem, ale jajka... Zwyczajne kurze jajka! — powtórzył



po raz trzeci Lodovico.

— Jeśli patron sobie życzy, dodamy do zaprawy i jajka. Ze skorupkami i wszystkim — powiedział Gasparo i uniósł drewniany kufel. — Za Francesca Rakoczego da San Germano, szczodrego szaleńca, który nam się trafił.

— Widzę, że odkąd cię uściskał, aprobujesz wszystkie jego cudaczne pomysły. Gdyby chciał zmieszać cement z krwią, sam byś przyniósł topór. — Spojrzał na unoszącą się z kufła parę. — Ochota na drwiny całkiem cię odeszła?

Gasparo Tucchio uśmiechnął się ponownie. Przez głowę przebiegła mu myśl, że chyba lekko się już upił.

— Jeśli ma ochotę robić z siebie pośmiewisko, nic mi do tego. Ważne, że będziemy mieli co opowiadać w cechu. Bo czy pamiętasz jakieś porównywalne dziwactwa? Owszem, było co słuchać, gdy Ernan budował dla Medyceusza klatkę na żyrafę, ale to i tak nic. Gdy przyjdą inni, aby wykańczać mury i kłaść podłogi, nawet im szczęki opadną.

Wychylił resztę wina i zastanowił się, czy nie pokazać karczmarzowi, aby przyniósł więcej.

— Ale po co to robi? Co będzie z tego miał? Skoro zna wartość pieniędzy i wie, jak sam stwierdził, do czego służą, musi oczekiwać, że ta inwestycja przyniesie mu jakieś korzyści — zastanowił się głośno Lodovico. Nagle jednak porzucił temat i podał swój kufel Gasparowi. — Masz. Głowa mi już ciąży. Dokończ za mnie.

Gasparo krygował się tylko dla formalności.

— Skoro tak uważasz... Noc jest zimna, więc czemu nie? — Wziął kufel i łyknął wonnego wina. W głowie mu już nieźle szumiało. No ale nawet jeśli trochę się upije, to co w tym złego? Zwłaszcza w taki ziąb.

— Ciekawe, co z tym deszczem? — mruknął Lodovico.

— Rozeszło się po kościach. Tak jak patron przewidywał. —

Gasparo otarł usta rękawem.

— Ale skąd wiedział? — spytał Lodovico, bardziej siebie niż kolegę, i nie nastawiał ucha na odpowiedź.

— Jest alchemikiem. Oni wiedzą takie rzeczy. Lodovico zmarszczył czoło i oparł się o blat.

— Daje nam kurze jaja, glinę, specjalną ziemię i jeszcze specjalny piasek i każe mieszać je w określonym porządku. Dlaczego? — Wstał, omal nie przewracając ławy, na której siedział z Gasparem.

— Daj spokój, Lodovico — zaprotestował Gasparo, gdy ława zachwiała się niebezpiecznie. — Usiądź jak porządny chrześcijanin i zamów jeszcze wina.

Lodovico zamarł na chwilę, potem zmusił się do uśmiechu i opadł na ławę.

— Va bene. Gospodarzu, jeszcze po jednym!

Przybrał na twarz maskę dobrego przyjaciela i usiadł wygodnie.

Gdy tylko ich kufle zostały ponownie napełnione i Gasparo zdecydował, który należy do niego, Lodovico spojrzał na kolegę z troską.

— Trudno chyba tak żyć samemu? Gasparo pokiwał ze smutkiem głową.

— A jest, amico mio. W ogóle nie chce mi się wracać do domu. Można by pomyśleć, że ktoś owdowiały przed tylu laty powinien przywyknąć do samotności — powiedział, upijając potężny łyk wina. — Ale nie. Każdego wieczoru myślę o Rosarii. Była wspaniałą kobietą. Gospodarną, życzliwą, oddaną i nieskłoną do kłótni. Prawdziwym skarbem. — Przetarł oczy dłońmi i ponownie sięgnął po kufel. — Ty jesteś młody i nie wiesz, jak to jest być starym i samotnym.

— Nie jesteś stary, Gasparo.

Mężczyzna pokręcił tylko głową i pogroził Lodovicowi palcem.

— Mam trzydzieści osiem lat. Trzydzieści osiem. Za dziesięć lat

będę już bezzębnym wrakiem — powiedział i utopił swój żal w reszcie wina.

Szło lepiej, niż Lodovico śmiał oczekiwać.

— Wielka szkoda, że nie szanuje się teraz słusznego wieku — stwierdził, pochylając się w kierunku Gaspara i podmieniając jego pusty kufel na swój, nadal prawie pełny. — Nie dość, że straciłeś rodzinę, to jeszcze nie masz dość oszczędności, aby wyżyć, gdy nie będziesz mógł już pracować.

Ostatni argument nie okazał się jednak zbyt trafny. Gasparo wyprostował się nagle i zaprotestował:

— Mój ojciec pracował aż do sześćdziesięciu ośmiu lat — powiedział bełkotliwie. — Tuccinowie to silny ród. Pracujemy, aż padniemy. — Nagle posmutniał. — Mój ojciec był dobrym człowiekiem. Pracował przy budowie katedry Santa Maria del Fiore...

Jednak Lodovico nie pozwolił mu odpłynąć we wspomnienia.

— Pomyśl tylko o tym pałacu. Pomyśl, jak bogaty musi być nasz patron. Nawet drobna część jego bogactwa starczyłaby zwykłemu człowiekowi na dostatnie życie.

— Ejże, myślisz, żeby go obrabować? — spytał z oburzeniem

Gasparo. — Jesteśmy budowniczymi, nie złodziejami. Nie będziemy okradać naszego patrona. Żadnego patrona.

— Ale on jest bardzo bogaty — zaprotestował Lodovico. — No i jest cudzoziemcem.

— Tym bardziej — powiedział Gasparo, unosząc się z ławy. — Jesteśmy Florentyńczykami. W każdym razie ja jestem. Nie okradamy cudzoziemców. Wybij to sobie z głowy. — Pochylił się nad stołem. — Tak to bywa. Jednak się upiłeś. Nie powinieneś wychylać tego ostatniego kufla. — Zachwiał się, ale odzyskał równowagę. — Zapomnę, co powiedziałeś, Lodovico. Różne rzeczy wygaduje się po pijaku.

Lodovico zaklął w duchu, ale się uśmiechnął.

— Masz rację — stwierdził. — Za dużo wina.

Niezbyt trzeźwy Gasparo nie potrafił jednak od razu skończyć tematu.

— O takich rzeczach nie wolno nawet myśleć. Wracaj do domu i prześpij się, aby ci wywietrzało. Zapomnę, że mówiłeś cokolwiek podobnego.

Dopił resztę wina i z przesadną ostrożnością odstawił kufel.

— Dziękuję ci — powiedział Lodovico, nie próbując nawet ukryć kpiny.

— Dobrze — stwierdził Gasparo, łagodniejąc nagle. — Miło było. Dobrze tak czasem porozmawiać. Rzadko nam się to udaje, za rzadko, Lodovico. Za dużo pracy. Musimy się jeszcze spotkać.

Lodovico zdjął rękę Gaspara ze swojego ramienia.

— Może jutro. Teraz muszę już iść.

W duchu uznał ten wieczór za wybitnie zmarnowany. Chociaż z czasem może jeszcze się przyda. Wstał chwiejnie i rozejrzał się, jakby nie wiedział, gdzie jest wyjście.

— Którędy...?

Gasparo ponownie złapał go za ramię.

— Dobry z ciebie człowiek, Lodovico. Dobry człowiek. A drzwi są tam. Dobrze, że wypiliśmy trochę. Przekonasz się o tym, gdy wyjdiesz na zewnątrz. — Zatoczył się w kierunku drzwi, ciągnąc Lodovica za sobą.

Tenże wyzwolił się jednak z uścisku, chociaż łatwo mu to nie poszło.

— Moja głowa... W głowie mi się kręci. — Oparł się o ścianę, jakby ledwie stał na nogach. — Nie czekaj na mnie, idź już — powiedział, kierując Gaspara do wyjścia.

Gasparo zaśmiał się pogodnie, machnął na pożegnanie koledze i

gospodarzowi i zniknął.

— Jeszcze wina? — spytał oberżysta.

— Nie. — Lodovico przystanął pośrodku gospody i zamyślił się na chwilę. Sądząc po jasnych oczach, musiał się nad czymś mocno zastanawiać. W końcu uśmiechnął się krzywo, rzucił gospodarzowi monetę i także wyszedł.

List skreślony przez donnę Estasię Catarinę di Arrigo della Cittadella da Parma, gospodynię prowadzącą dom swojemu kuzynowi, Alessandrowi di Mariano Filipepi, do Francesca Rakoczego da San Germano, dostarczony przez posłańca do domu alchemika Federiga Cossy wieczorem dnia 21 marca 1491 roku:

*Diletto mio*

*Modłę się, aby moje pisanie zastało Cię w domu, bowiem chodzi o pilną sprawę. Sandro i Simone wyjeżdżają w najbliższą niedzielę na cztery dni. Będę przez ten czas sama i bardzo liczę na Twoje towarzystwo. Ufam, że będziesz skłonny kontynuować te przyjemne chwile, których zazналиśmy w zeszłym tygodniu.*

*Jeśli zechcesz się zjawić, prześlij mi wiadomość, a ja przyjmę Cię tak jak poprzednio, w moich pokojach. Położyłam Twój podarunek na łóżku i palę się z niecierpliwością, aby pokazać Ci, jak mi pasuje. Powiedz, że przybędziesz. Szaleję z tęsknoty za Twoimi pocałunkami.*

*Nie zawieź.*

*Estasia*



## . 2 .

Demetrice Volandrai spojrziała z zaskoczeniem w okno, za którym robiło się ciemno. Nie miała pojęcia, że aż tak bardzo zasiedziała się w bibliotece Medyceuszy. Na stole przed nią leżało kilka otwartych książek. W półmroku ich tekst był ledwie czytelny. Demetrice przyłożyła dłoń do oczu i pomyślała, że chyba ból głowy musiał sprawić, że się zapomniała. Sama przed sobą nie była skłonna się przyznać, że zbyt daleko i zbyt długo wędrowała myślami. Po krótkim wahaniu zamknęła książki i odłożyła je na bok, aby wrócić do nich jutro. Potem zerknęła jeszcze na leżące obok pióro. Tak jak oczekiwała, pokrywała je gruba warstwa zaschłego atramentu, którego nie uda się jej zapewne w całości usunąć.

Wstała i powoli podeszła do okna. W ostatnim blasku zachodzącego słońca jej rozpaczliwie niemodna gonella z rdzawego atłasu wyglądała o wiele lepiej niż w pełnym blasku dnia. Jasne i skromnie splecione włosy dziewczyny okalały jej twarz, prosta płócienna koszulka zaś, która widoczna była ponad kołnierzem i bufiastymi ramionami sukni, nie nosiła nawet śladu plam czy zwykłego brudu. Gdyby ktokolwiek powiedział w tej chwili Demetrice, że jest najpiękniejszą kobietą w pałacu Medyceuszy, szczerze by się roześmiała. Wpatrzyła się bystrymi, bursztynowymi oczami w gasnące z wolna niebo.

— Nie ruszaj się — usłyszała nagle za plecami, gdy chciała w końcu odwrócić się od okna.

Znajomy głos Sandra Filipepiego przywołał uśmiech na jej pełne usta. Odwróciła się, wyciągając ramiona.

— Przyznaj się, Botticelli — powiedziała. — Gdybyś tylko mógł zatrzymać słońce tuż nad horyzontem, uczyniłbyś to, aby studiować

dokładnie barwy zachodu.

Sandro wzruszył ramionami, ale nie zaprzeczył.

— To sprawy barw sprowadziły mnie tu dzisiaj po południu. A dokładniej pewien alchemik, niejaki Rakoczy, który właśnie buduje sobie w mieście pałac. Znasz go?

— Spotkałam go parę razy — odparła Demetrice, przypominając sobie uprzejmego w obejściu mężczyznę o bystrym umyśle i niepokojącym spojrzeniu ciemnych oczu. — On też nas odwiedził?

— Wpadł tylko na chwilę. Twierdzi, że ma nowy pomysł na sporządzanie farb. Lorenzo też się oczywiście zainteresował i poprosił mnie oraz paru innych, abyśmy wypróbowali te farby i powiedzieli, ile są warte. — Zamilkł na chwilę. — Ale zupełnie nie wiem, co myśleć o tym Rakoczym.

Demetrice wołała nie okazywać Botticellemu, na ile Rakoczy ją zaintrygował, zbyła więc tę kwestię.

— Wiesz, jacy są alchemicy. Zawsze pozują na tajemniczych. Zresztą, amico, na pewno poczułbyś się rozczarowany, gdyby Rakoczy okazał się całkiem zwykłym człowiekiem.

Sandro przytaknął.

— To prawda. No i jest cudzoziemcem. Tylko ta afektacja. Zawsze ubiera się na czarno, nigdy z nami nie jada i ciekawia go tylko metale i składniki ziemi. Owszem, ma sporo do powiedzenia i zna się trochę na pigmentach i przyrządzaniu farb. To muszę mu oddać.

Demetrice obesła stół i uściskała Sandra.

— Miło z twojej strony. Wypróbujesz jego farby?

— Oczywiście. — Rozejrzał się po mroczniejącym pomieszczeniu. — Katalogujesz?

— Tak. Pico jest chwilowo w domu, a Agnolo pojechał do Bolonii, więc to zadanie spadło na mnie. Obawiam się jednak, że nie radzę sobie najlepiej. Te stare manuskrypty są bardzo nieczytelne.

Sandro skrzywił się, słysząc wzmiankę o Agnolo Poliziano.

— Nie rozumiem, dlaczego Lorenzo toleruje jego zuchwalstwo. — Uniósł dłoń, aby uprzedzić odpowiedź. — Lojalność to jedno, donna mia, ale w tym przypadku mamy do czynienia z głupotą. Poliziano wykorzystuje bezwstydnie tolerancję Lorenza. Sama wiesz, że tak jest.

Demetrice wróciła do stołu i zaczęła porządkować papiery.

— Też tego nie rozumiem, Sandro. Ale skoro Lorenzo nie ma nic przeciwko, szanuję jego decyzję.

— Czyżbyś lubiła Agnola? — spytał z niedowierzaniem Sandro. — Jak w ogóle można go lubić?

— Nie, nie lubię go. Jest drażliwy i złośliwy i mimo erudycji całkiem nieprzewidywalny. Ma jednak talent i jest dobrym uczonym. Nie muszę ci przypominać, Sandro, że każdy dar ma swoją cenę — dodała ciszej.

— Która wyższa jest czasem niż wartość podarunku — powiedział Sandro. Przeszedł przez komnatę i położył smukłe dłonie malarza na ramionach dziewczyny. — Jeśli jest jakaś sprawiedliwość na tym świecie, donna mia, nie będziesz wiecznie żyła w ubóstwie. Gdyby twój wuj był obywatelem Florencji, Lorenzo już dawno zdołałby pomóc wam w odzyskaniu majątku.

Demetrice otarła ze złością łzy, które napłynęły jej do oczu.

— Nawet Lorenzo nie potrafi sprawić, aby ktoś odzyskał to, co dawno już nie istnieje, zatem może i dobrze, że Lione mieszka w Rimini. — Spróbowała się uśmiechnąć, ale niezbyt jej to wyszło. — Lorenzo i tak okazał nam wiele serca. Już ponad dziesięć lat pozwala, abym u niego mieszkała, ubiera mnie i żywi. Zrobił dla mnie znacznie więcej niż ktokolwiek z moich krewnych. — Przerwała nagle i odsunęła się od Sandra. — Przepraszam, ale przykro mi mówić tak o własnej rodzinie.

W pomieszczeniu było już prawie całkiem ciemno. Sandro jawił się tylko jako ledwie widoczna sylwetka i głos dobiegający z drugiej strony stołu. Demetrice pomyślała, że mrok musi mieć tu coś do rzeczy, bowiem nigdy wcześniej nie rozmawiała z Sandrem w ten sposób. Ceniła jego przyjaźń i była mu wdzięczna za zainteresowanie, zawsze dotąd starała się jednak zachować pewien dystans.

Sandro taktownie uszanował jej odmowę, ale jednego sobie nie darował.

— Jestem dwakroć starszy od ciebie, donna mia, i powiem ci, że we Florencji Lorenzo jest jedynym człowiekiem, na którym można polegać nawet w takich sytuacjach. Poza nim nie ma tu nic stałego. To miasto namiętności i obsesji i po równo w nim dobra i zła.

— I ty to mówisz, Sandro? — spytała, obracając złowróżbne ostrzeżenie w żart.

— Zwłaszcza ja. Ale nic. Wyjeżdżam na kilka dni. Muszę dopilnować z Simonem kilku spraw.

— Życzę wam miłej i bezpiecznej podróży — powiedziała odruchowo Demetrice. — Daleko jedziesz?

— Tylko do Pizy. Zwykła sprawa. Ale chciałbym prosić cię o przysługę.

— Oczywiście — stwierdziła bez zastanowienia dziewczyna, ale zaraz się zreflektowała. — Oczywiście, o ile Lorenzo nie będzie potrzebował mojej pomocy.

— Daję słowo, że nie chodzi o nic trudnego. — Zamilkł, gdy służąca weszła do pokoju ze stoczkiem, aby pozapalać lampy stojące w obu końcach pomieszczenia oraz trzy świece umieszczone na pulpicie obok kominka.

Światło rozproszyło intymną atmosferę. — Rozpalisz też w kominku? — spytała ją Demetrice. — Robi się już zimno.

— Tak, proszę pani — odparła służąca i wzięła się do roboty.

— Zaiste, jest coraz chłodniej — mruknął Sandro, zatarł dłonie i otulił się ciaśniej długimi połami lucco, typowego stroju większości obywateli Florencji. Jego uszyty był z brunatnej wełny i brakło mu tak popularnych pośród miejskich prominentów zdobień.

— O jaką przysługę chodzi, Sandro? — spytała Demetrice, przysuwając się do kominka i dziękując skinieniem głowy służącej. Pierwsze płomienie lizały już ułożone w palenisku polana.

— A, przysługa. Tak. Dotyczy mojej gospodyni i mojej kuzynki zarazem. Poznałaś już Estasię, prawda?

— Tak — odparła Demetrice z wahaniem, przypominając sobie zmysłowe ciało i lisie oblicze kuzynki Sandra. Jej wdowie szaty nie były w stanie zmylić dziewczyny, która dostrzegła w piwnych oczach Estasii trudny do pomylenia głód i słyszała, w jak pożądlivy sposób mówić zdarzało się jej o mężczyznach.

— Nie lubi być sama — wyjaśnił z lekkim zakłopotaniem Sandro. — Może zajrzałybyś do niej w któreś popołudnie podczas mojego wyjazdu?

— Dlaczego? — spytała Demetrice, zanim zdołała ugryźć się w język.

— Dla mnie. — Zawahał się. — Wiesz, ona jest bardzo samotna. Wdowie nigdy nie jest łatwo. Na dodatek trudno nawiązuje kontakty z innymi kobietami. Gdyby miała kochanka, wtedy wszystko układałoby się inaczej. Byłaby szczęśliwsza, miałaby się kim cieszyć. Ale w moim domu nie ma na to większych szans. Simone traktuje ją bardzo surowo.

Demetrice wpatrywała się w ogień, który płonął już silnym płomieniem. Polana potrzaskiwała i szumiała, jakby przemawiała w nieznanym języku.

— Nie wiem — odpowiedziała, marszcząc brwi. Wolałaby nie znaleźć się w tej sytuacji.



Sandro podszedł bliżej. Migotliwy blask pogłębił zmarszczki na jego twarzy.

— Pręgo, carina. Nie prosiłbym, gdyby chodziło o coś trywialnego. Widzisz, Estasia źle znosi te wszystkie kazania, którymi Simone wciąż ją raczy... — Zawahał się, nie chcąc oskarżać brata. — Simone lęka się ojej duszę i z tego powodu nie potrafi spojrzeć przychylniej na jej pragnienia. Niepokoi go przejawiana przez Estasię chęć życia pełną piersią. Nie dostrzega, że ona też czegoś się boi.

— Słyszałam go — powiedziała raczej oschle Demetrice. — Był tu w zeszłym roku. Sposób życia Laurenza też mu się nie podoba. Wprost mu to powiedział.

— Niech mnie święty Grzegorz ma w swej opiece — westchnął zakłopotany Sandro. — Nie wiedziałem. Nie powinien nigdy... On chyba w ogóle nie myśli. Daje się ponieść emocjom i wyrzuca to wszystko z siebie. Ale możesz sobie wyobrazić, jak traktuje Estasię. Co gorsza, wzmacnia tylko w ten sposób jej determinację, aby folgować upragnionym przyjemnościom. — Ponownie przerwał, jakby szukał właściwych słów. — Wiele by to dla niej znaczyło, gdyby mogła porozmawiać z kimś życzliwym.

— Dobrze zatem — westchnęła Demetrice i spojrzała na przyjaciela. Pożałowała, że w komnacie nie jest już ciemno. Wcześniejsza bliskość pierzchła w blasku płomieni, które pozwalały zbyt wiele dojrzeć, ale nie zrozumieć. — Skoro ty mnie prosisz, zgodzę się. Ale nie wiem, o czym z nią rozmawiać. Powiedz, ma jakieś zainteresowania?

— Dom. Jest wspaniałą gospodynią i nawet Simone nie może narzekać na nią pod tym względem. Świetnie zna się na gotowaniu, zwłaszcza gdy chodzi o makarony.

Demetrice roześmiała się mimowolnie.

— O tym akurat nie wiem prawie nic. Oto cena wychowania w

domu uczonego. Gdyby chodziło o greckie przepisy, a nawet i włoskie, ale spisane przez Senekę po łacinie, może byłyby mi bliższe. Jedyne, co umiem robić, to pierniki. Ale znam się trochę na koronkach — dodała.

— Estasia prawie nie rozstaje się z szydełkiem, a to, co robi, godne jest podziwu. Weź coś ze swoich robótek.

— Dobrze, ale... Nie możemy przecież siedzieć tylko i szydełkować.

Sandro pokręcił głową i oparł się o obudowę kominka.

— No to porozmawiacie o strojach. O zaletach różnych aksamitów. Albo poplotkujecie. We Florencji nigdy nie brakuje tematów do plotek. Boję się o nią, gdy jest sama — dodał, gdy służąca wyszła z pokoju. — Czuje się wtedy opuszczona i jej lęki zdają się nasilać. Nie chcę, aby cierpiała przeze mnie. Sama zwykle z tego żartuje, ale gdy nazbyt długo zostaje sama, przypomina potem zwierzę schwyte w sidła. — Westchnął i spojrzał na dziewczynę. — To nie twoja sprawa, wiem. Estasia jest moją kuzynką. Ale byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś mogła mi pomóc. Kto wie, może nawet namalowałbym twój portret — dodał tonem obietnicy.

— Tymi nowymi farbami, które Lorenzo podsunął ci na próbę? — Demetrice też odsunęła się od ognia. — Robi się późno, a ja jeszcze niczego nie jadłam. Potowarzyszysz mi przy stole? Obawiam się tylko, że będziemy musieli zejść do kuchni, bo większość służby ma już wolne.

— Nie, ale dziękuję za propozycję — odparł Sandro. Pokręcił głową i z chmurną miną skierował się do drzwi. — Też jeszcze nie jadłem, ale muszę już wracać do domu.

Demetrice spojrzała odruchowo w okno. Na marcowym niebie jaśniało już tylko wspomnienie dnia.

— Nie zdawałam sobie sprawy, że tyle już rozmawiamy. Tak, może

lepiej wracaj. Każę komuś towarzyszyć ci z latarnią.

Sandro tylko się roześmiał.

— Nie trzeba. Miejscowi rabusie nie są jeszcze aż tak zdesperowani. Zaręczam ci, że nic mi się nie stanie.

Nie zaprotestowała, ale ledwie drzwi się zamknęły, zmarszczyła czoło, jakby coś ją niepokoiło. Poczekała, aż w bibliotece zjawi się młody słowiański sługa, który tutaj właśnie zwykł nocować, i spokojna o bezpieczeństwo woluminów pospieszyła na dół, aby przekąsić coś lekkiego w towarzystwie obsługi kuchni.

Schody w Palazzo de Medici były wąskie i zdradziecko strome. Demetrice poruszała się po nich ostrożnie, zwłaszcza od czasu upadku cztery lata temu. Sińce i zadrapania zniknęły wówczas dopiero po kilku tygodniach.

Podkuchenny Sergio przywitał ją radośnie i zaproponował zapiekankę cielęco-wieprzową, która została od kolacji.

— Ale jest też jeszcze tortolini oraz bulion — dodał.

Ku swojemu zaskoczeniu Demetrice odkryła, że była bardzo głodna. Gdy tylko dostała posypaną orzeszkami piniowymi zapiekankę, rażno wzięła się do jedzenia.

— A, jest ta la bella Demetrice, która tak uwielbia moje gotowanie — odezwał się potężny kucharz Medyceuszy, który wkroczył do przykuchennej jadalni z szerokim uśmiechem.

Wiedziała, co winna mu odpowiedzieć.

— Twoje dania zawsze są wspaniałe, Massimillio. Tortolini pachną bosko, a zapiekanka rozpływa się w ustach.

— Należę ci trochę trebbiano — zaproponował kucharz, sięgając po butelkę. — A gdy skończysz, będzie jeszcze confetti.

— Tysięczne dzięki — odparła Demetrice, chociaż nie przepadała za winem ani kandyzowanymi migdałami.

— Che piacer! — westchnął kucharz, nalał sobie solidnie wina i

wpatrzył się w jego jasnobursztynową barwę. — Ty doceniasz mój kunszt, donna mia. Ale Lorenzo...! — Machnął z rezygnacją wolną ręką. — Jemu mógłbym podawać ciągle parówki, byle tylko miał swoje kasztany. Chyba już całe beczki tych kasztanów ugotowałem dla niego w winie. I upiekłem. — Pokręcił głową, kołysząc podbródkami.

— Musisz mu wybaczyć, Massimillio. Lorenzo jest pozbawiony węchu i nie ma szans docenić twoich starań. — Demetrice upiła wina i skosztowała kolejny kęs zapiekanki.

— Biedaczysko! — mruknął kucharz, dopijając wino i nalewając sobie powtórnie. — Dobrze to trebbiano, chociaż mawiają, że to napój dla pospólstwa.

Demetrice wyjadła tymczasem całe tortolini i prawie skończyła porcję zapiekanki. Uśmiechnęła się ciepło do kucharza.

— Sam wiesz, jak chętnie zjadłabym trochę confetti, ale przy dzisiejszym chłdzie poproszę chyba jednak o trochę bulionu.

Massimillio przytaknął, że to mądra decyzja, i wrócił do przepastnej kuchni, aby podgrzać bulion.

— Słyszałaś o tym cudzoziemcu, którego Lorenzo ostatnio sobie upodobał? — spytał, stawiając rondel na ogniu. — Tym z całkiem niechrześcijańskim nazwiskiem.

— Rakoczym? — odkrzyknęła Demetrice.

— O właśnie. Wywołał wielkie wzburzenie swoim projektem kuchni. To ma być coś całkiem niespotykanego. Owszem, cudzoziemiec może mieć swoje zwyczaje, ale w takiej sytuacji powinien też przywieźć swoich kucharzy, zamiast oczekiwać, że zmienimy nasze przyzwyczajenia — powiedział, opuszczając kąciki ust. Potem sięgnął do jednej z szufladek stojącej obok pieca komody i nabrał garstkę jakichś ziarenek. — Dodaję do bulionu więcej kolendry, aby lepiej rozgrzewał.

— To miło z twojej strony, Massimillio — powiedziała Demetrice, stając w progu kuchni. Bulion był już bliski wrzenia.

— Łatwo jest być dla ciebie miłym, donna Demetrice. Jesteś uprzejma, życzliwa i lubisz jeść to, co ugotuję. Ja zaś lubię, gdy ci smakuje, i tak chętnie się staram. — Nalał bulionu do wielkiego, drewnianego kufla. — Proszę. Teraz jednak muszę cię przeprosić. Muszę przygotować sporo na jutro. Lorenzo zaprosił na obiad dwóch bolońskich kupców i urzędników Arte della Lana i Arte di Calimala. Będą rozmawiali o handlu płótnem i pieniądzech i nie poczują nawet smaku tego, co dostaną, ale i tak muszę się postarać.

— Biedny Massimillio — powiedziała Demetrice ze szczerym współczuciem. — Jeśli chcesz, zachowaj dla mnie to, co zostanie, i zjemy razem wieczorem.

— Nie siądziesz do obiadu razem z nimi? — spytał kucharz, spoglądając na nią ze zdumieniem.

— Jeśli mają rozmawiać tylko o płótnie i pieniądzech, to najpewniej nie — odparła Demetrice z błyskiem w oku i wyciągnęła rękę do kucharza. — Poza tym zawsze milej jest il commestio w dobrym towarzystwie.

— W dobrym towarzystwie wszystko jest smaczniejsze — parsknął Massimillio, ale zaraz złagodniał. — Chętnie zjem z tobą. Przygotuję berlingozzo i minestrę z jagnięciny. Są już pierwsze wiosenne jagnięta.

Nie był to wprawdzie największy delikates dostępny wyższym warstwom Florencji, ale danie i tak uchodziło za wykwintne. Demetrice uśmiechnęła się lekko.

— Jeśli oni tego nie docenią, ja cię na pewno nie zawiodę.

— Rozpłynę się z radości, bella mia — odparł kucharz i wziął od niej pusty kufel. — A teraz zmykaj, proszę, do łóżka, jeśli bulion ma zadziałać.

Demetrice raz jeszcze mu podziękowała i wyszła z kuchni, kierując się do swojej małej sypialni trzy kondygnacje wyżej. Długo po tym, jak zdmuchnęła świeczkę i zaciągnęła zasłony wkoło łóżka, czuła jeszcze w ustach smak imbiru, czosnku i kolendry.

List Alessandra di Mariano Filipepiego do Leonarda da Vinci:

*Przebywającemu w Mediolanie Leonardowi jego przyjaciel Botticelli przesyła gorące pozdrowienia w dzień świętego Antoniego. Wraz z tym listem przekazuję sakwę z kilkoma nowymi barwnikami, które mogą Cię zainteresować. Stworzył je nowy przyjaciel Laurenza, alchemik, o którym już Ci wspominałem. Sam przeprowadziłem szereg prób i muszę przyznać, że stworzone za ich pomocą farby okazały się wyjątkowo wyraziste. Zachęcam, abysь przekonał się o tym osobiście.*

*Twój list z 27 marca doszedł bez opóźnienia. Skoro tak złe układa Ci się ze Sforzami, dlaczego jeszcze tam pozostajesz? Wiesz, że Laurenzo ucieszyłby się z twojego powrotu i na pewno znalazłbyś we Florencji szereg zajęć równie ciekawych jak to, co robisz w Mediolanie. Zastanów się nad tym, caro amico, bo Twoja nieobecność daje się tu we znaki. Nawet znany z ciętego języka Poliziano mówi o Tobie tylko dobrze.*

*Zasmuci Cię na pewno wiadomość, że Laurenzo nie czuje się najlepiej.*

*Podobnie jak wcześniej pozażywał kąpieli i twierdzi, że to mu pomogło, ale i tak się martwię. Nadal ma opuchnięte ręce i czasem męczy się całkiem bez powodu. Jednak jego umysł pozostaje jasny. Ostatnio jego rodaczka donna Demetrice Volandrai czytuje mu wieczorami dzieła Płatona albo nowsze. Stało się to już pewnym zwyczajem. Niezmiennie też Laurenzo rozgląda się za zdolnymi artystami. Od jakiegoś czasu gości u nas młody student z Ghirlandajo. Wprawdzie nie przepadasz za pracą w marmurze, ale przyznasz chyba, że Buonarroto ma talent. Laurenzo bardzo cieszy się z jego postępów, które są tym godniejsze odnotowania, że chodzi*

o kogoś bardzo młodego. Przypuszczam, że Magnifico bardzo by pragnął, aby jego synowie okazali się podobnie obiecujący co Michał Anioł Buonarroti. Owszem, Giwanni poświęcił swe życie Kościołowi i trwa nieustępliwie w duchowej wrażliwości, ale Piero okazał się całkiem inny. Nie zmienił się od czasów, gdy podrósł na tyle, by zacząć zasypywać ojca prośbami o różne przysługi. Nadal kapryśny niczym dziecko, wysuwa co rusz nowe żądania.

Jednak nie wszystko wygląda tu źle. Święto Wniebowstąpienia uczczone zostało wielką zabawą i cała Florencja wyległa na pola, aby łapać koniki polne i folgować radościom. W San Lorenzo odprawiono uroczystą mszę ku pamięci Giuliana. Jego śmierć zawsze będzie plamą na honorze Pazzich, tak szalony był to postępek.

Słyszeliśmy, że nadal zdarza Ci się kupować ptaki na targu, aby potem zwracać im wolność. Przyjaciel wspomnianego wcześniej alchemika odbył niedawno podróż z Wenecji i w jej trakcie zatrzymał się w Mediolanie, gdzie wciąż opowiadano o Twoim ostatnim wyczynie. Leonardo, amico, nie uratujesz tych ptaków. Ktoś znowu je złapie i w końcu zje. Jak to jest, że wymyślając różne wojenne narzędzia zniszczenia i badając na wskroś ciała zmarłych, najbardziej przejmujesz się właśnie losem ptaków śpiewających?

W nawiązaniu do Twojego uwielbienia maszyn chcę wspomnieć o nowym pałacu, który buduje dla siebie Rakoczy, czyli onże alchemik. Byłbyś zachwycony widokiem tej budowli, która jakkolwiek wstała utrzymana w stylu genueńskim, wykorzystuje wszystkie najświeższe nowinki techniczne. Robotnicy ciągle o nich opowiadają.

Jest tam osobne pomieszczenie dla przechowywania i podgrzewania wody. Nieduże, wielkości dwóch skrzyń podróżnych, przylega bezpośrednio do łazienki i pozwala uniknąć wszystkich strasznych niewygód i kłopotów, które wiążą się zwykle z kąpielą. Zostało tak wysmołowane i uszczelnione, że nie przecieka, a woda płynie z niego do

łazienki rurą wyposażoną w zatyczkę. Rakoczy wymyślił ponadto nowy rodzaj pieca do kuchni. Cały jest zrobiony z metalu, który pozwala podobno na lepsze wykorzystanie ognia (choć nie wiem, po co Rakoczemu ten piec, skoro sam zdaje się nigdy nie jadać). Wielu kucharzy Florencji zarzeka się głośno, że nie chcą mieć z tym wynalazkiem nic wspólnego. Łoże zainstalował sobie Rakoczy proste i twarde, ale wszystko inne jest w tym pałacu naprawdę wspaniałe. Jeśli nie chcesz Laurenza za patrona, może zastanowisz się nad Rakoczym? Jest bardzo bogaty i uwielbia piękno niemal tak samo jak Medyceusze. Gdy wspomniałem mu o twojej srebrnej lutni w kształcie głowy konia, był wprost zachwycony. Nie musisz obawiać się jego szczodrości — to prawdziwie honorowy człowiek. Sam widziałem kilka jego klejnotów. Ich rozmiary i uroda oczarowałyby nawet ciebie. W Boże Narodzenie podarował Laurenzowi szmaragd tak wielkijak czara srebrnego kielicha zpetra dura Laurenza. Rakoczy zna ponadto wiele sekretów obróbki metali. Rozmowa z nim byłaby dla ciebie przyjemnością, jest bowiem erudyta i ma cały szereg rozmaitych zainteresowań.

Modłę się, abys rozważył raz jeszcze możliwość powrotu do Florencji. Wszyscy tęsknimy za Tobą. Brakuje nam Twoich pieśni, jak i Twoich dzieł, chociaż nigdy niczego nie kończysz. Cokolwiek znajdujesz w Mediolanie, to samo dać Ci może i Florencja. Pamiętaj, że darzymy Cię miłością i że błogosławieństwa słane przez Twoich przyjaciół będą towarzyszyć ci, gdziekolwiek się udasz.

Moja kuzynka Estasia wzywa mnie już do stołu, muszę więc kończyć. Z nadzieją, że następnym razem porozmawiamy twarzą w twarz, i z zapewnieniem o przyjaźni

— Sandro

Florencja, dziesiątego dnia maja, 1491 roku



### . 3 .

Poranne mgły nie rozeszły się jeszcze do końca, ale ciepły poranek zapowiadał upalny dzień. Florencja kąpała się w wiosennym słońcu i kamienne fasady budynków wyglądały jak pomalowane złotem. Ludzie tłoczyli się na ulicach, szykując miasto na obchody kolejnego święta. Na Piazza della Signoria zawieszono już proporce wszystkich cechów, których różnorodna działalność była podstawą bogactwa stolicy Toskanii.

— Czy jest w twoim odległym kraju coś, mio caro stragnero, co dałoby się z tym porównać? — spytał Lorenzo, patrząc na jadącego tuż obok alchemika.

Rakoczy uśmiechnął się, ale jego ciemne oczy pozostały niewzruszone.

— Niczego takiego nie mamy, Magnifico — odparł. Jego koń stąpał rażno po kamiennym bruku, świeży jeszcze i rwący się do biegu. Echo uderzeń podków niosło się po uliczkach.

— A nawet gdyby mieli, nasz gość jest zbyt dobrze wychowany, aby o tym wspomnieć — dodał trzeci z jeźdźców. — W każdym razie tobie, Medyceuszu.

Przystojne oblicze Laurenza pociemniało, ale nie odpowiedział od razu, zajmując się uspokojeniem ogiera, którego dosiadał. Gdy zrównał wierzchowca z koniem Rakoczego, spojrzął wszakże na autora niewczesnej uwagi.

— Każdy jest dobrze wychowany w porównaniu z tobą, Agnolo.

Poliziano parsknął śmiechem.

— Nie pojmuję zatem, dlaczego pozwalasz mi na aż tyle, Lorenzo — dodał po chwili poważniejszym tonem. — A może to kwestia szacunku wobec statusu Rakoczego? Nie wspomniał nic o swoim

urodzeniu, ale założyłbym się o połowę złota z twojego przeklętego banku, że nasz gość, chociaż cudzoziemiec, jest szlachetniejszej krwi niż ktokolwiek z nas.

Laurenzo uśmiechnął się na te słowa, i chociaż przychodziło mu to obecnie trudniej niż jeszcze kilka lat temu, był to uśmiech na tyle urzekający, że nawet Agnolo Poliziano nie mógł nie odpowiedzieć tym samym.

— Żaden z nas nie jest szlachetnie urodzony — powiedział Medyceusz. — To niemożliwe. Obaj jesteśmy po prostu obywatelami Florencji. Jednak pan — dodał, spoglądając na Rakoczego — bez wątpienia nosi jakiś tytuł uznawany w takim czy innym zakątku świata. Francesco Rakoczy da San Germano — wyrecytował i zastanowił się chwilę. — Gdzie leży San Germano i co ono ma z panem wspólnego?

Dotarli już do Ponte alle Grazie i nieco przed nimi wieża Palazzo della Signoria wznosiła ku świątecznemu niebu swoją kwadratową wieżę. Florencja obfitowała w iglice i wieże, jednak ozdoba Palazzo della Signoria była także symbolem Republiki i tym samym nie miała sobie równej w całym mieście.

Laurenzo skinął na Rakoczego i Poliziana, aby wstrzymali konie.

— Tu jest za tłoczno. Musimy poszukać innej drogi. — Zamyślił się na chwilę i skorzystał z krótkiej przerwy w wędrówce, aby powtórzyć pytanie zadane Rakoczemu. — Gdzie leży San Germano?

Rakoczy nie odpowiedział od razu. Już wcześniej zdarzało mu się zbywać podobne dociekania. Spojrzał na odległe wzgórza okalające Florencję, jednak jego wzrok zdawał się błędzić o wiele dalej niż pośród podmiejskich willi.

— Moja ojczyzna jest... bardzo daleko. Pośród starych gór, gdzie od lat Turkowie niezmiennie wyrzynają się z chrześcijanami. Obecnie zwie się Wallachią albo Transylwanią. — Zamilkł nagle i spojrzał na

Laurenza. — Lepiej być prostym obywatelem Florencji, Magnifico, niż księciem krwi na wiecznym wygnaniu.

Grupa młodzieży wybiegła z Via de Benci i zaraz zauważyła Laurenza.

— Palle! Palle! — poniosło się po ulicy, a Medyceusz pokiwał dzieciakom i rzucił im kilka przyjaznych słów. Potem znowu spojrzął na obcokrajowca.

— Na wygnaniu — powiedział z przejęciem.

Rakoczy nie odezwał się, a jego oczy nadal nic nie wyrażały.

— Lepiej być wygnańcem we Florencji niż królem świata — warknął Agnolo Poliziano, patrząc na oddalające się biegiem dzieci. — Pewnie dlatego wezwałeś mnie z powrotem, wcześniej wypędzając. Bez wątpienia musisz cenić sobie Florencję ponad wszystkie inne miejsca. A może znowu chcesz mnie oddalić, skoro przypominasz o wygnaniu? Jaką wymówkę znajdziesz tym razem, gdy twoja żona, tak mi niechętna, już nie żyje?

Laurenza ponownie nie odpowiedział od razu.

— Gdy kusi mnie, aby wrzucić cię do Arno, bellissimo Agnolo, starczy, że przesunę palcami tutaj. — Pokazał na długą bliznę na szyi. — Wtedy przypominam sobie, że gdyby nie ty, zginąłbym wraz z bratem w ową krwawą Wielkanoc i to rodzina Pazzich rządziłaby Florencją. Nie zdołasz mnie sprowokować, przyjacielu. Za dużo ci zawdzięczam.

— Godna to podziwu wrażliwość i przednia logika — powiedział Poliziano. — Poza tym beze mnie nie skompletujesz biblioteki. Nie żeby to miało jakieś znaczenie, oczywiście. Pamiętaj jednak, że nie ograbiłem jeszcze dla ciebie do cna Bolonii. — Zachwiał się niebezpiecznie w nabijanym ćwiekami siodle, gdy jego koń się spłoszył, przerażony nagłym dźwiękiem trąb.

— Niech diabeł porwie tego świętego Antoniego! Oby ciągle mu w

niebie tak jazgotali!

— Niebawem zacznie się procesja — powiedział Lorenzo, nie zwracając się do nikogo w szczególności. — Lepiej się pospieszmy.

— Jak pan sobie życzy — stwierdził Rakoczy, wdzięczny za zmianę tematu. — Ale jeśli nie ma pan ochoty na udział w uroczystości, może zechciałby pan obejrzeć mój pałac? Jest już prawie gotowy, a ja nie dostąpiłem jeszcze zaszczytu, aby pana po nim oprowadzić. Dziś byłby dobry dzień, Magnifico. Robotnicy świętują i nikt nie będzie nikomu przeszkadzał.

— Na rany Chrystusa! — zakrzyknął Poliziano. — A co tam jest takiego oprócz ścian? Możesz je pan pomalować tak lub owak, strzelić na nich tapetę, powiesić obrazki, ale koniec końców to zwykłe mury. Grubsze albo cieńsze, czasem udekorowane. Takie, siakie i owakie. Mury i tyle.

Rakoczy się uśmiechnął.

— Zapomniał pan, Poliziano, o podłogach i stropach, które są tylko po to, aby po nich chodzić i żeby na głowę nie kapało.

Ostatnie słowa utonęły w ponownym ryku trąb. Konie zatańczyły pod jeźdźcami, którzy musieli zająć się uspokajaniem zwierząt i baczeniem, aby nie wypaść przy tym z siodeł.

— Ale hałas! — Poliziano szarpnął konia za uzdę i wierzchowiec zarzucił kilka razy łbem, aż w końcu stanął spokojnie.

— Świętują, Agnolo — wyjaśnił cierpliwie, chociaż całkiem niepotrzebnie Lorenzo. — Zdecyduj się. Gdy mieszkańcy Florencji wychodzą na ulice, są niczym przyptyw i tylko budynki mogą stawić im opór. Musimy szybko stąd ruszać albo ciżba poniesie nas na la Piazza della Signoria.

— Szkoda marnować dzień na oglądanie kolejnego pałacu — wycedził Poliziano, przymrużając oczy. — Ale niech będzie. Słyszałem, że to budowla w genueńskim stylu. To może oznaczać

wszelkie niespodzianki.

— Owszem — zauważył Rakoczy. — Poczynając od murów, które nie dość, że są krzywe, to jeszcze każda ściana pochyła się pod innym kątem. — Spojrzał na Medyceusza. — Na pewno nie życzysz sobie uczestniczyć w obchodach, Magnifico?

— Dość ich już widziałem, natomiast pańskiego pałacu nie dane mi było jeszcze ujrzeć — powiedział w zamyśleniu Lorenzo, wysuwając lekko brodę. — Poza tym nie jestem wieczny i Piero powinien nabyć trochę obycia. Niech nauczy się, że miasto nie jest tylko jego zabawką. — Skręcił wodze w naznaczonych wiekiem, smukłych palcach. — Musisz wiedzieć, mio caro stragnero, że mój syn zdecydowanie nie grzeszy rozumem. Być może jest już za późno, aby go zmienić.

Agnolo przerwał im rozmowę wybuchem śmiechu.

— Też bym na to nie liczył, a wiem, bo sam go uczyłem. Ale wystarczy na niego popatrzeć i usta same układają się do pochlebstw. Jest piękny i Florencja go kocha.

— To znaczy, że ja piękny nie jestem? — spytał Lorenzo i nie czekając na odpowiedź, ścisnął boki konia piętami i ruszył przez strumień zdążających na plac ludzi. — Doskonale wiem, jak wyglądam. To Giuliano był tym gładszym z braci. Tutaj trzeba skręcić. Przejdziemy przez Piazza della Santa Croce. — Wyraźnie nie miał ochoty na dalszą sprzeczkę.

Agnolo jednak nie odpuszczał.

— Podziwiam skromność, Magnifico. Czytałeś jednak Platona. Wiesz, że Sokrates był obiektem westchnień najpiękniejszego mężczyzny Aten. Nie ma co rozpaczać. Twoje liczne zalety cię uratują. — Klepnąwszy konia, Poliziano wysforował się naprzód.

— Ateny też nie ujęłyby nic mojej szpetocie — mruknął Lorenzo tonem stwierdzenia. Na następnym zakręcie wyprzedził towarzysza i

poprawił siodło w ten sposób, aby wyszywane złotem litery LAUR MED, które zdobiły całą jego własność, stały się dobrze widoczne.

Rakoczy podążył za nim z lekkim uśmiechem na twarzy. Pokręcił głową, gdy Poliziano ponownie wysunął się na prowadzenie. Medyceusz pozwolił mu chwilę jechać przodem, potem zgrabnie odzyskał swoją pozycję. Kilka przecznic dalej sytuacja się powtórzyła, ale Lorenzo nie dał za wygraną.

Poliziano dał sobie spokój dopiero na wysokości Chiesa di San Marco.

— W sumie i tak nie warto — powiedział, wzruszając ramionami. — Jeździsz znacznie lepiej niż ja. Zawsze tak było, Lorenzo, i sam dobrze o tym wiesz. Ale jak zawsze musisz pokazać, że jesteś lepszy — dodał, uśmiechając się niewinnie. — Niech cię diabli z tą twoją nieograniczoną tolerancją, Medici. Na twoim miejscu nie pozwoliłbym mi na powrót do Florencji. Niezależnie od jakichkolwiek długów.

— Ktoś musiał zająć się osobą Piera, co samo w sobie jest wątpliwą przyjemnością — powiedział Lorenzo i pokręcił głową. Chciał dodać coś jeszcze pod adresem Rakoczego, gdy Poliziano znowu się odezwał:

— San Marco. Jak ktokolwiek może znieść sąsiedztwo tych ze szczerem pobożnych dominikanów? — spytał głośno. — Czy w pańskim kraju też spotyka się podobnych zakonników, San Germano?

Rakoczy uniósł brwi.

— Turcy i chrześcijanie mieliby pewnie w tej sprawie różne zdania. Mnie oni nie przeszkadzają.

— A mi wręcz przeciwnie — rzucił Poliziano jeszcze głośniej. — Zwłaszcza ten ich przynudzający kaznodzieja. Nowy, chociaż po prawdzie gościł tu już kilka lat temu. Nieustannie wieszczy różne klęski. Jak on się nazywa, Lorenzo? Na pewno wiesz, o kim mówię.

— Girolamo Savonarola — westchnął Medyceusz. — Jesteś

niesprawiedliwy, Agnolo. Być może opowiada ciągle o mękach piekielnych czekających potępione dusze i rozprawia o bezwartościowości świata doczesnego, ale jest w tym szczerzy i nie miesza się do nie swoich spraw.

— Chcesz powiedzieć, że trzyma się z dala od polityki? — spytał Poliziano, machając pogardliwie w stronę kościoła pod wezwaniem świętego Marka. — To tylko dlatego, że jeszcze jej nie zakosztował. Nie powinieneś pozwalać mu na powrót, Lorenzo. To był błąd.

— Proszę skrócić w następną ulicę, Magnifico — zawołał Rakoczy, chociaż Medyceusz najpewniej i tak znał drogę.

— Oczywiście. — Lorenzo skinął obcokrajowcowi, ale nie przerwał rozmowy z Polizianem. — Nie powinieneś wygadywać takich rzeczy, Agnolo. W każdym razie nie tam, gdzie mogą ściągnąć na ciebie kłopoty. Wyolbrzymiasz znaczenie tego zakonnika. Nie ma sensu go drażnić. I bez tego mamy dość kłopotów. Są we Florencji tacy, którzy czerpią radość z umartwiania się. Jeśli posłuchają jego głosu, co dobrego przyjdzie z tego dla ciebie czy dla mnie? Obecnie nie czyni nikomu szkody. Jeśli jednak ktoś zacznie szydzić z niego albo traktować jego gadanie jako poważne zagrożenie, od tego już krok do polityki. Poczuje się zmuszony do obrony i zacznie szukać sojuszników, od czego Florencja ucierpi bardziej niż od choroby weneckiej i wojny z Mediolanem jednocześnie.

Ściągnął wodze i skierował ogiera w świeżo wybrukowaną uliczkę.

Poliziano pokręcił głową.

— Co? — spytał z kpina w głosie. — Medyceusz obawia się prawdy? Trudno. Skoro chcesz, rób tak dalej. Okazuj Kościołowi wielkoduszność ze względu na swojego szwagra. I co z tego, że jego ojcem jest papież? Nie musisz z tego powodu nadskakiwać byle zakonnikowi. Innocentego nic to przecież nie obejdzie. Uwierz, że te kazania są niebezpieczne — dodał, porzucając sarkazm. — On cię

zniszczy. Poważnie ostrzegam — powiedział, skłaniając się w siodle na tyle głęboko, na ile było to możliwe. — Nie kpij więc ze mnie. Kimże zresztą jesteś, prosty obywatelu Florencji, aby uprawiać swoją politykę wobec papieża?

Laurenzo nie odpowiedział, zacisnął tylko mocniej szczęki. Mimo cienia, który kapelusz rzucał mu na twarz, Rakoczy dostrzegł złość i smutek malujące się w oczach Medyceusza.

— Naprawdę nie uważaj mnie za głupszego od siebie, Laurenzo — dodał Poliziano.

I tym razem nie doczekał się odpowiedzi. Laurenzo zatrzymał już wierzchowca przy nieukończonych jeszcze bramie pałacu. Dziedziniec zastawiały rusztowania, a robota murarzy nosiła wyraźne ślady świeżości. Magnifico zeskoczył z siodła, przełożył wodze ponad olbrzymim łbem konia i umocował je do najbliższego wspornika rusztowań.

— Nigdy nie miałem cię za głupca, Agnolo — powiedział w końcu z wyraźną złością.

Rakoczy także zsiadł, uwiązując wodze do mocowań zawiasu, który miał utrzymywać w przyszłości wielką, fantastycznie kutą bramę.

— Czy chce się pan do nas przyłączyć, Poliziano, aby obejrzeć mury, podłogi i stropy? Czy może woli pan raczej posiedzieć na dziedzińcu? Jeśli tak, każę memu słudze przynieść panu wina.

Ta propozycja wyraźnie spodobała się Polizianowi. Wysunął stopy ze strzemion i zeskoczył na ziemię.

— Chętnie zadowolę się winem. Dziękuję za oszczędzenie mi męki zwiedzania. Ściany, o ile dobrze widzę, stoją prosto, widok dziedzińca zaś da mi świetne pojęcie o całości. — Szybko ogarnął plac budowy spojrzeniem.

Rakoczy wpatrywał się w niego przez chwilę.

— Naprawdę? — spytał cicho, ale zaraz wzruszył ramionami. —



Tam są ławy robotników. Na pewno nie będą protestowali, jeśli pan z nich skorzysta. Z jednej strony dziedzińca zaczęto już kłaść mozaikę. Bardzo proszę, aby pan na nią nie wchodził.

Poliziano uwiązał konia przy wysokiej stercie krat okiennych i raz jeszcze lekceważąco rozejrzał się wkoło.

— Ładne. Bardzo ładne. Przystojny dworek. Ta mozaika przypomina mi coś, co widziałem kiedyś w Rzymie. Gdzie jest ten służący z winem?

— Zaraz się zjawi — powiedział Rakoczy. Stał akurat w cieniu i z racji czarnych, jedwabnych szat był ledwie widoczny, prawie nierealny. — Ruggiero!

Głośny okrzyk oderwał Laurenza od badania przyszłej bramy.

— Rakoczy, co to za napis? Myślałem, że to greka, ale nie mogę niczego odczytać. Może chodzi o rosyjski?

— Nie, Magnifico, to nie greka — wyjaśnił powściągliwie Rakoczy. — Rosyjski też nie. — Spojrzał na ozdabiający zwieńczenie bramy czarny krąg ze wzniesionymi skrzydłami na srebrnym polu.

— Ale co to znaczy? — Lorenzo odszedł o krok i otrzepał pył z płowóżółtego płaszcza jeździeckiego. — Ten napis wydaje się niepokojący. Herb jest piękny, caro mio, bardziej elegancki niż moje czerwone kulki, ale w całości budzi lęk. I jak przetłumaczyć motto?

Rakoczy zmrużył lekko oczy.

— Niełatwo wyrazić je w twoim języku, Magnifico, ale spróbuję. W przybliżeniu znaczy tyle co „Wiecznie z ciemności największej odradzany”. Herb to oczywiście zaćmienie słońca. Stary. Bardzo stary — dodał, odwracając spojrzenie.

— I szczególnie — mruknął Lorenzo i zdjął mazzocchio, chociaż nie było we zwyczaju, aby ściągać kapelusz na dworze. We wnętrzach zresztą też nie. — Gorąco dzisiaj, jak na maj.

Z drugiej strony dziedzińca dobiegły ich kroki kogoś poruszającego

się w raczej ciężkim obuwiu. Z sali łączącej pałac z frontową loggią wyłonił się niski służący Rakoczego. Miał pomarszczoną i gładko ogoloną twarz, był szczupły, zapewne trochę powyżej średniego wieku. Nosił płócienną tunikę ściśniętą pasem. Zatrzymał się przed Rakoczym i skłonił się godnie.

— Ruggiero, ten człowiek — powiedział Rakoczy i wskazał na Poliziana, który oparł się jedną nogą na ławie — zaszczycił mnie swoją wizytą. Przynies mu wina i trochę perskich słodczy.

— Jak pan sobie życzy.

— A potem przynieś kubek mleka migdałowego do górnej galerii — dodał, spoglądając na Laurenza. — Nie myślę się, Magnifico, że lubi pan mleko migdałowe?

Medyceuszowi jakby złość przeszła i uśmiechnął się lekko.

— Zdumiewasz mnie, panie.

— Ja? — spytał Rakoczy, odprawiając Ruggiera i podchodząc po mozaice do zagłębienia, gdzie w przyszłym miesiącu miała stanąć fontanna. — Nie zaoferowałbym gościowi niczego, co nie byłoby mu miłe. Czy pragniesz, panie, czegoś więcej? Mam owoce, a w kuchni jest pewnie jakiś chleb. Lorenzo podszedł do gospodarza.

— Nie, jedzenie niewiele dla mnie znaczy. Mleko będzie akurat. — Spojrzał na mozaikę. — Skąd zaczerpnąłeś, panie, ten wzór? Wygląda na klasyczny. Jakby wprost ze starożytnego Rzymu.

Rakoczy miał już ochotę powiedzieć, że wzór jest dokładnym odtworzeniem dziedzictwa cesarstwa rzymskiego, ale ugryzł się w język.

— Dziękuję, Magnifico — odparł. — O taki właśnie efekt mi chodziło.

— Zatem udało ci się, panie. — Lorenzo obejrzał się na Poliziana. — Na pewno nie zmienisz zdania, Agnolo, i nie pójdziesz z nami?

— Teraz, gdy lada chwila dostanę wino i słodczy? — odrzekł

tamten z uśmiechem. — Baw się dobrze, Lorenzo. Niczego mi tutaj nie zabraknie.

— Zatem nie będę ci przeszkadzał — westchnął z rezygnacją Lorenzo i ruszył w ślad za Rakoczym w cień galerii. — Podobają mi się te kolumny. Mają ciąg dalszy u góry?

— Tak. Planuję też malunki naścienne, które będą dopełniały mozaikę. Mógłbyś mi, panie, kogoś polecić? Wiem, że Sandro jest zbyt zajęty, ale może ktoś inny? Na przykład młody Buonarroti?

— Może. Muszę się zastanowić. — Weszli do sali, z której uprzednio wyłonił się służący. — Rozmieszczenie lamp też mi się podoba.

— Tak, powinny dać dobre oświetlenie.

— Gdybyś umieścił, panie, za nimi lustra, byłoby jeszcze jaśniej. Prosta robota, a i sala znacznie by zyskała.

— Na pewno — odparł Rakoczy świadom, że Lorenzo przywykł do przyjmowania jego rad. Przyjrzał się mocowaniom lamp, jakby sam wcześniej nie myślał o żadnych lustrach. — Oczywiście. Masz, panie, rację. Tylko czy uda mi się sprowadzić je z Wenecji? To znaczy, sprowadzić w całości, bo przy tak kruchym ładunku o wypadek nietrudno. Gdyby nie to, mógłbym pewnie zawiesić je też w loggi.

— Aż z Wenecji? — spytał zdumiony Lorenzo. — A dlaczego nie zamówisz, panie, luster na miejscu? — Niemniej, podobnie jak Rakoczy, wiedział świetnie, że weneckie zwierciadła, tak jak i całe tam właśnie produkowane szkło, były lepsze od florenckich wytworów. — Chociaż polerowany metal też zapewne będzie dobry. Prawie tak samo dobry. W tym Florencja zaś jest na pewno lepsza niż Wenecja.

Rakoczemu ulżyło w duchu i zaśmiał się głośno.

— Zatem metalowe lustra wyprodukowane we Florencji. — Gestem zaprosił na szerokie schody wiodące na obszerną loggię. — Chyba ci

się tu spodoba, Magnifico. Okna są szczególnie duże i odsunięte trochę od ulicy.

— Zimą mogą okazać się trochę za duże — zauważył Lorenzo, ale bez cienia krytyki.

— Pomyślałem już o tym. Na zimę będą okiennice z żaluzjami, aby wpuszczały trochę światła.

Rakoczy cofnął się trochę, zachęcając gościa do uważnego obejrzenia całości.

Laurenzo przeszedł się bez słowa po pomieszczeniu. W jego ciemnopiwnych oczach malowała się aprobata.

— Piękne, mio caro stragnero, i to mimo genueńskiego stylu. Szczególnie podobają mi się te wielkie, podwójne schody. To coś niespotykanego we Florencji. Co będzie pośrodku? Pewnie jakiś obraz. Albo nawet dwa lub trzy mniejsze. Ewentualnie posąg, coś niedużego w marmurze albo brązie. — Spojrzał wyczekująco na gospodarza.

— Niezupełnie — stwierdził Rakoczy, wchodząc na stopnie i stając obok Laurenza. — Zamierzam umieścić tu drewnianą boazerię z głęboko ciętych płaskorzeźb. To będzie bardziej w stylu mojego kraju. — Nie dodał, że panele będą maskowały wejścia do trzech ukrytych pod schodami pokoi.

— Drewniane płaskorzeźby. Tak, dobry pomysł. Dla mnie może niecodzienny, ale rozumiem, że może ci, panie, brakować ojczyzny i chciałbyś mieć coś, co będzie ją przypominało w tym obcym kraju. Kraju, który stał się twoim domem. — Ruszył lewymi schodami na górę. — Takie proporcje cieszą oczy. Gdy spojrzeć stąd na loggię, można dojrzeć udane... — Zamilkł nagle i poblądł chorobliwie.

Rakoczy złapał go wpół i podtrzymał, czując, jak jego gościa ogarnia coraz większa słabość i zapewne fala bólu.

— Nie... nie... — wyszeptał Lorenzo, okrywając się potem. Jego

smukłe palce drżały, chwyciwszy fałdy szaty Rakoczego niczym krogulcze szpony.

— Magnifico... — spytał spokojnie Rakoczy, nie dając się ponieść panice. — Co mam zrobić?

— Chryste! — syknął Lorenzo przez zęby. Zaciśnął powieki i byłby upadł, gdyby gospodarz nie trzymał go mocno za ramię. Ostrożnie posadził gościa na stopniu i sięgnął, aby poluzować kołnierz ubioru Lorenza i rozpiąć znajdującą się pod jeździecką peleryną camisę.

Nagle dłoń Lorenza powstrzymała jego wysiłki.

— Nie, Francesco... Zostaw. — Z wyraźnym wysiłkiem Lorenzo otworzył oczy i odegnał z twarzy grymas bólu. — Już mi lepiej. Nic nie rób, Francesco.

Rakoczy przytaknął.

— Dobrze, skoro tak sobie życzysz, panie. Ale wolałbym jakoś pomóc. Mam służących i jest tu Poliziano...

— Tylko nie on! — wydyszał Lorenzo. — Zaraz rozgadałby wszystko po mieście — dodał i musiał na chwilę umilknąć. — Nikomu nie mów — zażądał z naciskiem. — Przysięgnij. Przysięgnij na swe życie, że nikomu nic nie powiesz!

— Na życie? — spytał Rakoczy z sardonycznym uśmiechem, ale pokiwał głową, kładąc swoją małą dłoń na wielkiej dłoni Medyceusza. — Przysięgam na moje życie i na miłość ziemi ojczystej.

Laurenzo przytaknął i jakby trochę się uspokoił.

— Dobrze. Bardzo dobrze.

Westchnął i odwrócił głowę. Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

— Magnifico? — odezwał się w końcu Rakoczy.

— Chwilę, Francesco — odparł słabym głosem Laurenzo. Ostatecznie rozluźnił dłonie i puścił płaszcz Rakoczego. Odruchowo potarł opuchnięte knykcie. — To podagra. Plaga mej rodziny.

— Podagra? — spytał z niedowierzaniem Rakoczy.

— Zabiła mego ojca — stwierdził po prostu Lorenzo, nie rozwijając tematu.

— Nie wiedziałem, że twój ojciec, panie, zmarł na skutek ataku podagry — odparł spokojnie Rakoczy, wyczuwając zimny strach bijący od Wawrzyńca Wspaniałego.

— Bo tak nie było — odparł Lorenzo, unosząc się na łokciu. — Ale chorował przez wiele lat. Ja miałem z nią spokój, aż do niedawna. Wcześniej rzadko się objawiała i zawsze łagodnie. — Dźwignął się na kolana, zaciskając zęby z wysiłku. Zignorował przy tym wyciągniętą rękę gospodarza.

— Jeśli nie uznasz tego za niestosowne, możesz liczyć na moją pomoc, przyjacielu — powiedział Rakoczy. — Zawsze i w dowolnej sprawie.

Laurenzo zachwiał się niebezpiecznie, ale odzyskał równowagę.

— Dziękuję ci, caro stragnero. Kto wie? Może skorzystam jeszcze z twojej uprzejmości.

W dole rozległy się kroki i u stóp schodów pojawił się służący z tacą, na której stał złoty kubek.

— Panie?

Rakoczy zerwał się na nogi.

— Tak, przynieś tu mleko, Ruggiero.

Laurenzo uniósł dłoń, aby zaprotestować, ale gospodarz nie dał mu dojść do słowa.

— Potrzebne ci coś na wzmocnienie, Magnifico. Nie czas jeszcze na il comestio, ale proszę to wypić. To był wyczerpujący ranek.

Gdy Ruggiero wszedł na górę, Laurenzo spróbował rozluźnić atmosferę.

— Powinieneś poznać mnie dwadzieścia lat temu, amico. Wówczas taki ranek wydałby mi się nudny i byle jaki. Ale dwadzieścia lat sporo

może zmienić.

— Zapewne — zgodził się ostrożnie San Germano, wziął kubek z tacy i podał gościowi. — Mój kucharz imieniem Amadeo, skądinąd neapolitański drań spod ciemnej gwiazdy, na swój sposób jest geniuszem.

— Skoro nalegasz. — Lorenzo przyjął kubek. — Obawiam się, że szkoda tego na mnie, ale mleko migdałowe jest słodkie i mogę je pić.

Wypił wszystko i miał już oddać kubek, gdy Rakoczy skłonił się nagle.

— Proszę przyjąć to naczynie w prezencie jako dowód mego szacunku i gościnności.

— To królewski dar, Francesco — odparł Medyceusz, przyglądając się kubkowi. Wyraźnie odzyskiwał siły.

— Przeceniasz go, Magnifico — powiedział Rakoczy, ruszając w dół po schodach. — Przypuszczam jednak, że Poliziano zaczyna się już niecierpliwić.

Wdzięczny za podsunięcie wymówki dla zakończenia wizyty Lorenzo też zebrał się do zejścia.

— Porzućmy formalności Proszę podać mi rękę, Francesco. Rakoczy natychmiast zjawił się obok i całkiem naturalnym gestem dostarczył Laurenzowi wsparcia koniecznego do pokonania schodów.

Ruggiero poszedł za nimi.

— Czy potrzeba jeszcze czegoś? — spytał, gdy byli już na dole.

— Nie, dziękuję, Ruggiero. Możesz już odejść — powiedział Rakoczy i skinął dłonią, odprawiając służącego. Gdy ten już poszedł, ponownie spojrzął na Medyceusza. — Dasz radę iść sam, Magnifico?

— Chyba tak. — Lorenzo skierował się do wyjścia. Szedł trochę chwiejnie, ale usłyszawszy dobiegający z dziedzińca głos Agnola, wyprostował się, wygładził ubranie, przywołał uśmiech na twarz i zmusił się do znacznie energiczniejszego kroku.

— Naoglądaliście się ścian? — spytał Poliziano. — Szybko wam to poszło. — Dokończył wino i odstawił kubek na ławę, gdzie stał w połowie jeszcze pełny dzban.

Laurenzo zignorował zaczepkę.

— Jeśli mam się spotkać po południu z Signorią, muszę się przebrać. Trudno wejść do Priori, jakby się przybywało prosto z pola.

Podszedł do konia i odwiązał wodze. Tylko Rakoczy dostrzegł, jak bardzo drżały mu dłonie.

— Wracamy do starych sztuczek, Magnifico? — spytał Agnolo, także uwalniając wierzchowca. — Niech będzie. W takim razie jedźmy już.

— Rakoczy — odezwał się z siodła Medyceusz, patrząc na odzianego w czerń gospodarza. — Mam nadzieję, że nie zamierzasz, panie, w najbliższej przyszłości nigdzie wyjeżdżać?

San Germano uśmiechnął się lekko, dając Laurenzowi do zrozumienia, że pojął aluzję.

— Zapewniam cię, przyjacielu, że nie mam takich planów. Laurenzo jednak nie poczuł się usatysfakcjonowany.

— Byłbym bardzo rozczarowany, gdyby wyszło inaczej. — Zamilkł na chwilę. — Proszę mi wierzyć, że sięgnąłbym wówczas po wszelkie dostępne mi środki, aby to uniemożliwić.

— Na San Michele! — zawołał Poliziano, gotów już do odjazdu. — Czyżby Rakoczy zdążył już uwikłać się w jakąś intrygę?

— Nie — rzucił Laurenzo, zaciskając wolną dłoń, aż knykcie mu pobielały. Rakoczy zauważył to, nie powiedział jednak nic i nawet drgnieniem powieki nie zdradził, co właśnie ujrzał.

— I nie sądzę, aby do tego doszło — dodał Medyceusz łagodniejszym tonem. — Jego oczy spotkały się na moment z oczami Rakoczego, wyrażając niemą prośbę i coś, co sugerowało rodzące się zaufanie. Potem zawrócił wierzchowca i ścisnął go piętami na tyle



umiejętnie, że ogier bez błędzenia trafił w otwór niedokończonej bramy Palazzo San Germano.

Rakoczy przeszedł kilka kroków do skraju ulicy i spojrzął na oddalających się jeźdźców. Lorenzo jechał pierwszy, przygarbiony charakterystycznie Poliziano tuż za nim. Gdy zniknęli mu z oczu, stał jeszcze chwilę nieruchomo, w końcu odwiązał konia, aby zaprowadzić go do prowizorycznej stajni na tyłach. Gdy odchodził, na jego nieregularnym obliczu malował się wyraz coraz głębszego zatroskania.

List Gian-Carla Casimira di Alerico Circando do Francesca Rakoczego da San Germano:

*Do szanowanego przyjaciela i świetnego nauczyciela, Francesca Rakoczego, przebywającego we Florencji, od Gian-Carla z wyrazami szacunku.*

*Ten list dostarczy Joacim Branco, który winien zjawić się, zgodnie ze wskazówkami z listu z 24 lipca, około połowy września, zakładając, że nie spotka go żadne nieszczęśliwe zdarzenie, nie zostanie aresztowany ani napadnięty przez zbójców. Zarówno mistrz Branco, jak i Baldassare Secco mają pełne i dokładne listy ziół, przypraw i medykamentów do weryfikacji po dostarczeniu. Metale i rudy, których oczekujesz, zostaną wysiane później, jako że statek Paola Benedetta spóźnia się na skutek złej pogody i nie przybędzie do Wenecji przed upływem kilku tygodni. Słyszałem, że schronił się na Cyprze i nie zdoła wyruszyć wcześniej niż za ileś dni. Gdy ładunek znajdzie się w Wenecji, wyślę go do Ciebie przez Guida Frescomare i Fra Bonifacio.*

*Niklos Aulirios przysłał informację, że koło wodne, które zrobiłeś dla niego jakiś czas temu, spłonęło, on zaś zamierza niebawem uciec do Egiptu i gdy tylko będzie w stanie, skontaktuje się z Tobą przez Olmę.*

*Twój dom jest bezpieczny i wszystko przebiega, jak powinno. II Doge wyczekuje niecierpliwie Twojego powrotu, pragnąc więcej złota. Powiedziałem mu jednak, że potrwa, nim wrócisz. Pod Twoją nieobecność pozwoliłem sobie wytworzyć dość złota, aby wypełnić jedną wenecką baryłkę, i sprezentuję ją il Doge w Twoim imieniu w dzień Adwentu. Bez wątpienia będzie to dla niego miły dar, który znacznie przyda Ci poważania w Wenecji.*

*Twoja gondola została ukończona wedle zamówienia. Jest całkiem spora, z Twoim herbem na burtach i balastem z ziemi, którą mi powierzyłeś. Starczy, że prześlesz słowo, a gondolierzy będą czekali, aby przewieźć Cię do domu.*

*Ceny pieprzu wzrosły ostatnio niewiarygodnie. Czy mam trzymać cały zapas, czy może sprzedać kilka worków? Twoje sprawy stoją dobrze i nie brak w żadnym razie pieniędzy na dom i wszystkie zlecone zadania, ale można w tej chwili dobrze zarobić. Zwłaszcza angielscy kupcy oferują wysokie ceny na pieprz. Daj mi znać przez posłańca, czy mam go sprzedawać i ile sprzedać. Obecne stawki powinny utrzymać się do Wielkiego Postu.*

*Skreślam to własnoręcznie i przesyłam przez zaufanego mistrza Joacima Branco, ze szczerymi pozdrowieniami i poleceniem siebie oraz mojej pracy.*

*Gian-Carlo Casimir di Alerico Circando  
W Wenecji, 19 dnia sierpnia 1491 roku*

## . 4 .

W domu Sandra Filipepiego przy Via Nuova płonęło tylko kilka świec, a sam artysta położył się dwie godziny temu. Nawet jego fanatyczny brat Simone zakończył już modlitwy i skierował kroki do swego twardego łoża, gdzie daremnie przyzywał sen.

Donna Estasia szczotkowała bujne, kasztanowe włosy. Śpiewała przy tym cicho, ale z żarliwym uczuciem w głosie. Ten sam zmysłowy ogień płonął w jej oczach.

*O veramente felice e beata notte, che a tanto benfusti presente; apassi ciechi, scorti dolcemente da quella man suave a delicata.*

Poezja Laurenza wywołała uśmiech na jej ustach. Ona też wypatrywała szczęśliwej i błogosławionej nocy.

*Voi, Amor el mio core e la mia amata donna...*

Chętnie by zmieniała słowa w ten sposób, aby mówiły o kochanku, nie kochance, ale wówczas zgubiłaby rym. Pominęła fragment tekstu, zanuciwszy tylko melodię, i przeszła do dalszej części.

*...sapete sol, non altragentre, quella dolezza che ogni umana mente vince, da uom giammai non piu provata.*

Tak, i dla niej to też była prawdziwa miłość. Tylko ona sama знаła przyczynę przepełniającej jej serce radości.

Noc była ciepła i pełna aromatów lata. Estasia westchnęła i odłożyła szczotkę. Rozejrzała się za słoiczkiem maści z małmazji, ambry i piżma, aby wmasować ją w dłonie i twarz, czyniąc skórę bardziej miękką i miło pachnącą. W końcu znalazła naczynie przy lustrze otrzymanym od Sandra, tym samym, którego Simone tak nie cierpiał. Zdjęła zamknięcie z kości słoniowej i rozprowadziła krem po twarzy. Potem, wiedzona impulsem, rozchyliła jeszcze koszulę i potraktowała nim piersi. Powoli i miarowo poruszała dłońmi,

przymknąwszy nieco oczy.

Miała już wstać i skierować się do łóżka, gdy poczuła na ramionach dwie drobne dłonie, które zsunęły z niej koszulę. Krzyk urósł jej w gardle, zaraz jednak zmienił się w radosne westchnienie, gdy obróciwszy się, ujrzała znajome oblicze Rakoczego.

— Francesco — wymruczała, przytulając się do niego. — Wystraszyłeś mnie.

— Naprawdę? — Ujął jej lisiczkowatą twarz w swoje dłonie i przyciągnął bliżej. — I nadal się boisz? — spytał, całując Estasię.

Uśmiechnęła się, jakby chciała ukryć zdenerwowanie.

— Nie, teraz nie. — Odsunęła od siebie koszulę. — Ale jestem wygłodzona. Od jedenastu dni nie zaznałam rozkoszy. — Musnęła palcami jego luźną koszulę z perskiej tafty. — Za długo byłam sama ze sobą. Wydobądź mnie stamtąd. Weź mnie. — Wysunęła się z jego objęć i ujęła dłońmi obie swoje piersi. — Widzisz? Naperfumowałam je dla ciebie. Są takie miękkie. — Stanęła na palcach i przeciągnęła się prowokująco. — Powiedz, że ci się podobam. Powiedz, że pragniesz mnie posiąść.

Rakoczy zaśmiał się gardłowo.

— Co chcesz usłyszeć? Ze twoja skóra jest delikatniejsza i bardziej wonna niż najwspanialsze przyprawy Wschodu? Ze zbadam całe twoje ciało niczym spragniony podróżnik poszukujący wody?

Estasia zarumieniła się na twarzy, jej lekko pulchna sylwetka lśniła w blasku świec. Oddychała szybko i w końcu wyciągnęła do niego rękę.

— Francesco.

Ujmując jej dłonie, przyciągnął kobietę bliżej i bez trudu wziął niemal omdlewający ciężar na rękę. Objęła go za szyję i pozwoliła zanieść się do łóżka. Sprawnie odrzucił nakrycie i położył ją, samemu znajdując się na górze.

— Uczyń więcej. Powiedz więcej. — Jej leszczynowe oczy pociemniały z emocji i szarpnęła gwałtownie jego koszulę. — Szybciej. Pospiesz się.

On jednak nie uległ namowom.

— Spokojnie, Estasio. Powoli i z namysłem. — Mówiąc to, głaskał ją, uspokajając i podniecając jednocześnie, jakby smakował każde wrażenie, dotykając ust, piersi i białych ud.

Estasia jęknęła. Oczy uciekły jej w głąb czaszki, a ciało napięło się niczym struna lutni. Spróbowała odepchnąć jego dłonie, ale on nie dał się powstrzymać. Wytrwale zbliżał ją do wyzwolenia, aż fala ogarnęła jej ciało, rozbijając świat na tysiące świetlistych odłamków. Pocałunki i dłonie ugasiły szalejącą w niej burzę niezaspokojenia.

Obróciła się ku niemu z wyraźnie widoczną w oczach radością.

— Ukochasz mnie raz jeszcze, nim odejdziesz? — spytała i przesunęła palcem po jego mocno zarysowanej żuchwie.

— Tego właśnie chcesz? — powtórzył spokojnie, chociaż pojmował już, że pożądała go w stopniu graniczącym z obsesją. Wciąż tęskniła za jego ustami i dłońmi, by ochraniały ją przed podkradającym się w mrocznych myślach strachem. Jej oczekiwania rosły ze spotkania na spotkanie.

— Tak. Tak, chcę, abys zajmował się mną nieustannie, aż całkiem się zatracę. — Poprawiła poduszkę, aby móc spoglądać na niego bez unoszenia głowy. — Powiedz, że tak będzie.

Ciągle wyczuwał w niej głód dalszych rozkoszy.

— Może. Zaśnij teraz, Estasio.

— Przysięgnij, że nie wyjdiesz, gdy będę spała! — powiedziała zdesperowanym tonem, ściskając jego dłoń.

— Bella rnia — odparł spokojnie, odsuwając się od niej. — Na samym początku powiedziałem ci, że nie będę twoim sługą. Jeśli tego właśnie pragniesz, musisz poszukać kogoś innego.

Estasia zawahała się, w jej oczach odbił się paniczny strach.

— Ale pragniesz mnie. Pragniesz mnie przecież.

— Oczywiście. Ani przez chwilę tego nie kryłem. To, że jesteś wdową, czyni cię wolniejszą niż kobieta niezamężna. Albo nawet matrona, jeśli o to chodzi. Byłem dla ciebie dogodnym materiałem na kochanka. — Ton jego głosu był prawie chłodny, jakby odbijał coraz większy, dzielący ich dystans.

— Zdajesz się sugerować, że twoje zaangażowanie to akt miłosierdzia.

— Zbyt wiele z niego czerpię, jak na miłosierdzie — odparł z uśmiechem. — Uwielbiam być z tobą, bellina. Jak długo jestem w stanie zaspokoić twoje pragnienia, a ty moje, dlaczego mielibyśmy sobie tego odmawiać? Nikt nie oczekuje, że wdowa w twoim wieku zamknie się na cztery spusty i porzuci towarzystwo mężczyzn.

— W Parmie tak — powiedziała ze smutkiem, wspominając liczne sceny, które robiła jej rodzina męża, gdy go zabrakło.

— Ale obecnie jesteśmy we Florencji, gdzie ludzie mają więcej zrozumienia dla podobnych spraw.

Estasia wyczuwała między nimi dystans. Nowy całkiem i przerażający.

— Powiedziałeś, że mnie potrzebujesz. Sam mi to powiedziałeś, zanim jeszcze zaczęliśmy.

— A ty nie masz żadnych potrzeb? — Mimo wszystko obrócił się ku niej i dotknął twarzy kobiety. — Właśnie. Nie smuć się, Estasio. Przykro mi, gdy przybierasz taki wyraz twarzy. — Nie wyjawiał, że tak naprawdę przygnębiły go coraz lepiej widoczne na jej obliczu znaki czasu. Czasu, który miał ją w pewnej chwili zabrać. Ona też czuła odchodzącą coraz dalej młodość i z pasją próbowała uciec przed nieuniknionym w zmysłowość. Z latami mogło się to stać niebezpieczne.

Na razie jednak nie przestawała okazywać swojego niezadowolenia.

— To okrucieństwo mówić coś podobnego na wyrost. Zastanawiałam się już, czy nie odmówić ci siebie, gdy przyjdiesz ponownie. Co zatem zamierzasz? Gdzie pójdziesz?

Rakoczy nie cierpiał podobnego zwodzenia, spojrzał więc na nią chłodno.

— Mogę odejść, jeśli sobie tego życzysz.

Zaczął wstawać, ale szybko przytrzymała jego rękę.

— Nie. Nie wolno ci odchodzić.

— Estasio...

Zacisnęła palce na jego dłoni.

— To nie tak. Nie chciałam tego. Całkiem nie o to mi chodziło!

Rakoczy zatrzymał się, nie zwiększając dystansu, ale też nie próbując się przysuwać. Potem uniósł powoli drugą rękę i musnął gładką skórę Estasii.

— Powiedz mi, bella, mam odejść czy zostać?

Przytuliła energicznie jego dłoń do swojego ciała. Zaraz oddech jej przyspieszył i cała przysunęła się bliżej.

— Wybacz, Francesco. Pokaż, jak bardzo mi wybaczasz. Rakoczy zaspokoił już swoje pragnienia, ona jednak rozpałała się na nowo. Pochylił się nad nią i pocałował mocno.

— Tak lepiej — powiedziała z wymownym uśmiechem, patrząc na jego przystojne oblicze. Dotknęła ciemnych włosów Rakoczego. — Podobają mi się. Zawsze tak pachną. To drzewo sandałowe?

— Tak — odparł, całując jej piersi. Estasia westchnęła, jednak wyczuwał w niej irytację. Mimo podniecenia nadal coś było nie tak.

— W czym rzecz? — spytał, przerywając wyrefinowane pieszczoty.

Estasia zacisnęła z początku usta, w końcu jednak się odezwała:

— Będziesz się złościł, gdy ci powiem. — Przycisnęła jego głowę do

swego ciała. — Ale... zrób coś więcej.

Rakoczy spojrział na nią uważnie.

— Nie odpowiadają ci nasze rozkosze? Chcesz, abym był taki sam jak inni kochankowie i wziął cię, jak oni to robili? — W jego głosie nie było słychać wyrzutu. Po prostu pytał. — Nie musisz wstydzić się, że to wyznajesz. Wiem, że nie wszystkie twoje życzenia mogę spełnić.

— Nie, nie Francesco — zaprotestowała gwałtownie. — Jesteś lepszy niż oni wszyscy. Naprawdę. Nikt z nich nie dał mi nigdy tyle rozkoszy. Ale...

— Ale? — spytał spokojnie.

Zebrała się na odwagę, aby zadać pytanie, które od dawna ją nurtowało.

— Czy jesteś eunuchem, Francesco?

Śmiech Rakoczego zaskoczył ją, podobnie jak widoczne w jego ciemnych oczach rozbawienie.

— Nie, Estasio — odparł, gdy już się uspokoił. — Powinnaś sama o tym wiedzieć.

— Skąd? Przecież ty nigdy... nigdy...

— Nie wypełniłem cię? — zasugerował Rakoczy, podejmując pieszczoty.

— Tak. Nie wszedłeś we mnie. Nigdy nie miałam cię w sobie. — Poruszyła nogami, ustępując przed jego dłonią. — Tak... Właśnie...

Rakoczy rozpalał jej zmysły aż do granic. Kilka chwil później twarz Estasii upodobniła się do oblicza świętej przeżywającej chwilę najwyższej ekstazy.

— Nadal uważasz, że jestem eunuchem? — spytał, gdy trochę już ochłonęła.

— Nie wiem — stwierdziła cicho. — Ale zniechęciłabym cię, gdybyś inną posiadał tak, jak zwykli to robić mężczyźni.

Odsunął jej ciężkie, kasztanowe włosy.



— Bądź spokojna. Nie dotknąłem w ten sposób kobiety od czasu, gdy byłem bardzo młody. A to było dawno. Bardzo dawno.

— Nie jesteś jeszcze taki stary.

— Nie jestem? — Sięgnął po prześcieradło, aby ją przykryć.

— Na pewno nie starszy niż Lorenzo, a on dopiero przekroczył czterdziestkę — odparła, zagarniając leniwym ruchem poduszkę.

— W rzeczywistości mam o wiele więcej.

— Naprawdę? — spytała sennie Estasia. Uśmiechnął się do niej w ciepłym półmroku.

— Spij, Estasio. Jest już późno. Na wschodzie niebo zaczęło srebrzeć, ptaki odezwały się na polach. — Wstał i zdmuchnął świeczki. Jego sylwetka rysowała się czernią na tle szarawego blasku wpadającego przez okno.

— Zjawisz się jeszcze, Francesco? Powiedz, że znowu cię zobaczę.

— Nawet bliski sen nie ukoił jej niepokoju.

— Jeśli tego pragniesz.

— Tak, tego właśnie chcę — odparła cicho i chwilę później nikt nie stał już na tle okna.

Rakoczy zniknął.

List Laurenza di Piero de Medici do augustianina, fra Mariano:

*Do szanownego brata zakonu świętego Augustyna, fra Mariano, Laurentius Medicis z wyrazami wdzięczności w dniu święta patronów jego rodu, Kośmy i Damiana.*

*Smutno mi pisać do Ciebie, dobry bracie, który okazałeś tyle życzliwości naszemu miastu, w sprawie równie przykrej.*

*Dziesiątego dnia tego miesiąca dałeś wspaniały przykład swojej tolerancji i miłosierdzia i wszyscy Florentyńczycy są Twymi dłużnikami przez to, jak zareagowałeś na pożałowania godny incydent na Piazza di*

*Santa Maria Novella. Wielka szkoda, że reszcie naszych obywateli brakuje Twojej dobroci. Chociaż niezmiennie pozostaję wiernym i oddanym synem świętego Kościoła, nie mogę pozbyć się żalu z powodu postępków tych kilku nadgorliwych dominikanów, którzy na tyle zapamiętali się w swoich obowiązkach, że jako zakonnicy wzięli udział w rozruchach. To, że zdecydowałeś w podobnie groźnej sytuacji przemówić do ludzi, świadczy wymownie o Twoim oddaniu zarówno słowom naszego Pana, jak i ludowi Florencji.*

*Proszę Cię unizenie, abys nie trudził się zajmowaniem stanowiska wobec poczynań dominikanina Savonaroli. Nie jemu orzekać, kiedy umrę. To wie tylko Bóg, i trudno traktować poważnie słowa zakonnika, który sugeruje światu, że mądrzejszy jest niż jego przełożeni. Z, pewnością przyjdzie mi umrzeć, jak dzieje się to ze wszystkimi ludźmi, jednak o nadejściu tej chwili zdecydują Niebiosy, nie Girolamo Savonarola.*

*Twoje modlitwy o me zdrowie wiele dla mnie znaczą i doceniam, że wstawiasz się za mną u Przebłagalni. Bez wątpienia myśl kogoś tak czystego jak Ty musiała odegrać wielką rolę w mym powrocie do zdrowia. Niestety, muszę donieść Ci w tym liście, że nadal cierpię na niejaką słabość, przez co muszę prosić Cię o wybaczenie mało starannego pisma. Na tyle trudno mi utrzymać pióro w dłoni, że rano ledwie ukończyłem sonet, co torturą jest dla poety.*

*Unizenie i z szacunkiem polecam się Twojej pamięci, dobry bracie, i raz jeszcze dziękuję za Twoje wielkie przysługi.*

*Laurentius Medicis*

*We Florencji, w dzień świętych Kośmy i Damiana, 27 września 1491 roku*

## . 5 .

Idąc po schodach, Ruggiero przystanął, by zerknąć, jak stolarze wpasowują ostatnią sekcję rzeźbionych, drewnianych paneli. Poniżej loggia jaśniała blaskiem nowych lamp wyposażonych w metalowe lustra. Ich wypolerowana gładź rzucała na całe pomieszczenie złoty poblask, w którym świeżo obrobiony dąb nabierał miedzianego odcienia.

— Wspaniale. Dobra robota — mruknął Ruggiero, idąc dalej. Jego szata musnęła podłogę, poruszając leżące na niej resztki trocin. — Mój pan będzie zadowolony — powiedział, przesuwając dłonią po niemal niewidocznych łączach. Pchnął jedną z sekcji, aby sprawdzić, czy ukryte przejście nie otworzy się pod ciężarem panelu.

Nadzorujący stolarzy Teobaldo odsunął się, gdy jego bracia z cechu zaczęli przykręcać śruby.

— Patron był bardzo hojny — powiedział do Ruggiera. — Obiecał każdemu z nas po cztery fiorini d'or, jeśli skończymy przed Adwentem. — Zaśmiał się. — Za takie pieniądze moglibyśmy zrobić wszystkie ściany loggi.

— Są jeszcze alkowy do wykończenia — przypomniał mu Ruggiero. — Ale mój pan wierzy, że dacie sobie radę.

— Ma po temu podstawy. — Teobaldo zmierzył zarządcę spojrzeniem. Wprawdzie nie przepadał za tym cudzoziemcem w brunatnej szacie i z pękiem kluczy przy pasie, ale nie chciał być wobec niego nieuprzejmy. — Gdzie indziej może by się przeliczył, ale Florencja ma najlepszych artystów na świecie.

— W rzeczy samej — odparł zdawkowo Ruggiero, który widział świątynie w Birmie i Chinach, widział frankońskich mnichów iluminujących pergaminy i sam pomagał kiedyś budować pewien

rzymski most. Teobaldo musiał wychwycić w jego słowach jakąś niepokojącą nutę.

— To niezwykle, żeby patron był równie hojny — dodał.

— Owszem — zgodził się Ruggiero. — Służę mu już wiele lat i nie chcę innego pracodawcy.

Tego było już za wiele dla Teobalda, który pokręcił głową.

— To niezwykle człowiek, bez wątpienia, ale mnie nikt nie zmusiłby do podobnej lojalności.

— Nie rozumiemy się — stwierdził Ruggiero, patrząc stolarzowi prosto w oczy. — On do niczego mnie nie zmusza. Niczego nie nakazuje. Służę mu z własnej i nieprzymuszonej woli. — Obrócił się na pięcie i poszedł prawymi schodami na górę, zostawiając stolarzy sam na sam z refleksjami o nieprzewidywalności cudzoziemców.

Na szczycie schodów zawahał się, spoglądając w stronę na pół wykończonego pokoju po drugiej stronie galerii. Potem zdecydował się i ruszył w kierunku, z którego dobiegał dźwięk piły.

— O, jest pan Ruggiero — ucieszył się na jego widok Gasparo Tucchio, odkładając drewniany młotek. — Przydałaby się przerwa. Już prawie wieczór.

Giuseppe poszedł w ślady Gaspara i przestał poruszać piłą.

— Zachód słońca blisko, a noce są zimne.

— Gdzie jest patron? — spytał nieco poufale Gasparo. — Widziałem go wcześniej. Był elegancko ubrany, w czarny brokat, z dubletem z białego atłasu pod płaszczem.

Ruggiero nie poczuł się urażony jego podejściem, podobnie jak i wcześniejszymi komentarzami.

— Mój pan udał się do domu Federiga Cossy. Ma zaszczyt podawać do obiadu temu, kto gościł go przez tyle miesięcy.

— A, do tego starego alchemika — zaśmiał się Gasparo, który widać nie cenił zbytnio niedawnego gospodarza patrona. — Kiedyś

robiłem mu nowy pokój. Jest prawie tak samo wymuskany jak Rakoczy. A dzisiaj ma go za służącego? — dodał z nieco większym szacunkiem. — Całkiem jak porządny Florentyńczyk. Pamiętam, jak Lorenzo obsługiwał swoich gości. Teraz już tak nie robi.

— Rakoczy coraz bardziej przesiąka Florencją — dodał Lodovico, starając się ukryć szyderstwo. — Słyszałem, że rozdaje nawet ubrania biednym.

— Medyceusz powiedział mi, że to jedna z rzeczy, których oczekuje się we Florencji od wszystkich bogatych — powiedział spokojnie Ruggiero, przyglądając się Lodovicowi z uwagą.

Carlo odłożył piłę i klepnął Lodovica w plecy.

— Cały problem z tobą, amico, że zrobiłeś się głodny. — Spojrzał na Ruggiera. — Wiesz, panie, jak to jest. Gdy jeść się chce, to i gębę trudniej zamknąć.

Lodovico zrozumiał już swoją niezręczność i chętnie zaakceptował podsunięte mu wytłumaczenie.

— Od godziny burczy mi w brzuchu — powiedział. — Też chętnie bym zjadł jakiś obiad. Bez tego robię się cięty jak Turek — dodał pod adresem Gaspara. Potem westchnął i pchnął piłę pod najbliższą ścianę. — Za jakiś miesiąc skończymy. Mamy jeszcze podłogę do wykończenia tutaj i cały następny pokój. Potem wejdą już stolarze. Szkoda. To dobra robota.

— I już się kończy — westchnął nieoczekiwanie Giuseppe. — Nigdy już nie trafi nam się podobna budowa.

Gasparo przypomniał sobie w końcu o Ruggierze, który przyszedł tu przecież w jakimś celu.

— I jak? — spytał bardziej rzeczowym tonem. — Czy o tym chciałeś, panie, z nami rozmawiać? Są tu wszyscy, których obecności pan sobie życzył.

Atmosfera nieco się zagęściła, gdy Ruggiero rozejrzał się po pokoju.

— Wszyscy jesteście samotnymi mężczyznami. Bez rodzin — powiedział w końcu. — Jesteście też mistrzami w swoim fachu. Okazaliście godną uwagi lojalność wobec patrona.

Cała czwórka poczuła się nieco zaniepokojona tymi pochwałami.

— Mój pan sporo się o was dowiedział. Gotów jest dobrze wam zapłacić, jeśli wykonacie dla niego jeszcze dwie prace.

— Jakie prace? — spytał Lodovico, mrużąc oczy.

— O tym za chwilę. Przede wszystkim nikt nie może się o tym dowiedzieć. Wynagrodzenie będzie dwukrotnie wyższe niż wasze zwykłe stawki — dodał, wywołując u słuchaczy kilka żywiołowych okrzyków. — Niemniej, gdy już skończycie, będziecie musieli opuścić na zawsze Florencję. Gdziekolwiek się udacie, będziecie tam mieli zapewnioną pracę i pewną wypłacaną corocznie sumę na utrzymanie.

— Opuścić Florencję? — powtórzył Gasparo, zdumiony i oburzony jednocześnie. — Opuścić Florencję? Co to za absurdalne żądanie?

— Absurdalne czy nie, to warunek postawiony przez mojego pana — odparł chłodno Ruggiero. — Warunek zlecenia pracy.

Carlo nie skomentował tego, wyrzucił za to z siebie pytanie, które i Lodovico pragnął zadać:

— Jaka będzie ta coroczna suma? I skąd możemy mieć pewność, że nam zapłaci?

— Carlo! — warknął na niego Gasparo. — Gotów byłbyś się zgodzić?

Carlo wzruszył niezgrabnie ramionami.

— Jak właśnie zostało wspomniane, nie mam rodziny. Jeśli będzie dla mnie praca gdzie indziej, i to dobrze płatna, to czemu nie? Jestem lepszy niż przeciętni rzemieślnicy w innych miastach — dodał, nie patrząc Gasparowi w oczy. — Nigdy nie widziałem żadnego innego miasta. Całe życie spędziłem w cieniu Palazzo della Signoria.

— I za to winienesz na kolanach dziękować niebiosom! — zagrział Gasparo. — Czy nie rozumiesz... ?

— Gasparo — przerwał mu Ruggiero. — Niech sam się zdecyduje.

— A ty! — Gasparo obrócił się do Ruggiera, znajdując inny obiekt dla swojej złości. — Czy chcesz mi powiedzieć, że zdaniem Rakoczego gotów jestem opuścić Florencję? Czy uważa, że wystarczy łapówka, a obrócę się plecami do mojego miasta i cechu?

— Nie — odparł spokojnie zarządca. — Nie uważa. To całkiem zbiło Gaspara z tropu.

— Ale... sam słyszałem...

— Jeden z was musi zostać we Florencji, aby mieć pewność, że pozostali dotrzymują słowa. Oczywiście mój pan życzy sobie, abyś to ty był tym człowiekiem. Ufa, że go nie zawiedziesz.

— A skąd mam wiedzieć, czy ja mogę mu ufać? Jakie będę miał zabezpieczenie? — Budowniczy położył dłonie na szerokich biodrach i wypiął pierś. — Niech mnie pan źle nie zrozumie, Ruggiero. Gotów jestem służyć patronowi o każdej porze. Ale nie na ślepo. Muszę mieć jakieś gwarancje dla siebie i moich ludzi.

Ruggiero uśmiechnął się lekko, ale jego głos pozostał tak samo stanowczy.

— Mój pan nigdy nie łamie danego słowa. Nie zdarzyło mu się to przez te wszystkie lata, kiedy go znam. Czasem wiele ryzykował, aby dotrzymać obietnicy. Ceni honor ponad wszystko. — Spojrzał na Gaspara, wytrzymując jego gniewne spojrzenie, i spokojnym gestem złączył palce obu dłoni.

— Ale to ty, panie, składasz nam propozycję, nie on. Dlaczego miałby dotrzymać słowa, którego nie dał nam osobiście? — spytał Lodovico. — Czy mamy uwierzyć, że uzna to zobowiązanie, bo tak powiedział?

— Mój pan jest szeroko znaną osobą. Nie tylko we Florencji, ale

także w Wenecji czy Wiedniu. Jeśli chcecie, wasza zapłata może pochodzić z majątków, które posiada w tych miastach.

Gasparo ochłonął już i nagle zastanowił się nad czymś całkiem innym.

— Dlaczego jest go pan tak pewien, Ruggiero? Nierzadko zdarza się przecież, że sługa zawiedzie się na swoim panu.

Ruggiero podszedł do pozbawionego jeszcze ram okna i spojrzał na dziedziniec.

— Znam przypadek, gdy o pomoc poprosił go pewien zbiegły niewolnik. Mój pan nie miał żadnego konkretnego powodu, aby mu zaufać albo narażać się dla niego. Niemniej dał mu schronienie i wyleczył, a gdy zbiegły niewolnik został jeszcze dodatkowo ogłoszony przestępcą, mój pan dopilnował, aby oczyszczono go z zarzutów, i doprowadził do ukarania tego, kto owego niewolnika wcześniej zdręczał. — Odwrócił się od okna i spojrzał na słuchaczy. — Skoro San Germano zrobi tyle dla nędzarza w zakrwawionych łachmanach, można być pewnym, że i was nie zawiedzie.

— Rakoczy o tym opowiadał czy ten niewolnik? — spytał Lodovico i dał Giuseppemu ostrzegawczego kuksańca pod żebra.

Ruggiero nie odpowiedział od razu.

— To było w Rzymie. Ukrywałem się od wielu dni. Gdyby mnie nie znalazł, skonałbym tam, w cieniu amfiteatru Flawiusza. Zajął się moimi ranami i przywrócił mnie życiu. To ja byłem tym niewolnikiem, szanowni panowie.

Nawet Gasparo nie zdobył się na komentarz. Rzymskie bezprawie było wręcz legendarne i ponury obraz, odmalowany przez Ruggiera, pasował do tego, co słyszało się o tym mieście.

— Cóż, skoro tak, to chętnie posłucham, co patron chce nam zaproponować — powiedział. — Zaufamy mu ze względu na ciebie. — Spojrzał na pozostałych, szukając sprzeciwu.



— Ja też jestem zainteresowany — stwierdził Giuseppe i pomasaował bok w miejscu, gdzie uderzył go Lodovico.

— Ja również — dodał Carlo, występując o krok. — Mam kuzyna, który jest marynarzem. Opowiadał mi sporo o Londynie i Anglikach. Chętnie się tam wybiorę, jeśli można.

Cudzoziemska nazwa zabrzmiała niczym zaklęcie. Giuseppe uśmiechnął się szeroko.

— A ja słyszałem, że jest takie miasto w Polsce, gdzie kobiety są piękne niczym złote lilie.

— Kraków pewnie ci się spodoba — powiedział z lekkim uśmiechem Ruggiero. — Za kobiety nie ręczę, ale miasto chyba polubisz.

— Czekaście! — wykrzyknął Gasparo. — Nic jeszcze nie zostało uzgodnione.

Lodovico wzruszył ramionami i wskazał na pozostałych.

— Jak to nie? Giuseppe wyjedzie do Polski, Carlo do Londynu, a ja... Ja do Lizbony, jeśli tak będzie dobrze. — Portugalia leżała dość daleko, aby nie budziła podejrzeń, na tyle jednak blisko, aby dało się z niej szybko wrócić do Florencji, gdyby okazało się to wskazane.

Gasparo westchnął zrezygnowany i uniósł ręce.

— Niech będzie. Jeśli wam to odpowiada, co mi do tego. — Spojrzał zdecydowanie na Ruggiera. — Będę chciał dostawać regularne raporty o ich losie. Da się to zrobić?

— Oczywiście. Będziesz też otrzymywał corocznie dowody wypłaty ich pieniędzy.

— Va bene. Zatem najważniejsze mamy za sobą. Co trzeba zrobić, aby zasłużyć sobie na te pieniądze i wygnanie? Nie podejmiemy się niczego, co byłoby sprzeczne z prawami Republiki albo zasadami naszego cechu.

— Takiego poświęcenia nikt od was nie oczekuje. Wszyscy jesteście

ludźmi inteligentnymi i zauważyliście pewnie, że ten pałac został wzniesiony na innym planie niż pozostałe budynki we Florencji. — Nie oczekiwał innej odpowiedzi niż zwykłe potaknięcia. — Stało się tak z kilku powodów, które nie muszą was obchodzić. Poza jednym, bardzo istotnym. Za ścianą klatki schodowej znajdują się dwa ukryte pomieszczenia. Trzecie jest w stajni. Trzeba je wszystkie wykończyć i urządzić, dokładnie według wskazówek mojego pana.

— Czemu mają służyć te pokoje? — spytał Gasparo. — Nie przyłożymy ręki do przestępstwa.

— Nie chodzi o cele przestępcze — odparł Ruggiero takim tonem, że żaden z budowniczych nawet nie pomyślał, aby podać jego słowa w wątpliwość. — Mój pan jest alchemikiem. Woli pracować w ukryciu, zarówno ze względu na bezpieczeństwo otoczenia, jak i dla zachowania prywatności. — Uniósł rozpostarte dłonie. — Nie w sprzeczności z prawami kwestia, ale w zagrożeniu, które może stwarzać czasem jego praca.

Oczy Lodovica pojaśniały. To było coś, co mógł wykorzystać dla wyciągnięcia większych pieniędzy z Rakoczego. Albo z miasta, które najpewniej nagrodziłoby go za doniesienie o podobnym zagrożeniu.

— Co konkretnie mamy zrobić? — spytał aż nazbyt entuzjastycznym tonem. — I kiedy zaczynamy?

— Jutro. Jest jednak coś, co musimy załatwić wcześniej.

— Co? — spytał ponownie podejrzliwy Gasparo.

— Musicie złożyć świętą przysięgę, że nie wyjawicie ani słowa o tym, co będziecie tu robili. Musicie przysiąc na wasze dusze i dochować słowa, jeśli chcecie trafić do raju. — Klasnął w dłonie i po chwili do pokoju wszedł Joacim Branco. Długi płaszcz łopotał mu wkoło nóg niczym połamane skrzydła.

— Masz dokument? — spytał Ruggiero.

— Tak. — Portugalski alchemik pokazał pozbawiony podpisów

pergamin. — Jest gotowy.

Ruggiero spojrział na budowniczych. Jego zdecydowanie rozpraszało wszelkie podejrzenia.

— Kto z was umie czytać? — spytał takim tonem, jakby prosił o przesunięcie stołu albo zapalenie świecznika.

Zapadła niezręczna chwila ciszy, którą przerwał ostatecznie Gasparo.

— Ja. Trochę. I tylko w dialekcie toskańskim.

— To zostało napisane w twoim ojczystym języku — powiedział Ruggiero, biorąc dokument od Branco. — Przeczytam go głośno, Gasparo, a ty będziesz czytał razem ze mną, aby wszyscy mieli pewność, że wiedzą dokładnie, pod czym się podpisują. Mój pan kazał przeprowadzić to właśnie w ten sposób.

Umowa była długa, ale jasna i pozbawiona niezrozumiałych terminów. Pod koniec lektury wszyscy budowniczowie byli bardziej niż chętni, aby ją parafować.

— Dobrze — powiedział Ruggiero. — Teraz musicie podpisać się pod tym własną krwią.

Budowniczowie zamarli i ponownie podejrzliwość zagościła na ich twarzach.

— Dlaczego? — spytał Gasparo.

Joachim Branco chciał już odpowiedzieć, ale Ruggiero powstrzymał go gestem dłoni.

— Powód jest prosty — stwierdził. — Mój pan tego od was oczekuje.

— Jeśli tak, to powinien nam wyjaśnić, skąd takie oczekiwanie — powiedział Lodovico tonem nie zostawiającym wątpliwości, że nie wierzy w sensowność takiego rozwiązania. — Jeśli to tylko kaprys, dla mnie to za mało na szastanie krwią. Gasparo zdecydował się go poprzeć.

— Będzie miał naszą przysięgę, złożoną na honor, dusze i zbawienie. To na pewno dość. Czy może uważa, że jest coś cenniejszego niż dusza?

Ruggiero wyraźnie czekał na to pytanie.

— Nie ma — odparł z wielką powagą. — I dlatego trzeba jej strzec. Jednak co będzie, jeśli zostaniecie ogarnięci przez zło? Wtedy honor nic nie znaczy, zbawienie przestaje być ważne. Wtedy, szanowni panowie, tylko krew zostaje tym, co wiąże.

— Nic mnie nie zmusi, abym to zrobił! — wybuchnął Carlo.

— Tak? — Ruggiero spojrział na własne dłonie. — A gdyby twoją matkę wzięli na tortury, abys złamał ślubowanie, jak byś się zachował?

Budowniczo wie umilkli i nawet Lodovico musiał przyznać, że Ruggiero miał sporo racji.

— Ostatecznie czemu nie? — powiedział w końcu. — Skoro cudzoziemiec tak słabo nas zna, powinniśmy pójść mu na rękę.

Reszta wahała się jeszcze, ale gdy Ruggiero wręczył Lodovicowi mały nóż, ten zaś sprawnie zaciął się w palec i uczynił znak na pergaminie, pozostali także podeszli do zarządcy.

— Dokładnie o to chodziło — powiedział Ruggiero, czekając, aż podpisy wyschną. — Doceniając waszą uprzejmość, mój pan zaprasza was do kuchni. Amadeo przygotował dla was posiłek, pełen obiad z dwoma daniami zamiast jednego. — To ostatnie stało w jawnej sprzeczności z florenckim prawem przeciwko zbytkowi, ale żaden z budowniczych nie zaprotestował.

Lodovico, który pamiętał o swojej deklaracji, że jest bardzo głodny, pierwszy oddalił się w oświetlony lampami półmrok pałacu.

Ostatecznie z całej czwórki w pokoju został tylko Gasparo.

— Chciałbym porozmawiać z patronem o tej umowie. Ruggiero zdumiał się lekko.

— Czy masz do niej jakieś zastrzeżenia? Teraz, gdy już ją podpisałeś?

— Nie. Chodzi o sposób jej realizacji. Chcę wiedzieć, jak to wszystko będzie przebiegało i kiedy zajmiemy się organizowaniem sposobu wypłat.

— Rozumiem — odparł Ruggiero. — Będzie z powrotem za jakąś godzinę i jeśli chcesz, możesz na niego zaczekać. Albo, jeśli wolisz, może poświęcić ci czas jutro rano.

Gasparo przypomniał sobie o czekającym na dole posiłku.

— Rano będzie akurat — powiedział i już miał odejść, ale coś jeszcze sobie przypomniał. — Gdyby wrócił, zanim skończymy obiad, to porozmawiałbym z nim dzisiaj. — Sięgnął po worek i zaczął chować do niego narzędzia, mrucząc pod nosem jakąś melodię. Nie zwracał uwagi na zarządcę i alchemika, aż w końcu odezwał się sam do siebie: — Cały dzień za mną chodzi. Wam też się to zdarza, że uczepi się człowieka jakaś melodia i nie chce odpuścić? — Pokręcił głową, ułożył zawiązany worek obok pił i wyszedł, podśpiewując.

Ruggiero uśmiechnął się szeroko i spojrzał na Joacima Branco.

— Poznałeś tę melodię? Portugalczyk zmarszczył brwi.

— Owszem. Ci przekłenci Florentyńscy nie mają za grosz szacunku wobec geniuszu. Podśpiewywać wersy z Dantego, jakby to był kuplet — dodał z potępieniem w głosie i schował dokument do szerokiego rękawa houppelande.

— Poczujesz się urażony? — spytał Ruggiero, kręcąc głową.

— Ja jakoś nie. Może mam dziwne podejście, ale podobało mi się.

— Zaprosił alchemika gestem, aby pierwszy wyszedł z pokoju.

— Możesz się śmiać, ale dla tych ludzi to typowe — powiedział Branco i zaraz zmienił temat. — Wozy dojechały. Kazałem im poczekać w stajni.

— Dobrze. — Zeszli po schodach i Ruggiero rozejrzał się wkoło. —

Największa ze skrzyń powinna trafić do drugiego ukrytego pokoju. Pozostałe poczekają, aż mój pan zdecyduje.

Wysoki alchemik ruszył dalej bez słowa, ale gdy przechodzili przez dziedziniec, coś jeszcze przyszło mu do głowy.

— Studiowałem Wielkie Dzieło przez całe życie, ale nigdy nie spotkałem się z adeptem sztuki, który sypiałby na posłaniu usypanym z ziemi, nosiłby ją w podeszwach butów albo dodawał do budulców w swoim domu. Czy to jest uzasadnione?

— To kwestia dyscypliny, którą sam sobie narzucił — wyjaśnił spokojnie Ruggiero. — Mój pan pragnie zawsze pamiętać o ziemi, z której się zrodził. Ciało jest prochem — przypomniał Joacimowi. — To ziemia nas tworzy, ziemia utrzymuje nas przy życiu.

— Rozumiem — rzucił Branco. — Ale Wielkie Dzieło winno wyjść ponad sprawy ziemskie.

— Mój pan tego nie kwestionuje. — Ruggiero zatrzymał się, aby przepuścić alchemika w wąskim przejściu prowadzącym z dziedzińca do stajni.

— Wiadomo, że zna swoje ograniczenia i nie wbił się w pychę — przyznał Branco, łagodząc podejście. — Ma surowe zwyczaje, ale intencje bez wątpienia dobre.

— Powiem mu, że tak myślisz — mruknął Ruggiero i wszedł do stajni.

W środku stały trzy ciężko załadowane wozy, każdy z dwoma woźnicami w weneckich strojach.

— Miło cię widzieć, Cristofu — powiedział Ruggiero do jeźdźca, który stanowił ich eskortę. — Jak podróż?

— Bez większych przygód — odparł spokojnie Cristofu, obracając się w siodle. — Były dwie próby napaści. Obroniliśmy się, oczywiście, ale muszę przyznać, że bandy rabusiów robią się coraz bardziej niebezpieczne. Sforzowie powinni lepiej zadbać o bezpieczeństwo

podróżnych. Za rządów Viscontiego było o wiele lepiej. — Wzruszył ramionami. — Atanor jest na drugim wozie, razem z klejnotami. Dostaniemy jeszcze jakiś obiad?

— Tak. Możesz zabrać woźniców do kuchni. Kucharz nazywa się Amadeo i was oczekuje.

Cristoforo skinął na swoich ludzi.

— Idziemy jeść — rzucił lakonicznie.

Ruggiero spojrział na ruszających się żywo woźniców i wyjaśnił Cristoforowi, jak trafić do kuchni.

Gdy zostali już sami, Branco zaczął inspekcję. Przechodził od wozu do wozu, unosił pokrywy skrzyń i badał ich zawartość. Zwłaszcza atanor wprowadził go w zachwyt.

— Nigdy nie widziałem lepiej wykonanego. Bez wątplenia stworzymy w nim jajo. Rakoczy zna się na rzeczy.

— Cieszę się, że tak uważasz — powiedział Ruggiero z lekkim sarkazmem, który umknął uwagi Branco.

— Musimy zacząć podczas następnego nowiu. Niedobrze byłoby czekać dłużej. — Dotknął z uczuciem cegieł atanora. — Wspaniały.

Ruggiero nie podejmował dyskusji z alchemikiem. Gdy wozacy wrócili z obiadu, zarządził, aby jako pierwszą ruszyć wielką skrzynię wypełnioną ziemią.

— Ale atanor... — zaprotestował Joacim Branco.

— Mój pan wyraźnie określił kolejność rozładunku — stwierdził spokojnie Ruggiero. — Największa skrzynia ma zostać jako pierwsza przeniesiona do jego pokoju. Zamierzam wypełnić jego instrukcje.

Joacim Branco zawahał się, ale zszedł z wozu z piecem alchemicznym. Z kiepsko skrywanym zniecierpliwieniem pomógł wozakom zataścić skrzynię do pokoju Rakoczego na drugiej kondygnacji Palazzo San Germano.

List hrabiego Giovanniego Pico della Mirandoli do francuskiego uczonego Jeana-Denisa Gastona de Sangazure'a:

*Do wybitnego klasycysty i uczonego, Gastona de Sangazure 'a, od Pico della Mirandoli, z platońskimi pozdrowieniami i prośbą o przypomnienie jego skromnej osoby znakomitym przyjaciółom z Universita di Parigi.*

*Dawno już do siebie nie pisaliśmy, przyjacielu, i wiem, że po części winne jest temu moje lenistwo. Mam nadzieję, że trochę to teraz naprawię i zyskam tym samym w Twoich oczach.*

*We Florencji po staremu, co znaczy mniej więcej tyle, że miasto nieustannie się zmienia. Są plany poszerzenia kilku ulic, co jednak oznacza wyburzenia, czemu Signoria jest niechętna. Szykuje się też nowy most, który wszyscy chcą projektować i budować. Stanie na zachód od obecnych i położono już pod niego część fundamentów, jednak ukończenie potrwa trochę, głównie z powodu burzliwych dyskusji.*

*Laurenzo sprowadził szereg nowych manuskryptów z Francji i złączył swojej kuzynce, Demetrice Vołandrai, sporządzenie przekładów. Gdybyś tu był, sam pewnie chętnie byś się tym zajął, ale wiem, że nawet biblioteka Laurenza nie skłoni Cię do ruszenia się z Paryża.*

*Szkoda, że nie byłeś z nami w zeszłym tygodniu. To były bardzo miłe dni łagodnego początku jesieni. We środę Laurenzo postanowił zbadać pewne starożytne ruiny na wzgórzu ponad Florencją. Fascynują go ślady dawnych cywilizacji i chciał poszukać jakichś artefaktów. Agnoła nie było z nami, bowiem na ponad miesiąc wyjechał do Ferrary. Był jednak Ficino, ja byłem i ten alchemik z zagranicy, Rakoczy. Całą czwórką wjechaliśmy na wzgórze.*

*Trafiliśmy tam na rozpadające się mury i starą drogę z trawą wyrastającą między płytami. Potem jednak, za garbem wzgórza i daleko od drogi, ujrzelśmy budynek, który chociaż bez dachu, wyglądał na nienaruszony i całkiem dobrze zachowany.*



*Możesz sobie wyobrazić radość Laurenza. Zeskoczył z konia niemal wprost na ruinę, zanim reszta zorientowała się, co właściwie mamy przed sobą. Rakoczy ruszył zaraz za nim i powstrzymał Laurenza przed wejściem do środka, przypominając, że stare kamienie bywają niebezpieczne. Laurenzo podziękował mu za troskę, ale i tak postanowił zbadać dom, ufając, że Kosma i Damian, od wieków patroni Florencji, i tym razem go nie zawiodą.*

*Budynek okazał się osobliwy i pełen przedmiotów), których nigdy dotąd nie widzieliśmy. Rakoczy zasugerował, że może chodzić o wotywny czy inaczej religijne obiekty, co wydało się nawet prawdopodobne, bowiem całość przypominała świątynię.*

*Po jakiejś godzinie, gdy szykowaliśmy się już do odjazdu, zza wzgórza wybiegł nagle bardzo stary mężczyzna, brudny strasznie i pomarszczony, z daleka już wykrzykując pod naszym adresem groźby i wymachując ze złości rękami, co było aż zabawne w swej bezradności. Gdy do nas dotarł, był aż czerwony na twarzy z wściekłości. Nazwał nas świętokradcami, profanatorami i bezbożnymi głupcami, którzy nie zastanawiając się nawet nad tym, co czynią, weszli nieproszeni do świątyni prawiecznej mocy. Nie rozumiałem połowy z jego słów, on jednak okazał się na tyle poruszony, że uderzył Laurenza niewielką lagą, którą nosił chyba ze sobą. Oczywiście nie mógł zrobić mu krzywdy, ale Rakoczy bardzo się tym przejął. Wjechał konno między Medyceusza a starca i całkiem spokojnie kazał mu natychmiast przestać.*

*Nie uwierzyłybyś, jaka zmiana zaszła od razu w starcu. W jednej chwili kipiący złością niczym Mars, w drugiej zgarbił się i pobladł na twarzy jak kreda. Zaczął błagać Rakoczego o wybaczenie i obiecywać, że będzie lepiej mu służył. Przeprosił za stan świątyni i powiedział, że tak mało Rasnów już zostało, że nie miał kto jej utrzymywać i została porzucona.*

*Marsiño Ficino i ja omal nie spadliśmy z siodła ze śmiechu. Laurenzo powiedział, że nieuprzejmie jest śmiać się z szaleńca, sam jednak też był*

rozbawiony. Tylko Rakoczy potraktował rzecz poważnie. Trzeba Ci wiedzieć, że starzec rzucił się przed nim na ziemię w geście prostracji i nazywał go głośno nieśmiertelnym władcą, prosząc o wybaczenie, że nie ma krwi na ołtarzu.

Z początku Rakoczy próbował przemówić mu do rozumu, ale gdy tamten głupiec spróbował poderżnąć sobie gardło, aby ofiarować swą krew Rakoczemu, obcokrajowiec nie wytrzymał i zeskoczywszy z siodła, siłą powstrzymał starca, powiadając, że nie może przyjąć takiej ofiary. Udało mu się uspokoić starego (mapo temu smykałkę, chociaż brakuje mu wzrostu, ubiera się skromnie niczym mnich), potem zaś ponaglił nas do jak najszybszego odjazdu, zanim starzec znowu się rozemocjonuje.

Laurenzo pochwalił Rakoczego za jego starania, cudzoziemiec zaś zasugerował, że może siostrzyczki z Sacro Infante mogłyby zająć się starcem. Jak wiesz, celestynki często biorą szaleńców pod opiekę. Laurenzo zgodził się napisać w tej sprawie do przełożonej Sacro Infante, chociaż nie wiadomo, czy to coś da.

W przyszłym miesiącu jadę do Rzymu i pozostanę tam, aż zostanę wysłuchany. Sądzę, że trochę to potrwa. Jeśli chciałbyś, abym coś Ci stamtąd przywiózł, jak książki jakieś albo wieści, napisz o tym, proszę. Załączam listę książek, na których mi zależy. Gdybyś trafił na którąś z nich, kup ją dla mnie, proszę, a zwrócę Ci pieniądze albo odpłacę przysługą. Najszybciej znajdzie mnie Ust wysłany pod adresem cavaliere Benedetto Gian-Rocco Fredda da Moderna w pobliżu Castel Sant' Angelo.

Nie bierz ze mnie wzoru, Jean-Denisie, tylko pisz do mnie częściej niż ja. Świadom jestem mojej przewiny, ale może Twój świetlany przykład zmieni moje nawyki i skłoni do usilniejszych starań, chociaż trudno mi cokolwiek obiecać. Jednak mimo mego milczenia możesz być pewnym mej serdecznej przyjaźni i głębokiego szacunku.

Giovanni Pico della Mirandola We Florencji, 1 października 1491 roku

*PS Jutro przypada święto Aniołów Stróżów i szykuje się wielka uroczystość, włącznie z gonitwą palio, która bez wątpienia mocno przydaje pracy naszym aniołom stróżującym. W zeszłym roku wyścig pochłonął życie dwóch ludzi.*

## . 6 .

Niebo roz pogodziło się po wcześniejszym deszczu i mieszkańcy Florencji szykowali się do wielkiej gonitwy. Zajęli już miejsca w oknach, loggiach i osłoniętych wejściach budynków wzdłuż całej trasy, którą pokonać miały dwa tuziny przystrojonych i pozbawionych siodeł wierzchowców z powszechnie szanowanymi jeźdźcami. Nawet braciszkanie mniejsi zebrali się w bramie kościoła Wszystkich Świętych, ledwo kryjąc uśmiechnięte twarze pod brunatnymi kapturami.

Laurenzo de Medici czekał na końcu trasy i przeklinał zimno. Knykcie miał bardziej opuchnięte niż zwykle i chłód przyprawiał go o dodatkowe bóle.

— Bardzo się ucieszę, gdy zechcesz w końcu przejąć to wszystko — powiedział do swojego syna. — Może w przyszłym roku. Wtedy będę miał więcej czasu, aby zająć się poezją i biblioteką.

Piero wzruszył ramionami.

— Nie lubię tych wyścigów — rzucił przed siebie. — Nie przyszedłbym, gdybyś nie nalegał.

Laurenzo opanował złość.

— Ja też ich nie lubię. Ale to jest Florencja, a my jesteśmy Florentyńczykami. Pamiętaj, że Florencja to republika i że Signoria ma swoje wymagania.

Piero parsknął śmiechem.

— Przecież to wszystko figuranci. Robią, co im powiesz.

— Może. Jednak gdybym zaczął działać na szkodę miasta, zostałbym niezwłocznie wygnany. Nie miej złudzeń w tej materii, synu. Rządzimy, ponieważ jesteśmy tolerowani.

— Jeśli nie czujesz się pewnie, zostań wielkim księciem z nadania

Francji. Już ci to proponowano. Nadal możesz skorzystać.

Laurenzo spojrział na pierwородnego w taki sposób, jakby dopiero teraz zrozumiał, co drzemie w młodzieńcu.

— Nie pragnę być nikim więcej niż obywatelem Florencji. Sam pomysł zostania popychadłem króla Francji napawa mnie obrzydzeniem. — Raz jeszcze przyjrzał się pięknemu profilowi Piera i zmarszczył brwi.

— Pewnie i masz rację, że to byłoby głupsze rozwiązanie niż obecne — powiedział Piero i odwrócił głowę, jako że właśnie dobiegł ich z Ponte Vecchio odgłos wystrzału z działa i widzowie podnieśli wrzawę. — Zaczęło się!

— Sta bene — mruknął fatalistycznie nastawiony Laurenzo i zmusił się do szerokiego uśmiechu pod adresem Marsilia Ficina.

Znajdujący się po drugiej stronie Piazza del Duomo Marsilio odwzajemnił uśmiech i pomachał ręką. Wychylał się z okna na piętrze i nawet z tej odległości widział, że Laurenzo sam nie wie, co zrobić z obolałymi dłońmi. Zmarszczył czoło, ale zaraz spojrział na wąską ulicę i nastawił ucha na coraz głośniejsze krzyki gawiedzi, które sygnalizowały przemieszczanie się gonitwy. Konie musiały przeciąć już Ponte Vecchio i skręcały zapewne z Via por Santa Maria w Via della Terme. Ten zdradziecki zakręt w lewo często powodował ofiary. Sądząc po nagłym nasileniu krzyków, i tym razem było chyba podobnie.

Trzech jeźdźców leżało na ziemi, jeden ze złamaną nogą. Dwa konie zostały ranne, trzeci pozbierał się jakoś i pobiegł w ślad za główną grupą. Nikt nie próbował go zatrzymać, bo to konie wygrywały wyścig, z jeźdźcem czy bez niego.

Tam, gdzie Via della Terme przecinała Via de Tornabuoni, czekał kolejny ostry zakręt w Via del Parione. Pięć wierzchowców zderzyło się, z czego dwa upadły ze splątanymi nogami. Jeden z jeźdźców

odszedł na bok z twarzą zalaną krwią od końskiego kopnięcia. Dotarł na skraj ulicy, gdzie nogi go zawiodły i padł na ziemię. Tłum krzyknął zaniepokojony i ledwie konie przebiegły, odsunięto bariery zamykające sąsiednie ulice i dwaj karmelitanie odciągnęli rannego. Chwilę później nadeszło kilku rzeźników, którzy mieli zająć się zwierzętami.

Na Piazza del Ponte konie rozproszyły się. Dwóch jeźdźców wdało się w szamotaninę, próbując nawzajem zepchnąć się z grzbietów wierzchowców. W zamieszaniu jeden z nich zleciał ostatecznie z konia, drugi zaś objął mocno rękami końską szyję, aby nie spaść.

Trochę dalej trasa zwężała się raptownie. Przy wjeździe na Borgo Ognissanti wydawało się, że konie nie dadzą rady i za chwilę wyrośnie tam wielki stos wierzgających kopyt i powalonych ludzi. Zdarzało się tak wcześniej i istniało ryzyko, że tym razem będzie podobnie, jednak w ostatniej chwili jeździec cechu tkaczy jedwabiu wstrzymał wierzchowca na tyle, że cała grupa wpadła między domy bez wypadku.

Bezpieczni w oknach na piętrze widzowie zagrzewali swoich faworytów do większego wysiłku i buczeli pogardliwie na innych. Niektórzy rzucali kwiaty i powiewali proporcami. Huk uderzeń podkutych kopyt odbijał się od kamiennych murów i całą Borgo Ognissanti wypełniła wrzawa przypominająca ogłuszający szum morskiego przyboju.

Ulica biegła prosto i jeźdźcy zaczęli szukać sposobu, aby wysforować się przed grupę. Jeden z nich został przyparty do ściany i krzyknął nagle, gdy jego kolano doznało miażdżącego spotkania z wystającą żelazną kratą. Koń stanął dęba i zrzucił mężczyznę na bruk.

Kolejny wierzchowiec próbował ominąć rannego i wpadł na dwa inne konie. Spłoszone zwierzęta przyspieszyły, aby jak najprędzej wydostać się z wąskiej pułapki. Prowadzący ciemny kasztan tak się

rozpędził, że zaraz po wydostaniu się z gęstwy zrzucił jeźdźca. Ten próbował uciec z trasy, ale kopnięty przez konia należącego do cechu stolarzy zachwiał się i upadł.

Wszyscy wkoło krzyknęli, gdy kolejne wierzchowce przetoczyły się nad nim, ratując nieszczęśnika. Trzem udało się wydostać i wyścig pognął dalej, zostawiając za sobą dwa uszkodzone konie, jednego rannego człowieka i jednego zabitego.

Bez przeszkód przemknęli przez Piazza Ognissanti i znowu trafili w wąską uliczkę Borgo. Cztery konie wpadły na mur, nie wyhamowawszy w porę impetu na zakręcie. Cztery inne zderzyły się z drewnianą przegrodą, omal jej nie przewracając.

Przerażeni krwawymi zdarzeniami bernardyni wybiegli z bramy kościoła, aby zająć się poobijanymi jeźdźcami.

Wyścig rozciągnął się, z najsilniejszymi końmi i najlepszymi jeźdźcami na czele. Ostry zakręt w Via degli Orti Oricellari przysporzył tylko jednej ofiary, gdy rozpędzony koń zbyt gwałtownie próbował zmienić kierunek i pośliznął się na bruku. Inne wierzchowce przeskoczyły go i wznowiły galop. Teraz jednak palio podzieliła się na dwie grupy, przy czym druga gnała jakieś sześć długości za pierwszą.

Skręt w Via della Scala też nie należał do łatwych i aż trzy konie upadły w tym miejscu, jednak mało złego z tego wynikło, bowiem dostatek miejsca wkoło pozwolił pozostałym ominąć pechowców.

Przed uczestnikami gonitwy rysował się już wyniosły masyw kościoła Santa Maria Novella, słyhać było wiwaty zgromadzonego na placu tłumu. Pierwsza grupa sześciu koni przemknęła obok drewnianych barier i skręciła z wysiłkiem w Via del Moro.

Francesco Rakoczy nie obserwował wyścigu. Przestał gustować w podobnych widowiskach jeszcze w czasach krwawych rzymskich igrzysk. Odetchnął, gdy konie wreszcie przebiegły, i szybko wyszedł z domu przyjaciela, alchemika Federiga Cossy, i skręcił w Via del Moro.

Krzyki, które rozległy się wkoło, ostrzegły go, że coś jest nie tak. Chwilę później ujrzał gnającą wprost na niego drugą grupę jeźdźców. Boki koni mokre były od potu, a dwa z nich biegły same. W oczach ludzi, którzy dosiadali pozostałe, malowało się żywe przerażenie.

Rakoczy spróbował pchnąć najbliższe drzwi, były jednak solidnie zamknięte, a kołatanie musiałyby zgiąć w ogólnej wrzawie. Przebiegł zatem kilka kroków i podskoczył do żelaznej kraty najbliższego okna.

Konie były już blisko i Rakoczy nie marnował czasu, aby się oglądać. Starczało mu, że je słyszał. Wspiął się czym prędzej po prętach, ale nie dość wysoko, aby umknąć przed rozszalałymi zwierzętami.

— Signor! — dobiegło go z góry i ujrzał wyciągnięte w jego stronę ręce.

Próbował wyciągnąć się, aby je uchwycić, jednak w ostatniej chwili, dotykając już palców ludzi, którzy próbowali go ratować, stracił równowagę, odchylił się do tyłu i spadł na ulicę, prosto pod nadciągające wierzchowce.

Usłyszał jeszcze głośny jęk tłumu i zaraz ujrzał nad sobą ciężkie kopyta. Skulił się, jak mógł najbardziej, i spróbował odtoczyć się im z drogi. Bardziej poczuł, niż zobaczył jednego z wierzchowców, który stanął nad nim dęba. Był pozbawiony jeźdźca i bardzo przerażony.

Ludzie krzyczeli, ile sił w płucach, ktoś próbował wdrapać się na drewnianą przegrodę. Koń rżał głośno, starając się ze wszystkich sił stratować człowieka w czerni.

Reszta uczestników gonitwy była już daleko. Rakoczy zdołał w końcu odsunąć się na bok i ostrożnie się wyprostował.

Zaraz podniosła się niewiarygodna wrzawa. Krzyczano, aby się nie ruszał, że Bogu dziękować, iż nic mu się nie stało, i aby jak najszybciej uciekał z uliczki. Przyłożył otwarte dłonie do uszu, dając



znać, że nic nie słyszy, ale tłum się nie uciszył. Konsternacja nie minęła, bowiem koń, który próbował go zabić, wrócił i krążył nerwowo wkoło Rakoczego.

San Germano uniósł się na jedno kolano. Powoli, aby nie sprowokować dodatkowo przerażonego zwierzęcia, przesunął się na bok. Koń nie ustępował, nerwowo poruszając jedną nogą. Gdy kształtny łeb rumaka znalazł się dość blisko, Rakoczy dmuchnął mu delikatnie w nozdrza.

— Proszę, widzisz? — powiedział spokojnie, mając nadzieję, że jego cichy głos przedrze się przez wrzawę. — Jestem przyjacielem. Nie skrzywdzę cię. Nie ma się czego bać. — Odczekał chwilę, ignorując kierowane do niego okrzyki. Potem, gdy był już pewien, że koń nie wierzgnie, wstał i zaczął głaskać zwierzę po karku, przemawiając kojąco.

Widząc tak zaskakujący rozwój sytuacji, tłum przeszedł do wiwatów. Rakoczy uniósł głowę i ujrzał ze zdumieniem liczne dłonie wymachujące chusteczkami. Niektórzy obrzucali go nawet kwiatami.

Nie przestając głaskać wierzchowca, skłonił się lekko, co ludzie nagrodzili kolejnymi okrzykami uwielbienia.

— Proszę, jaka nieoczekiwana sława nas spotkała — powiedział do konia i do siebie.

Nikt wkoło nie dosłyszał jego sardonicznej uwagi. Rakoczy słuchał chwilę, uśmiechając się ironicznie, w końcu skłonił się powtórnie, wprawnym ruchem chwycił w garść grzywę rumaka i wskoczył mu na grzbiet.

W rosnącej wrzawie przejechał uliczką i pomachawszy dłonią, skręcił w wiodącą do mety gonitwy Via de Cerretani. Przybył do mety długo po ostatnim uczestniku palio. Widzowie ze wszystkich sił napierali na barierki, podziwiając gniadą klacz, która zwyciężyła w tym roku.

Gdy Rakoczy pojawił się przy il Duomo i wzniesionym tam podwyższeniu, ludzie umilkli i Piazza del Duomo wypełniła nabrzmią szeptami cisza.

Poważny Lorenzo de Medici oderwał wzrok od ceremonii wręczenia nagrody i zaraz się rozchmurzył.

— Więc jednak nie zginąłeś. Dobiegły mnie takie słuchy.

— Pozory mylą — powiedział Rakoczy, zatrzymując się przy podwyższeniu.

— To nie było mądre, aby wychodzić na Via del Moro przed zakończeniem wyścigu.

— Owszem, ale nie wiedziałem, że jeszcze się nie skończył. — Poklepał klacz i zeskoczył na ziemię. — Swoją drogą, niezły koń. Byłem miłe zaskoczony.

Laurenzo aż się zaśmiał.

— Zdziwiasz mnie, jak zawsze, caro stragnero. Pozwól, że pogratuluję ci szczęśliwego ocalenia.

— Mam wrażenie, że nie wszystkim się to dzisiaj udało — powiedział Rakoczy, wchodząc po schodach na górę.

Laurenzo momentalnie spoważniał.

— Owszem. Mamy cztery ofiary śmiertelne. Nowy rekord, niestety. Nawet Lionello jest ranny — powiedział i wskazał na jeźdźca, który stał obok. — Niemniej dotarł do mety.

Lionello ścisnął wykręconą pod nienaturalnym kątem rękę, na jego twarzy malował się wyraz bólu. Mimo to spróbował się uśmiechnąć.

— Co ci jest? — spytał Rakoczy.

— Nic — odparł Lionello, mierząc eleganckiego cudzoziemca nieufnym spojrzeniem. — Szybko dojdę do siebie.

— Nie wątpię — rzucił oschle Rakoczy. — Lepiej by jednak było, gdybyś pozwolił mi obejrzeć to ramię. Jeśli trafiłeś na metal i zaciąłeś się, a sądzę, że tak właśnie było, wymagasz leczenia. Mam wyciąg z

szałwii, który złagodzi ból i zapobiegnie zapaleniu.

Piero mruknął coś pod nosem, ale Lorenzo spojrzął spokojnie w ciemne oczy Rakoczego.

— Dziękuję ci w imieniu Florencji.

San Germano machnął ręką zbywająco i spojrzął ponownie na Lionella.

— Przyjdź do mnie przed ucztą, a opatrzę twoje rany. Nie obawiaj się. Jestem tylko alchemikiem i nie param się czarną magią. Jeśli chcesz, możesz zabrać jakiegoś przyjaciela do towarzystwa. — Wyraźnie rozbawiło go zaniepokojenie jeźdźca. — Uwierz mi, jestem znacznie mniej groźny niż ta rana.

Lionello oblał się rumieńcem i wymamrotał, że z chęcią odpłaci się Rakoczemu za taki gest.

Członkowie zwycięskiego cechu zaczęli oprowadzać swoją klacz i wiwaty wybuchły na nowo. Rozdzwoniły się radośnie dzwony Santa Maria del Fiore, odezwały się trąby zwiastujące początek parady, która miała przejść kilka przecznic na Piazza della Signoria.

Laurenzo nie od razu dołączył do pochodu. Najpierw zwrócił się jeszcze do Rakoczego:

— Cieszę się, że jesteś cały i zdrowy, caro stragnero. Muszę jednak przyznać, że jestem też mocno zdumiony.

— Zdumiony? Czym? — spytał niewinnie Rakoczy.

— Tym, że na twoich plecach widnieją trzy ślady końskich podków, Francesco. Całe, jakbyś naprawdę mocno oberwał. Mimo to uszedłeś cały, co oczywiście cieszy mnie niezależnie od wszystkiego.

— Grazie, Magnifico. Wykazałem się beztrąską — odparł Rakoczy. Musiał przyznać, że cała ta brawura była całkiem niepotrzebna.

— Sta bene — rzucił Laurenzo i ostrożnie zszedł po schodkach.

Skrzywiony Piero podążył za nim.

— Jak długo to potrwa? — spytał cicho. — Chcę wybrać się jeszcze

dzisiaj na polowanie.

Laurenzo odwrócił się momentalnie.

— Milcz! Będziesz musiał odłożyć polowanie. To jest ważniejsze. Jesteś Florentyńczykiem i Medyceuszem, mój synu. Gdy ktoś jest Medyceuszem we Florencji, musi umieć odkładać swoje sprawy na później. Młodszy od ciebie to rozumieją.

Piero poczerwieniał ze złości.

— Wiem. Nim skończyłem dwadzieścia lat, usłyszałem wszystko o wymogach dyplomacji. Ale to nie w porządku, że oczekujesz, iż będę taki jak ty.

Laurenzo odwrócił głowę i spojrzał na wieże Florencji.

— Zapewne nie.

Potem ruszył z paradą, podczas gdy Rakoczy pozostał na podwyższeniu. Jego spojrzenie było pełne żalu.

List rzymianki piszącej potoczną łaciną i podpisującej się imieniem Olivia do Francesca Rakoczego da San Germano:

*Do Rakoczego Sanit Germain Franciscusa we Florencji, czy jakkolwiek to obozowisko nazywa się w obecnych czasach, od Olivii z wyrazami nieustającej przyjaźni.*

*Słyszałam od naszego przyjaciela Niklosa Auliriosa, że osiedliłeś się tymczasowo nad Arno, na jakiś czas porzucając swój dom w Wenecji. Bez wątpienia wiesz, co robisz, ale mógłbyś zastanowić się nad powrotem do Rzymu, miast marnować czas we Florencji, ponieważ Rzym to jedyny rzymski obóz, który próbuje chociaż zostać miastem. Nie musisz przypominać mi o florenckich artystach, poetach i muzykach, bowiem Medyceusz nieustannie przysyła ich pojedynczo albo w grupach ku uciechu papieża.*

*Nie poznałbyś teraz Rzymu, mój przyjacielu. Świątynia Saturna, którą*

*tak lubiłeś odwiedzać, została odnowiona i przemieniona w imponujący kościół. Prawie nikt nie pamięta jej przeszłości, a jeśli nawet, wszyscy to ignorują. Podobnie jak cesarzowa Teodora swoją przeszłość, która była znacznie gorsza niż wszystko, co mogło spotkać pogańską świątynię.*

*Amfiteatr Flawiuszów zwany jest teraz Koloseum. Zasmuci Cię może, że uległ częściowemu zniszczeniu. Pożary i samo oblężenie mocno oszpeciły miasto, ale i tak nie chciałabym mieszkać nigdzie indziej. Próbowałam przez jakiś czas zadomowić się w Aleksandrii, kilka lat mieszkałam też w Atenach, ale Rzym to Rzym. To jest moje rodzinne miejsce.*

*Czy pamiętasz pierwszy raz, gdy się spotkaliśmy? Jak ja się wtedy Ciebie bałam. Chciałeś wówczas, aby się Ciebie bano, ale Twoimi darami były tak naprawdę ciepło i życzliwość. Krótco później powiedziałaś, że nie chcesz zawdzięczać swojego przetrwania strachowi. Poczuleś, że spełnione pragnienie daje satysfakcję, której wcześniej nie znałeś. Pamiętam ciągle Twoją twarz, tak pełną lęku i poczucia samotności. Czy jesteś teraz równie samotny jak wtedy? Nie zadręczaj się, Sanct' Germain Franciscus. Sam uczyłeś mnie, że świat jest piękny i pełen dobra i jak długo nie umrzesz prawdziwą śmiercią, będzie nawoływał cię głosem, którego nie wolno ignorować.*

*Ale za bardzo zapędziłam się w filozofię. Chyba się starzeję. Nie po to piszę do Ciebie, aby wspominać dawne czasy, ale by ostrzec Cię przed skutkami tego, co ostatnio dzieje się w Rzymie.*

*Jak zapewne wspominałam Ci już jakiś czas temu, ponownie dołączyłam do dworu papieża. Wiem przez to z pierwszej ręki, że kardynałowie znowu bawią się w politykę. Przede wszystkim Rodrigo Borja y Lara rośnie w siłę. Spotkałam go i przekonałam się, że to bystry człowiek. Uważaj na niego. Ponadto za wszelką cenę unikaj jego syna Cesarea. To prawdziwy potwór, mój przyjacielu. Przeraza nawet własną siostrę (głupią i tchórzliwą niewiastę, ale to już inna sprawa), a plotki głoszą, że dzieli z nią łóżę. Jeśli tak jest, bardzo jej współczuję.*

*Jak sam wiesz, często przychodzi mi do głowy, że nasza pozycja jest niesprawiedliwie lepsza niż Wasza. Kobiety naszego rodzaju ciągle mogą zaznawać wszystkich rozkoszy, które Wam, mężczyznom, zostały odmówione. Zastanawiam się, czy starcza Ci to, co możesz osiągnąć, czy brakuje Ci raczej tego, co utraciłeś?*

*Znowu wpadam w meandry filozofii. Ale mniejsza z tym. Nie będę Cię więcej kłopotowała niezręcznymi pytaniami.*

*Przyślij mi słowo, gdy będziesz miał chwilę, jak tam u Ciebie. Często się nad tym zastanawiam. Chciałabym Cię znowu zobaczyć. Nawet po to, aby toczyć z tobą filozoficzne dysputy.*

*Uważaj na siebie, mój przyjacielu. Wiem, że zawsze jesteś ostrożny, ale czasem obawiam się, że ta troska czyni Cię w pewien sposób podatnym na ciosy. Straciłabym część własnej duszy, gdybyś naprawdę odszedł.*

*Jak zawsze z miłością,*

*Olivia*

*19 października 1491 roku wedle chrześcijańskiego kalendarza*

## . 7 .

Za wysokimi oknami niebo płakało nad Florencją, wschodni wiatr gnał nad miastem ciężkie i ciemne chmury. W rozległym wnętrzu Chiesa di San Marco panowała pełna napięcia cisza. Wszystkie ławy były zajęte i ludzie stali nawet pod ścianami. Nikt się nie odzywał, a mdłe światło rozmywało ich rysy, przez co wyglądali jak posągi stworzone przez tego samego rzeźbiarza. W powietrzu unosił się zapach kadzidła, a odległy śpiew zwiastował coraz bliższą obecność braci świętego Dominika.

Zebrani poruszyli się niecierpliwie, dał się słyszeć szelest szat. Ponurą procesję przywitały wytlumione szepty. Bracia mieli na sobie czarne habity z kapturami, tak że biel ich zwykłych strojów widać było jedynie przy nadgarstkach i tuż powyżej sandałów. Za tłumne zgromadzenie Florentyńczyków odpowiedzialny był tylko jeden z nich. Nazywał się Girolamo Savonarola.

Nieduże, stare organy odezwały się, ledwo zakonnicy przerwali śpiew. Zabrzmiały poważnie, niemal fatalistycznie, jakby współbrzmieć chciały z deszczem, przypominając obecnym śmiertelnikom, jak krótkie jest życie, jak łatwo w nim pobłądzić i jak straszna może być wieczność spędzona pośród ogni piekielnych.

Gdyby zebrani mogli wybierać, darowaliby sobie mszę i przyszli jedynie na kazanie. Na to jednak bracia nie pozwalali, trzeba było więc klęczeć i brać udział w ceremonii, modląc się w duchu, aby okazała się możliwie krótka.

Pora kazania nadeszła w chwili, gdy tłum zaczynał już zdradzać zniecierpliwienie. Ludzie uspokoili się i nadstawili uszu.

Mnich, który wszedł na kazalnicę, był zdumiewająco niski, niewiele wyższy niż dwunastoletnie dziecko. Częste posty uczyniły go

chudym, twarz miał surową z ostro zarysowanym, wielkim i haczykowatym nosem oraz grubymi wargami. Nie było w nim nic atrakcyjnego, przynajmniej do chwili, gdy zmierzył zebranych spojrzeniem zimnych, zielonych oczu.

— Powiadają — zaczął niskim, mocnym głosem — że kiedy Hiob cierpiał dla zbawienia swej duszy, Bóg nagroził go potem dostatkiem. Ukazał mu się w całej chwale i Hiob pojął, jakim jest prochem, stając się od tamtego dnia świętym. — Spojrzał z góry na uniesione oblicza, jakby szukał kogoś gotowego zaprzeczyć jego słowom.

— Aby zrozumieć naukę, którą przekazała mu ręka Boża, Hiob musiał stracić wszystko: żonę, dzieci, ziemię, pieniądze, dom i zdrowie. Niczego nie otrzymał w zamian poza wiarą. I za wiarę został nagrodzony, bowiem ujrzał Boga w całym Jego majestacie. Skłonił się przed Wszchemogącym, tak jak winni to czynić wszyscy ludzie, o ile kołacze się w nich choć szczypta pobożności. Wszyscy powinniśmy paść na kolana, wyznając naszą skrajną bezwartościowość i niewyrażalne nasze zepsucie. Winniśmy błagać Boga o wybaczenie naszych grzechów, których największym jest samo odwoływanie się do Jego miłosierdzia. — Przerwał na chwilę, a gdy znowu się odezwał, brzmiał o ton niżej i donośniej, niczym dzwon. — Praktykujemy grzech złości i nie wyrzekamy się go. Są wśród was i tacy, którzy chętnie wraziliby sztylet w serce sąsiada i usprawiedliwiali swój postępek honorem. Czymże jesteście z waszym honorem wobec chwały Bożej?

Zebrani odpowiedzieli westchnieniem, a niektóre kobiety zacisnęły mocniej złożone na podołkach dłonie.

— Każdego dnia odkładacie dobre i miłosierne czyny na przyszłość, powtarzając sobie, że będzie jeszcze na nie czas albo że lepiej, aby inni się tym zajmowali, bo wy musicie opiekować się dziećmi lub



sami macie akurat w tym roku wielkie i pilne potrzeby. Naprawdę jednak objawia się w was grzech lenistwa, przez co smażyć będziecie się po wieczne czasy w piekle, gdzie diabeł zmusi was do tego, czego nie nauczyliście się czynić w tym życiu! — Uniósł rękę i jęk, który rozlegał się od chwili wśród słuchaczy, urwał się nagle, tak że dalszym jego słowom towarzyszył tylko szum deszczu.

— Wszyscy, wszyscy jak tu stoicie, jesteście przesiąknięci grzechem próżności. Stroicie się w atłasy, chociaż starczyłaby zwykła wełna. Kupujecie jedwabie i stroicie grzeszne ciała, aby nikt nie dojrzał waszej niegodziwości, waszego upadku. Pozwalacie swoim kobietom na malowanie twarzy, aby kusily mężczyzn. W ten sposób pomnażacie grzech, bowiem kobiety winny być ciche, pokorne i cnotliwe, inne całkiem od obecnych, noszących się z pychą w zdobnych sukniach. Jeśli zaś są do tego piękne, też kuszą w ten sposób do grzechu, która to przewina spada na wasze głowy. — Mówił z każdą chwilą coraz głośniejszy i szybciej. — Wam jednak i to nie wystarcza. Brniecie w coraz większy grzech. Próżność was zgubi. Kto z was nie kupuje malowideł, aby zdobić nimi ściany, w pogardzie mając gładki tynk? Kto z was nie każe zdobić mebli pogańskimi symbolami owoców, drzew i lir, bo nade wszystko cenicie przekłete nauki greckich filozofów, w pogardzie mając miłość Chrystusa i radość niebieską? Kto z was nie przynosi do domu przedmiotów, które rozbudzić mają żądze? Gromadzicie posągi, obrazy i inne haniebne przedstawienia nagości upozowane na wizje sławnych bohaterów. W tym też błędzicie, dopuszczając się bluźnierstwa! Diana jest boginią Księżycy i nosi takie same rogi jak diabeł. Pomyślcie o tym, zanim jej dotkniecie. Wenus zaś, kimże jest, jak nie kurwą, która sprowadza mężczyzn na złą drogę, kusząc ich wspaniałościami swego ciała?

Ludzie zaszemrali zawstydzeni, kilka starszych kobiet wybuchło płaczem.

— Ukochaliście ciało miast duszy. Nikt z was, absolutnie nikt nie potrafi oprzeć się rozkoszom stołu, pochłaniając więcej dań i przysmaków, niż jest to dozwolone. Uśmiechacie się przy tym, myśląc, że jesteście sprytni. To spryt grzeszenia obżarstwem, niecnota. Naruszanie zarówno praw Republiki, jak i Bożych nakazów to nie przejaw mądrości, ale skrajnej głupoty! Ale dlaczego to czynicie? Co pcha was do zła? Próbujecie naśladować próżność i obżarstwo Medyceusza, który tak hołduje wszelkim abominacjom, że jego smród zalega nad całą ziemią!

Rozległy się wyraźne westchnienia i szmer głosów. Savonarola nigdy jeszcze nie atakował Laurenza aż tak bezpośrednio. Wszyscy zaczęli zaraz słuchać z tym większym zainteresowaniem i pochylili się w ławach. Na wielu twarzach widać było wyraz strachu, ale i fascynacji.

— Pięć złotych kul Medyceusza nie ochroni go przed gniewem Boga. Całe jego bogactwo nie kupi mu zbawienia. Ani jemu, ani nikomu, kto będzie chciał podążać podobną drogą, która wiedzie nie gdzie indziej, ale wprost ku otchłaniom piekielnym!

Kilka młodych kobiet pod ścianą opadło na kolana i przycisnęło dłonie do oczu.

— Próżność! Florencja przesiąknięta jest nią tak samo jak trup, w którym kłębią się robaki. A gdzie próżność, tam pojawia się i zawiść! — Znowu przerwał, krzywiąc twarz w grymasie obrzydzenia. — Zawiść i próżność to wielkie grzechy, grzechy kardynalne. Wy jednak przywiązaliście się do nich i troszczycie się, aby nie wygasły, opiekujecie się nimi niby ukochanymi dziećmi. Rozkwitają w waszych sercach, jakby były ogrodami rozkoszy. Wszyscy jesteście zatruci tymi grzechami, od najmłodszego dziecka po najstarszych i najbardziej zniedołężniałych. Wszyscy musicie je wypalić, aż zaznacie oczyszczenia.

Wiele kobiet płakało już otwarcie, nawet dwaj mnisi ocierali oczy. Deszcz padał coraz mocniej, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

— Folgując rozkoszom łoża, tarzacie się w rozpuście! Gdy pieścicie, gdy tulicie się do siebie, dajecie dowód choroby, która zapuszcza korzenie na glebie wcześniejszych grzechów. Te wasze westchnienia to nic innego jak zło wcielone. Słodkie folgowanie cielesnym żądom zbliża was do wiecznego potępienia.

Kilku mężczyzn pobladło, a przynajmniej jednemu wyrwał się z ust okrzyk zgrozy.

Stojący w głębi kościoła Simone Filipepi spojrział na swą okrytą bladością towarzyszkę.

— Słuchasz, Estasio? — wyszeptał, uśmiechając się z poczuciem wyższości. — Słyszysz, co mówi fra Savonarola? Czy pojmujesz, że to o twoją duszę chodzi?

Estasia uniosła rękę, jakby chciała osłonić się przed ciosem.

— Nie.

— Pomnażacie bogactwo tego świata — grzmiał tymczasem Savonarola. — Gromadzicie skarby, dając się ponieść chciwości i skąpstwu. Pragnienie posiadania wszystkiego trawi was niczym gorączka. Ale czym jest bogactwo tego świata w porównaniu z przepychem rajy i skarbami królestwa niebieskiego? Jakże tanio sprzedajecie swoje dusze. Jak bardzo będziecie tego żałować w przyszłym życiu, gdy przekonacie się, że wspaniałości rajy okażą się dla was niedostępne, ponieważ wcześniej skusiliście się na tandetną imitację.

Zebrani jęknęli głośno, przerażeni odmalowaną przez zakonnika wizją. Łowili każde jego słowo z wilgotnymi od łez twarzami i oczami pełnymi bólu, ciągle czekając na więcej karcących słów.

Nie rozczarował ich.

— Zdumiewam się — powiedział innym jeszcze tonem, w którym

pobrzmiewała pokora tak wielka, że aż sam skłonił głowę. — Zdumiewam się, że Bóg tak długo zwleka z wymierzeniem ostatecznej sprawiedliwości. Wiemy, że dzień gniewu kiedyś na pewno nadejdzie, bo tak zaplanowane zostało na samym początku. Wiemy, że nikt nie będzie bezpieczny tego strasznego dnia i nawet najbardziej cnotliwym przyjdzie błagać o miłosierdzie przed tronem Pana. Wówczas to zostanie odczytana księga, w której zapisane zostały wszystkie nasze grzechy, i wszystko, cokolwiek kiedyś niegodziwego zrobiliście, stanie się wiadome. Pomyślcie o tym. Weźcie sobie to do serca, chociażby na jeden dzień, aby prawdziwe oczyszczenie znalazło do was drogę i abyście tak jak Hiob poznali prawdziwy wymiar waszej nikczemności. Wtedy i dopiero wtedy zaznacie zbawienia. Musicie się oczyścić i poznać prawdziwą skruchę!

— Skrucha! — podjęli zebrani.

— Płaczcie! Płaczcie, żałując za grzechy! Opłakujcie tysiące tych, którzy znikną na wieczność w otchłani piekielnej. Opłakujcie wszystkich, którzy nadal tkwią w bagnie grzechu!

Kilku ludzi krzyknęło, wielu płakało. Simone złapał nadgarstek Estasii.

— Widzisz? Rozumiesz teraz? Musisz żałować za grzechy! Musisz okazać skruchę i odprawić swoich kochanków, skończyć z luksusami. W przeciwnym razie będziesz smażyć się w piekle i demony będą pożerać twe wnętrze.

— Puść mnie, Simone! — Estasia wstała i ogarnięta odrazą wybiegła z kościoła, zapominając nawet nałożyć kaptur płaszcza, aby osłonić się przed deszczem.

Simone ruszył za nią, ale nie mógł przecież wyjść w trakcie przemowy ukochanego kaznodziei. Staął z tyłu i uśmiechnął się mimo płynących z oczu łez. Czuł się nikim, sam sobą pogardzał i jednocześnie smakował radośnie tę chwilę. Opadł na kolana, złączył

dłonie do modlitwy i słuchał dalej.

— Bóg wzniosł wysoko swój miecz i opuści go na niegodziwych i zepsutych i nawet czysti, cnotliwi i sprawiedliwi zostaną umniejszeni. Kto uratuje was tego dnia, jeśli nie Bóg? Módlcie się, błagajcie i padajcie na kolana, prosząc Go o wybaczenie. Musicie zrobić to teraz. Nie zostało wiele czasu, bo dzień gniewu jest już bliski. Widziałem to. Widziałem miecz Stworzyciela spadający na rodzaj ludzki i siejący zniszczenie. Widziałem, jak świat się rozpada i dzikie zwierzęta zdeptują jego ślady. Słuchajcie mnie, Florentyńczycy! Musicie okazać skruchę. Możecie się uratować, jeśli doznacie oczyszczenia. Odrzućcie zło i grzechy waszego życia, powróćcie w objęcia Kościoła, zwróćcie twarze ku dobru! Musicie to uczynić!

Cała świątynia rozbrzmiała krzykiem.

— Urośnijcie w siłę cnót i strąćcie poganina! Czerwone kule upadną. Koniec nastanie z palle. Uderzcie prosto w głowę bestii!

Tym razem wrzawa podniosła się jeszcze głośniejsza i wielu ludzi wstało.

— Waszym chwalebnyim zadaniem będzie wymierzenie pierwszego ciosu. Niech zniknie wszelki grzech. Dość złości! Dość lenistwa! Dość pożądlivosti i obżarstwa! Koniec z zawiścią! Koniec niech nastanie próżności! Nigdy więcej próżności!

Wszyscy zerwali się na nogi, powtarzając ostatnie zawołanie Savonaroli. Jakaś starsza kobieta upadła na podłogę i leżała na niej, uderzając gwałtownie nogami o posadzkę. Inna, tym razem młodsza, przycisnęła łokcie do ciała i syczała coś przez zęby. Pięciu młodzieńców zerwało ozdoby z szyi i wdeptywało je w kamienie.

— Żałujcie za grzechy! — zawołał Savonarola pośród całej tej hysterii. — Miecz Boga opada! Dość próżności!

Na te słowa zebrani ruszyli przed siebie niczym wody jeziora, gdy dojdzie do przerwania tamy. Tłumnie pokonali drzwi i wybiegli na

Piazza San Marco.

Przywitał ich deszcz. Woda przesiąkała błyskawicznie ubrania, chłód przenikał pod płaszcze. Gorączka zaczęła ustępować przed wilgocią. Ludzie spojrzeli po sobie, jakby budząc się z dziwnego snu, wymieniając nieśmiałe uwagi i niepewnie wygłaszane komentarze. Chwila szaleństwa minęła bezpowrotnie, ustępując przed jesiennym chłodem. Ktoś kichnął. Powoli, uginając się pod ciężarem przemoczonych ubrań oraz od zmęczenia, które nagle wszystkich ogarnęło, ludzie zaczęli opuszczać Piazza San Marco, rozchodząc się do domów.

List augustianina, brata Mariano da Gennazzana do Marsilia Ficina:

*Znakomitemu uczonemu, doskonałemu filozofowi i bratniemu kapłanowi, seniorowi Ficinowi, brat Mariano przesyła błogostawieństwa i pozdrowienia.*

*Mam przed sobą Twój list z zeszłego tygodnia i modłę się, abyś nie niepokoił się już więcej. Widziałem się z Laurenzem i jestem pewien, że jego obecny kłopot z podagrą niebawem się skończy. Obiecał mi, że w razie nawrotu ataków zacznie zażywać kąpieli i pozwoli na upuszczenie krwi.*

*Oczywiście rozumiem Twoje odczucie i podzielam je, też martwiąc się zdrowiem Medyceusza. Bez Laurenza nie będzie Florencji. Niewątpliwie winniśmy zanosić modły w jego sprawie. Zamierzam odprawić mszę w intencji jego wyzdrowienia. Niemniej Laurenzo jest silny i sam wiesz, że nie przeszedł jeszcze wieku średniego. Ma dopiero czterdzieści dwa lata, co daje pewność, że sporo życia mu jeszcze zostało.*

*W innej jednak sprawie muszę się z Tobą zgodzić. To, jak Savonarola zdobywa zwolenników, musi budzić niepokój. Przeraża mnie arogancja tego zakonnika. Nie powinniśmy wynosić się ponad braci, ale ćwiczyć*

*skromność i oddawać się modlitwom oraz pracy. Girolamo Savonarola zdaje się o tym nie pamiętać, zwłaszcza od kiedy powrócił do Florencji w zeszłym roku.*

*Może Bóg nie dopuści, abyśmy ucierpieli zanadto przez szaleństwo tego dominikanina, mam jednak nadzieję, że uda się komuś przekonać Laurenza, aby napisał w jego sprawie do papieża. Lorenzo ma posłuch u Jego Świątobliwości i mógłby szybko zaradzić kłopotom.*

*Ciągłe myślę o tym, co zdarzyło się dziesięć dni temu. Wielkie szczęście, że padał akurat ulewny deszcz, bo inaczej pobudźmy tłum ruszyłby przez miasto, aby tropić próżność, dopuszczając się przy tym różnych niegodziwości. Nie dostrzegają, że największy grzech próżności popełniają, sądząc, że oni albo ktokolwiek inny może mieć się za dość mądrego i świętego, aby przeniknąć zamiary Boga.*

*Ale napisałem już o tym więcej, niż powinienem. Proszę pokornie, abyś nie powtarzał nikomu moich słów. Będę się modlił, aby przeszła mi ta złość, bo nie da się jej pogodzić ze ślubami. Przesyłam Ci z Sant' Spirito doczesne pozdrowienia i nadzieję na zbawienie i radość w życiu późniejszym.*

*Fra Mariano da Gennazzano Zakon Świętego Augustyna*

*We Florencji, dnia 8 listopada 1491 roku*

## . 8 .

Mróz uczynił powietrze rześkim, niebo rozjaśnił zimowym błękitem. Spod drzew, gdzie leżały sterty opadłych liści, biła ciężka woń rozkładających się owoców. Nie było prawie wiatru, zatem sześciu jeźdźcom, którzy wspięli się właśnie na szczyt wzgórza, chłód poranka nie dawał się specjalnie we znaki.

— Jak tu pięknie! — zawołał Lorenzo, wstrzymując konia obok sosnowego zagajnika. — Tego właśnie potrzebowałem. Nie ma jak surowa przyroda.

Agnolo Poliziano, który nie cierpiał długiej jazdy w siodle, zatrzymał swoją wielką, hiszpańską klacz i skrzywił się z niechęcią.

— Skoro jest taka surowa, to może już wystarczy? Zwłaszcza że ja czuję się już jak ugotowany.

Laurenzo tylko się roześmiał.

— Przyznaj, stary przyjacielu, że z zasady zwykłeś odrzucać wszystko, co lubię. Nawet gdy chodzi o ulubione dania.

— Z tym nie ma problemu. — Poliziano uśmiechnął się nieoczekiwanie. — Skoro nie czujesz zapachów, nic nie wiesz o jedzeniu.

Po chwili dołączyło do nich trzech kolejnych jeźdźców. Pierwszym był il conte Giovanni Pico della Mirandola. Żywo wskazał na mężczyzn, którzy jechali za nim.

— Ficino twierdzi, że Sokrates by nie zagustował w podobnej porannej przejażdżce, ja jednak uważam, że się myli. Rakoczy nie zajął stanowiska, przyszedliśmy więc do ciebie.

— Rozmawialiśmy o tym wieczorem — rzucił Laurenzo trochę nieobecnie. — O ile pamiętam, doszliśmy do konkluzji, że Sokrates nie jeździł konno. — Poprawił rękawiczki i obejrzał się na



pozostałych. — Biedny Giacomo — powiedział, myśląc o szóstym jeźdźcu. — Powinienem dać mu łagodniejszego wierzchowca. Nigdy nie dosiadaj Fulmina w ten sposób. Musi czuć nad sobą pewną rękę, inaczej zaczyna brykać.

Giacomo Pradelli, posłannik z Mantui, zatrzymał narowistego konia tuż obok Laurenza.

— To nic wielkiego, Magnifico — skłamał heroicznie i zaraz zmienił temat. — Rzadko widywałem tak kwitnące krainy. Florencja to naprawdę szczęśliwe miasto.

— Świetnie — stwierdził nagle rozbawiony Laurenzo. — Przekażę Gonzadze, że zyskał błogosławieństwo w osobie swego posłańca i że w przyszłym roku kupię kolejną część jego biblioteki. — Obrócił się w siodle, aby spojrzeć na siedzącego na grzbiecie siwego ogiera obcokrajowca. — A ty nic nie masz do powiedzenia, mio caro stragnero?

— Nie uczestniczyłem w przyjęciu, Magnifico, i nie wiem tym samym, o czym była mowa. Zgadzam się, że okolica przedstawia się kwitnąco, nawet jeśli niektóre uprawy ucierpiały od wczesnych deszczy. W jakiej jeszcze sprawie miałbym się wypowiedzieć? — Zatrzymał konia obok Laurenza. — Po drodze widziałem jelenia, jak przemykał wśród wzgórz. Pomimo chłodu piękny mamy poranek.

— Przykro mi, że tradycja uniemożliwiła zaproszenie cię na bankiet — powiedział Medyceusz, spoglądając Rakoczemu w oczy.

— Nic się nie stało. Nie oczekiwałem zaproszenia — powiedział tak przekonująco pogodnym tonem, że Laurenzo z miejsca się rozchmurzył. — I ja hołduję różnym własnym zwyczajom, nie krytykuję przeto cudzych.

— To doroczne spotkanie tych, którzy byli w Akademii. Uczestniczyć w nim może tylko siedem osób. Chętnie jednak usłyszałbym twoje zdanie.

— Na temat Sokratesa? — spytał Rakoczy, bawiąc się cugłami. — W kwestii tego, czy Sokrates jeździł konno? — Lorenzo przytaknął i San Germano zastanowił się nad odpowiedzią. Przypomniał sobie energicznego Greka i jego wystudiowaną niestaranność ubioru oraz cięty język, dzięki któremu starszy pan zostawiłby Poliziana w pobitym polu. — Nie czytałem wiele Platona... — powiedział ostrożnie.

— To nie odpowiedź, Francesco. — Szlak przed nimi robił się bardziej stromy i Lorenzo wstrzymał trochę wierzchowca. Potem spojrział na resztę kompanii. — Proponuję taki bieg: ze wzgórz do źródła, tam przeskoczyć kłode, potem wzdłuż kamiennego ogrodzenia do strumienia, przez strumień i dalej do Sacro Infante, wzdłuż muru i w dół, do drogi genueńskiej. Szybko!

Była to niebezpieczna trasa i wszyscy o tym wiedzieli. Lorenzo poczekał tylko chwilę, zwracając się do Pradellego:

— Ale bez ciebie, przyjacielu. Fulmine wyrzuciły cię z siodła na pierwszym zakręcie. Spotkamy się na drodze do Genui. W dół droga będzie łatwiejsza.

— Ja go poprowadzę — powiedział szybko Poliziano. — Nie cierpię takiego ścigania się. Dobrze o tym wiesz. Mam ryzykować własny kark i zdrowie konia tylko dla twojej przyjemności? A jeśli...

— Niech będzie — Lorenzo przerwał mu z uśmiechem. — Ostrzegam cię jednak, że nie chcę potem żadnych narzekań, że ominęło cię coś ciekawego. — Ledwie Poliziano odprowadził Pradellego na bok, Medyceusz krzyknął i czterech jeźdźców runęło galopem ze wzgórza.

Z mijanych zarośli wypadły dwa bażanty i z krzykiem rzuciły się do ucieczki. Lorenzo pierwszy dotarł do kłody, radując się, gdy wielki ogier bez trudu pokonał przeszkodę i pewnie wylądował po drugiej stronie. Zostawiając głębokie ślady na podmokłym brzegu

strumienia, wydłużył krok i pognał w stronę starego, kamiennego ogrodzenia, które ciągnęło się milami pośród toskańskich wzgórz.

Mirandola trzymał się blisko Medyceusza, nie był jednak równie wprawnym jeźdźcem i podczas skoku przez kłodę nie zachował wystarczającej ostrożności, przez co jego śnieżnobiała klacz zachwiała się nagle, zmyliła krok i stanęła dęba, zrzucając jeźdźca na wilgotną ziemię. Pico pozbierał się po chwili, cały w błocie, ale roześmiany, i pomasował biodro. Płaszcz miał brudny, a spodnie mokre.

— Nie zatrzymuj się! — krzyknął do Laurenza i czym prędzej zszedł z drogi Rakoczemu.

Ficino poganiał obcokrajowca do szybszego galopu, siedząc mu na plecach i z wolna przymierzając się do wyprzedzenia rywala.

— Przepuść mnie! — krzyknął, gdy był już naprawdę blisko.

— Sam mnie wyprzedź, jak potrafisz! — odpowiedział Rakoczy i pogonił wierzchowca. Dosiadał konia inaczej, niż zwykli to robić Florentyńczycy. Używał niskiego siodła, prawie pozbawionego oparcia z przodu czy z tyłu, z bardzo krótkimi, perskimi niemal strzemionami. Goniąc za Laurenzem, uniósł się w nich, nie dotykając praktycznie siodła.

Widząc to, Marsilio wybuchnął śmiechem i pogonił wierzchowca.

Medyceusz był o kilka długości przed nimi. Spokojnie galopował wzdłuż kamiennego ogrodzenia, ciemne włosy powiewały mu na wietrze. Obrócił się i pomachał im dłonią, pewien zwycięstwa.

Ficino uderzył konia końcami cugli między uszy i z wolna zaczął zrównywać się z Rakoczem.

— Z drogi, cudzoziemcze! — krzyknął.

Rakoczy nie odpowiedział, tylko przechylił się lekko do przodu i jego wierzchowiec jeszcze przyspieszył. Ścieżka zrobiła się tak wąska, że nie było na niej miejsca dla dwóch koni. Rakoczy nie wahał się długo. Ściągnął cugle i zmusił rumaka do mistrzowskiego skoku przez

ogrodzenie.

Spłoszone owce rozbiegły się zaraz po pastwisku, koń zaś nie zachwiał się i utrzymał tempo, z wolna doganiając Laurenza.

Ficino patrzył na to wszystko osłupiały. W końcu powściągnął wierzchowca i pozwolił mu na zwykły marsz. Nie było sensu wysilać się dalej, ponieważ ten wyścig miał wyraźnie zostać rozegrany tylko między Medyceuszem a Rakoczym. Ficino pokręcił głową i skupił się na podziwianiu uroków wiejskiego poranka.

Rakoczy dotarł do strumienia, nie pozostając specjalnie w tyle za Medyceuszem, zwątpił jednak w swoje możliwości, gdy zobaczył masywne mury klasztoru. Sacro Infante wznosiło się zbyt blisko kamiennego ogrodzenia, aby koń dał radę wyhamować po skoku. Jedyną alternatywą było objechanie całego kompleksu wkoło.

— Qual dolor! — zawołał prześmiewczo Lorenzo i uśmiechnął się z satysfakcją.

Rakoczy i tym razem nie tracił czasu na odpowiedź, tylko skierował ogiera do nowego biegu. Sam poruszał się w siodle, jakby biegł razem z nim, aż ostatecznie rumak zdawał się nie galopować, ale płynąć miękko nad ziemią. Byli prawie po drugiej stronie, gdy nagły dźwięk dzwonu spłoszył konia i gdyby nie zdecydowana reakcja Rakoczego, gonitwa mogłaby skończyć się fatalnie. Po chwili jednak dzwon umilkł i niebezpieczeństwo minęło. Rakoczy przeklinał stracone sekundy, ale wiedział, że ma jeszcze szansę zmniejszyć dystans na spadku prowadzącym do drogi genueńskiej. Uważał, że powinien sobie tam poradzić.

Oczy Medyceusza rozszerzyły się ze zdziwienia, gdy ujrzał Rakoczego wyjeżdżającego zza masywu klasztoru, i to na tyle blisko, że cudzoziemiec mógł go jeszcze dogonić. Czym prędzej ścisnął boki konia, aby nie dać się wyprzedzić.

Ostatnia mila była szczególnie trudna. Pełny luźnych kamieni i

śliski stok nie pozwalał na szybką jazdę, ale obaj mężczyźni okazali się nad wyraz zdeterminowani i parli przed siebie, nie bacząc na ryzyko. Agnolo i Giacomo czekali już na drodze. Poliziano obserwował wyścig z pogardliwym uśmiechem na twarzy.

W ostatniej chwili Rakoczy zmusił swego siwka do galopu, zjeżdżając na drogę dosłownie chwilę przed ogierem Laurenza. Oba konie dyszały ciężko, a ich sierść pociemniała od potu. Lorenzo poklepał swojego troskliwie.

— Morello nigdy nie dałby się pokonać — powiedział. — Nigdy nie przegrał żadnego wyścigu.

— Morello? — spytał Rakoczy, oddychając głęboko.

— To był przez lata koń Medyceusza — wyjaśnił Agnolo, uradowany że ktoś okazał się wreszcie lepszy od Wspaniałego. — Może i ma rację, nie wiem. Nie znam nikogo, kto jeździłby jak on. W tym jest pozytywnie heretycki.

Zerwał się wiatr i nagle zrobiło się jeszcze chłodniej. Oblicze Laurenza wyglądało na mocno posępne.

— Wychowałem go od źrebaka. Sam codziennie go karmiłem. Nie chciał przyjmować jedzenia od nikogo innego. Uderzał kopytami w ziemię, ile razy mnie widział. Cieszył się, całkiem nie jak zwierzę.

— Daj spokój, Magnifico — odezwał się Agnolo. — Nie przystoi tak mówić o koniu. Przyznaj po prostu, że Rakoczy cię zwyciężył. — Uśmiechnął się do Pradellego, oczekując rozwoju sytuacji.

Rakoczy jednak nie miał najmniejszej ochoty na spory.

— Gdybym nie jechał, jak jechałem, czułbyś się oszukany, Magnifico. Wspominałeś, że nie lubisz, gdy ktoś daje ci fory. To była wyrównana walka, w której miałem dodatkowo sporo szczęścia. — Zignorował chmurne spojrzenie Laurenza. — Innym razem ty będziesz lepszy. Muszę przyznać, że od bardzo wielu lat nie widziałem nikogo, kto by ci dorównał. — Nie skłamał, nie dodał jednak, że miał na myśli

nie dziesiątki lat, ale całe stulecia.

Laurenzo rozpogodził się trochę.

— To prawda, że lubię twardą rywalizację. Poliziano spróbował raz jeszcze.

— Chcesz powiedzieć, że lubisz wygrywać.

— Oczywiście — odparł Laurenzo, gotów do sprzeczki, ale Rakoczy nie dał mu rozwinąć tematu.

— Nie byłby dobrym zawodnikiem, gdyby nie lubił wygrywać. Po to się bierze udział w wyścigach — powiedział, mając nadzieję, że to zniechęci Poliziana do wysyłania kolejnych zatrutych strzał. — Poza tym masz wiele innych zdolności, których mi brakuje.

— Może i tak — mruknął udobruchany Medyceusz. Pomachał do Ficina, który wreszcie do nich dołączył.

— Ostatni ze stawki. Zakładam, że Pico pojechał do domu, aby się przebrać.

— Tak sędzę. — Ficino spojrzał na grupę i westchnął. — Taki piękny dzień. Widziałem winne grona trzymające się jeszcze na krzakach. Nie nadałyby się już do niczego, ale pachniały wspaniale.

Medyceusz całkiem się już uspokoił i skłonny był nawet wzruszyć ramionami.

— To z oczywistych powodów mi umknęło. — Wysunął się na czoło i obrócił ku kompanom. — Jesteśmy dość blisko Florencji, aby wrócić jeszcze dzisiaj. Do Porta San Galio jest niecała godzina drogi. Ruszajcie ze mną, amici mei, i podziwiajcie krajobrazy.

Marsilio ucieszył się, widząc, że nastrój Medyceusza zdecydowanie się poprawił. Zaczął śpiewać, ale jego ochryple baryton zaraz przyprawił wszystkich o wesołość.

— Dobrze, dobrze — powiedział, przerywając pieśń. — Nie jestem w tym dobry. Jednak ty, Laurenzo, zawsze pisałeś udane piosenki.

— Dawno już tego nie robiłem — odparł pogodnie Medyceusz. —

Ale niech pomyślę chwilę. — Jego koń szedł stępa i Lorenzo skinął na pozostałych, aby się z nim zrównali. — O czym mam zaśpiewać?

— Coś do śmiechu, aby niezrozumiale — zaproponował szybko Poliziano.

— Proszę — powiedział z naciskiem Ficino.

— O miłości — zaryzykował Giacomo Pradelli.

— A co ty byś chciał, Francesco?

Rakoczy zastanowił się chwilę, spoglądając na rozciągające się przed nimi wzgórze.

— Zaśpiewaj o swoim życiu, Magnifico. O tym, co sprawiło, że jesteś, jaki jesteś.

— Sta bene — zgodził się Medyceusz. — A gdy skończę, ty zaśpiewasz o swoim.

— Ależ, Magnifico... — zaprotestował Rakoczy, jednak tym razem Poliziano nie dał mu dokończyć.

— Dobrze. Obcokrajowiec powinien zaśpiewać. — Zaśmiał się szyderczo i spojrzał na resztę kompanii. — Może San Germano przestanie być taką tajemnicą. Niech zaśpiewa, Lorenzo.

Rakoczemu nie podobał się ten ton, wiedział jednak, że nie warto reagować.

— Cokolwiek Magnifico potrafi, tego w miarę moich sił postaram się od niego nauczyć.

Droga wiała się łagodnie między urokliwymi wzgórzami, z wolna schodząc coraz niżej, ani przez chwilę nie była jednak stroma. Nie spotykali wielu podróżnych i mogli spokojnie zajmować się swoimi sprawami.

— Chyba mam już rym — powiedział po paru chwilach Lorenzo. Zanucił melodię na próbę i zaczął śpiewać. Jego tenor nieco spłowił z latami, przez co piosenka była raczej prosta.

*Fra le dewizie della dolce Amor* zaczął i uciszył zaraz śmiech, którym przywitano jego utwór.

— Nie ma takiego bogactwa, które można by przyrównać do miłości, amici mei. — Odchrząknął i śpiewał dalej:

*Fra le dovizie della dolce amor lo son perduto, son io sognator.*

— Nie nazwałbym tego lunatyzmem — powiedział Poliziano.

— Ani zagubieniem — dodał ze znawstwem Ficino.

— Dajcie mu śpiewać — powiedział Rakoczy takim tonem, że komentatorzy zaraz się uciszyli.

*Tuoi nod diletta mi ferma Collafebre di gioia mi manca Mapiu bramo la pace per il mio cor Or' senza speranza, e senza rancor.*

Laurenzo spowaźniał nagle, kończąc piosenkę, i spojrzał na Rakoczego.

— To moje życie, mio caro stragnero. Słodkie więzy i gorączka radości to jedno, ale obecnie nazbyt miły jest mi spokój.

Rakoczy pokiwał głową, ignorując kolejne uwagi kompanii. Chłód dokuczał mu coraz bardziej.

— Rozumiem — powiedział.

— Teraz twoja kolej, Francesco — stwierdził Laurenzo, otrząsając się z przygnębienia. — Zaśpiewałem o swoim życiu, teraz ty powiedz coś o swoim.

— Może o twojej ojczyźnie, którą tak wychwalałeś? — spytał Poliziano ze śmiechem.

— Śpiewaj, Francesco — powtórzył Medyceusz. Tym razem był to bardziej rozkaz niż prośba.

Rakoczy przytaknął.



— Muszę poszukać rymów — powiedział. — Chyba zapożyczę od ciebie formę, Magnifico. Nie odpowiadam jednak za to, jak rzecz zabrzmi. Zwykle nie śpiewam w siodle.

— Będziemy zatem cicho, abys mógł spokojnie pomyśleć — powiedział Ficino i klepnął ostrzegawczo Poliziana w ramię.

Rakoczy wiedział już jednak, co zaśpiewa. Wiedział to już wcześniej, zanim jeszcze Lorenzo zanucił swoją melodię. Wahał się tylko dla lepszego efektu. Zaczął cicho, ale jego głos okazał się nad wyraz donośny.

*Io sono stragnero per sempre ed ancor  
Stragnero della morte, stragnero deli' amor.*

— To wszystko? — spytał z niedowierzaniem Poliziano. — Ledwie czterowiersz. A gdzie jest o twoim kraju? Na ile może równać się z Toskanią? Moim zdaniem powiedziałaś za mało...

— Uspokój się, Agnolo — przerwał mu Lorenzo, nawet się nie odwracając. — Nikt z nas nie ma prawa oczekiwać niczego więcej. — Spojrzał uważnie na Rakoczego. — Nawet tyle nie musiałaś mówić.

— Chciałaś usłyszeć, jakie jest moje życie — odparł Rakoczy, wzruszając ramionami. Poklepał wierzchowca po karku. — Chyba już odpoczął. Możemy jechać szybciej, jeśli zależy ci na czasie.

Laurenzo kiwnął głową i uniósł rękę.

— Ruszamy! — zawołał do pozostałych trzech jeźdźców i pogonił konia w kierunku murów Florencji, od razu wysuwając się na czoło.

Wjechali do miasta przez bramę San Galio i Via San Galio dotarli do Via de Ginori. Na ulicach panował spory ruch i gdy zbliżyli się do Piazza San Lorenzo, Rakoczy spytał, czy tutaj mają się rozstać.

— Nie! — zaprotestował Lorenzo, odruchowo omijając wózki i przechodniów. — Zapraszam was wszystkich na kubek wina i na

*comestio*. Zdążymy akurat, a Massimillio ucieszy się z tylu głodnych konsumentów.

Wszyscy chętnie przyjęli zaproszenie. Oprócz Rakoczego.

— Proszę o wybaczenie. Nie zwykłem jadać o tej porze.

— Mam wrażenie, że w ogóle nie zwykłeś jadać — zauważył Poliziano.

Rakoczy nie odpowiedział na zaczepkę.

— Chyba pożegnam teraz ciebie i twoich gości, Magnifico. Odpowiedź Laurenza zginęła w turkocie przejeżdżającego obok wózka, powtórzył ją więc, gdy zrobiło się ciszej:

— Tak czy tak, zapraszam, Francesco. Chcę z tobą porozmawiać.

— Tante grazie, Magnifico.

Przejechali przez Piazza San Lorenzo i skręcili pod główne wejście do Palazzo de Medici przy Via Larga. Na dany przez Laurenza znak wielka żelazna krata bramy stanęła otworem i znaleźli się na frontowym dziedzińcu.

Laurenzo zsunął się powoli z siodła, za wszelką cenę starając się ukryć słabość, która go ogarnęła. Stając na ziemi, zachwiał się i odruchowo przytrzymał strzemiona. Trafił dłonią na drobną metalową ozdobę, która okazała się na tyle poluzowana, że jej metalowy szpikulec wbił się w niechronioną już przez rękawicę skórę. Laurenzo szybko wyssał ranę i obróciwszy się ku gościom, odetchnął z ulgą, że nikt niczego nie zauważył. Przykrył ranę rękawicą i zacisnął dłoń, aby zatrzymać krwawienie.

— I co z posiłkiem? — zagaił Agnolo.

— Gabriele was zaprowadzi — powiedział Medyceusz, wskazując na zarządcę, który właśnie zjawił się na dziedzińcu. — Dopilnuje, abyście zostali obsłużeni.

— A ty? — spytał Ficino.

— Dołączę do was, jak tylko się przebiorę. — Ruszając w stronę

domu, obejrzał się jeszcze przez ramię. — Proszę ze mną, Rakoczy.

San Germano przekazał cugle służącemu i ruszył w ślad za gospodarzem do łukowych drzwi. W milczeniu weszli na schody i byli już prawie na samej górze, gdy Rakoczy zatrzymał się, dostrzegając na jednym ze stopni jasną plamkę.

Laurenzo też przystanął.

— Tak?

— Krwawisz? — spytał Rakoczy. Pytanie zawisło między nimi. Trwało trochę, nim Medyceusz opanował chęć, aby natychmiast i zdecydowanie zaprzeczyć.

— Zaciąłem się w rękę. Głupia niezręczność przy zsiadaniu z konia — odparł, starając się zbagatelizować zdarzenie. — Jeżdżę, od kiedy nauczyłem się chodzić, a tu coś takiego. Jak kompletny nowicjusz...

— Mogę zobaczyć? — Stojący stopień niżej Rakoczy wyciągnął rękę.

Laurenzo zawahał się, ale ostatecznie pokazał dłoń. Rękawiczka upadła przy tym na schody.

— Nic wielkiego — powiedział, spoglądając na rozcięcie skóry z boku dłoni. Nadal sączyła się z niego krew.

Na twarzy Rakoczego pojawił się zdecydowany wyraz zatroskania.

— Od jak dawna twoja krew nabrała morelowego zapachu? — spytał bez wstępów.

Laurenzo zaśmiał się.

— Morelowego? Nie wiem. Nie czuję zapachów. Naprawdę tak pachnie?

— Tak — odparł Rakoczy i zamknął na chwilę oczy. Laurenzo momentalnie spoważniał.

— To zły znak?

— Owszem — stwierdził San Germano i zmusił się, aby spojrzeć Medyceuszowi w oczy.

Laurenzo nie wyglądał na przerażonego, ale wyraźnie posmutniał.

— Wiem, że jestem chory. Wiem o tym od jakiegoś czasu. Ale ty znasz różne alchemiczne sekrety. Może wiesz, jak temu zaradzić?

Rakoczy milczał.

— Rozumiem — mruknął Laurenzo i pokiwał głową. — To oznacza moją śmierć.

San Germano nie mógł zaprzeczyć. Pochylił się i podniósł rękawicę Medyceusza.

— I nic nie możesz zrobić — dodał Laurenzo. Jeśli nawet ogarnęła go rozpacz, nie dał tego poznać po sobie. Wziął rękawicę i zaczął obracać ją w dłoniach, spoglądając na poplamioną krwią zieloną skórę. — Całkiem zniszczona — powiedział.

— Laurenzo... — odezwał się cicho Rakoczy. Przerażała go własna bezradność. — Mogę przyrządzić kordiał, który wprowadzie cię nie wyleczy, ale złagodzi ból, gdy przyjdzie pora.

— Cóż. Muszę ci podziękować. Wierzę ci, mio caro stragnero. Wiem, że mówisz prawdę. Ale i tak nie potrafię nie żywić nadziei, że jednak się mylisz. — Ruszył ponownie pod górę, ale zatrzymał się po pokonaniu paru stopni i złapał Rakoczego za ramię. — Co to jest, Francesco? Co mnie zabije?

— To twoja krew. Gnije z wolna, Laurenzo — wydusił z siebie Rakoczy. — Coraz mniej przypomina krew i nawet moje moce nic tu nie znaczą.

— Twoje nie, ale może znajdzie się ktoś, kto będzie miał na to sposób. — Medyceusz pochylił się ku San Germano i spojrzenie nieco mu się rozjaśniło. — Może jest ktoś, kto zdoła mnie uleczyć.

Rakoczy pokręcił głową.

— Nie ma dla ciebie ratunku — powiedział i ujrzał, że Laurenzo się przeżegnał. — Gdybym mógł płakać, Magnifico, roniłbym nad tobą łzy. Ale nie potrafię.

— Żadna to dla mnie różnica — stwierdził oschle Medyceusz i ruszył samotnie pod górę.

List Girolama Savonaroli do Andrei Belcorego, generała zakonu dominikanów:

*W święto Ofiarowania Najświętszej Maryi Panny Girolamo Savonarola zwraca się z największym szacunkiem do generała zakonu, Andrei Belcorego, przebywającego w Rzymie.*

*Najbardziej szanowny Ojczy Braci świętego Dominika, modłę się, abys wysłuchał mej uniżonej prośby całym swym sercem, nie pozwalając, by sprawy doczesne wpłynęły na Twą decyzję.*

*Jak już wiesz, Bóg zesał mi wizje ostrzegające przed nadciągającym nieuchronnie Dniem Gniewu, który posieje zniszczenie wśród zepsutych tego świata. Siła jest taka w tych wizjach, że nie potrafię im zaprzeczyć. Błagam Cię przeto o przyznanie mi większego czasu na wygłaszanie kazań. Tyle nagromadziło się w mej duszy Światła Bożego, że torturą byłoby dla mnie milczeć.*

*To próżne i przesiąknięte zepsuciem miasto szczególnie potrzebuje moich słów, bowiem dusze błądzą tu w ciemności, przyciągane przez pokusy i żądze tego świata. Jeśli mam wypełnić dane przez Boga zadanie, które przyjąłem na swe barki, wdziewając habit, winieneś spełnić mą prośbę, tak aby bliskie już niebezpieczeństwo znanym się stało nieszczęsnym Florentyńczykom i aby przestali garnąć się do grzechu tak, jakby szukali w nim zbawienia, i skłonili się raczej przed Tronem Niebieskim, żałując za złe uczynki, wyznając je i błagając o wybaczenie.*

*W pełni świadom jestem tego, że ponieważ Jego Świątobliwość ożenił swego syna z córką tego przepojonego perfidią Medyceusza, postrzega tutejsze sprawy przez oczy Laurenza. Zanoszę jednak modły, abys nie pozostał podobnie ślepy i zezwolił mi na głoszenie prawdy, jak uważam, że*

*winiem czynić. Przemawiam przecież nie moimi własnymi słowami, ale przekazuję to, co Duch Święty włożył w moje usta. Jestem tylko naczyniem wypełnionym boskim przesłaniem. Z całą uniżonością proszę, abyś nie odmawiał Duchowi Świętemu, który wybrał mnie jako tego, kto zanieś Jego przesłanie światu.*

*Pozostając w oddanym, modlitewnym posłuszeństwie, składam w Twoje ręce nadzieję i moje życie duchowe.*

*Girolamo Savonarola Brat świętego Dominika przeor San Marco  
We Florencji, 22 listopada 1491*

## . 9 .

— Czy to już wszystko? — spytała Demetrice Volandrai.

Giovanni Pico della Mirandola pokiwał głową i wziął luźne arkusze gęsto zapisanego pergaminu.

— Tak. Jestem ci bardzo wdzięczny, że tak szybko uporałaś się z tłumaczeniem, donna Demetrice. Wątpiłem, aby kobieta, nawet uczona, była zdolna zrobić tak wiele w podobnie krótkim czasie.

Dziewczyna uniosła brwi.

— Nie miałam nic innego do roboty, conte. Po cóż miałabym zwlekać?

Il conte Giovanni zaśmiał się i uścisnął jej dłoń.

— Sama wiesz, że kobietom trudno niekiedy skupić się na jednej rzeczy. Ale ty, bella donna, zdumiewasz mnie niezmiennie swoimi zdolnościami.

Demetrice cofnęła rękę, nie przestając się uśmiechać.

— Nie mam ani męża, ani rodziny, aby pochłaniali moją uwagę. Cieszę się, że mam tu tyle pracy. — Wstała z ławy w bibliotece Medyceusza i spojrzała na trzaskający w palenisku ogień. Jej stara gonella była cienka i okrywający ramiona szal nie wyrównywał tego braku.

Pico nie przestawał mówić, cały czerwony na twarzy od chłodu i zapału.

— Gdybyś była mężczyzną, zasłynęłabyś jako świetny uczoney. Albo gdybyś była chociaż szlachcianką. Szkoda, że nie możesz w pełni wykorzystać swoich talentów. — Skinął głową i skierował się do wyjścia. — Mam nadzieję, że będziemy mieli jeszcze okazję razem pracować.

— Ale ty wyjeżdżasz do Rzymu, hrabio, podczas gdy ja zostaję

tutaj.

— Może uda mi się urządzić to inaczej. — Podeszedł do niej. — Pomyśl, carina, pod moją opieką miałybyś sposobność nie tylko dalej się uczyć, ale zaznałybyś też innych przyjemności. Jesteś atrakcyjną kobietą, nie piękną, ale według mnie ładną.

Mógłbym wiele dla ciebie zrobić.

Czuła jego oddech na ciemieniu. Przycisnął się niemal do jej pleców. Poczowała przyływ złości, ale wiedziała, że nie ma co robić sobie wrogów w domu kuzyna. Zacisnęła dłonie w pięści.

— Nie mi o tym dyskutować — odparła opanowanym głosem.

— Porozmawiam z Laurenzem, jeśli nim się martwisz. — Musnął palcem jej żuchwę, co przypomniało jej innego mężczyznę oraz inną, podobną chwilę, i aż zrobiło się jej ciepło. Jednak Pico był całkiem innym gatunkiem człowieka. Jakkolwiek starał się ją zdobyć, wyczuwała w nim brak wewnętrznej siły. Wywinęła się i przysunęła do kominka. Oddychała trochę szybciej, a jej twarz nabrała rumieńców.

— Proszę, hrabio. Nie mogę nawet myśleć o twojej propozycji, zanim nie wypełnię moich powinności wobec kuzyna. Po tym wszystkim, co zrobił dla mnie, byłoby niegodziwe zostawiać go bez zastępstwa na moje miejsce.

— Rozumiem i nie poganiam. — Pico skłonił się w jej kierunku i wyszedł z biblioteki, unosząc pergaminy.

Złość i wstyd nie przeszły jeszcze dziewczynie, gdy kilka chwil później drzwi się otworzyły i w progu stanął Lorenzo.

— Masz chwilę, Demetrice...? — spytał, ale zamilkł, ujrawszy jej twarz. — Co jest, tesoro mio?

Przestała chodzić w tę i z powrotem przed kominkiem i spróbowała się uśmiechnąć.

— Nic takiego. W rzeczy samej, nie wiem, dlaczego tak się



przejmuję... — Podeszła do niego i serce ścisnęło się jej w piersi, gdy zauważyła, jak wychudł raptownie w ciągu ostatnich dni.

— Och, Lauro.

Ujął jej wyciągnięte dłonie.

— Jakaś przykrość? Powiedz mi, Demetrice.

— Nic. Nie powinnam nawet czuć się urażona. Nie miało być obraźliwe. Nie cierpię jednak, gdy ktoś taksuje mnie niczym sztukę mięsa. — Bez zastanowienia padła Laurenzowi w ramiona.

— Boję się, Lauro mio.

Odgarnął jasne włosy z jej twarzy i lekko uniósł głowę dziewczyny.

— Czego się boisz, tesoro mio? Nie ma powodów do strachu. Nijak nie potrafiła ubrać swoich lęków w słowa i chyba nawet tego nie chciała, aby to, co najgorsze, nie nabrało w ten sposób wyrazistości. Położyła głowę na jego ramieniu.

— Nie zostawiaj mnie, Lauro — powiedziała cicho.

— Demetrice. — Przytulił ją, jakby chciał zaczerpnąć od niej siły.

— Czy pamiętasz te piękne dni w domku myśliwskim?

Zaśmiała się niepewnie.

— Nie umiem ich zapomnieć. Miejsca tyle, co nic, ledwie nasze łóżko tam się mieściło. I jeszcze weranda, na której jadaliśmy. A najwspanialszy byłeś ty, Lauro. Jak żałowałam, że nie mogliśmy zostać tam na zawsze.

— I ja też. — Uniósł jej twarz i pochylił się, aby ją pocałować. — Twoje słodkie usta to jeszcze jedno, co trzeba mi zapomnieć. Wtedy i znowu, Demetrice.

Odsunęła się od niego wstrząśnięta. Oczy lśniły jej niespokojnie.

— Sancta Maria, co ja teraz pocznę?

Laurenzo cofnął się o krok i zmarszczył lekko brwi.

— Co chcesz przez to powiedzieć, tesoro mio? Jestem tutaj i zawsze będę się o ciebie troszczył. Nie masz podstaw, aby w to

wątpić.

— Nie wątpię — powiedziała, podchodząc do okna i wyglądając na zaśnieżoną ulicę. — Pada już od trzech dni.

— Tak. — Odczekał chwilę i podszedł do dziewczyny. — Demetrice. Tesoro. Posłuchaj mnie. Proszę.

Odwróciła się do niego niechętnie.

— Lauro. Carissimo Lauro. — Spojrzała na jego brzydkie, ale kochane oblicze i zacisnęła zęby, aby powstrzymać się od płaczu.

— Tak. Wiem, Demetrice — powiedział łagodnym tonem. — Mnie też jest ciężko. — Odszedł wraz z nią od okna. — Ale jest jeszcze czas. Trochę czasu. I obiecuję ci, że nie zostawię cię na tym świecie samej i bez przyjaciół.

Demetrice pozwoliła podprowadzić się do ławy. Gdy Lauro usiadł, przytuliła jego głowę do piersi.

— Pamiętasz tamten poranek, gdy wstaliśmy przed wschodem słońca i poszliśmy na spacer po lesie? Chyba duszę bym sprzedała, aby przeżyć to raz jeszcze.

— I bez tego jest trudno, Demetrice — powiedział cicho. — Twoja dusza zaś jest zbyt cenna, aby tak beztrosko się jej pozbywać. Ją właśnie kocham, bowiem bez niej... bez niej żadne przyjemności nic nie znaczą.

— Ale nie chcesz powrotu tego czasu? — spytała, opanowując drżenie głosu.

— Bardziej, niż możesz się domyślać. I to nie na kilka miesięcy, ale na lata. — Poczuł, że jej dłonie zacisnęły się mocniej.

— Lauro... — Na próżno szukała właściwych słów.

— Czego chciałabyś ode mnie? — spytał, gdy milczenie przeciągało się zbyt długo.

— Abyś żył — wyrzuciła z siebie. Zakryła twarz dłońmi i odsunęła

się trochę, aby nie ujrzął jej łez.

— Nie wolno ci rozpaczać, Demetrice. Zrób to dla mnie. — Był zbyt zmęczony, aby iść za nią. — Błagam cię, tesoro mio.

Jej płacz był pełen bólu. W końcu przycisnęła pięść do ust, aby przestać.

— Nie zniosę tego.

— Musisz. — Skupił na niej spojrzenie i z wolna odzyskała panowanie nad sobą. — Jestem od ciebie zależny. Bez ciebie zabraknie mi nawet cienia pewności, że to, co cenię najbardziej, pozostanie bezpieczne. — Zatoczył ręką po bibliotece. — Dbiałem o nią przez większość życia. Kto będzie jej strzegł? Piero? Dla niego nic ona nie znaczy. Agnolo? Jak długo będzie przynosiła mu sławę, to może. Marsilio? Jest starszy ode mnie, anima mia. Powiesz, że Pico? Jego tu nie będzie, wraca do Rzymu, pilnować własnych spraw. Ty, Demetrice, ty zajmiesz się książkami. Kochasz je nie mniej niż ja. Wiesz, że to nie tylko spisane słowa, że książki są duszą świata. Cenisz je.

— Ale nie zdołam tu pozostać, jeśli ty... — Nie dokończyła. Jej oczy błędziły po stołach i regałach.

— Zatem zamieszkasz gdzie indziej. Kogo lubisz we Florencji? U kogo chciałabyś mieszkać? Od kogo chciałabyś się uczyć? — Wszystkie te pytania zadał spokojnie, z niemal przekonującym uśmiechem na twarzy.

— Aleja nie chcę...

— Demetrice. — Tym razem jej imię zabrzmiało dla niej wręcz boleśnie. — Nie mam siły na spory. Proszę, abyś mi pomogła. Jeśli nie chcesz, po prostu to powiedz.

Dostrzegła na jego twarzy ten sam cień nieugiętej woli, który tyle razy napotykała już wcześniej. Powoli podeszła do niego, ale zwalczyła chęć, aby go objąć.

— Co mam zrobić?

— Musisz znaleźć kogoś, kto o ciebie zadba. Nie przez małżeństwo, chyba że sama będziesz tego chciała. Musisz mieć jednak dach nad głową. Proponowałbym jakiegoś uczonego, ponieważ uwielbiasz zdobywać wiedzę. Na dodatek nauka leczy różne rany, tesoro mio. Z czasem przyniesie ci ozdrowienie. — Usiadła na podłodze obok i Lauro położył jej rękę na ramieniu. — Powiedz mi, kogo wybierasz, a ja dopilnuję reszty.

— Nie wiem. Może Piero... — Pomyślała chwilę o synu Medyceusza i ostatecznie pokręciła głową. — Nie. Chyba jednak nie.

W bibliotece było już ciemno i tylko kominek dawał migotliwy blask.

— Nie powinnaś tu zostawać, gdy... odejdę.

Spróbowała się skupić, przypominając sobie po cichu poznanych uczonych. Nagle ktoś przyszedł jej do głowy.

— Rakoczy.

— Francesco? — zastanowił się Medyceusz. — Porozmawiam z nim. Może się zgodzi. Okazał mi więcej przyjaźni niż niejeden Florentyńczyk. Wiele się od niego nauczysz.

Demetrice zaczynała jednak wątpić w słuszność wyboru.

— Myślisz, że tak będzie dobrze? To cudzoziemiec.

— Tym większą może dać ci ochronę. Lubisz go? Demetrice przesunęła palcami po spłowiałej gonelli.

— Nie wiem. Jest w nim coś dziwnego. Zawsze był dla mnie bardzo miły, ale czuję, że potrafi być też bardzo groźny. Może dlatego tak go odbieram, bo nie jest Florentyńczykiem.

— Może. Przyznaję, że jest tajemniczy. Ale, jak sama powiedziałaś, jest uprzejmy i bez wątpienia ma ogromną wiedzę. Musisz poprosić go, aby nauczył cię tureckiego.

— Zna turecki? — Tak naprawdę nie było to pytanie i Demetrice

nie zdziwiła się, gdy nie usłyszała odpowiedzi.

— Powiedz mi, tesoro mio, gdybym był tylko takim sobie Laurem, nie Medyceuszem, gdybym nic nie miał, poza niegdysiejszą urodą, czy też byś mnie kochała? — Zapatrzył się w ogień, ale wyczuwała drżenie jego dłoni na swoim ramieniu.

Uniosła głowę i spojrzała na jego wyraźnie zarysowaną szczękę, złamany nos i szerokie, nieregularne czoło. Jakkolwiek próbowała, nie potrafiła wyobrazić go sobie innym.

— Oczywiście, że tak — odparła bez wahania. Westchnął i jego dłoń uspokoiła się.

— Biedna Clarice — powiedział, mając na myśli swoją żonę. — Tak naprawdę nie podobało jej się tutaj. Nigdy nie zapomniała, że jest tą z rzymskich Orsinich, która trafiła na prowincję.

— Zona Piera to też Orsinianka — zauważyła Demetrice.

— Ale tam jest inaczej. Piero nie kocha Florencji. Clarice nie miała nic przeciwko moim kochankom, ale była skrycie zazdrosna o Florencję. To zapewne normalne. Umarła nieszczęśliwa i wiele w tym mojej winy. Ale cóż, stało się. — Odepchnął się z wysiłkiem od stołu. — Wybacz mi, tesoro mio, ale muszę już iść. Powiniennem oszczędzać siły. Jak mnie to irytuje...

Demetrice czym prędzej zerwała się na nogi.

— Bardzo boli?

— Nieprzesadnie. A gdy zaczyna, stosuję kordiał otrzymany od Rakoczego. Zapewniam cię, że jest bardzo skuteczny.

Dosłyszała przebijającą w jego głosie gorycz i zamknęła na chwilę oczy, aby znowu się nie rozpłakać.

— Nie trzeba, tesoro mio — powiedział Lorenzo i obrócił jej twarz ku sobie. — Idź do cudzoziemskiego alchemika. Masz moje błogosławieństwo. Ale nie zapominaj o mnie zbyt szybko.

— Dio mi salva! — wyszeptała i odsunęła się od niego gwałtownie.

Musiła oprzeć się o blat, aby nie upaść. Przez chwilę obawiała się, że stół nie wytrzyma albo jej dłonie poddadzą się, jakby były z waty. Gdy usłyszała zamykające się drzwi, odwróciła się i spojrzała w tamtym kierunku. Spróbowała zebrać myśli, ale nie potrafiła skupić się na niczym innym niż osoba Laurenza.

Jakiś czas później zdumiała zarządcę Sergia, gdy odszukała go i poprosiła o dostarczenie listu.

— Certamente, donna. Gdzie mam go zanieść? — spytał, zdejmując długi fartuch i narzekając po cichu, że nie ma ciepłego zimowego płaszcza.

— Do Palazzo San Germano. Dla Francesca Rakoczego. — Jej oczy były już suche, a dłonie nie drżały. Wręczyła list oraz dolcezzę w wysokości dwóch gilli d'or.

— Dla Rakoczego — powtórzył mężczyzna, chowając drobne monety do kieszeni. — Palazzo San Germano.

List Gian-Carla Casimira di Alerico Circanda do Francesca Rakoczego da San Germano:

*Do szanowanego przyjaciela i znakomitego nauczyciela Francesca Rakoczego da San Germano w jego palazzo we Florencji od Gian-Carla z serdecznymi pozdrowieniami.*

*Twój budowniczy, który wyprawił się w podróż do Londynu, przybył tu kilka dni temu. Zgodnie z Twoją instrukcją odszukałem go niezwłocznie. Nawet po dwóch dzbanach wina nie okazał się przesadnie rozmowny. Przedstawił się jako Riccardo, ale wyraźnie nie przywykł jeszcze do tego imienia i sądzę, że nazywa się raczej Carlo. Długo go wypytywałem, ale nie powiedział nic ponadto, że zmierza do kuzyna, który załatwił mu pracę i łokum w Anglii. Utrzymywał, że jest z Mantui, ale akcent zdradza w nim rodowitego Florentyńczyka. Nie musisz się obawiać, że Carlo Cię*

zdradzi. Nikogo z pozostałych nie widziałem, chociaż kontaktowałem się z Colą Galeazzo z Genui, który poinformował mnie, że inny budowniczy, imieniem Lodovico, wyłynął stamtąd do Lizbony. Nie otrzymałem na razie żadnej informacji od Dietricha Wundermanna z Wiednia, ale jestem pewien, że trzeci budowniczy dotrze tam, gdy zima przeminie.

Pozwoliłem sobie sprowadzić prasę drukarską z Kolonii. Stara dogaressa bardzo zainteresowała się książkami i zapragnęła takiej prasy. Gdy otrzymasz od niej list, sam zrozumiesz dlaczego.

Twój dom ucierpiał trochę podczas ostatniej burzy. Naprawy zostały przeprowadzone zgodnie z Twoimi instrukcjami i budynek jest ponownie tak mocny, jak tego pragniesz. Większość uszkodzeń dotyczyła frontu, ale dach też nie wyszedł bez szwanku. Fundamenty są niezmiennie w całości i nie przesączyła się przez nie nawet kropla wody.

W liście z 10 października polecieś, abym znalazł nowe źródło drzewa sandałowego, co w końcu udało mi się uczynić. Jest to kupiec, który oficjalnie przedstawia się jako Grek, więcej w nim jednak z Egipcjanina. Nazywa się Darios Kyrillye i oferuje towar najlepszego gatunku. Ceny w granicach rozsądku. Z tego, co od niego usłyszałem, ma również dostęp do pewnych barwników. Jeśli chcesz, wypytam go dokładnie.

Opalizujące szkło, które do nas wysłałeś, dotarło bez szwanku.

Przekażę je doży dzisiaj wieczorem wraz z pozdrowieniami. Wszyscy szklarze ze skóry wyleżą, aby poznać Twój sekret.

Pożegnaj się na razie. Mam wiele do zrobienia przed wieczornym przyjęciem, a i służba potrzebuje instrukcji. Gdybyś chciał czegoś ode mnie, wszystkie Twoje polecenia zostaną dokładnie i niezwłocznie wykonane.

Aż do Twojego powrotu do Wenecji będę działał w Twoim imieniu. Polecam się zatem i przepraszam za każdy ewentualny błąd.

Gian-Carlo Casimir di Alerico Circando

W Wenecji, 6 grudnia 1491, w dzień świętego Mikołaja





## . 10 .

Donna Estasia cisnęła szczotką w złotej oprawie przez cały pokój i obróciła się z wyczekującym wyrazem twarzy do swojego rozmówcy.

— Ale ja jeszcze nie skończyłem, bella mia — powiedział Rakoczy, przesuwając jej bujne, kasztanowe włosy między palcami.

— Dość już szczotkowania — powiedziała, wydymając wargi. Irytacja nie służyła jej urodzie, oczy bowiem przymrużały się wtedy, pełne usta zaciskały zaś w wąską linię. — Nigdy nie zdejmujesz ubrania. Ani razu nie widziałam cię nagiego.

— Nie — odparł i zaczął zaplatać jej włosy w warkocz.

— Przestań natychmiast! — Rzuciła gniewnie głową i włosy ponownie rozsypały się swobodnie na plecach. Ostentacyjnie zapięła górne guziki koszuli.

Rakoczy odsunął się i oparł o podporę baldachimu w rogu łóżka.

— Dobrze, Estasio. Czym cię uraziłem?

— Nie zadowolasz mnie. To jest obraźliwe.

— W czym cię nie zadowalam? — spytał Rakoczy, uznając, że nie może pozostać obojętnym wobec takiej manifestacji. Zachował jednak spokój, a jego głos pełen był troski i współczucia. — Czy chodzi o to, że za każdym razem się kochamy?

— Ale my się nie kochamy... — zaczęła Estasia, nie dokończyła jednak. — Budzisz we mnie... odrazę.

— Nie daję ci radości? — spytał ze smutnym uśmiechem.

— Wiesz, że tak. Bardziej niż ktokolwiek inny. Ale to nie wystarczy! — Rozrzuciła słoiczki na swojej toalecie. — Mówisz, że nie jesteś eunuchem, ale jakoś nie wierzę. Nie pozwalasz się nawet dotknąć.

— Powiedziałem ci, gdy zaczynaliśmy, że tak będzie. Wtedy to

rozumiałaś. Co się zmieniło? — Ujął jej dłoń. — Wiesz, kim jestem, Estasio. Nie będę nikim innym.

Przygarbiła się, przygnębiona.

— Nawet nie spróbujesz?

Przysunął się do niej, chociaż chyba niezbyt miał na to ochotę.

— Ależ, bella mia, z kim innym mogłabyś zaznać takiego spełnienia i pozostać cnotliwa?

— Ale ja nie chcę być cnotliwa. Chcę być pijana twoim ciałem. Traktujesz mnie, jakbym była świętą, której nie chcesz skalać. Ale ja jestem wdową i wiem, czego mi potrzeba. Dozwól na profanację. — Wczepiła się w jego ramię. — Proszę, Francesco. Tylko raz. Skoro jesteś mężczyzną, zachowuj się jak mężczyzna.

— Pamiętasz, dilettto, co powiedziałem, gdy zjawiłem się u ciebie pierwszy raz?

Odsunęła się od niego, obrażona.

— Oczywiście. Zawsze mi to przypominasz. Ale nie wiedziałam wtedy, że naprawdę to właśnie chciałeś powiedzieć, gdy wspomniałeś, jak będziesz mnie kochał. Skąd miałam się domyślić?

— Powinnaś, ponieważ powiedziałem ci to wprost. — Wskazał na małe weneckie lustro, które stało na toaletce. — Spójrz tam i powiedz, co widzisz.

— Nie zmieniaj tematu!

— Nie zmieniam. Spójrz w lustro i powiedz, co w nim widać. Pokręciła ze złością głową i złapała lustro. Spoglądała w nie przez chwilę, po czym niecierpliwie je opuściła.

— No i?

— Co widziałaś? — spytał, wpatrując się w nią przenikliwie. — Powiedz mi, Estasio.

— Moją twarz, oczywiście. — Na jej obliczu malował się ciągle ten samy wyraz uporu.

— I co jeszcze?

— Przestań, Francesco. Nie chcę teraz wykładu. Chcę twojego ciała. Chcę, abyś mnie wziął. Chcę...

— Co jeszcze widziałaś w lustrze? — spytał na tyle zdecydowanie, że w końcu odpowiedziała.

— Pokój. Co jeszcze mogłam widzieć?

— A mnie? — spytał wyczekująco.

— Ciebie? — Pobladła nagle. — Nie. Ciebie nie widziałam.

— Nie jestem taki jak ty, bella mia — powiedział łagodnym tonem, dotykając jej ramion. — Dałem ci już wszystko, co miałem.

— Ale nie kochasz mnie.

— Kocham, na swój sposób.

Pokręciła głową i wyraz przerażenia prawie zniknął z jej oczu.

— Nie. Nie płoniesz uczuciem do mnie. Nie usychasz z tęsknoty przez cały czas, gdy mnie nie widzisz. Nigdy nie trzymasz straży u mych drzwi.

Rakoczy nie zdołał opanować śmiechu.

— Tego nie było w naszej umowie. Miałaś pragnienia, które ja mogłem zaspokoić w sposób, który nie wiązał się z żadnym ryzykiem. Bądź taka miła i powiedz prawdę. We wszystkim, co obiecałem, dotrzymałem słowa, prawda?

— Tak — odparła, pociągając nosem.

— Dziękuję — stwierdził bez sarkazmu. — Posłuchaj, bellissima. — Poczekał, aż spojrzy mu w oczy. — Jeśli chcesz, abym cię kochał, będę. Jeśli chcesz, abyśmy przegadali cały wieczór, też zrobię to dla ciebie.

— Tak? A co z twoimi potrzebami?

— Nie jestem aż tak żarłoczny. Nie szukam ofiar — dodał z uśmiechem.

— A jeśli ci odmówię? — spytała i na jej twarzy pojawił się wyraz

przebiegłości. — Nie dzisiaj, ale w ogóle? Co wtedy zrobisz?

Rakoczy poczuł się znudzony jej podchodami.

— Poszukam innych pomysłów.

— Długo musiałbyś głodować — powiedziała z wyraźną satysfakcją i poczuciem triumfu.

— Tak sądzisz? — spytał uprzejmie, unosząc brwi. — Cóż, jeśli tak bardzo przysparzam ci trosk, okrutne byłoby z mojej strony dłużej ci się naprzykrzać. Usunę się, abyś mogła poszukać bardziej konwencjonalnych kochanków.

Złapała go za poję czarnego ubioru.

— Nie pozwoliłam ci odejść.

W pokoju zrobiło się nagle bardzo cicho. Kilka świec, które jeszcze się paliły, skwierczało z lekka, a lodowaty wiatr atakował okna jak duch, który pragnie się ogrzać. Francesco nie poruszał się, prawie nie oddychał. Spojrzał na Estasię i poczekał, aż puści jego ubranie.

— To nie miało tak wyglądać — powiedziała obrażonym tonem.

— Nie? — Odwrócił się od niej i zaczął krążyć po pokoju, który wszakże wcale go nie interesował. — Nie lubię takiej gry, bella mia. Przekazałaś mi, że musisz zobaczyć się ze mną wieczorem, przybyłem więc. Jedyne po to, jak się okazuje, abyś mogła mnie besztać. Niewiele we mnie zrozumienia dla podobnych kaprysów. Jeśli aż tak lubisz okręcać sobie mężczyzn wokół palca, praktykuj to z kimś innym. — Zatrzymał się i spojrzał na nią poprzez łóżko. — Jeśli raz jeszcze zasugerujesz, żebym poszedł, zrobię to. I więcej nie wrócę.

Estasia zaśmiała się słabo.

— Jak mogłeś pomyśleć, że chcę cię odpędzić? Pragnę jedynie dowodu twojej miłości, a ty mi go odmawiasz. Zapewne winnam cieszyć się tym, co dajesz. Mówisz, że będziesz uprawiał miłość tak, jak ci się podoba, i wiesz, że jestem dość głupia, aby się zgodzić. — Wstała od toaletki. — Ale jeszcze z tobą nie skończyłam, Francesco.

Widząc, jak rozpina koszulę, Rakoczy wiedział, że powinien w tej chwili zakończyć znajomość.

— Pewnego dnia zabraknie nowych wrażeń, Estasio. Co wtedy zrobisz?

Spojrzała na niego, stojąc nago pośrodku pokoju.

— Wrażenia? — spytała, nie pojmując, o czym mówi.

— Nie tego właśnie poszukujesz? — Podszedł bliżej. — Zawsze prosisz mnie o coś nowego. Abym dotykał cię inaczej, podniecał cię na różne sposoby.

— Och — zachichotała. — To dlatego, że gotów jesteś to robić. A skoro ty nie...

Przerwał jej, zanim znowu zaczęła narzekać.

— Gotów jestem pieścić cię, jakkolwiek zapragniesz.

— Jakkolwiek? — spytała figlarnie. — A przywiążesz mnie do łóżka i wychłoszczesz jedwabiem? Złapiesz mnie za włosy i przyciśniesz swoim ciałem do podłogi, przytykając nóż do piersi, całując przy tym do krwi? — Gdy skończyła, prawie zabrakło jej tchu i pochyliła się ku niemu, jakby nieprzytomna z gorączki.

Rakoczy był już mocno zaniepokojony. Ujął jej ręce i przycisnął do boków kobiety.

— Nie, bellina. Tego nie zrobię.

— Ale dlaczego, skoro tego właśnie pragnę?

— Ponieważ nie chcę, abyś była moją ofiarą. Pragnę, byś towarzyszyła mi w rozkoszy. — Uwolnił jej ręce. — Jeśli nie potrafisz tego zaakceptować, nie ma więcej o czym rozmawiać.

Westchnęła z rezygnacją.

— Trudno, jak nie, to nie. Ale położysz się ze mną do łóżka? Rakoczy nie miał już wątpliwości, że jak najszybciej powinien wyjść. Sprawy zaszły zdecydowanie za daleko. Spojrzał na jej wspaniałe ciało i dojrzał w niej głód o wiele silniejszy niż jego własny.

— Estasio...

Rzuciła się na łóżko i wyciągnęła do niego rękę.

— Tak cię pragnę. Popatrz, jak się spociłam, chociaż jest zimno. Widzisz, do czego mnie doprowadziłeś? Francesco, Francesco...

Stanął blisko łóżka. Ale nie za blisko.

— Powiedziałaś mi, że cię nie zadowalam. Czego zatem jeszcze chcesz ode mnie?

— Nie powtarzaj się — warknęła, kusząc go jednocześnie swoimi kształtami.

Miał spocząć obok niej, Rakoczy podszedł do toaletki, wziął lustro i spojrzał w nie uważnie.

— W takim oświetleniu widać słaby zarys — powiedział trochę nieobecny tonem.

Estasia traciła już cierpliwość.

— Chyba muszę pójść jutro do spowiedzi — rzuciła z chytrym uśmiechem. — Opowiem księdzu, co zaszło między nami. Opowiem mu, jak bezwstydnie mnie wykorzystywałeś. Jak biłeś mnie, brałeś mnie wbrew mojej woli, używając nawet krucyfiksu, gdy twoje ciało osłabło. Czy mam wybrać franciszkanów w Santa Croce? Może benedyktynów w Santa Trinita? Zwykle nie spowiadają kobiet, ale może zrobią dla mnie wyjątek. Ale przecież... Na Boga! Jasne, najlepsi będą dominikanie. To oni przecież tropią bluźnierstwa i herezje. Będę tylko musiała wybrać między San Marco a Santa Maria Novella. — Jej spojrzenie nie było już kuszące. Uniosła się na łokciu. — Pomyśl o mojej spowiedzi, Francesco, zanim wyjdiesz.

Rakoczy stał przez cały czas nieruchomo. W końcu odstawił lustro.

— Rozumiem — powiedział spokojnie. — Jak długo będę posłusznie spełniał twoje życzenia, ograniczysz się do zwykłych spowiedzi. A co się stanie, gdy się mną znudzisz? Wydasz mnie w ręce Kościoła?

— Nie, tego bym nie zrobiła — odparła, nie usłyszawszy w jego spokojnych słowach emocji, które targały Rakoczym. — Ściągnęłabym wtedy uwagę także i na siebie. Z fatalnym skutkiem dla mojej swobody, oczywiście. Przeżyłam to już jako córka i żona. Uwierz mi, że żaden więzień nie był nigdy skrupulatniej pilnowany niż ja. Nie chcę do tego wracać. — Położyła się z lekko rozchyłonymi nogami i otwartymi zapraszająco ramionami. — Chodź do łóżka, Francesco, schiave d'amore.

Słyszając, jak nazywa go „niewolnikiem miłości”, omal nie cisnął lustrem o podłogę. Jednak jeśli nauczył się czegoś w swoim bardzo długim życiu, to cierpliwości. Nie sięgnął po lustro, tylko odczekał chwilę i ponownie zbliżył się do łóżka.

— Nie zostawiasz mi wielkiego wyboru. Jej oczy rozszerzyły się z podniecenia.

— Zatem zbijesz mnie.

— Powiedziałem już, że nie. — Usiadł na łóżku z nieodgadnionym spojrzeniem ciemnych oczu. — Gdzie mam zacząć? Mam dotykać czy całować?

— Och, Francesco, nie zaczynaj. Wiesz, jak lubię. — Przysunęła się bliżej.

— Powiedziałaś, że nie jesteś zadowolona z tego, co robię, zatem musisz mną pokierować. W przeciwnym razie odczuję skutki twojego niezaspokojenia z ręki Matki Kościoła. Powiedz mi więc, Estasio, co dokładnie mam robić.

— Niech mnie Santa Lucia ma w swojej opiece — westchnęła.

— Dotykaj mnie, dotykaj mnie tak jak zawsze. Połóż dłoń tutaj...

— Zadrżała, gdy jego chłodne palce zamknęły się na jej piersi. — A potem tak jak zawsze.

Złość sprawiła, że był o wiele mniej delikatny niż zwykle. Odczuwał też rosnącą niechęć do siebie samego za to, że spełnia jej

żądania.

— Tak jest o wiele lepiej — zamruczała, gdy skłonił jej ciało do jeszcze większego podniecenia. Jęknęła z rozkoszy, czując jego gwałtowne pocałunki. Brak satysfakcji wydał się jej tym bardziej pobudzający. Wydała stłumiony okrzyk i nagle rzuciła się na niego. — Więcej. Chcę więcej!

Zdwoił wysiłki i nie był zdumiony, odkrywszy, że Estasia odwleka spełnienie. Czuł napięcie jej mięśni i zastanowił się, ile będzie w stanie wytrwać w ten sposób. Jakby chcąc mu dać odpowiedź, krzyknęła ponownie i zacisnęła nogi.

— Mam przestać?

— Nie, nie, nie... — Jej otwarte usta zastygły w uśmiechu i nagle zdrząła w gwałtownym, ale jakby wcale niechcianym spełnieniu. Objęła go kurczowo, aż ostatni dreszcz przeminął.

— Następnym razem... — powiedziała, otwarszy w końcu oczy. — Następnym razem zwiążesz mnie i będziesz...

— Estasio... — Odsunął się od niej, żałując już tego wszystkiego, co dzielili przez kilka ostatnich miesięcy.

— Będziesz ranił mnie tak długo, aż pobudzony żądzą wejdiesz we mnie jak mężczyzna — powiedziała. — O ile nie kłamałeś, że nie jesteś eunuchem. Może wtedy nie pójde do tej spowiedzi. — Uśmiechnęła się do niego przewrotnie.

— Posłuchaj, bella mia. — W głosie brzmiało coś, czego nie słyszała wcześniej. Lodowaty chłód, gorszy nawet niż nienawiść czy brak litości. — Mieszkałem w wielu miejscach. O wielu z nich nigdy nawet nie słyszałaś. Nie chcę opuszczać Florencji, ale jeśli zrobisz to, czym grozisz, nie zostawisz mi wyboru.

Zaśmiała się niepewnie.

— Ale wtedy straciłbyś swój pałac i wszystko, co zgromadziłeś.

Ta uwaga była dla niego poniekąd jeszcze bardziej nieprzyjemna.



— Traciłem już w życiu znacznie więcej. Nie pozwolę się szantażować. Możesz być tego pewna.

W tejże chwili, widząc nad sobą jego ciemne oczy, uwierzyła mu bez zastrzeżeń.

— Naprawdę sądzisz, że bym to zrobiła? Chyba nie przywykłeś do naszej florentyńskiej mentalności. Nie sądziłam, że mężczyzna z twoim doświadczeniem da się tak zaskoczyć i potraktuje moje słowa poważnie. — Otuliła się pledami i spojrzała na niego z mieszaniną fascynacji i obawy.

— Jasne. Powiniennem poznać, że to tylko gra — stwierdził z gorzką ironią.

— Okazałeś złość, ponieważ cię wystraszyłam — powiedziała cicho. — Nie lubisz być tak podchodzony, prawda?

— Nie bardziej niż ty, bellissima. — Pochylił się w jej kierunku, ale odsunęła się. — Chyba lepiej będzie się pożegnać, Estasio. Obawiam się, że jako cudzoziemiec nie dość gustuję w waszych rozrywkach.

— Pożegnać? — powtórzyła, jakby pierwszy raz słyszała to słowo. — Zostawisz mnie? Tylko dlatego, że wspomniałam o spowiedzi? — Zebrała koce wkoło siebie i nagle zaczęła płakać. — Nie cierpię cię. Nie możesz we mnie wejść jak mężczyzna, na dodatek straszysz mnie, a potem zostawiasz.

Stłumił w sobie przypływ współczucia dla kochanki.

— Tak. I dlatego chętnie się mnie pozbędziesz, prawda? Podszedł do okna i nie odwracając się do niej, otworzył je szeroko.

— Nie chcę cię. Nigdy cię nie pragnęłam! — krzyknęła pośród łkania. — Wynoś się! Wynoś się stąd! — Jednak te histeryczne krzyki adresowane były już tylko do pustego pokoju. Rakoczy zniknął w rozjaśnionej śniegiem nocy.

List Simone'a Filipepiego do jego brata, Alessandra, zwanego

Botticellim:

*Do Sandra, brata cielesnego i w oczach Boga, od Simone 'a z modlitwą i pozdrowieniami w tym radosnym czasie.*

*Za trzy dni nadejdzie Boże Narodzenie i ze wszystkich sił życzę Ci z tej okazji, żeby Twoje serce ożyło i abyś dojrzał, że Savonarola ma rację. Zbyt długo dawałeś się oślepić bogactwu i sławie perfidią podszytego Wawrzyńca. Pozwoliłeś, aby jego łaski i otaczający go podziw przyćmiły Ci prawdziwy splendor tego świata. Cały dzień spędziłem na kolanach, zanosząc supliki do Boga Wszechmogącego w nadziei, że odsuniesz się wreszcie od Medyceuszy i przyjmiesz towarzystwo tych, którzy podążają za naukami Królestwa Niebieskiego. Moje rekolekcje potrwać jeszcze siedem dni, po czym wrócę do Florencji.*

*Mam nadzieję, że donna Estasia doszła już do siebie po niedawnej niedyspozycji i nie zastanę jej chorej. Niestety się złożyło, że słabość nasza ją w czasie moich rekolekcji, ale potrzeby duszy winny przeważać nad cielesnymi i rodzinnymi. Winienesz zachęcać donnę Estasię, aby ćwiczyła się w skromności i świętości, co bez wątpienia pozwoliłoby jej uniknąć podobnych nieprzyjemności. Powiedz jej, aby przestała myśleć o sprawach cielesnych na rzecz radości, których zaznają święci w niebiesiech.*

*Postannik, który przybył do tego klasztoru, powiedział mi, że pracujesz nadal nad pogańskimi freskami w pałacu Medyceuszy. Sandro, drogi bracie, pomyśl o brzemieniu grzechu, który popełniasz za sprawą próżności Wawrzyńca. Nie ma co usprawiedliwiać go, bo jest wykształcony i ma się za poetę. Wawrzyniec jest człowiekiem przeklętym, a Savonarola powiedział, że zanim następne winne grona trafią pod prasy, Medyceusz znajdzie się w grobie. Nie pozwól, aby uwiódł Cię swym zepsuciem, bo pociągnie Cię za sobą w ognie piekielne.*

*Z całego serca pragnę znaleźć Cię w dobrym zdrowiu i szczerze*

*żałującego za grzechy. Życzę Ci radosnego święta Bożego Narodzenia,  
niezmiennie oddany rodzinie, chociaż duszę oddaję Bogu i aniołom.*

*Simone Filipepi*

*Klasztor della Pieta Braci świętego Dominika, 22 grudnia 1491*

Ciężkie drzwi Palazzo della Signoria otworzyły się nagle i Lorenzo de Medici wyszedł ciężko ze środka na blask jasnego, zimowego dnia. Zachwiał się przelotnie, po czym przymrużył oczy i klasnął w dłonie.

— Claudio! Mój koń. — Własny głos wydał mu się dziwnie słaby, najemny strażnik pobiegł jednak wykonać polecenie. Lorenzo spojrział z przerażeniem na swoje dłonie. Nie dość, że drżały nieustannie, to jeszcze stawy były groteskowo opuchnięte. Nawet kolana i łokcie zaczęły już się zmieniać i mimo kordiału Rakoczego bolały przy każdym ruchu.

— Pański koń, Magnifico. — Claudio przyprowadził mu gniadosza i czekał tuż obok.

Przez jedną straszną chwilę Medyceusz nie był pewien, czy zdoła wsiąść bez pomocy.

— Grazie, Claudio — rzucił i wziął wodze, zmuszając się do prostego stawiania kroków. Wciągnął się na siodło, ale zaraz potem bliski był zemdlenia. Udało mu się tylko dlatego, że mimo jego niezgrabności koń stał cały czas nieruchomo. Potem zebrał wszystkie siły, aby przełożyć wodze ponad głową wierzchowca. Pozwolił mu iść własnym tempem, skupiając się tylko na tym, aby nie spaść. Do pałacu było na tyle blisko, że powinien dotrzeć tam, nie poddając się słabości i bólowi, który trawił go niczym ogień.

Już na Via Larga, gdy był blisko swego domu, ujrzał wielki ruch przy drzwiach i przypomniał sobie, że tego właśnie dnia mieli przybyć do niego uczeni z Portugalii. Obecna kondycja wykluczała spotkanie, wjechał zatem na Piazza San Lorenzo i skierował wierzchowca w stronę kościoła, oddalając się od Palazzo de Medici.

Gdy zsunął się na ziemię, ból zamroczył go na chwilę, tak że stanął

półprzytomny przed kościołem, nie poznając benedyktyna, który wyszedł mu naprzeciw.

— Mio Lorenzo — powiedział przejęty zakonnik, dotykając ramienia Medyceusza. — Czy coś się stało?

— Nie — odparł słabo Lorenzo, gdy doszedł trochę do siebie. — Muszę się pomodlić. Przyjechałem tutaj, bo mój brat...

— Oczywiście — odparł cicho kapłan i poprowadził gościa do wnętrza wspaniałej świątyni zbudowanej przez Brunelleschiego, ufundowanej jednak przez dziadka Laurenza. Ciągłe trwały tu jeszcze prace, ale już poza główną bryłą kościoła.

Zatrzymał się, aby przyklęknąć. Ból eksplodował w kolanach i wstanie wymagało potem najwyższego wysiłku. Było mu zimno, aż zęby zaczynały dzwonić. Gdy poczuł, że zdoła ruszyć się bez zataczania, podszedł do ołtarza.

— Dziwne — powiedział cicho. — Przez tyle lat się tutaj modliłem, ale odkąd to się stało, ile razy spojrzę na ołtarz, zawsze widzę tam mojego brata, jak leży w kałuży krwi. To stało się tak dawno temu, ale dla mnie jakby wczoraj. Albo dzisiaj rano.

— Zostawię cię samego, abys mógł się modlić — powiedział kapłan i pomyślał w duchu, że też musi się pomodlić za zdrowie i duszę il Magnifico.

— Brakuje mi ciebie, Giuliano — powiedział Lorenzo, patrząc na pusty ołtarz. — Zwłaszcza teraz, gdy śmierć stoi mi za plecami. Łatwiej by mi było odejść, gdybyś był obok. Na mnie czekają chyba ognie piekielne, w każdym razie tak uważa przeor San Marco. Czy było próżnością, że poświęciłem się nauce piękna i miłości? Gotów jestem smażyć się za Volterrę. To, co tam uczyniłem, godne jest potępienia, ale żadna moja skrucha nie odwróci losu tego miasta. Jeśli już muszę cierpieć, to niechby za Volterrę właśnie, nie przez to, co ukochałem. Czy to próba oszukania losu czy próżność poety? —

spytał lżejszym tonem. — A może to, co zawsze mi wypominałeś, że nie umiem przegrywać. Nawet gdy chodzi o wieczność piekielną, gotów jestem przyjąć ją, ale na moich warunkach.

Spojrzał na sklepienie kościoła, jak robił to już wiele razy, podziwiając jego wspaniałą architekturę. Nie wyczuwał w nim jednak świętej obecności.

— Za dużo tu Medyceuszy, za mało Boga — powiedział i omal się nie roześmiał z tak bezczelnego stwierdzenia. Przypomnił sobie napisany wiele lat wcześniej tęskny wiersz.

*O Dio, o sommo bene, or come fai, che Te sol cerco e non Ti truovo mai?*

Całe życie poszukiwał dobra, a teraz, gdy potrzebował go najbardziej, wydawało się szczególnie odległe. Złożył obolałe dłonie i zaczął się modlić.

Po drugiej stronie placu, w pokoju na drugim piętrze pałacu Medyceuszów, Demetrice Volandrai spojrzała w okno i przerwała toczoną właśnie rozmowę.

— Co jest, donna mia? — Jej gość też podszedł do okna. Jego hiszpański dublet lśnił czernią w chłodnym świetle dnia. Obszyta koronkami kreza okalała szyję. Widoczny jeszcze chwilę wcześniej na jego twarzy wyraz uprzejmości ustąpił miejsca wyraźnemu zainteresowaniu.

— Tam. Przed kościołem San Lorenzo. — Demetrice wskazała na plac.

— Tam? Widzę muła, co może oznaczać, że zawitał do nich biskup...

— Nie, dalej. — Przesunęła nieco palec. — To koń Laurenza. Rakoczy rozpoznał gniadosza, którego widywał już wcześniej.

— Zapewne ma jakąś sprawę do prepozyta.

— Ale miał być w Signorii... Chociaż może rzeczywiście nie

powinam się niepokoić.

Rakoczy ujął delikatnie jej dłoń.

— Czego się obawiasz, donna Demetrice? Odwróciła wzrok, ponownie zerkając w okno.

— Niczego, San Germano. — Jej ucieczka w oficjalny ton odniosła skutek dokładnie odwrotny do zamierzonego.

— Nie, donna, nie oszukasz swego smutku — powiedział obcokrajowiec i spojrzał jej w oczy. — Wiem, że czegoś się obawiasz. I ja też się tego boję.

Nie wiedziała zrazu, czy ma to uznać za obrazę, czy przyznać, że te słowa przyniosły jej ulgę. Poczucie ulgi ostatecznie zwyciężyło.

— Co ci powiedział?

— Nic. To ja mu powiedziałem. — Rakoczy spojrzał ponownie na plac. — Może masz rację. — Znowu zwrócił ku niej twarz. — Chcesz sprawdzić, co tam się dzieje? Jeśli się mylimy i wszystko z nim w porządku, i rozmawia tylko z księdzem, będzie zły.

Demetrice nie wahała się ani chwili.

— Tak. Nie obchodzi mnie, czy się rozzłości. — Odeszła od okna, aby wziąć rdzawy szal i owinąć nim ramiona. — Przecież gdyby chciał tylko porozmawiać z księdzem, najpierw wróciłby tutaj, aby potem przejść się na drugą stronę placu. Ale nie zajrzał nawet do domu.

— Być może zobaczył cały oddział Portugalczyków kłębiący się przed drzwiami i poszukał chwili spokoju przed spotkaniem z nimi — powiedział spokojnie Rakoczy, chociaż podzielał niepokój dziewczyny. Wszedł zaraz za nią i zamknął drzwi.

— Mógł też pójść gdzie indziej, konia odsyłając z jakimś księdzem — dodała Demetrice, chociaż sama w to nie wierzyła. — Po spotkaniach zaglądał często do menażerii. Uważaj na schody, są bardzo strome.

— Jasne.

Zbiegli na piętro, aby bocznymi schodami zejść do ogrodu rzeźb na tyłach pałacu.

— Nikogo dziś tutaj nie ma, grazie agli angeli — powiedziała dziewczyna, otworzywszy drzwi. — Gdyby rzeźbiarze go zajmowali, nijak byśmy nie przeszli. — Wskazała na drzwi. — Możesz zamknąć je z powrotem?

Laurenzo uniósł w końcu głowę i westchnął.

— Giuliano mio — powiedział cicho. — Pamiętasz ten wieczór, gdy poszliśmy śpiewać serenady, a ty wzięłaś dwa dzbany mocnego hiszpańskiego wina? Cudem wróciliśmy do domu. Matka była wściekła. To było tuż po tym, jak urodził się Piero, prawda? A teraz Piero jest żonaty. — Potarł twarz, próbując uporządkować myśli. — Masz świetnego syna. Lubię go. Wysoko zajdzie w Kościele. — Pochylił się nad barierką, przy której przyjmowano komunię. — Powiesiliśmy większość spiskowców, włączając w to biskupa. Sandro namalował nawet wspaniały fresk. Z tego wieszania. Ja napisałem kilka wierszy o zdradzieckich świniach. Jednak to wszystko nie przywróciło cię do życia, Giuliano. — Podszedł do prostego grobu brata. — Zawsze chciałem ci wystawić pomnik. Powinienem zająć się tym wcześniej. Mam już czterdzieści dwa lata, Giuliano. Skąd mogłem wiedzieć, że zostało mi tak mało czasu? Pamiętasz nasz plan? Ten, że gdy dojdę do trzydziestu pięciu lat, przekażę ci wszystkie obowiązki i wreszcie poświęcę się poezji? A może nawet wyjadę z kraju. Nie zrobiłem tego i teraz żałuję. — Przesunął palcem po gładkim marmurze. — Pokój drogo nas kosztował, ale przynajmniej była to cena zapłacona złotem, nie ludzkim życiem. Ale ty zawsze byłeś taki pogodny. Dzisiaj jest bardzo zimno. Chwilę temu byłem w Signorii. Ledwie zdołałem utrzymać pióro, aby podpisać dekret o obchodach narodzin Jezusa. — Powoli i z wysiłkiem opadł na kolana obok grobu



brata. Oparł ręce na marmurze i ukrył głowę między łokciami.

Jakiś czas później poczuł lekkie dotknięcie na ramieniu. Obrócił się, bardziej zdumiony niż zirytowany, aby poprosić domniemanego księdza o jeszcze chwilę samotności.

— Demetrice — powiedział zaskoczony.

Dziewczyna obawiała się ujrzeć o wiele gorszy widok, tak że nawet wyraz jego twarzy nie zrobił na niej specjalnego wrażenia.

— Tak. Musisz nam wybaczyć, ale zobaczyliśmy twojego konia...

— Wam? — spytał, rozglądając się trochę nieprzytomnie wkoło. Szybko rozpoznał postać w czerni. — Rakoczy. Ale co wy tu robicie?

San Germano podszedł bliżej.

— Wstąpiłem porozmawiać z donną Demetrice o jej przenosinach do mojego pałacu. Chce zostać moją gospodynią, co w praktyce będzie oznaczało troskę o moje książki i prowadzenie rachunków domowych. Będzie zatem miała czas dla siebie i na zajmowanie się twoją biblioteką. Jestem twoim dłużnikiem, Lorenzo. Dziękuję, że o mnie pomyślałeś. — Powiedział to spokojnie i z uśmiechem, ale Lorenzo nie dał się oszukać.

— To ja dziękuję, amico mio. I nie próbuj mnie brać pod włos. Cieszę się, że przyszlście oboje. — Spojrzał uważnie na Rakoczego. — Chociaż nie wiem, co tobą kierowało. Zdawało mi się, i wybac mi, jeśli się mylę, że wolałbyś nie być świadkiem mego umierania.

Na chwilę cisza zapadła w pełnym zwykle ech kościele.

— Cóż, Magnifico, przypuszczam, że masz rację. — Przyciągnął bliżej jedną z ławek, całkiem ignorując przy tym szarpiący nerwy łoskot. Usiadł na niej, plecami do wnętrza świątyni. — Wiele, bardzo wiele lat temu zdarzyło mi się widzieć pewne... igrzyska, podczas których rozdarto na strzępy trzy osoby, które kochałem. Nijak nie mogłem uratować ich od strasznej śmierci. Zginęli naprawdę, i to na moich oczach. — Spojrzał na ściągniętą twarz Laurenza, aby nie

myśleć teraz o rzymskim cyrku i przepędzić tamte obrazy, głosy i zapachy, które wracały do niego tyle razy przez minione stulecia. Potem widywał gorsze jeszcze sceny, ale o nich tym bardziej nie chciał wspominać.

— To byli twoi bliscy? — spytał z przejęciem Lorenzo.

— Byli mojej krwi.

— Ach. — Lorenzo oparł się znowu o grób brata. Uniósł rękę, aby ująć palce Demetrice. — Mia tesoro — szepnął i spojrzął znowu na Rakoczego. — Jak dawno temu to było?

— Mniej niż połowę mego życia — odparł zgodnie z prawdą.

— Ciągłe mam tamtą scenę przed oczami. Przyrzekałem sobie potem, że nie dopuszczę więcej, aby ktoś stał mi się równie bliski. Nie zawsze mi się udawało, ale starałem się tak właśnie postępować, pamiętając, jak wielki jest ból straty. Z czasem jednak zmieniłem się. Zacząłem na swój sposób cieszyć się życiem. Poświęciłem się nauce i podróżowaniu. Zacząłem otaczać się pięknymi i cennymi przedmiotami. No i cenić muzykę. Zawsze i nade wszystko.

— Ale jesteś sam? — spytał Lorenzo, nie oczekując odpowiedzi.

— Pamiętam twoją piosenkę. To smutne, mio caro stragnero, że obcość stała ci się towarzyszką. — Spróbował wstać, ale nie zdołał przezwyciężyć słabości.

Rakoczy odetchnął, widząc koniec tej nazbyt osobistej rozmowy. Wstał z ławy.

— Demetrice, Magnifico potrzebuje naszej pomocy. Weź go pod ramię z drugiej strony i razem jakoś wstaniemy. Lorenzo, jeśli pójdziesz między nami, na pewno nie upadniesz, a cała Florencja będzie nam zazdrościła tego zaszczytu. — Przyklęknął, ujął Medyceusza i poczekał, aż dziewczyna zrobi to samo.

— Nie cierpię tej słabości — syknął cicho Lorenzo. Ani Rakoczy, ani Demetrice nie poczuli się urażeni.

— Zdarza się, Magnifico — powiedział San Germano. Zdecydowanym ruchem dźwignęli Medyceusza. — Zdarza się, że nawet to, co najbardziej niechciane, zaczyna nabierać wartości.

Opierając się na nich, ciężko ruszył w stronę wyjścia.

— Francesco, czy dałoby się trochę potargować z kostuchą? — spytał po chwili. — Wiem, że nie ma dla mnie nadziei, ale może dałoby się trochę ją odwlec? Zwłaszcza że ból nie jest problemem. Twój kordiał świetnie na mnie działa.

— Nikt nie jest w stanie odwlekać jej w nieskończoność, ale owszem, są sposoby, aby ją opóźnić — powiedział Rakoczy i zaśmiał się gorzko. — Nie na długo. — Nie potrafił zdobyć się na szczerą i powiedzieć wprost, jak niewiele tygodni zostało jego przyjacielowi.

— Na długo nie, ale miesiąc? Albo chociaż kilka dni — rzucił w desperacji Lorenzo.

— Jeśli tylko będzie to możliwe, zrobię, co w mojej mocy.

— Nie przeżegnałem się — powiedział Medyceusz, gdy byli już blisko drzwi. — Muszę to zrobić.

— Bóg wie, w jakim jesteś stanie — stwierdził San Germano niemal ze złością. — Wie o tym dobrze i jeśli naprawdę jest miłosierny, a ty w Niego wierzysz, nie weźmie ci za złe, jeśli nie pożegnasz Go przy wyjściu.

Demetrice była dla niego mniej surowa.

— Zawsze pochwalasz w innych miłosierdzie i tolerancję. Okaż choć trochę także i sobie.

Lorenzo dał się przekonać.

— Czuję się jak starzec — stwierdził ze smutkiem. — Kości mnie bołą, palce ledwie słuchają i jeszcze wlokę się tak między wami. Boję się śmierci, ale czuję też ulgę. — Spojrzał na swoje dłonie i ręce na ramionach przyjaciół. — Kiedyś miałem takie piękne dłonie. Prawie tak piękne jak twarz. A teraz... Stare, powykręcane drzewa. Cóż, Bóg

nauczy mnie jeszcze pokory, zanim odejdę.

Rakoczy otworzył drzwi kościoła i zimny wiatr sięgnął w ich stronę.

— Tak, przyjaciele, nie zasłużyłem sobie na waszą troskę — powiedział Medyceusz przez zaciśnięte zęby. — Ale jakie to ma teraz znaczenie. Przeprowadźcie mnie przez plac. Chyba muszę zająć się tymi Portugalczykami.

List i rachunek przekazane Francescowi Rakoczemu da San Germano przez mistrza cechu:

*Szanowny Signor Rakoczy, członkowie kilku cechów, którzy pracowali przy budowie i wykończeniu Pana pałacu za Santissima Annunziata, wykonali swoje zadanie w pełnej zgodzie z Pańskimi instrukcjami. Dołączam do tego listu rachunek na tę część zapłaty, która przekroczyła kwotę wcześniej przekazanej zaliczki.*

*Wprawdzie prace powinny już się zakończyć, jednak jak wcześniej informowałem, trzech budowniczych opuściło przedwcześnie plac budowy i wyniosło się nawet z Florencji, co spowodowało pewne opóźnienie.*

*Jesteśmy wdzięczni za hojne podejście w kwestii wynagrodzeń. Wprawdzie członkowie naszego cechu nie zwykli otrzymywać pięciu złotych florenów za swoją pracę, ale jak sam Pan wspomniał, nie była to zwykła budowa i wymagania stawiane w jej trakcie nie należały do zwyczajnych. Doceniamy zatem ten gest.*

*Pański zarządca, Ruggiero, otrzymał już klucze, o które Pan prosił, i wszystko jest gotowe do Pańskiego przyjęcia w dzień Trzech Króli, kiedy to będzie mógł Pan złożyć wyrazy szacunku Medyceuszom.*

*Gdyby miał Pan jakiegokolwiek pytania dotyczące rachunku, proszę o informację, a chętnie wszystko Panu objaśnię.*

*Niech okres Bożego Narodzenia przyniesie Panu wiele radości. To*

*zaszczyt dla nas gościć we Florencji tak znakomitego obcokrajowca.  
Z, a wszystkich członków cechu Justiniano Montegelato  
We Florencji, 29 grudnia 1491*

## . 12 .

Żonglerzy zakończyli występ i w loggi pałacu San Germano kręciło się teraz dwóch akrobatów pokazujących chodzenie na rękach. Jeden z nich niósł płonące pochodnie, drugi balansował ustawionymi na stopach pucharami z winem. Przygrywało im trzech muzyków, z czego jeden grał na bębenkach i cymbałach, drugi na pasterskiej kobzie, trzeci zaś trącał struny lutni. Ich melodie, chociaż proste i celowo głośne, nie potrafiły przebić się przez gwar rozmów.

Ponieważ nowy pałac został wzniesiony w stylu genueńskim, nie wchodziło się do niego wprost z ulicy, co bardzo cieszyło gości Rakoczego w ten mroźny, zimowy dzień, oznaczało bowiem dodatkową dozę ciepła. Okiennice chroniły wysokie okna przed niosącym śnieg, północno-wschodnim wiatrem.

Dwa przylegające pokoje także były pełne. W jednym trupa francuskich komediantów odgrywała dla gości farsę, a w drugim podgrzewano kociołki wina. Amadeo, kucharz Rakoczego, doglądał pilnie całej operacji, dawkując odpowiednio przyprawy, dzięki czemu już unosząca się wkoło woń mogła przyprawić o zawrót głowy.

Rakoczy siedział wraz z najdostojniejszymi gośćmi przy stole ustawionym u stóp szerokich schodów. Miał na sobie wspaniałą giorneę z czarnego aksamitu z wyciętymi i obrębionymi czerwonym atłasem rękawami, które ukazywały śnieżnobiałą, jedwabną koszulę. Wysoki kołnierz też został obrębiony czerwienią, na szyi zaś zawiesił zagraniczny srebrny order z rubinami. Obcasy jego rosyjskich butów mieniły się od klejnotów, które stuknęły wyraźnie przy każdym kroku.

Obok niego siedział Lorenzo de Medici w brokatowym kaftanie z granatowego jedwabiu, który otrzymał od tureckiego sułtana. Pod spód włożył lucco ze złotego atłasu. Nie nosił biżuterii, a ci, którzy go

znali, dostrzegali jego zmęczenie.

— ...ale oczywiście ta dziewczyna była głupią Sycylijką i nie zrozumiała do końca, co pan kazał jej zrobić. — Lorenzo uśmiechnął się, znając zakończenie, i pochylił się w stronę Marsilia Ficina i alchemika Cossy. — Tak więc i podała zupę w nocniku! — Jego śmiech zabrzmiał niemal równie radośnie, jak kilka lat temu, a panująca wkoło wesołość maskowała coraz gorsze samopoczucie. Sięgnął po swój srebrny kielich, ale Rakoczy go powstrzymał.

— Nie, Magnifico. Mam dla ciebie coś lepszego.

Wstał i klasnął mocno w dłonie i po chwili tuż obok niego pojawił się Ruggiero. Rakoczy wziął od niego pakunek i zwrócił się ponownie do Medyceusza:

— Magnifico, ten dzień to pora wręczania prezentów, co ma upamiętnić podarunki przyniesione Chrystusowi. Inne ludy też czynią to w dzień zimowego przesilenia. Rzymianie obchodzili go pośród wesela jako Saturnalia. Mieszkańcy Północy rozjaśniają sobie wówczas długą noc zabawami. Nawet w dalekich Chinach obchodzone są teraz uroczystości powrotu słońca. Właściwe zatem będzie, chociaż jestem obcy we Florencji i z innego ludu się wywodzę niż wasz, jeśli uczynię coś zgodnego z moim zwyczajem, który nie różni się w tym przypadku od waszych. — Mówił bardzo głośno i przykuł już do tej chwili uwagę większości gości. — Każdy ceremoniał niewiele jednak znaczy, jeśli brakuje mu szczerości. Tym bardziej więc czuję się waszym dłużnikiem. Florencja okazała się dla mnie bardzo łaskawa i wasze ciepłe przyjęcie było dla mnie niczym deszcz dla popękanej i suchej ziemi. — Spojrzał wprost na Medyceusza. — Pierwszego stycznia, pięć dni temu, wszedłeś w czterdziesty czwarty rok życia. Dla uczczenia tego faktu i w podzięce za czterdzieści trzy lata oddane Florencji przekazuję ci owoc mojej sztuki. — Podał pakunek Laurenzowi, on zaś skłonił się w sposób zarezerwowany

zwykle dla książąt krwi.

Goście unieśli z zainteresowaniem brwi. Lorenzo przez chwilę trzymał prezent w rękach, potem pociągnął za złotą wstążkę, którą był obwiązany, i odwinął opakowanie. Wewnątrz znajdowała się inkrustowana klejnotami skrzynka. Zawahał się, podziwiając robotę.

— Otwórz ją — zasugerował Rakoczy.

— Tutaj? — Lorenzo dotknął boku pudełka, gdzie widniał ułożony z rubinów i jadeitu herb Medyceuszy. Nacisnął tarczę i wieczko odskoczyło, ukazując zawartość.

Zebrani nie zdołali powstrzymać okrzyku zachwytu, gdy Medyceusz wyciągnął i pokazał wszystkim kielich z podstawą ze srebra i florenckiego złota, które uformowane było w okalające ozdobioną klejnotami nóżkę litery LAUR MED. Czasza była czerwiejsza niż kolor używany w herbie Medyceuszy i zdawała się wykonana z jednego, wydrążonego w środku rubinu. Jaśniała wewnętrznym ogniem i żadne wino nie mogłoby się równać z jej barwą. Lorenzo uniósł kielich i w zapadłej nagle ciszy obrócił go do światła. W jego oczach błysnęły łzy.

— Caro stragnero — odezwał się po chwili głosem łamiącym się ze wzruszenia. — Naprawdę, nie wiem co powiedzieć.

To przełamało zakłęcie milczenia i rozległ się powszechny aplauz. Wszyscy uznali, że był to wspaniały gest, wart docenienia na równi z pięknem samego podarunku. Lorenzo wstał tak gwałtownie, że aż przewrócił krzesło.

— Wina! Przynieście mi najlepszego wina, jakie macie! Ruggiero oddalił się pospiesznie i Rakoczy zwrócił się do gościa:

— Mam stary rocznik burgunda. Służący zaraz go przyniesie. — Przyniósł się nieznacznie i ściszył głos. — I mam tu jeszcze coś dla ciebie, Lorenzo. To, o co prosisz.

Laurenzo też przeszedł natychmiast do szeptu.



— Czy to...?

Rakoczy wzruszył lekko ramionami.

— To fiołka. — Wyjął ją z rękawa i wsunął w gorące i suche palce Medyceusza.

— Ile da? — spytał Lorenzo, przytrzymując dłoń Rakoczego ze zdumiewającą siłą.

— Niewiele, amico. Zapewne miesiąc. Ten środek ma paskudny smak. Przyjmij go z winem albo mlekiem migdałowym. — Cofnął dłoń, zadowolony z rychłego powrotu Ruggiera. — Proszę, Magnifico — powiedział głośno, przyciągając uwagę gości. Wziął butelkę i pokazał ją Medyceuszowi. — Pochodzi z Burgundii, z majątku Saint-Germain.

Laurenzo się zaśmiał.

— Chyba masz z nim coś wspólnego, San Germano.

— Na to by wyglądało — odparł enigmatycznie Rakoczy. — Zostało zabutelkowane w roku 1449, tym samym, w którym się urodziłeś, Magnifico.

— Razem się zrodziliśmy, razem odejdziemy z tego świata — mruknął Laurenzo, odwracając się na chwilę od gości, aby ukryć rozpaczliwe skrzywienie ust. Równocześnie udał, że próbuje otworzyć wino.

— Pozwól, Magnifico — powiedział Ruggiero i wziął butelkę. Małym nożem zeszkrobał wosk i tym samym narzędziem wyciągnął korek, który podał zaraz Medyceuszowi.

— Strata czasu. Niech Rakoczy go powącha — stwierdził Laurenzo i przekazał korek gospodarzowi, który zbadał jego aromat przed odłożeniem.

— Nalej trochę dla Laurenza — polecił, wskazując wspaniałe kielichy.

— I ty też, mio caro stragnero. Też musisz wypić. Rakoczy wykonał

swoisty gest odmowy.

— Nie pijam wina.

— Ale przecież... — zaczął Lorenzo i nagle jakby coś zrozumiał. Uniósł kielich. — Cokolwiek pijasz albo i nie, ja chętnie wychyle. — Gdy wonny burgund płynął z butelki, Medyceusz pochylił się do Rakoczego. — I chyba też nie jadasz? — spytał cicho.

— Na pewno sobie coś znajdę, gdy przyjdzie pora — szepnął San Germano i wstał, aby ustawić krzesło gościa z powrotem na miejscu. Ruggiero odstawił tymczasem butelkę. — Proszę, Magnifico. Szlachetne wino i wyjątkowy kielich. Jedno i drugie przystoi komuś, kto jest sercem Florencji.

Goście entuzjastycznie przyklasnęli jego słowom, czasem dorzucając własne komplementy. Kilka kobiet obdarzyło gospodarza ciepłymi uśmiechami. Lorenzo wypił i odstawił kielich. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiej satysfakcji.

— Nie — powiedział na tyle zdecydowanie, że wyraźnie nie życzył sobie zaprzeczeń. — Może jestem poetą, w każdym razie pochlebiam sobie, że tak jest, ale prawdziwym sercem tego miasta są jego artyści, muzycy i nauczyciele, którzy ożywiają je swoją pracą.

Rakoczy uśmiechnął się do Laurenza ze zrozumieniem.

— Nie byłoby ich, gdyby nie twój ojciec i jego ojciec, którzy gotowi byli im płacić, Magnifico. Jeśli artysta chodzi głodny, niewiele cennego zostawia światu. Jeśli muzyk koncertuje jedynie w swej ruderze, muzyka umiera wraz z jego oddechem. — Usiadł i pokazał Medyceuszowi, aby uczynił to samo. — Proszę wlać trochę olejku do wina. Kropla albo dwie wystarczą. Gdyby się skończył, proszę mi powiedzieć — dodał szeptem. — Ale nie należy brać za dużo. Nie pomoże wtedy, a może zaszkodzić, wywołując mdłości.

— Skoro tak mówisz — odparł cicho Lorenzo, wysuwając fiolkę z rękawa. Kapnął trochę płynu do wina i spojrzał z uśmiechem na

giorneę Rakoczego. — Bardziej wyglądasz teraz na Florentyńczyka niż ja. Ten aksamit jest miejscowego wyrobu, a po rozcięciach poznałoby w tobie mieszkańca Florencji nawet na końcu Europy. Koszula leży jak ulał, krój reszty jest wręcz idealny, a jeśli dół nie jest podwójnie plisowany, to jutro oddaję ci wszystkie moje meble.

— Cóż — uśmiechnął się lekko Rakoczy. — Ty, jako miejscowy, możesz ubierać się według woli i ochoty. Ja, będąc obcym, muszę uważać, aby nie naruszyć waszych zwyczajów.

— I to dlatego preferujesz hiszpańskie dublety? — Lorenzo upił kolejny łyk wina. — Bardzo dobre. Niezbyt lubię Francuzów, chociaż dobrze z nimi żyję, ale muszę przyznać, że znają się na winach. To przypadek z nazwą majątku, z którego to wino pochodzi?

— Tylko. I nic więcej — odparł Rakoczy, rozglądając się po sali. Blisko pokoju, w którym działali komedianci, stało kilku członków Confraternita del Bigallo, wpływowej organizacji zajmującej się opieką nad najuboższymi, dostarczaniem im ubrań i schronienia. Obok dostrzegł trzech zagranicznych uczonych, sądząc po wyglądzie Holendrów lub Anglików. Była też cała Signoria, oprócz jednej osoby. Wiele kobiet było wykwintnie odzianych, niektóre w sukniach obrębionych futrem i z brokatowymi rękawiczkami tak uszytymi, aby przenikały się z bufiastymi rękawami. Obok czterech członków Confraternita della Misericordia spostrzegł Demetrice pogrążoną w dyskusji z dwoma nauczycielami z Akademii. Miała na sobie otrzymaną od Rakoczego nową gonellę, jedwabną i utrzymaną w tonacji intensywnej zieleni. Zauważywszy kolejnego gościa, podeszła z uśmiechem, aby go powitać. Botticelli też ruszył w jej kierunku. Poruszał się niezgrabnie, jakby nie przywykł do noszenia eleganckich strojów.

— Francesco — powiedział cicho Lorenzo. — Nie musisz się mnie obawiać.

— Nie wiem, o czym mówisz — skłamał San Germano.

— Chcę powiedzieć, że możesz mi zaufać — wyjaśnił cierpliwie Medyceusz. — Nie wydam cię.

— Nie wydasz? — Rakoczy rozejrzał się, szukając pretekstu, aby wstać od stołu, ale żadnego nie znalazł.

— Pamiętasz, jak jesienią zwiedzaliśmy pewien zrujnowany dom pod miastem? Ten, przy którym jakiś starzec chciał podciąć sobie gardło na twoją cześć? — spytał Lorenzo, kreśląc palcem jakieś wzory na białym obrusie.

— Tak — odparł Rakoczy przez zaciśnięte zęby.

— A pamiętasz, że wszedłem do tej świątyni? — Nie czekał na odpowiedź. — Było tam wiele dziwnych przedmiotów. Między innymi zwój z napisem w obcym języku.

— Naprawdę? — San Germano nie mógł poprosić gościa o zmianę tematu bez zwracania na siebie nadmiernej uwagi pozostałych. — Nie widziałem go. Co zostało na nim zapisane?

— Nie umiem odczytać. Ale rozpoznałem to zdanie. — Przerwał, dopił burgunda i sięgnął po butelkę. — Widziałem taki napis już wcześniej.

— W rzeczy samej.

— Na twoim herbie. — Obejrzał się na tłum znakomitych gości. Niemal znudzony podjął temat. — Nie obrażaj inteligencji nas obu zaprzeczeniami, że nie wiesz, o czym mówię. Jeśli wolisz milczeć, dobrze. Ale... — Przerwał, spoglądając na kielich. — Wino i czara są jakby jednym klejnotem. *Stragnero della morte, stragnero dell' amor* — wyrecytował cicho.

Rakoczy nie wiedział za bardzo, co odpowiedzieć.

— Długie lata nauczyły mnie milczeć — stwierdził w końcu. — Uwierz, że to była trudna lekcja. Zapewniam cię też, że ani ty, ani Florencja, ani jej mieszkańcy nie są przeze mnie zagrożeni.

Laurenzo pokiwał ciężko głową i upił jeszcze łyk.

— Sta bene. I to musi mi wystarczyć. — Skinął na Botticellego i pokazał mu, aby zajął miejsce przy stole. — Sandro też je polubi. I dziękuję ci za nie, Francesco. I za to drugie też.

Sandro już kierował się w ich stronę, gdy za oknem doszło do jakiegoś zamieszania i coś otworzyło siłą grube okiennice. W zapadłej nagle ciszy wszyscy spojrzeli w stronę widocznych na zewnątrz intruzów. Chłodny wiatr wtargnął do środka.

Rakoczy zerwał się na nogi.

— Co to jest? — zawołał.

Chwilę później również i drzwi zostały otwarte i do środka wpadła grupa młodych ludzi w szarych sutannach. Trzech trzymało napis głoszący: *Nos Praedicamus Cristum Crucifixum*.

— Savonarola! — wykrzyknął Laurenzo. — Jesteście zwolennikami Savonaroli. Jakim prawem się tu wdarliście? — Podnosząc się ciężko, potrącił rubinowy kielich i burgund wylał się na obrus. — Na czyj rozkaz tu przyszliście?

— Na rozkaz ukrzyżowanego Chrystusa! — wykrzyknął jeden, który najwyraźniej był przywódcą grupy. Zrobił krok i rozejrzał się wkoło pogardliwie. — Chrystus wygnał kupczących ze świątyni, a Jego Duch wyrzuci lichwiarzy z Republiki! — Uniósł rękę w geście na kształt rzymskiego pozdrowienia, a grupa poparła go krzykiem.

— O, Boże — mruknął Laurenzo i zaczął obchodzić stół.

— Nie, Magnifico — powstrzymał go Rakoczy. — Jesteś moim gościem. Sam sobie z nimi poradzę. — Okrążył stół i zszedł po schodach. — Czego od nas chcecie, dobrzy obywatele Florencji? Jeśli zamierzaliście popsuć nam wieczór, to się wam udało. Zniszczyliście też moje nowe drzwi, nie wspominając o okiennicach. Jeśli zamierzacie się modlić, proszę bardzo. W przeciwnym razie proponuję się wynieść, zanim wezwę lanzi. — Nie była to czcza pogroźka.

Opłacani złotem Medyceuszy najemnicy, którzy strzegli porządku we Florencji, bez słowa stanęliby w obronie Laurenza.

— Jestem Mario Spinnati — oznajmił przywódca napastników. — Uczeń proroka Savonaroli, który widział mający nadejść dzień Gniewu Bożego. To wy, próżni i zepsuci, ściągacie na nas potępienie. Miecz zemsty Bożej zawisł nad nami i tylko skrucha i żal za grzechy może nas uratować. — Rozpostarł ramiona i wysunął pierś do przodu, jakby czekał na przybicie do krzyża. — Ukorzcie się! Poczujcie Boże cierpienie!

Rakoczy westchnął.

— Wynoście się.

Wszyscy goście zebrali się już w loggi, a dwóch francuskich aktorów wyglądało z sąsiedniego pokoju. Na ich upudrowanych twarzach malował się prawdziwy strach. Mario Spinnati potrząsnął głową i skinął na swoją grupę.

— Jesteśmy gotowi, aby sobie z wami poradzić — powiedział, krzywiąc się jak ktoś trawiony gorączką. Na jego znak mężczyźni w szarych szatach wyciągnęli skryte między fałdami odzieży dłonie. Mieli w nich baty, dwóch trzymało łańcuchy.

Rakoczy nie poruszył się, ale dało się w nim wyczuć napięcie.

— Muszę poprosić moich gości o wyjście, chociaż świętowanie jeszcze się nie skończyło — powiedział na tyle głośno, że dało się go słyszeć w całej sali. — Ruggiero, wezwij natychmiast lansjerów.

Przybysze w sutannach tłoczyli się jeszcze przy drzwiach. W loggi zrobiło się już całkiem zimno i eleganccy goście Rakoczego wyraźnie nie czuli się dobrze. Kilku zaczęło rozglądać się za jakimś innym wyjściem.

— Amici mei — powiedział spokojnie San Germano, nie spuszczać oczu z wrogiej grupy. — Na tym piętrze są jeszcze dwie sale. Przejdźcie do nich — dodał nieco głośniej, aby przedrzeć się

przez szum rozmów spanikowanych gości. — Lorenzo, wiesz, gdzie są moje pokoje — dodał znacznie ciszej. — Idź tam. Jeden z moich służących bezpiecznie cię wyprowadzi. — Potem, nie czekając na reakcję czy pomoc, podszedł prosto do Maria Spinnatego. — Jesteś bezbożnym tchórzem, skoro kryjesz swoją podłość za znakiem krzyża. — Beznamiętnie wymierzył mu policzek.

— To bluźnierstwo! — wrzasnął Spinnati i rzucił się na Rakoczego pewny, że bez trudu powali niższego mężczyznę.

Bardzo się pomylił. Ledwo doskoczył do cudzoziemca, Rakoczy zanurkował pod jego ręką i wyrastając nagle z tyłu, złapał wyrostka za ramię i okręciwszy go lekko wokół osi, cisnął na podłogę.

— *La vendetta d 'Iddio!* — zakrzyknęli podwładni ucznia proroka i ruszyli przed siebie, roztrącając po drodze długie stoły zjedzeniem. Goście z kolei podnieśli rwetes, kierując się do drzwi.

Rakoczy usłyszał, że ktoś woła go po imieniu, i obejrzał się. Ujrzał Botticellego, przytrzymującego jednego z napastników za kołnierz.

— Gdzie mam go położyć? — spytał artysta.

— Na dworze! — odparł Rakoczy i odskoczył, gdy jeden z szarych zaatakował go łańcuchem. Ku zdumieniu napastnika pozwolił, aby łańcuch owinął się wokół jego ręki, rozdierając rękaw i uszkadzając camisę, jednak sam nawet nie drgnął. Potem szarpnięciem wyrwał łańcuch szaremu, zwałając go z nóg, i odkopnął na bok.

Nawet komedianci walczyli jak mogli, inkasując jednak też sporo ciosów. W drugich drzwiach stał Amadeo i oganiał się od intruzów dwoma ciężkimi warząchwiami. Wysoki i niezdrowo chudy, zdawał się trwać na posterunku niczym smagana wichurą sosna.

— Francesco! — doleciał z góry głos Laurenza i Rakoczy odwrócił się akurat w porę, aby uniknąć obciążonego kawałkiem metalu zakończenia bata. Poczul obejmujące go ręce. Przez tę chwilę, gdy był unieruchomiony, napastnik zdołał jednak dosięgnąć jego twarzy.

Sandro klęczał na jednym kolanie, szykując się do odparcia ataku trzech szarych z kijami. Jego jasne włosy były czerwone od krwi.

— Ach, Gran' Dio, gdzie moje noże? — zakrzyknął Amadeo, gdy uderzenia bata wyrwały mu warząchwie z dłoni. Uniósł przedramię, aby osłonić się przed kolejnym ciosem.

Rakoczy poczuł jeszcze trzy uderzenia, które rozorały mu twarz, i właśnie miało spaść czwarte, gdy San Germano ostatecznie nie wytrzymał. Dając upust wściekłości, kopnął raz i drugi tych, którzy stali za nim, i usłyszał trzask pękających kości. Gdy trzymający go wrzasnęli, odepchnął ich gwałtownie. Potem odwrócił się do napastnika z batem. Podskoczył wysoko i prostując nogi, trafił tamtego w klatkę piersiową, miażdżąc mu obojczyk.

Nie tracąc czasu na pokonanego, ruszył w kierunku tych, którzy osaczali Botticellego. Jednego uderzył od tyłu w okolice kolan, a gdy upadał, pchnął go na najbliższego kompana. Runęli splątani na podłogę.

— Sandro! Na bok! — krzyknął Rakoczy, łapiąc kolejnego napastnika za nadgarstek i unosząc jego rękę jak najwyżej, aby w tej pozycji kopnąć go w mało przystojną część ciała.

Obezwładnił jeszcze dwóch fanatyków, gdy w drzwiach pojawił się jeździec. Wprowadził wierzchowca do wnętrza i głośno uderzył końcem piki o podłogę. Gdy to nie uciszyło całkiem towarzystwa, powtórzył czynność.

— Przestać natychmiast!

Walka zaczęła przygasać, aż w końcu zapadła cisza. Przeciwnicy odsunęli się od siebie niczym przyłapani na gorącym uczynku kochankowie. Na nowej, marmurowej posadzce widać było krew, wszędzie wały się resztki dań.

— Kto tu rządzi? — spytał lansjer, kierując konia jeszcze kilka kroków w głąb loggi.



Rakoczy wyszedł naprzód z poranioną twarzą i ubraniem w strzępach.

— Ja — powiedział przez poobijane wargi.

— Co się stało? — spytał lansjer. Za drzwiami czekał jeszcze tuzin zbrojnych jeźdźców.

— Świątowaliśmy wieczór Trzech Króli, gdy zjawili się ci... obywatele — powiedział zmęczonym głosem, nie zostawiając jednak cienia wątpliwości, że miałyby ochotę nazwać napastników zupełnie inaczej. — Nieskłonni do przestrzegania praw obowiązujących w tym mieście dopuścili się ataku na mój pałac, stwarzając poważne niebezpieczeństwo dla przebywających w nim gości. — Przerwał na chwilę, aby rozejrzeć się wkoło i oszacować zniszczenia. — Okazali się... dość bezpośredni.

Lansjer jednak nie był skłonny uwierzyć mu tak łatwo.

— Mówisz, panie, o tych pokutnikach? To dobrzy ludzie, signor.

— Podobnie jak templariusze — odparł Rakoczy, nie mając ochoty na spory. — Proszę spojrzeć wkoło. Naprawdę sądzisz, panie, że wystosowaliśmy do nich zaproszenie, aby zdemolowali tę salę i pobili kilka osób?

W drzwiach do pokoju komediantów widać było postaci dwóch zakrwawionych i jęczących Francuzów.

— Jeśliś, panie, z nich szydził... — zaczął niepewnie lansjer, ale zamilkł, słysząc dobiegający z góry wysoki głos.

— Kapitanie Amara — powiedział Lorenzo na swój sposób, trochę jakby przez nos. — Proszę dać wiarę temu, co mówi Rakoczy.

San Germano spojrział na galerię, gdzie jego przyjaciel opierał się o barierkę. Twarz miał bladą, o barwie wosku.

— Jak widzisz, caro stragnero, nie uciekłem. — Niemal się roześmiał, ale zaraz zwrócił się znowu do kapitana: — Jeśli pan chce, mogę potwierdzić zasadność skargi.

Jednak kapitan Amara od razu zaczął przeproszać.

— Nie, Magnifico. Rozumiem już, co zaszło. Poszaleli z nadmiaru zapału i nie mogli powstrzymać się przed zaatakowaniem przyjęcia.

— Coś w tym guście — zgodził się oschle Rakoczy, pomagając wstać Botticellemu. — Nic ci nie jest, Sandro?

Rosły mężczyzna skrzywił się boleśnie.

— Chyba nie. Nie uszkodzili mi rąk ani oczu. Wydobrzeję. Lorenzo schodził już po szerokich schodach. Nadal trzymał w ręku rubinowy kielich.

— Kapitanie, to nie sprawa religii, lecz akt czystego wandalizmu. Każdy łajdak może nazwać się świętym, ale to jego czyny świadczą, kim jest naprawdę. Chyba pan się z tym zgodzi?

Mario Spinnati, który starał się ruszać jak najmniej, aby nie czuć złamanego obojczyka, chciał w pierwszej chwili zaprotestować, ale ujrawszy groźny błysk w oczach Medyceusza, uznał, że lepiej będzie nie kusić losu. Bóg nie wymagał od niego poświęceń na tym polu i mógłby nie pochwalić zbyt aroganckiego uporu.

Pod ścianą leżała połamana lira de braccia. Gdy Rakoczy ją podniósł, ostatnia ocalała struna pękła z jękiem. Był to tak żałosny dźwięk, że San Germano, nie myśląc, przytulił instrument do piersi.

— Nie, Francesco — powiedział Lorenzo, stając obok. Wyciągnął do Rakoczego wolną dłoń i ujął jego rękę, upewniając się wcześniej, że kapitan Amara dostrzeże ten gest. — Przyślę moich ludzi, aby tu posprzątaali.

— Nie trzeba — powiedział cicho Rakoczy. Ciągle jeszcze miał sobie za złe przyjemność, której dostarczyło mu uwolnienie złości. Miał nadzieję, że rozstał się z podobnymi problemami prawie tysiąc lat temu.

— Co się dzieje, Francesco? — spytał zaniepokojony Lorenzo.

— Nic, Magnifico. Nic takiego. — Spojrzał na kapitana Amaro. —

Ufam, że zabierzesz, panie, tych szaleńców z mojego domu. Natychmiast. — Westchnął i objął Laurenza ramieniem. — Chodźmy do biblioteki. Ja jeszcze wykąpię się po drodze, ale zaraz też tam zajrzę. — Spojrzał po raz ostatni na obraz zniszczenia i ludzi w szarych strojach pokutnych. — Ty też chodź, Sandro. Dzięki Bogu, nie wdarli się dalej. — Miał na myśli swoje tajne pokoje, jednak Lorenzo zrozumiał go inaczej.

— Właśnie, biblioteka! Wreszcie jest bezpieczna. — Teraz, gdy napięcie opadło, drżał na całym ciele i dopiero długo później pojął, jak bardzo pomocne było wsparcie silnego ramienia Rakoczego.

List Agnola Poliziana do szkoły medycznej w Padwie:

*Do lekarzy z Akademii Medycznej w Padwie od Fiorenzena Agnola Poliziana z prośbą o instrukcje w sprawie, w której wiadomym jest, że są ekspertami.*

*Szanowni Panowie, powiedziano mi, że jesteście biegłszymi lekarzami niż wszyscy medycy od antycznych czasów i że Wasza wiedza o ludzkich chorobach jest tak wielka, iż przypadłość, której nie znacie, może się co najwyżej przyśnić. Zatem pokornie proszę, abyście podzielili się ze mną swoją wszechwiedzą i sztuką.*

*Mam przyjaciela, i chociaż może mi nie uwierzycie, to właśnie dla niego o pomoc proszę, nie dla siebie. Onże przyjaciel jakiś rok temu zaczął podupadać na zdrowiu. Opiszę wam objawy jego choroby i jestem pewien, że wychwycicie z moich słów, co go gnębi i co należy czynić, aby go uratować.*

*Ów przyjaciel od dawna cierpiał na podagrę. Jednak do wspomnianego czasu nie powodowała ma większych problemów, rzadkie ataki zaś mijały szybko. Był człowiekiem aktywnym, o wielkim intelekcie i proporcjonalnie do tego energicznym. Nie zwykł skarżyć się bez potrzeby. Pamiętając o*

powyższym, weźcie pod uwagę, co następuje: pojawiała się wtedy opuchlizna stawów, zwłaszcza palców, łokci i kolan. Nie widziałem go bez obuwia, nie wiem zatem, jak było ze stopami. Ta opuchlizna była bolesna i często wiązała się z okresami słabości. W ostatnich sześciu miesiącach znacznie się powiększyła. Niekiedy okazywał się tak słaby, że nie mógł stać prosto ani utrzymać pióra. Czasami mawiał, że czuje coś jakby wielkie węzły zadziergnięte w żołądku i brzuchu, a wyraz cierpienia, jaki matował się wtedy na jego twarzy, zmiękczyłby nawet Wasze kamienne serca. Ostatnio pojawiły się też czyraki na skórze oraz sucha gorączka. Siły go opuszczają i chociaż nie mogę mu powiedzieć, że obawiam się o jego życie, taki właśnie strach mi towarzyszy.

Powiedzcie, co tak strasznie doświadczyło mojego przyjaciela? Co okrada go z sił? Jaka choroba albo jaki czart jest przyczyną? I co zrobić, aby go pokonać? Który z Waszych sposobów będzie właściwy? Jeśli znacie odpowiedź, prześlijcie ją jak najszybciej do Florencji. Nawet teraz obawiam się, że nie zostało dość czasu.

Nie wdawajcie się, błagam Was, w debaty ani uczone dyskusje o wszelkich wchodzących w grę ewentualnościach czy nowych sposobach leczenia, także nietypowych, które kusilyby Was w myśl zasady, że nowe lekarstwo zawsze jest lepsze od starego. Jeśli lek istnieje, przyślijcie go. Jeśli potrzeba chirurga, też go przyślijcie.

Gdyby tylko Egipcjanie wiedzieli, jak leczyć tę chorobę, znajdźcie Egipcjanina. Tylko zróbcie to szybko. Jeśli zbyt dużo czasu spędzicie na gratulowaniu sobie nawzajem wiedzy i przenikliwości, trupy przyjdzie Wam leczyć. Jeśli zaś sztuka medyczna nie zna tej choroby, nie ściągajcie całym tłumem do Florencji, aby obserwować jeszcze jedną śmierć z przyczyn nieustalonych. Nie chcę odzierać mojego przyjaciela z całej godności, a lekarze krążący nad nim niczym stado kruków z pewnością odebraliby mu całą odwagę, a ich obecność byłaby równa szyderstwu z jego konania.

*Odpowiedzcie, jak tylko zdołacie najszybciej. Nie zostało wiele czasu. Mamy już święto Oczyszczenia NMP. Oczekuję odpowiedzi przed Wielkanocą.*

*Agnolo Poliziano*

*We Florencji, 2 lutego 1491*

## . 13 .

Okiennice zostały wymienione, a marmurowa posadzka lśniła czystością i nic nie przypominało już o napaści sprzed sześciu tygodni. Pokoje wychodzące na loggię wykończono —jeden został poświęcony muzyce, drugi służył do przyjmowania gości.

Wieczór był jeszcze młody, ale większość miasta pogrążyła się już we śnie. Dominikanie z San Marco zakończyli właśnie swoje śpiewy, natomiast serwici w Santissima Annunziata mieli skończyć dzień modlitewny dopiero za godzinę.

Rakoczy siedział w swoim pokoju, który wychodził na otoczony galerią dziedziniec pałacu. Spoglądając w noc, nie widział chyba śniegu niesionego z rzadka przez północny wiatr. Na kolanach trzymał otwartą książkę, równo i wyraźnie napisany manuskrypt poetycki. Obok widniały komentarze, które chociaż nakreślone tym samym charakterem pisma, były już niepewne, chwiejne. „Jeśli te wiersze przemawiają własnym głosem — pisał kilka lat wcześniej Lorenzo — nie trzeba im komentarzy, jeśli zaś nic nie przekazują, moje słowa w niczym im nie pomogą”.

W końcu San Germano zamknął książkę i przetarł oczy. Rany od bicia zniknęły już z jego twarzy, ich pamięć była jednak na tyle świeża, że Rakoczy skrzywił się mimowolnie. Wstał, przeszedł przez pokój i wyjrzał za okno. Nie na śnieg. Widział te lata, które przepłynęły przed jego oczami liczniej niż spadające z nieba białe płatki. Jego twarz, chociaż trudno to było dojrzeć, naznaczały przeżyte wieki. Skóra była cienka i wręcz krucha. Nie miał więcej zmarszczek niż przeciętny człowiek, jednak cienie od lamp sprawiały, że jego oblicze przypominało w tej chwili nagą czaszkę. Usłyszał otwierające się drzwi i znajome kroki Ruggiera.

— I cóż we mnie dobrego, przyjacielu? — spytał, nie odwracając głowy. — Mam jeden... dar i tam, gdzie najbardziej by się przydał, nie mogę go użyć. Prosta śmierć mnie pokonuje. — Słowa te zostały wypowiedziane w języku, którego nie znał żaden uczonec z Florencji.

Ruggiero odpowiedział w tej samej mowie, ale wolniejsze składanie słów i mniej zręczna budowa zdań sugerowały, że dla *niego* nigdy nie była ona ojczysta.

— Widziałeś wiele śmierci, Wyzwoliciele. Dlaczego tak bardzo bolejesz nad Medyceuszem?

— Nie wiem — odparł Rakoczy, nadal nie ruszając się od okna. — Wiele razy spotykałem wcześniej podobną krew. Zwykle jednak chodziło o ludzi młodych, którym należało oszczędzić bólu. Lorenzo nie jest już młody, ale tyle w nim życia. Wszystko, co mogę mu dać, to góra dwa miesiące. Z tych trzech tysięcy lat, które są moim udziałem, nie jestem w stanie użyczyć mu nawet trzydziestu. Nawet trzech. — Przyłożył dłoń do oczu. — Uważasz, że powinienem opuścić Florencję, prawda? Może masz rację. Gian-Carlo ponagla mnie, bym wrócił do Wenecji. Ale nie mogę jeszcze wyjechać. Dałem słowo. Może to niemądre, ale chcę go dotrzymać.

— Dla mnie nigdy nie jest to niemądre — powiedział Ruggiero, przechodząc na łacinę. — Panie, zjawiła się pewna kobieta. Chce się z tobą zobaczyć.

— Kobieta? Demetrice? Dlaczego od razu nie powiedziałeś?

— Odwrócił się do zarządcy i przeszedł na dialekt toskański.

— Nie, panie, nie Demetrice. To kuzynka Filipepiego, Estasia.

— Jego poznaczona zmarszczkami twarz nie wyrażała żadnych emocji.

— Na dawno zapomnianych bogów, czego ona może chcieć?

— rzucił ze złością, ale jego oblicze okrył smutek. Zagłębił drobne dłonie we włosach. — Co jej powiedziałaś?

— Ze jest pan zajęty i być może nie uda się panu znaleźć wolnej chwili. — Spojrzał na książkę Medyceusza. — Jeśli trzeba, powiem, że się nie udało.

— Jest sama? — spytał po chwili Rakoczy, przesuwał palcami po wiszącym na szyi srebrnym łańcuszku.

— Tak, sama. Przyszła pieszo.

— Cała ona. — Mimo że podstęp mu się nie podobał, nie mógł się nie zaniepokoić. Poszukiwanie nowych doznań musiało doprowadzić Estasię do miejsca, w którym zaczęła kusić los. Ulice Florencji nie były bezpieczne po zmroku nawet dla mężczyzn, kobieta ryzykowała znacznie więcej. — Pomysłowo. Nie mogę odesłać jej do domu bez eskorty.

— Jest pokój gościnny. Przysłałbym którąś ze służących, aby z nią spała.

— Co to da? Powie potem, że najpierw była ze mną, a służąca zjawiała się później. Jedno dobre, że nie trzymam niewolników i służba może świadczyć w sądzie. Gdzie jest teraz?

— Zaprowadziłem ją do małego pokoju przy wewnętrznym dziedzińcu. Tym z dwoma chińskimi lwami z jadeitu. Poprosiłem Amadea, aby podał jej jakieś przekąski. Narzeka, że nikt nie docenia tu jego pracy, niech więc wypróbuje swój talent na donnie Estasii. Chyba zamierza podać jej bułeczki z serem i gotowanymi owocami. — Ruggiero zastanowił się przelotnie. — Ma pomysły. I lubi gotować.

— Tak, i dobrze. — Rakoczy wstał i zaczął chodzić po pokoju. — Lepiej się z nią zobaczę. Ostatnio bywała... nieprzewidywalna.

Ruggiero tego nie skomentował.

— Domyślam się, że szuka sposobu. Mam zejść z tobą? Rakoczy zaśmiał się krótko.

— Nie potrzebuję ochrony. Mówisz, że jest w pokoju z lwami. Powiedz jej, że zjawię się wkrótce.



Ruggiero skłonił się lekko i wyszedł.

Gdy kilka chwil później Rakoczy zszedł po schodach, miał na sobie czerwoną perską szatę tak gęsto wyszywaną czarnymi wzorami, że szkarłat przebijał spomiędzy nich niczym przygasające węgle. Założył węgierskie buty z czarnej skóry i domową koszulę z chińskiego jedwabiu. Także czarnego, niczym najgłębsza noc. Poruszał się płynnie, z wdziękiem, a ciężki płaszcz unosił się za nim jak skrzydła. Na piersi zawiesił rubin, który płonął jasno na tle koszuli.

Estasia skończyła właśnie nadziewane bułeczki i przysiadła na niskiej otomanie z drewna sandałowego wyściełanego indyjskim adamaszkiem. Rozchyliła długi płaszcz, ukazując płócienną camorę. Usłyszawszy, że drzwi się otwierają, spojrzała w ich kierunku. Oczy jej się rozszerzyły, gdy ujrzała gospodarza.

— Francesco — westchnęła zarówno z obawy, jak i nadziei. Rakoczy wołał zachować dystans.

— Czuję się zaszczycony, donno Estasio. Wydaje mi się jednak, że nierozsądnie było tu przychodzić. Noc jest zimna, a na ulicach bywa niebezpiecznie.

Chciała coś powiedzieć, ale zawahała się. W końcu znalazła słowa.

— Od dawna cię już nie widziałam.

— Kazłaś mi odejść. — Wszedł dalej do pokoju, ale nie zbliżył się do niej. Pierwszy raz przekonała się, że Rakoczy potrafi być też chłodny w obejściu.

— Przecież wiesz, że nie chciałam. Nie na zawsze, Francesco. Myślałam, że wrócisz. Wrócisz, ponieważ mnie potrzebujesz.

— Mylisz się, diletto. — Usiadł na osobliwie rzeźbionym krześle, które należało kiedyś do bizantyjskiego cesarza.

— Na pewno nie — rzuciła. — Wiem, że potrzebujesz krwi.

— Tak, ale to nie musi być twoja krew. — Odczekał chwilę, dając jej zebrać myśli. — Przyszłaś sprawdzić, czy nie umieram z głodu?

Spojrzała na niego z wściekłością i nagle uśmiechnęła się przebiegle.

— Nie. Przyszłam obejrzeć twój pałac. Tyle o nim słyszałam, że nie mogłam się doczekać, aż sam mnie zaprosisz.

— O dziesiątej w nocy? — spytał z uprzejmości. Zachichotała, dzięki czemu nie wybuchła pełnym złości krzykiem.

— Zawsze powtarzałeś, że powinnam go zobaczyć. Dobrze wiesz, że nie mogę zjawić się za dnia. Muszę brać pod uwagę, że mieszkam w domu kuzyna. Nie czułam się zmęczona, poza tym nie sypiam ostatnio wiele. Byłam pewna, że mnie powitasz. — Wstała i podeszła do niego długimi, zmysłowymi krokami. — Och, Francesco, przykro mi z powodu tego, co powiedziałam. I mojego zachowania. Nie wiesz, jak bardzo mi ciebie brakuje. W nocy leżę w łóżku i tęsknię za dotykiem twoich warg.

Rakoczy nie ruszył się i tak obojętnie na nią spoglądał, że Estasia odczuła dodatkowy przyływ pożądania.

— Nie chcesz spędzać ze mną wieczorów? Myślę o tobie, Francesco. Wspominam twoje dłonie, wyobrażam sobie, jak mnie wiążesz, aż nie mam przed tobą żadnych sekretów. A wtedy mnie bierzesz, bierzesz naprawdę i całym sobą, a ja, chociaż szarpie się w więzach, nie mogę cię powstrzymać. Zaczynam istnieć tylko dla ciebie i z rozkoszy ulatuję ze swojego ciała. — Stała obok niego i przycisnęła usta do jego ramienia. — Nie chcesz mnie, Francesco? Nawet trochę?

Z goryczą uświadomił sobie, że owszem. Chciał jej. Zarówno po to, aby odegnąć smutek, jak i dla zaspokojenia głodu. Wstał gwałtownie.

— Chcesz zobaczyć pałac? Chodź ze mną.

Ledwie to powiedział, wyszedł z pokoju. Nie poczekał nawet, aż Estasia ruszy za nim.

Zwiedzanie było dokładne, ale szybkie. Poprowadził ją przez

pokoje na dole i na próżno Estasia chciała, aby zwolnił i się zatrzymał. Nie udało jej się to ani w pokoju muzycznym, gdzie próbowała pooglądać lutnie i skrzypce, ani w bibliotece, gdzie myślała nakłonić go do opowieści o starych książkach i rzadkich, zagranicznych manuskryptach. W łazience, gdzie stała imponująca wanna, też nie zagrzali miejsca, chociaż tak wdzięczny byłby to zakątek. Odpowiadał jej niezmiennie krótko, chociaż uprzejmie, i ignorował wszelkie przejawy podziwu. Gdy znaleźli się ponownie u stóp schodów, złapała go za ramię.

— Zatrzymaj się, Francesco.

— Proszę. — Przystanął i spojrział na nią. — Mam nadzieję, że podoba ci się mój pałac.

Jej leszczynowe oczy pełne były łez smutku.

— Tak, ale nie chcę być traktowana w ten sposób, jak ktoś, kogo trzeba z bólem tolerować ze względu na niebezpieczną wiedzę, którą posiada.

Rakoczy uśmiechnął się ironicznie.

— Musisz mi wybaczyć. Wydawało mi się, że podczas naszego ostatniego spotkania zdecydowałam, aby na tym właśnie oprzeć nasze kontakty. Zastanawiałem się potem, jak mogłem tak bardzo dać się zwieść pozorom.

— Przestań! — Gotowa była zacząć tupać nogami. — Dobrze. Źle zrobiłam. Nie powinnam ci grozić. Przepraszam. — Nagle jej ton się zmienił, złagodniał. — Jeśli chcesz, abym sobie poszła, zrobię to. To jest cena, którą muszę zapłacić za moją głupotę. Ale gdybym mogła wrócić do tamtej chwili, nie pozwoliłabym ci odejść. Paolo, gdy już przychodzi, rzuca się na mnie, ruszy się parę razy i jest po wszystkim. Nie dotknie mnie nawet, nie pieści, nie rozpala ustami. A przede wszystkim, Francesco, jestem taka samotna.

Mimo wszystko, i wbrew własnemu rozsądkowi, nie potrafił dłużej

się opierać. Niepewnie dotknął jej ramienia.

— Biedna Estasia. Oboje jesteście samotni.

Na jej obliczu malował się wręcz dziecinny strach.

— Aleja nie chce być samotna. Nie zniosę tego, Francesco! —  
Rzuciła mu się na pierś i załkała histerycznie.

Po chwili, zasmucony chłodem i mrokiem tej wspólnej, długiej nocy, objął ją łagodnie.

List Francesca Rakoczego da San Germano do Gian-Carla Casimira di Alerica Circanda:

*Gian-Carlowi w Wenecji Rakoczy przesyła florenckie pozdrowienia.*

*Twój list z 10 grudnia dotarł do mnie dopiero tydzień temu. Kurier został napadnięty przez zbójców i trwało, nim wydobrzeł po ciągach, które otrzymał, i mógł kontynuować podróż do Florencji. Ten Ust wyśle wraz z pewnym rycerzem, który towarzyszy poselstwu papieskiemu zmierzającemu do Austrii. Dzięki interwencji Olruui zatrzymają się po drodze w Wenecji.*

*Jutro wybieram się do willi Medyceuszy w Careggi. Zdecydowano się zawieźć tam Laurenza, aby doszedł do siebie w spokojnym otoczeniu, albo raczej takie dziwne uzasadnienie podano. Do Florencji zdoła powrócić jedynie w trumnie. Dlaczego zdecydowano się na tak dziwny krok? Odbierają mu ostatnie dni życia, do którego przywykł, myśląc, że czegoś mu w ten sposób oszczędzą. Gdyby czytali jego wiersze i postarali się czasem spojrzeć mu w oczy, nie raniliby go w ten sposób. W zeszłym tygodniu przenieśli nawet jego żyrafę z menażerii do ogrodu willi, aby zwierzę mogło go zabawiać. Jednak Lorenzo nie jest dzieckiem, które pociesza się żywymi zabawkami.*

*Pod jego nieobecność dominikanin Savonarola ogłosił oczywiście, że oznacza to koniec Laurenza. Niestety ma rację. Jednak Signoria i*

zwolennicy Medyceuszy zaprzeczają niezmiennie, co jest z ich strony zwykłą głupotą, ponieważ gdy Lorenzo jednak umrze, Savonarola będzie mógł ogłosić, że oto spełnia się jego przepowiednia, a fanatyczni pątnicy tym bardziej zaczną lżyć Medyceuszy.

Ale dość tych próżnych rozważań. Mam dla Ciebie instrukcje dotyczące mojej willi w Wenecji. Po pierwsze, nie zamykaj jej. Rób to, co robiłeś dotąd, co oznacza, że masz moją zgodę na wyprodukowanie kolejnej baryłki złota i przekazanie jej doży wraz z pozdrowieniami. Ponadto znalazłem nowego dostawcę papieru, niejakiego Helmuta Sternhausa z Liege. Zamów tyle papieru, ile tylko będzie go trzeba do prasy drukarskiej Dogaressy, i wydzielaj jej w rozsądnych ilościach. Szczegóły zostawiam Twojemu rozeznaniu. Dokonaj też zakupu dwóch statków. Kierując się własnym doświadczeniem, zadbaj o należyte ich wyposażenie i jak najwłaściwsze wykorzystanie.

Zamów, proszę, trzy malunki naścienne do głównej sali willi. Mają ukazywać kontrast między śmiertelnością i nieśmiertelnością. Wybór artysty zostawiam Tobie, ale niech będzie to ktoś utalentowany i oddany w pełni swojej pracy. Możesz zapłacić mu każdą rozsądną stawkę. Oczekuj mojego powrotu w przyszłym roku. Obiecałem Medyceuszowi, że zostanę we Florencji przez jeden rok i jeden dzień po jego śmierci. Gdyby doża o mnie pytał, powiedz mu, że oddaję się swojej sztuce, a moja wiedza i umiejętności są do jego dyspozycji. To znaczy, gdyby chciał więcej złota.

Dziękuję za to, że z oddaniem dbasz o moje sprawy. Ponieważ we Florencji obchodzi się dzisiaj dzień Archanioła Gabriela, mogę jedynie mieć nadzieję, że przyniesie Ci on szczęście i rozciągnie na Ciebie swoją ochronę.

Rakoczy da San Germano (jego pieczęć: zaćmienie)

We Florencji, 24 marca 1492

Agnolo Poliziano zeskoczył z siodła, zanim jeszcze jego spieniony koń całkiem się zatrzymał. Stanąwszy na ziemi, zawołał stajennego i nie czekając na jego przybycie, pobiegł ścieżką do willi Laurenza. Załomotał do drzwi, przeklinając głośno przy każdym uderzeniu.

— Ile można czekać, Rakoczy? — rzucił z wyrzutem do mężczyzny, który otworzył drzwi. — Gdzie Lorenzo? Przyjechałem, gdy tylko msza się skończyła. — Jego małe i wykrzywione z niezadowolenia usta były jeszcze bardziej wydęte niż zazwyczaj.

— Jest w sypialni — odparł Rakoczy i zatrzymał przybysza, kładąc mu dłoń na ramieniu. — Nie denerwuj go. Za mało czasu już mu zostało, aby tracić go na swary.

— Ja miałbym go zdenerwować? — Poliziano odtrącił rękę Rakoczego. — Kto z nim jest?

— Ojciec Mariano. Czyta mu Ewangelię. No i Savonarola, ale on chyba zaraz wyjdzie.

— Savonarola? Co ten hipokryta tu robi? — Poliziano, który gotów był już biec do sypialni Medyceusza, zatrzymał się nagle, usłyszawszy o dominikaninie.

— Lorenzo po niego posłał. Chyba chce mieć pewność, że Florencja będzie bezpieczna. — Rakoczy zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. — Poczekaj trochę, a nie będziesz musiał narażać się na spotkanie z nim.

Poliziano zastanowił się chwilę.

— Wyspowiadał się? — spytał niepewnie.

— Tak. I otrzymał rozgrzeszenie. Przyjął też ostatnie namaszczenie — powiedział Rakoczy ze smutkiem.

— Od Savonaroli? — spytał natychmiast Agnolo.

— Nie. Nie od niego.

— To niemożliwe — stwierdził nagle Poliziano. — Ostatnie namaszczenie. On naprawdę umiera. Umiera? — Spojrzał ze strachem na Rakoczego. — Ma dopiero czterdzieści trzy lata. Nie może umrzeć.

Rakoczy nie musiał odpowiadać, bowiem do ich uszu dobiegł znajomy, chociaż mocno zmieniony głos.

— To ty, Agnolo?

Poliziano spojrział w panice na San Germana.

— To Lorenzo? — wyszeptał, stojąc nieruchomo, jakby w kamień się zamienił.

— Tak — odparł z bólem Rakoczy. — Zaprowadzę cię do niego. — Wziął Poliziana pod ramię. — Ale panuj nad sobą. Dla jego dobra zachowaj spokój.

— Za kogo ty mnie masz? Za gbura i głupca? — prychnął Poliziano. Byli już pod drzwiami sypialni Laurenza.

Rakoczy byłby skłonny w pełni zgodzić się z tymi określeniami, ale chwila i miejsce nie pozwalały na rozwijanie tematu.

— Nie, ale kilka dni go nie widziałeś, on zaś bardzo zmienił się przez ten czas. Sam byłby przykro zaskoczony, gdyby wiedział jak bardzo.

Drzwi zostały otwarte od środka i z sypialni wyszedł niski mężczyzna w czarnym habicie i białej sutannie dominikanina. Zanim zamknął za sobą drzwi, odwrócił się jeszcze ze słowami:

— Gdybym to ja miał dać ci rozgrzeszenie i ostatnie namaszczenie, Medyceuszu, odmówiłbym ich, jak długo nie wyrzekłbyś się bogactwa, grzechu i władzy. Jednak co się stało, to się stało. Bóg osądzi cię w swym majestacie. Nie zapominaj zatem, że najgorętsze ognie rezerwuje się w piekle dla zdrajców.

Agnolo Poliziano zacisnął pięści i gotów był rzucić się na zakonnika, gdy nagle poczuł na ramionach drobne dłonie Rakoczego.

— Podzielam twe wzburzenie, ale to nie byłoby uprzejme wobec Laurenza.

— Zgadza się — mruknął Poliziano i rozprostował dłonie. — Ale tak czy siak, jeśli Bóg jest naprawdę tak sprawiedliwy, jak mówią, doczekam się jeszcze, aż obedrą tego zakonnika ze skóry.

Savonarola musiał dosłyszeć jego słowa, bo odwrócił się i zmierzył Poliziana jasnozielonymi oczami.

— Kolejny czciciel antychrysta — powiedział oceniająco. — Pomyśl o gniewie Bożym, grzeszniku, i drżij. — Zatrzasnął drzwi za sobą i pomaszerował do wyjścia. Jedno ramię nosił wyżej niż drugie. Nie obejrzał się za siebie.

Rakoczy poczekał chwilę i otworzył drzwi sypialni. Zaraz się odsunął, przepuszczając Poliziaja przodem.

— Jeszcze jeden przyjaciel, Magnifico — powiedział cicho. Zasłony wokół łóżka zostały odsunięte i Lorenzo siedział oparty na poduszkach. Miał na sobie cienkie lucco i widać było jego wielką chudość oraz niemal przebijające skórę kości. Na twarzy ciemniał dwudniowy zarost. Rozciągnął usta w szerokim uśmiechu i spróbował unieść rękę. Wkoło niego roztaczał się słodkawy zapach rozkładu. Przypominał woń gnijących z wolna, przejrzałych owoców.

Poliziano zakrył oczy dłońmi i załkał krótko. Niczym pijany podszedł chwiejnie do łóżka, padł na kolana i wtulił twarz w poduszki, na których opierał się Medyceusz.

— Nie, Agnolo, bellissimo — powiedział Lorenzo piskliwie. — Nie płacz. — Z wyraźnym wysiłkiem położył dłoń na ramieniu przyjaciela. — Nie wolno ci płakać. Zbyt trudno mi znieść ten widok.

Stojący przy drzwiach Rakoczy spojrzął na Marsilia Ficina. W jego oczach malowała się tylko rozpacz. Ficino pokiwał bezradnie głową i odsunął się od nóg łóżka.

— Muszę jechać — szepnął, podchodząc do Rakoczego. —



Laurenzo kazał mi odwiedzić Savonarolę do Florencji. Wróć, jak szybko się da.

Augustynian Mariano oderwał oczy od Ewangelii, którą trzymał na kolanach. Łagodny szmer jego głosu umilkł na chwilę.

— Tak, bracie, jadę — powiedział Ficino i wyszedł z pokoju. Drzwi zamknęły się z głuchym trzaskiem.

W końcu Poliziano uniósł głowę i zwrócił poczerwieniałe oczy na Laurenza.

— Dlaczego pozwoliłeś mi to powiedzieć? — spytał, jakby niczego nie rozumiał.

Jednak lata przyjaźni z Polizianem nauczyły Medyceusza wyrozumiałości.

— Co te denuncjacje mogą teraz dla mnie znaczyć? Nic, co zapewnia Florencji bezpieczeństwo, nie może mnie zboleć. Tak długo darzył mnie nienawiścią, że nie ma co żałować mu tej chwili triumfu. — Opadł ciężko na poduszki. Nawet te kilka zdań to było dla niego za wiele.

Rakoczy Zajął cicho miejsce Ficina przy nogach łóżka.

— Ale on prawie cię przeklął! — Poliziano wstał z oczami płonącymi chęcią zaprowadzenia sprawiedliwości. — Niech wypaple o tym choć słowo, jedno słowo, a powieszę go na wieży ratusza!

Fra Mariano zerwał się na równe nogi.

— Jeśli sam nie jesteś skłonny uszanować chwili, Poliziano, zamilknij chociaż przez wzgląd na tych, którym nie jest wszystko jedno — powiedział cichym, ale stanowczym głosem. Gdy Agnolo spojrział na niego zdumiony, zakonnik kiwnął głową i usiadł.

— Ależ Laurenzo — powiedział Poliziano po chwili na tyle cicho, na ile wzburzenie mu pozwalało. — Znam tego człowieka. Jestem pewien, że za dwa dni cała Florencja będzie wiedziała, iż odmówił ci rozgrzeszenia. Chyba że zaraz go uciszę.

Laurenzo zdawał się nie słyszeć, w końcu jednak zaczerpnął głębiej powietrza.

— To nieważne, Agnolo. To naprawdę nie jest ważne. Jeśli Savonarola ma rację, obiad zjem już w piekle. Podają tam pewnie siarkę, ale dla mnie to niewielka różnica, chyba że dzięki szatanowi zdarzy mi się odzyskać węch. — Zaśmiał się krótko i zamilkł pod wpływem nagłego ataku bólu. Westchnął, starając się zapanować nad cierpieniem.

Dwaj siedzący w kącie medycy wymienili pełne niepokoju spojrzenia i zaczęli rozważać sproszkowanie kolejnych kamieni szlachetnych, aby podać je Medyceuszowi do zjedzenia. Osobisty lekarz Laurenza, ser Piero Leoni, odwrócił głowę, przeżegnał się i pełen rozpaczony pogrążył w modlitwie. Chwilę później Laurenzo odzyskał głos.

— Jeśli jednak Bóg jest sprawiedliwy i... — powiedział cicho i zamilkł, przygryzając dolną wargę. — I wejrzy w moje serce, wtedy może wyśle mnie do czyścica, aby ogień wypalił mój grzech. Czy Chrystus powita mnie z miłością czy z gniewem? Powita Laurenza bankiera czy Laurenza poetę? Który będzie więcej znaczył? I na co zasłuży? — Dojrzał stojącego w nogach łóżka Rakoczego. — Mio caro stragnero.

— Magnifico — odparł stłumionym ze wzruszenia głosem San Germano.

— Podejdz bliżej. Jest tak ciemno, że ledwie cię widzę. — Poczekał, aż Rakoczy stanie u wezgłowia. — Gdybyś to ty był Bogiem, Francesco, co byś ze mną zrobił? — Ledwo było go słyszeć. Dłonią zaczął szukać swojego srebrnego krucyfiks.

— Obdarzył cię miłością, Magnifico.

Poliziano odwrócił się gwałtownie i wybiegł z pokoju. Trzasnęły drzwi i znowu zapadła cisza.

Laurenzo przycisnął krucyfiks do warg, a fra Mariano wznowił czytanie. Medyceusz powtarzał za nim znajome zdania z Ewangelii, czasem tylko przerywając, gdy opuszczały go siły. Nie trwało długo, a krucyfiks wysunął się z jego dłoni. Zakonnik też umilkł. Nagle Laurenzo westchnął i ponownie poszukał krucyfiks. Rakoczy opadł powoli na kolano i uważnie podał krzyżyk.

— Grazie, Francesco — szepnął Medyceusz, kładąc swoją dłoń na dłoni San Germana.

Tylko jej lekki dotyk oraz niemal niezauważalne uniesienia piersi podpowiadały Rakoczemu, że Laurenzo jeszcze nie umarł.

W klasztorze na wzgórzu odezwał się dzwon wzywający na nieszpory i specjalne modlitwy Niedzieli Męki Pańskiej. Obecni w pokoju jakby w ogóle go nie dosłyszeli.

San Germano wyczuł palcami ostatnie łagodne tchnienie Medyceusza i jego opuchła ręka stała się nagle całkiem bezwładna. Gdy Rakoczy wstał, biorąc krucyfiks, i ucałował go, fra Mariano przerwał czytanie.

— Mamy podać lustro? — spytał nerwowo jeden z lekarzy.

— Nie. — Rakoczy ujął dłonie Laurenza, złożył je na piersi i umieścił w nich krucyfiks. Powieki Medyceusza były miłosiernie opuszczone, co i dobrze, bo San Germano za nic nie chciałby widzieć szklanego spojrzenia martwego już przyjaciela. Gdy inni się przeżegnali, odruchowo uczynił to samo, a gdy zakonnik zaczął modlić się za duszę zmarłego, pochylił się jeszcze, ucałował Medyceusza w czoło i czym prędzej opuścił sypialnię i willę w Careggi.

Na zewnątrz było już mroczno, na niebie zapalały się gwiazdy, a wiatr niósł zapach wiosennych kwiatów. Czekając na przyprowadzenie konia, Rakoczy stanął przy fontannie. Piękno ożywającej przyrody zdało mu się wręcz szydercze, podobnie jak

śpiewny szum wody.

Chwilę później bez słowa wskoczył na siodło i pogonił rumaka do galopu. Jechał bez wytchnienia, wyciskając z ogiera wszystkie siły, a wkoło noc zapadała coraz głębsza.

Był już w połowie drogi do Florencji, gdy usłyszał pierwsze uderzenia dzwonu pogrzebowego w Sacro Infante.

List donny Demetrice Clarissy Renaty di Benedetto Volandrai do jej młodszego brata, Febo Janario Anastasio di Benedetto Volandrai, przebywającego w majątku landgrafa Albericha Dietera Fritza Grossehoffa pod Wiedniem:

*Swemu bratu Febo, w ten czas żałoby, siostra jego Demetrice przesyła błogosławieństwa i pozdrowienia.*

*Słyszalesz już na pewno, że nasz ukochany krewny, Lorenzo di Piero de Medici zmarł dnia 8 kwietnia. Chorował od jakiegoś czasu i chociaż trudno pogodzić się z jego odejściem, muszę podziękować Bogu, że oszczędził mu dalszych cierpień. On naprawdę znosił męki. Wszyscy mieliśmy nadzieję na cud i modliliśmy się, aby nadszedł, ale daremnie. Jego lekarz popadł w taką aż desperację, że rzucił się do studni. Kościół odmówił mu przez to chrześcijańskiego pochówku, uważam jednak, że Piero Leoni nie zasłużył na podobny los.*

*Ciało Laurenza zostało przewiezione do San Marco, gdzie poczeka do pogrzebu w jego własnej kaplicy w Chiesa di San Lorenzo. Dziwnie było go tam widzieć, nie przez to, iż nie żyje, ale za sprawą animozji, które istniały od dawna między nim a Savonarolą. Niemniej trafił tam, z katafalkiem udrapowanym złotem i czerwienią, czuwającymi całymi w biele. Jego pogrzeb nie był wystawny, a pomnik otrzymał prosty, ponieważ nikt tak naprawdę nie wiedział, jak go uhonorować. Całe miasto do teraz pogrążone jest w żałobie, z domami przybranymi czernią albo czerwienią.*

*Ja sama nie dowierzam jeszcze, że go nie ma. Wychowałam się przy nim, przywykając, że zawsze i wszędzie był obecny. Florencja pełna jest jego śladów. Nie tylko rzeźb i fresków, które uczyniły to miasto pięknym, ale też innych świadectw jego działalności, jak poszerzone ulice i nowe budynki. Nadal pracuję nad jego biblioteką i nierzadko zapominam przy tym, że go zabrakło, chcąc zawołać Laurenza, ile razy natrafię na fragment tekstu, który jego na pewno by zachwycił.*

*Wdzięczna jestem wszystkim świętym niebieskim za Francesca Rakoczego! Bez niego bym nie przetrwała tego czasu. Bardzo przejął się śmiercią Laurenza i słyszałam, chociaż nie od samego Rakoczego, że był z nim do końca. Nie okazuje publicznie żałoby inaczej, jak tylko ubierając się na czarno, co wszakże wiele nie znaczy, bo on zawsze tak się ubiera. Nie płacze też, ale gdy smutek mnie przytłacza, dodaje mi odwagi. Sądzę jednak, że przeżywa śmierć Laurenza jeszcze bardziej niż ja, cierpi bowiem w milczeniu, jakby nazbyt bolesne było dlań wypowiedzenie choćby słowa.*

*Mieszkam obecnie w Palazzo San Germano, domu Rakoczego. Służę mu jako gospodyni, niemniej zarządca Ruggiero i tak wykonuje większość potrzebnych prac, jak i wydaje polecenia służbie. Rakoczy nie trzyma niewolników, wszyscy pracujący w jego domu zostali normalnie zatrudnieni, co przysparza wydatków, niemniej gospodarz mówi, że u niego tak właśnie było zawsze. Wydaje się niewiarygodnie bogaty, bowiem wszystko urządzone jest tu z przepychem, a i sam pałac powstał w niecały rok.*

*Febo, mój kochany bracie, zrobiłam, co należało, aby zapewnić Ci edukację. Pamiętam, że Laurenzo obiecał wyposażyć Cię w stosowne fundusze, on jednak nie żyje, a pogłoski, które słyszałam, sugerują, że jego bank poniósł spore straty. Zdecydowałam się więc poprosić Rakoczego o zmianę wysokości moich zarobków, abyś mógł wyruszyć do Paryża z końcem lata. Z drugiej strony, może się to okazać niemożliwe, bo Rakoczy nie musi przecież spełnić mojej prośby. Napiszę, gdy będę wiedziała coś*

więcej, ale tak czy inaczej, możesz być pewien, że nie będę kupczyć swoim ciałem. Jeśli zostałam jego kochanką, to z odruchu serca, nie dla zapłaty. Ten list wysyłam z florentyńskim kupcem Arrigą Nicelim Perrigolo, który wybiera się przez Wiedeń do Polski.

Módl się za duszę naszego dobrego i szczodrego krewnego, Febo. Bez niego bylibyśmy dzisiaj oboje żebrakami. Jeśli ta myśl zbliży go chociaż o krok do Tronu Pańskiego, będę powtarzała ją o każdej godzinie dnia.

Nie rozpaczaj jednak. Obiecuję, że napiszę jeszcze przed latem, a jeśli uda się coś załatwić, dopilnuję, abyś miał za co studiować w Paryżu. Jesteś zbyt zdolnym uczonym, aby zaprzepaścić tę szansę. Zrobię, co w mojej mocy, świętych biorąc przy tym na świadków.

Z siostrzanym uczuciem i świadoma siostrzanych obowiązków,  
Demetrice Volandrai

We Florencji, 29 kwietnia 1492

# CZEŚĆ DRUGA

FRANCESCO RAKOCZY  
DA SAN GERMANO

*Io son stragnero per sempre od ancor Stragnero della morte stragnero  
dell'amor.*

*Jestem obcym zawsze i wszędzie;  
Śmierci jestem obcy i obcy miłości.  
— FRANCESCO RAKOCZY*

List Pietra Dema, przełożonego generalnego zakonu kamedułów w Santa Maria degli Angioli we Florencji, do Jego Świątobliwości papieża Innocentego VIII w Rzymie:

*Z wielkim szacunkiem i uniżonością generał z Santa Maria degli Angioli zwraca się o wystuchanie przez Jego Świątobliwość papieża Innocentego VIII, dziedzica Piotrowegp i namiestnika Chrystusa na ziemi.*

*Błagam Waszą Świątobliwość o zwrócenie uwagi na sytuację, która zaistniała w tokańskim mieście Florencji. Prawdą jest, że kierował się już przeciwko niemu gniew papieski i poprzednik Waszej Świątobliwości, jednak nie było ono winne aż takim grzechom, jakie mu przypisywano. Zawsze pozostawaliśmy tu oddani prawdziwej wierze i jako szczerzy chrześcijanie niewiele interesowaliśmy się sprawami polityki, zwłaszcza jako zakonnicy podporządkowani ścisłej regule kamedułów.*

*Złe się dzieje, że mnich zaczyna przemawiać przeciwko braciom i siostram z innych zakonów, przeto długo sam sobie zadawałem pytanie, czy nie zaczynam błdzić, i błagam Waszą Świątobliwość o surowe*

potraktowanie mej osoby, gdyby okazało się, że moje słowa podyktowane są czymkolwiek więcej poza dążeniem do czystości wiary i chwały Bożej.

Jest we Florencji pewien przeor, członek znakomitego zakonu świętego Dominika. Jego kazania przyciągają tłumy wiernych. Ostatnio zyskał jeszcze większe zaufanie dzięki nieszczęściu, które spadło na miasto. Chodzi o śmierć Laurenza de Medici, który będąc światowym człowiekiem, z pewnością nie pozostawał wolny od grzechu, jednak wielką jego cnotą była miłość okazywana temu miastu i jego obrona. Przeor przewidział jego śmierć, nie będąc mordercą, ale kimś, kto miał uzyskać tę informację bezpośrednio od Boga. Ze wstydem muszę przekazać Jego Świątobliwości, że znalazło się wielu na tyle ślepych i skłonnych do błędzenia, aby uwierzyć mu i dać się ponieść jego przerażającym wizjom.

To nie jest chrześcijaństwo i nie tego nauczał Chrystus. Sądzę, że Savonarola został zesłany, aby poddać nas próbie, czy naprawdę tak słaba w nas wiara, że można nas zwieść. Jednak wprowadzie wielu ludzi pobłądziło, odwracając się od blasku Pana Naszego, są i tacy, którzy mają dość odwagi, aby przeciwstawić się pokusom zsyłanym przez tego bezbożnika.

Zanim Florencja zatraci się w pogańskim oddawaniu czci fałszywym prorokom, zanim te dusze, o których zbawienie modlimy się zawsze, stracą możliwość odkupienia, tak drogo dla nas zyskanego przez Syna Bożego, błagam Cię o interwencję, Święty Ojcze, i usunięcie z łona Kościoła tego, kto wszystkich nas zatruwa swym jadem. Dobrze byłoby postawić go przed Oficjum do Spraw Wiary i dozwolić, aby inkwizycja zbadała sprawę. To przecież dominikanie, tako samo jak i on. Jeśli ma rację, na pewno zostanie to przez nich potwierdzone. Jeśli nie, świeckie ramię winno ukarać go za bluźnierstwo, bowiem wypowiedanie się tak, jakby się było głosem Boga i jednocześnie przekazywanie kłamstw, jest największym z możliwych bluźnierstw.

Słyszeliśmy tutaj o niedawnej niedyspozycji Waszej świątobliwości i



*zanosimy specjalne modły o szybki powrót do zdrowia dzięki łasce Boga, Jego Syna, Ducha Świętego i Najświętszej Dziewicy.*

*W imię Chrystusa, który umarł za nas i który wyniesiony został w chwale, proszę uniżenie o sąd w naszej sprawie i ukaranie nas, jeśli pobłądziliśmy.*

*Pietro Demo przełożony generalny zakonu kamedulów Santa Maria degli Angioli*

*We Florencji, w święto Nawiedzenia, 2 lipca 1492*

# . 1 .

Drugi krzyk zabrzmiał o wiele głośniejszy niż pierwszy i sprawił, że Sandro Filipepi usiadł prosto w pościeli, a senność ustąpiła miejsca przerażeniu. Odsunął zasłony łóżka, wstał i poszukał stojącej zawsze na małym stoliku przy oknie świeczki. Usłyszawszy krzyk po raz trzeci, omal nie wypuścił krzesiwa z niezgrabnych palców, zmusił się jednak do ostrożności i chwilę później iskra dotknęła knota. Odegnawszy ciemność, poszukał camisy i nałożywszy ją przez głowę, wziął świeczkę i czym prędzej wyszedł na korytarz. Chwilę później ujrzał przerażone i zdeglustowane oblicze Simone.

— To Estasia — powiedział niepotrzebnie i tonem jednoznacznego potępienia.

— Wiem. — Sandro minął brata i osłaniając wąty płomyk świecy dłonią, pospieszył do drzwi kuzynki. Zapukał odruchowo, ale przy kolejnym krzyku zrozumiał, że Estasia i tak go nie słyszy. Trwało chwilę, zanim odszukał klamkę, po czym napał na drzwi ramieniem z taką siłą, że stanęły otworem.

W mrocznym pokoju Estasii płonęła tylko jedna świeca, jednak i ona wystarczyła, aby dostrzec panujący tam bałagan. Pościel leżała na podłodze, pod ścianą widać było resztki rozbitych flakoników i słoiczków z kosmetykami. Zasłony przy łóżku zostały z jednej strony zdarte, z drugiej jeszcze wisiały, ale Estasia uczepiła się ich właśnie i zanosila się krzykiem. Jej nocny strój był cały w strzępach, widoczne przez rozdarcia ciało znaczyły głębokie zadrapania. Potargane włosy okalały przerażoną twarz, która zwróciła się właśnie w stronę otwieranych drzwi.

— Estasio — powiedział jak najspokojniej Sandro, widząc pożałowania godny stan kuzynki. — Nie ma się czego bać.

— Satana! Satana! Apage satanas! — odparła Estasia, unosząc rękę, jakby chciała osłonić się przed ciosem. Potem przejechała rozcapierzonymi na podobieństwo szponów palcami po piersiach. Zacisnęła mocno zęby, aby tym razem nie krzyknąć z bólu.

Mocno zaniepokojony Sandro zrobił kilka kroków w głąb pokoju.

— Tak nie można, Estasio.

Kobieta krzyknęła i zeskoczywszy z łóżka, przebiegła do kąta, gdzie skuliła się i zakryła twarz dłońmi.

Szybki rzut okiem wkoło pozwolił na odszukanie lichtarza, który leżał pod toaletką. Sandro pochylił się, aby go podnieść, i zapalił dwie całe jeszcze świece. Dołączył do nich tę, z którą przyszedł, i spróbował ostrożnie podejść do Estasii.

— Nie! Nie! Proteggimi! Niech Bóg ma mnie w swej opiece. Uchron mnie od szaleńców z piekła rodem. Tylko ciebie pragnę, słodki Panie. Wybacz mi odstępstwo, uczyn mi na powrót czystą. Modłę się do Ciebie i błagam Cię... — Kolejne słowa wyrzucała z siebie prawie bez tchu, coraz mocniej tuląc się do ściany. — Zbaw mnie, zbaw mnie, zbaw mnie, zbaw mnie. — Znowu próbowała się przeżegnać, ale jej palce rozdarły tylko paznokciami ciało.

Sandro był jednak już na tyle blisko, aby złapać jej nadgarstki.

— Nie wolno tak się ranić, Estasio — powiedział zdecydowanym tonem.

— Salva me, fons pietatis!

Chwilę później omal nie upadł, gdy Estasia rzuciła się na niego, mierzając długimi paznokciami w twarz kuzyna. Cofnął się przerażony i przy następnej próbie zachował większą ostrożność. Sięgnął po poduszkę i gdy był już blisko, najpierw cisnął ją Estasii w ramiona. Gdy zaczęła ją rozdzierać, sypiąc pierzem, złapał ją i przytrzymał jej rękę z tyłu. Był silny, jak to zwykle bywa z malarzami, którzy muszą spędzać długie godziny na rusztowaniach, pracując przy tym pędzlem.

Żyły wystąpiły mu na dłoniach z wysiłku, a ramiona okazały się równie krzepkie jak u kogoś dwadzieścia lat młodszego.

Estasia próbowała go kopnąć, po chwili zaś wyrwała się i odskoczyła od kuzyna w panice.

— Zbaw mnie, słodki Boże, dobry Boże. Próżna jestem. Wiem, że jestem próżna. Ale błagam, uchronź mnie od piekła. — Rzuciła się na podłogę. — Uchronź mnie od piekła, zbaw mnie, zabierz mnie do siebie — jęczała. — Nie zostawiaj mnie samej. Zbaw mnie, ogarnij swoją miłością. — Jej ciało zatrzęsało się od spazmatycznego płaczu. — Pragnę tylko Ciebie. Nie zostawiaj mnie, Boże. Odrzucę cały grzech. Tylko mnie nie potępiaj. Proszę, proszę, proszę. Nie zostawiaj mnie w piekle. Żałuję za grzechy. Obiecuję czynić tylko tak, jako rozkażesz. Ale są tu wysłannicy piekła, którzy dręczą moje ciało. — Krzyknęła, raniąc paznokciami własne policzki.

Sandro stanął nad nią, patrząc na szamoczącą się pośród rozmazanych kosmetyków kuzynkę.

— Estasio — powiedział, przysuwając się bliżej, nie za blisko jednak, aby nie wywołać kolejnego ataku. — Przestań. Ocknij się. Nie jesteś w piekle, a ja nie jestem demonem.

Zignorowała jego słowa, pełzając przez podłogę i starając się wyglądać przy tym jak najbardziej unierżenie.

— Zabierz mnie, Boże. Zbaw mnie. Uchronź mnie od wysłanników piekieł, którzy dręczą moje ciało. Otul mnie skrzydłami aniołów. Uzdrów Twym dotykiem i spojrzeniem. Niech stanę się z Tobą jednością. Zbaw mnie i przyjmij do swej łaski. — Obróciła się na plecy i wyciągnęła ramiona, oczekując boskich objęć.

Myśląc, że najgorsze już minęło, Sandro ponownie się do niej przysunął. Gdy się nad nią pochylił, uśmiechnęła się do niego i objęła rękami jego kolana, twarz wtulając w uda.

— Jestem Twoja i czczę imię Twoje — powiedziała. Niepewnie

sięgnęła rękami wyżej i zaraz jej palce upodobniły się znowu do szponów.

— Ach, jesteś mężczyzną! — krzyknęła. — Zostałeś przystany, by mnie kusić.

Sandro przeraził się, widząc jej długie paznokcie w pobliżu swoich genitaliów. Jak najszybciej odsunął się na bezpieczną odległość, potykając się w trakcie ucieczki. Ona wstała natychmiast i rzuciła się na niego, unosząc ręce do ataku.

— Diabeł! Diabeł! Dręczyciel!

Sandro schronił się szybko po drugiej stronie łóżka i zaciągnął ostatnią wiszącą jeszcze zasłonę. Gdy Estasia wpadła na niego, owinął ją w materię i związał, jak umiał najlepiej. Węzły były byle jakie, ale wytrzymały kolejne konwulsje opętanej. Trwało chwilę, nim zdołał ułożyć ją na łóżku. Poniechał wszelkich prób uspokajania.

Gdy ostatecznie kolejny atak zakończył się łkaniem, Sandro przysiadł na brzegu łóżka. Potem otworzył okno i słodka woń letniej nocy wypełniła pokój, rozpraszając woń wymieszanych perfum z rozbitych flakoników.

— Chronź mnie, Boże. Zbaw mnie — wymamrotała Estasia, próbując stoczyć się z łóżka.

— Posłuchaj mnie — powiedział Sandro, któremu wszelka łagodność przeszła już jak ręką odjął. — Co się stało, Estasio? — spytał, chociaż wolałby uniknąć poruszania tej kwestii. — Jesteś w ciąży? Czy dlatego się boisz? Zaśmiała się przenikliwie.

— Jaka ciąża? W jakiej niby ciąży? Cierpliwość Sandra była na wyczerpaniu.

— W zeszłym roku miałaś przynajmniej dwóch kochanków, tak więc nie jest to całkiem niemożliwe.

Rozsądne słowa nie zrobiły na niej żadnego wrażenia. Zaśmiała się piskliwie i zmierzyła kuzyna zimnym spojrzeniem.

— Nie chcę dziecka. Chcę... chcę... — Wykrzywiła twarz i byłaby znowu zaniosała się krzykiem, gdyby Sandro jej nie uderzył.

— Dość tego, Estasio! — Począł chwilę, aż opanowała chęć ponownego krzyku. — Wydawało ci się, że jesteś w piekle. Skoro nie o ciążę chodzi, to o co? — Rysy jego twarzy złagodniały trochę. — Nie bój się mnie. Powiedz mi, w czym rzecz, abym mógł pomóc.

Odsunęła się od niego gwałtownie.

— Byłam w piekle — powiedziała cicho. — Byłam w piekle i płonęłam tam, i diabły mnie raniły. Chłostały mnie jedwabnymi biczami. Brali mnie członkami olbrzymimi niczym płonące maczugi. — Przełknęła ciężko ślinę i zadrżała.

— Jeśli grzechy cię dręczą, idź do kościoła i wyspowsiadaj się. Uwolnij się od piekielnych ogni.

Estasia znowu się zaśmiała, tym razem zmysłowo. Przesunęła się na tyle daleko, na ile więzy jej pozwalały.

— I miałabym powiedzieć księdzu, co wysłannik piekieł ze mną robił? Biedny kapłan nie zrozumiałby, o czym mówię. — Wciągnęła gwałtownie powietrze i uśmiechnęła się z rozkoszą. — To był koszmar. Przeraził mnie. Myślałam, że zginę, ale... To było wspaniałe. — Przeciągnęła się trochę i ponownie uśmiechnęła.

Sandro usłyszał pukanie do drzwi i odwrócił głowę.

— Tak?

W progu stanął Simone. Wyraz twarzy miał surowy i aż promieniał prawomyślnością, obok niego zaś pojawił się młody braciszek od serwitów.

— Usłyszałem, że nasza kuzynka jest cierpiąca, sprowadziłem więc dla niej pomoc.

— Miło z twojej strony, Simone — powiedział Sandro, opanowując złość. Wstał niechętnie i spojrzał na wykrzywioną twarz Estasii. — Może i masz rację — dodał znużonym tonem. — Nie wiem, co jej jest.

— Skinął na braciszka. — Czy chce brat zostać z nią sam?

Zakonnik nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat i był proporcjonalnie do tego gorliwy.

— Nie wiem... czy ona jest niebezpieczna?

— Chwilowo nie, ale wcześniej była — przyznał Sandro, rozglądając się znacząco po pokoju.

— A, ksiądz! — krzyknęła Estasia, jakby chciała potwierdzić jego słowa. — Boże, ratuj mnie!

Serwita zerknął na nią niespokojnie i mocniej ścisnął brewiarz.

— Buona donna — zaczął, ale Estasia przerwała mu krzykiem. Spojrzał bezradnie na Simone'a.

— Cierpi przez swe grzechy — stwierdził Simone z satysfakcją i skinął na zakonnika, aby wszedł dalej. — Ale te wizje piekła znikną, jeśli się wyświadczy.

— Wizje piekła? — spytał młody serwita i powtórzył to samo pytanie, kierując je do Sandra.

— Tak mówi — przyznał Sandro, który dość miał już tej dusznej atmosfery. — Proszę jej nie zniechęcać, bracie. To samo dotyczy także i ciebie, Simone.

Estasia tymczasem zaczęła śpiewać. Była to popularna melodia, tyle że z zaimprovizowanym, lubieżnym tekstem. Poruszała przy tym zmysłowo biodrami. W końcu przerwała, aby wyznać, co chodziło jej po głowie:

— Cokolwiek powiedziec, wysłannicy piekieł wiedzą, jak postępować z kobietą. Ty, Simone, jesteś do niczego. Cały przesiąknięś religią. Sandro zaś... gdybyś tylko chciał, nigdy nie potrzebowałabym innych kochanków. Malujesz takie piękne, nagie ciała i na pewno znalazłbyś ciepłe miejsce w moim łóżku. Rozwiąż mnie i spójrz na moje piersi. Są jak dojrzałe owoce. Weź je do ust i skosztuj ich słodczy.

— Przestań, Estasio — rzucił Sandro, idąc do drzwi. Dojrzał rumieniec na twarzy zakonnika i ostentacyjne oburzenie własnego brata. Westchnął. — Będę wdzięczny, jeśli zechcesz się nią zająć, bracie. Kto wie, może spowiedź pomoże.

— Mogę... mogę spróbować, signor. Ale jeśli naprawdę to demony ją opętały... — Zamilkł i potarł brodę. — Diablami zajmują się dominikanie. My jesteśmy od modlitwy.

Sandro rozłożył bezradnie ręce.

— Zrób, co wyda ci się najwłaściwsze, bracie. Jeśli jednak znowu zaczniesz krzyczeć, to ją uduszę. — Powiedziawszy to, odsunął swego brata i wyszedł, kierując się do własnej sypialni.

— Trzeba poddać ją egzorcyzmom — powiedział zdecydowanym tonem Simone, patrząc na mnicha. — Posłuchaj jej tylko. Żadna czysta i skromna kobieta nie zachowuje się w ten sposób.

Estasia usłyszała to i zareagowała śmiechem.

— Nie wystraszysz go takimi słowy — powiedziała. — Co innego całkiem sprawisz. Sandro mógł wzgardzić moim ciałem, ale jestem pewna, że ten chłopiec postąpi inaczej. — Spróbowała tak się obrócić, aby lepiej widzieć zakonnika. Jej leszczynowe oczy pojaśniały, gdy ujrzała, jaki jest młody i dobrze zbudowany. — Czy twoje ciało wie, czego pragnę, mnichu? — spytała kusząco. — Egzorcyzmuj mnie, jak chcesz. Będę cała szczęśliwa, jeśli nauczysz mnie czegoś nowego.

— Gdzie diabeł zamieszkał, cierpienie go wypędzi — stwierdził Simone i roztrącając stopami pokruszone skorupy, podszedł do łóżka. Złapał kuzynkę za długie włosy i odciągnął jej głowę do tyłu, aż krzyknęła z bólu, co przywitał zadowoleniem. — Widzisz, nie jest już chętną służką diabła. — Zacisnął uchwyt, nie bacząc, że budzi w ten sposób przerażenie Estasii.

Zdumiony i zaintrygowany braciszek też podszedł bliżej i przyjrzał się kobiecie. Dopiero teraz zorientował się, że została mocno



związana.

— Proszę nie ranić jej więcej, signor — powiedział po chwili.

— Nie można łagodnie postępować z szatanem — sprzeciwił się Simone.

— Ale nie wiemy jeszcze, czy to szatana właśnie karzemy. Bez tego można zgrzeszyć nadgorliwością. — Mimo młodego wieku rozpoznawał wyraz mrocznej satysfakcji malujący się na twarzy Simone'a i wcale mu się to nie podobało. Skinął na niego, aby odsunął się od kobiety.

Simone jednak nie zamierzał jeszcze wyjść.

— Nie zostawię cię samego z nią, bracie. A jeśli znowu wpadnie w szal?

— Jest dobrze skrępowana, Filipepi — odparł spokojnie zakonnik. — Gdyby coś się stało, zaraz cię zawołam. Nie odejdiesz przecież daleko i gotów będziesz mnie bronić? — Z satysfakcją ujrzał, że Simone pochylił głowę, przeżegnał się i wyszedł z sypialni Estasii. — Kochana sestro — powiedział mnich, klękając obok łóżka. — Jestem fra Enzo z Santissima Annunziata. Ciebie zaś spotkało jakieś nieszczęście.

Estasia przesunęła językiem po wargach.

— O tak. I ty musisz mi pomóc, fra Enzo. Pokiwał głową i złączył dłonie.

— Powiedz mi zatem, co cię gnębi, i spróbujemy razem wymodlić nadzieję dla twojej duszy.

Obróciła się, aby jak najmniejsza odległość dzieliła ją od zakonnika.

— Możesz tyle dla mnie zrobić, fra Enzo — wyszeptała. — Wierzę, że tak jest.

Braciszek był dość młody, aby mu to pochlebiło, nadal jednak zachowywał się godnie.

— Musimy poprosić niebiosa o pomoc. — Zaczął recytować pierwszy psalm. Zamknął przy tym oczy, głos miał spokojny, pobrzmiwający szczerą pobożnością.

— Znam lepszy sposób — powiedziała cicho Estasia i poczekała, aż braciszek zwróci na nią uwagę.

Skończywszy modlitwę, fra Enzo otworzył oczy i uśmiechnął się nieśmiało do Estasii.

— Wysłuchałaś Pisma świętego bez krzyku czy przerażenia. Jeśli to diabeł cię opętał, musi być bardzo słaby. Powiedz mi, co się stało, a uwolnisz się od piekielnych prześladowań.

Estasia uśmiechnęła się słabo.

— Niech i tak będzie, fra Enzo. Musisz mi wybaczyć... Mnich poczuł się zaniepokojony. Musiał udzielić lekkiej reprimendy.

— To nie ja mam ci wybaczyć, siostrze, ale sam Bóg, który zna twoje błędy.

— Ale przez ciebie — stwierdziła przytomnie Estasia. — Czy mam powiedzieć, co czynili mi wysłannicy piekieł? Czy mam powiedzieć, jakim żądom dawali upust? — Zaśmiała się. — Posiedli mnie...

Brat Enzo wstał gwałtownie.

— Nie przystoi ci przemawiać w ten sposób, siostrze. Gdyby diabeł cię opętał, moja obecność byłaby mu straszna. Ale nie jest. Ty zaś uważasz, że skoro jestem młody i gładki, to znaczy dość naiwny, aby dać ci się uwieść. Zetknąłem się już z tym wcześniej. Skoro ci się podobam, lekceważysz moje powołanie, jakby na kłamstwie było oparte. Ja zaś jestem zakonnikiem, ponieważ pragnąłem nim zostać. Czerpię radość z moich ślubów, z czystości, ubóstwa i posłuszeństwa. Nie oszukasz mnie, donna. — Odwrócił się gwałtownie i ze spłononą twarzą wypadł z pokoju.

Simone, który czekał pod drzwiami, zdumiał się, widząc braciszka już teraz.

— Co się stało? — spytał.

— Ta kobieta nie jest opętana bardziej niż ja — powiedział surowym tonem zakonnik. — Daliście się ogłupić. — Nie zatrzymując się, poszedł dalej i czym prędzej opuścił dom.

Sandro zamknął porządnie drzwi i poszedł do brata.

— I co teraz, Simone?

— Musimy skłonić ją do spowiedzi. Bez wątpienia ten sługa Boży okazał się zbyt młody, aby zrozumieć, w jakim niebezpieczeństwie znalazła się jej dusza. Ale dał dobrą radę: musimy zabrać ją do dominikanów.

Sandro skrzywił się z niechęcią.

— Przesadzasz z gorliwością, Simone. Jesteś tak samo szalony jak ona, skoro chcesz podsycać jej iluzje.

— Diabeł jest mistrzem kłamstwa — odparł ze śmiertelną powagą Simone. — Nie należy otwierać przed nim serca, ulegając źle rozumianej tolerancji.

— Niech nas święta Klara ma w swej opiece — westchnął Sandro. — Jak chcesz. Jeśli rano nadal będzie chciała iść do spowiedzi, zabierzesz ją gdzie trzeba i niech ten nonsens wreszcie się skończy. To obejmuje też twoje pomysły, Simone — dodał po krótkim wahaniu. — Dość mam tej niezgody w moim domu. Muszę skończyć cały szereg zamówień, a nie da się pracować spokojnie, gdy ty i Estasia ciągle coś macie do siebie. — Położył dłoń na ramieniu brata, aby złagodzić ton swojej wypowiedzi. — Wiesz, że artyści to trudni ludzie. Jeśli chcesz mi pomóc, módl się za mnie.

— Ty tu rządzisz — odparł lodowatym tonem Simone. — Oczywiście zrobię, jak sobie życzysz.

— Simone, to nie jest... — Przerwał w pół zdania, rozumiejąc, że to nic nie da. Zostawił brata i wrócił do sypialni Estasii. — Kuzynko?

Odpowiedział mu głos spokojny, wyraźny i całkiem przytomny.

— Możesz mnie już rozwiązać, Sandro. Mój koszmar się skończył. Będę już rozsądna. Kto wie, może nawet pójde do spowiedzi, chociażby po to, aby spokój zapanował w domu.

Sandro podszedł do łóżka i ujrzał, że jego kuzynka w rzeczy samej leżała spokojnie, nie przyjmując żadnych osobliwych póz, jej oczy zaś mierzyły go chłodno.

— Przysuń się, a zdejmę z ciebie to wszystko. — Posłuchała go w milczeniu i poczekała cierpliwie, aż rozplącze węzły. W końcu uporał się z tym i wstał. — Jutro przyślę dwie niewolnice, aby tu posprzątały.

Nie musisz przejmować się bałaganem.

— Dziękuję — odparła obojętnie.

Idąc do drzwi, zatrzymał się jeszcze i odwrócił.

— Dobrze się czujesz?

— Całkiem dobrze — stwierdziła tym samym, wypranym z emocji głosem. — Nie musisz się obawiać, że te godne pożałowania sceny kiedyś się powtórzą.

Mimo że jej słowa zabrzmiały bardzo szczerze, Sandro zastanowił się, co nowego wymyśli jego kuzynka. I kiedy? Nie znalazł odpowiedzi. Nie zdołał też usnąć już tej nocy.

List Leonarda da Vinci do Francesca Rakoczego da San Germano:

*Do alchemika Francesca Rakoczego da San Germano od Leonarda, który przesyła pozdrowienia z Mediolanu.*

*Musisz wybaczyć mi charakter pisma, ale ponieważ jestem leworęczny, zwykle dla ułatwienia pisuję od prawej do lewej. Słyszałem od Botticellego, że Ty potrafisz z równą biegłością posługiwać się w tym celu obiema rękami. Też chciałbym tak umieć. Sądzę, że wówczas wystarczyłaby mi tylko połowa obecnego talentu.*

*Dziękuję za barwniki, które byłeś uprzejmy mi przysłać. Szczególnie podoba mi się niebieski, który nie blednie, jak piszesz, po zmieszaniu z olejem albo jajeczną temperą. Próbowałem tej drugiej kombinacji i jestem bardzo zadowolony. Chciałbym jednak, aby powstała w ten sposób farba szybciej schła, tak jak inne farby. Musiałeś słyszeć, jak bardzo brak mi cierpliwości i szybko schnąca farba byłaby dla mnie nad wyraz cenna. Gdybyś wiedział, jak takową przyrzadzić, oczywiście bez straty intensywności oraz barwy, byłbym Ci bardzo zobowiązany.*

*Zmorą życia każdego artysty jest owa konstatacja, że nic, co stworzy, nie jest nigdy równie doskonałe jak pierwotny obraz dzieła, który powstał w myślach. Nie wiem, czy w Twojej dyscyplinie jest podobnie, ja jednak przekonałem się z łatami, że cokolwiek zrobię, zawsze staje się tylko cieniem wizji, która rzecz zrodziła. Nie cierpię tej chwili, gdy przychodzi coś skończyć, chociaż wiem, że dalekie jest od tego, co by mogło powstać. To jeden z powodów, dla których lubię budować różne urządzenia i zyskałem nawet na tym połu pewną sławę. Maszyna zawsze musi być taka, jaka była jej koncepcja, jeśli działać ma zgodnie z zamierzeniem. Maszynę można w ten sposób w pełni ukończyć, co różni ją od dzieła sztuki.*

*Przykro mi to słyszeć, że we Florencji nie dzieje się najlepiej, nic jednak nie mogę uczynić poza wyrażeniem mego żalu. Nasz wspólny przyjaciel Sandro przeżywa trudne chwile i wiem, że rozmawiał o tym także z Tobą. Zapewne ucieszy Cię wiadomość, że bardzo pomaga mu Twoje doświadczenie, tak jak mi Twoja wiedza. Wspomniał mi, że byłeś w Indiach i widziałeś świątynie tak wielkie jak całe centrum Rzymu. Zazdroszczę Ci. Gdyby nie moje ściste powiązania ze Sforzami, zapewne i ja wyruszylibym zwiedzać świat.*

*Jeśli będziesz kiedyś w Mediolanie, zajrzyj do mnie. Opowiedziałbyś mi o tych cudach, które tak poruszyły Sandra. Jeśli też miałbyś jeszcze inne kolory, farby, barwniki czy werniksy, byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś*

*się nimi ze mną podzielił. Rzadko spotyka się kogoś, kto nie tylko kocha sztukę, ale rozumie też świat barw i cały warsztat artysty.*

*Przekaż, proszę, ode mnie pozdrowienia także Botticellemu oraz tym przyjaciółom Medyceusza, których znałem, przebywając we Florencji. Domyślam się, że wszyscy oplakują Magnifico. Nawet ja, w Mediolanie, boleję nad jego odejściem. Dziękuję Ci raz jeszcze i po tysiącokroć za podarunek. Ust powinien dotrzeć do Ciebie szybko, wysyłam go bowiem z posłańcem ił Moro do tego młodego człowieka, który nigdy nie zdoła zastąpić swego ojca. Niestety, to, co doskonałe, nigdy nie zdoła przetrwać długo. Uważaj na siebie, Rakoczy, tak jak i ja zamierzam teraz baczyć na własne bezpieczeństwo. I tym ostrzeżeniem kończę, przesyłając słowa szacunku i inne pozytywne znaki.*

*L. da Vinci*

*W Mediolanie, niestety, 15 września 1492*

## . 2 .

Gasparo Tucchio czekał już prawie godzinę i zaczynał mieć tego dość. Przeszedł się po piwnicach pałacu San Germano, ale ponieważ sam go budował, mało co mogło go zaskoczyć i niczego nie zamierzał krytykować. W końcu usiadł w pokoju przylegającym do kuchni, słuchając śpiewu Amadea przygotowującego ciasto do mięsnego dania przewidzianego na obiad. Tutaj też znalazł go Ruggiero i od razu zaczął od przeprosin.

— Przykro mi, że musi pan tyle czekać.

— Jeśli to dlatego, że waszym zdaniem teraz, gdy moich braci cechowych nie ma już we Florencji, nie poczuwacie się do honorowania tego, co wszyscy podpisaliśmy... — Wstał i zatknął kciuki za gruby, skórzany pas.

— Oczywiście, że nie — odparł pojednawczo Ruggiero. — Musiałem zająć się kilkoma sprawami, zanim mogłem poświęcić ci czas. — Nie wspomniał, że owe sprawy wiązały się ze skargą złożoną przez jednego z dominikanów z San Marco, która to skarga niewiele różniła się od jawnej groźby. — Niestety, wizyty braci świętego Dominika trwają zwykle dłużej niż inne.

— Czego oni chcą od porządnych ludzi? — rzucił Gasparo, omal nie spluwając z obrzydzenia. — Chodzę na mszę, przyjmuję Komunię, umiem powtórzyć *Credo*, *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Maryja*. Czczę świętych w ich dni i nie bluźnię. Co zaś robię poza tym, to nie ich sprawa. Ale ten ich przeor z San Marco jest zbyt arogancki, aby to zrozumieć. — Gasparo umilkł nagle i czoło mu się rozpogodziło. — Ale to ciebie przecież nie obchodzi, prawda?

Ruggiero odetchnął w duchu, słysząc, co Gasparo myśli o dominikanach, wolał jednak zachować rezerwę.

— Braciszkanie tyle czasu spędzają na rozmyślaniach o królestwie niebieskim, że wydaje im się, jakoby wszyscy czynili to samo. — Skinął na drzwi. — Proszę, przejrzymy razem rachunki.

Gasparo kiwnął głową, ale nie chciał jeszcze porzucać tematu kontrowersyjnych zakonników.

— Wieczne życie! Powiadają nam, że to będzie nasza nagroda za cierpienia i troski w tym życiu. Myślałem o tym trochę — powiedział nieco głośniejszym głosem, gdy ruszyli na piętro. — To znaczy o życiu wiecznym. Chyba niespecjalnie mi się ono podoba.

— Nie podoba się? — spytał Ruggiero, przystając na schodach. — A to dlaczego?

— No bo jeśli to ma być ciągle to samo, powtarzające się w kółko, czyli nieustanne chwalenie Pana i zażywanie chwały królestwa niebieskiego, to kilka tygodni może okazać się zbyt wiele, o wieczności nie wspominając. Z tego, co słyszałem, Turcy mają obiecane w niebie kobiety i różne przyjemności i ta ich wersja bardziej do mnie przemawia. Gdybym nie był prawym chrześcijaninem, przyłączyłbym się do nich w nadziei na jakąś miłą i pulchną we właściwych miejscach anielicę. — Zaśmiał się, ale umilkł, widząc na szczycie schodów ubraną na czarno postać. — Ekscelencjo — wymamrotał z szacunkiem.

— Daj spokój, Gasparo — powiedział Rakoczy, wyciągając rękę do budowniczego. — Florencja jest republiką. Po co nam tytuły? — Uściskał Gaspara tak samo jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy, i stanął przed nim z uśmiechem na twarzy. — Sądziś zatem, że wieczne życie to nie dla ciebie?

— Wcale nie — odparł zmieszany Gasparo.

— Wieczne życie — mruknął San Germano i odsunął się z drogi napotkanej dwójki. — A może w ogóle nie będzie nam ono dane?

Gasparo aż zamachał rękami.



— Jeśli nie, to po co znosić upokorzenia w tym? — Wyraźnie gotów był wdać się w dłuższy spór na ten temat.

— Zapraszam do następnego pokoju, Ruggiero — powiedział Rakoczy i wrócił do poruszanej kwestii. — Mam pewną przyjaciółkę. Znamy się już naprawdę wiele lat. — Pokiwał znacząco głową. — Powiedziałyby, że zaczynasz filozofować, Gasparo. Musicie spotkać się pewnego dnia.

— Jeśli przebywa we Florencji, to chętnie ją poznam. — Wyobraził sobie, jak mogą wyglądać przyjaciółki równie bogatych ludzi, i uśmiechnął się zmieszany.

— Niestety, mieszka w Rzymie. Ale kto wie? Może kiedyś tu zawita. — Weszli do małego pokoju, w którym znajdowały się długie stoły z różnymi urządzeniami służącymi do mierzenia wszystkiego, co dawało się zmierzyć. Były tu trzy zegary, każdy na swój sposób niedokładny; mosiężne wagi z najróżniejszym wyskalowaniem, począwszy od takiej, która pozwalała zważyć ziarnko grochu, skończywszy na wielkiej szali mogącej pomieścić nawet melon. Inne jeszcze urządzenie zwieszało się z belki pod sufitem i było wykonane z wypolerowanego drewna. Gasparo dojrzał też liczydła, zarówno duże, takie jak jego własny abakus, jak i małe ramki z drutami, na które nanizano koraliki. Inne jeszcze urządzenia służyły do mierzenia odległości, różnych jednostek czasu, kształtów, objętości i w ogóle wszystkiego, co tylko mogło przyjść do głowy. Gasparo gwizdnął mimowolnie.

— Usiądź, proszę, na którymś z krzeseł. — Rakoczy wskazał na eleganckie meble z drewna różanego, wspanialsze o wiele niż to, co spotykało się we Florencji. Budowniczy zajął ostrożnie miejsce, jakby nie był pewien, czy krzesło się pod nim nie załamie.

Ruggiero poszedł na drugi koniec pokoju i wziął ze stołu trzy skórzane mieszki, które zabrzczały poruszone. Wręczył je Rakoczemu

i wycofał się do drzwi.

— W mieszkach jest złoto — powiedział San Germano do Gaspara. — Suma, którą uzgodniliśmy w zeszłym roku. Chcę, abyś otworzył kolejno każdą z nich i przeliczył monety. Potem zapieczętujemy wszystkie worki i zgodnie z kontraktem przyłożysz swój znak na tych pieczęciach. Jeśli zechcesz, możesz potem udać się ze mną, aby ujrzeć, jak przekazuję je posłańcom, których zadaniem będzie doręczyć zapłatę. Zapewniam cię jednak, że będą to wszyscy uczciwi kupcy i kapłani. Gasparo zamrugął ze zdumienia.

— Nie, nie ma takiej potrzeby... — Czuł, że ten elegancki cudzoziemiec budzi w nim niepokój, nie potrafił jednak orzec, co dokładnie było tego przyczyną. Położył dłoń na pierwszym mieszku.

— Masz prawo sprawdzić wszystko, zadać dowolne pytanie i zażądać dowodów — powiedział Rakoczy z dziwną wesołością w głosie.

— Ależ, ekscelencjo... — Wziął mieszek, otworzył go, przeliczył wysypane na dłoń monety. — Tak, zgadza się, oczywiście.

— Poczekał, aż woreczek zostanie zamknięty i opatrzony pieczęcią, a potem narysował w gorącym wosku symbol pazura do wyciągania gwoździ. Drugi mieszek otworzył trochę niedbale i trzy floreny spadły mu na podłogę. Zaraz opadł na kolana, aby je pozbierać. — Przepraszam, ekscelencjo. Bywam niezgrabny...

— Powiedz mi — spytał Rakoczy, ignorując usprawiedliwienie — czy dostałeś jakieś wiadomości od braci z cechu? Gasparo pozbierał monety i wstał z sapnięciem.

— Tak. Giuseppe znalazł sobie polską żonę i powiada, że najwięcej nauczył się na razie o tym, do czego służy łóżko. Kraków mu się podoba. Pracuje przy nowym kościele, wykańczając elementy sklepienia. Lubi tę pracę i mówi, że nigdy nie zdarzyło mu się jeszcze robić czegoś tak zdobnego. Carlo pisze, że Londyn to zimne miasto,

Anglicy zaś są dziwni. Widział raz ich króla i wydał mu się bezbarwny w porównaniu z Laurenzem, chociaż Medyceusz był tylko bankierem.

— Tudorowie dopiero niedawno doszli do władzy. Odpisz Carlowi, że musi im wybaczyć brak wprawy — mruknął Rakoczy.

— A Lodovico?

Gasparo zmarszczył czoło.

— Lodovico nie jest zadowolony. Wcale nie polubił Lizbony i być może przeniesie się do Hiszpanii. Praca, którą wykonywał, nie była mu w smak i narzeka, że nie doceniają tam jego umiejętności. Nie wiem, co mu podpowiedzieć, ekscelencjo. Jeśli zna pan w Hiszpanii kogoś, kto byłby skłonny przekazywać mu pieniądze, może najlepiej by było, gdyby tam pojechał.

— A gdy znudzi się Hiszpanią, zapragnie ruszyć do Francji i historia się powtórzy. — Rakoczy westchnął. — Przypuszczam jednak, że trzeba tak zrobić. Niech będzie, zgadzam się. Wraz z jego mieszkiem wyślę notatkę kierującą go do pewnych osób w Hiszpanii. Najpierw będzie musiał udać się do Burgos, potem zobaczę, gdzie uda się go osiedlić.

Gasparo skończył liczyć monety z drugiego mieszka i czekał, aby postawić swój znak na pieczęci. Gdy to uczynił, spojrział ponuro na trzeci i otworzył go.

— Cóż, wiem, że jest pan szczodry, ekscelencjo...

— Prosiłem cię, amico, abyś mnie nie tytułował. Nie czyni ze mnie ekscelencji. — Rakoczy odcisnął swój herb powyżej znaku Gaspara.

— Nie czynię — jęknął budowniczy. — Po prostu widać, kim jesteś, panie. Tak jak świętego poznaje się po aureoli. W takich razach tylko głupcy nie są w stanie dojrzeć, z kim mają do czynienia. — Zamilkł na chwilę, aby dokończyć liczenia. — Suma się zgadza — powiedział oficjalnym i całkiem niezwykłym dla siebie tonem. — We wszystkich trzech mieszkach jest dokładnie to, co powinno.

Rakoczy kiwnął głową i potraktował trzeci mieszek woskiem.

— Przed końcem roku powinieneś otrzymać listy od całej trójki. Gdyby tak się nie stało, przyjdź i powiedz mi o tym. Jeśli z jakiegoś powodu nie będzie mnie na miejscu, wyślij zaufanego posłańca do Wenecji, do niejakiego Gian-Carla Ciranda. Znajdzie go w nowym pałacu niedaleko placu Świętego Marka.

Gasparo spojrzął na otrzymany od Rakoczego pergamin.

— Dlaczego do niego? — spytał podejrzliwie.

— Ponieważ jest to ktoś, kogo zatrudniam, aby dbał o moje tamtejsze interesy. To uczciwy człowiek i świetnie wywiązuje się ze swoich obowiązków.

— Oczywiście, proszę się na mnie nie gniewać, ekscelencjo — powiedział Gasparo, unosząc ręce. — Skoro pan twierdzi, że to ktoś godny zaufania, niewątpliwie tak właśnie jest i nie ma co do tego wracać. — Wstał i przeciągnął się lekko. — Pański pałac udał się nad wyraz. Wszyscy o nim mówią.

— Mille grazie — odparł Rakoczy, przekazując mieszki Ruggierowi. — Skoro tak, to też twoja zasługa. Gdyby nie wasza świetna praca, pałac nie wzbudziłby takiej uwagi.

Gasparo spłonął się z dumy, ale i tak chciał zaprotestować, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi. W progu stanęła Demetrice z dwoma ciężkimi, oprawnymi w skórę książkami w dłoniach.

— Przepraszam, że przeszkadzam, San Germano, ale chciałam spytać o coś w związku z tymi tomami.

Rysy Rakoczego złagodniały.

— Wejdź, proszę. Załatwiłem już, co należało, z tym dobrym człowiekiem. Gasparo Tucchio jest członkiem cechu budowniczych.

— Bonta donna — mruknął uprzejmie Gasparo.

— Donna Demetrice zajmuje się moją biblioteką oraz prowadzeniem domu — wyjaśnił Rakoczy, bo chociaż było przyjęte,

że ciesząca się łaskami mężczyzny kobieta zamieszkiwała z nim pod jednym dachem, nie chciał, aby ich znajomość została odczytana jednoznacznie. — W czym rzecz, uczona duszo?

Podawała mu książki.

— W jakim to języku? Nie znam go i nie wiem, jak je skatalogować.

Rakoczy zerknął między okładki.

— To perskie rękopisy, tyle że spisane w dawniejszej wersji tego języka niż używana obecnie. Ta w czerwonej skórze to kronika podbojów, które miały miejsce jakieś pięćset lat przed Chrystusem. Ta w brunatnej okładce zaś jest traktatem religijnym poświęconym bogom Egiptu, Indii i Persji. — Oddał jej drugą książkę, pierwszą zatrzymał jeszcze w dłoniach. — Persowie byli wtedy bardzo wojowniczy i skłonni do okrucieństwa.

Demetrice otworzyła książkę i wpatrzyła się w nieznanne pismo, jakby intensywność spojrzenia mogła umożliwić jej zrozumienie zdań. Potem westchnęła, zamknęła księgę i wzięła drugi manuskrypt od Rakoczego.

— Dobrze, wpiszę je zatem wraz z innymi książkami w obcych językach i dodam adnotację o ich wieku. Gdyby Lorenzo wiedział, że je masz... — Nagle przerwała. — Zobaczymy się w bibliotece po obiedzie — dodała całkiem innym tonem i wyszła z pokoju.

W zapadłej ciszy Gasparo zaczął bawić się wiszącą przy jego pasie sakiewką. Gdy w końcu spojrzął na Rakoczego, poczuł przypływ dziwnej sympatii do odzianego w czerń cudzoziemca.

— Nie musisz się obwiniać, ekscelencjo — powiedział, zanim zdążył się zastanowić, co właściwie przyszło mu do głowy.

— Co? — rzucił Rakoczy, ale zaraz się zreflektował. — Przestałem już obwiniać się lata temu. Dawniej, niż możesz sobie wyobrazić, przyjacielu. Nigdy jednak nie przywykłem do mojej... beziły, że tak

to nazwę. — Przypomniał sobie szyderstwa Estasii i żal, który piastowała w swej duszy Demetrice. Odwrócił się nagle i podszedł do małej wagi, biorąc z szalki jeszcze jeden stosik złotych monet. — Ty też dostaniesz swoją zapłatę, Gasparo. Chyba uznasz ją za wystarczającą. — Wsypał monety do drewnianej skrzynki i podał ją budowniczemu. — Pozwoliłem sobie dołączyć też pierścień. Mam nadzieję, że uczynisz mi ten zaszczyt i będziesz go nosił.

Gasparo zastygł na chwilę.

— Ekscelencjo... Ja nie... nie sądzę... Chyba nie chcesz, panie...

— Gasparo, amico — przerwał mu Rakoczy. — Sprawisz mi przyjemność, jeśli przyjmiesz ten podarek. Niewiele mogę zrobić, aby podziękować ci za pracę, jaką dla mnie wykonujesz. Przyjmij pierścień, pręgo.

Gasparo nie wiedział, co powiedzieć. Spojrzał na Ruggiera, ale zarządca po prostu stał i patrzył na całą scenę.

— Ekscelencjo — powiedział zdławionym głosem. — Gdybym w kimkolwiek miał uznać kiedyś swego pana, byłbyś to właśnie ty. Będę z dumą nosić pierścień od ciebie. — Potarł nos, aby powstrzymać łzy. — Jestem twym sługą aż do śmierci, Francesco Rakoczy. — Zaraz potem Gasparo Tucchio, członek cechu budowniczych i ktoś, kto nigdy nie zginał przed nikim karku, niczym cavaliere opadł na jedno kolano i ucałował dłoń San Germana.

List Piera di Lorenzo de Medici do rady miejskiej Florencji:

*Do szanownych członków i Priori della Signoria*

*Piero de Medici przesyła Wam pozdrowienia i żałuje, że nie może przekazać ich osobiście.*

*Wasze wezwanie zastało mnie w trakcie przygotowań do wyjazdu, którego nie mogę, niestety, odłożyć, aby osobiście z Wami porozmawiać i*

*natychmiast wyjaśnić zaszłe nieporozumienie. Z tego też powodu wysyłam Wam Ust, którego doręczenie powierzam mojemu kuzynowi Giuliano. Wyruszy on z Ambrzy jeszcze dzisiejszego popołudnia, tak byście dostali mą odpowiedź zaraz rano i nie musieli dłużej kłopotać się całą sprawą.*

*Pozwólcie zatem, że odniosę się do Waszych żalów. Po pierwsze, zarzucacie mi, że nie uczestniczę w życiu Florencji. Bądźcie pewni, że myślę o niej nieustannie. Nasz bank, jak często ostatnio mi przypominaliście, dzięki Henrykowi z Tudorów przeżywa akurat zły okres, przez co wymaga sporo mojej uwagi. Ojciec pozostawił go w strasznym stanie i moją powinnością jest jakoś tej sytuacji zaradzić. Z tego też powodu fundusze Medyceuszy nie będą przeznaczane na cele publiczne tak hojnie jak wcześniej. Wiem, że moja rodzina obiecała zapłatę kilku artystom, którzy upiększają Florencję, nie sądzę jednak, aby okazało się to obecnie możliwe.*

*Drugi Wasz zarzut dotyczy utrzymywania przeze mnie kontaktów z Jego Świątobliwością Aleksandrem VI oraz królem Francji, czego robić, Waszym zdaniem, nie powinienem. Jak mam zatem prowadzić międzynarodowe interesy bez negocjacji prowadzonych z obiema wymienionymi osobami? Powiadacie, że obawiacie się, iż znajdę się pod ich niepożądanym wpływem. O ile w przypadku papieża mogę Was zrozumieć, jest bowiem Hiszpanem i wywodzi się z Borgiów, w czym jednak wadzi wam Francja? Nie jestem zależny od jego wysokości i jeśli postanawia on uhonorować mnie i mój ród darami, nic nie zaszkodzi, jeśli je przyjmę. Pamiętając o moim młodym wieku, z góry gotowi jesteście orzec, że wspomniani monarchowie owiną mnie wokół palca. Mogę być młody, ale nie jestem głupcem. Przypominam Wam, że mój ojciec był dokładnie w moim wieku, gdy przejmował ster Republiki.*

*Skoro już mowa o wyrazach niezadowolenia, które przekazujemy sobie nawzajem, pragnę Was poinformować, że uważam Wasze potępienie moich ostatnich działań bankowych za impertynenckie. Jeśli mam*

odbudować nasze interesy, muszę zacząć od porządków. Poza tym zgodzicie się chyba, że Federigo Cossa, alchemik, przekroczył granicę przyzwoitości, obciążając mnie tą kuriozłą sumą za całkiem bezwartościowe złoto, które dla mnie zrobił. Czy miałem w tej sytuacji inny wybór, jak tylko go wygnąć?

Brak przywództwa, nad którym tak rozpaczacie, będzie mniej dotkliwy, jeśli zaczniecie popierać moje decyzje. Nie mogę pracować, skoro Wasza starcza grupa ciągle rzuca mi kłody pod nogi. Zawsze wystuchiwaliście instrukcji mojego ojca, nie ma zatem żadnego powodu, abyście teraz nie mogli wystuchiwać moich. Oczekuję, że w przyszłości będziecie stosowali się do moich poleceń.

Obecnie zamierzam pozostać jakieś dziesięć dni na wsi. Chcę dopilnować żniw, a gdy te już się skończą, wrócę do Palazzo de Medici. Może się zdarzyć, że zabawię tu jeszcze kilka dni dłużej, jeśli trafi się sposobność do polowania, którego musiałem odmawiać sobie przez ostatnie kilka miesięcy.

Czekajcie mnie zatem w pierwszy tydzień listopada. Spotkam się wtedy z Wami i mam nadzieję, że ujrzę Was w lepszych nastrojach. Do tego dnia polecam się Wam i oczekuję Waszej pomocy i życzeń powodzenia w wypełnianiu mych obowiązków.

Piero di Lorenzo de Medici

Ambra, Poggio a Caiano, 23 października 1492

PS Wasza groźba opublikowania oficjalnego potępienia niewiele dla mnie znaczy. Mój ojciec, jak pamiętacie, został nawet ekskomunikowany i nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Skoro on mógł zignorować papieża, dlaczego ja miałbym korzyć się przed Wami?



### . 3 .

Kołyszący wierzchołkami drzew wiatr pachniał deszczem. Ze szczytu wzgórza roztaczał się świetny widok na całą Florencję, która wyglądała jak wielka makieta. Ciemne chmury odarły budynki z kolorów, co czyniło obraz niesamowitym, jakby zrodzonym we śnie.

Pierwsza zatrzymała się na górze Demetrice w zielonym, targanym przez podmuchy wiatru płaszczu. Siedziała w siodle jak mężczyzna, tak jak nauczył ją Lorenzo podczas pobytu w domku myśliwskim. Jej wysokie buty bardziej pasowałyby chłopcu, podobnie jak trójgraniasty, wyszywany kapelusz, który przytrzymywał jej jasne włosy.

Rozległ się tętent kopyt i Rakoczy zatrzymał swego siwka tuż obok dereszowatej kłaczy Demetrice. San Germano był tego dnia ubrany całkiem na czarno, bez jakichkolwiek białych czy czerwonych akcentów. Wszystko, od rosyjskich butów z obcasami przez francuskie rękawiczki po miękkie, hiszpański kapelusz, było barwy smoły. Może dlatego jego twarz wydawała się bledsza niż zazwyczaj. Bure chmury gnały po niebie, zasłaniając ostatnie promyki słońca. Demetrice zadrżała i ciaśniej otuliła się płaszczem.

— Zimno ci, amica? — spytał Rakoczy, pochylając się w siodle, aby złapać dla niej poję płaszcz.

— Nie, Francesco. To nieważne — odparła, chociaż podmuchy wiatru okryły jej twarz rumieńcem. W końcu spojrzała na leżące w dole miasto. — Jest takie małe.

— To przez odległość — powiedział San Germano dziwnym tonem. — Dystans bywa zwodniczy.

— Co jest, Francesco? — spytała. Odwrócił głowę.

— Nic, amica. Naprawdę nic.

— Wcale nie — powiedziała łagodnie. — Ale nie będę naciskała. — Uderzywszy obcasami w boki wierzchowca, skłoniła go do truchtu. Nie obejrzała się, by sprawdzić, czy Rakoczy podąża za nią.

Dogonił ją po paru minutach.

— To niebezpiecznie tak odjeżdżać — powiedział stanowczo, gdy był już w zasięgu głosu.

— Dlaczego to mówisz? — spytała, ciągle jeszcze patrząc na odległą Florencję. Zadrżała ponownie, widząc, jak cień ogarnia miasto.

— Bo w ogóle nie jest bezpiecznie podróżować samemu. Robbójnicy podchodzą znacznie bliżej Florencji niż kiedyś. Niektórzy muszą być z rodu Viscontich, bowiem ich ofiary zapamiętały nie raz i dwa herb tego domu, niebieskiego węża pożerającego czerwone dziecko na srebrnym polu. To z kolei oznacza, że są to bandy zorganizowane nie gorzej niż wtedy, gdy stanowiły część oddziałów zbrojnych rodu. Już tylko z tego powodu są bardzo niebezpieczne. Na dodatek tacy renegaci nie mają względów... dla kobiet. — Podjechał do niej i spojrzał dziewczynie w twarz.

— Mówisz tak, a przecież sam nie jesteś nawet uzbrojony — rzuciła, starając się ukryć nagły strach.

— Nie jestem? — Puścił wodze i skrzyżowawszy ręce, dobył z mankietów dwa sztylety. — Coś jednak mam.

— Zaiste — przyznała. Obejrzała się, gdy chował długie ostrza do ukrytych pochew. — Florencja nie jest już taka jak dawniej. — Trudno było jej mówić wprost o śmierci Laurenza, ale Rakoczy i tak ją rozumiał.

— Tak, zmieniła się. — Przyjrzał się miastu spod przymrużonych powiek. — I nie tylko to, amica. Popatrz, jak wszystko zamiera. Od trzech lat mamy nieurodzaj, a handel materiałami ogarnia z wolna stagnacja. Angielski rynek prawie że zniknął i Arte della Lana zaczyna

już to odczuwać. Nie buduje się nic nowego. Widzisz te dwa niewykończone budynki we wschodniej części miasta? Stoją już tak od prawie roku i nie są wcale jedynymi. Florencja winna być jak rwący strumień, nie zarośnięty rzesą staw. Albo — dodał, przypomniawszy sobie o religijnym fermencie, który ogarniał miasto — jak fala potopu. To nie wróży dobrze na przyszłość.

Demetrice spojrzała na zaciągnięte chmurami niebo.

— Niebawem będzie padać. Popatrz tylko na tamte wzgórza. Zmokniemy.

Rakoczy pokiwał głową.

— Niemniej obiecuję ci, Demetrice, że nie masz powodów, aby się mnie bać.

Aż do tej chwili nie podejrzewała nawet, że wyczuwał jej niepokój.

— Chyba nie rozumiem. Westchnął.

— Tak, zmokniemy, nim dojedziemy do domu. — Po chwili jednak wrócił do tematu. — Nie wiem, co Lorenzo ci o mnie powiedział ani czego dokładnie się domyślał. Niemniej zapewniłem go, tak jak tobie teraz mówię, że jesteś przy mnie bezpieczna.

Albo przynajmniej, że w niczym ci nie zagrażam. — Dostrzegł, że rysy jej twarzy trochę złagodniały, i to mu wystarczyło. — Ruszajmy, donna mia, bo inaczej przyjdzie nam rozejrzeć się za mydłem.

Demetrice prawie się uśmiechnęła i pogoniła wierzchowca, podążając za Rakoczym drogą w kierunku San Miniato al Monte.

Deszcz dopadł ich, gdy gnali przez Ponte Vecchio. Starczyło kilka chwil, aby zaczęli drżeć z zimna w przemoczonych ubraniach.

Ledwo znaleźli się przy stajni na tyłach Palazzo San Germano, Rakoczy zeskoczył ze swojego lekkiego siodła, aby pomóc Demetrice zejść na ziemię. Gdy podał jej rękę, uśmiechnęła się do niego. Mokre suknie kleiły się jej do ciała, a włosy sterczały dookoła twarzy niczym wodorosty.

— Chodź — powiedział, obejmując ją w talii. Wprawdzie była niemal tak wysoka jak on i ciężka od mokrej odzieży, lecz uniósł ją bez trudu i postawił obok siebie.

Ich oczy spotkały się na chwilę. W spojrzeniu Demetrice dawało się wyczuć niewypowiedziane pytanie i zaskoczenie, że jego dotyk może być taki miły. Ciemne i enigmatyczne oczy Rakoczego były równocześnie bardzo ciepłe, odsunął się jednak szybko i wzięwszy dziewczynę za rękę, poprowadził ją do pałacu, konie zostawiając pod opieką stajennych.

— Zmarzłaś, amica — powiedział. — Ruggiero przygotuje ci kąpiel. Nie chcę, aby dopadło cię przeziębienie.

— A ty? — spytała trochę bez tchu.

— Wykąpię się po tobie. — Spojrzał na nią z rozbawieniem.

— Ale ty tak samo zmarzłeś. Przytrzymał drzwi, aby ją przepuścić.

— To nie ma znaczenia, Demetrice.

Chciała zaprotestować, ale zorientowała się, że Rakoczy już jej nie słuchał. Otworzył drugie drzwi i weszli na dziedziniec.

— Idź pod osłoną górnej galerii. Nie ma co moknąć więcej. Sam też posłuchał własnej rady, nie wychodząc poza okap dachu na piętrze. Jego buty uderzały ostro o kamienie mozaiki w kontrapunkcie do szumu deszczu. Poruszał się szybko i cicho niczym cień przemierzający leśne ostępy.

— Wieczorem będę musiał wyjść, ale nie przejmuj się tym. Amadeo dopilnuje, abyś dostała obiad. Jeśli chcesz, każę mu przygotować także zupę. Przy tej pogodzie może się przydać. Poza tym możesz spędzić ten czas, jak zechcesz, co obejmuje także korzystanie z całej biblioteki. Nie martw się, jeśli wrócę późno.

— San Germano! — odezwała się po chwili Demetrice. Zatrzymał się, zaskoczony siłą jej głosu, i obejrzał na nią, marszcząc brwi.

— Co się stało, amica? Coś nie tak?

Teraz, gdy postanowiła wreszcie, że z nim porozmawia, w ustach nagle jej zaschło i ledwie zdołała wymówić kilka słów.

— Chciałabym... Chciałabym uczyć się od ciebie.

— Uczyć? Czego? — spytał, szczerze zdumiony.

— Tego, czym zajmujesz się w swoich sekretnych komnatach. Cokolwiek to jest. — Wreszcie to powiedziała. Czekwała, starając się ukryć napięcie i nie mając odwagi, aby spojrzeć mu w twarz.

— A skąd wiesz o ukrytych pokojach, Demetrice?

— Widziałam. Śledziłam cię. — Uznała, że najlepiej będzie wyznać wszystko. — Wiedziłam, że są tu ukryte pomieszczenia. Wiedziłam, że masz tajemnice, którymi z nikim się nie dzielisz. Postanowiłam więc dowiedzieć się czegoś więcej — wyrzucała z siebie zdanie za zdaniem. — Poczekalam do późnej nocy i poszłam za tobą. Widziałam, jak wchodzisz do tych pomieszczeń. Drzwi są na górze, za jednym z paneli przy schodach. Jest też zapewne jedno wejście z galerii na górze, ale nie znalazłam go.

Rakoczy nie wyglądał na zagniewanego. Był spokojny, tylko patrzył na dziewczynę badawczo.

— Czy jeszcze coś?

— Tak — powiedziała cicho i zaczęła skręcać w palcach rzemienie od swojej sakiewki.

Podszedł bliżej i spojrzał na nią łagodnie.

— Co to jest, amica mia? Nie bój się mnie, proszę. — Nie dotknął jej i wyczuwała w nim w tej chwili wyraźny chłód.

Zalegający pod galerią mrok ukrył niepokój malujący się na jej twarzy, ale nadal nie śmiała spojrzeć mu w oczy.

— Śledziłam cię więcej razy.

— Tak? — Teraz był już pewien, co usłyszy, i wiedział, że nie zdoła jej powstrzymać. Nie chciał wcale tego czynić. Czekał z rezygnacją, aż Demetrice zbierze się na odwagę.

— Gdy wychodziłeś kilka dni temu, zostawiłeś w swojej sypialni zapaloną lampę. Zostałam u siebie, ale słuchałam, czy będziesz wracał. Zjawiłeś się niecałą godzinę przed świtem. Widziałam, jak szedłeś galerią i gdy wchodziłeś do siebie, światło latarni... — Wreszcie spróbowała na niego spojrzeć. — Zobaczyłam w świetle latarni, że miałeś krew na ustach.

— Tak. — Musiał zebrać siły, aby nie odwrócić się od niej, czuł jednak, że jeśli teraz to zrobi, straci bezpowrotnie jej zaufanie.

— Lorenzo powiedział mi, zanim umarł, czego się domyślał.

— To nie były domysły. On wiedział — wyznał Rakoczy, wspominając świąteczny wieczór, który zakończył się tak nieprzyjemnie.

— Owszem. — Demetrice spojrzała na niego wyczekująco. — Czy miał rację?

Czy to zawsze musi być takie trudne? — zastanowił się Rakoczy. Czy aż tak bardzo obawiał się, że wzbudzi lęk? Czy wyznanie prawdy znowu pchnie go w objęcia samotności?

— Co Lorenzo ci powiedział?

— Ze jesteś więcej niż alchemikiem. Powiedział, że jesteś nieśmiertelny...

— Nie całkiem — rzucił pospiesznie.

— I że jesteś... wampirem. — Gdy nie odpowiedział, kontynuowała: — Powiedział, że Kościół się myli i że twój rodzaj nie ma nic wspólnego z demonami czy istotami przeklętymi przez Boga, że nijak nie przypomina diabelskiego nasienia. Stwierdził, że to coś całkiem innego.

— Miał rację — przyznał cicho Rakoczy. Przez chwilę tylko słuchał deszczu. — Powiedziałem ci już wcześniej i powtarzam teraz, że nic ci z mojej strony nie grozi, Demetrice. Całkiem nic. Podobnie jak innym osobom we Florencji. — Zastanowił się chwilę. — A gdyby nawet, to

przypadkiem, niezależnie od moich intencji.

— Ale widziałam krew... — wyrwało się Demetrice.

— Pochodziła od kogoś, kto oddał ją z własnej woli. Za Porta San Frediano.

— Nie chodziło więc o donnę Estasię?

— Nie.

Demetrice zaskoczyła zazdrość, którą poczuła, wspomniawszy o Estasii. Zaraz jednak porzuciła myśli o kuzynce Botticellego i ponownie zebrała się na odwagę.

— Co się dzieje... gdy pijesz?

Rakoczy chętnie zakończyłby jak najszybciej tę rozmowę.

— W zasadzie nic. Pojawiają się miłe sny z poczuciem słodkiej satysfakcji, rano zaś lekkie osłabienie, bo trochę krwi jednak ubyło. — Zauważył malujący się na jej twarzy sceptycyzm. — Nie, amica mia. Nie jestem krwiożerczym potworem. Krew, którą utaczam, wypełniłaby może rubinowy kielich Laurenza. Ale sama krew to nie wszystko. Potrzebuję jeszcze bliskości. Jest równie ważna, wraz ze wspólnymi przyjemnościami i silnymi emocjami. Mogę przekazać siebie tylko tym, którzy wiedzą, kim jestem. Tylko ci, którzy akceptują moją inność, mogą stać się podobnymi do mnie. — Odwrócił się od Demetrice.

— A jeśli ktoś poprosi cię, abyś dał mu życie? — spytała z bólem.

— To możliwe i zdarzało się w przeszłości. — Wiedział, jakie pytanie teraz padnie, i przygotował się na nie w duchu.

— To dlaczego nie uratowałeś Laurenza? Dlaczego pozwoliłeś mu umrzeć? Był twoim przyjacielem.

— Wiem. — Odsunął się od niej i zacisnął powieki, aby stłumić powracający po raz kolejny żal. — Nie uratowałem go, bo nie mogłem. Nic nie mogłem dla niego zrobić.

— Nawet nie spróbowałeś? — Zacisnęła dłonie w pięści, a w jej

pełnych łez bursztynowych oczach błysnęła złość.

— Uwierz mi, Demetrice, gdyby była choć najmniejsza szansa, wszystko bym zaryzykował, aby przeżył. Nawet gdyby miał mnie po wsze czasy nienawidzić.

— To dlaczego...? — spytała, całkiem już bez złości. Odwrócił się do niej.

— Bo nie byłem w stanie! — wykrzyknął, lecz szybko się opanował. — Zrozum, że nie mogłem go uratować — dodał z naciskiem. — Szukałem sposobu w nadziei, że jednak się uda. Ale nie. Chodziło o jego krew. Aby doszło do zmiany, krew musi być czysta. Lorenzo zaś był chory. Tak chory, że nawet krew była już zatruta. Nie zaszkodziłaby mi, ale dla niego nic by to nie zmieniło. Już nie.

Deszcz padał coraz mocniej, szumiąc miarowo, jakby wielka armia maszerowała gdzieś w dali. Popołudnie zrobiło się jeszcze mroczniejsze, a mozaika na dziedzińcu zniknęła całkiem pod rozpryskami wody.

— Nie wiedziałam — odparła Demetrice, zdoławszy w końcu zebrać słowa, i zamilkła, bojąc się powiedzieć coś więcej. Podeszła do Rakoczego i w milczeniu wyciągnęła do niego rękę.

Spojrzał na nią pytająco, po czym ujął jej dłoń, żałując, że nie zdjął wcześniej rękawiczek. Skinął głową.

— Demetrice, amica, możesz zostać tu ze mną. Gdybyś jednak wybrała inaczej, wyposażę cię w środki do życia albo posag. Jeśli zostaniesz, obiecuję nie dotknąć cię ani nie niepokoić, nawet w snach.

— Nie chcę pieniędzy ani posagu — powiedziała. — Chcę się uczyć. Uczyć się o tym, co jest w tych ukrytych pokojach. Pozwolisz mi?

— Dobrze. — Przyciągnął ją bliżej. Jego ciemne oczy miały w sobie nieodparty urok, podobnie jak delikatne dłonie. — Bądź zatem moją uczennicą. Oraz przyjacielem, Demetrice. Nie kochanką, ale



przyjaciółką.

Odsunęła się trochę od niego, ciągle jeszcze niepewna.

— Wzbudzam w tobie lęk? — Nie chciał być aż tak bezpośredni, jednak nie udało mu się ukryć własnego niepokoju.

— Nie — odparła szybko. — Nigdy się ciebie nie bałam. — Była to niemal prawda.

— Nawet teraz, gdy wiesz już, kim jestem?

Nie potrafiła nic wyczytać z jego oczu, wiedziała jednak, że pilnie obserwuje jej twarz.

— Powiedziałeś, że mnie nie skrzywdzisz, i wierzę ci, San Germano. Gdybyś wyrzucił mnie za narzucanie się ze szczerością, też bym się ciebie nie bała. Chociaż na pewno byłabym zła — dodała z uśmiechem.

Ostrożnie objął ją i przytulił.

— Czy wiesz, jak to jest, nie budzić obrzydzenia?

Nie umiała odpowiedzieć, ale ogarnęła ją fala współczucia. Rozumiała, co musiało się kryć za podobnym pytaniem. Odwzajemniła uścisk.

Jednak to on odsunął się pierwszy.

— Chodź — powiedział całkiem innym tonem. — Tu jest bardzo zimno. Musisz się ogrzać, inaczej zachorujesz.

Demetrice posłuchała i sama poczuła nagle, że przemarzła do szpiku kości. Bez słowa podążyła za nim, ciesząc się ciepłem panującym we wnętrzu pałacu i smakując całkiem nową przyjaźń z Rakoczym da San Germano.

List hrabiego Giovanniego Pico della Mirandoli do Marsilia Ficina:

*Przyjacielowi Marsilio, który przebywa we Florencji, Pico przesyła pozdrowienia z Rzymu.*

*Musisz być pierwszym, z którym podzielę się dobrą nowiną. Papież wyznaczył mi wreszcie termin audiencji w związku z moją petycją. Kto by pomyślał, że spośród wszystkich ludzi właśnie Rodrigo Borja y Lara zechce mnie wysłuchać? Może się uda i zniknie wreszcie ten niestawny zakaz, którym obłożono moją pracę. Módl się za mnie, Marsilio.*

*Widziałem się z kardynałem Giovannim (i musiałem z tysiąc razy wysłuchać dowcipu o Giovin Giovann, aż zacząłem go mieć serdecznie dosyć). Oczywiście Giovannijest młody i jasne, że kardynalski kapelusze nie jest w stanie przydać mu wieku ani mądrości, jest jednak Medyceuszem i na wskroś Florentyńczykiem. Jeśli wydaje ci się, że ród Orsinich patrzy z góry na Florencję, wszystko to nic w porównaniu z tym, jak młody kardynał traktuje Rzym. Jest jednak bystry i szybko się uczy. Jest też ambitny i nie lubi przegrywać jeszcze bardziej niż jego ojciec. Lorenzo być może nie pochwaliby jego obecnych poczynań, ale na pewno byłby z niego dumny.*

*Krąży niemniej po Rzymie nieco plotek na temat postępowania Piera we Florencji. Ambasador Genui daje do zrozumienia, że jego miasto jest zainteresowane zagarnięciem Pizy i Livorno, co może mieć katastrofalne skutki dla Republiki Florencji. Chyba że Piero przejmie kontrolę nad bankiem od swego wuja Tornabuoni i zaprzestanie zrzucania spraw państwowych na barki tego drugiego Piera, czyli Dovizio da Bibbiena. Dobrze jest mieć sekretarza, aby przepisywał listy i uzgadniał spotkania, ale wiele więcej raczej czynić nie powinien. Lepiej by też było, gdyby Piero wziął kobietę z Florencji za żonę. Alfonsina jest o wiele gorsza pod tym względem niż Clarice. Ale co się stało, to się stało. Są już prawie trzy lata po ślubie. Nawet papież z Borgiaów nie byłby skłonny tego anulować.*

*To pierwszy rok, kiedy nie spotkaliśmy się siódmego listopada, aby uczcić urodziny Sokratesa. Był to dla mnie bardzo pusty dzień. Nie tylko dlatego, że przebywam obecnie w Rzymie, ale także przez świadomość, że spotkanie nie odbywało się właśnie we Florencji. Tak jak nadal bardzo*

*brakuje mi Laurenza, tamtego dnia było to szczególnie dotkliwie.*

*Wysyłam Ci wraz z tym listem kilka wierszy, a ponieważ zostanie on zabrany przez wystannika kardynała Giovanniego, ufam, że dotrze do Ciebie w krótkim czasie. Przeczytaj je, proszę, gdy będziesz miał chwilę, i gdybyś miał jakieś refleksje na ich temat, prześlij mi słowo. Twoja ocena zawsze była dla mnie bardzo cenna.*

*Pozdrów, proszę, ode mnie wszystkich moich przyjaciół we Florencji. Mam nadzieję wrócić, gdy tylko Aleksander rozpatrzy pozytywnie moją petycję. Póki co polecam się Twojej pamięci.*

*Giovanni Pico hrabia della Mirandola e Concordia*

*W Rzymie, w dzień świętego Ambrożego z Mediolanu, 7 grudnia 1492*

## . 4 .

Wielka nawa świątyni Santa Maria del Fiore była niemal pełna. Wszystkie ławki zostały zajęte i wielu ludzi siedziało nawet wprost na posadzce. Był wyjątkowo jasny i mroźny dzień, a porywisty wiatr owiewał miasto chłodnym oddechem znad obsypanych śniegiem wzgórz.

Odkąd Savonarola uzyskał zgodę na wygłaszanie kazań w katedrze, liczba jego zwolenników wzrosła znacznie, a tego dnia wydawało się, że czekali na jego ostre słowa szczególnie niecierpliwie. Czas był świąteczny, co mogło przełożyć się na ton kazania. Msza trwała niewiarygodnie długo, jakby nigdy nie miała się skończyć. Zebrani szemrali i wierzili się, aby przetrwać jakoś w ścisku. Ostatecznie zapadła cisza i ludzie wyciągnęli głowy, aby dojrzeć niewielkiego dominikanina, który szedł w kierunku ambony.

Simone Filipepi spojrział surowo na swoją kuzynkę Estasię, która siedziała sztywno obok niego.

— Słuchaj go, kuzynko — syknął jej do ucha. — Jego słowa będą nagrodą za twoją cierpliwość.

Estasia znienawidziła już całą wyprawę. Od wczesnego rana, gdy Simone niemal wywłócił ją z domu, po długie oczekiwanie, aż katedra się wypełni, wydała się jej koszmarem. Głowa ją bolała, drżała z zimna, a trzy godziny siedzenia na twardej ławie tylko po to, aby w czasie kazania znaleźć się w pobliżu Savonaroli, miała za całkowite i bezsensowne marnowanie czasu. Wracała myślami do ostatniej nocy. Ettore, jej nowy kochanek, zawiódł na całej linii. Okazał się niezdarny i skończył, ledwie zaczął. Na dodatek, gdy tylko uzyskał swoje, zaraz wyszedł, wymówiwszy się, że musi być rano wyspany. Nie po raz pierwszy wypominała sobie głupotę w sprawie Rakoczego. Zachowała

się jak rozkapryszona siksa i straciła przez to wszystko, co z nim przeżywała.

Pod sklepieniem zadudnił lekko chrapliwy głos przeora San Marco i ludzie nadstawili uszu.

— Modliłem się w pokorze i uniżeniu, aby zniszczenie, które nadchodzi, nie dotknęło Florencji, jak długo przepelniona jest ona grzechem.

To był obiecujący początek, który zdobył bez reszty uwagę słuchaczy.

— Okaż skrucę, Florencjo, póki jest jeszcze czas. Moje wizje powiadają, że nie zostało go wiele. Potem Florencja zamieni się w pustynię, obszar nagi i pozbawiony życia. Nie ja wam to zapowiadam, ale głos Boga, który przemawia przez moje usta!

Simone zerknął na Estasię i widząc jej arogancki uśmiech, wyszeptał:

— Próżna jesteś! Próżna!

Savonarola wychylił się z kazalnicy i jego zielone oczy zajaśniały fanatycznie.

— Wdziejcie skromne białe szaty, świadczące o czystości. Epidemie i wojny nadejdą, aby was zniszczyć, jeśli nie okażecie skruchy. Widziałem miecz gniewu Bożego, który zawisł nad tym miastem, i burzę, i zniszczenie, które nadeszły później.

Ludzie na to właśnie czekali. Kilka osób zaczęło błagać głośno o miłosierdzie, inni zapowiedzieli, że niezwłocznie zajmą się żałowaniem za grzechy.

— Pierwsi chrześcijanie, którzy bez skargi nosili korony męczenników, żyli skromnie pośród przepychu i rozpusty dawnego Rzymu. Wiedzieli, jak prawdziwe są słowa Chrystusa, jakim objawieniem jest Ewangelia i całość Testamentów. Chociaż mieli przeciwko sobie potęgę całego cesarstwa, umieli odwrócić swe oblicze

od fałszywych nauk i przyjąć boskie wyroki.

Estasia westchnęła i rozejrzała się po katedrze. Z radością dostrzegła w tłumie wielu przystojnych mężczyzn. Jej uwagę zwrócił zwłaszcza jeden, bez wątpienia bogaty, być może z Pizy, bo nosił strój innego trochę kroju. Gdy na nią spojrział, westchnęła znacząco w nadziei, że może poszuka jej po kazaniu.

— Wy się od tego odwróciliście. Czytacie herezje spisane przez Platona i Arystotelesa i myślicie, że są tyle samo warte co nauki Chrystusa. Dajcie się zwieść, bowiem Platon i Arystoteles dawno już smażą się w piekle! — Uniósł rękę, aby uciszyć zgromadzonych. — W piekle się smażą i widziałem ich oczami łaski Bożej. Wy zaś, co czytacie ich pisma i cieszyacie się, że je rozumiecie, jedno tylko w ten sposób na siebie ściągacie: wieczne potępienie! — Tym razem pozwolił, aby jęk przetoczył się po świątyni.

Młodzieniec z Pizy dostrzegł Estasię i skinął jej głową, uśmiechając się przy tym obiecująco.

— Czytacie zakazane ustępy przyjaciół Sokratesa o relacjach między dwoma mężczyznami, chociaż Pismo wprost nazywa to grzechem. Słowo Boga podaje, aby żywcem palić sodomitów. Jakiegoż zadufania trzeba, aby przeoczyć to przykazanie. — Dojrzał, że niektórzy mężczyźni skrzywili się na te słowa, inni nawet je wygwizdali. — Tak, sprzeciwiaacie się. Szczycicie się swoim zepsuciem i perwersją. Jesteście jak dawni Rzymianie, którzy zabili Chrystusa, a dzisiaj węgle szuflują w piekle i jęczą na swój los.

— Och, Simone — westchnęła Estasia, udając, że nadstawia ucha na słowa kaznodziei z Ferrary.

— Naśladujecie tamtych Rzymian i napawacie się dumą, urządzając wyścigi konne i zakłady. Jeśli macie mieć szanse na zbawienie, palio musi zostać zlikwidowane, tak samo jak zakłady przy grze w kości i kartach i wszystkie podobne, pogardy godne rozrywki.

Dopuszczacie się rozpasania większego niż poganie podczas swoich guseł, hołdując w czasie świąt każdemu możliwemu grzechowi. Malujecie wizerunki swoich kobiet i dozwalacie, aby nawet święte osoby przedstawiać nagie i obwieszane klejnotami niczym dziwki z dworu cesarów. — Wskazał na wizerunek Madonny, dodany ostatnio do katedralnych dekoracji. — Widzicie? Widzicie Ją? Jej oczy nie są czyste i pokorne, ale wyzywające, zapraszające i to, że osłania ręką biust, nikogo nie zwiedzie. Nie dla Pana naszego została namalowana, ale dla grzesznej uciechy mieszkańców tego miasta.

Wszyscy spojrzeli na Madonnę i zgodzili się z zakonnikiem chórem przerażonych głosów.

— Czy może dziwić w tej sytuacji, że nawet najbardziej szanowane damy tego miasta też malują się i zdobią na potęgę? Pomyślcie o naprawdę upadłych kobietach, które wiodą życie, dozwalając, aby żądze zawładnęły ich czynami. Każda kobieta z Florencji może okazać się prostytutką, cała zaś różnica sprowadzać się będzie do stopnia, w jakim oddaje się zepsuciu. Widzieliście je. Dotykaliście. Zarazacie się tą zgnilizną, patrząc wkoło!

Tym razem jęk zdał się prawie powszechny. Savonarola stał nieruchomo z uniesioną ręką, którą opuścił w końcu powoli, teatralnym wręcz gestem, wskazując po kolei na konkretne, obecne w tłumie osoby.

— Ty szukałaś lubieżnych kobiet, aby zaspokajać z nimi nienaturalne żądze! — ogłosił, celując palcem w smukłą dziewczynę, która siedziała skromnie wraz z rodziną. Krzyknęła przerażona i zakryła dłońmi pobladłą twarz, nie chcąc pokazać łez.

— Ty... — Savonarola wyszukał jakąś ponadtrzydziestoletnią kobietę. — Ty przebrałaś się w męskie ubranie, naruszając tym boskie prawa, i tak podróżowałaś za granicę, wstydu nie znając.

Ta okazała się odważniejsza, bowiem odkrzyknęła kaznodziei:

— A co, może miałam dać się zgwałcić zbójcom na drogach? Dominikanin zignorował jej odpowiedź i tym razem spojrzał na Estasię.

— A ty, rozpustna, pożądliva i zepsuta! Jesteś kanałem nieczystości. Śmierć czai się w tym pięknym ciele. Jad zmysłów wypełnia twoje myśli. W piekle spotka cię za to kara wieczysta. Sługi diabłów będą naruszać wszystkie otwory twego ciała i nosić będziesz w sobie pomiot szatański. Twoje ciało zgnije, a rozkład twej duszy wypełni piekło ohydny smrodem!

Estasia zamrugła i potrząsnęła odruchowo głową.

— Nie, nie...

Zebrani jednak podnieśli rwetes, oczekując kolejnych sensacji.

— Patrzcie na nią! — zawył Savonarola. — Podobna jesteś do niej, Florencjo! Piękna, pozornie czysta, skrywasz zgniliznę za fasadą przyjemności. Ale spójrzcie! — Wycelowwał obie ręce w Estasię, która próbowała się odsunąć. — Widzicie, jak się krzywi. Widzicie, jak się wiję. Diabeł trzyma ją za włosy! Rozkłada nogi i jęczy jak kurwa, którą w istocie jest. I komu z was jest miły taki widok?

Estasia upadła na podłogę, obejmując kurczowo dłońmi kostki stojących obok ludzi. Zaczęła szarpać suknię, aż odsłoniła prawie piersi. Metodycznie przeciągała po nich paznokciami, zostawiając krwawe ślady.

— Żałuję! Żałuję! Błagam o miłosierdzie... Zakłopotany mocno takim obrotem spraw Simone próbował podnieść Estasię, jednak ledwie jej dotknął, zaniósł się krzykiem.

— Opanuj się! — rozkazał, przytrzymując jej rękę. — Kompromitujesz się!

Nad tym wszystkim grzmiał ciągle głos Savonaroli.

— Jak długo jeszcze, Florencjo? Jak długo potrwa, aż Bóg będzie miał cię dosyć? Jak długo będzie znosił kpiny ze swojej tolerancji i



miłości? Stąpacie po krawędzi otchłani wieczności. Igracie z chaosem!

Stanik sukni Estasii był już w strzępach, zaczęła więc ranić paznokciami skórę twarzy. Łkała przy tym konwulsyjnie przez zaciśnięte zęby. Ludzie odsuwali się od niej, niektórzy się modlili.

— Widzicie tę kobietę dotkniętą oczyszczającą ręką Boga, ale nie śmiecie przyglądać się jej zbyt uważnie. Jednak to wy będziecie następni! Ukorz się, Florencjo! Okaż skruchę u tronu Miłosierdzia, zanim gniew Boży spadnie na ciebie!

Estasia próbowała wstać, nadal jednak drżała na całym ciele, a twarz jej wykrzywiał grymas rozpacz. Uniosła ręce ku niebu.

— Pomóż mi! Oszczędź mnie! — krzyknęła i zaczęła przepychać się do przodu, potykając się o ławki. Przy upadku poraniła ramiona o surowo obrobione drewno.

— Żałuj za grzechy, Florencjo! Patrz na tę kobietę! Widzisz, jak wyrzekła się wszystkiego i czołga się przed Wszechmogącym! Chodź, kobieto, i objaw skruchę!

Estasia upadła ponownie i tłum próbował się rozstąpić, czy raczej uciec jej z drogi. Kopnięto ją przy tym kilka razy i na jej ramionach pojawiła się krew. Przyłożyła dłoń do rany i uniosła wysoko zakrwawioną rękę.

Nawet Simone uznał, że to już za wiele. Najchętniej zaraz opuściłby katedrę, wszelako nie bez Estasii. Raz jeszcze próbował ją schwytać, ale wysiłek okazał się daremny. Zbyt wiele osób blokowało mu drogę, klęcząc, modląc się i płacząc.

— Estasio! Kuzynko!

Nie usłyszała go. Zawodziła wysokim głosem, niczym porwany przez orła gryzoń. Twarz i ramiona miała poranione. Na dodatek dwóch młodych mężczyzn zaczęło obmacywać jej nagie piersi, jakby czerpali szczególną przyjemność z podobnego obrazu cierpienia. Savonarola też musiał to zauważyć, nagle bowiem zapienił się z

wściekłości.

— Czego szukacie w takiej chwili? Jeśli zaspokojenia zmysłów, to wasze potępione dusze doznają wiecznej udręki.

Estasia dotarła już prawie do ołtarza i służący do mszy dominikanie spojrzeli po sobie zaniepokojeni. Nikt z nich nie miał ochoty na kontakt z oszalałą kobietą, Savonarola zaś przebywa ciągle na ambonie i nie myślał kończyć jeszcze kazania. Uspokoił się, gdy z tłumu wyłoniła się niepozorna niewiasta w białym habicie sióstr celestynek i objęła Estasię.

Z twarzą mokrą od łez i krwi Estasia znowu zaniósła się krzykiem i nagle, całkiem innym głosem, zaczęła przeklinać odzianą na biało zakonnicę, miotając na nią wszelkie znane jej sprośności i bluźnierstwa.

Zebrani nie mogliby życzyć sobie ciekawszego widowiska. To było tak przerażające, szokujące i skandaliczne zarazem, że tłum zaszemrał z podniecenia. Okres świąteczny nie obfitował w rozrywki i zwykle trudno było liczyć na cokolwiek więcej poza nieustającymi nabożeństwami, ale oto kuzynka artysty Botticellego dostarczyła im w końcu atrakcji, której tak bardzo wypatrywali. Siostra przytuliła Estasię, osłaniając ją przed ciekawskimi Florentyńczykami.

— Czy chcecie wszyscy stać się podobni do tej nieszczęsnej istoty? — spytał Savonarola, unosząc pięści w kierunku sklepienia katedry.  
— Boże, broń! Wolicie, aby miasto zostało zniszczone, aby świat cały uległ zagładzie, niżby wam miało się przydarzyć coś tak haniebnego!

— Módl się o spokój — wyszeptała tuląca Estasię siostra. — Bóg odpowie, jeśli poprosisz Go o łaskę.

W katedrze zapanowało tymczasem spore zamieszanie. Kilka kobiet rzuciło się na ziemię i krzyczały, że chcą zostać zbawione. Mężczyźni płakali i składali dłonie do modlitwy. Inni jeszcze intonowali hymny, dominikanie zaś przeciskali się przez tłum, błogosławiąc wszystkich,

którzy tego pragnęli, i uspokajając łkających.

— Pomyślcie o waszych grzechach! To ostatnia godzina, w której Bóg dozwala wam to uczynić. Potem nie będzie już szansy. Żałujcie za grzechy!

Oczy Savonaroli błyszcząły niczym w gorączce. Wielu uznało to za jeszcze jeden znak boskiego namaszczenia.

W końcu jednak wrzawa zapanowała tak potężna, że nawet jego głos stał się niesłyszalny. Większość zgromadzenia oddała się z zapałem żałowaniu za grzechy.

— Nie bój się — powiedziała siostra niskim, melodyjnym głosem. — Pomożemy ci. Razem z siostrami zabiorę cię do nas.

Uspokój się, dziecko, zadbamy o ciebie.

Jeśli Estasia słyszała to nawet i rozumiała, nie dawała tego po sobie poznać. Odrzuciła głowę do tyłu i nieprzytomnie wpatrywała się w górę. Z jej gardła wydobywały się odgłosy, które mogły być słowami, jednak nikt ich nie słyszał na tyle dobrze, by cokolwiek pojąć.

Simone zaciskał dłonie ze zdenerwowania, padł jednak na kolana i pogrążył się w szybko odmawianej modlitwie, jakby tempo wypowiedzania słów mogło przyspieszyć znalezienie odpowiedzi. Rozmyślnie ignorował swoją kuzynkę, aby hańba związana z jej zachowaniem nie spadła także i na niego.

Siostra odprowadziła Estasię na bok i w końcu udało się jej znaleźć drogę do wyjścia z katedry.

— Tędy, córko — powiedziała takim samym tonem, jakiego używała w rozmowach z imbecylami, o których troszczono się w Safro Infante. — Nie trzeba się bać. Jestem suor Ignata i zabieram cię do mojej przełożonej, suor Merzede. Zajmiemy się tobą. Nie bój się. Będzie dobrze.

Prosty wózek zakonnicy miał w zaprzęgu dwa noszące jarzmo woły. Siostra Ignata powoziła nim z wprawą, która świadczyła

jednoznacznie ojej wiejskim pochodzeniu. Z tyłu siedziały jeszcze trzy siostry, z wprawą uspokajając wyrywającą się czasem Estasię.

— Co postanowi jej rodzina? — spytała nagle z niepokojem siostra Stella, gdy wyjechały z miasta przez Porta alla Lanza.

— Mam nadzieję, że skoro aż tak ją zawiedli, pozwolą jej zostać u nas, aż Bóg uzdrowi jej umysł. To już jednak wola boska. Oraz kwestia zdolności przekonywania, właściwych siostron Phidii i Signale. Miejmy nadzieję, że okażą się rozsądni.

Jakiś czas później dwie zakonnice, które zapukały nieśmiało do drzwi, przeszkodziły Sandro Filipepiemu w pracy. Normalnie otworzyłby im zarządca Valerio, ewentualnie uczyniliby to Simone albo Estasia, jednak Valerio wyjechał do kalekiej siostry, Simone zamknął się w pokoju, aby modlić się i medytować, Estasia nie wróciła zaś jeszcze z katedry. Sandro nie cierpiał, gdy przeszkadzano mu w pracy, ale tym razem nie miał wyboru. Wytarł pędzel i zerknął krytycznie na Orfeusza, po raz kolejny powtarzając sobie, że powinien skończyć go dla Laurenza. Było to jednak pomniejsze zamówienie, Medyceusz zaś nigdy go nie poganiał. Teraz Rakoczy zaoferował, że kupi tę pracę, i Sandro wyraził zgodę, wiedząc, że temu akurat obcokrajowcowi nie będzie przeszkadzało, iż Orfeusz ma oblicze Laurenza.

Pukanie rozległo się ponownie, tym razem głośniejsze, i Sandro pospieszył ze swojej pracowni do drzwi. Gdy je otworzył, spojrzał ze zdumieniem na dwie kobiety w białych habitach i powstrzymał przekleństwo, którym miał ochotę powitać nieproszonych gości.

— Czym mogę wam służyć, siostry? — spytał, odsuwając się na bok i zapraszając je gestem do wejścia.

— Jestem suor Phidia z Sacro Infante — powiedziała starsza z nich, czterdziestoletnia może mniszka o zdecydowanym obliczu.

— To zaszczyt dla mego domu — odparł odruchowo Sandro, nadal

nic nie rozumiejąc.

— Domyślam się, że nie rozmawiałeś, panie, jeszcze ze swym bratem — powiedziała siostra Phidia, rozglądając się wkoło.

— Mój brat wrócił z katedry ponad godzinę temu i poszedł się modlić. Przeszkodzę mu, jeśli to konieczne, ale jest taki pobożny...

Siostra Phidia posłała swojej towarzyszce znaczące spojrzenie.

— A pańska kuzynka, signore Filipepi?

— Nie wróciła jeszcze z nabożeństwa. — Przebiegło mu przez głowę, że Estasia mogła znowu zrobić jakieś głupstwo. Może była w ciąży i dlatego poszła do sióstr? W jej wieku ciąża nie byłaby niczym dziwnym, zwłaszcza przy tylu, czyli trzech przynajmniej, kochankach. Może dlatego szukała pomocy? Z drugiej strony, wszyscy jej kochankowie byli porządnyimi ludźmi i żaden z nich nie odmówiłby uznania własnego dziecka. Estasia też pochodziła z dobrej rodziny, a takich kobiet nie wyrzuca się po jednej nocy. Nie doszedłszy do niczego, Sandro porzucił te rozważania i ponownie spojrzał na siostry.

Tym razem odezwała się młodsza:

— Jestem suor Signale, signore Filipepi. Obawiam się, że pańskiej kuzynce przydarzył się... nieszczęśliwy wypadek.

Sandro zacisnął powieki. Obawiał się, że coś może się stać Estasii. Nazbyt niepokoił go płonący ciągle w jej oczach blask, świadectwo nadal szalejących w niej emocji.

— Co się wydarzyło?

Siostra Signale uśmiechnęła się współczująco i ujęła różaniec, który zwieszał się u jej szerokiego pasa.

— Pana kuzynka, donna Estasia della Cittadella, miała atak podczas nabożeństwa w katedrze. Dokładniej, poczuła się poruszona do granic słowami Savonaroli. Niestety, pański brat nie umiał albo nie chciał jej pomóc, tak zatem zajęła się nią jedna z naszych sióstr w Chrystusie, suor Ignata, zabierając chorą z Santa Maria del Fiore.

— Rozumiem. — Siostry były z Sacro Infante, zakonu szpitalnego, gdzie trafiali szaleńcy, niedorozwinięci i zdziecinniali. Pomyślawszy o swoim bracie, Sandro po raz pierwszy od wielu lat poczuł, że jest porządnie wściekły na Simone'a. Gdyby jego pobożność była choć w małej części szczerą, nie zostawiłby kuzynki bez pomocy.

— Signore Filipepi... — zaczęła siostra Signale.

— Przepraszam siostry. Trudno mi uporządkować myśli. Proszę o wybaczenie. Powiedzcie, co się stało z Estasią?

Rozmowę ponownie przejęła siostra Phidia.

— Za pańskim pozwoleniem, signore, zabieramy ją do Sacro Infante. Mamy pewną wprawę w opiekowaniu się osobami o chorych duszach i chętnie spełnimy swój obowiązek powierzony nam przez naszego Pana.

Sandro omal się nie uśmiechnął. Mniszka w prosty sposób dała mu do zrozumienia, że odmowa byłaby nie tylko okrucieństwem, ale i czynem niegodnym chrześcijanina.

— Jest wdową, jej ojciec nie żyje. Nie mam nad nią większej władzy. Jeśli sądzicie, że tak będzie najlepiej, zajmijcie się, jak tylko to możliwe, aż się uspokoi. Nie mam czasu ni możliwości, aby osobiście opiekować się nią w domu, mój brat zaś chyba niezbyt umiałby zająć się nią w sposób, którego potrzebuje.

— Skąd był jej mąż? — spytała siostra Phidia, pragnąc ustalić, czy nie ma ryzyka jakichś obiekcji ze strony rodziny męża Estasii.

— Z Parmy. Nie sądzę jednak, aby miało to jakieś znaczenie. Musicie wiedzieć, że moja kuzynka została wydana za kupca, który był dwa razy starszy od niej, i tak naprawdę chodziło jedynie o połączenie dwóch domów handlowych. Jej obecne wdowieństwo nic ich już nie obchodzi, a interes znajduje się pod opieką krewnego męża. Dlatego też chciała w swoim czasie zamieszkać u mnie. Nie mieli dzieci, a jej życie w Parmie okazało się nad wyraz nudne.

Pilnowano jej tam na każdym kroku, aby nie wdała się w nic, co mogło zagrozić całości firmy. Dopiero tutaj uwolniła się od tej opieki.

Siostry ponownie wymieniły spojrzenia i Sandro zastanowił się, czy myślały o losie Estasii, czy może raczej o wynagrodzeniu, które mogą otrzymać z jej wdowiego majątku w zamian za opiekę.

Siostra Signale pokiwała głową.

— Rozumiem. Często się zdarza, że kobiety, które nie mają dzieci, dają się uwieść niezaspokojonym pragnieniom. Zrobimy dla niej, co w naszej mocy, i z Bożą pomocą znowu będzie zdrowa.

Sandro skłonił się w sposób, który mógł oznaczać zarówno rezygnację, jak i pełną zgodę na sugestie sióstr.

— Jeśli cokolwiek można dla niej zrobić, z pewnością wam się uda.

— Szkoda, że brak jej powołania — mruknęła siostra Phidia i poczekała, aż Sandro zareaguje na tę oczywistą aluzję.

— Obawiam się, że życie religijne nie wydawało się jej dotąd wystarczająco... pobudzające. Poza tym cała chyba pasja przypadła mojemu bratu. — Zaraz pożałował tej nazbyt śmiałej uwagi. — Przepraszam, nie to chciałem powiedzieć. Nadal czuję się oszołomiony po tym, co od was usłyszałem.

Siostra Signale z trudem wstrzymała się od komentarza, jednak siostra Phidia słyszała takie teksty już wiele razy. Takie oraz znacznie gorsze. Uśmiechnęła się łagodnie.

— Jeśli będziesz chciał, panie, się z nią zobaczyć, proszę odwiedzić nas pod koniec tygodnia. Wtedy będziemy mogły powiedzieć coś więcej i porozmawiać o wszystkim, co jeszcze może okazać się konieczne. Jeśli ma jakiegoś szczególnie bliskiego jej mężczyznę, dobrze by było, gdyby także go pan zaprosił. Dla tych, którzy pozostają pod naszą opieką, każdy przejaw troski ma wielkie znaczenie.

— Jak uważacie, siostry. Przybędę do was przed upływem

tygodnia. Gdyby jednak jej stan się zmienił, na gorsze czy na lepsze, chciałbym o tym wiedzieć. Wyślijcie mi wiadomość, a zjawię się, jak szybko koń mnie poniesie.

Słyszając tę deklarację troski, siostra Signale pozbyła się całej rezerwy.

— Dobry z pana człowiek, signore Filipepi. Wiedziałam, że ktoś, kto przedstawił Najświętszą Dziewicę w całej jej czystości i miłości, nie odwróci się od kuzynki.

Zapadła chwila ciszy i każdy zrozumiał, że wszystko zostało już właściwie powiedziane. Pierwszy wyraził to Sandro:

— Z całej duszy dziękuję siostram za to, co zrobiłyście. Będę czekał na wieści. Estasia też wam pewnego dnia podziękuje — dodał mimo ciągle drążącej go niepewności.

— Będę się o to modliła — powiedziała siostra Phidia i odwróciła się do swojej towarzyszki. — Powinnyśmy wracać. Za dwie godziny będzie ciemno, a wtedy musimy już być w klasztorze na modlitwach. — Spojrzała raz jeszcze na Sandra. — Możesz być pewny, panie, że zadbamy o nią najlepiej, jak tylko umiemy, z miłością Bożą, która nas prowadzi.

Sandro przytaknął i wypowiedział kilka zdań pożegnalnych. Z ulgą zamknął drzwi za siostrami. Był im szczerze wdzięczny za to, co zrobiły, i że zajęły go przez kilkanaście najgorszych minut, aż największa złość mu przeszła. Idąc korytarzem, pomyślał, że Simone będzie musiał się naprawdę gęsto tłumaczyć.

List Lodovica Sforzy, zwanego il Moro, sprawującego władzę namiestnikowską jako księżę Mediolanu, do Karola VIII, króla Francji:

*Do znakomitego i chrześcijańskiego króla, Karola VIII z Francji, stryja księcia Mediolanu, który ma zaszczyt działać w imieniu swego krewniaka*



*we wszystkich sprawach stanu, zwraca się z pełnymi szacunku i uniżonymi pozdrowieniami.*

*Doszło do wiedzy księcia, że Wasza Wysokość rości sobie prawa do Królestwa Neapolu, Jerozolimy oraz innych miejsc, których Wasza Wysokość dotąd nie objął swą koroną. Rozumiemy, że władza monarsza jest ciężkim brzemieniem, jednak mój krewniak niepokoi się, bowiem jeśli jeden władca zwleka z tym, co czynić mu należy, jego brzemień ponieść muszą inni.*

*Dlatego też zanoszę do Ciebie prośbę w imieniu mego krewniaka, abyś ustanowił swą władzę nad Neapolem i innymi miastami. Zaprowadziłoby to ponownie porządek w królestwie il Re Ferrante, bo musisz wiedzieć, że Neapol upada pod jego słabymi rządami. Pomyśl, czym mogłoby stać się to miasto, wróciwszy pod surową, ale pełną miłości rękę Francji.*

*Jako jeden z tych, którzy dostrzegają chaos panujący w całej Italii, jestem przekonany, że musisz działać, chociażby tylko dla naszego własnego dobra. I nie tylko naszego, bowiem z pewnych dyskretnie toczonych rozmów wywnioskowałem, iż ci, którzy coś by na wyprawie wspomnianej zyskali, gotowi byliby ponieść część jej kosztów. Mam na myśli pewien bank z Genui, który byłby gotów przekazać Ci za moim pośrednictwem sumę stu tysięcy franków. Mediolan zajęłby się także zbieraniem odsetek, których wysokość ustalono na czternaście procent. Ze szczerego serca zachęcam Waszą Wysokość do podjęcia stosownej wyprawy i przybycia do Mediolanu, abyś mógł w pełni zapoznać się z sytuacją w Neapolu.*

*Chciałbym również nadmienić, że wskazana jest pilna obserwacja sytuacji politycznej w Toskanii. Jeśli, jak się mawia, to Florencja jest busołą Toskanii, zbliża się tam bardzo trudny czas. Lorenzo nie żyje już od roku, jego syn Piero zaś, chociaż pełen pretensji do bycia wielkim władcą, nie radzi sobie z tym równie dobrze jak jego znakomity ojciec. Ponadto w samym mieście narasta ostatnio ferment na tle religijnym, co*

*odbija się niekorzystnie na Republice. Wasza Wysokość może okazać się tam potrzebny, aby skierować nawę państwa na właściwy kurs.*

*Z pokornie wyrażaną nadzieją, że rozważysz starannie wszystko, co napisałem w tym Uście, przekazuję w imieniu mego krewnego, Giana Galazzo, księcia Mediolanu, życzenia, aby niebiosa błogosławiły Waszej Wysokości oraz wszystkim Jego poczynaniom.*

*Lodovico Mauro Sforza za Giana Galeazzo Sforzę,  
księcia Mediolanu*

*W Mediolanie, 18 lutego 1493*

## . 5 .

Joacim Branco osłonił się zakrwawionymi rękami przed gradem ciosów, które spadały na niego z tyłu i boku. Obok jęczał na ziemi jego terminator Narciso Boscino z rozoranymi uderzeniami bicia ramionami. Biagio Spinatti zachichotał, gdy kopnięty przez niego wysoki Portugalczyk runął twarzą na kamienne płyty ulicy. Gorzej, że na ciemnej guarnacce Spinattiego pojawiły się plamy krwi, co mocno go rozzłościło.

— Ehi, Ugo, Clemente, zostawcie go już. Ma dosyć. Teraz ten. — Ponownie kopnął Branco. — Przewróćcie go na plecy. Połamiemy mu nogi.

Ugo posłuchał natychmiast i przy pierwszym ciosie alchemik zgiął się wół, tracąc oddech pod wpływem bólu, który eksplodował mu w brzuchu.

— Patrzcie tylko — zawołał Biagio i przesunął językiem po wargach. — Zaraz się zesra.

Branco zdołał dźwignąć się na kolana. Długie ręce przyciskał do brzucha, który bolał, niczym rozszarpywany przez dziką bestię. Alchemik starał się odzyskać władzę nad sobą; przez głowę przebiegła mu absurdalna w tej sytuacji myśl, że udało mu się nawet nie wymiotować.

Clemente Sprezzando zostawił zapracowanego Narciso i wymierzył Branco jeszcze jeden, ostatni już cios w plecy. Zakrzyknął radośnie, gdy alchemik padł nieprzytomny u jego stóp.

— Szkoda, że ich pana tu nie ma — powiedział zdyszany Biagio. — Zapłaciłbym mu za to, co zrobił z Mario.

Pozostała dwójka dość już miała tej zabawy, ale Clemente spytał:

— Mówisz o tym, który pogruchotał kości twemu bratu?

— Tak. Niech będzie przeklęty na wieki! — W złości kopnął raz jeszcze Joacima. — A teraz, gdy Mario został mnichem, nie może sam się zemścić.

— Załatwimy to w jego imieniu — dodał dumny z siebie Ugo.

— W jakiejś części. — Biagio uśmiechnął się krzywo, gdy oddalali się od obu alchemików. — Może umrą — mruknął, ale zaraz uznał, że to byłoby za proste. — Nie. Niech powiedzą wszystko Rakoczemu. Niech wie, co czeka go z naszej ręki.

Młody Clemente uśmiechnął się szeroko.

— Mógłbyś napisać mu wiadomość i przybić ją na drzwiach. Albo namalować ją bezpośrednio na drewnie. Jego pałac ma aż trzy wielkie wejścia.

— Namalować lub nawet wyrzeźbić. Na przykład „Bezbożny cudzoziemiec”. — Pomysł bardzo mu się spodobał. Wyszli z wąskiej uliczki w pobliżu spichlerza miejskiego, gdzie zaczaili się na alchemików.

— To nie jest dobry pomysł — powiedział Clemente. — Trzeba czasu, aby wyciąć coś takiego. Gdyby Rakoczy nas złapał, stanęlibyśmy przed sądem. Może być cudzoziemcem, ale Signoria zrobiłaby swoje. Nie mieliby wyboru.

Nawet Ugo skłonny był się z tym zgodzić.

— Chociaż świetnie byłoby zniszczyć mu frontowe drzwi. Tylne są niemal tak samo wielkie, ale na frontowych dał sceny ze starożytności.

Biagio nie miał ochoty rozstawać się ze swoim planem.

— Możemy obrzucić te drzwi kamieniami. Coś na pewno byśmy uszkodzili, a gdyby nie wyszli od razu, nigdy nie zdołaliby ustalić, kto to zrobił.

Zdążali w kierunku Via Porta Rossa. Okolica nie była nazbyt bezpieczna po zmroku, ale nikt ich nie zaczepił. Poniekąd poczuli się

rozczarowani z tego powodu.

— Myślisz, że ten stary alchemik powie o wszystkim swemu panu?  
Biagio wzruszył ramionami.

— Kto wie? Coś powie mu na pewno, ale przecież nas nie zna.  
Clemente zmarszczył brwi.

— Może nas poznać, gdybyśmy się spotkali.

— Kto mu uwierzy? — rzucił Biagio i wyszczerzył zęby. — Idę do San Marco powiedzieć, co nam się udało.

Dopiero kilka godzin później Joacim Branco doszedł do siebie na tyle, aby przedostać się cichymi i pustymi ulicami do bocznych drzwi Palazzo San Germano. Był tak wyczerpany, że ledwo udało mu się zakołatać. Gdy już to zrobił, z początku był pewien, że nikt go nie usłyszał, zanim jednak uniósł ponownie rękę, rozległ się szcęk rygli i w progu stanął Francesco Rakoczy. W czarnym lucco przypominał do złudzenia okrytego habitem mnicha.

— Branco! — krzyknął przerażony i zaklaskał w dłonie.

— Ruggiero! Potrzebujemy twojej pomocy.

— Podtrzymał chwiejącego się Portugalczyka, a potem sprawnie i ostrożnie sprawdził jego obrażenia. — Kto ci to zrobił?

— Nie wiem — wymamrotał Branco przez opuchnięte wargi.

— Zaczaili się na Narcisa i na mnie. Narciso chyba nie żyje.

— Gdzie?

— W uliczce za Via Porta Rossa. Blisko banku Medyceuszy.

— Gdy to mówił, w drzwiach pojawił się Ruggiero. Nie odwracając się od rannego, Rakoczy wydał swojemu służącemu dyspozycje.

— Ruggiero, weźmiesz Arnalda i Pascoliego i pójdziecie na uliczkę za Porta Rossa, obok banku Medyceuszy. Gdzieś tam leży pobity Narciso Boscino. Być może nie żyje. Tak czy owak, przyniesiecie go czym prędzej tutaj.

— Tak jest.

— Nie zapomnijcie broni. Bandyci mogą jeszcze tam być. Krótkie miecze powinny wystarczyć. — Objął Joacima Branco, który bliski był ponownego zemdlenia. — Zamknij porządnie drzwi. Wezmę Branco do pokoju na końcu dziedzińca. Ten jest najbliższy. — Wzięcie Portugalczyka na ręce okazało się trochę trudne, był bowiem o głowę wyższy, jednak chwilę później Rakoczy trzymał go tak, jak się nosi dziecko. Poczekał jeszcze, aby upewnić się, że Ruggiero wie, co robić, i pospieszył do sypialni na końcu wewnętrznego dziedzińca.

Ledwo położył rannego na pościeli, do pokoju wpadli Masuccio i Gualtiere. Bez dwóch zdań nie byli przygotowani na widok, który ujrzeli.

— Chryste Panie i wszyscy święci! — wykrzyknął Gualtiere, ujrawszy w świetle pochodni pokryte zaschłą krwią nogi.

— Wezwania świętych i modlitwa to jedno, ale teraz bardziej potrzebuje wody, czystego płótna i ziół... Nie, zioła później. Ale wodę i płótno chcę mieć teraz. Szybko! — Zaczął ściągać z Joacima ubranie, jednak w kilku miejscach przykleiło się do ran i łagodne próby oderwania materii nic nie dały.

Gualtiere wybiegł po wodę, jednak Masuccio dalej stał osłupiały.

— Leczyłem już złamania — rzucił Rakoczy, chcąc wyrwać służącego z szoku.

— Nie takie — wyszeptał Masuccio.

Gdyby Rakoczy nie martwił się tak bardzo stanem Joacima, rzuciłby Masucciemu kilka ostrych słów, obecnie jednak nie mógł sobie na to pozwolić. Branco tym bardziej nie miał na to szans.

— Przynies mi czyste płótno. Natychmiast.

Odgłos szybko oddalających się kroków dał znać Rakoczemu, że Masuccio wreszcie się ruszył. Kilka minut później inne, coraz bliższe kroki obwieściły, że przyniesiono wodę.

— Musimy zmoczyć jego ubranie i rozpuścić strupy — powiedział,

nie odwracając głowy. — Zaczynij od lewej ręki, z nią jest gorzej. Tylko delikatnie.

— Oczywiście — odparła Demetrice Vollandrai. Gdy podeszła do łóżka, Rakoczy ujrzał, że przyniosła na tacy miskę, czyste gałgany i parę nożyc. Była w bluzie roboczej, którą San Germano dał jej do pracy w swoim laboratorium. Włosy były zebrane pod prostą chustą. — Pomyślałam, że możesz potrzebować mojej pomocy.

Rakoczy spojrział na nią z uznaniem. Ucieszyło go, że okazała się tak zaradna, i miał nadzieję, że opatrywanie strasznie okaleczonego Joacima nie będzie dla niej zbyt trudnym zadaniem.

— Owszem, chociaż nie tyle ja, co on. Ale jest mocno poraniony. Jeśli ten widok to za dużo dla ciebie, może lepiej pomóż w kuchni.

— Czyli nie pomagaj wcale. — Postawiła tacę i stanęła obok Rakoczego. Z początku lekko zbladła, zaraz jednak się opanowała. — Co mam robić?

San Germano zdjął albo usunął tyle ubrania, ile tylko mógł bez sprawiania rannemu dalszego bólu.

— Trzeba namaczać materiał w miejscach, gdzie przyłgnał do ran, tak długo, aż puści. Bez pośpiechu. To musi trochę potrwać, tak że nie spiesz się i często zmieniaj płótno. Pilnuj też, aby woda była ciepła, ale nie gorąca. Poza tym trzeba przynieść zioła, pewną ich mieszankę, która znajduje się w laboratorium, w szafce z ziołami. Na pokrywce jest Oko Horusa. Weź garść na ciepłą wodę. Pomoże uniknąć infekcji.

— Zaraz wrócę — odparła Demetrice, kiwając głową. — Gdzie mam potem zacząć?

Rakoczy skupił ponownie uwagę na Joacimie, nie podniósł więc głowy.

— Od lewej ręki. Ale uważaj na kości. Są złamane po obu stronach łokcia.

— Wyjdzie z tego? — Stała już w drzwiach, ale nie mogła nie

spytać.

— Jeśli pytasz, czy złamania się zrosną, to owszem. Jeśli jednak chcesz wiedzieć, czy będzie potem po dawnemu sprawny, to obawiam się, że nie. — W jego głosie można było usłyszeć nutę złości. — Na szczęście Joacim jest praworęczny.

Pokiwawszy ponownie głową, dziewczyna wyszła. Ruggiero wrócił dopiero po godzinie. Araldo i Pascoli nieśli za nim sztywniejące ciało Narcisa.

— Co się dzieje, stary przyjacielu? — spytał Rakoczy w swoim ojczystym języku, widząc wściekłość płonąca w oczach Ruggiera.

— Byłem w Loggia dei Lanzi, byłem w Palazzo della Signoria, poszedłem nawet do Santa Maria del Fiore i Santissima Annunziata — odpowiedział Ruggiero po łacinie. — Nikt nie chciał mnie wysłuchać i nikogo nie interesowało, że przyniosłem ciało, które trzeba pogrzebać. Chciałem, aby władze wiedziały, co się dzieje na ulicach Florencji, ale nikogo to nie obeszło. Nikt nie chciał słuchać.

Araldo i Pascoli byli bardziej przerażeni niż zmęczeni, ale pierwszy z nich znalazł w sobie dość odwagi, aby powtórzyć to, co usłyszał podczas ponurych peregrynacji.

— Panie, jeden z dominikanów stwierdził, że Narciso został przeklęty za praktykowanie zakazanego rzemiosła i że jego śmierć była aktem woli Bożej.

Rakoczy uniósł brwi.

— I to Bóg połamał mu zebra i zgruchotał czaszkę? — rzucił ze złością i zaraz się zmitygował. — Nie na was jestem zły. Zrobiliście wszystko, o co was prosiłem, a nawet sporo więcej. Bądźcie tacy dobrzy i zanieście ciało do pokoju gościnnego. Do świtu zostało już tylko parę godzin, a rano pójdę do Signorii, gdy tylko zaczną pracę. Trzeba to szybko wyjaśnić. — W duchu nie był wcale pewien, czy uda mu się cokolwiek załatwić.



— A Branco? — spytał Ruggiero, gdy obaj służący odeszli.

— Ciężko ranny. Pamiętasz tego lekarza, którego poznaliśmy w Konstantynopolu? Tego, którego spalono za czary? — Pokręcił głową, jakby ciągle nie mógł pogodzić się z podobnym trwonieniem ludzkiego życia i umiejętności. — Przydałby się dzisiaj. Próbowałem przypomnieć sobie, jak postępował w razie podobnych złamań. Nie wiesz tego przypadkiem?

— Myślisz o Leoninasię? — Ruggiero zmarszczył czoło. — Pamiętam tylko, że łączył złamane kości za pomocą mocnego drutu.

— Zastanawiam się ciągle, co zastosować, ale nic nie przychodzi mi do głowy — powiedział Rakoczy z irytacją i skinął na Ruggiera, aby poszedł za nim do pokoju, gdzie leżał Branco. — Rano będę potrzebował nowego ubrania. To już raczej do niczego się nie nada — dotknął czarnego atłasu, który miał na sobie.

— Co włożysz? — spytał Ruggiero, który nie był wcale bardziej czysty. — Skoro jesteś zajęty, czy mogę wykąpać się w twojej łazience?

— Oczywiście — rzucił Rakoczy. — Ale nalej mi świeżej wody o pierwszym brzasku. Też będę chciał się wykąpać przed wyjściem.

Ruggiero zastanowił się jeszcze nad strojem dla San Germano.

— Czy masz jakieś sugestie w kwestii ubrania?

— Wybieram się do Signorii, więc niech będzie to coś oficjalnego.

Nieco przed ósmą rano Francesco Rakoczy da San Germano wkroczył do Palazzo della Signoria w pełnym czarnym barbasillio i czerwonej profesorskiej czapce uniwersytetu w Salamance. Z miejsca zażądał widzenia z i Priori. Strażnik spytał go, w jakiej sprawie.

— Pragnę zwrócić uwagę konsula na to, jak niebezpieczne stały się po zmroku ulice Florencji. Ostatniej nocy trzech młodych mężczyzn pobiło ciężko jednego z moich kolegów i zamordowało jego czeladnika. Doszło do tego nie dalej jak kilka kroków stąd.

Strażnik spojrział na niego zmieszany.

— To prawda, że nocą jest niebezpiecznie, i pański kolega źle zrobił, wychodząc wtedy na miasto — powiedział z przesadną troską. — Owszem, to godne pożałowania, że jego czeladnik zginął, ale przecież nie jesteś, panie, chyba...

— Buon signore — przerwał mu lodowatym tonem Rakoczy. — Czy zapowiesz mnie konsulowi, czy raczej myślisz spędzić dzień na pogawędce?

— Nie można wejść ot, tak sobie i zażądać rozmowy z konsulem — obruszył się strażnik. — Do tego mają prawo tylko obywatele Florencji. Musisz, panie, oficjalnie poprosić o wyznaczenie spotkania...

— Wpuścisz mnie, signore, albo wyjdę na ulicę i powiem głośno całemu miastu, że zapłacę pięćset złotych florenów temu, kto dostarczy mi sprawców napaści na mistrza Branco i morderców jego czeladnika, który był Florentyńczykiem.

Strażnik zawahał się. Dość słyszał o dziwnym cudzoziemcu, aby wiedzieć, że to nie są czcze pogrożki. Przez chwilę poczucie władzy zmagало się w nim z rozwagą i rozwaga zwyciężyła. Usunął pikę z drogi Rakoczego.

— Znajdziesz, panie, stosownego urzędnika w sali przyjęć.

— Dziękuję — rzucił uprzejmie Rakoczy i szybko ruszył po schodach. Wkoło siebie wyczuwał całkiem nową w tej sytuacji wrogość albo przynajmniej rezerwę. Niektórzy szeptali coś na jego widok.

Pokój przyjęć był zatłoczony i Rakoczy nastawił się z rezygnacją na dłuższe oczekiwanie. Założył ręce na piersi i wbił spojrzenie w jakieś odległe okolice za oknem.

Ponad godzinę później urzędnik spojrział na niego, gotów zająć się Rakoczym, gdy nagle do przodu wysunął się jakiś kupiec w ciemnym

ubraniu.

— Jestem Florentyńczykiem i wedle prawa powinienem zostać załatwiony jako pierwszy.

— Ale on czeka dłużej — zaprotestował urzędnik.

— Niech czeka! — Obrócił się i spojrzał na Rakoczego z nienawiścią. — Cudzoziemski alchemik! Bezbożny i ciemny poganin!

Rakoczy spojrzał ponownie na odległe wzgórza.

— Przyznaję, że jestem alchemikiem i bez wątpienia jestem tutaj cudzoziemcem. Nie jestem jednak ciemnym poganinem, a jako ktoś, kto jest właścicielem ziemi we Florencji, mam takie same prawa jak ty, przyjacielu.

— Nie jestem twoim przyjacielem! — wybuchnął kupiec, czerwieniejąc na twarzy. Podszedł bliżej do Rakoczego. — Należałoby usunąć cię z miasta. Powinny być prawa przeciwko takim jak ty. Siejesz zarazę we Florencji i stawiasz nas wszystkich wobec groźby zagłady.

To przedstawiało kupca jako zwolennika Savonaroli, ale Rakoczy chciał mieć pewność, spytał więc jeszcze:

— I to wszystko ja jeden? Czy może widzisz też innych?

— Nie jestem od tego, aby widzieć. Bóg widzi. Ja mam tylko być posłuszny Jego woli.

Rakoczy pokiwał ze znużeniem głową i spojrzał na urzędnika.

— Ponieważ obecność tego człowieka uniemożliwia mi należyte przedstawienie mojej sprawy, poczekam, aż zostanie załatwiony. Potem, ufam, będę mógł przedstawić moją skargę?

Kupiec zgromił go wzrokiem.

— Znam cię, Francesco Rakoczy, palleschi przeklęty!

Obcy chciał go najwyraźniej sprowokować, nazywając San Germano bojownikiem Medyceuszy. On jednak roześmiał mu się prosto w twarz.

— Jeśli chcesz przez to powiedzieć, że palle widoczne na herbie Medyceuszy są mi bliskie, to owszem. Lorenzo był moim przyjacielem.

— I jesteś z tego dumny?

— Signore — powiedział Rakoczy do kupca. — Zdaje się, że bardzo się pan spieszył, żeby załatwić swoją sprawę. Tak bardzo, że wepchnął się pan przede mnie. Niech będzie. Ale proszę dłużej nie zwlekać. Moja sprawa też jest pilna. — Obrócił się do okna, ignorując dalsze wrzaski kupca.

Zanim urzędnik był wreszcie gotów go wysłuchać, Rakoczy zdążył już wszystko dokładnie przemyśleć.

— Chcesz, panie, złożyć skargę? — spytał urzędnik, przygotowując czysty pergamin.

— W rzeczy samej. Normalnie zwróciłbym się bezpośrednio do i Priori, ale obecnie nie wydaje mi się to możliwe. Tym samym przekażę moją skargę panu, ufając, że zostanie niebawem przedstawiona konsulowi.

Gradazo Ondante postukał palcami w pióro i nieco się wyprostował.

— Na tym polega moja praca, aby przekazywać wszystkie skargi konsulowi.

— Jestem tego świadom. — Aby uniknąć protestów, przeszedł od razu do rzeczy. — Nazywam się Francesco Rakoczy da San Germano, jeśli chodzi zaś o rangę, jestem hrabią. — Nie użył jeszcze nigdy swojego tytułu we Florencji i dostrzegł, że zrobił on spore wrażenie na urzędniku. — Mam pałac w północnej części miasta, w pobliżu Santissima Annunziata. Prowadzę rozmaite eksperymenty...

— Spośród których wiele sprzecznych jest z florenckim prawem — wtrącił urzędnik, wszelako uśmiechając się przy tym porozumiewawczo.

— Które to prawo jest w niektórych kwestiach dziwnie elastyczne. Niemniej — podjął temat, nie dając okazji do kolejnej dygresji — istnieje grupa wybitnych alchemików, z którymi mam zaszczyt utrzymywać kontakt. Jeden z nich, mistrz Joacim Branco, przybył do mnie z Portugalii, aby kontynuować tu swoje badania. Kilka miesięcy temu przyjął czeladnika. Zeszłego wieczoru, signore Ondante, mistrz Branco i jego czeladnik, Narciso Boscino, zostali napadnięci przez trzech młodych Florentyńczyków, którzy byli dobrze ubrani i wyrażali się jak ludzie wykształceni. Pobili mistrza Branco, łamiąc mu kości, Narcisa Boscina zaś zamordowali. To nie był przypadek. Obrażenia obu ofiar wskazują na z góry zaplanowany atak. Gradazo Ondante zbladł.

— Kiedy to się stało? I gdzie?

— Wczoraj wieczorem, o zmroku. Miejscem napaści była uliczka odchodząca od Via Porta Rossa. Mistrz Branco słyszał imię jednego z napastników, Clemente. Innych nie dosłyszał, nawet jeśli padły, ponieważ był ledwie przytomny z bólu.

— A czeladnik nie żyje? — spytał Ondante, trzymając pergamin przed sobą, jakby chciał osłonić się nim przed złymi wiadomościami.

— Nie żyje. Jego ciało spoczywa w moim pałacu. Tak się niefortunnie złożyło, że żaden kościół nie chciał przyjąć go w nocy. Pragnę nadmienić w tym miejscu, że Narciso Boscino był Florentyńczykiem, synem aptekarza, który ma dom przy Via della Primavera. Jeśli wdrożenie śledztwa z mojego powództwa okaże się niemożliwe, pewien jestem, że zrobicie to dla signore Boscino.

Dłonie urzędnika zacisnęły się, szeleszcząc pergaminem.

— Przekażę to konsulowi.

— Na tym polegają pańskie obowiązki — zgodził się Rakoczy.

— Pobity, mówi pan, z połamanymi kośćmi? — Ondante był wyraźnie nieswój i jakoś nie miał odwagi spojrzeć Rakoczemu w oczy.

— Portugalczyk?

— Proszę przysłać urzędowego lekarza do mojego pałacu, aby sam zbadał obrażenia mistrza Branco.

— A Boscino zabity?

— Jego ciało spoczywa w moim pokoju gościnnym. Powinno w kościele. Właściwe byłoby podjęcie modłów za jego duszę.

Urządник niezbyt przytomnie pokiwał głową.

— Tak. Oczywiście. Dopilnujemy tego. Wyślę posłańca do jego ojca...

— Pozwoliłem sobie już to uczynić — przerwał mu Rakoczy.

— Mój sługa Araldo poinformował signore Boscino zaraz o pierwszym brzasku. Chyba lepiej będzie wysłać księdza.

— Na pewno. — Urządnik wyraźnie nie wiedział już, co ze sobą zrobić. — Dopilnujemy tego. Możesz być, panie, pewien.

— Kiedy? — Pytanie zawisło między nimi, jakby było bytem cielesnym.

— Kiedy? — powtórzył urzędnik. — Ach... Niebawem. Tak. Niebawem.

— Dzisiaj? — zasugerował San Germano.

— Tak. Zapewne. Niebawem. — Z tymi słowami Gradazo Ondante uciekł z pokoju przyjęć.

Rakoczy wracał do siebie pogrążony w czarnych myślach. Minał dopiero rok od śmierci Laurenza, a miasto zdawało się rozpadać bez niego. Dostrzegł dwóch młodych ludzi w płaszczach uniwersytetu w Pizie. Wstęgi na plecach sugerowały, że są studentami prawa. Obaj wydawali się niespokojni, jeden z nich gapił się na wieżę odległego o kilka przecznic kościoła Santa Maria Novella.

Skupiwszy uwagę na studentach, Rakoczy nie zauważył grupy pięciu czy sześciu wyrostków, którzy szli jego śladem. Odwrócił się dopiero wtedy, gdy kamień uderzył go w ramię.

— Antychryst! Antychryst! Antychryst! — zakrzyknęli chłopcy, gdy Rakoczy na nich spojrział. — Cudzoziemski antychryst!

— Co...? — Rakoczy był bardziej zdumiony niż wystraszony.

— O co chodzi?

Następny kamień uderzył go w czoło, rozcinając skórę.

Na widok takiego sukcesu chłopcy sięgnęli po więcej kamieni oraz wszystko, co tylko wpadło im w ręce, jak nawóz czy odłamki spadłych dachówek.

Obróciwszy się, Rakoczy zauważył, że obaj studenci prawa z Pizy gdzieś zniknęli. Dostrzegł też kilku przechodniów, którzy zachęcali chłopców do dzieła. Niektórzy patrzyli przy tym na San Germana z nienawiścią.

Grupa wyrostków zaczęła rosnać i Rakoczy rzucił się do ucieczki. Próbował ich zgubić, klucząc wąskimi uliczkami, i w pewnej chwili niemal nie przewrócił straganu rzeźnika. Zatrzymał się przy nim na chwilę, aby rzucić przeklinającemu mężczyźnie kilka monet, dzięki czemu ten momentalnie zamknął usta.

Potem ujrzał przed sobą zgrabną sylwetkę wzniesionego przez Brunelleschiego kościoła San Lorenzo i czym prędzej pobiegł w jego stronę, zderzając się prawie ze starszym benedyktyinem, który stał przy wejściu, aby pomagać chorym i niedołącznym w dostaniu się do świątyni.

— Wybacz mi, bracie — powiedział Rakoczy i już miał wyjaśnić przyczyny swego pośpiechu, gdy banda wyrostków wypadła z za rogu i wrzasnęła na widok „zwierzyny”.

Zakonnik położył przelotnie dłoń na ramieniu Rakoczego.

— Wejdz, synu. Nie ośmielą się tu wtargnąć — powiedział i stanął pośrodku wejścia z założonymi rękami.

Rakoczy wdzięczny był za chwilę odpoczynku, bo chociaż nawet się nie zdyszał, długa ucieczka obudziła w nim dawne lęki. Przeszedł

główną nawą, przypominając sobie ostatni raz, gdy odwiedził San Lorenzo. Wtedy kościół przybrany był czernią, a całe miasto trwało w żałobie.

Na zewnątrz chłopcy obrzucali starego zakonnika obelgami, głośno domagając się krwi obcokrajowca. Francesco Rakoczy usiadł na prostym nagrobku swojego przyjaciela i czekał.

List Olivii do Francesca Rakoczego da San Germano:

*Rakoczemu Saint Germain Franciscusowi we Florencji Olivia przesyła wyrazy dozgonnego uczucia.*

*Twój list z 12 maja nie zamarudził po drodze i przykro było mi dowiedzieć się, że krążące ostatnio pogłoski są jednak prawdziwe. Nie pierwszy raz tak się dzieje, stary przyjacielu. Sam mi mówiłeś, że nienawiść prostsza jest niż miłość, niszczenie zaś nie wymaga części tego wysiłku co wszelka kreacja. Oboje widzieliśmy już więcej dowodów na prawdziwość tych słów, niżbyśmy chcieli. Sądząc po tym, czego mi nie napisałeś, przypuszczam, że obawiasz się teraz o wszystko, co jest Ci drogie we Florencji. Postuchaj więc głosu rozsądku i wracaj do Wenecji. Znajdziesz tam i sztukę, i muzykę, i radość. Nie zostaniesz ukamienowany na ulicy, nikt nie pobije Twoich przyjaciół. Albo przyjedź do mnie, do Rzymu, gdzie z dawna zjawiasz się o wiele za rzadko. Odwiedzimy wszystkie miejsca, które były nam bliskie, gdy się poznaliśmy. Sam ujrzysz, jak miasto się zmieniło. Jeśli zechcesz, załatwię Ci audiencję u papieża (choć osobiście odradzałabym jakiegokolwiek kontakty z Rodrigiem Borgia, który jest wielce zachłanny, przez co koszt spotkania z nim nie należałby do niskich. Jego Świątobliwość Aleksander VI, niech go Bóg albo ktokolwiek ma w swej opiece, bardzo się stara, aby okres pontyfikatu zapewnił bogactwo jemu i jego rodzinie).*

*Trudno będzie zwrócić tego papieża przeciwko Savonaroli, chociaż*



zgadzam się, że wiele by to ułatwiło. Dam Ci znać, jeśli wpadnie mi coś do głowy. Słyszałam, że dwóch przeorów z Florencji, jeden od kamedułów, drugi franciszkanin, jest zdecydowanymi przeciwnikami Savonaroli. Podobnie jak augustianin fra Mariano, ale od niego akurat niczego innego nie oczekiwano, skoro był jednym z ulubieńców Medyceusza.

Przykro mi czytać Twoje słowa, drogi Sanit Germain, tyle w nich samotności i rozpacz. Tak, wiem, że nic o tym nie napisałeś, ale po tylu latach znam Cię nie gorzej niż linie na mojej dłoni albo szum Tybru. Miej wzgląd na przyjaciół i oszczędź sobie udręki. Wróć w swoje Karpaty, jeśli zdołasz tam żyć. Zajmij się znowu muzyką. Jeśli nie chcesz opuścić Florencji, skup się na swojej uczennicy, Demetrice (bo tak chyba pisałeś, że ma na imię). Kochaj ją. Wspomniałeś, że zna Twoją tajemnicę i traktuje ją poważnie. Pisałeś, że jest inteligentna. Jeśli podobnie jak Ty nadal jeszcze trwa w żałobie po Lorenzo, spróbujcie nawzajem ukoić swoje smutki. Na pewno Wam się uda. I ja przeżywałam żałobę, kiedy się spotkaliśmy, ale gdy tylko minął okres przerażenia, padłam Ci w ramiona chętniej niż komukolwiek wcześniej. Później zresztą też. Dlaczego chcesz się zamykać, podczas gdy niczego tak nie pragniesz, jak otworzyć swe serce i być kochanym bez kłamstw czy pretensji?

Tak, na pewno tracisz właśnie do mnie cierpliwość. Jeśli ponad tysiąc lat nie zdołało Cię do mnie nastawić przychylnie, jesteś niemożliwy.

Przyślij słowo, gdybyś mnie potrzebował. Jak długo noszę ziemię w podeszwach, tak długo jestem na Twe usługi. Tyle Ci zawdzięczam i tak mało jestem w stanie uczynić, aby spłacić dług. Zrobię jednak wszystko, co w mojej mocy. Wystarczy, że poprosisz. I, na wszelkie moce, nie zastanawiaj się zbyt długo, czy potrzebujesz pomocy. Gdy przyjdzie czas, jeśli czas przyjdzie, po prostu daj mi znać.

Przekażę zaraz ten list wysłannikowi kardynała Giovanniego, który powiezie pocztę do Florencji. Sama zaś idę do pałacu Borgiów, gdzie wydawane jest dzisiaj przyjęcie dla uczczenia proroka Mojżesza. Ich

*zdaniem będzie to przyjęcie w stylu rzymskim. Gdyby tylko wiedzieli. Zakładam czasem tę jedwabną szatę skrojoną na modłę Bizancjum i z greckimi wiązaniami, która niczego naprawdę nie przypomina, ich zdaniem jest jednak nad wyraz autentyczna.*

*Dbaj o siebie i strzeż swego bezpieczeństwa. I oszczędzaj sobie bólu, na ile to możliwe.*

*Z miłością,*

*Olivia*

*W Rzymie, 4 września 1493*

## . 6 .

Październik okazał się upalny i Florencja kąpała się w jaskrawych promieniach popołudniowego słońca. Ulice były niemal puste, a nieliczni, którzy zdecydowali się wyjść z domu, marzyli przede wszystkim o cieniu.

Sandro Filipepi spędził poranek z przeoryszą Sacro Infante i nie była to łatwa rozmowa. Siostra Merzede nalegała, by Estasia została w klasztorze jeszcze przez kolejny miesiąc. Była to już trzecia taka prośba i Sandro zaczynał się poważnie martwić. List wysłany do mieszkających w Parmie krewnych kuzynki nic nie dał, upoważnili go bowiem do działania w ich imieniu i wyrazili jednoznaczne przekonanie, że z pewnością będzie sam wiedział, co dla niej najlepsze.

Po minięciu Porta alla Lanza skręcił, wiedziony odruchem, w stronę zaokrąglonej sylwetki Santissima Annunziata. Wiedział, że rozmowa z Rakoczym też nie będzie należała do przyjemnych. Z drugiej strony, tyle był winien chorej kuzynce. Przechodząc przez Piazza San Marco, pierwszy raz dostrzegł kontrastowość tego miejsca. Od północy wznosił się dominikański kościół San Marco, niegdyś siedziba ojca Angelico i Beato Antoninusa, obecnie zaś Girolama Savonaroli. Po przeciwnej, południowej stronie znajdowała się Galleria dell'Accademia, znana i uznana szkoła, w której pisma Platona i Arystotelesa darzone były rewerencją nie mniejszą niż żywoty świętych i gdzie nauczano łaciny i greki, i wszystkiego, czym Savonarola tak bardzo pogardzał.

Może Simone miał rację, pomyślał Sandro, marszcząc brwi. Może Savonarola uratuje Florencję. Z drugiej jednak strony, przeor dominikanów nie był kimś, kto budziłby zaufanie. Nauka i miłość

człowieka, na których opierała się Akademia, bardziej przemawiały do Botticellego. Przeszedł przez Piazza San Marco i skręcił w brukowaną uliczkę prowadzącą do Palazzo San Germano.

Kołatka zastukała niemal uroczyście, napełniając umysł Sandra ponurymi myślami. Już miał zamiar odejść od progu i zrezygnować ze spotkania, gdy usłyszał zbliżające się kroki. Drzwi otworzył mu sam Rakoczy.

— Botticelli — powiedział ze szczerym uśmiechem. — Wejdz. Gorąco dzisiaj na dworze.

Wbrew nastrojowi Sandro ucieszył się z tego powitania. Wszedł do loggi.

— Zaiste, gorąco — powiedział z westchnieniem. — Nie czułem nawet jak bardzo. — Otarł zgrzaną twarz rękawem i spojrzał na luźny kaftan z perskiej tafty, który miał na sobie Rakoczy. — Przydałoby mi się coś takiego.

— Podaj mojemu zarządcy swój rozmiar, a zrobię ci podobny strój — odparł rzeczowo San Germano. — Jaki kolor by ci odpowiadał? Nie musi być czarny jak mój. W grę wchodzi błękit i barwa dojrzałych brzoskwiń. Niemal w odcieniu twoich włosów.

— Nie trzeba, conte — powiedział Sandro, smutniejąc nagle.

— Conte? — powtórzył Rakoczy. — To Florencja, amico, czyli republika. Wcześniej mówiłeś mi po imieniu. Dlaczego nazwałeś mnie teraz hrabią?

Sandro odwrócił głowę.

— Sam nie wiem. Ale sporo cię nie widziałem, a ostatni czas był... niełatwy. — Zamilkł, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Wiem, Sandro — dokończył za niego Rakoczy. — W tej chwili mówią o mnie il conte stragnero, prawda?

— Tak słyszałem — przyznał nie bez trudu Sandro. — Ale po prawdzie, Francesco, to nic nie znaczy. Chodzi o strach. Tylko tyle.

— Tylko? Co jest gorszego od strachu? — Gestem zaprosił Sandra do pokoju gościnnego. — Co ci podać? Amadeo ma wino i owoce. — Klasnął w dłonie i w drzwiach pojawił się Ruggiero.

— Przepraszam, byłem zajęty na dziedzińcu, panie. Otworzylbym drzwi. — Skłonił się Botticellemu. — To zaszczyt widzieć cię znowu, signore.

— Witaj, Ruggiero — odparł odruchowo Sandro.

— Podaj naszemu gościowi wszystko, co Amadeo uzna za dość dobre — polecił Rakoczy, patrząc na zarządcę.

— Jeśli powiem coś takiego naszemu kucharzowi, signor Filipepi nie wyjdzie stąd wcześniej niż jutro wieczorem — powiedział Ruggiero z uśmiechem. — Niewielu mamy gości ostatnio. Pewien jestem, że wie pan dlaczego.

— Tak — westchnął Sandro i opadł na jedno z tureckich krzeseł z dala od okien. — Przynieś mi cokolwiek, byle było chłodne. W ustach zaschło mi na wiór. Mam za sobą wędrówkę do Sacro Infante i z powrotem i w tym upale czuję już swoje lata.

Zapadła chwila ciszy. Ruggiero skłonił się i zniknął, Rakoczy spojrzał zaś uważnie na gościa.

— Jak się ma donna Estasia? — spytał matowym głosem.

— Tak naprawdę to nie wiem — odparł Sandro, po równi zmartwiony i zirytowany. — Są dni, kiedy jest lepiej i prawie tak jak dawniej. Ciągle mówi wtedy o domu i że bardzo chciałaby wrócić. Zaraz potem potrafi odciąć się od świata i płakać godzinami w swojej celi, powtarzając, że jest potępiona i nie chce z nikim rozmawiać. Nawet z siostrą Merzede czy ze mną. Zdarzają się też dni, gdy owo potępienie ją dopada, i to, co wtedy mówi, mocno mnie przeraża. Tak było dzisiaj. Wczepiła się we mnie i wykrzyczała, że mieliśmy jakoby zlec kiedyś ze sobą. Dobre siostrzyczki przyjęły jej zachowanie, jakby nic się nie stało, ale... — Spojrzał w stronę okna, gdzie rysowała się

ciemna sylwetka Rakoczego.

— Dlaczego przyszedłeś do mnie właśnie dzisiaj, Sandro? — spytał łagodnie gospodarz.

— Sam nie wiem. Naprawdę nie wiem, Francesco.

— Może dlatego, że byłem kiedyś kochankiem Estasii? — Sam nie widział w tym nic złego, wiedział jednak, że Sandro znalazł się w tej sytuacji poniekąd między młotem a kowadłem, z jednej strony osaczany przez dewocję brata, z drugiej przez zmysłowość kuzynki.

— To skończyło się już jakiś czas temu. Chyba miała mnie dość. Dłużej nie byłem w stanie jej zaspokajać.

Przez twarz Sandra przemknął wyraz ulgi.

— Tak, to jest powód. Przynajmniej w części.

— I zastanawiałeś się, czy może już wcześniej zdarzało się jej zachowywać podobnie? — Podeszedł bliżej Sandra i spojrzał na niego z przejęciem.

— Nie chciałem... To znaczy, nie musisz...

— Jeśli nie ja, to kto? — Rakoczy wybrał krzesło kilka kroków od Sandra i siadł, dając sobie chwilę do namysłu.

— Jeśli byłbyś gotów o tym porozmawiać... — Przerwał. — Większość mężczyzn tutaj nie miałyby nic przeciwko, ale to Florentyńczycy. Poza tym czasy się zmieniły. Niebezpiecznie jest rozmawiać o przygodach miłosnych...

— Chcesz powiedzieć, że dominikanie rosną w siłę i coraz lepiej widać, jak niewiele zrozumienia okazują przyjemnościom cielesnym — powiedział Rakoczy, przypominając sobie inne sytuacje, gdy bracia świętego Dominika dochodzili do władzy, i spustoszenie, które czynili za sprawą swej wizji chrześcijaństwa wojującego. — Odpowiem ci, Sandro, o cokolwiek zapytasz. Wątpię, aby któryś z nas pobiegł zaraz potem do San Marco.

Sandro niemal się uśmiechnął.

— Masz rację, amico. Sam nie wiem, skąd się wzięła ta moja niepewność...

Rakoczy potrafiłby wyliczyć co najmniej kilka powodów, które bez reszty usprawiedliwiałyby postawę Sandra, ale zatrzymał je dla siebie.

— Co chcesz wiedzieć?

— Wszystko. Nie rozumiem, co się z nią stało. Ktoś musi umieć to wytłumaczyć...

— Jak sobie życzysz — przerwał mu Rakoczy, nie czekając na kolejne usprawiedliwienia. — Zaczęło się wkrótce po moim przyjeździe, pewnego niedzielnego popołudnia w Palazzo de Medici, gdzie Lorenzo zapraszał regularnie największe talenty Florencji na obiad i zabawę. Pamiętasz te popołudnia?

— Tak, oczywiście — odparł poruszony wspomnieniem Sandro.

— Ty też przyszedłeś i przyprowadziłeś ze sobą Estasię. Potem oddaliłeś się gdzieś z młodym Buonarrotim, aby toczyć dyskusję o relacjach między rzeźbą i malarstwem, Estasia zaś zaczęła się nudzić. Nie czytała za dobrze, władała tylko tokańskim i mało co ją interesowało poza kobiecymi sprawami, zagailem więc rozmowę. Byłem wtedy nowy i znałem z kręgu Laurenza tylko kilkanaście osób. Ucieszyła się, że ma z kim rozmawiać, zwłaszcza że poznała we mnie kogoś tak samo nietutejszego. Jakąś godzinę później poprosiła, abym się z nią oddalił. Gdy byliśmy już sami, połuźniła stanik i podstawiła piersi do pieścizot.

Gdyby Sandro usłyszał o tym owego popołudnia, uśmiechnąłby się tylko, nie znajdując powodów do zakłopotania. Jednak minione trzy lata wiele zmieniły. Teraz kręcił się nerwowo na krześle i patrzył raczej w okno niż na rozmówcę.

— Łóżko zaproponowała kilka miesięcy później i jak wiesz, nie miałem nic przeciwko. — Spojrzał na ściągniętą twarz Sandra. — Chociaż to nie było dokładnie tak, jak myślisz. Nie ryzykowała ze

mną.

Sandro obrócił głowę w stronę Rakoczego.

— Nie ryzykowała?

— Dawałem jej rozkosz na mój własny sposób, nigdy zaś podobnie, jak czyni to większość mężczyzn i kobiet. Nie jestem do tego zdolny — dodał spokojnym tonem.

Sandro splonął się, słysząc to zdanie.

— Nie musisz...

— Mówię ci o tym, abyś lepiej zrozumiał Estasię — ponownie przerwał mu San Germano. — Może będziesz miał wówczas większe szanse, aby jej pomóc. Rzecz w tym, że po jakimś czasie przestała akceptować moje ograniczenia.

Ruggiero wszedł do pokoju ze złotą tacą, na której stał wysoki dzban oraz jedna szklanka.

— Amadeo przyrządził to na słodko, na modłę muzułmanów. Nazywa się szербet i świetnie chłodzi.

Sandro z ulgą powitał przerwę w rozmowie. Patrzył pilnie, jak Ruggiero nalewa schłodzoną owocową papkę i doprawia ją miodem.

— Będę potrzebny w najbliższym czasie? — spytał Ruggiero, obsłużwszy gościa.

— Nie sądzę. Możesz spokojnie wrócić do pracy.

— Tak też zrobię. — Skłonił się Rakoczemu, ale po chwili jeszcze dodał: — Donna Demetrice pracuje razem ze mną. Niebawem skończy swoje zadanie. — Nie chciał wspominać o przesyłce składników alchemicznych, która nadeszła po południu z Modeny.

— To świetnie. Gdybym czegoś potrzebował, wezwę Aralda. Ruggiero raz jeszcze skinął głową i już go nie było.

— Nie widziałem donny Demetrice już od jakiegoś czasu — mruknął Sandro.

Rakoczy jednak nie dał się zbić z tematu.



— Gdy będziesz wychodził, możemy przejść przez dziedziniec, abyś miał okazję z nią porozmawiać.

— Masz rację — zgodził się niechętnie Sandro. — To jest ważniejsze. — Upił łyk szербetu, smakując mieszankę. Potem odstawił szklanę i spojrzał uważnie na gospodarza. — Co zaszło między tobą a moją kuzynką?

— Przez jakiś czas było nam dobrze i myślałem już, że tyle jej wystarczy. Miała egzotycznego cudzoziemca, który wielbił jej ciało...

— Ale powiedziałaś, że nie możesz... Rakoczy wygładził przód domowej koszuli.

— Są jeszcze inne sposoby, amico mio, i z początku to wystarczało. — Przerwał, zastanawiając się, ile Sandro powinien wiedzieć. — Myliłem się co do niej. Nie wiedziałem, że ma inne oczekiwania. — Wstał i ponownie podszedł do okna. — Nie dlatego mnie chciała, że jestem cudzoziemcem i nie ryzykowała ze mną ciąży. Byłem dla niej nowym doznaniem, a gdy nowość się opatrzyła, zaczęła żądać więcej. Ja zaś nie miałem już czego jej ofiarować.

— Nie miałeś czy nie chciałeś? — spytał wprost całkiem już nie zmieszany Sandro.

— Gdybym musiał, coś bym wymyślił, ale nie gustuję w zabawach, które polegają na zadawaniu drugiej osobie cierpienia — powiedział spokojnie, aby chociaż trochę złagodzić cios. — Nie ma kogoś takiego, Sandro, kto mógłby w pełni zaspokoić pragnienia twojej kuzynki. Nigdy nie znajdzie takiego kochanka, o jakim marzy, i to nie jest jej wina. Nikt nie jest temu winien. Nie chodzi też o grzech, cokolwiek na ten temat mawia Savonarola. Jednak jak długo będzie żyła podobnymi pragnieniami, pozostanie nieszczęśliwa. Z czasem może problem zniknie, jednak ja nie jestem w stanie zaoferować jej nic więcej ponad to, co już ode mnie otrzymała. Jest z tego powodu zła na mnie i uważa, że ją zawiodłem. — Mówiąc to, Rakoczy wziął do

ręki grecki flet, który leżał na skrzyni pod oknem, i zaczął przesuwać palcami po jego otworach.

— Rozumiem — powiedział Sandro, sięgając po szербet. — Estasia odmówiła spowiedzi. Mówi, że diabli dręczą jej ciało, ile razy próbuje się modlić, i nie może prosić o wybaczenie.

— Przykro mi. — Rakoczy stanął w końcu obok Sandra. — Pomyśl o swoim bezpieczeństwie, Botticelli. To chora kobieta. Całkiem mimowolnie może wyrządzić ci krzywdę.

— Tobie też.

Rakoczy wzruszył ramionami.

— Jedno oskarżenie mniej, jedno więcej. Gdy chodzi o cudzoziemca, wszystko wydaje się prawdopodobne. Jestem gotów wyjechać, jeśli będę musiał. Ale ty... — Dotknął ramienia gościa. — Ty tutaj mieszkasz. Tutaj jest twój dom, twoja praca. Łatwo jej będzie cię zniszczyć, amico, nawet jeśli nie ma takich intencji. Strzeż się więc.

Troska i wyczuwalne w głosie Rakoczego ciepło mocno zaskoczyły Botticellego. Odstawił szklanekę i wstał.

— Będę uważał. I dziękuję ci. Powiedziałaś mi wiele, chociaż wcale nie musiałeś.

Rakoczy pokiwał głową, dając do zrozumienia, że uważa tę trudną rozmowę za skończoną.

— Chcesz się zobaczyć z donną Demetrice?

— Nie. Pewnie jeszcze jest zajęta. Zajrzę innym razem, jeśli można.

— Zapadła niezręczna cisza, w końcu Sandro rozłożył bezradnie ręce i odchrząknął.

— Oczywiście. — Rakoczy ruszył do drzwi, ale Sandro go zatrzymał, kładąc gospodarzowi na ramieniu wielką i umazaną farbami dłoń, po czym obrócił go i uściskał.

Rakoczy nie zareagował, ale po chwili odezwał się swoim cichym i

lekko akcentowanym głosem:

— Dziękuję ci za ludzki odruch.

Sandro zmarszczył brwi, w pierwszej chwili podejrzewając gospodarza o sarkazm albo zgorzknienie, jednak idąc za Rakoczym do szerokich drzwi loggii, zrozumiał, że obcokrajowiec podziękował mu za otwartość. Stojąc w progu, chciał jakoś na to odpowiedzieć, ale San Germano powrócił do wcześniejszego dystansu.

— Przyjdź w przyszłym tygodniu, Amadeo przygotuje ucztę.

— Obawiam się, że w przyszłym tygodniu nie będę mógł — odparł ze smutkiem Sandro. — Simone zarządził post i obiecałem mu, że się przyłączę.

Spojrzenie Rakoczego zachmurzyło się na chwilę.

— Tak bywa. Zajrzyj, kiedy zechcesz. Zawsze chętnie cię powitam.

— Miał już zamknąć drzwi, ale coś jeszcze przyszło mu do głowy. — Zagrożenie może przybrać różne postaci, Sandro. Nie daj się podejść.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał z niepokojem Botticelli.

— Nic — mruknął Rakoczy, ale po chwili zmienił zdanie. — Miłości ubywa w nas dokładnie tyle, na ile dajemy do siebie przystęp nienawiści. Pamiętaj o tym. — Potem, skłoniwszy się uprzejmie, odwrócił się, aby ukryć twarz.

List Gian-Carla Casimira di Alerica Circanda do Francesca Rakoczego da San Germano:

*Do mojego szanowanego i świetnego nauczyciela, Francesca Rakoczego da San Germano we Florencji od Gian-Carla z Wenecji, pilnie i z pozdrowieniami.*

*Otrzymałem wiadomość od Luisa Santiago y Choranesa że budowniczy Lodomco ponownie nie poczuł się zadowolony z zaproponowanej mu*

pracy i pragnie przenieść się z Hiszpanii do Francji. Za pozwoleniem, napiszę w tej sprawie do Reynarda Puydouce i poproszę go, aby zadziałał.

Obawiam się jednak, że nic na to nie pomoże. To już drugie przenosiny tego człowieka i nic dotąd mu się nie podobało. Nie zagustował w budowie willi w Lizbonie, nie zadowolili go dwa wielkie kościoły w Hiszpanii. Wydaje się, że nie chce jednocześnie niczego innego i nie ma też ochoty osiąść na gospodarstwie.

Wprawdzie to wbrew Pańskim instrukcjom, ale chętnie wynająłbym zabójcę, aby rozwiązał problem. W żaden inny sposób nie poradzimy sobie z tym człowiekiem. Każda zwłoka w odebraniu mu życia spowoduje na pewno kłopoty. Wiem, że niełatwo jest zlekceważyć ślubowanie krwi, lepiej jednak byłoby nie sprawdzać na własnej skórze, jak bardzo ten człowiek może okazać się niebezpieczny.

Jeśli zgodzi się Pan z moją sugestią, znam pewnego człowieka, genueńczyka, który podejmie się zadania za sto złotych dukatów. Ma znakomite rekomendacje i jest znany jako osoba dyskretna i uczciwa. Żadna z osób, które wynajmowały go w przeszłości, nie była przez niego szantażowana ani w żaden sposób łączona z jakimkolwiek zleconym mu zabójstwem.

Może potrwać, nim ten list do Pana dotrze, ponieważ zimowe zawieruchy okazały się w tym roku wyjątkowo dotkliwe i wszyscy podróżni o niczym innym nie mówią jak tylko o trudnych do przebycia drogach. Ostatnio jest tak źle, że nawet zbójcy przestali się pokazywać. Wyślę ten list z grupą mnichów zmierzających do Ferrary, gdzie zapewne znajdzie się sposób, aby przekazać go dalej.

Pańskie polecenie, aby zakupić polskie wyroby skórzane, okazało się bardzo trafnym posunięciem. Spore zamówienie dotarło już do magazynu i budzi wielkie zainteresowanie. Zwłaszcza buty, które nadają się świetnie do końskiej jazdy, przez co może nawet zrodzić się na nie moda. Zamierzam zamówić ich więcej, ale dopiero wiosną, gdy drogi do Krakowa

*będą ponownie przejezdne.*

*Transport żywicy z Egiptu padł łupem piratów i potrwa przynajmniej rok, zanim zdołam zorganizować następny. Obecnie szukam nowych źródeł, ale jak dotąd na żadne nie trafiłem. Gdyby znał Pan kupca, który może dostarczyć żywicę inną niż egipska, proszę o wiadomość.*

*Doża przyznał Panu prawo do dobudowania kilku pomieszczeń w pałacu. Jak można się domyślać, siedem funtów złota wysłanych do pałacu doży odegrało w tym swoją rolę.*

*Proszę o odpowiedź najszybciej, jak pogoda pozwoli. Z Florencji dobiegają nas ostatnio same złe wiadomości. Wszystkie sugerują, że znaczenie dominikanina Savonaroli rośnie z każdym dniem. Aż do następnego listu polecam się z moimi usługami.*

*Gian-Carlo Casimir di Alerico Circando*

*W Wenecji, w dzień świętych Piotra i Pawła, 18 stycznia 1494*

## . 7 .

Piero de Medici wrócił właśnie z przejażdżki po wzgórzach wokół Florencji. Twarz miał zarumienioną, oczy jasne, a uśmiech niemal usunął z jego ust zwykle widoczny na nich wyraz rozdrażnienia. Przeszedł przez pokój przyjęć Palazzo de Medici, wołając po drodze o wino i ulubione słodczyce, które Massimillio przygotowywał specjalnie dla niego.

— Przepraszam, signore — powiedział jeden ze służących, wysławszy niewolnika do kuchni.

Piero zatrzymał się.

— Co jest, Sergio? — rzucił z irytacją, marszcząc brwi. — Chcę się przebrać.

Sergio pokiwał głową, ale nie ustępował.

— Jest tu pewien lekarz, który pragnie się z panem zobaczyć. Przyszli go do pana z Signorii. Czeka już od rana.

— I czego chce? — Piero próbował być opanowany. Pamiętał, że jego ojciec cierpliwie wysłuchiwał wszystkich, nawet największych głupców, którzy trafiali do niego przysłani przez radę miejską.

— Nie wiem, panie. Nie był skłonny mi powiedzieć. — Sergio odsunął się, jakby chciał poprowadzić zaraz Piera do małego pokoju przy większym dziedzińcu. Lorenzo wykorzystywał to pomieszczenie jako swój gabinet, jego syn wszakże omijał je, jak tylko się dawało.

— Niech będzie — westchnął Piero na tyle znacząco, że Sergio nie mógł tego nie zauważyć. — Lekarz, powiadasz?

— Tak, panie. Zwrócił się najpierw do Signorii, tam jednak uznali, że powinien pan usłyszeć to, co ma do powiedzenia. — Przytrzymał drzwi i pospieszył za Pierem przez dziedziniec. — Jak może pan pamiętać, dziesięć dni temu przyszedł list uprzedzający o wizycie tego

lekarza...

— Tego? — parsknął szyderczo Piero. — W liście była mowa o lekarzu z Padwy, jednym z tej bandy, która co rusz wieszczy taką czy inną zarazę. Nie różni się wiele od Savonaroli. W każdej kropli deszczu gotowi są widzieć zapowiedź katastrofy.

Sergio przyspieszył kroku, aby otworzyć drzwi dla Piera.

— Piero di Lorenzo de Medici — zapowiedział go od progu. — A oto Aenea Ermanaricco.

Mężczyzna w oficjalnej szacie uczonego wstał z szacunkiem, jednak jego poważna twarz i bystre oczy zdradzały rozczarowanie.

— Oby Bóg zesłał ci dobry dzień, Medyceuszu — powiedział dwornie. — Kilka lat temu miałem zaszczyt spotkać twojego ojca.

Nie mógł powiedzieć nic gorszego.

— Sądząc po rozmowach z petentami, cały świat musiał znać mojego ojca. — Podszedł do nieużywanego stolika do pisania. — Chcesz o czymś ze mną porozmawiać? Pewnie o tym samym, co opowiedziałeś Signorii? — Przysiadł na skraju stołu, kołysząc przy tym jedną nogą i ukazując zarówno zabłocone buty, wzorzyste calzebrache, jak i własne niezadowolenie.

— Spadła na ciebie wielka odpowiedzialność, signore de Medici. Powiedziałbym, że jesteś bardzo młody jak na podobne brzemie.

— Naprawdę? Jednak mój ojciec, którego spotkałeś, albo przynajmniej tak twierdzisz, miał nie więcej niż dwadzieścia jeden lat, kiedy znalazł się w takiej samej sytuacji. Jak sam więc widzisz, to rodzinne. Wcześnie zaczynamy i uczymy się znosić to brzemie, póki jeszcze jesteśmy silni i pełni życia, nie czekając z tym na starcze słabości. — Uśmiechnął się promiennie. Jego jasne włosy okalały mu twarz niczym aureola z anielskich obrazów Botticellego.

— Tak — powiedział Ermanaricco, ściągając brwi. Czy przeczytałeś list, który przesłałem i Priori?

Piero uśmiechnął się ponownie, tym razem szyderczo.

— Zerknąłem na niego, ale nie wydał mi się ważny. Może wyjaśnisz, o co w nim chodziło, dopóki kucharz szykuje mi przekąskę?

Tym razem lekarz zawahał się z odpowiedzią.

— Spróbuję, signore — stwierdził z troską. — Prosiłbym jednak o więcej czasu.

— Spełnię twoją prośbę — odparł protekcyjnie Piero. — Zaczynaj zatem, dobry lekarzu. Pewien jestem, że mnie zadziwisz.

Ermanaricco przygryzł dolną wargę, ale zaczął mówić.

— Gdybyś przeczytał pismo, wówczas wiedziałbyś, że w zeszłym roku zdarzyły się we Florencji trzy przypadki zarazy. Więcej ich odnotowano w domach za Porta San Frediano. Łącznie siedemnaście dusz wróciło z tego powodu do Pana.

— Kim byli ci ludzie? — spytał Piero, próbując przypomnieć sobie, czy ktoś znany mu zachorował.

— W większości trudnili się gręplowaniem wełny. Wydaje się, że choroba dostała się do miasta właśnie z wełną. Zwykle jest tak, że w świeżej wełnie żyje sporo robactwa, a ostatnie badania poczynione na uniwersytecie w Padwie zdają się sugerować, że większość chorób morowych ma związek z robactwem.

Piero zaśmiał się głośno.

— Do czego to doszło, że medycyna zamiast ludźmi zajmuje się robalami.

Lekarz nie dał się sprowokować.

— Jeśli medycyna ma ratować ludzi, nie może odrzucać żadnego obiektu zainteresowania — powiedział ostrym tonem i wznowił wyjaśnienia: — Najbardziej jednak niepokoi nas nadchodzące lato. Zaraza zawsze jest najgroźniejsza, gdy robi się ciepło, i obawiam się, że jeśli nie podejmie się stosownych kroków, w tym roku choroba



zbierze większe żniwo.

— Chcesz, abym coś zrobił, tak? — spytał Piero i przestał kołysać nogą. — Z tym właśnie do mnie przyszedłeś?

— Nie ma innej osoby, do której mógłbym się zgłosić — odparł spokojnie lekarz. — Florencja zawsze oczekiwała, że właśnie twój ród będzie bronił jej przed niebezpieczeństwami.

— Niebezpieczeństwami? A gdzie tu niebezpieczeństwo? Mówisz, że zaraza może się pojawić i że być może stanie się to latem. A jesteś w stanie powiedzieć coś więcej? — Odczekał chwilę i pokręcił głową. — Nie, Ermanaricco, to za mało. O jaką plagę chodzi? Dżumę? Ospę? Bydlęcą zarazę? A może coś całkiem nowego?

Słyszając szyderstwa Piera, Ermanaricco wyraźnie posmutniał.

— Rodzaj bydlęcej zarazy. Nieszczęśnicy, którzy ją złapią, zaczynają cierpieć na zgniliznę humorów i wylewy krwi.

Jeśli nawet Piero trochę się przejął, nie dał tego poznać po sobie.

— Nie przeraża mnie to — powiedział, stając na podłodze. — Ale powiedz, co miałbym zrobić, aby uratować mieszkańców Florencji przed śmiercią od zgniłych humorów?

Lekarz rozumiał już, że daremnie się fatygował, ale odpowiedział:

— Trzeba zburzyć wszystkie stare domy, w których panuje zbyt wielki brud i gdzie ludzie tłoczą się razem w ciasnocie. Należy wybudować więcej wychodków dla biednych, utrzymać studnie w czystości. Konieczne jest też dopilnowanie, aby wszyscy pracujący przy surowej wełnie byli co najmniej raz w tygodniu badani przez lekarzy dla sprawdzenia, czy nie wykazują objawów choroby.

Piero spojrzał na niego surowo.

— Rozumiem. I oczekujecie, oczywiście, że ja za to zapłacę? — Zamilkł na chwilę. — Za to, że Florentyńczycy zburzą swoje domy, a lekarze będą raz w tygodniu badać wszystkich greplarzy?

— Tak należałoby zrobić — powiedział lekarz.

W pokoju było chłodno, a hałas z dziedzińca dobiegał stłumiony. Pomieszczenie dawało tyle samo prywatności co każdy inny zakątek Palazzo de Medici, dzięki czemu Piero mógł się nie hamować i powiedzieć wprost, co leży mu na wątrobie.

— Czy słyszeliście o sytuacji w Neapolu? Czy wiecie, co dla Italii oznacza śmierć Ferrantego? I że il Moro Sforza zachęca króla Francji, aby nas podbił? Słyszeliście może o tym? Jak i o tym, że król Anglii przejął nasz londyński bank i do dzisiaj nie udało nam się odzyskać stamtąd pieniędzy? Henryk Tudor zapowiedział, że nie odda nawet złamanego pensa, a ukradł nam przeszło osiem tysięcy złotych florenów. A może nic o tym nie wiecie? Siena i Genua chcą odebrać Florencji Livorno. Czy ma to dla was znaczenie? Chyba nie, skoro oczekujecie ode mnie, że będę zawracał sobie głowę garstką gręplarzy, którzy ewentualnie mogą zachorować latem? — Założył ręce na piersi. — Niech pan wróci w czerwcu. Jeśli wtedy pojawi się jakiś ślad zarazy, to może zarządzę jakieś wyburzenia i czyszczenie studzien.

Ermanaricco zachowywał spokój, ale wyglądał jak ktoś, kto został właśnie spoliczkowany.

— Wtedy będzie za późno. Obywatele miasta zaczną umierać. Zarazę można powstrzymać tylko w jeden sposób: nie pozwalając jej ogarnąć Florencji.

— Skoro tak, proponuję modły. Proszę udać się z tym do Najświętszej Dziewicy albo świętych Kośmy i Damiana. Uprzedzam tylko, że ostatnimi czasy księża nie lubią naszego rodu.

— Jeśli ty, panie, nie pomożesz, wskaż mi kogoś, kto mógłby to uczynić — powiedział powoli lekarz. — Możesz, panie, marnować czas na polowania, uczyty i kurwy. To twój wybór. Ja jednak muszę zrobić coś, aby zapobiec zarazie.

Piero poczerwieniał na twarzy i zacisnął szczęki. Dawno nie poczuł

się równie znieważony.

— Jeszcze chwila takiej przemowy, a będziesz mógł gadać tylko do ścian, Ermanaricco. Kamiennych ścian. — Medyceusz podszedł do drzwi, ale jeszcze się odwrócił. — Nie chcę więcej o tym słyszeć. Jeśli ci starcy z Signorii są na tyle głupi, aby ci uwierzyć, to ich sprawa, ale mnie to nie obchodzi. Jeśli spróbujesz mnie jeszcze nachodzić, wtrącę cię do więzienia, abyś nie stał się zagrożeniem dla miasta. — Klasnął głośno i niemal natychmiast w drzwiach pojawił się Sergio. — Podśluchiwałeś?

— Usłyszałem przypadkiem tylko kilka słów, panie. Tylko kilka.

— Tak czy owak, to bzdura — warknął Piero. — Uprzedzam cię, że jeśli zaczniesz powtarzać nonsensy tego szaleńca na mieście, nie znajdziesz zatrudnienia ani u mnie, ani u żadnego z moich przyjaciół. Będziesz mógł wtedy dołączyć do dominikanów i wraz z nimi wieszczyć naszą zagładę. — Obrócił się na pięcie i wyszedł na dziedziniec.

Przez kilka chwil w pokoju panowała cisza, w końcu lekarz rzucił służącemu Medyceuszy zrezygnowane spojrzenie.

— Słyszałeś?

— Tak — przyznał Sergio. — Współczuję panu. Ermanaricco pokręcił głową.

— Nie mnie należy współczuć, ale tym, którzy umrą z nadejściem lata. — Zacisnął pięści i rozprostował je z wysiłkiem.

Sergio zawahał się, ale w końcu otworzył usta.

— Nie wiem, czy powinienem o tym mówić, ale kuzynka Magnifico, donna Demetrice Volandrai, wciąż jeszcze przebywa w mieście. Zamieszkała w domu alchemika z zagranicy...

— W Palazzo San Germano? — spytał Ermanaricco. Słyszał trochę o tym cudzoziemcu i chociaż były to ogólnie dobre rzeczy, w tak trudnych czasach zwykł podchodzić do podobnych nowin nieufnie. —

Co ona może?

— Cóż, para się nauką. Może być w stanie porozmawiać z innymi, oni zaś może przemówią jakoś do mojego pana... — Urwał, niepewny, i wcisnął ręce do kieszeni kaftana.

— Myślisz, że jest na to jakaś szansa? Sam nie wiem, ale jestem dość zdesperowany, aby spróbować. Miło z twojej strony, że pomagasz szaleńcowi.

— Piero niezbyt przypomina ojca — powiedział ze smutkiem Sergio i przytrzymał drzwi, aby wyprowadzić lekarza z domu.

— Niezbyt — zgodził się Ermanaricco. Wziął pergamin ze stołu i obwiązał go szeroką tasiemką. — Skorzystam z twojej rady i spróbuję szczęścia z kuzynką Medyceusza. Mam nadzieję, że il conte nie zabroni mi spotkania z nią?

Sergio nie przywykł jeszcze do nazywania Rakoczego tytułem hrabiowskim, tak więc nie odpowiedział od razu.

— Najpewniej nie. Wiem, że różnie o nim ostatnio gadają, ale nic z tego nie jest prawdą. Owszem, to cudzoziemiec, ale był przyjacielem Laurenza.

Lekarz zastanowił się nad tym.

— Zobaczę, co powie. Jeśli donna Volandrai zdoła mi pomóc, będę ci wdzięczny z osobna za każdy z ocalonych w ten sposób żywotów. — Minął zarządcę i nie czekając na niego, ruszył długimi krokami do wyjścia z pałacu.

Napisany klasyczną greką list Feba Jonaria Anastasia de Benedetto Volandrai, brata donny Demetrice, do Marsilia Ficina:

*Swemu szanowanemu mistrzowi i wspaniałemu uczoneму, Marsiliowi Ficinowi, jego były uczeń, Febo di Benedetto Volandrai, przesyła pozdrowienia i wyrazy szacunku z majątku landgrafa Albericha*

*Grossehojfa pod Wiedniem.*

*Jak sam widzisz, znakomity mistrzu, nie wyjechałem stąd jeszcze dla kontynuowania studiów, ale z radością wielką mogę przekazać, że z końcem sierpnia wyruszę do Paryża, gdzie wreszcie przekroczę progi uniwersytetu. Jestem w kontakcie z trzema tamtejszymi wielkimi uczonymi i wszyscy oni zapewniają mnie, że chętnie mnie powitają. Otrzymałem też wiadomość ze znakomitego uniwersytetu w Oksfordzie, że mogę Uczyć na przyjęcie do Balliol College.*

*Nie potrafię wypowiedzieć, jak bardzo się z tego cieszę. Pobyt pod Wiedniem stal się dla mnie czymś na kształt czyścica, bo chociaż z chęcią uczę synów landgrafa, to niewielu spotykam tu ludzi, którzy kochają naukę podobnie jak ja. Tęsknię za inteligentnym towarzystwem i rozmowami., w których mógłbym odnaleźć zrozumienie i braterstwo dusz. Z wielką rozkoszą wejdę ponownie w świat ludzi nauki.*

*Owa sposobność do realizacji marzeń ziściła się dzięki mojej siostrze, Demetrice, która przysłała mi niezbędne po temu środki i wyposażyła mnie w listy polecające, które były, jak powiedziała, podarunkami od Francesca Rakoczego, jej obecnego, jak rozumiem, dobroczyńcy. Utrzymuje, że nie łączy go z nim nic poza tym, że jest jej nauczycielem, muszę jednak wyznać, że jedynym, co mąci mą radość, jest właśnie obawa, że Demetrice poświęciła się zanadto dla mojego dobra. Wiem, że Rakoczy był przyjacielem il Magnijico, jednak Lorenzo nie żyje już odprawie dwóch lat i tym samym porozumienie, które zawarł z cudzoziemcem, mogło zmienić obecnie swą postać wobec tego, co kiedyś zostało obiecanie.*

*Bez wątpienia moja siostra nie sprzedałaby się takiemu człowiekowi, mogła jednak pomylić go z kimś innym, czyniąc swoim kochankiem mężczyznę niewartego jej względów. Słyszałem od Poliziana, że wedle niektórych plotek Rakoczy jest utytułowany, wiemy jednak, co myśleć o obcokrajowcach obnoszących się z różnymi mianami. Owszem, jeści Rakoczy to naprawdę conte, Demetrice może uważać się za wyróżnioną*

przez fortunę, mając takiego wielbiciela i obrońcę. Jeśli jednak okazałby się on zwykłym awanturnikiem, może zostać porzucona, po wykorzystaniu, i całkiem bez przyjaciół.

Krótko mówiąc, kochany i szanowany mistrzu, nie wiem do końca, co myśleć właściwie o tym uśmiechu losu. Jeśli to dar serca i jeśli naprawdę Rakoczy traktuje moją siostrę godnie, wówczas tylko mi się cieszyć. Gdyby jednak Demetrice dała się oszukać dła mego dobra, napisz mi o tym, ja zaś zrobię, co tylko w mojej mocy, nawet jeśli mogę niewiele, aby zaradzić biedzie. Jeśli zaś wszystko będzie w porządku, z radosnym sercem wyjadę do Paryża.

Oczywiście rozumiem, że jej opowieść, jak to została uczennicą Rakoczego, to gest wobec mnie, abym nie myślał, że zaniedbuje własną edukację. Jasne, jeśli pozwala jej korzystać ze swojej biblioteki, to może czasem poczytać i jej nauka nie pójdzie na marne.

Może mi nie uwierzysz, drogi Ficino, ale gdy byliśmy młodszy, moja siostra uczyła się lepiej ode mnie. Takie rzeczy przechodzą z czasem, ale jakiś jej pierwiastek nadal znajduje przyjemność w zdobywaniu wiedzy, co rzadkie jest u kobiet. Bez wątplenia powinna znaleźć męża i zostać matką, jednak skoro jej przeznaczeniem jest pozostać niezamężną i nie czuje jednocześnie powołania, które skłoniłoby ją do schronienia się pod skrzydła Kościoła, może równie dobrze bawić się nauką. Jak może pamiętasz, Lorenzo cenił wysoce jej inteligencję, ona zaś, całkiem bez sensu, cieszyła się z tego komplementu.

A przy okazji, co sądzisz o nowinach dobiegających ostatnio z Hiszpanii, że na zachód od nas, daleko za oceanem, rozciąga się jakaś kraina? Niewiele jeszcze słyszałem o tym odkryciu, skłonny jestem jednak powątpiewać w prawdziwość owych doniesień. Hiszpanie słyną z chciwości, zawsze mało im ziemi i władzy. Byłoby do nich podobne, gdyby zaczęli rozpowszechniać fałszywe pogłoski o nowym świecie po to tylko, aby umocnić swą pozycję w Europie.

*Napisz do mnie tutaj albo do Paryża, jeśli zdołasz. Przyznaję, że głodny jestem nowin o wszystkim, co się dzieje z moimi dawnymi przyjaciółmi. Od czasu, gdy Lucio Facciabianco poszedł do zakonu, regularnie otrzymuję już tylko listy od Demetíce.*

*Z miłością i szacunkiem polecam się, mistrzu, i modłę się, aby wszystko, czegoś mnie nauczył, okazało się przydatne, gdy przybędę do Paryża.*

*Febo Volandrai*

*W dzień świętego Benedykta z Subiaco, 21 marca 1494, pod Wiedniem*

## . 8 .

Siostra Merzede wypowiedziała pierwsze słowa *Agnus Dei*, gdy na tyłach kaplicy doszło do jakiegoś zamieszania. Celestynki nie przerywały modlitwy, jak długo się dało, w końcu jednak hałas stał się zbyt dokuczliwy. Znajome łacińskie słowa ucichły i zrezygnowana siostra Signale pokornie wyszła z chóru, aby spojrzeć, co się dzieje z jej nieszczęsną podopieczną.

— Nie! — zaskrzeczała Estasia, ledwo siostra jej dotknęła. — Idź, świętości! — Wywinęła się gwałtownie i przysiadła, gdy Signale znowu się do niej zbliżyła. — Idź ode mnie, świętości! Nie chcę cię!

Siostra Signale uchyliła się przed wymachującymi rękami Estasii i jej długimi paznokciami.

— Spokojnie, kochana. Jeśli pójdziesz ze mną, znowu zstąpi na ciebie spokój.

Obok pojawiła się siostra Merzede, przeorysza zgromadzenia *Sacro Infante*.

— Coraz gorzej z nią — powiedziała szeptem.

— Tak — zgodziła się równie cicho Signale, ale spróbowała raz jeszcze przemówić do Estasii: — Nie zamartwiaj się, kochana. Módl się, aby Bóg ci wybaczył. On jest zaczątkiem każdego spokoju.

Estasia chyba w ogóle tego nie słyszała. Padła na kolana i zaczęła zawodzić chrapliwie:

— Diabeł mnie kusi. Dojrzyjcie, jak to robi! — Cofnęła się gwałtownie. — Jak mnie wykorzystuje i co mi robi! — Odrzuciła spódnice i rozchyliła uda.

— Och, kochana — westchnęła siostra Signale. — To potrwa, matko przełożona. Obawiam się, że takie ataki nie mijają szybko. Za chwilę ujrzy tysiące napastujących ją diabłów. — Siostra przeżegnała



się. — Nie potrafię nic dla niej zrobić. — Było to najgorsze, co zakonnica mogła powiedzieć w takiej sytuacji.

— Co Bóg ci zesłał, przyjmij z pokorą, czcząc imię Jego — upomniała ją łagodnie siostra Merzede. — Spróbuj namówić ją do spowiedzi. Wiem, że już to czyniłaś — dodała z rezygnacją. — Wtedy była przeciwna, ale nie wolno nam zbaczać z naszej drogi tylko dlatego, że są błędzący na świecie. — Odwróciła się i skinęła na siostry, aby wznowiły modlitwę.

Szemrzące błagania wobec Baranka Bożego znowu wypełniły kaplicę, a siostra Signale przysunęła się do Estasii.

— Nie! Nie! Nie! — Krzyk zagłuszył na chwilę modlitwy, ale siostry nie zwróciły już na niego uwagi, recytując rytmicznie słowa. Estasia rzuciła się na kamienną podłogę i zaczęła ściągać z grzbietu starą gonellę, którą nosiła w klasztorze.

— Nie można tak, kochana Estasio — powiedziała surowo siostra Signale. — Nie ponizaj się. Proś Boga, aby uzyczył ci się dla stawienia oporu złu.

Estasia spojrzała na nią szalonymi i pełnymi nienawiści oczami, osłoniła się wygiętymi na kształt szponów dłońmi.

— Nie dotkniesz mnie! Nie tobie pisane jest mnie dotykać. Nie pragnę cię. Innych pragnę. Oto demony, co do mnie przychodzą. Wyciągają do mnie ręce, pieścą mnie, a ich dotyk pali mi skórę. — Była już prawie naga i leżała na plecach z wygiętym grzbietem i rozłożonymi nogami. — Żaden mężczyzna nigdy nie był taki. Tylko demony potrafią mnie zaspokoić. Wypełniają mnie wszędzie. — Jej oddech zwolnił i zmienił się w dyszenie. — Głębiej! Głębiej! Wasze nasienie pali niczym kwas. Wasze członki są gorące jak pogrzebacze. — Jej ciało napięło się i zadrżało, a z ust Estasii popłynął potok strasznych bluźnierstw. W końcu opadła na kamienie, cała spocona i cicha.

Siostra Signale obserwowwała to wszystko beznamiętnie i poznała zbliżający się koniec ataku. Odetchnęła w duchu, że tym razem nie był długi, chociaż silny. Zdarzało się już, że Estasia wiła się i kaleczyła sobie skórę paznokciami przez całe godziny. Signale wiedziała też z doświadczenia, że zaraz po zaspokojeniu fantazji erotycznych podopieczna stawała się szczególnie łagodna i była najbardziej skłonna do współpracy.

Siostra wzięła poszarpaną koszulę Estasii i przerwała jej chwilowy letarg.

— Okryj się, buona donna. Nie przystoi pozostawać nago w kaplicy. Przez wzgląd na Boga dobrego, który cię kocha, traktuj siebie z szacunkiem, jaki należny jest każdemu Jego stworzeniu.

— Hm? — odezwała się Estasia, patrząc na siostrę, i z wolna zaczęła pojmować, co się dzieje. Przytomniejszymi oczami spojrzała na swoją nagość i na modlące się nadal zakonnice.

— Znowu mi się to zdarzyło? — powiedziała z lękiem i łzy popłynęły jej po policzkach. — Diabli znowu przybyli?

— Już jest lepiej — zapewniła ją siostra Signale. Miała nadzieję, że teraz wreszcie uda się wyprowadzić Estasię z kaplicy.

— Och, dobre siostrzyczki — zakrzyknęła chora. — Jak możecie tu cierpieć kogoś takiego? Dlaczego nie porzucicie mnie, zostawiając swemu losowi? Zostawcie mnie gdzieś w górach, gdzie dzikie zwierzęta rozszarpią mnie na strzępy. Nie zasłużyłam na waszą dobroć, ale raczej na złość waszą i klątwy. — Zapłakała i z wolna jej łkanie zginęło w szmerze modlitw.

— Opanuj się, donna — powiedziała zdecydowanie siostra, ujmując ramiona chorej. — Jeśli tak wielki wstyd odczuwasz, pomyśl o krzywdzie, którą w tej chwili wyrządzasz. — W duchu siostra bolała nad własnymi szorstkimi słowami, jednak wywarły one pozytywny wpływ na jej podopieczną, która zadrzała i popłakując żałośnie,

wtuliła twarz w kornet siostry.

— Niegodna jestem — powtarzała raz za razem takim samym tonem, jaki słychać było w litaniach sióstr.

Signale zacisnęła palce na paciorkach różańca i upomniała siebie w duchu, że nie wolno jej zapominać o miłosierdziu.

— Twój stan nie poprawia się tak, jak powinien — powiedziała, odsuwając dłonie Estasii od swego habitu. — Nie powinnaś tu pozostawać. Potrzebujesz odpoczynku i chwili na przemyślenie swego położenia. — Nagle przypomniała sobie o najważniejszym. — Jadłaś już dzisiaj?

Estasia pokręciła głową.

— Nie mogę patrzeć na jedzenie. Chcę tylko prosić Boga o wybaczenie, abym mogła wyznać swe wielkie błędy. Tyle grzechów. Tyle ciężkich grzechów... — Spojrzała na siostrę nieśmiało. — Czy zazdrościsz mi ich, suor Signale?

— Nie. Nikomu nie zazdroszczę grzechów — wyrzuciła z siebie siostra.

— Ale moje by ci się spodobały — nalegała Estasia. — Miałam bardzo wielu kochanków i byli wśród nich zarówno mężczyźni wyjątkowo bogaci, jak i piękni. Wszyscy ulegali bez reszty moim urokom, upijali się moim ciałem. Tylko ja mogłam ich zadowolić. Nie zapragnęłaś nigdy, leżąc samotnie w mroku nocy, aby mieć kochanka, który posiadzie cię bez reszty?

Siostra Signale ledwie opanowała wybuch gniewu.

— Miłość, która mnie wypełnia, to miłość Chrystusa — powiedziała stanowczo, otwierając drzwi kaplicy. — To miłość duszy, nie ciała. Nie znika wraz z zaspokojeniem i nie wymaga pożądania, by trwać.

Estasia zaśmiała się, wychodząc wraz z siostrą z kaplicy.

— Biedna jesteś. Dla mnie potępienie nic nie znaczy, skoro nawet diabli nie mogą mi się oprzeć — stwierdziła z radosnym uśmiechem,

gdy znalazła się pod drzwiami swojej celi. — Jeśli żądza jest dla nieba grzechem, w piekle musi być cnotą. — Zachichotała. — Tak się stanę tam osobą świętą.

Siostra Signale zastawiła Estasii wejście do celi i spojrzała na nią przenikliwie. Okolona białą twarz zakonnicy wydała się jeszcze bardziej surowa niż wcześniej.

— Słuchaj, donna. Takie beztroskie słowa to nic innego, jak proszenie się o wieczne potępienie. Wieczne potępienie! Myślisz, że demony będą cię zadowalać, ponieważ napastują cię obecnie, sprawiając plugawą rozkosz. Ale czy wiesz, co się z tobą stanie? I ile potrwa, zanim przestaniesz cokolwiek odczuwać? Piekło przyniesie odętwienie i nawet cierpienie stanie się w nim czymś lepszym niż niekończąca się nijakość doznań. Tam nie ma namiętności, nawet takiej, która by bolała. Piekło to nuda, Estasio, to sytość wszystkiego tak wielka, że nic nie pozostaje cenne. Zaspokoiwszy pragnienia wszystkich zmysłów, zostaniesz bez siły. Opuści cię radość, opuści cię gniew i przez wieczność poszukiwać będziesz tego, co znałaś, niczego nie znajdując. Co można w ten sposób zyskać? Dlaczego trwasz uparcie w błędzie, skoro nic ci to nie przyniesie? Przystąp do spowiedzi. Wróc na łono Kościoła i dopuść do siebie radość duszy. Chciałaś wiedzieć, czy tęskniłam kiedyś za kochankiem. Jakież kochanek mógłby dać mi więcej, niż daje Chrystus? Jaka przyjemność ciała może równać się z jasnością duszy? — Zamilkła nagle i odwróciła się od Estasii. — Wybacz mi, buona donna. Nie chciałam zwracać się do ciebie w ten sposób. To było niestosowne i nieskromne.

Estasia patrzyła na nią przez cały czas jak w obraz i pokręciła powoli głową, jakby budząc się ze snu, gdy siostra umilkła.

— Nie. Masz prawo tak do mnie mówić. Nie powinnam cię pouczać, skoro sama tkwię w błędzie. — Przerwała na chwilę i też

odwróciła głowę. — Czy naprawdę jest ci tak lekko? Czy miłość Chrystusa jest aż tak wspaniała? — spytała bezradnie, prawie jak zagubione dziecko.

— Och, buona donna! — Oczy siostry wypełniły się łzami i objęła Estasię. — Nie ma na świecie niczego, co byłoby choć w przybliżeniu równie szlachetne. Największe rozkosze bledną w porównaniu z tym uczuciem. Kochankowie czy demony, o których mówiłaś, są niczym wobec Chrystusa. On jest wszystkim. Jego tajemnica i chwała napełniają moje serce słodyczą, której nie jestem zdolna opisać słowami.

Cela była surowym pomieszczeniem z pobielonymi ścianami i sufitem oraz kamienną podłogą. Na wąskim łóżku leżał słomiany materac z dwoma kocami. Nie było poduszki. Nad łóżkiem wisiał prosty krucyfiks, który kąpał się akurat w słonecznym blasku. Światło sprawiało, że drewniana figura wydawała się wręcz żywa. Niewielka skrzynia z nielicznymi, należącymi do Estasii przedmiotami służyła także za krzesło, chociaż w tej chwili stała na niej samotna świeczka. Cela, która aż do tej chwili wydawała się Estasii nieskończenie brzydka, zmieniła się nagle pod wpływem zagrzewających do walki słów wypowiedzianych przez siostrę Signale. Powoli, niczym w sennym transie, Estasia weszła do środka i ponownie zdjęła koszulę, aby rzucić ją na podłogę, samej wyciągając się na mało wygodnym łóżku.

— Donna Estasia? — spytała niepewnie celestynka, obawiając się kolejnego ataku.

— Nic mi nie jest, suor Signale — odparła kobieta dziwnym, nieobecnym tonem.

— Ale powinnaś coś zjeść, donna. Estasia otworzyła na chwilę oczy.

— Ziemski pokarm nie jest tym, który może mnie uleczyć —

odparła i ponownie zamknęła powieki.

Wyszędłszy z celi, siostra Signale czym prędzej pospieszyła do kaplicy. Trafiała na końcówkę modłów, w które włączyła się, szybko powtarzając znajome słowa i nie myśląc nawet wiele o ich znaczeniu. Zastanawiała się ciągle nad Estasią i im dłużej to trwało, tym większy ogarniał ją niepokój.

— Jak ona się czuje, suor Signale? — spytała siostra Merzede, gdy nabożeństwo dobiegło końca.

— Nie wiem — szczerze odparła zapytana. — Jest spokojniejsza niż kiedykolwiek wcześniej i winnam być za to wdzięczna, ale nie ufam do końca jej wyciszeniu. Może zrobić w tym stanie coś... znacznie gorszego. — Całkiem odruchowo siostra Signale zaczęła przesuwać w palcach paciorki różańca.

— Czy myślisz, że będzie mogła wrócić do domu?

— Jeśli pozostanie taka, jaka jest teraz... — zaczęła siostra, ale przerwała i zmarszczyła brwi.

— Coś cię martwi, suor Signale. Powiedz mi, co to jest. — Przełożona rzadko wydawała polecenia, ale tym razem bez wątpienia chodziło o rozkaz. Odczekała, aż siostra pozbiera myśli.

— Gdyby tylko zdecydowała się na spowiedź. Może potem nie widziałyby więcej demonów. Może zresztą te demony zjawiają się naprawdę i tak ją napastują, jak nam opowiada. Jednak może to być tylko ułuda, która rodzi się w niej samej. — Zawahała się, wiedząc, że wypowiada zdania graniczące z herezją.

— Mów dalej — zachęciła ją przeorysza. — Jeśli się mylisz, Bóg cię ukarze. Jeśli jednak masz rację, twoją powinnością jest uczynić wszystko dla zbawienia duszy donny Estasii.

— Jak każesz, suor Merzede — powiedziała Signale, chociaż coś dławilo ją w gardle. Zanim zaczęła, pomodliła się w duchu o pomoc i przewodnictwo. — Po tym, gdy donna Estasia została wdową,

zdarzyło się jej mieć wielu kochanków. Wszyscy o tym wiedzą i wielu twierdzi, że zaspokajała ich na różne sposoby, w tym i takie, które sprzeczne są z nauczaniem Kościoła. Jeśli tak było, może tęsknić za wszetecznymi aktami do tego stopnia, że nie mając obecnie ku nim sposobności, ucieka się do wyobraźni, która zaludnia w tym celu jej umysł demonami. — Spojrzała wyzywająco na przeoryszkę. — Sądzę, że ona pragnie demonów i cieszy się z ich wizyt.

— I dlatego obawiasz się jej obecnego wyciszenia? — spytała siostra Merzede i pokiwała głową. — Spotkałam się już parę razy z czymś takim. Wprawdzie tamte kobiety nie były ani młode, ani piękne, ale to i tak możliwe. — Spojrzała w zamyśleniu na siostrę Signale. — Jej kuzyn, Sandro Filipepi, zjawi się jutro. Co myślisz?

— Powinien się z nią zobaczyć — powiedziała z naciskiem Signale.

— I zabrać ją do domu?

Tym razem siostra nie odpowiedziała od razu.

— Nie. Sądzę, że do czasu spowiedzi powinna raczej pozostać u nas.

Siostra Merzede ponownie przytaknęła.

— Wierzę, że masz rację, suor Signale. Będę się modliła o właściwe słowa, które przekonają Filipepiego. To nie będzie dla nas łatwe, jeśli Estasia zostanie w klasztorze, ale gdyby wróciła do świata, kto wie, co mogłoby się zdarzyć?

Siostra Signale przeżegnała się i złożonywszy ręce, pogrążyła w modlitwie. Gdy Merzede zostawiła ją po chwili, Signale uklękła i zachwiawszy się, nieprzytomna padła twarzą na kamienną podłogę.

Tekst dwóch niemal identycznych listów pisanych symultanicznie lewą i prawą ręką przez hrabiego Francesca Rakoczego da San Germano i adresowanych do Gradazo Ondante, urzędnika Signorii, oraz Ippolita Andrei Cinquecampiego, oficera lansjerów:

*Do szanownego urzędnika i Priori oraz Konsula Do znakomitego kapitana Ippolito Andrei Cinquecampiego od hrabiego Francesca Rakoczego da San Germano z prośbą o wzięcie jego zgłoszenia pod rozwagę i podjęcie stosownych do sytuacji działań.*

*Wczoraj, w dniu świętego Jakuba Mniejszego, zdarzyło mi się opuścić mój dom na wiele godzin, zwolniwszy przy tym całą służbę prócz jednej osoby, aby mogła oddać się należnym apostołowi modłom. Tym, który pozostał w pałacu, był mój zarządca, znany wam Ruggiero. Jako człowiek uczciwy oraz pracowity zajęty był sporządzaniem rachunków domowych i przebywał w pomieszczeniu, w którym trzymam wszystkie potrzebne do tego zapiski. Mieści się ono na tyłach mojego pałacu. Chciałbym uświadomić przy tym, że Ruggiero nie jest młody i pracuje tyle, na ile siły mu pozwalają.*

*Sądziłem, że tego świętego dnia, kiedy Florencja oddaje się modłom, mój dom będzie bezpieczny. Okazało się jednak, że nie całkiem. Osoba albo raczej osoby nie znane memu słudze napadły tego dnia na mój dom. Najpierw zagroziwszy memu słudze ostrzami mieczy, związały go i zostawiły w stajni, gdzie został wcześniej zaskoczony przez napastnika, same zaś wzięły się do plądrowania pałacu. Wydaje się, że szukały monet oraz innych drogocennych przedmiotów, ich zainteresowanie wzbudził bowiem pokój, w którym trzymam wagi i inne przyrządy służące do ustalania różnych miar. Zabrały stamtąd trzy wagi, większość odważników oraz pewną ilość złota, które miało dopiero zastać zważone.*

*Wzięły ponadto dwa manuskrypty w skórzanych okładkach spisane w języku, którego żadną miarą nie mogły rozumieć. Strata tych ksiąg jest dla mnie najbardziej bolesna i o wiele dotkliwsza niż kradzież złota.*

*Podczas plądrowania pokoju z wagami napastnicy połamali ponadto szereg instrumentów. Zapraszam do przysłania odpowiedniej osoby albo osobistego przybycia do mnie w celu oceny poczynionych zniszczeń.*



*Pragnę przypomnieć, że już wcześniej moi domownicy ucierpieli z rąk nieznanych florenckich rzezimieszków. Mistrz Branco do dzisiaj nie odzyskał w pełni zdrowia po pobiciu. Obecny, powtórny już incydent, zmusza mnie do prośby o skuteczniejsze stosowanie praw Republiki. Jeśli istnieje jakiś powód, który sprawia, że nie chcecie albo nie możecie tego uczynić, poczuję się zmuszony poszukać innych środków zaradczych.*

*Oczekuję odpowiedzi od Was albo wyznaczonych przez Was osób w ciągu najbliższej godziny. Jestem pewien, że jeśli zechcecie zbadać dowody na miejscu, sami się przekonacie, iż doszło w tym przypadku do niecnego występk.*

*W oczekiwaniu na satysfakcjonujące obie strony rozwiązanie tej pożałowania godnej sprawy opatruję Ust mym niepełnym podpisem*

*Francesco Rakoczy da San Germano*

*We Florencji, 1 maja 1494*

## . 9 .

Ponieważ dzień był gorący, smród przybrał jeszcze na intensywności. Florencja tonęła w odorze wydzielanym przez rynsztoki oraz postępującą z wolna zgniliznę, która ogarniała stare budynki nad rzeką. Ciężkie chmury sunęły powoli nad miastem i co jakiś czas znad wzgórz dolatywał przytłumiony odgłos gromu.

Na ulicach nie było prawie ruchu, a na rzece krążył tylko jeden prom. Kto tylko mógł, chował się pod dachem, a w czterech kościołach odprawiano modły o deszcz. Zamknięto nawet masywne drzwi Palazzo della Signoria, a konsulowie udali się posłuchać kazania Girolama Savonaroli. Kilka pozostałych jeszcze na ił Mercato straganów nie cieszyło się specjalnym powodzeniem, a wyłożone tam owoce i mięso szybko traciły świeży wygląd i dodawały swoje do ogólnego smrodu. Proporce na budynkach l'Arte della Lana wisiały nieruchomo, większość tkaczy zaś dołączyła do włodarzy miasta w kościele. Tylko jeden tkacz jedwabiu, Buovo Frugatti, uruchomił tego dnia krosna, prawie rzucając w ten sposób wyzwanie przeorowi San Marco. Odgłosy pracy jego warsztatu niosły się głośno przez wymarłe niemal i dyszące w popołudniowym upale miasto.

Rakoczy przebrał się w guarnacę, bowiem ten krótki strój był nie tylko bardziej typowy dla Florencji, ale i nie grzał tak, zwłaszcza że został uszyty z barwionej na czarno egipskiej bawełny. Przez wycięcia w rękawach widać było muskularne ramiona hrabiego, nieokryte tym razem bielą jedwabiu. Włożył do tego jedwabne weneckie pończochy, które bardziej pasowały do upału niż tradycyjne nogawice, oraz wysokie do kostki buty z obcasem uszykowane wedle węgierskiego stroju. Do czarnego pasa umocował sporą sakwę, przynajmniej w połowie wypełnioną substancjami, których wedle nowych, surowych

praw lekarze ani aptekarze nie mogli używać.

— Ale ja chcę ci pomóc, San Germano — zaprotestowała Demetrice, gdy wyszedł na dziedziniec.

— Najlepiej to zrobisz, zostając w domu.

Chciał iść dalej, ale stanęła mu na drodze. Wyraz jej twarzy, a zwłaszcza zaciśnięte mocno usta świadczyły o sporej determinacji.

— Skoro to dla mnie niebezpieczne, dla ciebie na pewno też.

— Niekoniecznie — odparł Rakoczy, ledwie skrywając złość.

— Jesteś zwykłym śmiertelnikiem, Demetrice. Choroba może powalić cię równie łatwo jak Laurenza. Ja umarłem już kiedyś i żadna zaraza się mnie nie ima. Owszem, zginę prawdziwą śmiercią, jeśli ktoś połamie mi kręgosłup, obetnie mi głowę, spali albo posieka na kawałki. Jednak żadna choroba tego dokonać nie może. Będę zatem bardzo szczęśliwy, jeśli pozostaniesz w domu. Nadal nie chciała go przepuścić.

— Są jeszcze inne niebezpieczeństwa. A może zapomniałeś już, co spotkało mistrza Branco?

— Nie zapomniałem — odparł spokojnie. — Jeśli jednak jest to najlepszy z twoich argumentów, pomyśl, co by się mogło stać, gdybyśmy zostali zaatakowani razem. Palleschi nie są lubiani, podobnie jak obcokrajowcy. Zwłaszcza obecnie, gdy ród Medyceuszy tak podupadł. Ty zaś jesteś znana jako palleschi, prawda?

Po raz pierwszy nie odpowiedziała mu od razu.

— Tak, jestem zwolenniczką Medyceuszy i jestem z tego dumna! — Znowu zacisnęła usta. — Nie wyprę się tego, San Germano. Lorenzo nigdy nie odmówił pomocy temu miastu i nie baczył przy tym na niebezpieczeństwa. Skoro Piero nie okazał się godny ojca, pozwól, abym ja ratowała honor rodu.

Rakoczy mógłby bez trudu odsunąć dziewczynę i wyjść, nie chciał jednak rozwiązywać sporu w ten sposób.

— Zatem uważasz, że masz wobec niego dług? — spytał spokojnie. Pokiwała głową i spojrzała mu prosto w oczy.

— Tak, to jest dług.

— Jesteś pewna, że nie możesz spłacić go w żaden inny sposób? Nadal opiekujesz się biblioteką Laurenza — dodał, ale czuł, że jego opór słabnie. — On sam nie poprosiłby cię nigdy, abyś poszła za nim w ogień, amica mia.

— Ale gdyby poprosił, zrobiłabym to. — Opuściła w końcu rękę, którą wstrzymywała San Germano. — Wiem, że tego by nie zrobił. Tak samo, jak nigdy nie prosił o to ciebie.

— Owszem. — Rakoczy przyjrzał się dziewczynie, dostrzegając lekkie zmarszczki wokół oczu. Jeszcze dwa miesiące wcześniej ich tam nie było. — Czy rozumiesz, na co umierają ci ludzie? Czy wiesz, co to za choroba? — Spojrzał gdzieś w przestrzeń. — Mówią na nią bydłęca zaraza, ale inna jej nazwa to wąglik. Spotkałem się z nią już wiele razy. W Rzymie, w Egipcie, w mojej ojczyźnie. To straszna śmierć i niewiele można zrobić, aby ratować chorych. Syrop z makowin łagodzi ból, czasem dają coś okładę, najczęściej jednak jedyne, co zostaje, to ułatwić komuś takiemu odejście.

Demetrice spojrzała na niego poważnie.

— Jeśli poczekaś na mnie, za kilka chwil będę gotowa. Rakoczy skapitulował.

— Niech i tak będzie, donna mia. Poczekał na ciebie. Włóż coś, co będziesz mogła potem spalić i co da się łatwo zdjąć przed powrotem do pałacu. Dostaniesz roztwór, którym się umyjesz i do którego wrzucisz ubranie. W przeciwnym razie mogłabyś przenieść zarazę na służących.

— Zrobię wszystko, co uznasz za właściwe. Wystarczy, że powiesz. — Chciała dodać coś jeszcze, ale odwróciła się i pobiegła do pałacu.

Gdy wróciła, miała na sobie uciętą tuż pod kolanami gonellę, którą

przewiązała w pasie trzema mocnymi rzemieniami. Jasne włosy schowała pod płóciennym czepkiem, na nogi wdziała wysokie gospodarskie buty.

— Czy tak będzie dobrze? — spytała całkiem naturalnym tonem.

— Akurat. Gdzie znalazłaś te buty?

— Są moje. Dostałam je jeszcze za życia ojca. Sam widzisz, jakie są zniszczone. Ale nie martw się, nie mam nic przeciwko temu, aby je wyrzucić, skoro tak trzeba. — Przymocowała sakwę do rzemieni. — Idziemy, San Germano?

Pomyślał, czy by jeszcze nie spróbować wyperswadować dziewczynie wyprawy, ale uznał, że byłaby to strata czasu.

— Jeśli zrobi się bardzo niebezpiecznie, odeślę cię — uprzedził. — Proszę, abyś wtedy nie próbowała ze mną dyskutować.

Demetrice ulżyło, że Rakoczy stawia sprawę tak jasno.

— Oczywiście. Prawie się uśmiechnął.

— Dobrze. Atmosfera nie będzie sprzyjała konfliktom. — Odsunął się na bok i razem wyszli na ulicę.

Mijając San Marco, słyszeli dobiegające ze środka zawroźnienie i narastający niekiedy gwar modlitw. Przerażone krzyki mieszały się w upiornej harmonii ze świętymi śpiewami. Rakoczy prawie się przygarbił na chwilę, co nie umknęło uwagi dziewczyny.

— Co się dzieje? — spytała.

— Przypomniałem sobie coś — odparł, wyraźnie nie chcąc poruszać tematu. — Co sobie przypomniałeś? — nalegała Demetrice.

— Wiele rzeczy — rzucił San Germano, ale odezwał się ponownie, gdy przeszli na Via Larga. — Widziałem już takie sceny. Pamiętam też, co stało się krótko po założeniu zakonu dominikanów i co oni, zapamiętali w swym fanatyzmie, uczynili z katarami.

— Katarami? — Demetrice zmarszczyła czoło. — Chyba nigdy o nich nie słyszałam.

— Inaczej zwano ich albigensami, jeśli ta nazwa jest ci bardziej znajoma. — Mijali właśnie pałac Medyceuszy i Rakoczy zmienił na chwilę temat. — Piero nie nakazał wyburzenia ogarniętych zarazą domów. Pożałuje tego.

— O albigensach słyszałam. To byli heretycy.

— Nie — odparł zdecydowanie Rakoczy. — Heretykami nazwali ich dominikanie, aby skłonić innych do działania w dobrej wierze i wybicia katarów. Uwierz mi, że sami albigensi nie mieli się wcale za heretyków. — Pokręcił głową. — Ale nie czas teraz na podobne dyskusje.

— Jednak potem mi o nich opowiesz? — Musiała mocno wyciągać nogi, aby za nim nadążyć, i trochę się już zadyszała.

Zauważyła, że nawet przy tej pogodzie i przy szybkim marszu na twarzy Rakoczego nie pojawiła się ani kropla potu.

— Może. — W milczeniu dotarli do Via degli Arcangeli. Była to wąska boczna uliczka, gdzie tłoczyły się ciasno stare domy, które zdawały się wspierać wzajem i z tej właśnie bliskości czerpać siły przetrwania. Woń zepsutego jedzenia mieszała się tutaj ze zwykłym odorem rynsztoka, w powietrzu unosił się jednak także silny zapach choroby, który głuszył chwilami wszystkie inne miazmaty.

Rakoczy dostrzegł, że Demetrice pobladła.

— W środku jest jeszcze gorzej — uprzedził. — Gdy wejdziemy, będziesz musiała oddychać tym smrodem. Jeśli nie dasz rady, odprowadzę cię do domu.

Demetrice pokręciła głową i przygryzła wargę.

— Nie, zostanę. Dam radę.

— Skoro chcesz. — Podszedł do trzeciego domu od narożnika. Na drzwiach widniał wymalowany czarny pas, a ze środka słychać było łkanie. San Germano zapukał raz i drugi, potem zawołał: — Cuorebrillo, to ja, Rakoczy.

Zdawało się, że nikt go nie usłyszał, San Germano zapukał więc ponownie. Tym razem płacz się urwał, a odgłosy ciężkich kroków pozwalały sądzić, że ktoś im otworzy.

Sesto Cuorebrillo miał dwadzieścia siedem lat, ale wyglądał na pięćdziesiąt. Jego miękkie, brązowe włosy oprószyła już siwizna, a na jego poznaczonej śladami syfilisu twarzy malował się wyraz głębokiego smutku. Spojrzał na Rakoczego poczerwieniałymi oczami i bez słowa otworzył szerzej drzwi.

— Przeprowadziłem pomocnicę — powiedział Rakoczy, wchodząc do ciemnego i cuchnącego wnętrza. — To jest donna Demetrice, której mam zaszczyt być nauczycielem.

Cuorebrillo spojrział na nią surowo.

— Tak jak wcześniej miał zaszczyt być nim Lorenzo? Dobrze, ale i tak jest już za późno. Annamaria zmarła dziś rano, a Lugrezia słabnie w oczach. — Otarł twarz brudnym fartuchem, a po namyśle jeszcze się przeżegnał. — Tędy.

— A co z twoją żoną, Sesto? I z pozostałymi dziećmi? — spytał łagodnie, ale stanowczo Rakoczy.

— Fefe nie czuje się dobrze i położyła się, przygnieciona żalobą. Cosmo, Gemma i Ermo pojechali do cystersów w San Felice, aby poczekać tam, aż niebezpieczeństwo minie albo wszyscy tu pomrzemy. Został tylko Ilirio. Jest za mały na wyjazd. Bez matki umrze, bo nie stać nas na mamkę.

— Zabierzcie go do la Casa Ospedale delle Mądre — powiedziała Demetrice, wiedząc, że ten dom dla karmiących matek rzadko odprawia kogoś z kwitkiem. — Razem z twoją żoną, oczywiście.

Sesto skrzywił się.

— Nie przyjmą tam nikogo z domu ogarniętego zarazą. To byłoby niebezpieczne dla pozostałych. — Odwrócił się i wycofał w głąb domu. — Idźcie — rzucił z goryczą. — Zostawcie nas samych. Niech

nasz los się dopełni.

— Cuorebrillo — powiedział Rakoczy i chociaż nie podniósł głosu, zabrzmiało to, jakby krzyknął. — Zaprowadź nas do swojej żony. Obiecuję, że jej nie skrzywdzimy.

— Per tutti angeli! Dajcie nam umrzeć w spokoju. Zostawcie ją. Dość już wycierpiała. — Nagle Sesto zasłonił twarz dłońmi i zapłakał.

Demetrice podeszła do niego i bez strachu czy obrzydzenia położyła mężczyźnie dłonie na ramionach.

— Signore Cuorebrillo, proszę nie porzucać nadziei. To wielki grzech zapominać o Bożym miłosierdziu. Pańska żona powinna otrzymać szansę. Jeśli jej tego nie zapewnimy, będziemy gorsi niż wilki polujące wśród pól. W odróżnieniu od nich wiemy, jakim złem jest pozwalać innym cierpieć. Proszę pozwolić nam ją zobaczyć. Jeśli nic nie zdołamy zrobić, zostanie nam chociaż wspólna modlitwa.

Niska i słabo oświetlona izba była brudna i śmierdziało w niej starymi, przegniłymi szmatami. Sesto uniósł głowę i rozejrzał się wokoło.

— Reszta domu nie wygląda ani trochę lepiej, buona donna.

— Przy zarazie i tylu zmartwieniach dziwne byłoby, gdyby wyglądała inaczej — odparła filozoficznie Demetrice. — Skoro nasz Pan potrafił trędowatych dotykać bez obaw, czymże jest dla mnie trochę brudu?

Sesto spojrział na nią, jakby była szalona, ale odwrócił się i poprowadził ich wąskim korytarzem, uprzedzając po drodze, że podłoga jest przegniła, ale nie powinna się zarwać.

Zatrzymał się przed jednym z wejść i skinąwszy na Rakoczego i Demetrice, uniósł cienką i podartą zasłonę.

— Feve, sposa — powiedział cicho i ze smutkiem. — Ten cudzoziemiec znowu przyszedł. Jest z nim kobieta, ta sama, którą widzieliśmy kiedyś z Magnifico, gdy wracał ze wsi. Powiedziałaś



wtedy, że jest bardzo piękna. Przejechali obok nas, gdy łowiliśmy ryby na kolację.

Kobieta w ogóle go nie słyszała. Leżała na twardym łóżku, przykryta przepoconymi i nasiąkniętymi moczem kocami. Oczy lśniły jej od gorączki, spojrzenie było nieobecne. Włosy zmieniły się w splątany kołtun. Drżała pod trzema cienkimi kocami, chociaż w pomieszczeniu było wręcz gorąco.

Demetrice przystanęła w proggu, aby się przeżegnać i opanować grymas obrzydzenia, które w pewnej chwili wzięło górę.

— Buona donna — wyszeptała kobieta mimo spierzchniętych i pokrytych pęcherzami warg. — Nie wolno pani... ja umieram...

Rakoczy wszedł w ślad za dziewczyną i od razu poznał, że Feve jest już bardzo słaba i nie ma dla niej wielkiej nadziei. Otworzył jednak sakwę i wyjął niewielką fiolkę. Jeśli otoczenie jakoś go raziło, a stan kobiety przerażał, nie dał tego poznać po sobie. Biorąc z niego przykład, Demetrice też podeszła do łóżka.

— Nie trzeba rozpaczać, Feve — powiedziała spokojnie i obróciła się w stronę drzwi, gdzie stał Sesto. — Będziemy potrzebowali wody.

— Tylko nie bierz jej ze starej studni — ostrzegł Rakoczy. — Wyjedź poza miasto ku wschodowi i zaczerpnij wody ze strumienia Santa Croce.

Sesto spojrział na nich szeroko rozwartymi oczami, ale zaraz przymrużył powieki.

— To potrwa masę czasu. Kto wie, co tu zrobicie, gdy mnie nie będzie.

Rakoczy wyprostował się i bez jednego słowa zmierzył gospodarza spojrzeniem.

— Cuorebrillo, skoro zaraza opanowała miasto, studnie też mogą być zarażone — powiedział w końcu. — Nic dobrego nie przyjdzie z podawania wody, w której czai się choroba. Dlatego trzeba poszukać

czystego źródła. Jeśli udasz się teraz do lanzi, dostaniesz osła i dwie baryłki. W ten sposób nie będziesz musiał wracać tam przez kilka dni, a będziesz miał świeżą wodę dla was i innych, którzy mieszkają w tych rudkach.

— Ale nam nie wolno dzisiaj pracować. Sam Savonarola powiedział, że wszyscy muszą się dzisiaj modlić i aż do zachodu słońca błagać o zbawienie. — Sesto był szczerze zatroskany, bowiem i jemu nie podobały się za bardzo te nowe, surowe prawa wymierzone przeciwko tym, którzy nie wykazywali się należyłą pobożnością.

— Od kiedy grzechem jest nieść ulgę potrzebującym? — spytał Rakoczy. — Chyba że myślę się, sądząc, iż nakarmienie głodnego czy ukojenie cierpiącego to akty miłosierdzia.

Sesto skrzywił się, słysząc te słowa, ale pokiwał głową.

— Jednak jeśli lanzi nie dadzą mi osła i baryłek — dodał, unosząc jeden palec — wtedy sam będziesz musiał sprowadzić tę wodę, cudzoziemcze.

Gdy tylko wyszedł, Rakoczy otworzył fiolkę.

— Podaj jej to, Demetrice. Trzeba zwilżać jej wargi, a gdy będzie mogła połykać, resztę wlać jej ostrożnie do gardła.

— Co to jest? — spytała dziewczyna, przyglądając się przezroczystej zawartości fiolki. Potem przytknęła ją do warg.

— Nie mogę — zapłakała Feve. — Moje usta...

— Więcej na wargi — powiedział Rakoczy, przysuwając dwie dające wąż światła lampy bliżej łóżka.

Demetrice posłuchała, ignorując słabe próby Feve, która chciała odepchnąć ręce dziewczyny.

— Uważaj, nie za szybko — powiedział Rakoczy, obserwując, jak dziewczyna wlewa płyn do ust kobiety. Feve zakaszła i trochę się zakrztusiła, zaraz jednak przełknęła i westchnęła.

— Co to jest? — spytała ponownie Demetrice, nie odrywając

spojrzenia od chorej. — I co ma spowodować?

Rakoczy pokręcił głową.

— Powstało dzięki procesowi podobnemu do innych, które już znasz — odparł tajemniczo. — Ten płyn ma uzdrawiać. Jeśli ciało nie jest nazbyt wyniszczone, może zatrzymać chorobę. Jego produkcja zaczyna się prosto, od spleśniałego chleba — dodał innym tonem. — Ten zmienia się w pewną białą substancję, która w kolejnym procesie daje ten przezroczysty płyn.

Demetrice uniosła brwi, nie okazując w żaden inny sposób swojego zdumienia i podziwu.

— A czy pomógłby na chorobę Laurenza?

— Nie.

Poznała ten chłodny i trochę nieobecny ton i wiedziała, że nie powinna pytać o nic więcej. Już pierwsze jej zagadnięcie nie było mądre.

— Ale dostał od ciebie jakąś fiołkę z lekarstwem... — Urwała, gdy Feve zaniósł się kaszlem. Szybkie spojrzenie na Rakoczego upewniło ją w przekonaniu, że najgorsze jeszcze nie nadeszło.

— Dałem mu dwie fiołki — odparł spokojnie San Germano. — Jedna zawierała kordiał zwalczający ból, druga... coś, co miało kupić mu trochę czasu. Nic więcej nie mogłem zrobić. Przeceniasz moje możliwości, Demetrice, jeśli sądzisz, że ja, albo ktokolwiek inny, może wyleczyć zepsutą krew. Nikt nie zna na to lekarstwa. To tutaj — wskazał na chorą — czasem daje się powstrzymać. Ale tamto nie.

— Przepraszam, San Germano — powiedziała, rumieniąc się na twarzy. — Nie miałam prawa pytać. Ale tak cierpiałam, gdy umierał... — Znowu umilkła na chwilę. — Gdyby nie ty, nie wiem, co by się ze mną stało.

Rakoczy spojrział na tkwiący w sakwie równy rząd fiołek.

— Poczekamy trochę i damy jej kolejną porcję. Jeśli zielonkawcy

odcień jej skóry zniknie po tym, będzie miała szansę. Oczywiście o ile Sesto przyniesie jej coś porządnego do jedzenia. Któryś z zakonów dobroczynnych na pewno rozdaje jakąś żywność. Jeśli jej się nie polepszy, będziemy wiedzieli, że zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. — Przysiadł na łóżku obok dziewczyny i spojrzał na Feve. Na jego twarzy malował się bezbrzeżny smutek, jakby dane mu było ponownie spojrzeć w otchłań tysięcy lat zgrzyoty.

Demetrice nigdy go jeszcze takim nie widziała i poczuła przyływ lęku. Mimowolnie skuliła się, gdy położył jej dłoń na ramieniu. Zaraz zawstydziała się swojego zachowania.

— To... nie tak, jak myślisz.

— Nie wiesz, nie możesz wiedzieć, co myślę — powiedział i odwrócił głowę.

Zanim Sesto wrócił, burza nadciągnęła nad miasto. Otworzył kopnięciem drzwi, krzyknął coś i chwilę później usłyszeli łoskot wtaczanej do środka beczki.

— Przywiozłem źródlaną wodę — obwieścił, stając w progu. Spocony i blady ze zmęczenia oparł się o framugę. Wszystkie mięśnie go bolały.

— Wspaniale — powiedział Rakoczy i spojrzał na Demetrice. — Umyjesz Feve, jeśli przyniosę wody? Jak długo nie będzie czysta, nie ma dla niej nadziei.

Demetrice pokiwała głową. Bardzo chciała zrehabilitować się za wcześniejsze błędy, które wydawały się jej tak wielkie, że nie zasługiwały na wybaczenie.

Rakoczy zwrócił się już jednak do Sesta:

— Będę potrzebował największej miski i czystego ubicia. Trzeba też przynieść nowe koce. Jeśli nie masz czystych, idź do księży z Santa Maria del Fiore. Oni rozdają takie rzeczy. Powiedz im, że to pilne.

Sesto przytaknął niemrawo.

— Dlaczego sam pan nie pójdzie? — spytał.

— Ponieważ jestem cudzoziemcem i kimś bogatym, kto nie potrzebuje takich darów.

— Ale wiedzą przecież, że pomaga pan chorym... — Sesto westchnął i dał spokój. Wyszedł na korytarz i był już przy wyjściu, gdy gdzieś w głębi domu rozległ się wysoki i przenikliwy płacz.

— Ilirio! — zawołał Sesto, zatrzymując się gwałtownie. — Obudził się. Żyje. — Z siłą, o którą siebie nawet nie podejrzewał, odepchnął drugą baryłkę na bok i pobiegł do głównego pokoju.

W rogu stała tam stara i pozbawiona biegunów kołyska, w której szarpał się w powijakach najmłodszy syn Sesta. Twarz niemowlaka była czerwona ze złości. Mężczyzna wyjął dziecko z kołyski i nucąc mu coś pod nosem, skierował się do pokoju, w którym leżała Feve.

— Co jest? — spytał Rakoczy, marszcząc brwi, gdy ujrzał wracającego Sesta. — Te koce są naprawdę potrzebne.

— To Ilirio — odparł Sesto, pokazując popłakującego syna. — Jest głodny. Chce piersi.

— Nie. — Rakoczy wstał i nie dał mężczyźnie podejść do łóżka.

— Ale on jest głodny. Musi dostać mleka. — Uniósł dziecko i spojrzał na Demetrice. — Naprawdę, buona donna.

— Wiem, że jest głodny... — zaczął Rakoczy, próbując wyjaśnić w czym rzecz, ale szczególnie głośne uderzenie pioruna zagłuszyło i jego słowa, i protesty gospodarza. Na dodatek dziecko znowu zaczęło płakać. Sesto spróbował je uspokoić.

— Nie odmawiaj mu — powiedział. — Umrze bez jedzenia.

— Jeśli pozwolisz, aby ciężko chora matka go karmiła, umrze tym bardziej — powiedział Rakoczy tonem surowszym niż wcześniej zamierzony.

Sesto spojrzał na niego gniewnie.

— Przeor San Marco powiedział, że Bóg ocali matkę z dzieckiem przy piersi. Powiedział, że to świętość, a nic, co święte, nie choruje. Herezją jest twierdzić inaczej. Tak mówi Savonarola.

Miał zareagować gniewem, Rakoczy tylko pokręcił powoli głową.

— Wierz, w co chcesz, Cuorebrillo. Możesz wierzyć, że to demony zatrwały twoją studnię i że to kara za grzechy. Albo że karmiąca kobieta odporna jest na choroby. — Spojrzał na Feve i zrozumiał, że leżąca przed nim kobieta nie przeżyje nocy. — Wszyscy w to wierzyli, a tymczasem przez osiem ostatnich dni ponad pięć dziesiątek zmarło.

Jedna z lamp zamigotała i Sesto spojrzął na gasnący płomyk.

— Libera me, Domine — wyszeptał.

W tej chwili Demetrice zdecydowała się na interwencję. Wstała i otarła pot z twarzy.

— Jest bardzo gorąco i musimy wykąpać pańską żonę, signore Cuorebrillo. Jeśli il conte Rakoczy mówi, że jest zbyt chora, aby karmić dziecko, to musi być prawda. Proszę o wodę, ubranie i koce, abym mogła zrobić, co do mnie należy.

Ku zdumieniu Rakoczego Sesto przestał się spierać.

— Skoro pani tak mówi, buona donna. Ale co z dzieckiem?

— Musisz zanieść je do Perpetuy przy Porta San Nicolo. Ona zajmie się nim do czasu, gdy twoja żona wyzdrowieje. — Demetrice wzięła się do pracy, na początek sprawdzając, czy w lampie jest dość oleju, aby znowu ją zapalić.

— Ale jak ja jej zapłacę? — spytał ze złością Sesto. — Jestem biedny i nie mam złota.

— Ale ja mam — powiedział Rakoczy, odwiązując od pasa małą sakiewkę. — Zrób, jak mówi donna Demetrice.

Sesto spojrzął na swoją ledwie przytomną i drżącą żonę, potem na płaczące dziecko i wziął sakiewkę. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale

rozmyślił się i wybiegł z pokoju. Kilka chwil później dał się słyszeć trzask drzwi wyjściowych. Demetrice westchnęła przeciągle i zajęła ponownie miejsce przy Feve.

— Dobrze będzie wrócić do domu — powiedziała, poprawiając przepocone koce. Feve jęknęła, wpiła palce w cienką, brunatną wełnę i znowu się rozkaszała.

— Potrwa trochę, zanim wrócimy do domu — odparł Rakoczy, uśmiechając się lekko na myśl, że Demetrice miała już jego pałac za dom. — Gdy tutaj skończymy, trzeba będzie odwiedzić jeszcze trzy inne domy. Przy tym upale choroba rozprzestrzenia się bardzo szybko.

Ostatnia lampa zaczęła migotać, jakby zaraz miała zgasnąć.

— Bez niej zostaniemy całkiem po ciemku — stwierdziła Demetrice. — Potrzebuję światła.

— Przyniosę. — Rakoczy wyszedł, aby wrócić po kilku minutach z czterema wysokimi świeczkami. W lampie pełgał już tylko nikły, niebieskawy płomień. San Germano zapalił od niego długie źdźbło słomy i chwilę później rozstawił płonące świece po pokoju.

— Skąd je wzięłeś? — spytała Demetrice, przyglądając się coraz bardziej niespokojnej kobiecie.

— Jedna stała pod obrazem Madonny, reszta była w największym pokoju. Starczą na kilka godzin, ale potem będziemy musieli poszukać czegoś więcej.

— Tak długo tu będziemy? — spytała szeptem dziewczyna. Rakoczy raz jeszcze podszedł do chorej i dotknął jej czoła, szyi oraz suchych i gorących dłoni.

— Chyba jednak nie.

— Może powinieneś zatem wezwać księdza? — spytała Demetrice, przegryzając dolną wargę, aby się nie rozplakać. Przegrywała walkę o życie Feve Cuorebrillo i nie potrafiła pogodzić się z klęską.

Rakoczy musiał ją rozumieć, dotknął bowiem delikatnie jej ręki.

— Wiem, amica mia. Do tego nie można się przyzwyczać i zawsze jest tak samo ciężko. — Przed oczami miał wspomnienia niezliczonych chwil, kiedy nie był w stanie uratować tych, którzy na niego liczyli.

Grom ogłuszył oboje na chwilę.

— Naprawdę będzie potrzebowała księdza, San Germano — powiedziała Demetrice, gdy zrobiło się cicho. — Popatrz tylko na nią.

— Żaden ksiądz nie przyjdzie. Savonarola ogłosił wczoraj, że ta zaraza to dzieło diabła i grzechem jest dawać ostatnie namaszczenie tym, którzy na nią umierają.

Dziewczyna zerwała się wzburzona.

— Nie mógł mówić poważnie. Ta kobieta zasłużyła na coś więcej. — Demetrice ledwie znajdowała słowa ze złości. Zaczęła krążyć po małym pokoju. — To niewybaczalne. Nikczemne.

— Zapewne tak, ale prawo jest prawem. — Rakoczy zawahał się, po czym wyciągnął z sakwy dwie srebrne buteleczki. Obie były misternej roboty i każda nosiła znak krzyża. — Proszę. To święte oleje i woda święcona. Przyjmujesz regularnie komunię i spowiadałaś się dwa dni temu. Zajmij się nią. Sesto nie musi wiedzieć, jak było naprawdę.

Demetrice przytaknęła, uklękła, przeżegnała się i złożyła ręce do modlitwy. Gdy była gotowa, wzięła buteleczki i powoli podeszła do łóżka.

Sesto wrócił już w trakcie ulewy, która oznaczała z dawna wyczekiwaną zmianę pogody. Koce, które przyniósł, też były mokre, ale okazały się już niepotrzebne.

Anonimowy list skierowany do Piera di Laurenza de Medici:



*Do Piera de Medici od kogoś, kto pragnie go ostrzec.*

*Karol z Francji czyha na twoje ziemie, Medyceuszu. Wyprawia się do Italii nie dla budowy pokoju, ale by zdobyć nowe krainy. Uważasz, że nie porwie się na Ciebie, mogą jednak powiedzieć, że wypędzi Cię z rodzinnego miasta i da na Twoje miejsce kogoś, kto będzie mu postuszny.*

*Możesz odwrócić zły los, ale musisz zacząć działać od razu. Uważaj na wrogów. Pamiętaj, że Savonarola sprzyja Francuzom i ostrożnie podchodź do jego rad. Pamiętaj, że U Moro, Lodowico Sforza, pożyczył znaczne sumy w Genui i pracuje nad Twoim upadkiem. Pamiętaj, że Twój ojciec odmawiał przyjęcia tytułów z rąk króla Francji, aby pozostać niezależnym i utrzymać niezależność Republiki Florencji.*

*Weź to pod uwagę i nie działaj szybko. W przeciwnym razie czeka Cię wygnanie i wieczna niełaska.*

*Przyjaciel z Północy*

*10 lipca 1494*

## . 10 .

Ten letni poranek zgromadził w świątyni rozczarowująco nieliczną grupę wiernych i Savonarola nie szczędził słuchaczom wyrzutów, oskarżając Florentyńczyków o brak prawdziwie pobożnego zapachu. Przedstawione głośno wizje kolejnych nieszczęść, które miały spaść na nieszczerych wyznawców, spowodowały omdlenie trzech kobiet, co nieco udobruchało kaznodzieję.

Pozostał jeszcze trochę w Santa Maria del Fiore, aby zamienić kilka słów z i Priori, bowiem wiele ważnych osób w mieście okazywało coraz większy niepokój wywołany wieściami o zbliżaniu się Francuzów.

— Sami się przekonacie, że Karol francuski jest bogobożnym człowiekiem, nie kimś, kto hołdowałby cielesnym sprawom czy nazbyt cenił pieniądze — powiedział zgromadzonym wkoło niego dostojnikom. Ku jego zadowoleniu wszyscy byli ubrani bardzo skromnie. Skończyli z wyszywanymi strojami i brokatami na rzecz prostych lucco, które niewiele różniły się od habitów, zwłaszcza uszyte ze zwykłej i farbowanej na ciemne kolory wełny. Poza znakami swych urzędów nie nosili żadnej biżuterii. Nawet buty mieli zwykłe, bez ozdób czy eleganckich wykończeń. Zastanowiwszy się chwilę, postanowił zwrócić głośno uwagę na tę nową modę. — Cieszy mnie, że porzuciliście próżność i zwracacie myśli ku innym sprawom. Przykry był widok mężów o waszej pozycji i odpowiedzialności, zapominających o godności i strojących się niczym pawie. Teraz jednak, w tym prostym odzieniu i przy pełnym pokory zachowaniu, widać waszą prawdziwą wartość. Nie to, co było na pokaz, ale doskonałość dusz okazywaną wobec Boga.

Jeden z oficjeli uśmiechnął się, słysząc te pochwały, za co został

natychmiast upomniany przez Savonarolę:

— Nie przystoi się z tego cieszyć. Chodzi tylko o to, aby ucieszyć Boga. Jeśli sami zaczniecie odczuwać dumę ze swego stanu, zawiedziecie Go i bez wątpienia przyjdzie wam płonąć po wsze czasy w najgłębszych otchłaniach piekła.

W końcu urzędnik z Signorii odważył się zwrócić do przeora w całkiem innej sprawie:

— Szanowny przeorze, potrzebna nam twoja opinia na temat poczynań Francuzów w Italii. Wiem, że nie dajemy ci w ten sposób czasu do przemyślenia naszego pytania, jednak sprawa jest pilna. Czy mamy tu czekać? Czy mamy ich powitać? Powiadasz, że Karol jest bogobojnym mężem, ale czy jego armia podziela pobożność władcy? — Gradazo Ondante spojrział niepewnie po pozostałych dostojnikach. Stał w pełnym blasku słońca i pocił się niemiłosiernie w grubym, wełnianym odzieniu. Reszta musiała cierpieć tę samą niewygodę. Niestety, niski dominikanin nie był skłonny wykazać zrozumienia dla podobnych, nazbyt ludzkich dłań problemów.

Najstarszy członek delegacji, który był konsulem od bardzo wielu lat, postanowił dodać kilka słów do pytania Ondantego.

— Martwimy się, Buon Prior, o bezpieczeństwo naszego miasta i Republiki Florencji. Karol bez trudu mógłby pokonać nas zbrojnie, zwłaszcza że jesteśmy osamotnieni. Siena na pewno nie przyjdzie nam z pomocą, podobnie jak Modena czy Mediolan. Zostaniemy rozbici.

Savonarola przyjrzał im się uważnie.

— Wstyd mi, że martwi was los tego świata. On jest niczym. Ważne jest tylko królestwo niebieskie. Wszystko inne naznaczone jest próżnością. Mówicie, że obawiacie się klęski. Powiem wam, że jak długo nie zaczniecie szczerze żałować za grzechy, nie zmienicie się i nie uznacie tego, co Bóg nam zsyła, wówczas najcięższy z możliwych ciosów, który może na nas spaść, będzie niczym wobec brzemienia

naszych grzechów.

— Niemniej, jeśli państwo nasze ulegnie zniszczeniu, jak będziemy mogli służyć Bogu? — spytał Ondante. — Jeśli danina mojego życia ocali Florencję i jej mieszkańców, wówczas nic...

— Dumna to przechwałka, Ondante — przerwał mu Savonarola. — Pamiętaj o niej, gdy udasz się do spowiedzi.

Po raz pierwszy Gradazo stracił cierpliwość do kaznodziei.

— To nie duma mną...

— Bóg jeden wie, co myślałeś. Nie zapomnij jednak z tego się wyspowiadać, bo sprzeciw wobec Boga to herezja. — Spojrzał wyzywająco na niespokojnych urzędników. — Nie próbujcie targować się z Bogiem, jakby był równym wam kupcem. Takie postępowanie sprowadzi na was Jego zemstę, tak samo jak na wszystkich, którzy odwracają się od Niego i żyją w grzechu.

Jeden z konsulów zakaszlał znacząco, aby skłonić kolegów do odejścia, jednak Ondante nie dawał za wygraną.

— Wszystko, co mówisz, może być prawdą, i godzę się z tym, że cierpieć będę później przez wieczność. Na razie jednak jestem odpowiedzialny za Republikę oraz jej trwałość i powodzenie. Gdybym o tym zapomniał, zlekceważyłbym złożoną na moje barki odpowiedzialność, co nie byłoby miłe Bogu. Jeśli zatem właściwe by było, abyśmy pierwsi uczynili gest wobec Francuzów, powiedz nam o tym. Wszelako jeśli ściągniemy wojnę na nasze głowy, wszyscy zostaniemy przeklęci. — Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jego głos nabrzmiał nienawiścią, aż w końcu jeden z kolegów pociągnął go za rękaw i wyszeptał mu kilka słów do ucha.

Savonarola zmierzył go spojrzeniem.

— Dałeś mi wiele do myślenia — powiedział powoli. — Tak. Przyślę po ciebie, gdy zdecyduję, w jaki sposób najlepiej będzie cię ukarać. — Zaraz potem skłonił się krótko i odprawił i Priori. Sam zaś

stał nieruchomo, czekając, aż się od niego oddalą.

Miał już dołączyć do grupy zakonników, czekających na powrót do San Marco, gdy ujrzał zmierzającą w jego kierunku siostrę w białym habicie. Poznał w niej Merzede, przeoryszę z Sacro Infante. Przez ostatnie cztery lata widział ją może z tuzin razy. Nie przepadał za jej pogodą ducha i uważał, że jest nazbyt pewna siebie, jak na służkę Bożą. Nie pozwolił jednak, aby te odczucia wpłynęły na jego zachowanie. Przybrał najbardziej surowy ze swoich wyrazów twarzy i poczekał, aż zakonnica poprawnie się z nim przywita.

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego — powiedziała cicho siostra przełożona, całując wyciągniętą rękę Savonaroli. — Modłę się, abyś wysłuchał mnie, dobry przeorze.

— Tak? A o co chodzi? — Wiedział, że nie była to uprzejma odpowiedź, i szybko uczynił znak krzyża, aby naprawić błąd.

Siostra Merzede zamrugnęła, zdumiona tak pogańskimi manierami, dość dobrze jednak poznała już mnichów, aby wiedzieć, że często brakowało im ogłady. Wsunęła ręce w rękawy habitu i wyłożyła dominikaninowi swoją sprawę.

— Minął już ponad rok, odkąd ostatni raz gościliśmy przeora w Sacro Infante. Korzystamy wprawdzie z pomocy i rady fra Milo, jednak moje siostry i ja sama tęsknimy za twoim przewodnictwem. Także wiele z naszych podopiecznych chciałoby usłyszeć twoje prorocstwa. Szaleni i chorzy potrzebują zbawienia tak samo jak sprawni i zdrowi na umyśle. Możliwe, że nawet bardziej, skoro tkwią w samotności i pozbawieni są możliwości codziennego wysłuchiwania twoich kazań.

Savonarola spojrział na nią podejrzliwie. Odsunął się nieco, aby jego niższy wzrost nie rzucał się w oczy, i przypomniał sobie, że Merzede pochodziła ze starej i szanowanej pizańskiej rodziny. Wydało mu się, że mimo stroju mniszki zachowała nazbyt wiele z

arystokratycznych manier.

— Mam zbyt wiele pracy tutaj, suor Merzede — powiedział. — To prawda, że wszyscy pogrążeni w rozpacz zasługują na ukojenie, które przynosi Pismo święte. Ale z szaleństwem może być inaczej. Często powodowane jest przez demony...

— Zatem kto inny, jak nie ty, winien je wygnać? — spytała szybko siostra. — Wysłuchaj mnie, błogosławiony Girolamo, jeśli nie przez wzgląd na habit, który noszę, to dla dobra tych nieszczęsnych dusz, które przebywają w Sacro Infante. Każdego dnia widzimy ogień piekielny odbijający się w oczach naszych podopiecznych. Wiemy, jak to jest walczyć bez wytchnienia, aby odnieść najmniejsze chociaż zwycięstwo. Zwycięstwem jest dla nas, gdy prostaczek nauczy się, jak naprawiać garnki. Gdy chłopiec, który przez trzy lata tylko wpatrywał się w ścianę, poprosi o kawałek chleba. Każdy z tych drobnych triumfów ofiarujemy Bogu na dowód naszej miłości. Jest jednak tyle więcej do zrobienia, że przy naszej skromnej liczbie wiele bitew przegrywamy, być może na zawsze. Twoje słowa z pewnością by nam przydały nowego zapału i wzmocniły naszą wolę. Oraz poruszyły serca wszystkich mogących cię wysłuchać.

Savonarola spojrział niecierpliwie na czekających braci.

— To możliwe, suor Merzede, ale nie w tej chwili.

— Jest jeszcze jeden powód, dla którego chcę prosić cię o przybycie do Sacro Infante — powiedziała celestynka, skrywając starannie irytację.

— Tak?

Na wieży Signorii odezwał się sławny florencki dzwon, nazwany przez swój rykliwy ton nie inaczej niż la Vacca, czyli po prostu krową. Wzywał konsulów na spotkanie. Savonarola poczuł satysfakcję płynącą ze świadomości, że szanowni panowie spotykają się po to, aby przedyskutować jego usłyszane parę chwil wcześniej słowa.

— Wśród naszych podopiecznych jest pewna donna, Estasia della Cittadella. Przebywa w naszym klasztorze już jakiś czas i wydaje się, że została opętana przez diabła, tak właśnie jak ci, o których wspominałeś. Ostatnio powiedziała, że gdyby mogła przystąpić do spowiedzi, jej dusza uwolniłaby się od grzechu. Wiele pości i próbuje się modlić, twierdzi jednak, że jak długo nie otrzyma rozgrzeszenia, nie ma dla niej nadziei na zbawienie.

Savonarola pokiwał odruchowo głową i zmusił się, aby ponownie skupić uwagę na siostrze.

— Zatem sprowadźcie jej księdza.

— Wyznała, że nie wyspowiada się przed nikim oprócz ciebie — powiedziała Merzede, patrząc przeorowi w oczy. — To twoje słowa spowodowały, że pojęła ciężar swoich grzechów. Zdecydowała, że nikomu innemu ich nie wyjawia.

— Duma i próżność przez nią przemawiają. Jeśli naprawdę chce się poprawić, powinna uczynić spowiedź przed najmniejszym nawet spośród sług Bożych. — Już miał się odwrócić, gdy kolejne słowa siostry zatrzymały go w miejscu.

— Też jej to powiedziałyśmy, sprowadzając fra Milo. Obiecała być posłuszna i wyspowiadać się przed nim. Ledwie jednak spróbowała powiedzieć cokolwiek, diabli ją opanowali. Rozdarła na sobie koszulę i rzuciła się pożądliwie na stojący z boku naszej kaplicy krucyfiks. Użyła go tak, jakby użyć pragnęła mężczyzny. Fra Milo nie posiadał się z przerażenia, a gdy udało się wreszcie uspokoić donnę Estasię, popłakała się z rozpacz. — Siostra nie dodała, że pacjentkę udało się wyrwać z transu dopiero dzięki wymierzeniu jej siarczystego policzka. — Potem poprosiła, aby zamurować ją w pustelniczej celi, gdzie nikogo na pewno nie skrzywdzi, będąc sam na sam z demonami.

— Donna Estasia... Donna Estasia... — powtórzył Savonarola, wysilając pamięć. — Czy to nie ta kobieta, która zakłóciła jakiś czas

temu przebieg mojego kazania? Ta, która obnażyła piersi i darła paznokciami własne ciało?

— Ta sama. Właśnie tamtego dnia trafiła do Sacro Infante i cały czas u nas przebywa. Jej kuzyn, Sandro Filipepi, odwiedza ją często, ona jednak nie chce jego towarzystwa. Przysięga, że nie pragnie z nim rozmawiać, kierowana wstydem, bowiem to, co uczyniła, miało miejsce pod jego dachem.

Jeden z zakonników podszedł do Savonaroli, aby spytać o przyczynę opóźnienia. Był już całkiem blisko, gdy surowe spojrzenie przeora kazało mu się cofnąć i wrócić do reszty braci.

— Mówi, że demony ją opanowują. Co się wtedy dzieje? — spytał pozornie obojętnie przeor, chociaż w jego oczach błysnęło coś fanatycznego.

— Przejmują nad nią władanie. Wiele w tym zmysłowości. Ją to jednak przeraża i próbuje im się wyrwać. Jest przekonana, że tylko twoja siła i prawomyślność mogą otworzyć jej drogę do zbawienia. — Siostra Merzede dojrzała wreszcie wyraz zainteresowania na twarzy przeora. Mimowolnie zastanowiła się, czy naprawdę jest tak odporny na pokusy, jak się o nim mówi. Szybko odpędziła przerażającą myśl i zadała sobie w myślach pokutę: tydzień o chlebie i wodzie.

— Zawsze demony wygrywają? — spytał Savonarola, patrząc jasnymi oczami gdzieś w dal.

— Tak. Jesteś jej ostatnią nadzieją. Mówi, że jeśli nie wysłuchasz jej i nie zdecydujesz się o nią walczyć, znajdzie sposób, aby odebrać sobie życie i uwolnić się od tych strasznych wizji.

— Za który to grzech zostanie na pewno skazana na najstraszniejsze z wiecznych tortur — dodał powoli Savonarola.

— Powiedziałyśmy jej to, uważa jednak, że jeśli jej nie pomożesz, i tak będzie przeklęta, woli zatem trafić po prostu do piekła, miast зараżać innych diabelskimi sprawami. — Siostra Merzede nadal miała



życzenie Estasii za rodzaj kaprysu, modliła się jednak, aby młoda wdowa dała się uleczyć. Marzyła też nieśmiało, że może potem gotowa byłaby pomagać Sacro Infante. Była to nieskromna myśl, trudna jednak do odrzucenia.

— Jeśli wysłucham jej spowiedzi, zostanie ona spisana i podana publicznie. Musi być kompletna. Bez przeoczeń czy pomijania wstydliwych aktów. Jeśli nadal będzie chciała wypowiadać się przede mną, przyślij mi słowo, a zjawię się wraz z sekretarzem. Jeśli jednak próbuje mnie podejść, słono zapłaci za heretyckie zapędy. — Nie czekał, aby sprawdzić, jakie wrażenie zrobi na siostrze ta groźba, tylko odwrócił się i odszedł, aby dołączyć do niecierpliwących się już bardzo braci, tak że nikt nie dostrzegł osobliwego uśmiešku, który wykwitł mu na wargach.

Tekst listu pochwalnego wystosowanego przez konsula Signorii:

*Z polecenia i Priori, Signorii i konsulów ja, Gradazo Ondante, urzędnik Signorii, zostałem, upoważniony do złożenia wyrazów wdzięczności i pochwały pod adresem il conte Francesca Rakoczego da San Germano, zamieszkałego we Florencji obcokrajowca.*

*W zły czas zarazy, która zabrała ostatnio dwieście trzydzieści jeden florenetyńskich dusz, wspomniany Rakoczy, korzystający przy tym z pomocy donny Demetrice Clarissy Renaty di Benedetti Volandrai, pielęgnował chorych i umierających, za nic mając własne bezpieczeństwo czy związane z pomocą wydatki. Co więcej, z własnej woli i inicjatywy przekazywał ofiarom zarazy takie przedmioty pierwszej potrzeby, jak koce, pościel, świece i żywność, które często sam im dostarczał.*

*Ponadto wynalazł albo wyszukał w czasie zarazy cudowną substancję, która wyrwała wiele osób z objęć śmierci. Z pomocą tejże, jak i innych substancji usunął z wielu domów wszelkie ślady zarazy, przystługując się*

*nie tylko nieszczęsnym mieszkańcom tych domostw, ale przyczyniając się do większej ochrony miasta przed chorobą.*

*Niniejszy list dziękczynny jest wyrazem podziękowań za te przysługi i poświęcenie dla dobra Florencji, aby wszyscy wiedzieli o dobrych uczynkach i zdumiewających umiejętnościach Rakoczego.*

*Spisane na polecenie i Priori, Signorii i konsulów,  
dnia 23 sierpnia 1494 roku, moją ręką.*

*Gradazo Ondante urzędnik*

Gasparo Tucchio dotarł do Palazzo San Germano prawie bez tchu w płucach i ciągnąc za sznur dzwonka, przeklinał ciężko, chociaż ledwie głosu mu na to starczało. Gdy Araldo zjawił się wreszcie u bramy, zdyszany ciągle Gasparo spojrział na niego z wyrzutem spod ciężkich brwi.

— Co tak długo?

Araldo ledwie rzucił okiem na ubranego w zwykły, roboczy strój przybysza.

— Masz sprawę do kogoś, kto tu mieszka? — spytał. Był za młody, aby obywać się bez wyniosłości, Gaspara zaś z miejsca trafił szlag.

— Czy mam sprawę? — powtórzył szyderczym tonem. — Tyle ci powiem, koguciku, że jeśli zaraz nie zaprowadzisz mnie do swego pana, nie będzie potem zadowolony. Ty też nie, chociaż z innych powodów. Jeśli ktoś ma mnie wyrzucić, niech będzie to Ruggiero, bo on ma tutaj prawdziwą władzę, podczas gdy ty nie masz żadnej! — Zacisnął wielkie dłonie na prętach bramy. — To ja kładłem fundamenty pod ten pałac, szczeniaku. I wyjmę tę bramę z zawiasów, jeśli będę musiał.

Zbierając resztki godności, Araldo otworzył wejście i wpuścił starszego mężczyznę.

— Nie wiedziałem — wymamrotał tytułem przeprosin. — Musimy być ostrożni.

— I dobrze, bo są po temu powody. Gdzie jest twój pan? — Gasparo gotów był do dalszego sporu. Stał przed Araldem z rękami na biodrach i potarganymi włosami, które pachniały jeszcze świeżo skoszonym zbożem.

Araldo zaczął wyjaśniać, dlaczego Rakoczy nie może się z nim

zobaczyć, gdy na dziedzińcu pojawił się Ruggiero. Był w stroju zarządcy, na który zarzucił długi kaftan z mnóstwem kieszeni, w rękę trzymał pęk kluczy.

— O, Ruggiero! — Gasparo pomachał mu i ruszył przez mozaikową podłogę. — Muszę natychmiast widzieć się z il conte. Ruggiero uściskał gościa.

— Chętnie cię do niego zaprowadzę — powiedziała, nijak nie zaskoczony nagłym pojawieniem się Gaspara ani jego naleganiem.

— To może jeszcze powiedz temu młodzikowi, aby się zachowywał — rzucił Gasparo, trochę już ochłonawszy. — Próbował mnie zatrzymać. Tak jakby miał do tego prawo.

Ruggiero zerknął na Aralda.

— Naprawdę?

— Ja nie... — Młodzieniec spłonął się aż po cebulki jasnych włosów. — Z tą kradzieżą niedawno... Poza tym to tylko budowniczy.

Gasparo jakby tylko na to czekał.

— Należę do cechu i jestem z tego dumny. Tak samo jak mój ojciec. Pracował przy budowie Santa Maria del Fiore. A kim ty jesteś, aby patrzeć na mnie z góry? Jest jakiś cech służących? Jeśli uważasz, że praca u cudzoziemskiego szlachcica daje ci takie prawa, jakbyś sam był tej samej, błękitnej krwi, to grubo się mylisz — dodał, nie zostawiając rozmówcy czasu na reakcję. — Nie ma we Florencji kogoś równie dobrego i szlachetnego jak twój pan. Ucz się od niego, zwłaszcza tego, jak należy traktować innych ludzi. — Obrócił się na pięcie i ruszył przez dziedziniec.

— Dlaczego pozwoliłeś mu, aby tak mnie skrzyczał? — spytał szeptem Araldo, zamykając bramę. — Miałem prawo go nie wpuścić. Sam Rakoczy kazał uważać.

— Powiedział, że nie tyle uważałeś, ile próbowałeś decydować, kogo wpuścić, kogo nie. Rakoczy zaś nie kazał ci trzymać za bramą

przyjaciół. Musimy ich cenić, Araldo. Zwłaszcza że nie zostało ich wielu.

— Gdzie jest il conte? — zawołał z drugiej strony dziedzińca Gasparo.

Ruggiero zostawił Rakoczego i Demetrice w tajnym pokoju pod schodami, jednym z wyposażanych wcześniej przez Gaspara i jego ludzi.

— W gabinecie — powiedział ostrożnie.

— A, dobrze. To już wiem, gdzie go szukać. Nie musisz pokazywać mi drogi. — Budowniczy wszedł do holu. Zatrzymał się na chwilę, aby zlustrować krytycznie wnętrze. Nie mógł pochwalić niecodziennego wystroju, ale całość nawet mu się podobała. Robota została wykonana po mistrzowsku i nikt oglądający pałac nie miał szansy się domyślić, że budowa nie trwała nawet roku. To było cztery razy szybciej, niż zwykle zdarzało się przy gmachach podobnej wielkości. Nie zwlekając dłużej, uniósł dumnie głowę i skierował się w stronę schodów. Dawno go już tutaj nie było i nie od razu odszukał ukrytą wśród rzeźbionych paneli zapadkę. W końcu trafił na właściwą gałąź ze strzeżonymi przez smoka jabłkami. Obrócił ją ostrożnie.

Pierwszy z trzech pokojów był pusty i prawie całkiem ciemny. Stała w nim tylko wielka, drewniana skrzynia z samotną świeczką na wierzchu i kilkanaście żelaznymi prętami leżącymi wkoło.

Gasparo zamrugał i zrobił krok, uderzając natychmiast w niską ławę. Krzyknął i spróbował obejść przeszkodę, zaraz jednak wpadł na kolejny mebel, zapewne stołek, który przewrócił się z łoskotem. Sam Gasparo też stracił przy tym równowagę.

Chwilę potem w kolejnych drzwiach pojawił się Rakoczy z lampą w prawej ręce i mieczem w lewej. Przez chwilę jego sylwetka wydała się budowniczemu nadnaturalnie olbrzymia i w jakiś sposób groźna.

— Ekscelencjo! — zawołał z miejsca, gdzie upadł. — To ja,

Tucchio. Muszę z tobą porozmawiać.

Dziwne wrażenie ustąpiło, ledwie Rakoczy odłożył miecz. Podeszedł do przyjaciela i wyciągnął rękę, aby pomóc mu wstać. — Buon' amico. Co cię opętało, aby wchodzić tak cichcem? Gdybyś próbował sam dostać się do laboratorium, niechybnie byś zginął.

— Zginął? — Gasparo, który zaczął się już otrzepywać, zamarł w bezruchu. — Jak to?

Rakoczy uśmiechnął się do niego przepaszająco.

— Po włamaniu do pałacu wprowadziłem pewne... zabezpieczenia. Umocowałem przy drzwiach napiętą kuszę. Masz szczęście, że upadłeś. — Przywitał się kordialnie z budowniczym. — Cokolwiek cię sprowadziło, musi być bardzo pilne. — Skinął na gościa, aby poszedł za nim.

— I owszem, jest — stwierdził Gasparo, wchodząc do jasno oświetlonego pomieszczenia z wieloma szklanymi flaszkami i masą urządzeń, których nigdy wcześniej nie widział.

Najdziwniejsze były dwa ceglane ule, albo coś, co przypominało ule, stojące pośrodku. Miały z boków grube, żelazne drzwiczki. Za jednym z nich stała akurat Demetrice Volandrai i manipulowała przy zaokrąglonym wierzchu ula.

— Zamknij drzwi, San Germano — powiedziała. — Inaczej nie utrzymam stałej temperatury.

Rakoczy posłuchał bez słowa.

— Przepraszam, magistra.

— Miło, że tak żartujesz — powiedziała, nie odwracając się, surowym tonem, ale z lekkim uśmiechem. — Jednak jeśli miast złota otrzymamy żużel, co wtedy? — Poprawiła jeszcze odrobinę ułożenie cegieł i wyprostowała się, przykładając dłoń do czoła. Chwilę później dostrzegła Gaspara i zdumiała się niepomierne.

— Mamy gościa — wyjaśnił Rakoczy z uśmiechem w ciemnych

oczach. — Nie ma powodów do niepokoju. Gasparo to jeden z czwórki, która budowała te pomieszczenia. Złożył przysięgę krwi, że nie ujawni ich istnienia.

Demetrice opadła na najbliższe krzesło.

— Nie wątpię, że wiesz, co robisz — powiedziała, nie do końca chyba jednak o tym przekonana. — Do następnego poruszenia tygła zostały dwie godziny. Poprosiłam Amadea, by przygotował mi coś do jedzenia. Jaką porę dnia mamy? — spytała, ściągając czepek z głowy.

— Trochę późniejsze popołudnie. Nie pamiętam nigdy, czy to właściwy czas na prandium, czy na comesto. Po prostu idź coś zjeść. — Przeszedł przez pokój i dotknął łagodnie jej ramienia. — Przemęczasz się, amica mia. Potrząsnęła głową, jakby chciała przepędzić zmęczenie.

— Przez ostatnie kilka miesięcy nic prawie nie robiłam i płacę teraz za lenistwo. Zostawię cię, abyś mógł porozmawiać. — Wstała i skinęła głową Gasparowi. — Mogę przynieść coś do jedzenia, gdy będę wracała. Amadeo ma dobre zaprawy. Chce pan trochę?

— Przynieś cokolwiek dobrego, byle w rozsądnej ilości — powiedział z rozbawieniem Rakoczy. Odsunął się, aby dać jej przejść. — Mille grazie, Demetrice.

— Niente — odparła i zniknęła w drzwiach.

— Niezwykła kobieta — powiedział z entuzjazmem Gasparo. — Szczęśliwy z pana człowiek i jeśli nie darzy jej pan afektem, to niemądrze pan czyni, ekscelencjo. Wiem, że odkąd ci głupi dominikanie nałożyli cugle Florencji, lepiej nie ulegać potrzebom ciała — dodał, gdy Rakoczy nie reagował. — Nie wolno nam nosić porządnych ubrań, jeść niczego dobrego i śpiewać żadnych innych piosenek poza hymnami. Kobiety zaś wolno nam dotykać tylko w celu spółdzenia potomstwa. Imbecili i tyle! — Spojrzał na odzianego w czerń cudzoziemca. — Ale nie w tej sprawie przyszedłem.

— Tak też przypuszczam. — San Germano wskazał gościowi gięte krzesło z obciążonym skórą siedzeniem. — Powiedz mi, co cię martwi.

Gasparo spojrział nieufnie na krzesło i usiadł ostrożnie, jakby oczekiwał, że mebel zaraz ucieknie.

— Doszły mnie pewne wieści, ekscelencjo.

— Od kogo i na jaki temat? — Rakoczy odstawił lampę i zajął się jednym z kilku znajdujących się w pomieszczeniu świeczników. Lekki powiew z wysokich, ukrytych okien przynosił słodkie wonie z nad skoszonych pól.

— Od pewnego znajomego budowniczego z Francji. Pisze do mnie od czasu do czasu. To dobry człowiek. Wysłał mi już tę wiadomość wcześniej, jednak człowiek, który ją niósł, zginął z ręki zbójców na drodze do Genui. Mój znajomy dowiedział się o tym dopiero w czerwcu i zaraz napisał do mnie ponownie. — Teraz, gdy doszło już do spotkania z Rakoczym, Gasparo z trudem znajdował słowa. Obawiał się, że San Germano wpadnie w złość, i to najpewniej całkiem słuszną.

— Przykro mi z powodu posłańca, ale to nie on cię do mnie sprowadził, prawda?

Gasparo jakby go nie usłyszał.

— Jednak czego można oczekiwać, gdy francuski król przybywa do Italii na czele całej armii? Żołnierze potrafią tylko jedno. Rabunek i zabijanie to ich życie. — Wyprostował się na krześle i westchnął.

— Słuchaj, Gasparo. Cokolwiek masz do powiedzenia, nie może być aż tak straszne. Zgodzę się, że na drogach jest ostatnio niebezpiecznie i należałoby coś z tym zrobić, jednak żaden z nas nie ma na to wpływu. Zapewniam cię też, że nasza rozmowa jest i pozostanie poufna. — Rakoczy przesunął jedno z krzeseł na środek pokoju i usiadł naprzeciwko gościa. — Co zrobił Lodovico?



Gasparo wręcz podskoczył.

— Santa Chiara! Skąd pan wie, że o niego właśnie chodzi? Rakoczy pokręcił głową.

— A co innego mogłoby cię aż tak wzburzyć? Wiemy, że Carlo założył szczęśliwą rodzinę, a Giuseppe pracuje udanie dla siebie. Lodovico zaś wybierał się właśnie do Francji. Powiedz, czy prosiłeś swojego przyjaciela, aby poszukał Lodovica?

— Tak — odparł zawstydzony Gasparo. — I to ja, dumny ze swego miasta Florentyńczyk, poprosiłem Francuza, aby śledził dla mnie innego Florentyńczyka. — Nerwowo splótł palce obu dłoni. — Sam nie wiem, co mnie skłoniło, by angażować Alaina. Jakbym podejrzewał, że Lodovico nie dotrzyma przysięgi...

— Zrobiłeś to, ponieważ jesteś człowiekiem honorowym i to też nie pozwala ci teraz lekko oskarżać Lodovica. — Rakoczy pochylił się i spojrzał uważnie na Gaspara. — Czujesz się związany przysięgą i chcesz dotrzymać słowa. To wytrwałość godna papieża. Jesteś też jednak lojalny wobec przyjaciela i boli cię, że go podejrzewałeś. Zgadza się? Gasparo pokiwał głową.

— Tak. Ma pan rację. Jak mogłem się tak mylić co do Lodovica? Sam pan zaraz zrozumie, ekscelencjo — dodał, przechodząc wreszcie do najważniejszego. — Alain znalazł Lodovica. Przez kilka wieczorów pił z nim, potem Lodovico wyjechał. Powiedział, że wraca do Florencji, gdzie wie o pewnym bogatym człowieku, który kryje w swym pałacu wiele sekretów. I że łatwo będzie go okraść. Mówił, że zmęczony jest już życiem na obczyźnie dla spełnienia życzenia kogoś, kto nie jest Florentyńczykiem ani nawet Włochem. Alain próbował dowiedzieć się czegoś więcej i napisał mi, że Lodovico chce złota, jak najwięcej złota, aby móc wieść przyjemne życie bogatego człowieka. — Gasparo wstał i zaczął chodzić po pokoju. — Chodziło mu o pana, ekscelencjo. Chce pana obrabować albo nawet gorzej.

— Tak, rozumiem. — Spokojny ton Rakoczego prawie rozżłościł Gaspara.

— To wszystko, co ma pan do powiedzenia? Czy w ogóle nie przejmuję się pan groźbą napaści albo nawet morderstwa? Nic to dla pana nie znaczy?

Rakoczy sięgnął po szczypcę i przyciął knot kopnącej świecy.

— Znać to znaczy dla mnie wiele. Więcej nawet niż tylko to, co mi powiedziałeś. Doceniam, że dotrzymujesz słowa. Nie mógłbym cię winić, gdybyś w tej sytuacji nic mi nie powiedział.

— Złożyłem przysięgę krwi — wyrzucił z siebie Gasparo i uderzył rozpostartymi dłońmi w najbliższy stół, aż świece podskoczyły.

Rakoczy wstał powoli.

— Ludzie łamią takie przysięgi każdego dnia, amico mio. I na wiele sposobów. Pomyśl o przykazaniach, które naruszamy, nawet o tym nie myśląc. Lojalność podobna do twojej jest rzadka i bardzo ją cenię. — Uśmiechnął się, jakby szydził sam z siebie. — Cenię ją tak jak moją duszę.

Gasparo pociągnął nosem, ale zaraz zamaskował wzruszenie, udając atak kaszlu.

— I co teraz?

Rakoczy zajął się przez chwilę jasną zawartością sporej szklanej flaszki, która wisiała nad jedną z lamp. Dopiero po chwili spojrzał zaintrygowany na Gaspara.

— A co ma być? Budowniczy wyprostował się.

— Jestem gotowy. Jakkolwiek postanowi mnie pan ukarać, przyjmę to. Zasłużyłem na karę. Obaj wiemy, że nie powinienem wybierać Lodovica.

Rakoczy wziął flaszkę i poruszył nią, aż płyn w środku zawirował.

— Tak, wiemy. Sądzę jednak, że jasno przedstawiłem sprawę: nie uważam, abyś był za to odpowiedzialny. Jestem ci wdzięczny.

Zrobiłeś, co mogłeś, i prosić o więcej byłoby głupotą. Często nie otrzymuję nawet tyle.

— Mówi pan, że nie zamierza mnie ukarać? — spytał z niedowierzaniem Gasparo. Widział już bardzo dobrych panów, którzy kazali batożyć za mniejsze przewiny.

— Nie. A powinienem? Co by to zmieniło? — W końcu odstawił naczynie i spojrzał na Gaspara, — Jeśli dowiesz się czegoś więcej, chcę o tym jak najszybciej usłyszeć. Wątpię, by Lodovico próbował kontaktować się z tobą, ale gdyby, wybadaj go jak najdokładniej.

— Oczywiście, ekscelencjo. — Gasparo przytaknął energicznie i ruszył ku drzwiom.

— A gdybyś dowiedział się czegoś o innych budowniczych, czegoś niepokojącego oczywiście, też mi o tym powiedz. Lodovico wybrał zły czas na powrót, ale przypuszczam, że nie mogło być inaczej. — Podszedł do budowniczego i objął go ramieniem. — Jestem twoim dłużnikiem. Gdybym mógł ci w czymś pomóc, powiedz, proszę, a dam ci słowo, że zrobię, co w mojej mocy.

Gasparo chciał już wyjąkać, że to nie jest konieczne, gdy drzwi się otworzyły i do środka weszła Demetrice z tacą pokrojonego, jasnego sera i misą wonnych kawałków konserwowanych owoców. Niosła też na tacy dzban wina i kawałek ciasta z mięsem.

— Amadeo uznał, że tyle chyba wystarczy, signore Tucchio — powiedziała, podając mu tacę. — W alkowie jest stolik i jeśli odsunie pan książki, da się na nim zjeść. Sama korzystałam z niego wiele razy. — Wskazała na alkowę i wypełniające ją księgi. — Wystarczy odstawić je do kąta.

— Jasne, do kąta. — Gasparo pospieszył pomóc dziewczynie i szybko pozbierał książki.

Demetrice zaśmiała się i postawiła tacę na stole.

— Proszę. Może pan przy okazji wyglądać przez okno. Widać z

niego San Lorenzo, a gdy się przesunąć trochę, to także Santa Maria Novella. — Poczekała, aż Gasparo zajmie miejsce. — Ja wracam do pracy, ale proszę się tym nie przejmować. Chwilowo nie dzieje się nic strasznego.

Gasparo podziękował jej skinieniem głowy i wyciągnął własny nóż. Demetrice wróciła do przypominających ule atanorów.

— Świetna robota, amica mia. Dobra jesteś — powiedział jej szeptem Rakoczy.

Uśmiechnęła się radośnie, słysząc tę pochwałę.

— Wszyscy Florentyńczycy wiedzą, że cudzoziemska szlachta nie zna dobrych manier. Zasłużyłeś na trochę uprzejmości — dodała poważniejszym tonem. — Nie tylko ode mnie. Byłeś dla mnie dobry, gdy nikt inny nie chciał. Niezależnie od tego, czy zrobiłeś to dla mnie, czy dla Laurenza, dziękuję ci.

Nieodgadnione, czarne oczy Rakoczego napotkały bursztynowe światło jej oczu.

— Z początku, amica mia, to było dla Laurenza. Ale teraz już nie. — Zanim zdążyła o cokolwiek go spytać, sięgnął po jedną z flaszek. — Tutaj potrzeba jeszcze trochę olejku z Madrasu. Znajdziesz go w skrzyni przy kominku.

Demetrice prawie pobiegła do skrzyni. Zanim znalazła olejek, zdążyła nieco oprzytomnieć. Gasparo Tucchio wyszedł z Palazzo San Germano dopiero po zmroku. Był najedzony i musiał przyznać, że od dawna nie pił tak dobrego wina. Na dodatek Ruggiero zaproponował mu parę partii szachów i budowniczy całkiem zatracił się w grze. Znad Arno napływała niska mgła i znajome miasto pojaśniało niczym krajobraz ze snu. Poza tym zrobiło się zimno, co Gasparo odkrył, odszedłszy już trochę od domu Rakoczego. Otulił się ramionami i nastawił ucha na śpiewy dobiegające z kościoła Santissima Annunziata. Było trochę po dziewiątej i gdyby przyspieszył kroku,

powinien dotrzeć do domu, zanim mgła przemoczy mu ubranie.

Blisko rzeki mgła stała się bardziej gęsta, skrywając niemal sylwetki pobliskich budynków. Gasparo nasłuchiwał pilnie, ale niewiele do niego dobiegało poza szumem Arno.

Skrecił w ulicę, którą miał za Via Tornabuoni. Powinna doprowadzić go do Ponte Santa Trinita, skąd blisko już miał do położonego na drugim brzegu rzeki niewielkiego domu skrytego w cieniu Santo Spirito, świątyni rozbrzmiewającej nieustannie śpiewami i modłami braci augustynianów.

Gdy zbliżył się do mostu, usłyszał czyjś śmiech i towarzyszące mu niewyraźne słowa. Chyba dwie kobiety i trzech mężczyzn, pomyślał. Gdyby ktoś przyuważył ich razem, zwłaszcza jeśli byli po winie, Savonarola miałby kogo piętnować podczas następnego kazania. Gasparo poczuł przyływ złości na myśl o przeorze San Marco i współczucia dla mężczyzn oraz ich towarzyszek. Przez kilka minut stał we mgle, mimowolnie ich podsłuchując. Dowiedział się, że szukali właśnie miejsca, gdzie mogliby kontynuować zabawę. W końcu odeszli i Gasparo czuł, że z każdą chwilą było coraz zimniej.

Szedł teraz znacznie szybciej i stare kości zaczynały go boleć. Dojrzał przed sobą most, dziwny ciemny kształt zawieszony w morzu białego oparu. To był wreszcie jakiś znajomy widok i Gasparo wszedł na niego z ulgą.

Kilka uczepionych mostu budynków wyrastało nad nim w ciemności, a szum rzeki był tu na tyle głośny, że tłumiał odgłos kroków.

Blisko południowego brzegu przystanął i przechylił głowę. Mimo chłodu zamarł na chwilę w bezruchu. Zdawało mu się, że ktoś jednak za nim idzie, skradając się coraz bliżej. Nie udało mu się jednak wyłowić niczego z nieustannego szumu Arno.

Chciał ruszyć dalej, gdy poczuł nagle rękę na ramieniu.

Wystraszony i zły odwrócił się, by poczęstować napastnika pięścią. Zanim jednak uniósł rękę, coś zapiekło go między żebrami. Zdumiony ujrzał sterczący z jego ciała nóż. Ujął go, aby wyciągnąć ostrze z piersi, ale ręce odmówiły mu posłuszeństwa. Gdy Lodovico podszedł blisko, Gasparo otworzył usta, aby coś mu powiedzieć, ale spomiędzy jego warg popłynęła tylko krew. Przez ogarniające go zmęczenie poczuł jeszcze, jak Lodovico unosi go powoli i ciska z barierki mostu do skrytej we mgle rzeki.

Gasparo nie żył już, kiedy jego ciało wpadło z chlupotem do Arno.

Tekst spowiedzi donny Estasii Catariny di Arrigo della Cittadella da Parma, uczynionej przed Savonarolą i podanej do publicznej wiadomości w święto Aniołów Stróżów, 2 października 1494 roku:

*W imię Boga Ojca, Chrystusa, Syna Jego, i Ducha Świętego, amen. Oto wyznanie przerażających grzechów i zbrodni popełnionych przez donnę Estasię della Cittadella, wdowę po kupcu z Parmy, uczynione z jej własnej woli i podane jej własnymi słowami, bez komentarzy, uzupełnień czy ozdobników.*

*Miłosierny Zbawco, Święty Synu Boży, spraw, aby w mojej spowiedzi niczego nie brakło i by nie sięgała do niczego, co nie jest ważne dla odkupienia mego grzechu i zbawienia duszy.*

*Przez wiele miesięcy byłam nawiedzana przez diabły, które doprowadziły mnie do wielkiego zła. Winne jest temu moje ciało, które zbyt łatwo się pobudza i które ślubowałam okiełznać postami i biczowaniem. Uczyniłam z niego siedzibę grzechu i zepsucia, które miłe było mężczyznom. Cieszyłam się w mej próżności, że jestem piękna i pożądana, że w każdym, kto na mnie spojrzał, budziłam nieczyste myśli. Zatraciłam się w lubieżnych przyjemnościach, łącząc się z każdym mężczyzną, który gotów był mnie zadowolić. Wielka jest potęga*

odrażających pokus cielesnych, które czynią nas ślepymi i głuchymi na pieśni anielskie.

Wszyscy moi kochankowie uczynili spowiedź i przyjęli pokutę za swój grzech. Wszyscy prócz jednego. Tych, którzy okazali skruchę, nie okryję niestawą, chociaż sama pragnę wyzwolić się od cuchnących otchłani pożądania. Tych pięciu mężczyzn, którzy pogodzili się z Bogiem i uzyskali wybaczenie niebios, nie zgrzeszy więcej. Ich grzechy zaś podobne były tym, które wszyscy popełniacie, stając się pobudzonymi rują zwierzętami.

Najpokorniej błagam tych mężczyzn, aby wybaczyli mi to, co musieli ze mną przejść. Proszę ich, aby zapomnieli sploty naszych dał, szalone kopmlacje, pot, jęki i krzyki, które wówczas czyniliśmy. Niech ich myśli nigdy więcej nie wracają ku naszym westchnieniom i żarowi podnieconych dał, napiętych ścięgien, wonnych nocy w jedwabnej pościeli.

Diabli, którzy mnie odwiedzają, im krzywdy nie czynią, co jest sprawiedliwe, bowiem to mój grzech sprowadził owych mężów na złą drogę, a ich skrucha pokazuje mi drogę do tronu Pana naszego.

Czy ten ostatni kochanek był człowiekiem, czy może diabłem, tego nie wiem. Był cudzoziemcem, bogatym cudzoziemcem, który z nieznanых powodów postanowił zamieszkać między nami. Był też człowiekiem bogatym i światowym, przez co sprzedajna Florencja przyjęła go jak swego.

Pierwszy raz zjawił się u mnie trzy lata temu. Widział mnie raz, z daleka, i nie zamieniliśmy ani słowa, wiedziałam jednak, że mnie pożądał i że nie spocznie, dopóki mnie nie posiadzie. Naprzykrzał mi się później, a gdy nie chciałam mu się oddać, poprzysiągł, że zdobędzie mnie, nawet gdyby musiał w tym celu zabić obu moich kuzynów.

Bałam się go i obawiałam się też, że może uczynić krzywdę innym moim kochankom, przez co przestałam się z nimi widywać. Ukryłam się w domu kuzynów i nie wychodziłam z niego w obawie, że cudzoziemiec będzie na mnie czekał, że podkradnie się do mnie, jak okrutny lew

podkrada się do młodej antylopy. Ile razy zdarzyło mi się widzieć jego przepyszny czarny strój albo usłyszeć jego miękkie, dziwnie akcentowane słowa, wpadałam w przerażenie. Nie mogłam jednak nijak przed nim uciec. Nie było w całej Florencji bezpiecznego miejsca, w którym mogłabym się schronić, był on bowiem alchemikiem i znał tajemnice, które dawały mu moc. Moc, której tylko najbardziej pobożni umieliby się przeciwstawić.

W końcu zabrakło mi sił, aby przeciwstawiać się jego woli. Wybrał noc, kiedy Sandro i Simone wyjechali, i siłą wdarł się do domu. Chociaż próbowałam się bronić, pokonał mnie i przywiązał do mego własnego łóżka. Jego członek był tak olbrzymi, że gdy wdarł się we mnie bezlitośnie, czułam, jakby rozdzierał moje ciało. Wiele razy tej nocy zostawił we mnie swoje nasienie. Pobił mnie też okrutnie jedwabnym sznurem i zmusił mnie, abym namaściła jego członek świętymi olejami, zanim wykorzystał mnie z nienaturalną brutalnością.

Jednak i tego było mu za mało. Przybył do mnie znowu, aby wykorzystywać mnie na różne sposoby, których nie opiszę. Wystarczy powiedzieć, że ów grzesznik wykorzystuje czasem także i chłopców. Powiedział, że jego nasienie nie przyniesie mi dziecka, a moje ciało stanie się świątynią dla diabłów. Ile łez potem wylałam i jak wielka była moja rozpacz, wiem tylko ja sama.

Miałam nadzieję wyzwolić się od niego. Próbowałam pójść do spowiedzi, ale diabli, którymi wypełnił me ciało, sprawiali, że dławiałam się i czułam ból za każdym razem, i nie potrafiłam ścierpieć świętych słów, które padały z ust kapłana.

Gdy przyszedł do mnie następnym razem, dał mi napoju, przez co straciłam zmysły, gdy mnie pokrywał. Kiedy znowu zaczęłam widzieć i słyszeć, ku memu przerażeniu pojęłam, że niesie mnie do kościoła, gdzie przywiązał mnie do ołtarza, przed którym ustawione były czarne świece.

Zaczęłam błagać go, aby mnie zabił i oszczędził święty gmach przed



profanacją, czym rozwścieczyłam go na tyle, że uciszył mnie, dokonując nowych gwałtów na moim ciele i śmiejąc się, gdy nie mogłam powstrzymać się od krzyku.

Gdy w końcu jego członek opadł, zebrał swe nasienie do kielicha i zmusił mnie, abym je wypita. Potem zdjął krucyfiks ze ściany. Chociaż wzdragam się, aby o tym mówić, muszę jednak wyznać wszystko, albo diabli posiadą mnie na nowo. Użył na mnie krucyfiksu tak, jakby był on olbrzymim członkiem. Byłam zbyt zawstydzona i przerażona, aby krzyżeć, później zaś bluźnierczość jego aktów przyprawiła mnie o szaleństwo.

Diabli opanowali moje dato, wykorzystywali je, a wszystko to działo się z jego poduszczenia. To on spowodował, że odwróciłam się od radości królestwa niebieskiego i zaczęłam skłaniać się ku piekielnym otchłaniom.

Bóg mnie opuścił za sprawą mych żądz i grzechów i jeśli większa jest Jego potęga niż cudzoziemskich diabłów, potępiona zostanę na wieki.

Módl się za mnie, dobry przeorze. Módl się za mnie i wygnaj diabły z mego ciała. Oczyść mnie! Pokaż mi me zepsucie! Gdyby to miało pomóc, posiekaj mnie nożami! Zniosę każde poniżenie, cierpienie i wstyd. Biczuj mnie! Okładaj mnie pięściami! Wypędź te cudzoziemskie diabły, bo to on rozkazuje demonom zamieszkującym moje ciało. Gotowa jestem spędzić resztę życia na kolanach, aby tylko uwolnić się od niego.

Jak najszczerzej żałuję za grzechy, zarówno te popełnione świadomie, jak i narzucone mi przez niego. Przyznaję się do grzesznych poszukiwań i błędów. Przyjmuję sąd uczyniony nade mną i pogodzę się z każdą zadaną mi pokutą. Pokornie i posłusznie czekam na Twą decyzję, błogostawiony Girolamo Savonarola. Ofiarowuję Ci mą grzechem przesiąkniętą duszę, ofiarowuję ją Tobie, który nigdy nie uległeś pokusom cielesnym. Zmiłuj się nade mną. Dostrzeż me cierpienie i uratuj mnie. Uratuj mnie!

Sprawdzone pod względem wierności i dokładności zapisu jako spowiedź donny Estasii Catariny di Arrigo della Cittadella da Parma w

*Sacro Infante,*

*dnia 29 września 1494 roku.*

*Girolamo Savonarola przeor San Marco dominikanin*

## . 12 .

Massimillio naruszył chyba połowę praw obowiązujących obecnie we Florencji, aby przyrządzić aromatyczny pasztet z wątróbki, podany w Palazzo de Medici podczas skromnego przyjęcia w ostatni wieczór września. Na znak przyjaźni Poliziana z Medyceuszem danie zostało uformowane na kształt wieńca laurowego i miało czarny kolor, uzyskany dzięki paście z tłuczonego pieprzu i jagód. W środku wieńca widniało imię Agnolo Ambrogini Poliziano.

Jego śmierć kilka dni wcześniej zaskoczyła i zasmuciła wszystkich pozostałych jeszcze zwolenników Medyceuszy. A teraz doszły jeszcze do tego pogłoski o zbliżaniu się armii francuskiego króla Karola.

Piero siedział przy stole z Ficinem oraz garstką krewnych, Medyceuszy i Tornabuonich, a sądząc po śmiechu i spojrzeniach rzucanych siedzącej przy kobiecym stole żonie, musiał wypić więcej wina, niż było to dlań wskazane. Skinął na jednego ze służących, aby podał mu więcej wieńcowego pasztetu, i napełnił na nowo kielich.

— Czy to roztropnie? — spytał Ficino ze śmiałością właściwą starszym uczonym.

— Platon pisał, że nawet Sokrates czasem się upijał. Jest o tym mowa w *Uczcie*. Gdy byłem dzieckiem, Poliziano próbował przerabiać ze mną ten dialog i zbił mnie, gdy nie przygotowałem przekładu. A teraz już nie żyje. Szkoda. Był młodszy niż mój ojciec. Ficino spojrział na Piera w sposób ulokowany gdzieś pośrodku między współczuciem a obrzydzeniem i odwrócił się od młodego gospodarza.

U stóp stołu mężczyzn siedział muzyk pogrywający melancholijnie na lutni. W pewnej chwili oderwał się od instrumentu.

— Widzę, panie, że ty też nie jesz — powiedział do Francesca Rakoczego.

— Nie. Nie mogę. — San Germano wygładził przód czarnej, atłasowej giornei i poprawił na szyi łańcuszek, na którym wisiał order z jego herbem.

— Agnolo miał diabelsko cięty język, ale był wspaniałym uczonym. Jego poezja też była niezgorsza. — Muzyk przeciągnął palcami po strunach i lutnia zapłakała. — Najbardziej płacze po nim młody Buonarroti. Agnolo uwielbiał jego dzieła i zachęcał do pracy. Taki właśnie był, wie pan.

— Wiem — odparł Rakoczy, spoglądając na muzyka. Nagle wstał i odszedł od stołu. Przystanął przy skrzyni, na której wystawiano dania, i spojrzał na stojącego w progu Massimillia.

— Świetna robota, Massimillio. Bardzo udany hołd. Oczy kucharza zwilgotniały.

— Przez większość życia służyłem Medyceuszom. Ile jeszcze to potrwa? Nawet Piero daje mi do zrozumienia, że coraz mniejszy ze mnie pożytek. A mało kto we Florencji mnie zechce. Palleschi nie są teraz popularni.

— Nie zawsze tak będzie — dodał Rakoczy, spoglądając na wyrzeźbione na drzwiach czerwone kule, słynny znak Medyceuszy. — Mówię ci to tak, jak jeden ich zwolennik może przekazać coś drugiemu. Medyceusze i Florencja to jedno i nie przestaną być razem, jak długo któraś ze stron nie zniknie z kart historii.

Massimillio westchnął.

— Gdyby tak było, nie miałbym powodów do obaw. Jednak Signoria patrzy na nas coraz bardziej niechętnie. Jeśli Savonarola zaprowadzi swój porządek, Medyceusze znikną z Florencji.

Rakoczy pokiwał głową i odwrócił się, aby spojrzeć na opuszczony bankiet.

— Gdybyś postanowił wyjechać, jest pewien człowiek w Genui. Nazywa się Arturo Peligrino. Udaj się do niego, gdyby przyszło ci

opuścić Florencję, i powiedz, że San Germano cię przysyła.

Rosły kucharz spojrział Rakoczemu w oczy, jakby powątpiewał w jego słowa albo obawiał się szyderstwa. San Germano uśmiechnął się ironicznie.

— Signore Peligrino mieszka przy Via della Diva Marina. Jest kupcem, który handluje klejnotami i przyprawami. Nie odprawi cię, masz na to moje słowo.

— A skąd pan może to wiedzieć?

— Ponieważ jestem właścicielem jego statków. Poza tym, i w odróżnieniu ode mnie, Peligrino uwielbia dobrą kuchnię. — Rakoczy wziął jedną z jagód, które przyozdabiały wieniec, i ścisnął ją w palcach. Owoc pękł i jego ostry zapach wypełnił powietrze. Przypomniawszy raz jeszcze Massimillio o genueńskim kupcu, San Germano opuścił salę bankietową i ruszył na wędrowkę po znajomych wnętrzach Palazzo de Medici. Uśmiechał się ze smutkiem na widok wspaniałych rzeźb, malowideł i mebli. Na wielu widniał napis LAUR MED, oznaczający wszelką własność Laurenza.

Krążąc zasadniczo bez celu, dotarł w końcu do biblioteki. Stanął w drzwiach niepewny, czy powinien wejść. Lorenzo kochał książki miłością, którą Rakoczy potrafił zrozumieć. Nawet prędko w słowach Poliziano łagodniał często w ich obecności. Czy biblioteka to dobre miejsce dla duchów? Czy zastanie tam Laurenza i Agnola? Trzymał już dłoń na klamce, gdy nagle ktoś z tyłu wymówił jego imię.

— Francesco — powtórzył Botticelli, idąc szybko w stronę San Germana. Był w mokrym płaszczu i zabłoconych butach, których nie zdjął przy wejściu. Wydawał się lekko zdyszany.

— Sandro. — Rakoczy odwrócił się i uściskał wysokiego malarza.  
— Nie wiedziałem, że też tu będziesz.

— I ja tego nie wiedziałem — odparł Botticelli, zrzucając płaszcz z ramion. — Sergio powiedział, że nie ma cię w sali, pomyślałem więc,

że może tutaj cię znaleźć. — Twarz Sandra była jakaś nieswoja, ton niespokojny.

— Co się stało? — spytał Rakoczy, czując, że nie chodzi tylko o żałobę po Polizianie. — Dobrze się czujesz?

Sandro wytarł połą płaszcz mokre włosy i twarz, a potem oparł się ciężko o ścianę.

— O, Gran' Dio. Nie wiem, jak ci to powiedzieć.

— Co powiedzieć? — Rakoczy zaczynał naprawdę się niepokoić. — Coś z Demetrice? Znaleźli może wreszcie Tuchia?

Botticelli potrząsnął głową, jakby chciał wyrazić jednocześnie irytację i żal.

— Nie. Demetrice nic nie jest. Sam zresztą widziałeś ją niedawno. Po Tучiu ślad przepadł. Nie o to chodzi. — Zaczerpnął głęboko powietrza. — Aż chciałbym, żeby chodziło o Demetrice albo Tuchia. O cokolwiek, tylko nie...

— Estasia? — domyślił się nagle Rakoczy.

— Tak — przyznał Sandro przez zaciśnięte zęby. — Wracam właśnie z Sacro Infante. — Przysunął się do San Germana ujął mocno jego ramiona. Złote oczy wpatrywały się intensywnie w cudzoziemca. — Czy przysięgasz na swą duszę, wieczną duszę, stragnero, że powiedziałeś mi prawdę o tym, co zaszło między tobą a Estasią?

Gdyby chodziło o coś mniej istotnego, Rakoczy wyrwałby się po prostu, dostrzegając jednak desperację Sandra i nie próbował się ruszać.

— Przysięgam, że to prawda. Na życie moje, krew moją i moją nieśmiertelną duszę.

— Biłeś ją? Zniewoliłeś ją kiedyś w kościele?

Widząc płonące oczy malarza, Rakoczy opanował śmiech.

— Nie zrobiłem nic ponad to, o czym ci wcześniej opowiadałem. Nigdy nie wszedłem w nią jak mężczyzna. Zadowalałem ją, jak umiałem najlepiej, ona zaś zadowalała mnie. Przysięgam, że nic

więcej nie miało miejsca. Nie mam powodu kłamać. Gdybym zaś z dumy próbował to robić, kłamstwo łatwo by się wydało. Sama Estasia...

Mocne palce puściły jego ramiona.

— Estasia się wyświadczyła.

— Wyświadczyła? Z czego?

— Dzisiaj, samemu Savonaroli. Byłem tam i słyszałem ją na własne uszy. Jej opowieść była bardziej bluźniercza niż wszystkie pogańskie obrządki. Ale Savonarola wysłuchał jej i uwierzył w całość bez zastrzeżeń. Łowił kolejne sprośności niczym skąpiec odkładający złote monety. Po prostu bardzo chciał jej uwierzyć. Chciał, aby kłamała na swój temat. — Spojrzał z boleścią w oczy Rakoczego. — Chciał, aby kłamała także i na twój temat, Francesco.

W końcu więc się stało, pomyślał Rakoczy. W duchu od dawna się z tym liczył. Zacisnął i rozluźnił drobne dłonie.

— Co powiedziała? — spytał cicho.

— Wiele o nienaturalnych aktach, o splugawieniu na ołtarzu w kościele...

Rakoczy odwrócił się, jakby chciał uchylić się przed policzkiem. Jego ciemne oczy pełne były udręki.

— Co jeszcze?

— Czy to nie dość? — wyrzucił z siebie Sandro.

— Nie — wyszeptał Rakoczy, ale malarz i tak go usłyszał. — Nie, jeśli mam się bronić przed jej oskarżeniami.

— Bronić się? — spytał Sandro, wczepiając palce we włosy, w których pojawiła się już siwizna. — Christo e San Dismo! Nie masz szans na żadną obronę. To właśnie chcę ci powiedzieć. Dlatego przyjechałem. Wskazała na ciebie jako na pomiot diabła, Francesco. Musisz uciekać. Teraz, zaraz. Aresztują cię rano, jeśli zostaniesz.

— Pomiot diabła? — Zmarszczył brwi. — Co takiego powiedziała,

że stałem się diabłem? Chodzi o to, o co pytałeś na początku? Z ołtarzem i kościołem? Naprawdę? Podczas spowiedzi?

— Tak.

— A ta spowiedź była publiczna?

Sandro przytaknął. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

— Zostanie przedstawiona publicznie w dzień Aniołów Stróżów. — Spojrzał na sufit, jakby nagle zainteresowały go rzeźbione i malowane dźwigary, ale zmusił się, aby wrócić myślami do przyjaciela. — Potrzebujesz pomocy?

Rakoczy ożywił się natychmiast.

— Nie. Dam sobie radę. Nie byłoby dobrze, gdyby dowiedzieli się, że mi pomogłeś. Nie wolno ci zdradzać nikomu, że przyszedłeś tu dzisiaj.

Botticelli nie mógł spojrzeć mu w oczy.

— Wstyd mi, Francesco. To ktoś z mojej rodziny cię skrzywdził. — Uderzył pięścią w udo. — Pozwól mi się zrehabilitować.

— Jak? — spytał Rakoczy bez cienia potępienia w głosie. — Gdybyś mógł mi jakoś pomóc, na pewno bym o tym powiedział. Możliwe, że będę jeszcze potrzebował przyjaciół we Florencji.

— Zatem możesz na mnie liczyć — odparł pospiesznie Sandro. — Nieważne, co się stanie, będę ci przyjacielem.

— Byle nie publicznie — ostrzegł Rakoczy. — Gdy spowiedź zostanie ujawniona, niebezpiecznie będzie mnie znać. — Ogarnął spojrzeniem słabo oświetlony korytarz i stojącą na nim postać z brązu. Zastygła w metalu trwała tam Dafne, czekająca z wyciągniętymi rękami i pierwszymi liśćmi, okrywającymi jej nową, wawrzynową postać, aż obejmie ją nagi i spóźniony w swych zalotach Apollo. Lorenzo uwielbiał tę rzeźbę, a Piero spytał ostatnio Rakoczego, czy nie chciałby jej kupić.

— To prawda — przyznał Botticelli. — Jednak mogą się



dowiedzieć, że tu byłem. — Nagle zachichotał. — Chyba że dasz mi w gębę. Wtedy powiem, że próbowałem cię zatrzymać, zaczęliśmy się szamotać, aż w końcu uderzyłeś mnie i uciekłeś. Potrwa też trochę, zanim dostaną moje zeznania. Ale musiałem ci pomóc — dodał poważnie. — Mój honor tego wymagał.

— Jak uważasz. — Rakoczy spojrział po raz ostatni na drzwi biblioteki. — Powinienem tam wejść. — Przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Laurenzem i zalane popołudniowym słońcem wnętrze biblioteki. Gospodarz nie krył zachwyty, widząc, że Rakoczy tak samo ukochał książki. „Miałem siedmioro dzieci z moją żoną i kolejne jeszcze z innymi kobietami, ale oto są moje dzieci najukochańsze, dzieci mojej duszy” — powiedział, gładząc złoconą okładkę dzieł Dantego. Uśmiechał się przy tym i jego brzydkie oblicze nabierało piękna. Rakoczy zatęsknił aż do bólu za tamtą chwilą.

— Francesco? — spytał zaniepokojony Sandro.

— Nic takiego — odparł San Germano, nie wiedząc nawet, jak wielką samotność wyrażało jego spojrzenie. Odepchnął wspomnienia w cień. — Nie ma chyba wiele czasu?

— Nie. — Botticelli przyjrzał się grzbietom własnych dłoni. — Niebawem wydadzą na ciebie nakaz aresztowania — powiedział takim tonem, jakby mówił o pogodzie albo powtarzał niezbyt wiarygodną plotkę. — Być może już jest. Podpisany przez Signorię, ale na polecenie Savonaroli. Potrzebuje ciebie, albo kogoś podobnego, aby dalej straszyć ludzi. Gdyby nie miał ciebie, znalazłby kogoś innego.

— Oczywiście. Chociaż wiesz, chyba wolałbym, żeby to nie mnie wybrał. — Uściskał się z artystą. — Raz jeszcze dziękuję, że ryzykowałeś. Nie zapomnę o tym.

Botticelli odetchnął z ulgą i jego poczucie winy trochę zmalało.

— Kiedy wyruszysz?

— Niebawem. — Spojrzał na żywe oblicze Sandra. — Naprawdę chcesz, abym cię uderzył?

— Tak, oczy... — Pięść Rakoczego przerwała mu w pół słowa. W uszach mu zadzwoniło, świat wkoło pociemniał i Botticelli zatoczył się, machając rękami, aby nie upaść.

Zanim doszedł do siebie i wymasował obolałą szczękę, Rakoczego już nie było.

Nakaz aresztowania cudzoziemca nazwiskiem Francesco Rakoczy da San Germano przekazany lansjerom przez konsulów, i Priori i Signorię:

*Zgodnie z rozkazem wydanym przez władze Florencji i lanzi zostają upoważnieni do pojmania i zatrzymania perfidnego sługi diabelskiego, znanego jako il conte Francesco Rakoczy da San Germano, i do dostarczenia go niezwłocznie urzędnikom Republiki dla śledztwa w sprawie jego bluźnierstw i herezji. Rakoczy jest winny ohydnych zbrodni przeciwko Republice i Bogu i musi poczuć na sobie nieugięte ramię sprawiedliwości, tak duchowo, jak i cieleśnie.*

*Z upoważnienia konsulów, i Priori i Signorii*

*30 września 1494*

## . 13 .

Trzymana przez Demetrice lampa oświetlała jej twarz migotliwym, żółtawym blaskiem.

— Poszli — powiedziała dziewczyna, wchodząc przez tajne drzwi.

Rakoczy przerwał poprawianie ciężkiego stroju podróżnego i odwrócił się do niej.

— Uwierzyli ci?

— Oczywiście. Nie mieli powodu nie wierzyć. Pokazałam im wszystkie pomieszczenia i niczego nie znaleźli. — Odstawiła lampę na najbliższą skrzynię i opadła na stołek. — Bałam się, San Germano. Nigdy jeszcze nie spotkałam lansjerów w podobnych okolicznościach. — Ścisnęła razem dłonie, aby stłumić ich drzenie.

— Demetrice — powiedział Rakoczy innym tonem, naciągając grube nogawice. — Jeśli się boisz, chodź ze mną. W Wenecji będziesz bezpieczna. Zastanów się. Tutaj może być groźnie.

Pokręciła głową i spojrzała na niego.

— To mój dom. Moje miejsce jest we Florencji. Nie wiem, czy to zrozumiesz, ale zginę bez niej.

— Rozumiem. Bardziej, niż przypuszczasz.

— Jesteś bardzo stary, prawda? — spytała, nie zwracając uwagi na jego zapewnienie. — Dla ciebie to pewnie dziwne, aby kochać tak jakieś miasto. Albo to, że chcę tu zostać.

Rakoczy sięgnął po buty, ale przed nałożeniem uniósł je i postukał mocno w podeszwy.

— Wiesz, co w nich jest? — spytał takim tonem, że z miejsca przykuł jej uwagę.

— Nie. — Dziewczyna zapomniała prawie o strachu i w jej oczach błysnęła znajoma ciekawość.

— Ziemia — odparł krótko. — Moja ojczysta ziemia. Bez niej nie mógłbym przekraczać rzek ani wytrzymać blasku słońca, które spaliłoby mnie tak samo, jak was pali gorące żelazo. Nie opowiadaj mi o tęsknocie za domem. Znam ją. Przez ostatnie trzy tysiące lat poznałem ją na wylot, przebywając w krainach, o których nawet nie słyszałaś. Moja ziemia jest dla mnie tak samo ważna jak krew. — Wziął jeden z butów i zaczął go wkładać.

Demetrice przyglądała mu się w spokoju, ale spojrzenie nadal zdradzało nerwowość.

— Uważają, że zabiłeś Gaspara Tuchia — powiedziała w końcu.

— Ze złożyłeś go w ofierze podczas jakiegoś pogańskiego obrządku.

— Jasne — rzucił Rakoczy. — Przez najbliższe dni będą przypisywać mi całe zło.

Wyciągnęła rękę, aby dotknąć jego ramienia.

— Po tym wszystkim...

— Trudno — przerwał jej, kładąc palce na wargach dziewczyny.

— Musisz im na to pozwolić — dodał spokojnie, chociaż wyraz jego twarzy daleki był od pogody ducha. — Jeśli zaczniesz mnie bronić, donna mia, sama narazisz się na niebezpieczeństwo. Potęp mnie wraz z resztą. Zrób to dla mnie. Proszę. Zgódź się z moimi oskarżycielami.

— Ale dlaczego, San Germano?

— Ponieważ, cara, jeśli uwierzą bez reszty w moje diabelskie powiązania, w te wszystkie ołtarze i demony, nigdy być może nie odkryją, kim naprawdę jestem — powiedział, naciągając drugi but.

— Wszeteczny rozpustnik z poruczenia szatana to ktoś, kim można straszyć dzieci, dla dorosłych jednak to tylko chwilowa sensacja. A wampir? Wampir jest ich zdaniem naprawdę groźny. To drapieżnik, który zabija śpiących w ich łóżkach. — Wiedziony impulsem ujął jej twarz w obie dłonie. — Dotąd ufałaś mi, Demetrice. Czy nadal jesteś

do tego skłonna?

Poczuła pieczenie pod powiekami i zamrugła, aby powstrzymać łzy.

— Skoro tego właśnie pragniesz, San Germano.

Po raz pierwszy pocałował ją w usta. Delikatnie, ledwie dotykając jej warg. Zaraz potem wyprostował się i sięgnął po wielką, skórzaną sakwę, która leżała otwarta na skrzyni. Przywiązał ją do pasa. — Umówiłem już przewiezienie Joacima Branco do Sieny. Mieszka tam alchemik, który gotów jest się nim zająć. Wymaga nadal większej opieki niż wszystko, co będziesz mogła mu zapewnić, jeśli psy Pańskie ruszą twoim tropem. Słyszac to przezwisko dominikanów, Demetrice skrzywiła się mimowolnie.

— Raczej zostawią mnie w spokoju. Nie mają nic na mnie. Nie jestem notoryczną grzesznicą, nie jestem też nikim ważnym. — Wstała i odetchnęła, kolana i dłonie przestały jej wreszcie drżeć.

— To może nie wystarczyć — ostrzegł ją Rakoczy. Sięgnął do skrzyni po dwa długie sztylety, które wsunął do pochew w rękawach. — Pisz do mnie co miesiąc. Ruggiero załatwia w tej chwili, abyś stała się prawowitą właścicielką tego pałacu. Przynajmniej do mojego powrotu. W skrzynkach w pokoju wag jest dość pieniędzy, aby starczyło na podatki i opłacenie skromnej służby. Podpiszę dokument przed wyjazdem.

Tego było już dla niej trochę za wiele. Poczuła się zagubiona.

— Chwila — zaprotestowała, ale zamilkła, spojrzawszy na jego twarz. — Dasz radę jechać? Wyglądasz na zmęczonego.

— Też byłabyś zmęczona w moim wieku — odparł, daremnie próbując ją rozbawić. — Chociaż nie, zasłużyłaś na uczciwą odpowiedź. Dam radę, tylko jestem... głodny. Ale to może poczekać. Nie jest aż tak pilne. — Zdjął płaszcz z kołka przy drzwiach i skinął na dziewczynę, aby poszła za nim.

Demetrice nie ruszyła się.

— Jeśli jesteś, jak mówisz, głodny... — wyrzuciła z siebie. — To może... bo przecież...

Rakoczy zamarł przy drzwiach.

— Kochana Demetrice — powiedział tonem łagodnej wymówki.

— Nie wymagaj tego od siebie. Spójrz tylko, jak wyglądasz. Błada niczym marmurowy posąg. — Podszedł bliżej, ale nie na tyle, żeby ją wystraszyć. — Biorę krew tylko od tych, którzy mnie pragną, amica mia. Z twojej strony byłaby to ofiara. Wdzięczny ci jestem za ten gest. Wiem, jak trudno ci teraz patrzeć mi w twarz. Ale nie.

— Nie? — Oczy Demetrice rozszerzyły się i niewiele brakowało, aby wybuchnęła ze złości. — Jeśli myślisz, że ja bym ci nie wystarczyła...

Ostrożnie ujął jej dłonie.

— Nie, Demetrice. Obawiam się, że to ja bym ci nie wystarczył.

— Nie dał jej czasu na rozważanie tych słów, tylko wrócił do drzwi, pociągając ją za sobą. — Trzeba jeszcze podpisać dokumenty. — Wyszli na schody i zamknął za sobą starannie ukryte drzwi. — Chyba będzie dobrze, jeśli zmienisz system blokad, zostawiając tylko jedno wejście przez sufit kuchni. Sądzę, że niebawem ponownie przeszukają pałac.

— Ale dlaczego? — spytała, idąc obok niego po schodach. — Chyba nie sądzisz, że konsulowie będą tracili czas lansjerów na podobne rzeczy. Przecież to nie miałyby sensu.

— Jeśli Savonarola zażyczy sobie przeszukania, posłuchają bez słowa. Może też nabrać ochoty na wyposażenie. Dlatego, między innymi, cała posesja zostanie przepisana na ciebie.

— Ale kobiety nie mogą niczego posiadać. — Spojrzała na niego zdumiona. — Jeśli pojawi się inny chętny, Signoria zatwierdzi sprzedaż majątku.

Gdy doszli na górę, Rakoczy wskazał w stronę swojego pokoju.

— Tam jest. To tymczasowe rozwiązanie. Zgodnie z nim będziesz moim przedstawicielem. Jak długo nie przestanę płacić podatków, ani Signoria, ani Savonarola nie zdołają położyć ręki na tym budynku.

— Skoro jesteś pewien — powiedziała niepewnie.

— Wielu rzeczy nie jestem pewien, donna mia. Nie wiem na przykład, czy cesarz Kaligula nie trafił ostatecznie do grona aniołów.

Na ile go jednak poznałem, zapewne tak właśnie się stało. Niebo nie jest takie, jakim je widzą. Uspokój się, Demetrice. Jeśli prawa Florencji zostaną w jakiejś chwili okaleczone w sposób, który pozwoli odbierać ludziom ich własność, na pewno dowiesz się o tym wcześniej, bo poprzedzą to znacznie gorsze rzeczy. Gdy zamknął drzwi pokoju, z alkowy wyłonił się Ruggiero. W ręku trzymał pergamin.

— Gotowe, panie. Potrzeba tylko twojego podpisu i podpisu donny Demetrice.

Rakoczy podpisał się lewą ręką i podał pióro dziewczynie.

— Tutaj — powiedział, wskazując właściwe miejsce. Demetrice wzięła się do czytania dokumentu, Rakoczy zaś spojrzał na Ruggiera. — Jesteś gotowy, stary druhu?

Ruggiero pokiwał głową.

— Wyjeżdżam jutro w południe, drogą do Pizy. Mam nadzieję, że to zmyli pogoń. Z Pizy pojedę do Modeny, potem do Mediolanu i w końcu do Wenecji. To będzie szybka podróż. W Pizie wynajmę ochronę, aby uniknąć ataku rozbójników. — Odtworzył te instrukcje obojętnym głosem, tak jak student powtarzający zadaną lekcję.

— Na pewno dasz radę niebawem wyjechać? — Rakoczy machnął ręką, wskazując na wyposażenie pokoju. — Masz wiele do zabrania.

— Wyjadę w południe — powtórzył Ruggiero. — Gdyby Signoria chciała mnie zatrzymać, posłużę się listem papieskim, który przysłała

panu Olivia. Nawet Savonarola nie ośmieli się go zakwestionować.

— Na razie jeszcze nie — zgodził się Rakoczy. — Dobrze. Czyń, co uznasz za właściwe. — Wziął podpisany dokument od Demetrice, zwinął go i obwiązał wstążką. Potem sięgnął po wosk i pieczęć. Chwilę później na wosku pojawił się półkolisty znak zaćmienia.

Ruggiero przejął dokument i potrzymał go cierpliwie przed sobą, czekając, aż wosk ostygnie.

— Koń powinien być już gotowy, panie — powiedział. — To turecki ogier. Jest silny i w dobrej formie. Przejedzie wiele stajni, zanim będzie musiał odpocząć.

— Turecki ogier — mruknął aprobująco Rakoczy i spojrzał ponownie na Demetrice. — Możesz wciąż zmienić zdanie, cara.

Pokręciła głową.

— Nie. Chcę zostać. — Spojrzała w ciemne okno. — A ty musisz już ruszać. Za niecałą godzinę zacznie świtać.

Pokiwał głową.

— Chcę otrzymywać comiesięczne raporty. Ruch między Florencją i Wenecją jest ciągle spory. Szukaj uczonych i mnichów. Rozbójnicy nie atakują ich zwykle, bo wiedzą, że nie ma się po co trudzić. Gdybyś mnie potrzebowała, pošlij słowo, a przybędę. Gdybyś nie miała komu powierzyć wiadomości, idź do Sandra Filipepiego, a on dopilnuje, bym otrzymał list od ciebie.

Demetrice wzruszyła ramionami.

— Skoro tak chcesz, zrobię to, ale niepotrzebnie się martwisz. Co mogłoby mi się stać? Chroni mnie twoja szczodrość. No i siła Medyceuszy.

Rakoczy czuł, że nic z tego się nie przyda, jeśli Savonarola wybierze ją na ofiarę, ale nie powiedział tego głośno. Lojalność podobna tej, która była właściwa Demetrice, zawsze go onieśmiałała i nie ważył się jej niszczyć. Kierował się już do drzwi, gdy nagle się



odwrócił.

— O co chodzi, San Germano?

— Nie chcę cię zostawiać. — Powiedział to z takim uczuciem, że Demetrice zamrugała zaskoczona i mimowolnie postąpiła krok w jego stronę.

Gdzieś za miastem rozległo się brzęczenie owczych dzwonek. Stada były wyprowadzane na pastwiska. Demetrice pokręciła głową i cofnęła się.

— Nie. Już za późno. Musisz ruszać. Rakoczy spojrzał w jej bursztynowe oczy.

— Nie przestawaj nigdy we mnie wierzyć, donna mia.

— Nie przestanę — odparła i zdołała się nawet lekko uśmiechnąć. — Powiedziałeś wcześniej coś o aniołach. Czy to znaczy, że w nie wierzysz?

— Nie. — Odwrócił się gwałtownie, słysząc ponownie odgłos dzwonek. — Wierzę w ciebie, Demetrice. I to mi wystarczy. — Wyszedł szybko, uderzając głośno butami w marmurową podłogę.

Dziewczyna stanęła przy oknie, patrząc, jak niebo z szarego robi się srebrzyste, a potem różowe. Słuchała owczych dzwonek, dzwonek kościelnych i śpiewu ptaków. Kilka razy zdało się jej, że słyszy też odległy tętent, ale w narastającej wrzawie dnia nie mogła być tego pewna.

List Signorii do Girolama Savonaroli, przeora San Marco:

*Priori della Signoria przesyłają Girolamo Savonaroli, przeorowi San Marco, uniżone pozdrowienia i proszą o wyrażenie aprobaty dla posunięć, które i Priori i konsulowie przyjęli w swych planach po długiej modlitwie i dyskusji.*

*Po pierwsze: gdyby niemądre starania Piera de Medici, aby zyskać*

*przychylność Jego Majestatu Karola króla Francji, spęły na niczym, Signoria uważa, że najwłaściwszym będzie wygnać go z miasta razem z rodziną i wszystkimi krewnymi, jest to bowiem element bezbożny i niebezpieczny dla Republiki.*

*Po drugie: w przypadku, gdyby wspomniany król Karol okazał się skłonny zawrzeć porozumienie z Pierem de Medici, natężałoby podjąć wszelkie wysiłki, aby godnie powitać Jego Królewską Mość we Florencji i podobnie życzliwe powitanie zgotować jego oddziałom. To zapewniłoby króla Karola o naszych przyjaznych zamiarach i zagwarantowałoby bezpieczeństwo Florencji mimo bliskiej obecności francuskiej armii.*

*Po trzecie: posty powinny stać się obowiązkowe i należy wprowadzić ścisły nadzór w tej kwestii. Wcześniejsza sugestia przeora, abyśmy to my sformowali patrole młodych ludzi, którzy będą doglądali przestrzegania nowych praw, spotkała się z naszym uznaniem i jesteśmy więcej niż chętni do powołania takich grup. W ten sposób nasza młodzież zyska pożyteczne i pobożne zajęcie i zapewni stały nadzór nad poszanowaniem prawa.*

*Po czwarte: lanzi zostaną zobowiązani do postuszeństwa wobec religijnych przywódców Florencji i wykonywania ich rozkazów na tych samych zasadach, jak obecnie wykonują rozkazy władzy świeckiej. Herezja, jak przeor był łaskaw nam przypomnieć, uderzanie tylko w Kościół, ale również w sprawy stanu, bowiem państwo, które nie zostało zbudowane na strachu bożym i nie przestrzega nauk Kościoła, skazane jest na zagładę w tym świecie i potępienie w tamtym.*

*Po piąte: wszyscy mający powiązania z podejrzanymi o herezję, magikami, alchemikami i innymi bezbożnikami znajdują się pod obserwacją, co oznaczać będzie wstrzymanie ich prawa do podróży, spisywanie spowiedzi i sprawdzanie ich pod kątem nieszczerości oraz przeszukania domów z konfiskatą wszystkiego, co znajdzie się w nich bluźnierczego albo świętokradczego. Co więcej, ci, którzy mimo to pozostaną w grzechu, zostaną uwięzieni i zbadani przez najbardziej pobożnych i biegłych w tej*

*sztuce dominikanów, tak aby dusze grzeszników zyskały szansę na zbawienie.*

*Po szóste: ukrywanie kryminalistów, heretyków i innych grzeszników będzie karane równie surowo jak same zbrodnie oskarżonych. To właśnie brak konsekwencji w przestrzeganiu prawa, jak przeor słusznie zauważył, doprowadził Florencję do stanu, który zagroził samemu istnieniu miasta.*

*Po siódme: tym, którzy będą otwarcie kwestionowali słuszność nowych praw, albo z nich szydzili, wstanie wytłumaczone, jak bardzo błędzą, i otrzymają szansę wyparcia się swoich błędów podczas publicznej spowiedzi.*

*Oczekujemy rad przeora w tych i we wszystkich innych kwestiach, modląc się, aby Jego mądrość i sprawiedliwość zachowały nas, nasze żywoty i całą Florencję, jeśli taka będzie wola Boga.*

*G. Ondante urzędnik Signońi We Florencji, 12 października 1494*

# CZEŚĆ TRZECIA

DONNA ESTASIA CATARINA  
DI ARRIGO DELLA  
CITTADELLA DA PARMA

*Su! Su! Sorge coli'aurora! Brillo e V eterita! Gloria splendera! V ombra  
della vita spento in uri ora.*

*W górę! W górę! Wznies się wraz ze świtem! Jasności wieczna! W  
chwale oślepiająca! I w godzinę zniknie cień życia.*

— SIOSTRA ESTASIA DEL MISTERO DEGLI ANGELI

*Cassandrze Fedele, uwielbianej koleżance i szanowanej przyjaciółce, jej  
stary doradca Ficino przesyła pozdrowienia z Careggi.*

*Wiele czasu minęło, gdy ostatni raz do siebie pisaliśmy, i chociaż wiem,  
że bardziej to moja wina niżli Twoja, nadal bardzo mnie ciekawi, co u  
Ciebie słychać. Twoje ostatnie dzieła były mi inspiracją w czasie, gdy mało  
co innego poruszało mnie czy wyrywało ze smutku.*

*Gdy tak siedzę w podziemnym pokoju starej willi Laurenza, nie mogę  
powstrzymać nawiedzających mnie lawiną wspomnień. Minęły dopiero  
trzy lata od wygnania Piera i jego rodziny. Także trzy lata temu zmarł  
młody Pico della Mirandola, chociaż niewiele przekroczył trzydziestkę.  
Jego śmierć, która nastąpiła krótko po odejściu Agnola Poliziana, była dla  
mnie wielkim ciosem. Tak siedzę tutaj, ostatni spośród nich, i czekam na  
śmierć, która nas połączy. Straszne słowa w ustach księdza? Wspomnij,  
jak Sokrates wybrał śmierć, a nasz Pan ją przyjął. Czuję, że wykroczyłem  
poza mój czas i spóźniam się z odejściem z tego świata. Bo i jaki ze mnie  
pożytek? Nie wolno mi nauczać, moi przyjaciele nie żyją albo wyjechali  
gdzieś daleko, a moje dzieła pokrywa kurz w zamkniętych na klucz*

archiwach.

*W zeszłym tygodniu wybrałem się do Florencji, co okazało się błędem. Nie poznałabyś teraz tego miasta, Cassandro. Nie ma w nim radości. Nawet surowy urok modlitwy gdzieś zaginął, bo chociaż kościoły są pełne, to strach i rozpacz zajęły miejsce pociechy, mądrości i triumfu.*

*Niewątpliwie rozumiesz już, dlaczego pisuję tak rzadko. To, co mam Ci do powiedzenia, dodatkowo mnie zasmuca, chociaż moje serce i bez tego pełne jest żalu. Gdyby Lorenzo wciąż żył i gdyby Florencja nadal była taka jak sześć lat temu, dzisiaj wieczorem odbyłoby się przyjęcie dla uczczenia urodzin Platona i spędzilibyśmy potem noc na miłych filozoficznych dysputach i dobrej, przyjacielskiej zabawie.*

*Teraz ci synowie Pierfrancesca de Medici zwą się Popalano, jakby wstydzili się dziedzictwa Cosima i Laurenza. Florencja z kolei nazywa ich zdrajcami, chociaż to oni stworzyli potęgę naszego miasta, a ród Pierfrancesca zapłacił za zniszczenie fresków Botticellego i wierszy Laurenza. Nigdy nie sądziłem, że dożyję podobnych czasów i że Florencja zapomni kiedykolwiek o rodzie, który ją ukochał i uczynił perłą tego świata, obdarował ją skarbami nauki i sztuk, sławiących jej piękno.*

*Młody flamandzki uczonec, o którym pisałem Ci w zeszłym roku, de Waart, musiał uciekać jako podejrzany o bycie alchemikiem i człowiekiem niereligijnym. Zaostrzone dwa lata temu prawa uczyniono jeszcze surowszymi, co bardzo utrudniło nam życie. Nie tylko de Waartowi, ale wszystkim ludziom nauki. Wykształcenie stało się czymś mocno podejrzanym, a młoda Demetrice Vołandrai, którą Lorenzo tak ukochał i która mieszkała w pałacu cudzoziemca Francesca Rakoczego, została uwięziona pod byłe pretekstem. Najwyraźniej uznano, iż grzeszna jest kobieta, która zna grekę.*

*Ta religijność jest jak zaraza, która niszczy wszystko wkoło, odziera miasto z życia i nadziei. Gdybym nie był taki stary i tak zmęczony życiem, mógłbym zapewne opuścić Florencję, chociaż kocham ją za przeżyte tu*

wcześniej łąta. Bolesny jest dla mnie jej upadek i bezsiła oraz pogarda, którą otaczana jest wszędzie, chociaż kiedyś była latarnią dla świata.

Szukałem pocieszenia w filozofii oraz mojej własnej wierze, ale zabrakło mi sił. Byłem księdzem przez ponad dwadzieścia lat, a teraz, gdy najbardziej potrzebuję siły mego powołania, słaby się stałem i pełen wątpliwości. Gdy widzę Girolama Savonarolę stojącego na centralnym placu Florencji, jak urąga papieżowi i wydanej przez niego ekskomunice, przypominam sobie Laurenza, który również odrzucił podobną bulę, i zastanawiam się, czy dlatego kochałem Laurenza i boję się Savonaroli, bo w pierwszym przypadku był to akt odwagi, w drugim zaś wyraz aroganckiej pychy?

Ale postanowiłem przecież nie obciążać Cię tym wszystkim, donna Cassandra. Masz zbyt miękkie serce, by znosić moje czarne myśli. Jednak ile razy biorę pióro do ręki, żal powraca z taką siłą, że nie potrafię mu się przeciwstawić. Możesz próbować mnie rozweselić, ale czuję, że moje serce jest jak wypalający się kawałek węgla, który nigdy już nie rozgorzeje jasnym płomieniem. Może siostra Estasia del Mistero degli Angeli ma rację i w niebiosach nasza jedyna nadzieja, radość i chwała. To właśnie podpowiadają jej wizje, które miewa, ale ja, jak święty Tomasz, odnajduję tylko wątpliwości.

Pożegnam Cię, zanim bardziej jeszcze zmartwię. Napiszę więcej, gdy moje myśli choć trochę się rozchmurzą. Opowiem Ci wtedy o pięknych widokach, które widziałem, i przyjemnościach nauki. Wiosną znowu stanie się tu cudownie i mniej będzie też zapewne zbójców, którzy zwykli ostatnio napadać na podróżnych. Na pewno przybędzie trochę szczęścia na tym świecie, choćby tylko pod postacią kwiatów na zboczu wzgórza czy kurcząt biegających po podwórku gospodarstwa.

Polecam się Twojej łaskawości i dziękuję raz jeszcze za owoce Twojego talentu. Kończę, przesyłając błogostawieństwa i szczerze wyrazy ucznia.

Marsilio Ficino

*W Careggi pod Florencją, 7 listopada 1497*

# . 1 .

Wiszący nad Gran Canale księżyc mienił się blaskiem na drobnych falach, które migotały pośród nocnego mroku niczym małe i kapryśne diamenty. Użyczał też barwy frontowi Ca' d'Oro i wzbogacał o cętki marmurowe ściany wielkich domów i pałaców, tam zaś, gdzie kanały wiły się pośród dzielnic biedoty, okrywał srebrzystym płaszczem wszelkie niedostatki. Jak zdarza się to czasem w zimie, noc była spokojna i pogodna i chociaż raz święto Obrzezania Pańskiego nie oznaczało zamieci ani deszczu.

Mimo nieskończonej jeszcze budowy dziedziniec Pałacu Dożów rozbrzmiewał śmiechami i muzyką. Wielki, świętujący tłum krążył po komnatach i podstawiał kielichy pod wina ze wszystkich zakątków świata, do których docierały statki z Wenecji. Słyszeć było śpiewaków aż z Hiszpanii i Danii. Sam doża, Agostino Barbarigo, krążył między gośćmi odziany we wspaniałą oficjalny strój z wielkimi, złotymi guzikami na tyle rozpiętymi, aby jego prosta i czarna gonetta odbijała od wzorzystego brokatu. Był dobrym gospodarzem, a jego ciemne oczy i krótka broda robiły nie mniejsze wrażenie niż będące znakiem jego urzędu nakrycie głowy.

W jednej z wielkich sal o ścianach tak błękitnych jak morze w środku lata doża trafił na sam środek dyskusji pomiędzy cudzoziemskim hrabią Rakoczym a młodym kapitanem statku, Ulissem Vivianem. Przystanął, aby trochę posłuchać.

— Ale jeśli ten ład na Atlantyku to faktycznie Nowy Świat, a nie druga strona Indii, my, Wenecjanie, powinniśmy się nim zająć. Niech pan tylko pomyśli, Rakoczy. Z moim imieniem jestem najwłaściwszą osobą, aby to uczynić. Nie ma na świecie drugiego miejsca, które podobnie by mnie interesowało, i wielką będzie szkoda, jeśli pozwoli



się Hiszpanom, aby zatrzymali sobie tę krainę dla siebie. Proszę tylko pomyśleć. Na pierwszą podróż starczyłyby trzy statki. Akurat, aby dopłynąć tam i trochę się rozejrzeć. Mam już zaufaną załogę, która wszędzie ze mną pływała. Są chętni, aby wykorzystać tę szansę. Pan ma akurat dwa statki w porcie, a za miesiąc zjawi się trzeci. Obiecuję panu, że to będzie dobra inwestycja.

— Naprawdę? — spytał uprzejmie Rakoczy, chociaż poza tym robił wrażenie znudzonego. Viviano już trzeci raz zadreślał go swoimi planami na temat Nowego Świata.

— Oczywiście. Proszę tylko pomyśleć. Klejnoty, złoto, przyprawy. Kilka podróży starczy dla zebrania fortuny.

— Chyba że zginie się po drodze albo statki zatoną czy też miejscowi nie będą mieli ochoty nikogo gościć — dodał Rakoczy, kręcąc głową.

— Chcesz powiedzieć, Viviano, że to ty zebrałyś wtedy fortunę — wtrącił się doża. — Rakoczy już jest bogaty, i to nie dzięki tobie. A może zapomniałeś, jak dwa lata temu straciłeś jeden z jego statków? — Odwrócił się od młodego kapitana i spojrzał życzliwie na obcokrajowca. — Złoto, które przekazałeś, panie, na potrzeby la Scuola di San Giovanni Evangelista, starczyłoby zapewne na pół tuzina podobnych wypraw. — Ujął dłoń Rakoczego i odciągnął go od naprzykrzającego się kapitana. — Jest uczciwy i ambitny — powiedział po drodze. — To, że stracił statek, było bardziej kwestią pecha niż jego błędu. — Wprowadził Rakoczego do mniejszego pokoju, który nie został jeszcze wykończony. Na ścianach widniały wymalowane do połowy freski i tylko część boazerii była na swoim miejscu. Doża wskazał na malunki. — Co pan o nich myśli? Lubię ten styl, ale wolałbym, aby to pański przyjaciel Botticelli zajął się przynajmniej niektórymi z nich.

— Niech pan go zatem poprosi — powiedział Rakoczy, ledwo

zerknąwszy na ściany.

— Próbowałem już. Odmówił. — Doża westchnął z rezygnacją. — Co się dzieje, Francesco? Nie jest pan dzisiaj sobą.

San Germano potrząsnął głową, ale po chwili zmienił zamiar i odpowiedział:

— Myślami jestem we Florencji. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, Lorenzo obchodziłby dzisiaj urodziny. Skończyłby czterdzieści dziewięć lat. Zamiast tego Florencja cierpi we władzy Savonaroli, który walczy z papieżem i rośnie w siłę.

— Masz, panie, jakieś wieści z Florencji? — spytał Barbarigo, jak zwykle ciekaw wszystkich politycznych plotek.

Rakoczy zmarszczył czoło.

— Nie. A powinienem.

— Cóż, zima mocno trzyma w górach. Może posłaniec się spóźnia. Sam straciłem aż dwóch od września, a kupcy mówią, że coraz mniej bezpiecznie jest wyprawiać się w drogę. Potrzebuję jednak pańskiej rady, Rakoczy. Pochodzi pan z Transylwanii?

— Owszem, ale nie byłem tam od lat. — Rzadko wyjawiał, gdzie leży jego ojczyzna, zwłaszcza że nieustannie panowały w niej niepokoje.

— Znał pan Matthiasa Corvina? — spytał doża na tyle bezpośrednio, że Rakoczy z miejsca poznał, że musi chodzić o coś ważnego.

— Niezbyt blisko. Widziałem się z nim kilka razy. Był odważnym człowiekiem. Za sprawą drugiej żony gościł często w Neapolu. Bardzo kochała swoje miasto. Lubiano go w Rzymie, a wszyscy, którzy spotkali go we Florencji, mówili o nim z szacunkiem. Dlaczego pan pyta?

— Matthias często proponował, aby Wenecja przedsięwzięła wraz z Węgry wyprawę przeciwko Turcji. Miał po temu kilka ważkich

argumentów. Nie chodziło tylko o obronę jego chwiejnej pozycji, ale konkretne zyski dla obu naszych krajów. Gdy Matthias zmarł, wysłałem kilka listów do Ulaszła, ale nie dostałem odpowiedzi. Wiem, że pisma zostały doręczone, jednak Ulaszlo milczy.

— A czego pan od niego chce? — spytał Rakoczy, odwracając się od doży.

— Zaprosiłem go do Wenecji na naradę w sprawie obustronnie korzystnych działań. Czy myśli pan...

Rakoczy parsknął.

— Króla Dobre? Oczekuje pan, że zrobi cokolwiek z własnej inicjatywy? Jeśli jego austriaccy panowie uznają, że mogą na tym skorzystać, wówczas na pewno przybędzie. Ale proszę pamiętać, że jest tylko zabawką w ich rękach. Dobre, Barbarigo, oznacza po węgiersku kogoś, kto na wszystko się zgadza. Zapracował sobie na ten przydomek.

Doża pokręcił głową.

— Obawiałem się tego. Cóż, wyślę jeszcze jeden list, a jeśli i tym razem nie doczekam się odpowiedzi, spróbuję porozumieć się z Francją, chociaż oni mają znacznie mniej powodów, aby nam pomóc. — Spojrzał raz jeszcze na niedokończone malunki. — Mam nadzieję, że ujrzę je gotowe jeszcze za życia — powiedział cicho i skierował się do drzwi. Nagle coś mu zaświtało i odwrócił się do Rakoczego. — Zna pan donnę Cassandrę Fedele? To poetka. Jej dzieła są szeroko znane. Dostała ostatnio list z Florencji. Może zechce przekazać panu coś na temat pańskich przyjaciół w tym mieście. — Obejrzał się przez ramię. — Jest tu dzisiaj. Powinien jej pan poszukać.

— Grazie, signor Doge. Zapewne tak zrobię. — Mówiąc to, powątpiewał mocno, czy uda mu się porozmawiać ze słynną i mającą już swoje lata poetką, ale ku jego wielkiemu zdumieniu, to ona odszukała go nieco późniejszym wieczorem.

Była drobnokoścista, złudnie krucha, o wielkiej jednak godności, gdy zaś mówiła, jej głos brzmiał jak najpiękniejsza muzyka świata.

— Rakoczy — powiedziała, podchodząc. — To pan jest il conte Francesco Rakoczy, prawda? — Cechowała ją szczególna bezpośredniość, niecodzienna cecha u kobiety, zwłaszcza już niemłodej. Rzadko popisywała się swoją niezależnością przed światem, ale w razie potrzeby potrafiła sama wszcząć rozmowę z mężczyzną, nie czekając na zwyczajowe przedstawienie i stosowne towarzystwo.

— Donna Cassandra. — Rakoczy się skłonił. — Czuję się zaszczycony, że mnie pani rozpoznała. Kojarzę panią od wielu lat i podziwiam pani dzieła. Pierwszy zapoznał mnie z nimi Agnolo Poliziano.

— Ach, Agnolo. Bardzo mi go brakuje. — Wciągnęła głęboko powietrze. — Miałam nadzieję, że uda mi się z panem porozmawiać. — Wzięła go pod ramię. — Nigdy nie pojmowałam, jak udaje się panu osiągnąć aż tak elegancki efekt, ubierając się tylko na czarno. My wszyscy stroimy się tutaj w kolory, jak pawie, a pan i tak nas przyćmiewa.

— Cóż, nie jest to wyłącznie czerń, jak pani zasugerowała — odparł, dostosowując się do jej nastroju. — Wyłogi są srebrzyste i czerwone, a sam aksamit też nie jest całkiem gładki. Poza tym mój order nie należy do ozdób, które nie rzucałyby się w oczy.

Uśmiechnęła się z aprobatą.

— Bardzo dobrze. Nauczył się pan tego we Florencji? Podobno tam szczególnie ćwiczą się w pojedynkach słownych.

— Nie we Florencji — odparł, gdy prowadziła go do niszy przy oknie, trochę z dala od tłumu gości. — Nie uwierzyłaby mi pani, gdybym powiedział, gdzie to było.

Cassandra Fedele usiadła i pokazała Rakoczemu, aby zrobił to

samo.

— Martwię się o Marsilia Ficina. Zna go pan, prawda?

— Trochę. — Była to ostrożna odpowiedź, ale donna Cassandra przyjęła ją ze zrozumieniem.

— Dostałam list od niego. Bardzo mnie zaniepokoił. Marsilio wydaje się całkiem odmieniony. Pełen lęku, bez nadziei. Lepiej zna pan Florencję niż ja i zastanawiałam się, czy może nie zechciałby pan przeczytać tego listu i powiedzieć mi potem, co pan o nim myśli.

Rakoczy przyjrzał się jej fascynującej, pokrytej zmarszczkami twarzy. Nie było w niej ani cienia fałszu czy przebiegłości.

— Dobrze. Kiedy mam się do pani zgłosić?

— Nie musi się pan aż tak kłopotać — powiedziała z uśmiechem. — Wzięłam ten list ze sobą w nadziei, że spotkam tu pana albo kogoś innego z Florencji. — Sięgnęła do staromodnej sakiewki przy pasie i wyciągnęła równo złożony pergamin. Bez słowa wręczyła go Rakoczemu, który zaraz wziął się do czytania.

Zanim skończył, jego czarne oczy zapłonęły żywym ogniem, a twarz pobladła jak ściana. W pewnej chwili zacisnął konwulsyjnie palce, gniotąc pergamin. Zaskoczony własną gwałtowną reakcją położył list na kolanie i rozprostował go starannie. Nie patrzył już na przesłaniane dłońmi słowa.

— Przepraszam, donna. Pogniotłem twój list. Nie chciałem... Jej surowe oczy spojrzały na niego ze współczuciem.

— Zna pan tych ludzi. Przejął się pan ich nieszczęściem.

— Demetrice — powiedział i przypomniał ją sobie taką, jaką widział po raz ostatni, z rozpromienioną twarzą. — W więzieniu. — Rakoczy nie lubił ulegać złości. Wiedział, jak bardzo potrafi ona zmienić człowieka, i przez lata nauczył się ją odrzucać. Teraz jednak przywitał tę emocję niczym deszcz w czasie suszy albo gorący ogień w środku zimy.

Cassandra przyglądała mu się uważnie i pokiwała głową, kiedy wstał.

— Chce pan wyjść? — Nie otrzymała odpowiedzi na swoje pytanie. — Doża chciałby pana dziś uhonorować podczas obiadu o północy. Jeśli wyjdzie pan wcześniej, poczuje się urażony.

— I tak nigdy nic nie jem. — Oddał jej list. — Muszę pani podziękować, donna Cassandra. To złe wiadomości, ale ulżyło mi o tyle, że wiem wreszcie, co muszę zrobić i z kim przyjdzie mi się zmagać. — Dotknął łańcucha na piersi i przesunął palcami po orderze. — Pani list został napisany siedemnastego listopada. Czy przyszło coś jeszcze od tamtej pory?

Cassandra złożyła pergamin i schowała go do sakwy. Gdy spojrzała ponownie na San Germana, obok zjawił się francuski muzykant, który skłonił się poetce.

— Napisałem muzykę do dwóch pani wierszy, donna rispet-tata — powiedział z silnym francuskim akcentem. — Czy spotka mnie ten zaszczyt, abym mógł ci je zaśpiewać?

Rakoczy wiedział, że ma przed sobą utalentowanego muzyka i przy innej okazji chętnie posłuchałby jego pieśni, teraz jednak skinął lekko głową, prosząc Cassandrę o jeszcze chwilę rozmowy, i spotkał się ze zrozumieniem.

— To nazbyt wielki zaszczyt dla moich wierszy — powiedziała muzykowi. — Chętnie wysłucham twoich kompozycji, jednak tutaj panuje zbyt duży ruch, abym mogła się na nich skupić. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zapraszam cię do siebie. Przyjdź jutro, a chętnie cię posłucham.

Muzyk skłonił się głęboko.

— To wielka uprzejmość, pani — odpowiedział i odszedł na poszukiwanie swoich kompanów, aby pochwalić się sukcesem.

— Tak więc czy przyszło coś jeszcze? — spytał po chwili Rakoczy.

— Nie. Jest jednak w Wenecji ktoś, kto odwiedził Florencję pod koniec roku — powiedziała z zastanowieniem. — Przyjechał ledwie dwa dni temu i sędzę, że zjawi się tutaj, tylko trochę później. To Polak, który studiuje języki. Wcześniej spędził rok w Rzymie — powiedziała poetka i uśmiechnęła się złośliwie. — Nie wiem, jak tam sobie radził, ale jeśli wszystkiego uczy się tak jak włoskiego, to chyba nawet biblioteki Rzymu mogły okazać się wobec niego bezradne. Chociaż nie. To nie on mnie tak drażni, ale Borgiowie. Bardzo ich wychwalał, a to właśnie mi się nie spodobało.

— Poszukam go, gdy przyjdzie — powiedział z ponurą miną Rakoczy. — Chcę więcej informacji. Możliwie jak najświeższych.

Cassandra zaśmiała się krótko.

— Chyba się nie pomylę, jeśli powiem, że znowu zamierza pan opuścić Wenecję. Tym razem może jednak nie na długo? Stara już jestem i niewiele czasu mi zostało. Nie lubię spędzać go w towarzystwie głupców, którzy, niestety, są w przewadze na tym świecie. Pan jest inteligentny i ciekawie się z panem rozmawia.

Gdy chce pan rozmawiać, naturalnie. Musi mi pan opowiedzieć kiedyś o tych ruinach, które odkrył zeszłej wiosny pod Udine.

Rakoczy był świadom, ile zawdzięcza Cassandrze, nie uciął zatem tematu.

— Tych w Casa Sole?

— Tak. — Spojrzała na krążący tłum. — Większość z nich nic o tym nie wie. I nawet nie chcą się dowiedzieć. Ci zaś, którzy zbudowali tamte domy, nie żyją od dawna. Zostali pochowani i nic ich nie obchodzi, że ktoś wydobył te mury z powrotem na światło dzienne. Ale pan wie, że to ważne.

— Cóż. — Rakoczy wzruszył nonszalancko ramionami, jakby i jego mało to wszystko obchodziło, jednak wyraz jego oczu mówił całkiem co innego. — Sędząc po nazwie, to musiała być kiedyś świątynia

Słońca.

— Albo dom kogoś niezwykłego — dodała Cassandra, obserwując Rakoczego i bawiąc się wyraźnie jego zakłopotaniem.

— Tak czy owak zatem rodzaj świętego miejsca. — Rakoczy porzucił temat i rozejrzał się po sali. — Musi mi pani wybaczyć, Cassandro. Była pani dla mnie bardzo uprzejma i wiem, że z mojej strony to wielka impertynencja, że opuszczam cię tak gwałtownie, ale dojrzałem wreszcie Gian-Carla i muszę z nim porozmawiać. — Skłonił się lekko, chcąc ograniczyć formalności do minimum.

— Tak, oczywiście. Posłucham o tym, gdy pan wróci. I proszę porozmawiać z tym Polakiem. — Odprawiła go niechętnie i zwróciła spojrzenie na młodą parę, która była pewna, że nikt jej nie obserwuje.

Gian-Carlo pomachał Rakoczemu na powitanie i ruszył przez tłum w jego stronę. Miał na sobie wytworną wenecką giacchettę z turkusowego jedwabiu wzbogaconego złotą nicią, do której włożył turkusowo-białe rajstopy. Jego camisa ze starannie dopasowanymi rękawami mieniła się od złota, a mieszek został przywiązany do pasa lśniąco, białymi tasiemkami. Na jasno-brązowych włosach nosił wysoką, atlasową czapę, a twarz miał już rumianą od wypitego wina. Uśmiechnął się do swego mentora.

— Zastanawiałem się, gdzie się podziewasz, Francesco — rzucił swobodniejszym tonem niż zwykle.

Rakoczy wziął go za łokieć.

— Muszę z tobą porozmawiać — szepnął. — Natychmiast.

Gian-Carlo zdumiał się tą niezwykłą stanowczością Rakoczego, ale podążył za nim do mniejszego pokoju, w którym skupili się przy wielkim stole miłośnicy hazardu. Można było liczyć tu na trochę prywatności, ale na wszelki wypadek San Germano zaprowadził Gian-Carla do najodleglejszego kąta.

— Przykro mi to mówić, ale strasznie wyglądasz. Twarz biała jak



kreda... Jesteś chory?

— Nie, ale nawet gdybym był, i tak nie miałyby to znaczenia. — Przyjrzał się rozmówcy spod przymrużonych powiek i zastanowił się, na ile ten trzydziestopięcioletni mężczyzna skłonny będzie podjąć jakieś ryzyko dla swego nauczyciela. Wiedział, że Gian-Carlo to honorowy i szczery człowiek, ale czy pozostałby lojalny wobec perspektywy możliwego uwięzienia albo może nawet śmierci? Gdyby znał sekret Rakoczego, to zapewne nie. San Germano myślał już kilka razy, aby wyjawić przyjacielowi, kim jest naprawdę, w nadziei, że ich znajomość przetrwa takie wyznanie, ale ostatecznie zawsze rezygnował. Teraz nie śmiał wystawiać go na podobną próbę. Ani w kwestii prawdy o sobie, ani jeśli chodzi o wyjazd do Florencji. Niemniej i tak jego pytanie zaskoczyło młodego Wenecjanina. — Czy wiesz, gdzie mogę uszyć sobie ubranie w mniej niż tydzień?

Gian-Carlo spojrzał na niego z ukosa.

— Attilio da radę. Szyje wszystkie twoje ubrania, prawda? Jest całkiem szybki.

— Nie, Attilio nie. Zadaje za wiele pytań. U kogo ty się ubierasz?

— Materiał kupuję zwykle u Eugenia, szycie powierzam Sabinie Nimbue. — Przesąpił niespokojnie z nogi na nogę.

— O co chodzi, Francesco?

Rakoczy nie odpowiedział od razu.

— Czy uszyłaby mi ubranie? Szybko, w tydzień. Będę potrzebował kilku strojów w węgierskim stylu. I w odpowiednich kolorach.

— Przecież nie nosisz nigdy niczego kolorowego — zdumiał się Gian-Carlo.

— Za dziesięć dni wracam do Florencji — oznajmił Rakoczy, całkiem już ogłuszając przyjaciela.

— Ależ aresztują cię. — Gian-Carlo pomyślał, że Rakoczy musiał chyba się upić albo oszaleć. Z drugiej strony wiedział, że San

Germano nigdy nie tykał wina i był przerażająco wręcz zrównoważony.

— Tylko wtedy, gdy mnie poznają. Wrócę jako... chyba krewniak samego siebie. Ktoś roszcący sobie prawo do spadku. To chyba brzmi prawdopodobnie, prawda? Mój spadkobierca mógłby przyjechać do Florencji, gdyby się dowiedział, że może tam znaleźć coś cennego. Mam teraz krótsze włosy, a jeśli jeszcze zacznę kaleczyć toskański i ubiorę się barwnie, mało kto będzie o cokolwiek pytał. Dawnych przyjaciół już prawie tam nie ma. Tylko Sandro... — Zamilkł nagle. Dlaczego Sandro nie napisał mu o uwięzieniu Demetrice? Zrozumiał, co dręczyło go od chwili, gdy Cassandra pokazała mu list. Marsilio nie wspomniał nawet o Botticellim, można by więc przyjąć, że artysta miewa się dobrze, ale jego milczenie mogło z kolei sugerować, że popadł w niełaskę nowego reżimu władającego Florencją.

— Francesco? — spytał niepewnie Gian-Carlo, wrywając Rakoczego z toku przykrych myśli.

— Zadbam, abyś dostał moje wymiary. Przekaż je jutro Sabinie Nimbue i powiedz, że potrzebuję komplet za osiem dni. Cena nie gra roli. Może obciążyć mnie wszystkimi kosztami. Jeśli będzie musiała zatrudnić dodatkowe szwaczki, zapłacę za nie i dam jeszcze każdej pięć złotych dukatów za każdą sztukę odzieży ukończoną w ciągu siedmiu dni albo wcześniej.

Gian-Carlo pokręcił głową.

— Zrobię to, skoro tak ci zależy, ale ryzykujesz życie. W końcu cię przecież rozpoznają. Twoja gospodyni... Jak ona się nazywała? Ona pozna cię w jednej chwili.

Rakoczy zasępił się.

— Siedzi w więzieniu. Dlatego właśnie wracam.

— W więzieniu? — wykrzyknął Gian-Carlo i trwało chwilę, nim otrząsnął się z zaskoczenia. — Skoro ją uwięzili, tym bardziej

powinieneś trzymać się z dala. Może już cię zadenuncjowała. Ostatnio nie lubią tam alchemików. Za co ją zamknęli? Pewnie na to zasłużyła.

W tym momencie Rakoczy serdecznie znienawidził Gian-Carla i pomyślał z goryczą, że coś z tą przyjaźnią jest jednak nie tak, skoro nie usłyszał propozycji wspólnej wyprawy. O tym, aby Gian-Carlo pojechał za niego, tym bardziej nie było mowy. Mimo gwałtownych emocji uśmiechnął się smutno w myślach.

— Gdyby to ciebie uwięziono, też byś tak mówił? — spytał spokojnie. Nie oczekiwał odpowiedzi. Zaiste, nie padła. Gian-Carlo zarumienił się i odwrócił spojrzenie. — Zrozum, muszę jechać.

— Tak — wymamrotał Gian-Carlo. — Ale z kim? Jeśli nie ja, to może Ruggiero? Nie musisz wchodzić do jaskini lwa bez wsparcia. Nawet jeśli uwierzą, że jesteś tylko krewnym tamtego San Germana, i tak mogą cię zamknąć.

Rakoczy wzruszył ramionami.

— Wątpię. Nic by na tym nie zyskali. Prędzej będą próbowali pozbyć się mnie jak najszybciej z miasta, co na jedno wychodzi. Jeśli mam uwolnić Demetrice, muszę się pospieszyć.

— A czy pomyślałeś... że to może się nie udać? — wyjąkał Gian-Carlo. — Może ona... już...

— Ze może już nie żyje? — spytał Rakoczy, nie owijając w bawełnę. — Tak. Przyszło mi to do głowy. Dowiedziałem się właśnie, że gdzieś tutaj jest uczonego, który dopiero co był we Florencji. Mam nadzieję, że będzie coś wiedział.

Gian-Carlo skinął w stronę tłumu.

— Jeden człowiek? Jak zamierzasz go tu znaleźć? Mimo podłego nastroju Rakoczy omal się nie roześmiał.

— To nie powinno być trudne. Z tego, co wiem, jest Polakiem. Chyba nie ma ich tu wielu.

— Rozumiem. — Gian-Carlo pogodził się już z sytuacją i uznał, że

nie ma co odwodzić Rakoczego od jego zamiaru. Nadal mu się to nie podobało i żałował, że nie ma w zanadru żadnych mocniejszych argumentów przeciwko podobnej wyprawie. Lubił Rakoczego i obawiał się o jego życie. Ostatecznie skłonił jednak głowę w geście kapitulacji i pomyślał, że chociaż San Germano nie grzeszył wzrostem, zawsze wydawał mu się wyższy. Chyba rozumiał już dlaczego. — Daj mi zatem te wymiary i powiedz dokładnie, czego chcesz. Ma być kolorowo? Jakieś sugestie?

— Im jaśniejsze, tym lepsze. Węgierskiego kroju. Jeśli się da, to przynajmniej dwa znaki herbowe mają być obszyte perłami. To nadal jest modne. Wykorzystaj perły z mojego składu, jeśli będzie to konieczne. Niech myślą, że należą do węgierskiego dworu.

Dotąd istniało między nimi milczące porozumienie, na mocy którego Gian-Carlo nie wypytywał Rakoczego o przeszłość. Teraz jednak ciekawość wzięła w nim górę.

— Dawno już tam nie byłeś, prawda?

— Bardzo dawno — odparł San Germano, ale zaraz się opanował. — Dopilnuj, abym dostał te ubrania. Jutro zajmę się pieniędzmi. Muszę też wysłać wiadomość do Teodora w Cavarzere, aby za dziesięć dni czekał na mnie w Chioggi ze świeżymi końmi. Będę potrzebował dobrego wierzchowca. Pierwszego dnia chcę dotrzeć do Pontelagoscuro, drugiego do Bolonii.

Gian-Carlo aż zbladł, słysząc o takich planach.

— San Filippo, zajeździsz konia! To niemożliwe, aby przejechać tę trasę dwa razy szybciej niż zwykle.

— Teodoro musi załatwić mi wymianę koni po drodze. Mam jakieś wierzchowce w Pietramali, prawda? — W zeszłym roku, gdy wyszło, że nieprędko wróci do florenckiego sposobu życia, złożył takie sprawy w ręce Gian-Carla.

— Tak. Dionigi Fano trzyma je w II Bosco. Cztery klacze i dwa

ogiery.

— Dobrze. — Rakoczy zatarł dłonie. — Jakiej maści? Jest jakiś nie siwy?

— Jedna biała klacz.

— Ma być. Jeśli mam przetrwać, muszę ich zmylić — dodał, widząc malujące się na twarzy Gian-Carla zdumienie. — Tak jak nigdy nie nosiłem kolorowych ubrań, tak samo nikt nigdy nie widział mnie na innym koniu niż siwy.

— Wiadomość do Teodora pójdzie o pierwszym brzasku. — Gian-Carlo przyłożył dłoń do oczu. — Jasne ubrania, bogate obszycia, w osiem dni. Konie gotowe między Wenecją a Florencją, biała klacz od Fana. — Uniósł oczy do nieba, jakby stamtąd oczekiwał komentarza.

— Bardzo dobrze. A teraz muszę poszukać tego polskiego uczonego. Gdy tylko z nim porozmawiam, wychodzę. Powiedz Riccardowi, żeby za godzinę zjawił się z gondolą.

— Powiem. — Westchnąwszy ciężko, Gian-Carlo ruszył przez salę. Uśmiechał się promiennie, jednak w głębi duszy był śmiertelnie przerażony.

Napisany po polsku list Antoniego Kazielawy do Francesca Rakoczego da San Germano:

*Do Wielmożnego Pana Franciszka Rakoczego da San Germano, przebywającego w Wenecji, od Antoniego Kazielawy z pozdrowieniami i relacją, którą mam zaszczyt Panu przedstawić, na temat wszystkiego, co widziałem i słyszałem, zatrzymawszy się w tokańskim mieście zwanym Florencją.*

*Wyruszywszy ku północy z Rzymu, gdzie kontynuowałem moje studia nad antycznymi językami, przybyłem do Florencji pod koniec października. Bardzo chciałem ujrzeć tam bibliotekę założoną przez*

*Cosima de Medici, zwanego tam Pater Patriae. Mocno się zasmuciłem, gdy usłyszałem, że rodzina Medyceuszy popadła w niełasę tak wielką, że nawet książki zgromadzone przez Cosima i Wielkiego Wawrzyńca uznane zostały za podejrzane i niebezpieczne. Ostatecznie uzyskałem do nich dostęp dzięki pomocy kilku franciszkanów z Santa Croce. O ile dobrze ich rozumiałem, są oni przeciwni nowemu porządkowi, i nie chodzi w tym przypadku o zwykłą rywalizację między franciszkanami a dominikanami. W bibliotece interesowały mnie szczególnie prace starożytnych uczonych, które są przedmiotem moich studiów.*

*Moje rozczarowanie było tym dotkliwsze, że wiele dobrego słyszałem w minionych latach o Florencji. Dzisiaj to miasto nie zachowało prawie nic z dawnej chwały. Oczekiwałem, że ujrzę w nim wiele wspaniałych dzieł sztuki, że spotkam w nim mądrych ludzi gotowych rozprawiać na temat filozofii i życia, poznam, czym jest prawdziwa zabawa i radość. Ujrzałem zaś miasto ponure, mroczne i pokutne tak bardzo, jakby to święci je zamieszkiwali albo Spartanie. Całkiem nie wiedziałem z początku, co o tym myśleć, i trwało trochę, aż zrozumiałem, że nie jest to prawdziwa Florencja.*

*Wiele złego spowodował upadek handlu wełną i wyrobami tkackimi, może też być prawdą, że nieurodzaje uczyniły posty koniecznością. Swoje dodały niepokoje spowodowane francuskim najazdem. Najbardziej jednak do godnego ubolewania upadku sztuk i nauki przyczynił się nowy religijny zapał, który ogarnął większość mieszkańców Florencji.*

*Widziałem tam wiele procesji kościelnych, jednak najdziwniejsza była ta zorganizowana przez dominikanów, którzy tańczyli na ulicach z wieńcami na głowach. Śpiewali przy tym hymny i błagali Pana Boga, aby natchnął ich świętym szaleństwem. Ich przeor, niejaki Savonarola, który zastał jakiś czas temu ekskomunikowany, maszerował wraz z nimi i grożąc strasznymi karami, nakłaniał ich do modlitw i przyjęcia obecności Ducha Świętego. Nikt nie próbował go powstrzymać, chociaż grzechem*

było słuchanie jego przemów.

Właśnie podczas tej procesji Savonarola wywołał przed wiernych siostrę Estasię del Mistero degli Angeli, aby opowiedziała o swoich wizjach. Nawet zakonnicy przestali wtedy tańczyć i wsłuchali się z zachwytem w jej słowa. Siostra Estasia robiła wrażenie osłabionej postami, a na jej twarzy widać było ślady po uderzeniach bata (nic więcej poza twarzą nie widziałem, zakryła bowiem pobożnie całą resztę ciała, włącznie z dłońmi, aby nikt prócz Najwyższego nie miał do niej nijakiego przystępuj. Mówiła jednak z takim uniesieniem, że szybko porwała słuchających. Potem zaczęła śpiewać nowy hymn, a braciszczkowie przyłączyli się i znowu tańczyli, tym razem poruszając się jak w transie. Wszyscy, którzy to widzieli, padli z podziwu na kolana, Savonarola zaś wezwał Florentyńczyków, aby dali świadectwo Bożej potęgi. Gdy siostra Estasia skończyła śpiewać, padła do stóp Savonaroli i zaczęła je całować z wielkim oddaniem, aż omdlała i inne celestynki musiały ją zabrać do klasztoru, który znajduje się trochę za miastem. Ponieważ za sprawą siostry Estasii stał się on ostatnio bardzo znany, trzeba było dobudować w Sacro Infante nowe skrzydło szpitala, w którym siostry opiekują się ludźmi słabującymi na umyśle. Ich przeorysza, siostra Merzede, zauważyła niedawno, że z biegiem lat coraz więcej jest na świecie szaleństwa, miast odwrotnie, przez co Savonarola ukarał ją surowo i stwierdził, że skoro siostra Estasia więcej widać ma w sobie łaski, to ona, a nie siostra Merzede, winna może poprowadzić zgromadzenie. Wówczas jednak siostra Estasia jęła błagać przeora San Marco, aby wybaczył siostrze Merzede i wziął pod uwagę całe dobro, które uczyniła.

Ci, którzy widzieli i słyszeli wszystko, co działo się podczas procesji, a nie ulegli mocy Bożej tajemnicy, zostali później zadenucjowani i musieli wyznać swój błąd przed ludźmi zgromadzonymi w Santa Maria del Fiore, tamtejszej katedrze. Nałożono na nich publiczną pokutę, a bracia dominikanie ruszyli na poszukiwanie tych nielicznych Florentyńczyków,

którzy nie uczestniczyli w świętej procesji.

Gdy tam byłem, dwakroć odwiedzały mnie grupy młodych ludzi, którzy nawet golić się jeszcze nie zaczęli. Wchodzili do mojego pokoju jak do siebie i przeszukiwali go w poszukiwaniu przedmiotów zbytku oraz innych rzeczy i tekstów, które byty zakazane z przyczyn religijnych. Cały czas tak postępują i Signoria, która jest świecką władzą Florencji, dała im prawo wchodzić wszędzie, gdzie tylko zapragną. Jak można się domyślać, tamtejsza władza świecka znajduje się pod silnym wpływem dominikanina Girolama Savonaroli.

Ostatnio tych, którzy nie podporządkowują się w pełni nowym prawom, zaczęto traktować z jeszcze większą surowością i słyszałem, że czasem obchodzą się z nimi wręcz brutalnie. Oskarżenia o herezję są na porządku dziennym, a dominikanie robią wszystko, aby osądzić i skazać każdego, kto tylko spotka się z podobnym zarzutem. Wielu zostało wtrąconych do więzienia, chociaż nic więcej z nimi nie robiono (w każdym razie do chwili, gdy opuściłem Florencję, co miało miejsce zaraz po świętym Mikołaju, na początku grudnia), postanawiając poczekać z tym do świąt Bożego Narodzenia, aby oskarżeni mieli czas pomyśleć o swoich grzechach.

Ufam, że moja relacja przyda się Panu. Na tyle biegle włada Pan polskim, że bez wątpienia przeczyta Pan ten list równie łatwo, jak jago czytam. Gdybym się mylił, proszę tylko dać znać, a napiszę go raz jeszcze, po łacinie. Niewielu jest ludzi w Italii, którzy znają polski tak dobrze jak Pan. Zwykle trzeba posługiwać się tu włoskim albo łaciną i cudzoziemcom nie zawsze łatwo jest cokolwiek zrozumieć. Może to dlatego, że Pan też jest tu cudzoziemcem i zapewne rozumie Pan dobrze moje odczucia. Przyznaję, że wioski często mnie zaskakuje, zwłaszcza że brak mu właściwego łacinie ładu. Czy to dzięki podróżom poznał Pan mój język? Od razu przepraszam za to pytanie, bo wiem, że nie powinienem go zadawać.



*Gdybym mógł udzielić Panu jeszcze jakichś informacji, Panie Rakoczy, zapraszam do domu Lina Vazzomarego w pobliżu kościoła San Gregorio. Chętnie pomogę Panu, w czym tylko będę mógł.*

*Antoni Kazielawa*

*W Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Weneckiej,*

*4 stycznia 1498*

## . 2 .

Ostatecznie dotarcie do Florencji zabrało Rakoczemu sześć dni, co latem byłoby dobrym wynikiem, zimą zaś prawdziwym wyczynem, gdy wziąć pod uwagę piętzące się na drogach zasy i czyhające na nieostrożnych podróżnych lodowe pułapki. Jeden z czternastu wierzchowców rozszczepił sobie kopyto na zmieszonym z błotem żwirze starej, górskiej drogi między Chioggią a Pietramalą, gdzie Rakoczy szukał skrótów, i musiał przez to zabić zwierzę i wędrować trzy godziny pieszo w lodowatym deszczu ze śniegiem, aż dotarł do wioszczyń, gdzie zdołał się ogrzać i kupić muła, którym dojechał do Pietramali.

Był to wielki wysiłek i gdy w końcu przebył ostatnią przełęcz i spojrzął z góry na oświetlone zimowym słońcem dachy i mury Florencji, czuł się naprawdę zmęczony. Wiedział jednak, że musi się pospieszyć, aby dotrzeć do miasta przed zamknięciem bram, co zmusiłoby go do szukania noclegu w którymś z rozsianych pośród wzgórz budynków klasztornych. Machnął wodzami i biała klacz ruszyła niechętnie, parszcząc niespokojnie, gdy przyszło jej schodzić po stromiznach na dno doliny.

— Wiem — powiedział Rakoczy, klepiąc ją po karku. — Dobrze się sprawiłaś. W mieście odpoczniesz i dostaniesz jeść. Zasłużyłaś. — Poprawił się w siodle i raz jeszcze pogratulował sobie wyboru lekkiego, perskiego rzędu.

Otwarta była tylko Porta Santa Croce. Strzegło jej trzech lansjerów wyposażonych w szwajcarskie piki. Coraz niecierpliwiej wypatrywali końca zmiany, jednak dzwony kościelne nadal jeszcze wzywały na nieszpory. Prawo stanowiło, że jak długo chociaż jeden z nich dzwonił, brania musiała pozostać otwarta.

Obcy na białej klaczy wzbudził ich szczególne zainteresowanie, zwłaszcza że był wytwornie odziany. Okrywał go zielony płaszcz z rosyjskiego brokatu obszytego futrem kuny, na nogach miał złociste, skórzane buty z klejnotami zdobiącymi obcasy. Futrzana czapa była węgierskiego kroju, z widocznym tuż poniżej złotym kolczykiem. Gdy przybysz wyciągnął drobną dłoń do dowódcy straży, można było dojrzeć, że nosi wyszywane rękawiczki i kurtkę z ufarbowanej na ciemną zieleń rosyjskiej skóry.

— Nazwisko? — spytał dowódca, przyglądając się skrycie obcemu. Wydał mu się nie tylko nadmiernie wytworny, ale i dziwnie arogancki.

— Jestem Germain Rakoczy. Przybywam z Węgier. — Biała klacz cofnęła się, byle dalej od piki dowódcy straży, ale Rakoczy wprawnie ją uspokoił. — Proszę odsunąć się trochę, żołnierzu. Płoszysz mi konia.

Kapitan nie przywykł, aby zwracano się do niego w ten sposób. Zrobił to, o co został poproszony, poczuł jednak przyływ niechęci wobec obcego, zazdroszcząc mu jednocześnie tak wyniosłych manier. Postanowił zadać kilka dodatkowych pytań, aby dać obcemu lekką nauczkę.

— Co sprowadza pana do Florencji, Rakoczy?

— Chcę przejąć posiadłość mego stryja — odparł San Germano, rozmyślnie kalecząc wymowę.

— Pański stryj, jeśli o niego właśnie chodzi, opuścił miasto, uciekając przed aresztowaniem — poinformował go kapitan, nie kryjąc satysfakcji.

— A gdzie znajduje się jego pałac, żołnierzu?

— W północnej części miasta, blisko Santissima Annunziata. — Dowódca wskazał w kierunku kopuły kościoła serwitów, która wydawała się dziwnie mała w porównaniu z wielkim zwieńczeniem

Santa Maria del Fiore. — Obecnie jednak jest opuszczony i nikt w nim nie mieszka. Będzie pan tam całkiem sam.

— Opuszczony? — spytał Rakoczy z oburzeniem w głosie. — Stryj pisał, że zostawił tam kogoś, aby strzegł pałacu. Proszę powiedzieć, gdzie znajdę tę osobę. To niewybaczalne zaniedbanie.

— Nie moją jest sprawą odpowiadać na to pytanie — stwierdził kapitan z ironicznym uśmiechem i odsunął się, pozwalając Rakoczemu przejechać. Pomyślał, że najlepiej zrobi, przekazując zaraz lansjerom oraz Milicji Chrystusa informację, że w mieście zjawił się jakiś krewniak demonicznego Rakoczego. Począł, aż brama została zamknięta i zaryglowana, potem zaś przyklęknął ze swoimi ludźmi i zaczął się modlić, tak jak wymagały tego nowe prawa.

Jadąc ciemniejszymi ulicami, Rakoczy na próżno rozglądał się w poszukiwaniu posągów, które niegdyś zdobiły Florencję. Białe kamienne ściany wydały mu się zimne, okna nie były niczym udekorowane i nic nie mąciło ogólnie szarego krajobrazu. Jedynym białym akcentem okazała się chorągiew zawieszona na San Marco. Czerwonymi literami wypisano na niej *Nos Praedicamus Cristum Crucifixum*.

Gdy zatrzymał w końcu wierzchowca u bramy pałacu San Germano, ujrzał kolejne napisy, tym razem wymalowane na ścianach, oskarżające go o satanizm i liczne profanacje. W tym momencie musiał przyznać się do błędu. Nie wierzył, że Florencja mogła zmienić się aż tak bardzo. Nie sądził, że Savonarola znajdzie w sobie dość siły i zdobędzie wystarczające wpływy polityczne, aby przeciwstawić się autorytetowi papieża. Teraz nie miał wątpliwości, że nie docenił przeora dominikanów. Florencja należała do niego, on zaś sprawował w niej władzę równie nieoficjalnie jak kiedyś Lorenzo. Dla mieszkańców miasta ekskomunika, którą obłożył zakonnik papież, była dowodem na świętość Savonaroli gotowego ponieść nawet

męczeńską śmierć z ręki przesiąkniętego zepsuciem następcy Piotrowego.

Powoli, z ociężałością wywołaną zmęczeniem i latami, zsiadł z konia i poprowadził go do stajni. Zignorował niewprawnie napisane obelgi i towarzyszące im rysunki wielkich, rogatych postaci z ogonami i monstrualnymi fallusami. Pomyślał ironicznie, że Estasia oskarżyła go dokładnie o to, czego sama od kochanka oczekiwała. A wszystko przez to, że nie mógł jej tego ofiarować, ona zaś nie zrozumiała, kim był naprawdę. Otworzywszy drzwi stajni, przekonał się, że i ona została splądrowana. Większość rzędów zniknęła, a jeden z wozów został obdarty z rzemieni i metalowych części.

— Chodź, Gelata — powiedział, ciągnąc lekko za wodze i wprowadzając klacz do środka. Imię nadał jej w chwili, gdy pierwszy raz zobaczył ją stojącą na obsypanym śniegiem polu. Przez swoją barwę zlewała się niemal z szarawym tłem. Teraz weszła za nim niechętnie i niespokojnie rozejrzała się wkoło.

Rakoczy zahaczył wodze o pusty stelaż na siodła i szybko przeszukał wnętrze. Znalazł trochę ziarna, które powinno wystarczyć na jeden wieczór, kupno zapasów mógł odłożyć zatem do następnego dnia. Potem znalazł na tyłach szufłę i wysprzątał boks przylegający bezpośrednio do ściany pałacu, gdzie zwykle było najcieplej. Pracował w równym tempie, z obojętną całkiem twarzą, a gdy skończył, poszukał jeszcze na poddaszu słomy. Była i nawet nie pachniała najgorzej. Zrzucił ją widłami na dół i podesłał Galacie. W końcu wprowadził klacz na miejsce, zdjął siodło i uprząż, a potem podał ziarno i wodę.

Gdy wzięła się do jedzenia, wyszedł łącznikiem na dziedziniec. W ciemności nie udało mu się dojrzeć, czy i tutaj wandale zostawili ślady. Miał nadzieję, że mozaiki nie zostały zniszczone, nie chciał jednak tracić czasu na poszukiwanie pochodni i sprawdzanie. Rano i

tak będzie jasno.

W loggii jego kroki poniosły się echem po pustym budynku. Od listopada nikt nie palił tu ognia, pałac był więc wychłodzony i unosiła się w nim woń pleśni, a lśniące podłogi pokrywał kurz. Krzesła leżały przewrócone, część ozdób ściennych zniknęła, reszta została zniszczona.

Nie dał się ponieść złości. Widywał już gorsze sceny. Przeszedł szybko przez loggię i skręcił na schody. Poruszył ciężkim elementem panelu i odkrył z ulgą, że zamek został zablokowany od środka. Wrócił więc na dół i skierował się do kuchni.

W tej części domu mało co zostało zniszczone i nawet większość wyposażenia kuchennego ciągle znajdowała się na miejscu, czysta i uporządkowana, jakby czekała tylko na powrót Amadea. Rakoczy zastanowił się, co też mogło stać się z kucharzem, zaraz jednak skupił się na ważniejszych sprawach. Trzeba było rozpalić ogień, aby utrudnić życie pleśni. Gdy płomyki zaczęły żyć własnym życiem, Rakoczy oparł się o wielki kuchenny stół i westchnął ciężko. Począł, aż ogień okrzepnie, i dorzucił więcej drewna. Zamykając drzwiczki pieca, pomyślał, że przez kilka godzin powinno być ciepło. Na koniec sprawdził jeszcze przewód kominowy.

Ukryte wejście do tajnych pomieszczeń uszło uwagi plądrujących, otwierał je jednak ostrożnie, na wypadek gdyby kusza była ciągle napięta. Nie usłyszał jednak brzęku cięciwy, ruszył więc w górę ciemnymi schodami. Poruszał się powoli, bo chociaż widział w mroku o wiele lepiej niż zwykli ludzie, strome stopnie stanowiły w tych warunkach wyzwanie. Na co to przyszło! Zeby musiał zakradać się do własnego pałacu, nie mogąc zapalić nawet świeczki! Ostatecznie dotarł do przedpokoju prowadzącego do laboratorium alchemicznego. To był jego prywatny zakątek i wszystko leżało w nim dokładnie w takim samym porządku jak przed wyjazdem Rakoczego. Pod ścianą

stało twarde niczym w celi łóżko z wąskim matercem spoczywającym na cienkiej warstwie ziemi. Obok znajdowała się skrzynka z kilkoma sztukami odzieży i innymi osobistymi drobiazgami. Na ścianie przy drzwiach wisiał *Orfeusz* Botticellego, który to obraz był w rzeczywistości portretem Laurenza. Zapaliwszy świecę z pomocą krzesiwa, spojrzął z przyjemnością na malowidło. Po raz kolejny zadał sobie przy tej okazji pytanie, dlaczego Sandro nic mu nie napisał. Żadne z możliwych wyjaśnień, które przysły mu do głowy, nie nastrojało optymistycznie.

Potem wziął świecę i poszedł sprawdzić laboratorium, które okazało się nienaruszone. Na jednym z długich stołów leżało kilka arkuszy pergaminu zapisanych równym, nieco pochyłym pismem Demetrice. Zerknąwszy na zapiski, Rakoczy uznał, że posunęła się sporo w swoich studiach. Uśmiechnął się nawet lekko, ale zaraz spoważniał, przypominając sobie, po co dokładnie przyjechał.

Krążąc po laboratorium, zastanowił się też, co działo się z jego służbą. Ostatni raz wysyłał im pieniądze jesienią. Wiedział, że Araldo, Pascoli, Gualtiere i Masuccio odebrali swoje wypłaty. Amadeo miał dostać ją później. Czy też zostali uwięzieni, czy uciekli z Florencji? Niezbyt mógł o to pytać wprost, ale był pewien, że znajdzie jakiś sposób, aby się dowiedzieć.

Niecałą godzinę później ściągnął paradny strój i położył się spać w zwykłym, czarnym kaftanie. Zasnął mocno na pościeli z ziemi, która utrzymywała go przy życiu już od trzech tysięcy lat.

Obwieszczenie Girolama Savonaroli, przeora San Marco, skierowane do mieszkańców Florencji:

*Do pobożnych obywateli Florencji!*

*Jako że zbliża się święty czas Wielkiego Postu, stosowne jest, abyśmy*

wszyscy przystanąli na chwilę pośród swoich obowiązków i zastanowili się nad wielką ofiarą, którą Syn Boży uczynił dla naszego dobra. Winniśmy naśladować Go w dziele miłości Bożej i uczcić święty czas szczególnie pilną modlitwą.

Aby łatwiej było wypełnić tę powinność, myślimy zorganizować kilka szczególnych uroczystości. Niech wcześniej każdy wejrzy w głąb swego serca i pogodzi się z własnym sumieniem, aby szczerze i w pełnej pokorze mógł wziąć w nich udział i przyczynić się tym samym do wzmocnienia ładu rządzącego naszym życiem na tym świecie i budowy mocniejszego mostu, który doprowadzi nas do łaski w życiu przyszłym.

19 lutego odbędzie się publiczne wyznanie grzechów, podczas którego ci, co zblądzili, uczynią spowiedź i w obecności ludu Florencji będą błagali Boga Wszchemogącego o wybaczenie. Potem ucałują stopy tych,

których skrzywdzili, i otrzymają znaki swych grzechów, które będą nosili na szyi przez cały Wielki Post aż do Niedzieli Wielkanocnej.

Od 24 lutego do Wielkiego Piątku Milicja Chrystusa będzie uprawniona do przeprowadzania inspekcji we wszystkich domach, aby usunąć z nich wszystko, co bezbożne, czy będą to przedmioty dowolnego rodzaju, czy zapiski, obrazy albo ozdoby, dla których nie ma miejsca w życiu dobrego chrześcijanina.

4 marca rozpalone zostaną Stosy Próżności, na których spłoną wszystkie zarekwirowane wcześniej przedmioty, co będzie znakiem odrzucenia przez nas ułudy ziemskiego bogactwa. Ci, którzy dotąd nie poddali się woli Bożej, winni do tego dnia porzucić blichtr doczesny i cisnąć jego świadectwa w płomień. Bo czymże one są, jak nie odbiciem mocy diabelskiej? Wszystko, co ziemskie, jest tylko złudnie piękne w próbie odwiedzenia nas od prawdziwej chwały Bożej. Wejrzyjcie w swoje serca i bądźcie pewni, że Bóg osądzi was surowo niezależnie od tego, jakich byście wymówek szukali.

Kulminacją Wielkiego Postu będzie święto 10 marca, kiedy to wszyscy



*oskarżeni o herezję staną przed mieszkańcami Florencji i albo uznają swoje błędy, albo spotka ich to, do czego zawsze prowadzi grzech dumy. Jeśli wyda wam się to okrutne, pamiętajcie, że wszyscy ci grzesznicy zasłużyli na wieczny ogień piekielny i godzi się, aby wkroczyli w ogniste otchłanie poprzez płomienie rozpalone jeszcze w tym świecie. Jeśli wszelkie starania pobożnych braci dominikanów nie zdołały skłonić ich do przejrzenia i szczerego wyznania grzechów, wówczas tyłko Bóg miłosierny może uczynić z nimi ład tak samo, jak my wyrzucamy jadowitą żmiję albo zabijamy wściekłego psa.*

*Módl się o boskie przewodnictwo, Florencjo, tak aby twe oczyszczenie się z próżności było pełne i szczerze i aby Bóg, który czyta w sercach i przed którym nic się nie ukryje, mógł wreszcie zwrócić swe oblicze ku temu miastu i ujrzeć płonące światło wiary tam, gdzie wcześniej poganie rozpalali ogień na cześć swych bożków.*

*Na polecenie Girolama Savonaroli, za zgodą Signorii,  
10 stycznia 1498*

### . 3 .

Gdy Rakoczy wyszedł z pałacu wczesnym rankiem, lód połyskiwał zdradziecko na bruku ulic. Musiał iść bardzo ostrożnie i co rusz pod obcasami jego jasnoblękitnych butów trzaskały lodowe okruchy. Tego dnia włożył grubą tunikę z jasnofioletowej wełny z gronostajami. Uzupełnione czarnymi wszywkami rękawy oraz przód zdobiły misterne, wyszyte perłami i złotem wzory. Miast camisy wybrał prosty aksamitny kubrak z wysokim kołnierzem. Całości dopełniała obszyta futrem aksamitna czapka i nadal ten sam złoty kolczyk. Idąc ku Via Nuova, zwracał powszechną uwagę ciemno ubranych Florentyńczyków, którzy oglądali się za nim i szeptali między sobą. Głowę trzymał wysoko i udawał, że ignoruje poruszenie, którego był sprawcą.

Gdy skręcił w Via Nuova, rozejrzał się, jakby nie wiedział, który dom wybrać. W końcu podszedł do drzwi Sandra Filipepiego i zapukał.

Wiejący znad wzgórz wiatr niósł ze sobą lekki śnieg. Rakoczy zdążył go poczuć, nim Simone otworzył drzwi i spojrzał na wytworzonego gościa.

— Proszę mi powiedzieć, czy tutaj mieszka malarz Botticelli? — spytał San Germano tonem nie tyle prośby, co rozkazu.

Simone z miejsca zapalał niechęcią do przybysza, który był nazbyt obcy, kolorowy i elegancki, aby pasował do Florencji. Mężczyzna w fioletach zdawał się symbolizować wszystko, co trapiło miasto przed nastaniem błogosławionego Savonaroli.

— Tak, to jego dom — mruknął Simone. — Jednak signor Filipepi jest obecnie na modłach. — Chciał zamknąć od razu drzwi, ale jakoś nie mógł się na to zdobyć wobec gościa, który czemuś jeszcze nie

odchodził.

— Na modłach? — Tak naprawdę to nie było pytanie. Rakoczy przypomniał sobie ostatnią rozmowę z Sandrem i zaczął się o niego naprawdę bać. — Kiedy będzie mógł ze mną porozmawiać? Mam do niego sprawę. Nazywam Germain Rakoczy.

Nazwisko wywołało dokładnie taką reakcję, na jaką San Germano liczył.

— Rakoczy? Jak śmiesz pokazywać się we Florencji?

— Rozumiem, że mój stryj nie jest tu lubiany — powiedział Rakoczy, jeszcze bardziej kalecząc wymowę. Założył ręce na piersi i spojrzał na Simone'a. — Przybyłem, aby zająć jego majątek, i z tego powodu muszę rozmawiać z malarzem Botticellim.

— Niech pan przyjdzie później — rzucił Simone i zaczął zamykać drzwi.

Nagle, bez użycia siły i w całkiem niewytłumaczalny sposób, obcy znalazł się w środku, błyskawicznie zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

— Proszę mu powiedzieć, że tu jestem i że pragnę z nim porozmawiać, Całkiem prywatnie.

Oprócz podjęcia próby wyrzucenia obcego na ulicę Simone nie mógłby zrobić wiele więcej.

— Powiem mu — mruknął. — We Florencji nie ma zwyczaju, aby wchodzić do czyjegoś domu niezaproszonym. To, co pan zrobił, jest niewybaczalnym użyciem siły.

Rakoczy uniósł wypięlgnowane brwi.

— Naprawdę? Słyszałem, że Milicja Chrystusa robi to każdego dnia. Dziwne, co to się czasem słyszy.

Spojrzał z lekkim uśmieszkiem na Simone'a spieszącego do dużego pokoju na tyłach domu, gdzie od iluś lat mieściła się pracownia Sandra. Kiedy został sam, rozejrzał się po ścianach. Pamiętał, że Sandro często wieszał tu swe najnowsze prace, których zamawiający

jeszcze nie odebrali. To, co ujrzał, mocno go zaskoczyło. Zniknęły malowane światłem, zmysłowe przedstawienia przepięknie ludzkich bogów i bogiń. Nie było pełnych delikatnie zarysowanych emocji szkiców przedstawiających mężczyzn i kobiety podczas pracy, zabawy, walki czy gier. Zamiast tego na ścianach zalegały cieniami religijne obrazy przedstawiające Najświętszą Dziewicę, Chrystusa i świętych męczenników w najdramatyczniejszych chwilach ich żywotów. Rakoczy zmarszczył brwi. To nie była ta sama płynnie operująca pędzlem, pewna siebie ręka, co trzy lata wcześniej. Obecne dzieła były nie tylko mroczne, ale i skryte, jakby bały się wyjść z ram. Przystanął przy wielkim obrazie na desce z drewna sandałowego, który przedstawiał męczeństwo świętego Sebastiana. Z przerażeniem poznał, że przeszyta strzałami postać nosi oblicze samego artysty.

— Mój brat pana przyjmie. — Simone wrócił po cichu i ucieszył się w duchu, gdy gość drgnął wyraźnie, zaskoczony jego słowami. — Widzę, że podziwia pan dzieła Sandra — dodał z satysfakcją. — Wiele zrobił ostatnio dla wychwalania Pana naszego. Wcześniej, jak może pan wie, marnował swój talent na przedstawianie bezwartościowych ziemskich przyjemności. Ale teraz tworzy prawdziwą sztukę, bo jej jedynym zadaniem jest wychwalanie Stwórcy.

Rakoczego przebiegł dreszcz, który tym razem nie miał nic wspólnego z pogodą. Im więcej obrazów oglądał, tym gorzej się czuł.

— A tutaj, widzi pan, jest nowy obraz przedstawiający zstąpienie Ducha Świętego do Najświętszej Maryi Dziewicy. Dostrzega pan Jej skromnie spuszczone oczy i to, jak zakrywa swe ciało, aby nie sprofanować świętej chwili cielesnymi przyjemnościami? Sandro nie zawsze tak malował. Przez wiele lat oddawał hołd zmysłom i kusił oglądających do grzechu, przedstawiając na swoich obrazach nagość pogańskich bóstw. Proszę za mną, zaprowadzę pana do niego. — Simone odwrócił się gwałtownie i nie czekając na obcego gościa,

ruszył korytarzem.

Rakoczy trzymał się kilka kroków za nim. Z tego, co powiedział Simone, mogło wynikać, iż Botticelli uległ nauczaniu Savonaroli. Ale czy naprawdę? Może tylko nie chciał mu się narażać. Rakoczy nadal się jeszcze nad tym zastanawiał, gdy Simone otworzył drzwi pracowni Sandra i obwieścił przybycie gościa:

— Rakoczy.

Sandro spojrział zza szerokiego stołu, na którym leżało kilka wstępnych szkiców. Trzy lata mocno go postarzały. Zmarszczki na twarzy pogłębiły się, włosy pojaśniały, przy czym niektóre z luźnych kędziorów były już całkiem białe. Odłożył dwa arkusze papieru i nadal spoglądając przenikliwie na gościa, wyszedł zza stołu.

— Jestem Sandro Filipepi — przedstawił się, ujmując wyciągniętą dłoń Rakoczego.

— A ja Rakoczy — odparł San Germano, rozglądając się po pracowni.

— Simone powiedział, że przybywa pan w sprawach stryja — powiedział Sandro, pragnąc chyba jak najszybciej wrócić do pracy. — Rzeczywiście jest pan do niego podobny.

— Często mi to mówią. — Rakoczy spojrział znacząco na Simone. — Czy moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy, signor Filipepi?

Sandro uniósł tylko lekko brwi, ale poza tym widać nie miał nic przeciwko, bo zwrócił się do brata:

— Jestem pewien, że masz swoje pilne sprawy, Simone. Zawołam cię, gdy signor Rakoczy będzie wychodził.

Simone wyprostował się urażony, odwrócił gwałtownie i wyszedł, poprawiając sobie humor trzaśnięciem drzwiami.

Przez kilka chwil panowała cisza. W końcu Rakoczy wskazał leżące na stole szkice.

— Mogę obejrzeć?

— Proszę. — Sandro odsunął się, dając dojście do stołu. Rakoczy uniósł dwa arkusze i przytrzymał je przed sobą. — Nie mogę się zdecydować. Jeśli mógłby pan coś podpowiedzieć, byłbym wdzięczny za poradę. Fański stryj miał oko do malarstwa. Mam nadzieję, że z panem jest podobnie.

Rakoczy przyglądał się szkicom w zimnym, styczniowym świetle. Były to studia dłoni i wykrzywionych w bólu twarzy.

— Co to ma być?

Sandro przesunął dłonią po włosach.

— W zasadzie *Rzeź niewiniątek*. Jednak jakkolwiek próbuję, nie mogę dojść do sedna. Widzi pan? Ta dłoń powinna wzbudzać współczucie, ale ciągle bardziej podobna jest do dłoni ze szkiców Leonarda, tych z okresu, gdy rysował martwe ciała. A ta twarz? — Wskazał na szkic oblicza młodej kobiety z szeroko otwartymi oczami i rozwartymi w bezgłośnym krzyku ustami. — Całkiem brak w niej życia. Nie ma nic z tego przerażenia, które powinna wyrażać. — Wziął rysunki z rąk Rakoczego i odłożył je na bok. — Ostatnio wszystkie moje prace są takie. Modłę się i modłę, ale dar nie wraca. Nic nie jest łatwe. Przyjemność malowania gdzieś przepadła. — Siadł ciężko na jednym z krzeseł pod ścianą.

Rakoczy poznał od razu, że Sandro mówił prawdę. Ogarnął go żal na myśl o tym, co musi przeżywać artysta czujący, że jego obecne prace nie dorównują dawnym.

— Ale to nieważne. Nie przyszedł pan po to, aby mnie wysłuchiwać. — Wstał i zmusił się do uprzejmego tonu. — Mam nadzieję, że nie chce pan mi przekazać wiadomości, iż Francesco nie żyje. To byłoby już za wiele dla mnie.

W tej chwili Rakoczy zrozumiał, że może zaufać Botticellemu.

— Nie, tego nie powiem. Sandro pokiwał głową.

— Dobrze. Zbyt wielu przyjaciół ostatnio straciłem. Nie chciałbym

się dowiedzieć, że jeszcze jeden z nich odszedł. Francesco to szczególnie osoba. Nigdy nie pogodziłem się z jego zniknięciem. Ostrzegłem go, wie pan? Nakłaniałem go, aby wyjechał z Florencji. Ale teraz sam nie wiem. Chciałbym, żeby tu był. Chciałbym, aby ktoś powstrzymał to wszystko, co dzieje się wkoło.

Co zdarzyło się Florencji. I to, co jest moim udziałem. — Zakrył twarz dłońmi, aby ponownie zmusić się do spokoju. — Ciągłe nie potrafię w to uwierzyć. I chyba nie chcę. Ale teraz nie ma już wyboru. Dałem się złamać. Chodzę do spowiedzi razem z innymi i maluję to, co jest bezpieczne. W ten sposób zostawiają mnie w spokoju. Nigdy nie sądziłem, że do tego dojdzie. Nie myślałem, że Florencja tak się zmieni.

Rakoczy stał nieruchomo i słuchał Sandra z zaciśniętymi mocno pięściami.

— Cóż — powiedział Botticelli, opanowując emocje. — Ufam, że pan na mnie nie doniesie. I bez tego moja pozycja jest dość niepewna. — Spojrzał na Rakoczego pytająco. — Nie wiem, dlaczego mówię panu to wszystko. Pewnie przez pańskie oblicze.

— Odwrócił się, próbując zmienić temat na bardziej neutralny. — Pański stryj był zawsze tajemniczy, ale uprzejmy. Bardzo go lubiłem.

— I ja ciebie, Sandro — powiedział Rakoczy swoim zwykłym głosem, płynną włoszczyzną bez śladu obcego akcentu.

Botticelli zamarł na chwilę, potem odwrócił się gwałtownie, z lśniącoymi nagle oczami.

— Francesco?

— Tak. — Czekał, nie wiedząc, jaka będzie reakcja Botticellego. Widział, jak jego twarz stężała na moment. Czy go wyda? Starczyłoby donieść lansjerom, że poszukiwany kryminalista wrócił do miasta.

— Jesteś głupcem, Francesco — powiedział w końcu cichym głosem Sandro.

Rakoczy wzruszył ramionami.

Potem Sandro podszedł do niego, objął i uściskał serdecznie.

— Jesteś największym głupcem na świecie, grandio — powiedział ze śmiechem. — Wiesz, co zrobiliby z tobą ci pobożni ludzie, gdyby cię złapali?

— Domyślam się — rzucił Rakoczy, odsuwając się od Sandra na długość ręki. Nie dodał, że wiele razy widywał takie sytuacje.

— To dlaczego wróciłeś?

— Ponieważ Demetrice trafiła do więzienia — odparł z rozmyślnym spokojem. — Muszę ją uwolnić.

Niezwykłość tej deklaracji odjęła Botticellemu mowę.

— Nie dasz rady, Francesco — powiedział po dłuższej chwili.

— Poślą cię na stos razem z nią.

— Chcą spalić ją na stosie? — Rakoczy sam był zdumiony, jak łatwo przyszło mu zadać to pytanie. Całkiem jakby rozmawiali o kolorze tapicerki albo filozoficznych abstrakcjach.

— W końcu najpewniej tak. — Znowu opadł na krzesło. — Jak się dowiedziałeś? — Nie dał jednak Rakoczemu czasu na odpowiedź. — Pewnie uważasz, że powinienem ci o tym napisać? Gdybym tylko miał jak. Ale nie miałem. Naprawdę nie miałem. — Przerwał i uderzył pięścią w udo. — To kłamstwo. Mógłbym znaleźć sposób. Powinienem to zrobić. Zbyt się jednak boję, Francesco. Boję się o siebie — dodał tonem potępienia. — Aż do teraz nie wiedziałem, że jestem aż takim tchórzem.

— Sandro, amico — powiedział z uczuciem Rakoczy. — Nie musisz. — Podszedł bliżej i położył mu dłoń na ramieniu. — Nie jestem na ciebie zły.

— Ale ja tak. — Sandro przesunął się, strącając dłoń San Germana. — Nie cierpię tego obecnego siebie.

Rakoczy westchnął i odsunął się. Wiedział, że klęska jest blisko, i



szukał w myślach sposobu, aby zasypać przepaść, która otwierała się między nimi niczym krwawa rana.

Jednak to Sandro pierwszy przerwał milczenie.

— Nie mogę niczego obiecać, bo nie wiem, co mi się uda. Jednak postaram ci się pomóc. Nie polegaj na mnie i nie proś o nic oprócz milczenia. Tak. — Pokiwał głową. — Tyle jeszcze potrafię. Wróciłeś jako krewny Rakoczego. Jak masz teraz na imię?

— Germain.

— Germain Rakoczy. Arogancki obcokrajowiec wbity we własną dumę. Tyle mogę zrobić. Chociaż to niewiele. — Spojrzał w okno. Na jego twarzy malował się wyraz zmęczenia. — Czego ode mnie oczekujesz, Francesco? Co mam zrobić?

— Nic. Dotrzymać tajemnicy. — Rakoczy przysiadł na stole, zwieszając jedną nogę w powietrzu. — Muszę znaleźć Demetrice. Jeśli jeszcze żyje, oczywiście.

— Żyje. Jeszcze. Dominikanie chcą mieć kogoś do spalenia na swoje auto-dafe. — Pokręcił głową. — Stos inkwizycji we Florencji. Czy ktoś uwierzyłby w to jeszcze pięć lat temu?

Rakoczy spoważniał nagle.

— Kiedy to się skończy? Czy zdajesz sobie sprawę z faktu, że przez kilka lat Florencja cofnęła się o więcej niż stulecie? — Wziął do ręki przeznaczony do naprawy pędzel. — Wiesz, gdzie jest Demetrice?

— Nie. Na pewno nie w granicach miasta. Nikogo z nich tu nie trzymają. — Wstał powoli. — Nie wiem, czy uda mi się to ustalić. Być może Estasia coś wie, ale niekoniecznie. No i Bóg jeden przewidzi, czy byłaby skłonna mi powiedzieć.

— Estasia? — Rakoczy odłożył pędzel. — Co ona ma z tym wspólnego?

— Ach. — Sandro machnął ręką w geście skrajnego obrzydzenia. — Od kiedy złożyła śluby, stała się bożyszczem wyznawców

Savonaroli. Ciągną całym tłumami, aby wysłuchać jej prorocत्व i wizji. Śpiewa hymny, które stały się tak popularne, jak osiem lat temu popularne były piosenki Laurenza.

— Więc to donna Estasia jest tą zakonnica, o której wszyscy mówią? — Uderzył pięścią w stół. — Powiniennem się domyślić. Suor Estasia del Mistero degli Angeli. To w jej stylu. — Uśmiechnął się smutno do Botticellego. — Masz rację, amico. Nie sądziłem, że wdzieje habit. Z drugiej strony, skoro mężczyźni przestali jej wystarczać, co zostało poza diabłem albo Bogiem?

— Najpierw spróbowała z diabłem — przypomniał mu Sandro. — Tyle że nie wyszło, teraz więc szuka drogi do Boga. Jednak i Nim się pewnie znudzi.

Rakoczy poczekał, aż Sandro się uspokoi, i ujął go za rękę.

— Byłbym wdzięczny, gdyby udało ci się ustalić, gdzie jest Demetrice. Ale nie ryzykuj przesadnie.

— Nie — odparł z goryczą w głosie Sandro. — Ryzykować na pewno nie będę.

— Daj spokój z tą samokrytyką — rzucił z lekką irytacją Rakoczy. — W niczym nam to nie pomoże. — Przesunął wzrokiem po pracowni, dostrzegając wiele nieukończonych prac. — Od jak dawna masz kłopoty z malowaniem ?

W oczach Sandra błysnęło oburzenie. Zaraz jednak przygasło

— Gdzieś od pół roku. Chyba odkąd się poddałem. — Rozłożył z rezygnacją ręce. — Kończę się. Wiesz, że mam już ponad pięćdziesiąt lat? Jestem coraz słabszy. — Odwrócił się i spojrzał w szarawe niebo.

— Gdybym znalazł ci gdzieś indziej mecenasa, gotów byłbyś wyjechać?

Sandro nawet się nie odwrócił.

— Myślisz o sobie?

— Może, ale niekoniecznie. Jest też wielu innych, którzy chętnie

by cię zatrudnili.

Pochylenie głowy sugerowało, że Sandro się nad tym zastanawia.

— Gdybym nadal mógł malować, to tak. Ale to, co teraz robię, nie jest warte mecenatu. Moje obrazy podobają się tylko kapłanom i tym, którzy chcą się wkupić z ich pomocą w łaski nieba. — Parsknął z niechęcią. Nie widział smutku, który odmalował się na twarzy Rakoczego. — Nadal masz *Orfeusza*, którego namalowałem dla Laurenza?

— Tak. Dlaczego pytasz?

— Oddałbyś mi go? — spytał nieśmiało, nie chcąc spojrzeć Rakoczemu w twarz.

— Do czego jest ci potrzebny? Sandro objął swoje łokcie.

— Czwartego marca rozpalą Stos Próżności. Słyszałeś o nich? Przysięgłem, że spalę moje pogańskie dzieła, te pełne nagości, albo że sam włożę ręce w ogień.

— To niemądry żart — wyrzucił z siebie Rakoczy. W końcu malarz spojrział mu w oczy.

— Nie, to nie żart. Przysięgłem spalić te świadectwa próżności.

— Nie! — Rakoczy poczuł, jak wzbiera w nim złość. — Dlaczego? Co cię opętało? Nie możesz tego zrobić. Odpowiedz mi. Dlaczego?

Sandro przygarbił się i oparł plecami o ścianę.

— Bo wtedy zostawią mnie w spokoju. Zapomną o mnie, jeśli spalę te obrazy — powiedział cicho, matowym głosem. — Nie było cię tu, Francesco. Niekiedy myślałem, że duszę bym zaprzedał za odrobinę spokoju.

— Poniekąd już to zrobiłeś. — Rakoczy zrobił krok w jego kierunku. — Nie warto, Sandro. Spokój to za mało. — Nagle posmutniał. — Posłuchaj mnie. Nie masz prawa tego robić. Oni zaś nie mają prawa żądać tego od ciebie. To gorsze niż zabijanie dzieci, bo one czasem mogą się chociaż bronić. Sztuka przychodzi na świat

niezdolna do obrony, wrażliwa na każdy zakręt losu. Przetrwać może jedynie dzięki ludziom gotowym ją ocalić. Wiesz, dlaczego nie wychodzi ci ta *Rzeź niewiniątek*? Pomyśl, co właśnie robisz. Dokładnie to samo, tyle że jeszcze gorsze, bo Herod nie żądał od rodziców, aby sami zabijali swe dzieci. Pomyśl tylko, Sandro. Niewiele jest na tym świecie piękna, tego zaś, co rani, mamy w nadmiarze. Jednak najbardziej kruche piękno potrafi być nieskończenie silniejsze niż wszystko, co daje się dokonać ogniem i mieczem, rozlewem krwi i pogardą. — Przerwał na chwilę, łapiąc oddech. — Nikt, ale to naprawdę nikt nie ma prawa niszczyć tego, co ktoś inny stworzył. A niszczyć własne dzieło... — Ponownie zamilkł. — Nie wierzę ani w niebo, ani w piekło. Niemniej czasem myślę, że piekło przydałoby się dla takich ludzi jak Savonarola. Odwołaj swoje ślubowanie. Jeśli nie dla siebie, to dla swoich dzieł.

Przez cały ten czas Sandro milczał i unikał wzroku Rakoczego. W końcu założył ręce na piersi.

— Chyba najlepiej będzie, jak wyjdiesz.

— Sandro...

— Nie. Dobiłem już targu. Zrobię tak i niech mnie piekło pochłonie. — Podeszedł szybko do drzwi, otworzył je i zawołał brata. Zanim Simone się pojawił, Botticelli spojrzał jeszcze na Rakoczego. — Nigdy więcej nie wspominaj o moich pracach — wyszeptał ze złością. — Nie zdradzę cię, ale o nic mnie nie proś. Teraz idź. — Poczekał, aż San Germano przejdzie próg.

— Sandro. Pomyśl...

— Do widzenia, stragnero — powiedział głośno Botticelli, po czym wrócił do pracowni i zamknął za sobą drzwi.

Napisany potoczną łaciną, stosowaną w okresie cesarstwa rzymskiego, list OHvii do Francesca Rakoczego da San Germano:

*Do Rakoczego Sanint Germain Franciscusa od Olivii z wyrazami miłości.*

*Cóż napadło Cię takiego, na wszystkich bogów, że umknąwszy cudem z Florencji przed stosem, teraz chcesz tam wracać? Zapomniałeś, że spłonąwszy, zginiesz prawdziwą śmiercią tak samo, jakby ktoś uciął Ci głowę? A jeśli nie zapomniałeś, to co Tobą kieruje?*

*Tak, wiem. Jedziesz w przebraniu i zachowujesz różne środki ostrożności. Ale skąd możesz mieć pewność, że to wystarczy? Nie mów mi, że martwię się na zapas. Jedno z nas musi, skoro Tobie w ogóle niezbyt to wychodzi.*

*Oto informacja, o którą prosiłeś. Twój list dotarł do mnie bez opóźnienia. Statek z Wenecji do Neapołu trafił na dobre wiatry i zdumiewająco spokojne morze i Twój posłaniec Gian-Carlo czym prędzej zjawił się u mnie. Swoją drogą, jest nad wyraz przystojny i chętnie uczyniłabym go kimś naszej krwi. Ale skoro Ty jeszcze tego nie zrobiłeś, wstrzymam się. Rozumiem, że nie zna prawdy o Tobie. Nazywa Cię alchemikiem i armatorem, ale nikim więcej.*

*Aleksander VI bardzo chce wyegzekwować nałożoną na Savonarolę ekskomunikę. Najpierw próbował chyba dogadać się z nim, proponując mu kardynalski kapelusz, byle tylko zaprzestał kazań i porzucił Florencję na rzecz Rzymu, gdzie łatwiej by go było pilnować. Domyślam się, że jego odpowiedź sprowadzała się do stwierdzenia, iż woli koronę męczeńską niż kardynalski kapelusz. Możesz być pewien, że Aleksander załatwi mu to tak szybko, jak tylko zdoła. W tej sytuacji, z papieżem jako przeciwnikiem, florencka władza Savonaroli nie potrwa długo. Cokolwiek by mówić o zmysłowości i korupcji tego Borgijest legalnie władającym papieżem i ma za sobą autorytet całego Kościoła. Girolamo Savonarola zaś jest szaleńcem, jeśli myśli, że może pokonać papieża. Nawet tak nieświętego jak Aleksander VI.*

*Jego Świątobliwość zaczął montować nową akcję. Korzystając z pomocy młodego kardynała Giovanniego de Medici, chce oskarżyć Savonarolę o herezję. Uzasadnienie będzie bardzo proste: każdy, kto przeciwstawia się papieskiemu edyktowi, jest heretykiem, a skoro Savonarola nadal odprawia msze i nie zaprzestał kazań, wspierając się nielegalnie na majestacie Kościoła, jest nim z pewnością. Nie ulega wątpliwości, że najpóźniej latem dosięgnie go zemsta Rodriga Borgii, czy też papieża Aleksandra, bo tak właśnie Rodrigo woli, aby się do niego zwracać.*

*Nie wiem, jak zachowają się wtedy mieszkańcy Florencji, ale ostrzegam Cię, drogi przyjacielu, że papież nie zawaha się użyć siły, aby ściągnąć Savonarolę na ziemię. Może wysłać wojska, jeśli Signoria sama nie przymknie swojego przeora. Nazbyt szydzi z władzy Rzymu i papieża, aby Borgia gotów był mu odpuścić. Jakby co, wywoła nawet wojnę, byle tylko z nim skończyć.*

*I co, nadal jesteś na tyle szalony, aby upierać się przy swoim pomysłe? Savonarola został przyparty do muru i zostało mu bardzo niewiele czasu, aby dokończyć całe to bezbożne dzieło. Jeśli zamierzył sięgnąć w tym celu po palenie swoich własnych heretyków, nikt nie będzie bezpieczny. Nawet jeśli jakimś dziwnym zrzędzeniem losu przekonasz Florentyńczyków, że jesteś swoim własnym bratankiem, i tak pozostaniesz podejrzany, w pewien sposób bardziej nawet, jako element obcy, niż twój „stryj”.*

*Rozmawiałam z Jego Świątobliwością i obiecał mi wysłać do Florencji specjalne rozkazy zabraniające procesów i palenia heretyków, jak długo nie rozstrzygnie się los Savonaroli. Zapewnił mnie ponadto, że będzie domagał się natychmiastowego uwolnienia tych, którzy przetrzymywani są w więzieniu. Dokumenty powinny nadejść nie później niż 17 marca. W związku z powagą sytuacji papież zarządził, aby zostały wysłane już za siedemnaście dni od dzisiaj. Jak dotąd niczego nie zrobił tak szybko, z wyjątkiem zaaranżowania małżeństwa swojej córki. Za niecałe dwa*

*miesiące Demetrice będzie wolna.*

*Gdybyś nic dla mnie nie znaczył, nie przejąłabym się Twoją lekkomyślnością. Jesteś mi jednak bardzo drogi. Przyznaję, że jednym z powodów po temu jest Twoja gotowość ryzykowania dla wszystkiego, co kochasz. Nie zwracaj więc uwagi na moje narzekania. Rób, co musisz zrobić. Tak jak dla mnie, bardzo dawno temu.*

*Kochany, najukochańszy przyjacielu, strzeż się od złego. Życzę Ci szczęścia i powodzenia. Odnieś zwycięstwo.*

*Olivia*

*W Rzymie, 26 stycznia 1498 roku*

## . 4 .

Para buchała z ust Rakoczego, gdy poganiał białą klacz na szczyt kolejnego wzgórza. Przy drodze leżał śnieg, szare niebo ciemniało wczesnym, zimowym zmierzchem.

— To już ostatnia, Gelata. Jeśli i tutaj nic nie znajdziemy, wracamy do Florencji — powiedział Rakoczy i poklepał klacz, ponownie zwracając uwagę na starą i wąską drogę.

Już od czterech dni krążył po otaczających Florencję wzgórzach. Poszukiwania zaczął, otrzymawszy od Sandra krótką notatkę, że oskarżeni o herezję są przetrzymywani w jednym z okolicznych starych zamków. Nie udało mu się dowiedzieć, w którym dokładnie, ustalił jednak, że musi to być miejsce odległe najwyżej o trzy godziny jazdy od miasta, bowiem mnisi, którzy tam jeździli, wracali zwykle tego samego dnia.

Dzisiaj wyruszył na wschód, trafiając na liczne wille, kilka skromnych warowni, z których jedna była obecnie chyba wykorzystywana przez rozbójników, jacy rozplenili się na drogach.

Tuż za następnym zakrętem dostrzegł mury jakichś fortyfikacji, zapewne z jedenastego albo dwunastego stulecia. Wstrzymał wierzchowca i przyjrzał się budowli w poszukiwaniu śladów życia. Potem zsiadł ostrożnie i sprowadził Gelatę z drogi. Dobrze, że była jasnej maści. W lesie, pośród rozsianych gęsto płacht śniegu, trudno było ją dostrzec. Gdy miał już pewność, że koń dość daleko odszedł, przywiązał wodze do drzewa i ruszył pieszo ku zamkowi.

Przemykając wśród drzew, powtórzył sobie, że to może być kolejne rozczarowanie. Wcześniej sądził, że poszukiwania nie zajmą mu wiele czasu, jednak trafiwszy kilka razy na wymarłe ruiny, zmienił zdanie i przygotował się na długie krążenie. Z początku miał zamiar podążać



po prostu za dominikanami z San Marco, usłyszał jednak, że zwykli kluczyć bocznymi drogami, aby uniknąć wytropienia, i niewątpliwie poczuliby się zaniepokojeni, gdyby zdarzyło im się go dostrzec. Postawił zatem na samotne wędrówki, i to tylko w te dni, kiedy braciszkanie nie opuszczali Florencji.

Kamienne mury były tuż nad nim. Wzniesiono je z wielkich bloków z krótkimi i niskimi lukami przy oknach i drzwiach. Z trzech kominów dobywał się dym, co było dobrym znakiem. Zamek był zamieszkały, i to raczej nie przez rozbójników. Był nazbyt na widoku, nie wystawiono też straży.

Zatrzymał się, słysząc jakieś śpiewy. Wstrzymał prawie oddech, aby lepiej słyszeć, gdy głosy przybrały na sile. Rakoczy schował się w cień muru, skąd mógł dojrzeć skrawek wewnętrznego dziedzińca. Po chwili w polu widzenia pojawiła się skromna, może dziesięcioosobowa procesja dominikanów, która przeszła przez dziedziniec i zniknęła w pomieszczeniu, które musiało być zapewne kaplicą.

Zaraz potem Rakoczy ruszył szybko, aby zbadać bezpośrednio otoczenie zamku. Z jednej strony musiał pokonać skalne urwisko, jednak stary mur dawał dobre oparcie dla stóp i dłoni. Gdy był w połowie drogi, znowu coś usłyszał. Zamarł, dzięki brunatnemu płaszczowi zlewając się niemal w jedno z kamieniami.

Hałas się powtórzył. Brzmiał dziwnie, ale pochodził od człowieka. Po chwili Rakoczy zrozumiał, że całkiem niedaleko ktoś po prostu kaszłał.

Spojrzał w górę. Jakieś półtora metra nad jego głową znajdowało się wąskie okno. Obok kolejne i jeszcze jedno. Cierpliwie zaczął się wspinać, dzięki swej sile korzystając nawet z takich chwytów, które zwykłemu człowiekowi na wiele by się nie przydały. Czynił powolne postępy, ale zanim światło całkiem ustąpiło szarówce, dotarł do

pierwszego z okien i podciągnął się na blokujących je prętach na tyle wysoko, aby zajrzeć do środka.

W wąskiej i mrocznej celi siedział mężczyzna w łachmanach i to właśnie on kaszłał, podzwaniając przy tym cicho łańcuchami. Na ile dało się dostrzec, był bardzo chory. W pierwszej chwili Rakoczy pomyślał, żeby go wynieść i zabrać w jakieś bezpieczne miejsce, jednak odgłos kaszlu podpowiadał, że nawet gdyby ogrzać zaraz tego człowieka i dać mu wszelkie możliwe leki, nie miałyby najpewniej żadnych szans na przeżycie. Rakoczy zacisnął zęby i przesunął się dalej.

W kolejnej celi ujrzał dwóch mężczyzn, sądząc po podobieństwie, zapewne braci. Patrzyli na siebie w milczeniu, a wkoło nich dawał się wyczuć strach tak intensywny, że można by go krajać nożem.

Przez następne okno dojrzał starą kobietę, także w poszarpanym stroju. Kłęczała na gołych kamieniach i modliła się, przesuając szybko w palcach paciorki wytartego różańca.

Rakoczy dotarł do najdalszego miejsca zamku, gdzie urwisko było najbardziej strome, chociaż kawałek dalej zaczynał się już równy teren. Zostały mu jeszcze dwa okna, jednak właśnie w tym miejscu deszcz i wiatr wygładziły kamienie na tyle, że nawet przy zachowaniu największej ostrożności trudno było się po nich poruszać. Odczekał trochę, aby zebrać siły do dalszej wędrówki, i cał po calu ruszył do kolejnego okna.

Ta cela była jakby mniejsza niż poprzednie, węższa i wyższa jednocześnie. Okno wpuszczało mniej światła, a zamiast pryczy leżał w niej tylko siennik. Na nim zaś kulila się postać w podartej camisie, resztkami jedwabnej gonelli owiniętymi wkoło ramion daremnie próbując utrzymać odrobinę ciepła. Wprawdzie światło prawie już zniknęło, Rakoczy dojrzał jednak, że jedwab był niegdyś zielony, dokładnie w tym samym odcieniu co suknia, którą podarował

Demetrice, gdy wprowadziła się do jego domu. Kobieta poruszyła się i na brudnym jedwabiu dały się dojrzeć dwa pasma jasnych włosów.

— Demetrice — szepnął Rakoczy. Ostrożnie wspiął się wyżej, aż udało mu się zahaczyć jedną rękę o kamienne obramowanie okna. Potem wziął się do obluzowywania prętów. Była to trudna robota, ale pracował w milczeniu, nie chcąc zwrócić na siebie uwagi obecnych w zamku zakonników ani strażników, którzy mogli czasem zjawiać się na blankach. Wiedział jednak, że dopóki nie narobi hałasu, nie mają szansy, aby go dostrzec. Wyciągając drugi pręt spomiędzy kruszących się kawałków zaprawy,

pomyślał ironicznie o tych wszystkich legendach, które opisywały wampiry jako istoty zdolne zmieniać postać. Wisząc na kamiennym murze, bardzo żałował, że żadna z tych opowieści nie była prawdziwa.

Ostatni pręt puścił. Zebrał poprzednie dwa i cisnął je wszystkie jak najdalej od zamku w nadziei, że nie narobił hałasu. Spadły między drzewami, zadzwoniwszy nie głośniej niż dzwonki niedużych owiec. Potem wciągnął się do środka.

Aż do tej chwili nie zastanawiał się, jak podejść do Demetrice, zrozumiał jednak, że w tych warunkach niełatwo będzie ją obudzić z tego półsnu, półletargu, w którym się znajdowała. Cicho jak kot zeskoczył na podłogę i podkraść się do siennika.

Szybkim ruchem opadł na kolana i złapał dziewczynę, zakrywając jej dłonią usta, aby stłumić możliwy krzyk. Drugą ręką sięgnął do łańcuchów.

Demetrice szarpnęła się gwałtownie i wbiła zęby w dłoń Rakoczego. Zerwał pierwszy łańcuch i sięgnął do kolejnego, gdy uznał, że nie wytrzyma już długo bólu gryzionej dłoni. Obrócił dziewczynę twarzą do siebie i szarpnięciem zerwał drugi łańcuch.

Demetrice próbowała uwolnić rękę, aby go uderzyć, podrapać,

odpędzić. Zastanawiała się, który z jej ciemieżców zdecydował się w końcu wejść chyłkiem do celi. Obecność mnichów gwarantowała wprawdzie brak molestowania, dobrze widziała jednak uśmieшки pojawiające się czasem na twarzach strażników. Widać któryś wyczekał, aż mnisi udali się na modlitwę... Nagle ten ktoś złapał jej nadgarstki, ale zamiast wykręcić ręce, przytulił je do swej piersi.

— Demetrice — powiedział ciepłym i niskim głosem. — Nie trzeba, Demetrice. No, cara. Spokojnie, Demetrice, spokojnie.

Szarpnęła się tak, że omal oboje nie upadli, zaraz jednak oprzytomniała i pojęła, że nie ma przed sobą strażnika ani folgującego chuciom sługi Bożego. Przez głowę przemknęły jej niezliczone wspomnienia ciemnych i głębokich oczu oraz długich miesięcy nauki i odkryć. Spojrzała na mężczyznę, który właśnie ją puścił i wyciągał rękę, aby pomóc jej wstać.

— Chodź, Demetrice — powiedział, i tym razem już go poznała.

— San Germano? — spytała z bezbrzeżnym niedowierzaniem. Też wyciągnęła rękę, jednak zawahała się. Chciała go dotknąć, ale wystraszyła się, że tak naprawdę wcale go tu nie ma, ona zaś oszalała i zaczyna miewać zwidy.

— Spokojnie — szepnął.

— San Germano? — powtórzyła, ujmując lekliwie jego dłoń. Zacisnęła palce i omal nie rozplakała się z ulgi. Gość był prawdziwy. Wstała niezdarnie, bo chłód i wyczerpanie odebrały jej sporo sił. Chciała coś powiedzieć, ale poczuła się słabo, jakby zaraz miała zemdleć.

Objął ją i przytulił, aż jej policzek dotknął gładko wygolonej brody Rakoczego.

— Amante mia — rozległo się tuż przy jej uchu.

— To naprawdę ty — wymruczała. — Zjawileś się.

— Tak. — Odsunął się trochę, ale tylko na tyle, żeby ją pocałować.

Ich wargi spotkały się łagodnie, ale zdecydowanie.

Czerpała siły z tego pocałunku niczym nurek, który wynurzył się dla złapania powietrza albo krokus przebijający śnieg w poszukiwaniu pierwszych ciepłych promieni słońca. Wydawało się jej, że pożegnała wszystkie pożądania wraz z odejściem Laurenza, i było jej z tym dobrze. Teraz jednak przypominały o sobie, co też sprawiało jej radość, tak jak dotyk drobnych, coraz śmieiej sobie poczynających dłoni Rakoczego.

W gasnącym świetle ich cienie splotły się prawie, podobnie jak oni sami. Rakoczy chwycił jej ramiona i odsunął dziewczynę na tyle, aby spojrzeć jej w twarz.

— Nie wiesz nawet, jak bardzo pragnę twojej bliskości, Demetrice. Wypowiedział te słowa z lekką wesołością, ona zaś wyczuła w jego głosie, dotyku i lśniących oczach, że naprawdę jest dla niego kimś wyjątkowym. Zadrżała i nie zdołała niczego powiedzieć.

— Zmarzaś — wyszeptał i ściągnął z grzbietu obszyty futrem płaszcz, aby otulić ją jednym, zamaszystym ruchem.

Westchnęła głęboko, niemal leniwie, czując ustępujące pod wpływem ciepła odrętwienie, i dni spędzone w ciasnej, cuchnącej celi przestały tyle znaczyć.

Rakoczy uśmiechnął się lekko.

— Powinienem od tego zacząć — powiedział samokrytycznie. W tej chwili nie ufał sobie dość, aby ponownie jej dotknąć, odstąpił więc o krok. Usiadła na sienniku, prosto, podkulając kolana. — Tęskniłem za tobą, Demetrice.

Pokiwała głową, myślami była jednak przy czym innym. Jej oczy wyrażały niemy wyrzut.

— Gdy nie przysłałaś kolejnego listu, zaniepokoiłem się, ale o tym, co się stało, dowiedziałem się dopiero w święto Obrzezania Pańskiego. Gdybym wiedział wcześniej, nie zwlekałbym. — Oparł się

o ścianę, pozwalając, aby jego spokojny głos ostudził trochę zrodzone między nimi pragnienie. — To nie będzie łatwe, ale dopilnuję, abyś została uwolniona, amica.

Przez te trzy lata zapomniała już prawie, jak brzmi jego głos, albo może nawet i wcześniej tego nie zauważyła, ciągle jeszcze widząc stojący między nimi cień Laurenza. Teraz ten sam głos przyciągał ją tak samo, jak północ przyciąga igłę busoli. Uniosła lekko rękę, aby nie mówił więcej. Trudno było nie patrzeć na niego, nie tonąc w tych oczach, zmusiła się jednak do spokoju i zadała pytanie, które zrodziło się w jej głowie już znacznie wcześniej:

— Czy bardzo straszne jest to, co robisz?

Rakoczy zamknął oczy, ale opanował chwilowy przyływ lęku i zdobył się na spokojną odpowiedź:

— Nie jest. Chyba że ktoś chce to takim uczynić.

— Ale... — Przerwała i w ustach nagle jej zaschło. — Czy to uczyni mnie taką jak ty?

Zastanowił się, czy dziewczyna na pewno wie, o czym mówi, i rysy jego twarzy złagodniały.

— Nie od razu. Z czasem, gdybyśmy zblizali się zbyt często, to owszem. Albo gdybyś wzięła ode mnie to samo, co ja mogę wziąć od ciebie.

Na tyle zagubiła się w swoich myślach, że nie usłyszała, jak podszedł blisko. Poczowała go jednak za sobą tak samo, jak wyczuwa się silny wiatr.

— I co, Demetrice? — Nie poruszył się, czekał. Cały świat zawisł w tej chwili pomiędzy nimi, jakby czas zwolnił biegu. Mała kamienna ceta zmieniała się w wielki przestwór pod szerokim, otwartym niebem. Nie zamienili ani słowa, gdy nagle Rakoczy zaczął rozplatać jej włosy, uwalniając je od wstążek.

Wstrzymała oddech, gdy rozpostarł je niczym welon na jej plecach.

Potem dotknął palcami karku i przesunął je w kierunku piersi dziewczyny. Gdy przebiegł ją dreszcz, wycofał się szybko, nie próbując niczego więcej.

— Nie — powiedziała natychmiast. Oddech jej przyspieszył. Czuła, jak budziło się w niej coś całkiem nowego.

Zawahał się. Uklęknął za nią, ona zaś, całkiem odruchowo oparła się o jego pierś, tak że jej głowa spoczęła na ramieniu Rakoczego. Chociaż nie widziała go w ten sposób, czerpała spokój z jego obecności i rytmu oddechu. Z wolna ich bliskość stała się czymś całkiem naturalnym, a jego dotyk przyjazny jak smak gorącego wina w mroźny dzień. Demetrice zamknęła oczy i odwróciła się powoli, prosto w jego objęcia.

Nadal spowijał ją płaszcz Rakoczego, dając pewne poczucie prywatności i ochrony tego, co wyrosło w niej przez lata samotności. Jednak otworzył się w pewnej chwili. Poczowała jego dłonie, powoli i wytrwale uczące się jej ciała. Płaszcz czy suknia przestały być przeszkodami dla jego gorących warg. Przytulił ją i położyli się razem na słomie. Ledwie słyszała jego czułe słowa, taka burza rozszalała się w jej duszy. Czuła się oślepią i ogłuszona tym, co napływało wraz z jego namiętnością, zaspokajając tęsknotę, której istnienia Demetrice wcześniej nawet nie podejrzewała.

Gdy stało się to, czego od tak dawna się obawiała, odebrała to nie z obrzydzeniem, ale z rozkoszą i poczuciem triumfu. Objęła go mocno, czując, że jej zmysły nie zniosą już więcej. Jego czułość wywołała spełnienie, jakiego nigdy dotąd nie przeżyła. Jej miłość powstała odrodzona niczym feniks z popiołów wielu lat smutku.

Potem zasnęła, ale obudziła się w nocy, znajdując go wpatzonego w nią. Jego ciemne oczy lśniły w mroku. Zaraz przyciągnął ją do siebie, wyczuwając jej potrzebę, i znowu rozkwitła pod jego dłońmi, pragnąc coraz to nowych pieszczot, tak samo jak róża wiecznie

chłonąca promienie słońca.

Jego radość była równie wielka. Coraz lepiej poznawał rytm przyptywów jej rozkoszy, drgnienia pożądania, kolejne gamy jej miłości.

Opuścił ją krótko przed świtem, zwlekając, jak tylko się dało. Zszedł ostrożnie po murze i zniknął w wilgotnej mgle, która snuła się pomiędzy drzewami i otulała bielą blanki zamku, skrywając go przed sennymi strażnikami. Demetrice zasnęła na sienniku, otulona w ciepły płaszcz Rakoczego i wspomnienie jego bliskości.

List Ruggiera do Francesca Rakoczego da San Germano:

*Do mojego pana*

*Powierzam ten list pewnemu uczciwemu kupcowi z Bolonii, który wybiera się do Florencji. Powinien przekazać go do Pańskich rąk przed połową lutego.*

*Zgodnie z poleceniem opuściłem Wenecję cztery dni po Panu, prowadząc skromną karawanę pięciu mułów. Podróżowaliśmy szybko, ale dzień po opuszczeniu Bolonii mieliśmy nieszczęście natknąć się na rozbójników. Była to całkiem spora banda, zapewne około trzydziestu, chociaż sam widziałem tylko osiemnastu. Walczyliśmy, ale zwyciężyli nas liczbą. Ze smutkiem donoszę, że Teodoro zginął z ich ręki. Zabrali też dwa juczne muły. Ja sam odniosłem kilka ran i z tego powodu przebywam obecnie w klasztorze pod Monghidoro. Mam tu świetną opiekę i za nie więcej niż tydzień powinienem być zdolny do dalszej podróży.*

*Dobry ojciec Sereno pisze ten list w moim imieniu, bowiem ja nie jestem jeszcze zdolny władać piórem.*

*Gdyby nie łaska boska i troska dobrych braci, w ogóle nie miałbym szansy niczego przekazać, bo gdy zbójcy uciekli, zostawili nas poranionych. Tito, chociaż sam krwawił mocno z rany w nodze, dotarł do*



*tego klasztoru i sprowadził pomoc. Gdyby tego nie zrobił, zostalibyśmy na szlaku, zdani na łaskę rozbójników i zimowej pogody.*

*Zapewniam, że wkrótce do Pana dołączę.*

*Fra Sereno za służącego Ruggiero*

*W klasztorze della Canta del Nostro Signor Braci świętego Ambrożego pod Monghidoro,*

*1 lutego 1498*

## . 5 .

Wszystkie ławy w świątyni zostały zajęte, chociaż był dopiero wtorek, targowy na dodatek. Przy ołtarzu grupa dominikanów szykowała się do mszy, którą miał odprawić ich przeor, obok drzwi ustawiło się kilku braci trynitarzy. Jeden z nich trzymał brewiarz i głośno czytał z niego wybrane fragmenty.

Tuż przed rozpoczęciem mszy doszło do lekkiego zamieszania, gdy w drzwiach świątyni stanął cudzoziemiec Germain Rakoczy, cały w rdzawych i złotych jedwabiach. Miał bogato wyszywaną perłami aksamitną czapkę i mały, złoty sztylet przy pasie. Stukot jego obcasów przebił się przez szmer głosów wywołanych jego przybyciem. Wszyscy śledzili go uważnie, gdy szedł główną nawą. Przystanąwszy, aby przyklęknąć i przeżegnać się starannie, rozejrzał się po Florentyńczykach i zauważył z niejakim rozczarowaniem, że w kościele stawili się nawet najbardziej bezwzględni w interesach kupcy, aby tylko wysłuchać kazania Savonaroli.

Jękliwe organy dały znak, że msza się zaczyna. Ponieważ trwał Wielki Post, mnisi, którzy weszli do kościoła, śpiewali *Dies Irae*, intonując kolejne wersy z wyraźną satysfakcją.

Podczas nabożeństwa panował spokój, jednak gdy na ambonie pojawiła się niska sylwetka Savonaroli, przez zebranych przebiegła nowa fala szmerów. Rakoczy wyczuł wpływ, jaki kaznodzieja miał na Florentyńczyków. Nie było to trudne, bo sam jego widok wywołał na twarzach wiernych niemal somnambuliczny zachwyty. Kobiety przyciskały zwinięte w pięści dłonie do brody i wpatrywały się w dominikanina z miłością i przerażeniem zarazem. Rakoczemu zrobiło się niedobrze. Widywał już podobne sceny w Babilonie, kiedy matki ciskały swoje maleńkie dzieci w ogień płonący w paszczy ich boga,

Baala.

— Nadszedł ten czas w roku, kiedy wspominamy ofiarę Pana naszego — zaczął Savonarola. — Minął radosny czas Jego narodzin i teraz winniśmy skupić myśli na Jego miłości i cierpieniu, na Jego śmierci na krzyżu. — Spojrzał groźnie na zebranych, jakby to oni właśnie byli winni śmierci Jezusa. Poczekał, aż wierni poczują się mocno nieswojo, i przeszedł do szczegółów. — Pomyślcie o paznokciach, które naruszyły piękno Jego świętego ciała. O cierpieniu, które przebył, abyście mogli zaznać chwały niebieskiej. O Jego wierze gorącej, gdy wisiał z krwawiącymi ranami. — Znowu umilkł na chwilę. — Nikt z was nie jest wart Jego ofiary. Nikt z was nie jest wart pyłu, po którym przeszedł.

Dwóch starszych mężczyzn opadło na kolana i echo ich łkań poniosło się po San Marco.

— Niemniej jesteście tutaj, przyjmując eucharystię, jakby łaska dostępna była każdemu, kto tylko ugnie kolano i weźmie kawałek ciasta do ust. Jak możecie żyć ze swoją hipokryzją, Florentyńczycy? Wy, którzy twierdzicie, że płonie w was wiara dla świętości, nie jesteście jednak skłonni pozbyć się dowodów waszej próżności, porzucić waszych bezbożnych nauk, pozbyć się kupieckiej dumy. — Spojrzał na nich pogardliwie. — A przecież tak mało się od was oczekuje w porównaniu z tym, co On dobrowolnie ofiarował. A i tak Mu odmawiacie.

Coraz więcej ludzi płakało i Rakoczy musiał zacisnąć mocniej szczęki. Złożył dłonie i opuścił głowę, aby nikt nie dostrzegł drgnień jego twarzy.

— Wzywałem was do ofiary, wy zaś jej odmówiliście. Skrywacie wasze błyskotki przed Milicją Chrystusa, aby dalej się nimi cieszyć. Jednak te drobne radości zaprowadzą was do piekła, gdzie przez wieczność trawić was będą diabelskie płomienie. Wówczas te

wszystkie skarby nic wam nie pomogą. Nie umniejszą waszego cierpienia. Będzie już za późno, wam zaś przyjdzie żałować gorzko tego umiłowania spraw doczesnych.

Kazanie miało trwać tylko dziesięć minut, minęła jednak aż godzina, nim ci spośród wiernych, którzy chcieli przyjąć komunię, podeszli powoli do barierki. Wielu nie posiadało się ze zdumienia, widząc, że wytworny cudzoziemiec dołącza do nich ze złożonymi dłońmi i spuszczonej pokornie oczami.

Tego dnia sam Savonarola udzielał komunii. Spojrzał na Rakoczego w sposób, który w mniej świętych oczach mógłby zostać uznany za drwinę. Gdy podszedł do cudzoziemca, położył hostię na kielichu, aby uczynić znak krzyża, jednak miast wsunąć ją<sub>3</sub> potem w usta wierne, wdał się z nim w rozmowę.

— Pościłeś?

— Przez trzy dni, dobry przeorze — odpowiedział szczerze Rakoczy, co jednak nie wystarczyło Savonaroli.

— Twój stryj nigdy nie przyjmował komunii i rzadko uczestniczył w mszach.

— Mój stryj był innego obrządku — odparł San Germano kiepskim włoskim. — Nie mógł przyjąć u was komunii, bo popełniłby wtedy wielki grzech.

Savonarola postukał palcami w kielich i zmarszczył brwi.

— Należał do Kościoła wschodniego? Połączyliśmy się z nimi i żyliśmy w zgodzie, aż nie zerwali więzi. Ci, którzy poddają się Kościołowi wschodniemu, żyją w błędzie. Powinni wyznać swoje grzechy i poprosić o przyjęcie do prawdziwego Kościoła, i modlić się o łaskę. Niebo nie uzna wytłumaczeń tych, którzy nie dosłyszeli głosu prawdziwego Kościoła głoszącego słowo Boże.

— To możliwe. Mój stryj urodził się kilka lat przed krótkim okresem jedności Kościoła rzymskiego i Kościoła wschodniego—

dodał oschłym tonem, który jednak umknął Savonaroli. — Nigdy nie sprofanowałby świadomie waszych sakramentów.

— Ale tyje przyjmujesz.

— Tak.

— Klęczysz przede mną, chociaż wiesz, że to ciężki grzech przyjmować komunię, nie oczyściwszy wcześniej duszy. I prosisz o poświęconą hostię.

Rakoczego kusiło, aby przypomnieć dominikaninowi, że to on, nie jego penitent, obłożony został ekskomuniką, przez co nie miał żadnego prawa, aby przewodniczyć mszy, o udzielaniu komunii nie wspominając. Cokolwiek tu robił, w oczach Kościoła było nieważne, zatem to on sam popełniał świętokradztwo.

— Tak, proszę o hostię.

— Jesteś ubrany z niechrześcijańskim zgoła przepychem — zauważył przeor, z góry ciesząc się, że uda mu się speszyć obcokrajowca.

— Jestem ubrany stosownie do mojej rangi — odparł Rakoczy, świadom faktu, że nawet obecne prawo Florencji wymagało, aby osoby utytułowane nie umniejszały swojej pozycji pospolitymi strojami. Poczekał na odpowiedź Savonaroli.

Zebrani umilkli, zdumieni tą konfrontacją. Zwyczajni postrzegali Savonarolę jako surowego sędziego chroniącego ich przed bluźnierstwem i wszelkim złem. Jednak wytworny cudzoziemiec też przykuł ich uwagę, jako że odzywał się w sposób świadczący o skromności i szacunku wobec przeora. Niektórzy przypomnieli sobie dni Medyceuszy, kiedy słuszna duma i godność nie były niczym niezwykłym.

— I to jest dla ciebie ważniejsze? — rzucił szyderczo Savonarola.

— Jeśli zaiste jesteś szlachetnie urodzony, masz zapewne nasze prawa, bez wątpienia doskonalsze od twoich, za godne pogardy?

Rakoczy milczał dość długo, aby powstrzymać się od ciętej odpowiedzi. Miast tego spojrzął z szacunkiem na nieruchomą twarz Savonaroli.

— Nie wiem, czemu poddajesz mnie tym pytaniom, dobry przeorze. Wiele wycierpiałem w życiu. Mój kraj został zajęty przez Turków, moi ludzie wybici. Walczyłem z wrogiem dla chwały Chrystusa i zrobiłem, co mogłem, aby chronić moich poddanych. Wszystko, czego pragnę, będąc we Florencji, to życie zgodne z prawami Boga i Republiki.

Doszli do impasu. Savonarola chyba zaczynał się denerwować.

— Łatwo jest cudzoziemcowi zgłaszać pretensje do pozycji, zwłaszcza gdy jest z kraju, gdzie wojna uczyniła tyle złego — powiedział.

W tym momencie Rakoczy pozwolił sobie na lekki przytyk.

— Pochodzę z dawnego rodu. Moi przodkowie osiedlili się w naszej górskiej krainie jeszcze przed narodzeniem Chrystusa. Nasz ród trwa od tamtych lat nieprzerwanie.

— A ty sam? Jaki jest twój stopień szlachectwa?

— Urodziłem się jako książę. — Mimo sardonicznego błysku, który pojawił się w oczach Rakoczego, była to szczerza prawda. Tyle że stało się to kilka tysięcy lat temu i lud, dla którego był księciem, dawno rozproszył się wśród innych narodów.

— Nie nosisz korony.

— Jak dobrze wiemy, Florencja jest republiką, i tym samym nie uznaje koron. Italia zaś nie jest moim krajem. Jednak gdyby zdarzyło mi się gościć na dworze królewskim, takim jak w Neapolu, albo na wielkim dworze papieskim, wówczas byłoby z mojej strony świadectwem pogardy wobec gospodarzy, gdybym jej nie włożył.

Zebrani zaczęli mieć już dość tej dyskusji i w kościele rozlegało się coraz więcej szmerów, niektórzy odwracali wzrok ku oknom.

Savonarola ujął niechętnie hostię i uczynił kielichem znak krzyża. Nie mówiąc już nic więcej, Rakoczy otworzył usta.

Trzymając hostię pod językiem, przeżegnał się i skłonił pobożnie głowę. Obecność płątka ciasta w ustach rozpraszała go i przez chwilę spróbował sobie przypomnieć, jak to było, gdy jadał zwykłe potrawy. Dawne doznania rozsypały się już, całkiem jak odbicie w zmaconej wiatrem wodzie. Wstał powoli i wrócił na swoje miejsce, niecierpliwie czekając końca mszy.

Gdy było już po wszystkim, poszukał wśród wychodzących ze świątyni znanego mu urzędnika Signorii.

Gradazo Ondante też zmienił się mocno przez te trzy lata. Miast wcześniejszej urzędowej dumy na jego twarzy malowało się zmęczenie odpowiedzialnością. Wychudł też, ledwo wypełniając swoją osobą oliwkowy strój. Spojrzał na Rakoczego z zainteresowaniem.

— Jest pan bardzo podobny do stryja — powiedział. — Był oczywiście starszy niż pan i chyba trochę wyższy, ale podobieństwo rzuca się w oczy.

— Dobrze go pan znał? — spytał uprzejmie Rakoczy, zastanawiając się, ilu Florentyńczyków podziela opinię Ondantego.

— Spotkałem go kilka razy. Był zdecydowanym i postawnym w pewien sposób mężczyzną. — Założył ręce na piersi, jakby czegoś się obawiał. — Chce pan ze mną porozmawiać?

Rakoczy uznał, że dobrze będzie zacząć od prostszej ze spraw.

— Chciałbym uregulować sprawy prawne. Nie wiem, jakie dokumenty i świadectwa muszę złożyć, aby uzasadnić moje roszczenia do majątku mego stryja.

— Po włosku pański stryj też mówił lepiej od pana — zauważył oschle Ondante i spojrzał gdzieś w dal. — Sam będę musiał o to spytać. Czy ewentualne opóźnienie w załatwieniu sprawy będzie dla

pana problemem? Trudno będzie zacząć stosowne postępowanie przed końcem Wielkiego Postu. Rakoczy zaklął w duchu, ale uśmiechnął się uprzejmie.

— Skoro tak musi być, trudno mi protestować. Ale jeszcze druga sprawa. Złożyłem petycję z prośbą o uwolnienie osoby, która była przedstawicielem mojego stryja. Uwolnienie albo chociaż przekazanie jej pod mój nadzór.

— A tak, właśnie. — Ondante wyraźnie wolałby ominąć ten temat. — Nie miałem jeszcze sposobności, aby pokazać pańską petycję konsulom. To złożona sprawa. Bardzo złożona. Sam pan rozumie, że tam, gdzie chodzi o herezję...

— Podejrzenie herezji — poprawił go spokojnie Rakoczy.

— Podejrzenie herezji, tak. To nie zostało jeszcze ustalone. Ale nie jest przez to wskazane, aby ta kobieta została uwolniona, jak długo nie będzie wiadomo, że jest wierną i pobożną córką Kościoła.

— Niemniej poręczyłem za nią i gotów jestem być za nią odpowiedzialny — powiedział Rakoczy tonem na tyle urzędowym, że Ondante dodatkowo się speszył.

— Tak. Ale to nietypowa sytuacja... Bardzo złożona — powtórzył, tak dla siebie, jak i Rakoczego. — Ale spróbuję. Nie przystoi, aby młoda kobieta... Rozumiem, jak surowe są więzienne warunki. Zobaczę, czy coś da się... — Zamilkł w pół zdania.

— Będę bardzo wdzięczny. — Rakoczy zauważył, że znowu zaczyna przyciągać uwagę, i uznał, że dobrze będzie to wykorzystać. — Uważani, że jako spadkobierca mojego stryja winienem uczynić wszystko, co on sam uznałby za stosowne wobec jego pracowników — powiedział głosem nabrzmiałym szczerością. — Ktoś o wysokiej pozycji nie powinien nigdy zapominać o tych, którzy mu służą, a wiem, że mój stryj bardzo cenił swoją gospodynię. Uczyniłbym niehonorowo, hańbiąc nie tylko siebie, ale i moją rodzinę, gdybym



zapomniał o moich powinnościach wobec tej dobrej kobiety.

Ci spośród wiernych, którzy przysunęli się, aby posłuchać ich rozmowy, pokiwali głowami z aprobatą. Wprawdzie Rakoczy był bez dwóch zdań cudzoziemcem, myślał i czuł jak Florentyńczyk.

— Tak, rozumiem — odparł cicho Ondante. — Oczywiście. — Zaraz potem prawie zanurkował w ciżbę, aby uciec jak najszybciej przed dwornym cudzoziemcem.

Wychodząc ze świątyni, Rakoczy dostrzegł kątem oka, że stojący przy bocznej kaplicy Savonarola obserwował go uważnie.

List Francesca Rakoczego do Orlanda Ricci, przeora Santa Croce:

*Do Wielce Szanownego Przeora Santa Croce, od Germaina Rakoczego, dziedzica il stragnero Francesca Rakoczego da San Germano, z pozdrowieniami i prośbą o franciszkańską pomoc.*

*Serce me wypełnia ból związany z wieloma trudnościami, które napotkałem ostatnio jako cudzoziemiec, przebywając w Republice Florencji, przez to wiedziony coraz głębszą desperacją zwracam się do Ciebie, dobry przeorze, z prośbą o radę i pomoc.*

*Sam nie wiem, co obecnie myśleć o sytuacji, z którą się spotkałem. Rzecz w tym, że gospodyni i uczennica mojego stryja, kobieta wykształcona i wartościowa, została uwięziona pod zarzutem herezji przez zakonnik, który dopuścił się jawnej zbrodni wobec władzy i chwały Kościoła katolickiego. Girolamo Savonarola został ekskomunikowany przez papieża Aleksandra, a mimo to nadal wygłasza kazania w Santa Maria del Fiore i San Marco, stanowi prawa Republiki i cieszy się powszechnym szacunkiem. Jego oskarżenia, których nie szczędzi mieszkańcom Florencji, przyjmowane są z pokorą, chociaż on sam został oskarżony przez wyższy autorytet o zbrodnię, której wagę trudno jest zlekceważyć.*

*Bracia z Mallombrosy i bracia kamedulowie są przeciwni jego działaniom, ale nie czyni się nic, aby uwolnić tych nieszczęśników, którzy na skutek ustanowionych przez niego praw i rzuconych przez niego oskarżeń przebywają nadal w więzieniu.*

*Gdzie mogę zwrócić się o pomoc? Muszę uczynić wszystko, co w mojej mocy, aby uratować tę kobietę, która wypełniała bez zarzutu wszystkie obowiązki nałożone na nią przez mojego stryja. Musi istnieć jakiś sposób, aby tego dokonać.*

*Jak przeorowi wiadomo, jestem nowy we Florencji i nie znam tu nikogo, do kogo mógłbym się zwrócić. Jeśli nie okaże się to oczekiwaniem ponad miarę, byłbym wdzięczny za radę i modlitwę.*

*Władza, którą posiadał Savonarola, przeraża mnie nie tylko tym, że uzyskał wielki wpływ na sprawy stanu, ale podważa ponadto doktryny religijne oraz autorytet papieża, co jest ciosem wymierzonym w samo serce Kościoła katolickiego. Nikt nie może czuć się bezpieczny, gdy państwo ulega takim atakom, a Kościół zdaje się pozostawać bezsilny wobec otwartego buntu. Podobnie jak ta garstka aniołów, które upadły z wysokości, ulegając namowom Lucyfera, tak i mieszkańcy Florencji stają w obliczu zagrożeń, które sprowadza na ich głowy Savonarola.*

*Pilnie i z pokorą oczekuję na słowa przeora, ufając mądrości i dobroci zakonu franciszkanów.*

*Germain Rakoczy*

*We Florencji, w Palazzo San Germano,*

*8 lutego 1498*

## . 6 .

Białe mury Sacro Infante jaśniały uroczyście na tle ciemnej ziemi, jednak nowe skrzydło nadal wyglądało na dalekie od ukończenia. Wiatr jęczał pośród drzew, kołysząc ich nagimi, palcowatymi gałęziami. Mimo pogodnego nieba czuło się w powietrzu nadchodzącą burzę.

Siostra Estasia del Mistero degli Angeli klęczała na zimnych kamieniach kaplicy i złączyła dłonie na różańcu. Na jej wynędzniałej twarzy malowało się nieziemskie zgoła uniesienie.

Nie była sama. Obok siedział niewysoki mężczyzna w dominikańskim habicie i obserwował siostrę Estasię nieco wyłupiastymi, zielonymi oczami. Czekał już ponad godzinę, jednak modląca się nie dawała ciągle żadnego znaku, że zamierza obudzić się z transu. Savonarola tracił do niej z wolna cierpliwość. Nie tyle z powodu chłodu, który dawał się we znaki jego obutym w sandały stopom, ile pragnienia, aby poznać wreszcie treść nowych wizji siostry Estasii.

— Co widzisz? — spytał szeptem, wstając z wąskiej ławy w pobliżu ołtarza, przeznaczonej zwykle dla tych, którzy byli zbyt starzy albo nie dość sprawni, aby stać w kaplicy. Niczym drapieżnik zaczął krążyć między pobielonymi ścianami. Najchętniej złapałby siostrę Estasię i potrząsnął nią solidnie.

Coś z jego irytacji musiało się jednak przedrzeć do pogrążonego w niebieskich medytacjach umysłu zakonnicy, opuściła bowiem w końcu różaniec i rozejrzała się wkoło, jakby budziła się z przykrego snu, i to w obcym całkiem wnętrzu. W teatralnym geście przycisnęła spoconą dłoń do czoła.

— Suor Estasia? — odezwał się Savonarola, natychmiast do niej

podchodząc. Pochylił się, aby mogła zobaczyć jego twarz.

Zakonnica zamrugła, krzyknęła i rzuciła się do stóp Savonaroli, błyskawicznie zalewając się przy tym łzami.

— Wielebny przeorze, któryś jest światłem mego zbawienia, moim niebiańskim bratem. — Złapała jego stopę i przyciągnęła ją do swoich ust. Chwilę potem przycisnęła twarz do rzemieni jego sandała.

Mimo zniecierpliwienia Savonarola smakował tę chwilę, pozwalając sobie nawet na lekki uśmiech akceptacji wobec pokory okazywanej przez siostrę Estasię. W końcu pochylił się i dotknął jej ramienia.

— Powiedz mi, dziecko, co widziałaś.

W wychudłej twarzy jej oczy wydawały się jeszcze większe niż zazwyczaj.

— O, święty przeorze, widziałam chwałę, którą mi objawiłeś — powiedziała z promienną pogodą.

— Ale co dokładnie? Tym, którzy Go czczą i są błogosławieni, Bóg zsyła różne cząstki siebie. To, co ty ujrzałaś, nie musiało wcale pojawiać się w moich wizjach. — Skinął, aby wstała, chociaż nie czuł się dobrze w obecności kobiety, która była od niego o pół głowy wyższa.

Jednak siostra Estasia złączyła znowu dłonie i odrzuciwszy głowę do tyłu, zaczęła wyrzucać z siebie miarowym szeptem łacińskie słowa psalmów.

Savonarola nie zdzierzył. Złapał zakonnice za ramiona i potrząsnął nią silnie.

— Musisz mi powiedzieć. Bóg dał ci tę wiedzę, abyś wsparła mnie w walce o zbawienie. Musisz powiedzieć mi natychmiast, co widziałaś.

Psalmy urwały się i Estasia opuściła głowę. Jej twarz zdawała się pusta, obca.

— Widziałam ciebie otoczonego chwałą — powiedziała, patrząc Savonaroli w oczy. — Wysoko nad Piazza della Signoria.

Jaśniałeś blaskiem tak wielkim, że nikt nie mógł zwrócić na ciebie spojrzenia. W dole mnisi wszystkich florenckich zakonów unosili ręce i wołali, że to cud.

Oczy Savonaroli pojaśniały.

— I co więcej, siostrze?

Zmarszczyła czoło, próbując uchwycić ulotne wizje.

— Pamiętam, że pomyślałam, jak słodka jest ta jasność wokół ciebie. Wtedy chmura cię ogarnęła i słychać było dźwięki, jakie nigdy nie rozlegają się na tym świecie. Wypełniły mi uszy i utonęłam w nich. Chciałam podążyć za tobą, aby też dać się ogarnąć jasności. — Wyciągnęła ramiona, jakby na powitanie kochanka.

— Chwała na ziemi? Przed całym światem? — Savonarola nie zauważył w zapale, jak wielką chciwość okazał w tej chwili. Ukłękł powoli na nierównych kamieniach. — Módlmy się, siostrze, aby to była prawdziwa wizja — szepnął. — Wizja objawiona światu przez Boga. Wizja uniesienia nad Florencją w widocznym dla wszystkich blasku. — Przeżegnał się szybko i oparł głowę na dłoniach.

Siostra Estasia opadła na kolana płynnym ruchem, jakby tańczyła pod wodą. Dłonie same poszukały krucyfiksu przy różańcu i uniosły go do ust. Po chwili przyłączyła się do Savonaroli w modlitwie.

Dominikanin wyszedł z kaplicy przekonany, że wizja siostry Estasii była prawdziwa. Widział blask jej oczu i słyszał, jak głośno przyzywała Boga, leżąc na podłodze w tej samej pozycji co zwieszający się nad nią Chrystus.

Zanim opuścił Sacro Infante, zatrzymała go jeszcze siostra Merzede, wyrażając głęboką troskę o siostrę Estasię i sugerując wprost, że jej wizje nie były boskimi posłaniami, ale przejawem szaleństwa. Savonarola ukarał ją natychmiast za folgowanie zawiści i fałszowi,

nakazując przeoryszy zebrać o chleb aż do Wielkiego Piątku i częściej używać bata podczas modlitw w celi.

Nie minęła godzina, a był już w obrębie murów Florencji i skierował się ku franciszkańskiej świątyni Santa Croce leżącej niedaleko Ponte alle Grazie.

Zatrzymawszy się na Piazza della Signoria, spojrzął na pałac, niezwykle budynek z kamienia ciemniejszego niż zwykle używany w mieście. Pomyślał o tym, co usłyszał od siostry Estasii, i zastanowił się, ile jeszcze potrwa, nim skąpany w jasności będzie mógł spojrzeć z góry na Florencję i jej mieszkańców. Cóż będzie znaczyło wówczas potępienie ze strony sprzedajnego papieża?

Jego rozważania przerwała grupa młodych ludzi w prostych strojach Milicji Chrystusa. Kolejno zwrócili się do niego z prośbą o błogosławieństwo i Savonarola musiał wrócić do rzeczywistości.

— Moi młodzi żołnierze — powiedział, gdy zebrali się wokoło. — Musicie zachowywać szczególną czujność. Musicie trzymać się ściśle nauk naszego Pana i głosu Ducha Świętego. Nie możecie dopuścić, aby współczucie przeszkodziło wam wypełniać obowiązki, będzie to bowiem fałszywe współczucie, które zachęci tylko ludzi do trwania w błędzie.

Jeden z młodzieńców uśmiechnął się nadgorliwie.

— Rozumiemy, dobry przeorze. Będziemy pamiętali, co nam powiedziałeś.

— Świetnie. Powinniście zawsze słuchać waszych przełożonych i patrzeć, czy oni z kolei posłuszni są woli Bożej, bowiem każdy, niezależnie od miejsca, jakie zajmuje na tym świecie, zawsze i wszędzie powinien słuchać głosu Boga, przyjmować Jego osądy i kary, które na nas zsyła, jako że wszystko to dzieje się dla Jego chwały i zbawienia naszych dusz.

Najstarszy z chłopców skrzywił się lekko i odwrócił głowę. W

odróżnieniu od pozostałych naprawdę cieszył się tym, że zgodnie z obecnym prawem mógł wejść bez pytania do każdego domu. Dla niego „przełożony” znaczył „silniejszy”. Jego grupa około piętnastu wyrostków była obecnie najsilniejszą bandą grasującą po Florencji. Gdy znowu spojrzął na przeora, na jego twarzy malowały się jedynie skromność i oddanie świętej sprawie.

— Dziękuję, święty przeorze. Zrobimy wszystko, aby okazać się wartymi zaufania, którym nas obdarzyłeś.

— To nie ja. To Bóg wam zaufał, składając na wasze barki to odpowiedzialne zadanie — upomniał go łagodnie Savonarola.

— Bóg, przemawiając przez moje usta. To On was wybrał i Jemu winniście za to dziękować.

Młody człowiek przytaknął. Kilku innych wymieniło konspiracyjne spojrzenia, a jeden, nowy w grupie, zwrócił się do przeora:

— Ale co mam zrobić, jeśli ojciec nie uznaje woli Bożej? Powiedział, że jesteś dumnym i próżnym człowiekiem, który zwodzi nas, przybrawszy maskę fałszywego proroka. Zabrania mi słuchać twych kazań i wiązać się z Milicją Chrystusa. Powiada, że jesteś hipokrytą i dążysz do zdobycia ziemskiej władzy, nie zbawienia dla świata. — Młodzieniec zawahał się. — Próbowałem go przekonywać, ale nazwał to zuchwałstwem. — Twarz chłopaka pociemniała. — A kilka dni temu zbił mnie, bo chciałem wysłuchać mszy w San Marco.

Przerażony podobną zbrodnią Savonarola bez słowa przyjrzał się młodzieńcowi. Oczy mu rozgorzały, a gdy w końcu się odezwał, głos mu drżał ze wzburzenia:

— Nie jestem hipokrytą! Nie powiedziałem niczego, co wedle głosu mego serca nie byłoby słowem zesłanym mi od Boga. Jeśli było kiedyś inaczej, niech mnie Bóg porazi majestatem Jego gniewu. — Zaraz przypomniał sobie jednak wizję siostry Estasii. Wróżba wielkiego triumfu podzielała na niego kojąco. — Twój ojciec tkwi w błędzie,

mój synu. Jeśli go nie wyzna, zgrzeszy. Gdyby dzisiaj umarł, byłby on wielką skazą na jego duszy. — Ponownie przyjrzał się młodzieńcowi. — Nazywasz się Betro Giusto, prawda? Twój ojciec jest chyba kupcem bławatnym. Tym samym pozostaje zależny od członków Arte della Lana, którzy sprzedają mu towary, bo inaczej nie miałby czego oferować swoim klientom i jego interes by upadł. Jednak bracia z cechu to mądrzy ludzie. Nie będą handlowali z bezbożnikiem. Zwłaszcza takim, który okaże się też heretykiem.

Betro Giusto zbladł wyraźnie.

— Mój ojciec błądzi, dobry przeorze, ale nie jest heretykiem. Modli się do świętych i szczerze wierzy. Chodzi do Santa Trinita, do braci z Vallombrosy. Chodzi o to, jak mnie traktuje, nie o wiarę.

— Dobrze, że go bronisz. Godzi się, aby syn bronił ojca — powiedział przyjacielskim tonem Savonarola. — Jeśli jednak naprawdę chcesz mu pomóc, musisz przekonać go, że zszedł na złą drogę, i namówić, aby wyśpowiadał się i przyjął pokutę. Uwierz mi, że to konieczne. W przeciwnym razie dasz do siebie przystęp herezji i sam będziesz musiał szukać odkupienia.

Młody człowiek spojrział na niego z przerażeniem.

— Ale on mnie znowu zbije.

— Męczennicy przyjmowali swe cierpienie bez słowa skargi, bo wiedzieli, że zaprowadzi ich ono bliżej chwały Bożej. Tak i ty musisz, jeśli jesteś prawym chrześcijaninem, przyjąć swe brzemie, ponieważ każda zniewaga, każde uderzenie i każda niesprawiedliwość, jakiej zaznasz, przywiodą cię do większej nagrody w niebie, tamte zaś nagrody nieporównanie przewyższają wszystko, co znaleźć możemy na ziemi. — Ogarnął grupę spojrzeniem. — Módlcie się o siłę i znaki Boże, a będą wam dane. Nie oczekujcie od tego świata sprawiedliwości, bo jej tutaj nie ma. Ludzie są niedoskonali i wielce przez to podatni na zło. Nadzieja jest w niebie i Bożym miłosierdziu.



Chłopcy wymamrotali coś i przyklękli pokornie, aby odebrać błogosławieństwo. Gdy wstali, znowu wszyscy byli wyżsi od przeora.

— Bądźcie czujni. Nie dajcie się zwieść stanowisku, tytułowi albo przyjaźni. Sprawdzajcie po równo wszystkich, Florentyńczyków i obcych. Nie dawajcie się oszukać pozorom, bo najpiękniejsza nawet maska może skrywać zgniliznę grzechu.

— A mój ojciec? — spytał Betro Giusto, nie chcąc odchodzić w niepewności.

— Musimy zbadać jego serce. A ty musisz zbadać swoje. Gdy byłem młody, tak jak ty mieszkałem z ojcem w Ferrarze. Bóg mnie wtedy jeszcze nie naznaczył i wierzyłem mojemu ojcu bardziej niż dominikanom. Chciał, abym się ożenił, ja zaś pragnąłem wówczas pewnej kobiety, córki Florentyńczyka, i powiedziałem ojcu, że to ona właśnie musi zostać moją żoną. Odparł, że Florentyńczycy są na tyle dumni i niezależni, że w swej próżności pogardzają mieszkańcami innych miast. Ja jednak błagałem go tak długo, aż w końcu się zgodził. Wówczas jednak okazało się, że nie tylko jej rodzina nie chce naszego związku, ale i ona sama wyśmiała moje zaloty. Tak brakło mi wówczas łaski Bożej, że długo pomstowałem na nią i jej rodzinę. Potem jednak poszukałem Boga i On do mnie przemówił. Pewnego popołudnia opuściłem dom ojca i poszedłem do klasztoru dominikanów. Przez siedem lat nie widziałem potem rodziny, ćwicząc me ciało i duszę w San Domenico w Bolonii. Bóg pokazał mi, że przede wszystkim Jemu winienem służyć, otwierając przy tym oczy na doczesną próżność i zło, które czyha na mężczyzn w kuszących ciałach kobiet. — Uśmiechnął się niemal dobrotliwie. — Florencja wyszydziła mnie kiedyś, ja zaś odpłacam jej, pokazując temu miastu drogę do zbawienia.

Betro Giusto spojrział spode łba na przeora, jednak reszta grupy pokiwała z powagą głowami i poczekała, aż oddalający się Savonarola

dojdzie do środka placu, żeby wtedy dopiero wybuchnąć głośnym śmiechem.

Stare i surowe piękno Santa Croce nie robiło na przeorze większego wrażenia. Ledwie spojrzawszy na smukłe okna gotyckiej świątyni, wszedł do środka.

Poprosił pierwszego napotkanego franciszkanina o przekazanie przeorowi wiadomości, że Savonarola chce z nim mówić. Potem przeszedł przez całą długość kościoła, zauważając, że przednia jego część była ciągle nieukończona.

Orlando Ricci miał sporo ponad czterdzieści lat. Krzepkie niegdyś i sprawne ciało przelewało mu się teraz pod habitem. Szedł powoli, jakby stopy go bolały, a gdy ujrzał, że to rzeczywiście Savonarola na niego czeka, na jego twarzy odbił się wyraz słabo skrywanej irytacji. Opanował się jednak i podszedł bliżej.

— Oby Bóg dal ci dobry dzień, fra Girolamo. To dla mnie niespodzianka, że widzę cię w kościele.

Po takim uderzeniu w stół nożyce nie mogły się nie odezwać.

— Moja ekskomunika jest nieważna. Obecny papież to obmierzły libertyn i tym samym nie ma żadnego prawa stanowić sądu nad pobożnymi.

Przeor Santa Croce nie cenił przesadnie Rodriga Borgii, który zasiadał na tronie Piotrowym jako Aleksander VI, ale nie to było w tej chwili najważniejsze.

— Niezbadane są wyroki niebieskie i człowiek nie może ich roztrzasać. Skoro Bóg wyniósł Borgia do tego zaszczytu, widać miał w tym jakiś cel. Nie wolno zapominać, że nawet ludzkie błędy służą chwale Bożej. — Skinął w kierunku jednej z bocznych kaplic. — Czy wolisz może porozmawiać bardziej prywatnie? Na razie nie ma tu wielu ludzi, ale to może się zmienić...

— Nie. — Savonarola spojrział na Orlanda surowo. — Nie

pozbędziesz się mnie tak łatwo, bracie. Słyszałem, że znowu pisałeś do Jego Świątobliwości, oskarżając mnie o bezbożność. Ostrzegam cię, że nie będę tolerował rozpowiadania o mnie podobnych kłamstw. Napiszesz do papieża, że wsłuchałeś się w swoje sumienie i zmieniłeś zdanie.

Orlando uśmiechnął się promiennie.

— Nie mogę tego uczynić, fra Girolamo. Niezmiennie przeciwny jestem twoim działaniom.

— Co by cię przekonało? — Savonarola założył ręce i spojrzał ze złością na siwowłosego franciszkanina.

— Bezpośrednia Boża interwencja w twojej sprawie, fra Girolamo. Tylko i wyłącznie. — W głosie starego przeora pojawiła się nuta nieugiętości, która cechowała go wiele lat temu, gdy jako młody człowiek objął swe stanowisko.

Savonarola tylko na to czekał.

— Dobrze. Bardzo dobrze. Gdy Bóg tak mnie wyniesie, żei zawisnę nad Piazza della Signoria, skąpany w Jego blasku, czy poczujesz się przekonany? — W jego oczach błysnęło coś takiego, że przeor Santa Croce poczuł się mocno nieswojo. — Czy to wystarczy?

— Tak — odparł powoli Orlando Ricci. — To wystarczy.

— I napiszesz tego dnia do papieża, że wierzysz we mnie i uznajesz, że to Bóg mnie prowadzi? — Savonarola był tak pobudzony, że nieświadomie przysunął się do starszego franciszkanina.

Przeor przyjrzał się uważnie Savonaroli.

— Jeśli taki dzień nadejdzie — zaczął powoli, starannie odmierzając słowa, których echo wróciło zaraz odbite od sklepienia świątyni. — Jeśli nadejdzie dzień, kiedy uniesiesz się nad Piazza della Signoria i uczynisz cud, którego świadkami będą wszyscy mieszkańcy Florencji, wówczas, jeśli będzie to dzieło Boże, odwołam wszystko, co przeciwko tobie powiedziałem.

Savonarola uśmiechnął się szeroko.

— Byłem dziś w Sacro Infante. Siostra Estasia miała wizję, w której działa się właśnie to, co tobie jest potrzebne. — Wiedział, że Ricci nie wierzył w dar siostry Estasii, ale uważał, że odniesie jeszcze większe zwycięstwo, jeśli ten stary głupiec będzie musiał poprzeć nie tylko jego, ale i natchnioną zakonnicę.

— Przekonamy się z czasem, czyjej wizja była prawdziwa — powiedział franciszkanin. — Chociaż mam tyle lat, że mogę już znaleźć się w grobie, gdy ten cud nastąpi. — Ton jego głosu sugerował, że takiego właśnie biegu zdarzeń oczekuje. Spojrzał na Savonarolę. — Czy to wszystko, wielebny przeorze San Marco, czy może chciałeś mi przekazać coś jeszcze?

— Są jeszcze dwie sprawy — warknął Savonarola, coraz bardziej wściekły. — Jak się domyślasz, Stosy Próżności muszą zyskać powszechne poparcie, aby okazały się skuteczne i pomogły w zbawieniu Florencji.

— Cóż, nie sądzę, aby tak było — powiedział przepaszającym tonem Ricci. — Nie wydaje mi się, aby palenie tego wszystkiego, co określasz jako świadectwa próżności, było konieczne. Zniszczyłeś już wiele przedmiotów, które przydawały chwały Bogu i Florencji. Zmieniasz to miasto w pustynię i odmawiam przyłożenia do tego ręki.

— Taka jest wola Boża! — powiedział Savonarola podniesionym głosem. — Nasz Pan też szukał samotności na pustyni, aby móc oddać się medytacji.

— Ale miasto to nie pustynia! — Przeor Orlando Ricci miał już naprawdę dosyć. — Florencja była od lat najwspanialszym miastem w Italii, włączając w to Rzym. Jeszcze trzy lata twoich rządów, a najmarniejszy przysiółek na Sycylii będzie piękniejszy niż Florencja. Nie, nie pomogę ci. Nie powiem moim braciom, aby cię słuchali. Do ostatniego tchu będę przeciwstawiał się temu szaleństwu i modłę się,

aby Bóg pozwolił mi żyć na tyle długo, iżbym mógł ujrzeć, jak spadasz w otchłanie piekielne. — Twarz franciszkanina była blada i trząsał się cały ze złości. — Nie poproszę cię o wybaczenie, dobry przeorze, bo nie żałuję tego, co powiedziałem. Jednak pożegnam cię teraz, zanim powiem coś więcej.

Savonarola nie dał tego po sobie poznać, ale wybuch szarego zakonnika mocno go zaniepokoił.

— Będę się za ciebie modlił — powiedział oficjalnym tonem.

— I ja będę modlił się za ciebie. — Przeor Santa Croce odwrócił się i zniknął po chwili w cieniach świątyni, zostawiając Savonarolę samego pod pełnym ech sklepieniem.

List Lodovica da Roncale do i Priori Florencji:

*Do Wielce Szanownych Przywódców Republiki Florencji od Lodowica da Roncale, brata cechu budowniczych, dla ostrzeżenia przed możliwym zagrożeniem kryjącym się w samym centrum naszego ukochanego kraju.*

*Za cztery dni Florencja będzie pokutować za grzechy i każdy z nas będzie wzywany do wyspowiadania swoich sekretnych win. Odpowiadając na wezwanie przeora San Marco, chcę przedstawić sprawę, o której powinienem napisać Signorii zaraz po powrocie do Florencji, ponad trzy lata temu. Wówczas jednak nie wydala mi się istotna, bowiem podejrzany, z którym ma ona związek, uciekł z miasta, nim zdążyłem wnieść przeciwko niemu oskarżenie. Teraz jednak zjawił się we Florencji jego krewniak, przez co poczułem się w obowiązku, aby się do Was zwrócić.*

*Jak można sprawdzić w zapisach, byłem jednym z budowniczych wynajętych przez cudzoziemca Francesca Rakoczego do budowy Palazzo San Germano. Czterech spośród zatrudnionych, w tym i ja, zostało następnie zaangażowanych do niejawnych prac w tym budynku. Wymagało to od nas złożenia ślubowania, które podpisaliśmy własną*

krwią. Nie jest sekretem, że Rakoczy parał się alchemią. Nigdy jednak nie odkryto, gdzie to czynił. Stało się tak, ponieważ tajemne pomieszczenia w jego domu pozostają takimi do dzisiaj i nikt nie potrafi powiedzieć, jakie bezbożne praktyki miały w nich miejsce. Nawet mój starszy brat z cechu, Gasparo Tuccio, martwił się z tego powodu. Na dodatek mamy tylko słowo Rakoczego na dowód, że Gasparo wyszedł od niego w tę noc, kiedy zniknął.

Powinniście gruntownie przeszukać pałac, w tym również te sekretne pomieszczenia. Milicja Chrystusa ma prawo wchodzić do wszelkich budynków, zatem mogą się tym zająć. Wejście jest ukryte na półpiętrze klatki wielkich schodów za drewnianymi, rzeźbionymi panelami. Trzeba poruszyć jedno ze zdobień, aby je otworzyć. Spróbujcie.

Nagroda za odnalezienie Gaspara Tucchią, żywego lub martwego, bardzo mi się przyda, bowiem cierpię niedostatek. Ustalenie jego losu pomoże mi też uspokoić sumienie.

Pozwoliłem sobie porozmawiać z krewniakiem Rakoczego, pytając, czy nie mógłby mi pomóc, skoro pracowałem dla jego stryja, który przecież był mi winien pewną sumę. Krewniak okazał się jednak człowiekiem bez serca i oskarżył mnie o próbę szantażu. Przykre to, gdy lojalność wobec pracodawcy nie zostaje nagrodzona. Powiedział też, że nic nie wie na temat długów ani działalności stryja, co może być prawdą, bo chyba nie byli blisko.

List ten pisze w moim imieniu fra Giorgio w San Felice i to on go doręczy. Przysięgam przed nim i przed Wami, że wszystko, co powiedziałem, to prawda i że chcę szczerze oczyścić serce moje z grzechu przed dniem skruchy.

Mam nadzieję, że zajmiecie się przedstawioną przeze mnie sprawą, i dziękuję, że zechcieliście mnie wysłuchać.

Znak nakreślony przez Lodovica da Roncate członka cechu budowniczych ręką fra Giorgio, San Felice

*We Florencji, 4 lutego 1498*

## . 7 .

Rakoczy czuł gorycz pod językiem. Ledwie słuchał ostatnich modlitw i błogosławieństw, zastanawiając się, co powinien teraz zrobić. Hostia, którą dopiero co otrzymał, była zatruta.

Msza pokutna trwała bardzo długo, zabierając większość poranka i prawie całe popołudnie. Teraz, gdy było już niemal po wszystkim, Florencja zdawała się pogrążyć w letargu. Czekał na ostatnie słowa, Rakoczy próbował zidentyfikować truciznę. Uznał, że raczej nie jest to nic szybko działającego. Nie oczekiwano, że padnie martwy podczas nabożeństwa. Taki akcent byłby dzisiaj niepożądany, pomyślał z niechęcią. To był dzień poniżenia Florencji, dzień okrycia wszystkich wstydem i zohydzenia wszystkiego, co w tym mieście piękne. Śmierć miała nadejść później. To znaczyło, że miał jeszcze sporo czasu, spokojnie skupił się więc na ostatnich akcentach mszy.

Potem pozostał w świątyni tylko na tyle długo, aby zamienić kilka słów z Sandrem Filipepim. Traktowali się jak uprzejmi wobec siebie obcy, jednak tym razem Rakoczy spróbował powiedzieć coś więcej.

— Moje podanie o zwolnienie donny Demetrice nie zostało nawet jeszcze rozpatrzone. Bardzo mnie to niepokoi. Masz jakieś pomysły, Botticelli?

Sandro spojrzał na niego zakłopotany.

— Całe to oskarżenie jest bez sensu. Wystarczy zadać kilka prostych pytań, aby się przekonać, że ona nie jest heretyczką.

— Czy wiesz, w jaki sposób dominikanie zadają pytania? — spytał cicho Rakoczy — Najpierw zabierają do ciemnego pokoju, gdzie rozbierają aresztowanego i nakładają mu strój więźnia. Potem kat pokazuje mu wszystkie swoje narzędzia i wyjaśnia dokładnie, które do czego służy. Następnie dominikanie informują, że jeśli usłyszą te



odpowiedzi, na które czekają, nie będzie tortur ani badania. Demetrice jest odważna i trzeba będzie czegoś więcej niż groźby, aby ją złamać. Wezmą ją więc zapewne na rozciąganie, bo ono nie uszkadza skóry. Jeśli stawi opór i nie umrze, przejdą do prawdziwych tortur, zapewne gorących szczypiec albo buta. Wtedy powie wszystko, co będą chcieli, byle tylko uniknąć dalszego bólu. Wszystko. Tak samo jak ty na jej miejscu. Sandro pobladł mocno, ale pokręcił głową.

— Może tak jest w Hiszpanii, ale nie we Florencji.

— Tak? To dlaczego chcesz spalić swoje obrazy za odrobinę spokoju?

Sandro odwrócił się, nie umiejąc spojrzeć Rakoczemu w oczy.

— Nie sądzę... Jej tego nie zrobią.

— Jej nie? — spytał z identycznym niedowierzaniem San Germano.

— A co ich powstrzyma? Mieszkała w pałacu Medyceuszy, co już jest grzechem. Kochała Laurenza, co jest grzechem jeszcze większym. Potem zaś pracowała i uczyła się w Palazzo San Germano, i tutaj trudno już znaleźć czyn bardziej haniebnym. Na dodatek jest wykształcona, co przemawia na jej niekorzyść.

— Jednak do czasu rozpatrzenia petycji nie powinni niczego robić. Na razie jest tylko więźniem czekającym na dalsze rozstrzygnięcia.

— Savonarola nie pozwoli na podobną praworządność. Papież zajmie się nim w końcu, i to zapewne niebawem, nie może bowiem dłużej tolerować tak wielkiej obrazy. Jeśli zatem Savonarola chce zachować swą pozycję, musi działać szybko. Podporządkował już sobie konsulów i jeśli powie, aby odrzucili tę petycję, tak się stanie. Czyżbyś wątpił w to, Sandro?

Botticelli potrząsnął ciężko głową.

— Nie. Masz rację. Niech nam Bóg wybaczy, masz rację. — Machnął ręką, co mogło być gestem rezygnacji, ale też wyrazem żalu, i oddalił się szybko przez rzednący tłum.

Droga z Santa Maria del Fiore do Palazzo San Germano zajmowała zwykle około dziesięciu minut, dziś jednak Rakoczy z rozmysłem szedł wolniej. Kroki stawiał niepewnie, jakby nie czuł się najlepiej, aż mijający go przechodnie przystawali i pytali, czy nie potrzebuje pomocy. Dziękował wszystkim uprzejmie, ale w taki sposób, aby widać było, że chyba jest chory.

Do pałacu wszedł pół godziny później, powitany przez Ugo i Natale'a, dwóch służących, których zatrudnił tydzień wcześniej. Natale był w średnim wieku i okazywał pełną lojalność wobec rodu Medyceuszy, u których służył kilka lat wcześniej. Był dumny, że pracuje u Rakoczego, ponieważ domniemany stryj cudzoziemca zaliczany był do palleschi i pamiętano, że wyrażał poparcie dla nich nawet wtedy, gdy ludzie zaczęli odwracać się od czerwonych kul. Ugo był inny. Młodszy, gorliwy i wedle wszelkich znaków pracował tak naprawdę dla Signorii albo Savonaroli. Rakoczy miał to za nierozsądne, ale jak długo młodzieniec wywiązywał się z obowiązków, jego fanatyzm dawał się znieść.

— Dobrze się czujesz, panie? — spytał Natale z prawdziwą troską, zamykając drzwi za Rakoczym.

— Sam nie wiem. Jest mi jakoś dziwnie. — San Germano spróbował wejść po schodach, ale przy drugim stopniu noga mu się omsknęła. — W głowie mi się kręci.

Natale zareagował pierwszy. Pospieszył do Rakoczego i podał mu ramię.

— Proszę, panie. Pomogę. Rakoczy oparł się na nim.

— Jest mi zimno i gorąco jednocześnie — powiedział i dodał kilka pełnych narzekania zdań po węgiersku. — Jestem chory. Muszę się położyć. — Udając dodatkowo, że zaczyna mieć mdłości, raz jeszcze spróbował wejść po schodach.

— Nie, panie — sprzeciwił się Natale. — Ugo pójdzie przodem i

przygotuje pański pokój. Pan musi tu poczekać. Proszę nie ryzykować więcej.

Rakoczy przyjął propozycję.

— Poczekam. — Odwrócił się szybko do Ugo i zdążył dostrzec uśmiezek na jego twarzy. — Tylko się pospiesz, Ugo.

Młodzieniec pobiegł po schodach. Gdy zniknął na galerii, Rakoczy zwrócił się do Natale'a:

— Przygotujesz mi szkandelę? Chyba nie zniósłbym teraz zimnej pościeli.

— Ale nie wolno panu samodzielnie wchodzić po schodach — ostrzegł go służący.

— Może spróbuję, ale jeśli będę zbyt słaby, poczekam na ciebie.

— Uniósł ciężko rękę. — Chyba nie zajdę daleko.

Natale przyjął jego zapewnienie, chociaż i tak zerknął nieufnie na Rakoczego.

— Wróć jak najszybciej, panie. I przyniosę piecyk, aby napalić w pańskim pokoju. Są jeszcze zioła lecznicze, które dają uzdrawiający dym...

— Wiem, że chcesz jak najlepiej — przerwał mu San Germano.

— Cokolwiek zrobisz, będę wdzięczny. Natale uśmiechnął się przelotnie.

— To miło z pańskiej strony.

Upewnił się, że Rakoczy mocno opiera się o balustradę, i pospieszył w stronę schodów do piwnicy.

Kiedy Rakoczy został wreszcie sam, wyjął opłatek spod języka. Przyjrzał mu się, powąchał i pożałował, że nie może skorzystać z kusząco bliskiego laboratorium, aby sprawdzić, co dokładnie Savonarola mu podał. Wsunął opłatek w rękaw i pomyślał, że spróbuje wstać w środku nocy i dokonać jednak analizy.

Zanim w tych nielicznych domach, gdzie nie przestrzegano postu,

służba zaczęła podawać prandium, Rakoczy leżał już między dwoma płóciennymi prześcieradłami w łóżku, które obecnie uchodziło za jego własne. I tutaj znajdowała się pod materacem warstewka ziemi, poza tym jednak niczym nie różniło się od pozostałych. Wyciągnął się na plecach, udając coraz bardziej chorego.

Z początku Natale zadeklarował, że będzie czuwał przy swym panu w nocy, ale Rakoczy szybko ostudził jego szlachetne zapędy.

— Nie — stwierdził chrapliwym głosem. — Mam dzwonek, aby wezwać cię w razie potrzeby. Chciałbym jednak, byś był jutro pod ręką, na wypadek gdybym czuł się gorzej. — Dotknął wysadzanego klejnotami krucyfiks, który nosił na szyi. — Pragnę pomodlić się w samotności.

Natale nie zdziwił się, gdyż modlitwę uznawano ostatnio za najskuteczniejsze lekarstwo. Po raz ostatni poprawił Rakoczemu pościel i życzył mu dobrej nocy.

San Germano leżał i czekał, pewien, że Ugo zjawi się nocą, aby zbadać stan jego zdrowia.

Młodzieniec go nie rozczarował. Kilka godzin później, gdy noc otuliła miasto chłodnymi skrzydłami, drzwi uchyliły się na kilka cali i do mrocznego pokoju wsunęła się męska głowa.

— Kto tam? — zawołał cichym głosem Rakoczy. Oparł się na łokciach, jakby na nic więcej nie miał siły, i ujął krucyfiks w prawą dłoń.

— To ja, Ugo — powiedziała postać, wchodząc do pokoju. Młodzieniec ubrany był w oliwkowy strój zarządcy, jednak Rakoczy dostrzegł opaskę na jego ramieniu. Nie było na niej znaku domostwa. Zamiast herbowego zaćmienia jaśniał tam uniesiony nad miastem ognisty miecz, symbol Milicji Chrystusa.

— Modliłem się — powiedział Rakoczy, ponownie się kładąc i wzdychając głęboko. — Ale nadal nie czuję się dobrze.

Ugo postarał się opanować uśmiech i prawie mu się to udało. Rakoczy skinął na służącego, aby podszedł bliżej.

— Nie wiem, co się dzieje. Czy jest w tym mieście jakiś lekarz?

— Powinien pan myśleć raczej o duszy, nie o ciele — rzucił Ugo i stanął przy łóżku.

— Myślałem już o duszy — odparł Rakoczy, unosząc krucyfiks. — Jednak moje modlitwy nie mają chyba dość żaru. Albo jestem zbyt chory. — Przeszedł na węgierski i odwrócił się od młodzieńca.

— Ale co się dzieje, panie? - spytał z wyraźnym zainteresowaniem Ugo. — Co to za choroba?

— Nie wiem. — Rakoczy starał się zrobić wrażenie, że jest jednocześnie zły i wystraszony. — Nic takiego nie robiłem. Tyle że krótko po mszy poczułem ból, jakby coś paliło mi wnętrzności. —89 Spojrzał na służącego. — Módl się za mnie. Chcę, abyś się za mnie modlił.

— Oczywiście. — Ugo padł na kolana tuż przy łóżku i wyciągnął krucyfiks spod swojej szaty. Krzyżyk był srebrny, z misternym i cennym łańcuszkiem. — Drogi Panie Boże, który widzisz nasze serca i wiesz wszystko — powiedział niemal odruchowo. — Chociaż niewart jestem tego, by się do Ciebie zwracać, proszę o wysłuchanie ze względu na Syna Twego Jezusa i tego obcego, który cierpi.

Rakoczy powtarzał jego słowa, uśmiechając się gorzko w myślach. Ugo przemawiał tak pewnym głosem, jakby uważał, że deklaracja pokory czyni go lepszym od wszystkich, którzy się nie ukorzyli.

— Dobrze, Ugo — powiedział, kładąc dłoń na dłoni młodzieńca. Ugo nie ustawał w modlitwie, jednak Rakoczy zdawał się ciągle słabnąć. Trochę po północy przerwał modły, oznajmiając, że czuje się jeszcze gorzej.

— Dziękuję, Ugo, ale chyba potrzebuję księdza — wyszeptał. Na młodzieńcu nie zrobiło to większego wrażenia. Przeżegnał się i wstał.

— Po co, panie? Chyba nie myśli pan przyjmować ostatniego namaszczenia?

— Może i tak. Modlitwy nie pomogły...

— Proszę mi pozwolić pójść po Savonarolę. On ma siłę i Bóg przeznaczył go do wielkich rzeczy. — Po raz pierwszy Ugo przemawiał z prawdziwym entuzjazmem. — Przyjdzie. Wiem, że to zrobi. Jego modlitwy pana uzdrowią.

Rakoczy bardzo liczył na taki właśnie obrót sprawy, nie mógł jednak się z tym zdradzić.

— Savonarola to bardzo zajęty człowiek, ma wiele obowiązków. Nie byłoby właściwe zawracać mu głowę w takiej sprawie... — Urwał, dysząc ciężko, z ręką przyciśniętą do piersi.

— Przyjdzie — obiecał Ugo. — Powiem mu, że jest pan bardzo chory i może umrzeć bez jego pomocy. — Szybko podszedł do drzwi. — Obudzę Natale'a, aby modlił się z panem, gdy mnie nie będzie.

— Bardzo ci dziękuję — powiedział słabo Rakoczy, chociaż nie był zadowolony, że będzie musiał grać swoją rolę także przed drugim służącym. Ugo wyszedł, a San Germano wykorzystał chwilę samotności, aby pogimnastykować się chwilę i rozmasować mięśnie.

Natale mało co mówił, ale przyniósł świece i ustawił je wkoło łóżka. Sprawdził lodowate czoło Rakoczego i mocno się zasmucił. Uporządkowawszy trochę pokój, przysunął sobie krzesło i siadł obok łóżka.

— Czy mam poczytać panu Ewangelię? Mam ją w swoim pokoju.

— Tak. Potrzebuję świętych słów. — Gdy Natale wrócił kilka minut później, Rakoczy leżał nieruchomo i oddychał ciężko.

Ugo zjawił się ponad godzinę później. Wpadł do pałacu i tupiąc głośno, pognał po schodach. Jakby tego było mało, z daleka uprzedzał krzykiem, że przeor go wysłuchał.

— Idzie! — radował się w biegu. — Naprawdę tu idzie! — dodał,

otwierając gwałtownie drzwi sypialni, gdzie napotkał lodowate spojrzenie Natale'a.

— Weź może pod uwagę, że nasz pan jest ciężko chory. Być może bliski śmierci. Okaż mu trochę szacunku i uspokój się.

Ugo spróbował przybrać właściwą postawę i zasadniczo mu się to udało, tylko oczy miał wciąż radośnie rozbiegane.

— Cieszyłem się tylko, że Savonarola przyjdzie pomóc modlitwą naszemu panu — powiedział tonem obrony.

Natale musiał nie mieć najlepszej opinii o talentach przeora dominikanów.

— Jeśli istnieje jakieś uzdrawianie, to Bóg jest lekarzem — powiedział chłodnym tonem, krzyżując ręce na piersi. — Wychwalać księdza, który się modli, to jak pozdrawiać deszcz w czasie suszy. Każdy robi tylko to, na co Bóg pozwala.

— To nie tak — zaprotestował Ugo, splatając nerwowo dłonie. — Savonarolę sam Bóg natchnął i słucha jego modlitw. Savonarola ma wizje. Wiedział, kiedy Medyceusz umrze, i tak też się stało. Wiedział, kiedy Francuzi zjawią się we Florencji.

— Jasne — parsknął Natale. — Może nawet sam ich zaprosił. — Nagle przypomniał sobie o Rakoczym. — Nasz pan leży chory w strachu o swe życie. Dość sporów. Poczekaj przy drzwiach na Savonarolę, a gdy przyjdzie, zamknij je porządnie, aby żaden łotr tu nie wtargnął.

Ugo niezbyt umiał się do tego przyznać, ale Natale był dla niego pewnym autorytetem, tak więc zaraz wyszedł na korytarz, gdzie przypomniał sobie, że nie spytał wcale o stan zdrowia Rakoczego.

Aby mu odpowiedzieć, Natale podszedł do drzwi i zniżył głos do szeptu w nadziei, że chory go nie usłyszy.

— Słabnie. Nie wiem, czy dotrwa do świtu, o wschodzie słońca nie wspominając. Już teraz jest całkiem zimny i wcale się nie poci. Gdy

może mówić, twierdzi, że stado diabłów grasuje mu w brzuchu. Nie da rady zjeść niczego. Zobaczymy, co Savonarola dla niego zrobi. — Nie został, aby wysłuchać pełnej przerażenia odpowiedzi młodzieńca, tylko od razu wrócił na krzesło.

Schodząc ponownie po schodach, Ugo próbował dojść jakoś z tym wszystkim do ładu. Jeśli Rakoczy naprawdę był bliski śmierci, to wzywanie Savonaroli nie miało sensu. Sam nie śmiał się do tego przyznać, ale nie wierzył, aby modlitwa mogła naprawdę coś tu pomóc. Przystanął w loggii i pomyślał, że Palazzo San Germano to jednak nazbyt puste miejsce. Tyle przestrzeni dla jednego węgierskiego szlachcica i dwóch służących. Przypomniawszy sobie, że ten drugi Rakoczy urządzał tu wytworne przyjęcia i miał liczniejszą służbę. Szkoda, że jego krewniak nie jest tak rozrzutny. Poza kwestią stroju, oczywiście. Za te ubrania, które nosił, można by kupić msze na cały rok. Ale co z tego, dodał w myślach Ugo. Mimo wytworności i tej pięknej klaczy w stajni leżał teraz chory i ogień trawił mu trzewia. I skromnego mnicha wzywał na pomoc.

Ugo nadal nie otrząsnął się jeszcze z zadumy, gdy usłyszał ostre pukanie do drzwi. Błyskawicznie doszedł do siebie.

Girolamo Savonarola przekroczył próg z cyboryum w jednej ręce i Ewangelią w drugiej. Stan habitu sugerował, że przeor musiał ubierać się w sporym pośpiechu. Przystanął w loggii i ogarnął spojrzeniem wspaniałe wnętrze.

— Ile tu próżności — powiedział. — I chcesz, abym się za niego modlił? Za kogoś, kto mieszka w takim luksusie? Ugo opuścił głowę, ale odpowiedział:

— To nie on zbudował i urządził ten pałac. To był jego stryj. Powiedziałeś, przeorze, że będziesz się modlił.

— Tak. Będę. — Spojrzał na młodzieńca. — Dobrze się sprawiłeś, synu. Wiele nam powiedziałeś o tym człowieku, i to takich rzeczy,



których nie poznalibyśmy bez złamania tajemnicy spowiedzi. A jego spowiednikiem jest franciszkanin. — Ostatnie zdanie powiedział z narastającą złością, zaraz jednak się opanował. — Wywiązałeś się z obowiązku. Wybierając Kościół ponad chwilowe profity wynikające z zatrudnienia, zasłużyłeś na miejsce w niebie — dodał, pospiesznie błogosławiąc chłopaka. — Gdzie leży ten obcy?

— W swojej sypialni. Pokażę drogę. — Ugo zaryglował drzwi i spróbował jakoś zachować twarz w obecności swojego największego bohatera. — Proszę za mną, dobry przeorze. Mój pan czeka.

— Idę — mruknął Savonarola, pokazując młodzieńcowi, aby pierwszy wszedł na schody.

Gdy weszli do sypialni Rakoczego, w nozdrza uderzył ich zapach palonych ziół. Natale dorzucał coraz to nowe badyle do piecyka stojącego w pobliżu rzeźbionego i malowanego łóżka. Odsunął się szybko, gdy Ugo wszedł do pokoju i ustawił przy łóżku klęcznik.

— Nadal sądzę, że to bez sensu — mruknął, przechodząc obok młodzieńca.

Ugo nie odpowiedział, ale malująca się na jego twarzy satysfakcja mówiła sama za siebie. Savonarola wyminął ich i podszedł do posłania takim krokiem, jakim myśliwy podkrada się czasem do niedźwiedzia. Położył dłoń na twarzy Rakoczego i poczuł jej lodowaty chłód.

— Jesteś w śmiertelnym niebezpieczeństwie — poinformował chorego.

Rakoczy pokiwał głową. Lekko, prawie nie wgniatając poduszki.

— Wiem — zgodził się i spróbował unieść krucyfiks, ale nie starczyło mu sił. Zamknął oczy, wiedząc, że jeśli Savonarola w nie zajrzy, z miejsca zauważy brak jakiegokolwiek niebezpieczeństwa. — Módl się za mnie, dobry przeorze. Jesteś moją ostatnią nadzieją.

Dominikanin zawahał się. Z jednej strony widok bezradnego

całkiem cudzoziemca sprawiał mu satysfakcję, z drugiej musiał przyznać, że ma przed sobą dzielnego człowieka, skoro tak bez słowa skargi potrafił znosić wielkie cierpienie.

— Czy przyjmiesz każdy wyrok Boga? — spytał.

— Tak — wyszeptał Rakoczy na tyle cicho, że Savonarola ledwie go usłyszał. Obcy spróbował się przeżegnać, ale drżąca ręka opadła z powrotem na posłanie.

Przeor uklęknął, odczuwając całkiem nieznaną mu dotąd frustrację. Zaczynając modły, nie myślał prawie o tym, co mówi. Zastanawiał się, co właściwie tak bardzo niepokoi go w tym człowieku.

— Święty Boże, Ojczy, Synu i Duchu Święty, Święta Trójco, błagam, usłysz mnie i wysłuchaj mej modlitwy. Służyłem Ci bowiem przez całe życie z oddaniem i wiarą. W Twoim imieniu wygnaniem zepsucie i grzech z tego kraju, przed Twoim imieniem potężni i bogaci padają na twarz. Przeto błagam Cię, abyś spojrział na tego niegodnego śmiertelnika, który leży przed Tobą, i zbadał jego serce. Jeśli godzien jest otrzymać Twe dary, jeśli nie przesiąkł zepsuciem, jeśli zdolny jest pojąć Twoje miłosierdzie, uzdrów go z ciężkiej choroby, która może zakończyć jego życie.

Ugo obserwował pilnie przeora, Natale zaś odsunął się z kamienną twarzą, nie okazując żadnej emocji. Savonarola uniósł ręce i jego mocny głos wypełnił komnatę.

— Błagam, abyś mnie wysłuchał, błagam, abyś przybył do tego cierpiącego i dla swej chwały go uleczył. Błagam, abyś oczyścił go z choroby, by nigdy nie naraził się na potępienie. Ale jeśli zepsuty jest i grzeszny, poraż go, aby jego grzechy nie kalowały więcej oblicza ziemi, i niech zamieszka z demonami pośród wiecznie płonących ogni piekła, gdzie wszyscy grzesznicy zawsze trafiają. Osądź tego człowieka, błagam. Jeśli życie wiódł cnotliwe, uratuj go dla zbawienia, teraz i na zawsze. Jeśli jednak uległ podszeptom zła, zniszcz go tak, jak

niszczysz wszystkich, którzy z Ciebie szydzą.

Rakoczy poruszył się lekko i jęknął. Jego palce przebiegły niespokojnie po pościeli.

— Ujrzyj tego człowieka. Wiesz, kim jest. Jeśli jego choroba to kara za nieświęte myśli i uczynki, odrzuć go i niech wyje w piekle po wszystkie czasy. Uratuj go wtedy tylko, jeśli jest cnotliwy i uznasz, że godzien jest życia, ja zaś godzien jestem być tego ratunku narzędziem. — Głos Savonaroli przechodził z wolna w skrzek, sam zaś kaznodzieja wyprostował się na kolanach i pozostał dłuższą chwilę w tej pozycji. Potem opadł na pięty pośród coraz bardziej gęstego dymu z palonych ziół.

— Nic więcej nie mogę. Teraz Bóg zdecyduje, czy będzie mi dane uratować tego człowieka. — Wstał niepewnie z cyborium nadal zwieszającym mu się na łańcuszku z ręki.

Natale zakaszłał w sposób, który mógł być próbą zamaskowania nieprzystojnego parsknięcia. Ugo zgromił go spojrzeniem i zwrócił się do Savonaroli:

— Zrobiłeś więcej, niż ktokolwiek mógłby od ciebie oczekiwać. Jeśli umrze, będzie to, jak mówisz, wola boska i boski osąd. Jeśli przeżyje, to dzięki twojej modlitwie, bo jego własna nic nie dała. — Ukląkł przed niewysokim przeorem. — Jesteś tym, który czyni cuda, błogosławiony Girolamo. Nikt nie może temu zaprzeczyć — dodał z emfazą, czekając na reakcję Natale'a.

Starszy służący nic jednak nie powiedział, bowiem Rakoczy poruszył się znowu. Nie tylko się poruszył, ale nawet usiadł, jakkolwiek uczynił to z wielkim wysiłkiem. Spojrzał Savonaroli w oczy i przemówił słabym, ale czystym głosem:

— Dziękuję ci za modlitwę, dobry przeorze. Bóg cię wysłuchał.

Trudno powiedzieć, kto był bardziej zaskoczony. Ugo krzyknął coś zduszonym głosem, Natalemu łzy pociekły po policzkach, Savonarola

zbladł zaś jak ściana i tylko w jego zielonych oczach błysnęło coś nieprzyjemnie. Rakoczy mówił zaś dalej, z każdą chwilą głośniejsze i wyraźniej:

— Ten ogień, który trawił me trzewia, przygasa. Ręce mam znowu ciepłe. Tyś to uczynił, święty przeorze. Twoja modlitwa mnie odmieniła. Czuję się jak ktoś oczyszczony z zabijającej go trucizny. Wiele ci zawdzięczam — dodał, uznając, że pora kończyć przedstawienie. Sięgnął po leżący na stoliku nocnym pierścień, który nosił tego dnia. Był to pierścień z wielkim polerowanym szmaragdem, przywiezionym ongiś z Birmy. Rakoczemu żal było się z nim rozstawać, pomyślał jednak, że to niewielka cena za pokonanie Savonaroli jego własną bronią. — Proszę, weź go. To najlepszy, jaki mam. I bądź pewny, że w przyszłości odpłacę ci tak, jak na to zasłużyłeś.

Savonarola podszedł do łóżka na drewnianych nogach i bez słowa czy grymasu wyciągnął rękę po pierścień.

— To przedmiot zbytku — powiedział odruchowo, nie spojrzawszy prawie na klejnot.

— Zatem sprzedaj go i wykorzystaj uzyskane pieniądze dla chwały Kościoła. — Może to uratuje go przed Stosem Próżności, pomyślał Rakoczy.

— Zastanowię się nad tym — stwierdził. Przyjął podarunek i nic więcej nie mówiąc, wyszedł z pokoju.

— Odprowadź przeora — rzucił Natale, patrząc na młodszego kolegę. Gdy ten wybiegł, służący zbliżył się do łóżka. — Czy to on, panie? Czyjego modlitwy naprawdę zadziałały?

Rakoczy zastanowił się szybko, na ile może ufać Natalemu.

— Nie wiem. Jestem jednak pewien, że nie miałbym większych szans bez jego pomocy. — Gdyby nie umarł, zostałby oskarżony o pakt z diabłem albo inne herezje, Savonarola wiedział bowiem, że

Rakoczy umrzeć powinien. Teraz, dokonawszy cudu, niezbyt mógł oskarżać cudzoziemca o cokolwiek.

— Ugo rozniesie wieść o tym po całej Florencji — mruknął Natale całkiem bez entuzjazmu.

— Niech roznosi. Niech Savonarola zbiera pochwały, przynajmniej jak długo będzie czuł się również odpowiedzialny za to, co uczynił. — Rakoczy sam nie wiedział, jak bardzo surowe stało się jego spojrzenie, gdy skierował oczy w stronę drzwi.

Natale zamrugał, widząc zachowanie swego pana, ale uznał mądrze, że lepiej będzie się nie odzywać. Ktoś, kto prawie że zmartwychwstał, miał prawo do różnych emocji.

Wczesnym rankiem, kiedy niebo na wschodzie zaczęło szarzeć, Rakoczy wstał i przeszedł do laboratorium. Pomyślał o desperacji, która pchnęła Savonarolę do tak bezwzględnego czynu, i chociaż wcale mu się ta myśl nie spodobała, zwątpił przez chwilę, czy na pewno zdoła go zwyciężyć. Potem wziął opłatek i zaczął badać jego skład i w trakcie pracy odegnał niepokoje, uznając, że nie podda się nawet w obliczu prawdziwej śmierci.

O wschodzie słońca wrócił do łóżka, gotów na przyjęcie licznych gości, których mógł się spodziewać tego dnia.

List Alessandra di Mariano Filipepiego do Francesca Rakoczego da San Germano:

*Do powinowatego mojego starego przyjaciela Francesca Rakoczego od Botticellego z serdecznościami i wyrazami radości, że śmierć oszczędziła go dzięki interwencji przeora Savonaroli.*

*Usłyszałem o Twoim ozdrowieniu ledwie kilka godzin po tym, jak się zdarzyło, zajęty byłem jednak kolejnym zamówieniem i tym samym nie miałem czasu napisać do Ciebie, aż do teraz. Po pierwsze, chcę Ci*

powiedzieć, że bardzo się cieszę, iż uniknąłeś śmierci. Nawet najbardziej odtrącany człowiek we Florencji nie zasłużył na to, aby umrzeć w samotności i z dala od swojego kraju. Jednak moja radość nie ogranicza się do tego, że żyjesz. Kilka dni temu ostrzegłeś mnie, co czeka tych, którzy znajdują się we władzy dominikanów, opisując przy tym zło wyrządzane w Hiszpanii i sugerując, że we Florencji może dojść do czegoś podobnego. Teraz, gdy Savonarola cudownie przywrócił Cię do zdrowia, nie uważasz już chyba, że ktoś taki mógłby dopuścić do czyjejkolwiek krzywdy, zwłaszcza wyrządzonej w sposób, o którym opowiadałeś? Pomyśl o modlitwie, którą odmówił za Ciebie Savonarola, i zastanów się potem nad sytuacją donny Demetrice. Możesz być przekonany, że nic nie zagraża jej ze strony człowieka tak szlachetnego jak Savonarola.

Zamiast więc podejrzewać tego zacnego dominikanina, winienesz podziękować mu szczerze. Wiele mu zawdzięczasz. Zbyt wiele, aby oskarżać go o zbrodnie, których nie mógłby nigdy popełnić.

Otrzymałem Twój list, w którym napisałeś, że nie oddasz mi obrazu, o który prosiłem. Nie mogę w żaden sposób Ci go zabrać, ale ostrzegam Cię, Milicja Chrystusa może wejść do Twojego pałacu i jeśli go znajdzie, zapewne zabierze go, tak czy tak więc sptonie. Proszę Cię więc, jeśli jeszcze go masz, abys mi go zwrócił. Nie mogę zapłacić Ci tyle, ile Ty mi za niego zapłaciłeś, ale to nie powinien być problem, skoro chodzi o coś, co ma przysłużyć się zbawieniu naszych dusz.

Byłeś moim przyjacielem, Francesco, dlatego więc mi odmawiasz. Nie namalowałem go dla Ciebie, przejąłeś tylko zamówienie Laurenza. Wiem, że nie chodzi o pieniądze, bo zbyt jesteś bogaty, aby przejmować się ceną obrazu. Czy mój spokój coś dla Ciebie znaczy? Czy nie chcesz pomóc mi odzyskać tego stanu ducha, którego od tak dawna mi brakuje? Proszę Cię raz jeszcze, odeślij mi obraz.

Raz jeszcze zapewniam, że cieszę się, iż nie umarłeś. Będę się za Ciebie modlił.

*Sandro*

*Via Nuova, Florencja, 23 lutego 1498*

Przeor Orlando Ricci rozłożył bezradnie ręce.

— Zrobiłem wszystko, co leżało w mojej mocy, signor Rakoczy. Nie otrzymałem odpowiedzi od Jego Świątobliwości, a moja władza nie jest ani większa, ani mniejsza niż Savonaroli. On jednak uzurpuje sobie prawo do władzy świeckiej na tej samej zasadzie, jak rządzić zaczął w swym zakonie. Wobec tej siły jestem bezradny.

Rakoczy pokiwał głową.

— Rozumiem. I żaden z nas nie może zrobić nic więcej? — Spojrzał na rzeźbione belki, których było tyle, że zasłaniały niemal sklepienie. — Czy nie dałoby się tego opóźnić? Chociaż o tydzień.

— A co by to dało? — spytał franciszkanin. — Zyskałby tylko tydzień, aby lepiej przygotować swoje przedstawienie. A ty, gdybyś nazbyt mu się przeciwstawił, stałbyś się podejrzany. Skoro raz przekona Florencję, że rozplenila się tu herezja i tylko stos zdoła to zmienić, nic nie powstrzyma ognia gniewu Bożego przed spustoszeniem miasta. — Odwrócił się w stronę ołtarza okolonego wysokimi i wąskimi oknami tak zaprojektowanymi, aby łapały światło poranka. Teraz jednak, gdy słońce było nisko na zachodzie i ledwo dawało się dojrzeć zza chmur, cały kościół wydawał się opuszczony, niemal martwy.

Mimo ryzyka Rakoczy zdecydował się zaufać przeorowi Santa Croce.

— Słyszałem od... pewnego znajomego, który mieszka w Rzymie, że papież Aleksander zamierza oficjalnie oskarżyć Savonarolę o herezję. To prywatna informacja — dodał na wszelki wypadek. — Nie wiem na pewno, czy do tego dojdzie, niemniej... informacja pochodzi od osoby, która była dotąd wiarygodna.



— Herezję? — Jeśli stary franciszkanin poczuł się zaskoczony, nijak się z tym nie zdradził. — Nareszcie.

Rakoczy nie skomentował.

— Czy myślisz, że w tej sytuacji moglibyśmy wymusić opóźnienie uroczystości?

Przeor Santa Croce przyjrzał się wytwornemu cudzoziemcowi.

— Dlaczego to jest dla ciebie takie ważne?

— Jeśli mam pozostać człowiekiem, muszę traktować innych po ludzku. Mam zobowiązania wobec sług mego stryja.

Orlando Ricci skrzywił się niecierpliwie.

— Daj z tym spokój, przynajmniej wobec mnie. Większość Florentyńczyków wierzy w twoje przebranie, ja jednak proszę cię o szczerość. Od początku wiem, kim jesteś.

— Jakim sposobem? — spytał Rakoczy, starając się zachować spokój.

— Twój głos cię zdradza, zwłaszcza gdy śpiewasz. Słyszałem kilka razy, jak śpiewałeś z Laurenzem, wędrując ulicami. Po tylu latach wysłuchiwania fałszujących mnichów zwraca się uwagę na kogoś, kto potrafi śpiewać. Brzmienie twego głosu nie przypomina niczego, co wcześniej poznałem. — Zaśmiał się ze smutkiem. — Gdy podjąłeś hymn na jednym z nabożeństw, nie miałem już żadnych wątpliwości.

— Mam nadzieję, przeorze, że inni nie mają tak doskonałego słuchu. Co zrobisz? — spytał po chwili milczenia. — Nakaz aresztowania nadal jest ważny. Podobnie jak oskarżenie o związki z diabłem...

— Kochany Rakoczy, stoimy już tu od pół godziny i nie dostrzegłem, abyś odsuwał się ode mnie, od ołtarza czy czegokolwiek świętego. Przechodziłeś obok błogosławionych kaplic i wielkich relikwii i jakoś nie krzyczałeś z bólu, nie buchnąłeś ogniem, nic nie wykwitło na twojej skórze. Traktujesz wszystkie te miejsca i

przedmioty z należytych szacunkiem i nie śmierdzisz siarką. Z tych to powodów oraz przez to, kto cię oskarżył, zachowuję sobie prawo do własnego osądu. I podziwiam cię za odwagę, kimkolwiek jesteś. Już prawie nieszpory — powiedział innym głosem, odwróciwszy głowę. — Muszę cię opuścić. Ale przyjdź znowu, jak tylko uzyskasz potwierdzenie zamiarów papieża. Masz moje słowo, że zrobię wszystko, aby ci pomóc, jednak nie mogę wiele. Savonarola ma zbyt silne poparcie i nazbyt wielki strach go otacza, tak więc będę musiał działać w sekrecie. Gdy pewnego dnia stanie się oczywiste, że Savonarola to diabeł przebrany za mnicha, wówczas opowiem wszystkim, co zrobiłeś dla Florencji. — Z tymi słowami pobłogosławił Rakoczego i pospieszył w głąb kościoła.

San Germano nie zwlekał z wyjściem. Zapadła już prawie noc, on zaś miał jeszcze sporo do zrobienia przed porankiem, kiedy to ponownie zamierzał zwrócić się do Signorii w sprawie Demetrice. Cieszył się, że Ruggiero dotarł w końcu do Florencji, były bowiem rzeczy, które tylko jemu mógł powierzyć. Stary sługa doszedł do siebie po napaści, chociaż ciągle jeszcze trochę kulał. Dodatkowo przyciemnił sobie skórę z pomocą wywaru z orzechów włoskich i występował teraz pod imieniem Ferrugio.

Gdy Rakoczy zatrzymał się na chwilę na Via della Primavera, aby porozmawiać z kupcem handlującym przyprawami, rzeczony Ruggiero próbował bezskutecznie powstrzymać większy oddział Milicji Chrystusa przed wtargnięciem i splądrowaniem Palazzo San Germano. Chociaż krzyczał na młodzików, zerwali oni ze ściany wielki i starannie oprawiony obraz *Triumf Parysa*, najpierw łamiąc ramię, potem rzucając się na płótno z krótkimi nożami i rozcinając przystojne oblicze antycznego bohatera oraz pulchne ramiona Heleny.

Na podeście schodów czterech milicjantów badało zdobienia paneli, chcąc odnaleźć dźwignię otwierającą drzwi do tajnych

komnat. Ruggiero odetchnął w duchu, że zablokował zawczasu wejście od środka.

Dwóch młodych ludzi wbiegało po schodach na górę, gdy na galerii pojawił się Natale z ciężką laską zarządcy w dłoni.

— Ani kroku dalej, ragazzi — powiedział i zastawił im skutecznie przejście.

Przywódca grupy spojrzął na niego wściekle.

— Musisz nas przepuścić. Mamy obowiązek wyszukiwać przedmioty zbytku.

— Nie w mojej obecności — powiedział Natale takim tonem, jakby tylko czekał, aby poobijać aroganckich intruzów laską. Członkowie Milicji Chrystusa uśmiechnęli się i podjęli wyzwanie.

Rakoczy wyczuł, że coś jest nie tak, zanim jeszcze dotarł do bramy pałacu. Niemal przecznicę wcześniej zerwał się do biegu, powiewając płaszczem z czerwonej skóry.

Będąc na dziedzińcu, usłyszał dobiegające ze środka jęklive dźwięki wyrywanych gwoździ i rozbijanych naczyń. Zatrzymawszy się w progu, ujrzał Ugo konferującego z przywódcą bandy chronionych prawem wandalii. Na szczycie schodów leżał Natale z wielkim guzem na czole. Dwóch młodych ludzi trzymało Ruggiera, szydząc głośno z jego szamotaniny.

Pośrodku loggii wznosił się stos zniszczonych przedmiotów. Oprócz pociętego obrazu były tam mosiężne wagi i przyrządy z pokoju miar, połamana oktawka i podobnie potraktowana viola da gamba, dwa jadeitowe lwy z okresu dynastii Tang, bela tureckiego jedwabiu, kilka krzeseł z drewna różanego i wiele malowanych mis oraz plik obwiązanych razem, iluminowanych zapisów nutowych. Czterech młodych targało właśnie fragment misternie rzeźbionego panelu z intarsją z kości słoniowej. Rzucili go na stos i zaśmiali się radośnie, gdy popękał.

— Przestańcie natychmiast! — krzyknął Rakoczy i jego głos zabrzmiał w loggii jak wielki dzwon.

Atmosfera zrobiła się z miejsca tak gęsta, że można by ją krajać nożem. Wszyscy młodzieńcy zamarli i spojrzeli na wytworną postać w drzwiach. Słysząc było trzask spadających kawałków drewnianej mozaiki. Zdawały się uderzać w posadzkę z taką siłą, jakby ktoś strzelał z działa.

Pełen zimnej furii Rakoczy wszedł do środka. Widząc zniszczone przedmioty, zacisnął mocno szczęki, a potem spojrzął lodowato na członków Milicji Chrystusa.

Jakiś czas później żaden z nich nie potrafił przypomnieć sobie, co właściwie ich tak przerażyło. Rakoczy nie był uzbrojony ani szczególnie rostry, chodził wystrojony aż do przesady. A jednak gdy spojrzął im w oczy, wszystkich przebiegł dreszcz. Poczuli, że mają do czynienia z kimś, kto jest im obcy nie tylko za sprawą cudzoziemskiego pochodzenia.

Przywódca grupy uniósł głowę.

— Jesteśmy upoważnieni do usunięcia wszystkich przedmiotów...

— Milcz — powiedział Rakoczy cicho, prawie szeptem, ale jedno słowo starczyło za uderzenie bicia.

Młodzieniec spojrzął na niego z urazą.

— Jestem Ezechiele Aureliano. Sam Savonarola darzy mnie zaufaniem...

— Milcz, powiedziałem. — Tym razem Rakoczy odezwał się normalnym głosem, ale tym większe wzbudził przerażenie. Spojrzął na młodzieńców trzymających Ruggiera. — Puśćcie mego sługę. Natychmiast.

Zawstydzeni i zmieszani, wymienili spojrzenia i odsunęli się od zarządcy.

— Ferrugio, zobacz, co z Natalem.

Ruggiero skinął głową i bez słowa przepchnął się w stronę schodów.

Nikt się nie odezwał, gdy Rakoczy podszedł do stosu, pochylił się i dotknął jednego z klawiszy oktawki. Struna zadźwięczała żałośnie, wywołując grymas bólu na twarzy gospodarza. Potem podniósł lwa, który stracił prawą przednią łapę i miał utłuczoną część głowy, tak że wyglądał jak zwarzona mrozem roślina. Rakoczy wstał, trzymając lwa na ręce.

— Wynoście się z mojego domu. Wszyscy — powiedział spokojnie, ale w napełniający przerażeniem sposób. Nie odrywał przy tym spojrzenia od lwich oczu.

Większość młodych ludzi posłuchała z ochotą, wyczuwając, że uchodzą przed niebezpieczeństwem większym, niż potrafią sobie wyobrazić. Wyszli niezgrabnie, nie umiając w ataku strachu poruszać się szybciej.

Tylko Ezechiele Aureliano próbował jeszcze oponować:

— Nie ma pan prawa. Milicja Chry... Rakoczy odwrócił się w jego stronę.

— Ja nie mam prawa? — spytał gniewnie i przeszył młodzieńca spojrzeniem tak intensywnym, że ten aż się cofnął, potykając się o jakiś odłamek drewna. — I ty to mówisz? Ty, któryś jest autorem tego... tego plugastwa?

Ezechiele ciągle cofał się przed Rakoczym. Potknął się raz jeszcze, a w końcu uciekł.

— Pożalujesz tego, stragnero! — krzyknął na odchodnym. Gdy drzwi się za nim zatrzasnęły, Rakoczy stał jeszcze przez chwilę, pieszcząc ze smutkiem kamiennego lwa. W końcu postawił go na stopniu i zwrócił uwagę na Ugo, który czekał z obrażoną miną na podejście.

— To dobrzy chrześcijanie — zaczął, gotowy bronić Milicji

Chrystusa i zasadności dzieła zniszczenia, które miało miejsce w Palazzo San Germano.

— To niebezpieczne dzikusy — odparł Rakoczy, marszcząc brwi. — A ty jesteś jednym z nich.

— Wierzę, że święty przeor San Marco...

Rakoczy zignorował jego słowa i spojrzał na Ruggiera, który pochylał się nad Natalem.

— Co z nim?

— Mocno oberwał, ale czaszka chyba cała — odparł stary sługa i wstał. — Będzie musiał poleżeć trochę, a potem może potrzebować lekarza.

— Zaniosę go do jego pokoju. — Rakoczy wyminął młodzieńca ostentacyjnie, jakby nie chciał go dotknąć nawet przypadkiem.

— A co ze mną? — spytał nagle Ugo.

San Germano prawie na niego nie spojrzał.

— Nie tylko pozwoliłeś im na niszczenie mego mienia, ale sam ich tu zaprosiłeś. Co byś zrobił na moim miejscu?

— Byłbym wdzięczny mojemu słudze, że chciał mnie ocalić przed piekłem — wykrzyczał Ugo tonem świadczącym jednoznacznie, iż młodzieniec pojął już, że przekroczył wszelkie granice tego, co można tolerować.

— Naprawdę? Zatem możesz być mi wdzięczny, że nie będziesz musiał więcej przebywać w tym siedlisku grzechu. Do wschodu słońca opuścisz ten pałac. Jeśli tego nie zrobisz, wezwę lansjerów. Wierz mi, że mówię poważnie. — Odwrócił się od młodzieńca i spojrzał z troską na rannego. — Wstyd mi. Został skrzywdzony w mojej służbie.

— Jego pokój już gotowy — powiedział Ruggiero, nie komentując uwagi swego pana. — Zaniósłbym go, ale nie czuję się jeszcze dość silny — dodał z zakłopotaniem i zarumienił się pod ciemnym barwnikiem.

— Nie szkodzi. — Rakoczy pochylił się i uniósł służącego równie łatwo, jakby brał dziecko na ręce. Stojący na dole Ugo otworzył usta ze zdumienia, pojmując, jaki Rakoczy musi być silny, skoro dźwignął mężczyznę większego od siebie, i to bez widocznego wysiłku.

Ugo zrobił niepewnie krok w stronę schodów, ale rozmyślił się z obawy, że Rakoczy mógłby mu coś zrobić. Rozumiał już, że został potraktowany z wielką pobłażliwością i nie powinien kusić losu. Aż do chwili, gdy ujrzał Rakoczego radzącego sobie z oddziałem Milicji Chrystusa, sądził, że nie ma nikogo bardziej godnego szacunku i groźniejszego niż Savonarola. Właśnie to przyciągało go najbardziej w niewielkim dominikaninie. Fascynowała go siła. Teraz zobaczył kogoś, kto miał jej znacznie więcej, i na dodatek potrafił w niewiarygodny sposób nad nią zapanować. W porównaniu z Rakoczym Savonarola przypominał rozhisteryzowane dziecko. Ugo minął stos na podłodze, tym razem nie mając odwagi spojrzeć na zniszczone przedmioty, i pospieszył do piwnic. Czuł się oszukany i zagubiony.

Gdy Natale znalazł się już w łóżku, Rakoczy i Ruggiero wrócili do loggii. Żaden z nich nie miał ochoty ruszać rumowiska, w końcu jednak San Germano przyklęknął obok stosu.

— Zrób listę, Ruggiero. Chcę odnotowania wszystkiego, co zniszczyli.

— Tak, panie. — Sługa spojrzał na niego ze współczuciem. Wiedział, jak bardzo Rakoczy kochał piękne rzeczy.

Gospodarz sięgnął po miniaturę bizantyjskiego księcia, która bardziej przypominała ikonę niż portret. Przesunął kciukiem po archaicznie namalowanej twarzy.

— Dobrze, że chociaż *Orfeusz* jest bezpieczny. Powinienem więcej schować w tajnych pokojach.

— Nie ma co robić sobie wyrzutów.

— A komu mam je robić? Pewnie powinienem się już nauczyć... —

Przerwał. — Sporządź listę, przyjacielu. Idę poszukać lekarza. — Odwrócił się, by Ruggiero nie widział jego smutku.

List Germaina Rakoczego do Signorii:

*Do Znamienitych Zarządców Florencji od Germaina Rakoczego, krewniaka i spadkobiercy majątku Francesca Rakoczego da San Germano, z powodu okoliczności zmuszających do złożenia skargi.*

*Przedwczoraj wieczorem członkowie Milicji Chrystusa weszli do Palazzo San Germano, dokonując szeregu aktów wandalizmu. Wysyłając ten list, dołączam do niego listę przedmiotów, które zostały zniszczone. Chociaż jestem człowiekiem głęboko religijnym, nie potrafię podejść tolerancyjnie do podobnego najścia niezależnie od tego, jakie prawa aktualnie obowiązują.*

*Niektóre z tych przedmiotów nie były ani moją własnością, ani własnością mojego stryja, chociaż pozostawały pod moją opieką. Czuję się teraz prawnie zobowiązany do wypłaty odszkodowań osobom trzecim, które nie są w ogóle mieszkańcami Florencji, za zniszczone dzieła sztuki, instrumenty muzyczne i inne przedmioty.*

*Jeśli posiadacie fundusz na wypłatę odszkodowań, byłbym wdzięczny za propozycję spotkania, podczas którego ustalilibyśmy właściwą do wypłacenia sumę.*

*Równocześnie pragnę przypomnieć o mojej petycji, która nie została jeszcze rozpatrzona. Chodzi o sprawę Demetíce Volandrai, przetrzymywanej obecnie w nieznanym mi miejscu na mocy oskarżenia o herezję. Być może gdy zezwolicie mi przedstawić mój wniosek o uznanie prawa do spadku, zechcecie również rozpatrzyć wspomnianą petycję.*

*Proszę Was o okazanie zrozumienia dla mojej sytuacji. Chcę jedynie wypełnić moje zobowiązania, które mam wobec stryja, nie tylko jako jego spadkobierca, ale także przedstawiciel dawnego rodu. Waszym*



*pragnieniem jest równe stosowanie prawa, niemniej i ja pragnę wypełnić swoje obowiązki. Bez wątpienia we wspólnym naszym interesie leży jak najszybsze rozwiązanie wszystkich wspomnianych spraw.*

*Oczekuję Waszej odpowiedzi i oddaję się całkowicie do Waszej dyspozycji.*

*Germain Rakoczy*

*W Palazzo San Germano, 2 marca 1498*

## . 9 .

Zacinający deszcz uczynił kamienie śliskimi. Rakoczy musiał ze wszystkich sił czepiać się drobnych nierówności i co rusz trafiał przy tym na sypiące się kawałki tynku, a raz nawet na kamień, który ukruszył się pod jego lewą stopą, zmuszając do desperackich poszukiwań innego oparcia.

Po wspinaczce, która zdawała się trwać całe godziny, chociaż w rzeczywistości zabrała może kwadrans, podciągnął się do obramowania okna w celi Demetrice. Zastygł tam na chwilę, nasłuchując, co dzieje się w środku, i dając sobie chwilę wytchnienia. Zamek był cichy taką samą ciszą, jaka właściwa bywa skulonemu w ukryciu zwierzęciu. Wkoło panowała atmosfera grozy. Co musiało się tu kiedyś zdarzyć, że nawet kamienie zapamiętały tamten strach? Marszcząc brwi, zeskoczył na podłogę. Wylądował na ugiętych nogach, gotów do walki. Gdy nie został zaatakowany, wyprostował się i podszedł ostrożnie do siennika.

— Demetrice? — wyszeptał, a ściany powtórzyły za nim jej imię.

Cela była pusta. Dotknął wiszących nad posłaniem okowów, ale nie powiedziały mu nic poza tym, że dziewczyna musiała opuścić pomieszczenie już jakiś czas temu. Przeraził się jeszcze bardziej, gdy poklepał siennik w poszukiwaniu płaszcza, który jej zostawił. Płaszcz też zniknął.

Podszedł do ciężkich drzwi. Niepokój ujął mu trochę zwinności, tym bardziej ostrożnie pociągnął więc za uchwyt, a drzwi uchyliły się cicho na świeżo naoliwionych zawiasach. Cały czujny wyszedł na wąski i oświetlony pochodniami korytarz, przesuwając spojrzeniem po poczerniałych przez wieki kamieniach. Z obu stron korytarz wyglądał tak samo i nic nie wskazywało, gdzie Demetrice mogła

zostać zabrana.

Stał jeszcze niezdecydowanie pod drzwiami jej celi, gdy do jego uszu dobiegł ostry, metaliczny dźwięk. Liczne echa nie pozwalały ustalić, gdzie było jego źródło, jednak po chwili ktoś krzyknął boleśnie w sąsiedniej celi. Odpowiedział mu cały chór lamentujących głosów.

Rakoczy cofnął się do środka i skulił w przeciwległym kącie pod oknem. Dla pewności naciągnął jeszcze na siebie stary czarny płaszcz, aby zlać się w jedno z cieniem. Pogratulował sobie wybrania ciemnego stroju. Chociaż wiązało się to z pewnym ryzykiem po drodze, tutaj niemal każdy inny kolor musiałby z miejsca go zdradzić. Przytulił się do chropawych kamieni i czekał.

Na korytarzu rozległy się kroki kilku osób. Dwie musiały być masywne i ciężkie, trzecia drobniejsza. Cała grupa zatrzymała się pod drzwiami, które uchyliły się zaraz, wpuszczając światło pochodni. Strażnicy podprowadzili Demetrice do jej siennika.

— Podnieś ręce — rozkazał jeden z nich.

— Nie mogę — odparła dziewczyna spokojnym głosem, w którym dało się jednak słyszeć olbrzymie zmęczenie. Rakoczy zarejestrował kilka człapiących kroków, ciche westchnienie i niemożliwy do pomylenia z czymś innym odgłos zamykanych kajdan. Chwilę potem zagrzechotał łańcuch, ciężkie kroki się oddaliły i drzwi celi zostały zamknięte. Na koniec zgrzytnął jeszcze zasuwany rygiel, a w zamku zachrobotał klucz.

Dopiero gdy wszystko ucichło i nikt nie chodził już po korytarzu, Demetrice pozwoliła sobie na płacz.

Rakoczy wstał powoli. Wilgoć ścian i zimno przestały go obchodzić.

— Demetrice. Demetrice, mia — szepnął w mroku celi. Otarła łzy i spojrzała w ciemność.

— San Germano?

— Tak. — Podszedł bliżej i zatrzymał się na wyciągnięcie ręki od dziewczyny.

Poszukał spojrzeniem jej twarzy.

— Nic ci nie zrobili?

— Nic — odparła, potrząsając głową, ale nadal jeszcze tłumiła płacz. — Ale bardzo się bałam. — Wyciągnęła w jego stronę zakuty w żelazo nadgarstek. — Proszę, San Germano. Proszę... — Głos jej się załamał.

Objął ją czule, całując czoło, powieki i policzki dziewczyny. W końcu pocałował ją w rozchylone usta. Stali tak przez kilka chwil, aż jej oddech przyspieszył. Rakoczy odsunął się trochę, chociaż i jemu zrobiło się ciepło na myśl, że Demetrice pragnie go tak samo, jak on jej pragnął.

— Czekaj, gioia mia. — Sięgnął do jej nadgarstków. — Najpierw to.

Ona jednak się odsunęła.

— Nie. Gdy ostatnim razem zobaczyli je zerwane, uznali, że to diabelska robota, tak samo jak zniknięcie prętów z okna, chociaż mówiłam im, że cisnęłam tylko kamieniem w ptaka, co siadł na parapecie, i pręty... — Przygryzła dolną wargę i jej oczy wypełniły się łzami. — Lepiej nie.

Rakoczy otarł jej twarz.

— Co jeszcze mówili o łańcuchach?

— Te są nowe, widzisz? Zostały pobłogosławione przez mnichów, abym się z nich nie wymknęła. Powiedzieli, że jeśli znowu to zrobię, będą już pewni i wtedy zaczną wypędzać ze mnie diabła.

— Zamilkła z przerażeniem w oczach.

— Demetrice — powiedział ze smutkiem. — Skoro tak, założę je z powrotem rano, nim wyjdę, i nigdy się nie dowiedzą. Daj mi rękę.

— Nie mogę. Nie mam siły.

Straszna myśl przebiegła mu przez głowę.

— Torturowali cię?

Zaprzeczyła pełnym zmęczenia gestem.

— Jeszcze nie. Dzisiaj powiesili mnie za ręce, tak że musiałam stać na palcach. Najpierw zaczęły boleć mnie ramiona, a potem wszystko bolało, cokolwiek robiłam. Trwało to bardzo długo, a oni nie dali mi nawet wody, tylko sprawdzali moje ciało w poszukiwaniu diabelskich znamion. W każdym razie tak twierdzili — dodała z odrazą. — Moim zdaniem robili to dla własnej przyjemności.

Rakoczy spotykał ludzi, którzy czerpali satysfakcję z poniżania innych i zadawania im cierpień, tak jak on sam karmił się kiedyś, dawno temu, ludzkim strachem. Nic jednak nie powiedział, pozwalając Demetrice wyrzucić z siebie wstyd, którego doznała. Lepiej tak, pomyślał, niżby miał zatruć jej życie.

— Pytali mnie o różne rzeczy, powtarzając w kółko to samo. Potem kazali mi patrzeć, jak męczyli inną kobietę. Starszą.

Odmawiała odpowiedzi, więc zaczęli szarpać jej skórę gorącymi żelazami. Strasznie cuchnęło. — Poczowała przyływ mdłości i oparła się o ścianę. — Gdy zemdląca, powiedzieli mi, że jeśli nie przyznam się do herezji, zrobią mi to samo. I jeszcze inne, gorsze rzeczy. — Nogi się pod nią ugięły i opadła, cała drżąca, na siennik.

Rakoczy przysiadł obok i objął dziewczynę ostrożnie.

— Gioia mia. Jesteś bardzo odważna i cenię cię za to. Przysięgam ci na moją krew, że nie pozwolę, aby cię zabili. Ani teraz, ani nigdy. — Tym razem ucałował ją mocniej, wywołując odpowiedź.

Podmuch wiatru wypełnił celę chłodem i Demetrice przytuliła się mocniej do Rakoczego.

— Nie zostawiaj mnie, San Germano — wyszeptała.

— Nie zostawię. — Odgarnął włosy z jej twarzy. — Położę się

obok, aby cię ogrzać. A może chcesz więcej... ?

— Położysz się?

— Wolałbym cię kochać, ale to, amica mia, zależy już od ciebie. Tak czy inaczej, nie zostawię cię, jak długo sama nie będziesz tego chciała. — Przemawiał niskim, melodyjnym i urzekającym głosem, ledwo powstrzymując się, aby jej nie dotykać.

Spojrzała na swoje kajdany i łańcuch zaczepiony o wbite głęboko w ścianę uchwyty. Ramiona ją bolały, a głowa ciążyła niemiłosiernie.

— Nienawidzę ich — powiedziała i po krótkim wahaniu wyciągnęła ręce do Rakoczego. — Zdejmij je. Ale pamiętaj założyć z powrotem, nim wyjdiesz.

— Oczywiście. — Wyjął wielkie szpile i rozchylił żelazne półobcęgi. — Widzisz? Starczy, że wsunę to z powrotem, i będzie tak samo jak wcześniej. — Mówiąc to, całował jej dłonie w miejscu, gdzie metal otarł skórę. — A teraz, cara mia, co proponujesz dalej?

Zdjął kurtkę i chciał narzucić ją Demetrice na ramiona, ona jednak odsunęła się gwałtownie.

— Jest mokra!

— Owszem, deszcz dzisiaj pada. To źle, że mokra?

— Nie, ale... twoje ubranie też jest wilgotne i możesz zachorować... — Zamilkła zmieszana.

— To niemożliwe, amica mia.

— Niemożliwe? Ale jeśli będziesz tak siedział w wilgotnym... — Nagle westchnęła i rzuciła mu się w ramiona. — Nieważne. Choćby nawet woda lała się z sufitu, to i tak nieważne. Obejmij mnie, dio infinito, obejmij mnie. — Ignorując ból ramion, przytuliła go do siebie. Wilgotna wełna jego guarnacci wcale jej nie przeszkadzała.

Oddał żarliwie pocałunki i zaczął szukać dłońmi drogi przez jej więzienny ubiór. Odsunął się jednak, zanim oboje nazbyt się zapamiętali.

— Demetrice, gioia mia. Posłuchaj mnie chwilę. Słuchaj. Pociągnęła go ku sobie, pragnąc więcej.

— Nie obchodzi mnie, że jesteś mokry, San Germano. Ubranie szybko wyschnie. — Potem zauważyła jego poważną twarz i pojęła, że chodzi o coś ważnego. — Tak? — spytała, dotykając go wyczekująco.

— Wiesz, kim jestem, Demetrice. Czuję, że nadal cię to chwilami odrzuca. — Dostrzegł jej protest i szybko pospieszył z wyjaśnieniem. — Wiem, że wcześniej tak nie było i że to nie mnie samego się brzydzisz, ale twoich wyobrażeń o tym, kim jestem.

— Ależ nie, wiem już, że taki nie jesteś — powiedziała i spłoniła się, wiedząc, że Rakoczy ma rację. Wampiryzm był dla niej ciągle czymś podejrzanym, chociaż obecnie kojarzył się także z przyjemnością.

— Niemniej jestem kimś takim. To moja natura. Jeśli zbyt często będę cię kochał, jeśli nazbyt będziesz mnie chciała, wówczas staniesz się z mojej przyczyny kimś podobnym. Jeśli dzisiaj znowu cię spróbuję, ryzyko nie będzie wielkie. Zwykle trzeba kilku albo kilkunastu spotkań, aby doszło do przemiany. Jednak przy takiej intensywności uczuć...

— Chcesz powiedzieć, że mogę zostać wampirem? — Nie oskarżała go. Przez ostatnie dwa dni widziała tyle złego, że wampiryzm wydawał się jej przy tym trywialny.

— Jeśli nadal będziemy tak postępowali. Pięć razy, może sześć, a dojdzie do tego na pewno. — Ujął jej twarz w dłonie i spojrzał dziewczynie w oczy. — Nie potrafię wyrazić, jak bardzo ciebie chcę. Jak bardzo pragnę dotykać cię, całować, być obok ciebie. Jeśli zniesiesz to, jeśli wymienisz się ze mną krwią, z wielką radością uczynię cię jedną z naszego rodzaju. Na razie jednak wzdragasz się na samą myśl. Nawet teraz, chociaż spędziłaś już noc w moich

objęciach, niełatwo ci to wspominać. Nie, nie chodzi o rozkosz, ale to, jak została wywołana. Jeśli nie zdołasz znieść mojej miłości, powiedz to wprost. Dla własnego dobra nie próbuj tego ukrywać.

— Powiedzieć ci wprost? — spytała z niedowierzaniem. — Teraz? Gdy każdego dnia mogą zaprowadzić mnie do izby tortur i grożą stosem? — Zaśmiała się gorzko przez łzy. — Jednego tylko mężczyznę wcześniej kochałam i straciłam go. Myślałam, że nikt nigdy nie będzie już dla mnie tak ważny. Potem spotkałam ciebie, chociaż w ogóle tego nie oczekiwałam. Wspomnienia o Laurenzu są dla mnie nadal tak samo ważne i żywe, ale ty dałeś mi inną miłość. Bogatą jak wino. Nie tylko sobą, chociaż i tutaj pokazałeś, że istnieją rzeczy, o których nawet mi się nie śniło, ale swoją troską. Wiem, ile dla mnie ryzykujesz.

— Naprawdę? — spytał, ujmując jej dłonie.

— San Germano, jeśli moje życie ma się niebawem skończyć, niech umrę kochana. Nie znam na tym świecie nic lepszego niż miłość. I niczego więcej nie chcę.

— A jeśli przeżyjesz, co wówczas? — Uniósł lekko jej głowę.

— Nadal będę cię pragnęła. — Wiedziała, że to prawda. Odsunęła się trochę, ale tylko po to, aby rozchylić swoją szatę.

W celi było zimno i na jej ciele pojawiła się zaraz gęsia skórka. <sup>413</sup> Rakoczy ujrzał to i sięgnął po kurtkę, ale rozmyślił się i zaczął ogrzewać dziewczynę swoimi dłońmi i ustami. Mieli przed sobą jeszcze wiele godzin marcowej nocy i wiedział, że nie musi spieszyć się z odkrywaniem wszystkich sekretów jej ciała i zmysłowymi modłami, które ostatecznie wyгнаły swym pięknem cały strach.

— Pamiętaj o kajdanach — mruknęła jeszcze, gdy zasypiała nasycona w jego ramionach.

— Pamiętam — odparł, całując jej piersi i przytulając mocniej do siebie.



List Gian-Carla Casimira di Alerica Circanda do Francesca Rakoczego da San Germano:

*Szanowanemu nauczycielowi i umiłowanemu przyjacielowi Gian-Carlo z Wenecji przesyła pospiesznie pozdrowienia.*

*Otrzymałem Twoje polecenia i wykonam je ściśle co do literki. Dziś wieczorem wyjeżdżam do Mestre, a stamtąd do Padwy, skąd ruszę na południe do Bolonii, gdzie będę na Ciebie czekał. Wyślę umyślnego do Florencji, gdybyś nie zjawił się w Bolonii do dziesiątego dnia kwietnia. Gdybym dowiedział się, że zostałeś pojmany przez dominikanów Savonaroli, zrobię, co tylko w mojej mocy, aby Cię uwolnić, przekazując w tym celu list od doży Barbarigo. Gdyby to niczego nie dało, mam też list od Twojej rzymskiej znajomej, Olivii. Gdyby okazało się, że zostałeś zabity, mam wydobyć Twoje ciało, chyba żeby zostało ono całkowicie spalone albo rozczłonkowane, albo gdyby obcięli Ci głowę. W każdym innym przypadku mam przewieźć Twoje szczątki do Wenecji w przygotowanej już przez Ciebie skrzyni.*

*Gdybyś chciał przekazać mi inne instrukcje albo zmienić obecne, znajdziesz mnie w Locanda dei Sassi Verdi. Oberżysta nazywa się Isidoro da Malcone i zapłaciłem mu już za dyskrecję. Dostarczy natychmiast każdy, adresowany do mnie Ust, nie próbując do niego zaglądać.*

*Obiecuję ściśle wypełnienie poleceń i aż do naszego spotkania będę modlił się o Twój szczęśliwy powrót.*

*Gian-Carlo*

*W Wenecji, 4 marca 1498*

## . 10 .

Stosy Próżności miały zapłonąć zaraz po mszy w Santa Maria del Fiore. Dwie duże grupy Milicji Chrystusa nadzorowały układanie ostatnich wiązek chrustu tuż obok Loggia della Signoria, inne rozstawiały na placu barierki mające powstrzymać spodziewany tłum. Popołudnie było jasne, a niebo wyjątkowo czyste, chociaż nadal było zimno.

W północnej części Piazza della Signoria stała grupka artystów, w której był też Sandro Filipepi. Jeden z jego kolegów, brzydki mężczyzna o potężnych ramionach rzeźbiarza, wpatrywał się w oparte o ścianę pobliskiego budynku obrazy i od czasu do czasu kręcił głową. Razem z artystami stał też siwowłosy Marsilio Ficino, chociaż mało co widział już swoimi odbarwionymi oczami.

— Botticelli — powiedział szeptem i pociągnął malarza za rękaw.  
— Nie rób tego.

Sandro odtrącił rękę Ficina.

— Przysięgałem. Nie mam wyboru. Stary filozof potrząsnął głową.

— Zawsze jest jakiś wybór. To, czego od ciebie chcą, jest niemoralne. Przysięga złożona mnichowi, który został wcześniej objęty ekskomuniką, nie jest wiążąca. — Spojrzał na obrazy. — Oszczędź przynajmniej *Salomona i Szebę*. To biblijny motyw. Malarstwo religijne.

— Naprawdę? — spytał Sandro obojętnie. — Z Salomonem, który trzyma rękę na biodrze Szeby, i jej piersiami, tak podanymi do przodu? To czysta lubieżność. Ten obraz budzi niezdrowe myśli.

— Ale Salomon kochał Szebę. Czyżby królowie i prorocy testamentowi zakazywali obecnie miłości? — spytał Ficino, ale Sandro już go nie słuchał. Filozof odwrócił się, rozzłoszczony własną

bezradnością.

Vacca odezwał się swoim krowim głosem, wzywając obywateli Florencji na Piazza della Signoria. Młodzi z Milicji Chrystusa zebrali się obok starannie ułożonego stosu i czekali już tylko, aż procesja wyjdzie z katedry.

Chóralny śpiew nałożył się na uderzenia dzwonu, rzucając cień na zalany blaskiem dnia plac. Mnisi nie żałowali płuc przy tej okazji. Zbliżając się do Piazza della Signoria, niektórzy z nich zaczęli tańczyć, wirując w marszu, jakby jakiś czar ich opętał.

Do tego czasu plac był już pełen i Milicja Chrystusa musiała raz jeszcze wzmocnić ustawione wcześniej bariery. Kto mógł, przepychał się bliżej, aby widzieć jak najlepiej niszczenie cennych obiektów zbytku.

Gdy procesja weszła na plac, zebrani zamilkli. To właśnie chcieli zobaczyć. Mnisi śpiewali teraz szybciej i donośniej i coraz więcej ludzi padało na kolana i zaczynało głośnie modlitwy, których szmer dołączył do wcześniejszych odgłosów. Odziani w czarne habity i białe sutanny zakonnicy obeszlili plac, nieustannie podnosząc przy tym głos, aż w końcu ich śpiew zmienił się niemal w krzyk. W odpowiedzi tłum zaczął klaskać rytmicznie, też przyspieszając z każdą chwilą, aż nad miastem wezbrał rytmiczny łomot przypominający gromy wiosennej burzy.

Wszystko to ucichło, gdy Savonarola wszedł na stopnie Loggia della Signoria, aby przemówić do tłumu. Spojrzał przenikliwie na ludzi i wskazał ręką na stosy.

— Dzisiaj Bóg daje wam wielką szansę! — zawołał w końcu, unosząc ręce na znak, aby mu nie przerywali. — Bóg dał wam szansę na szczerzy żal i oczyszczenie z waszych wielkich i przerażających grzechów!

Przez tłum przeszło westchnienie przypominające szum morza. Na

placu było ze czterdzieści tysięcy dusz, czyli niemal wszyscy mieszkańcy Florencji. I wszyscy pchali się do przodu, niecierpliwie oczekując na najważniejsze.

— Właśnie! Dzisiaj! Nadszedł ten dzień, kiedy będziecie mogli okazać Bogu, jak bardzo jesteście Mu oddani. Dzisiaj odrzucicie doczesne bawidełka, które skłaniają was do grzechu! — Pokazał na szeregi młodzieńców z Milicji Chrystusa. — Niech młodzi żołnierze Boga się przygotowują. To oni w swej skromności zapalą ogień, które otworzą wam drogę do zbawienia! Coraz więcej mnichów brało się do tańca. Ten i ów z tłumu tuż przy barierkach zaczynał się kołysać wraz z nimi.

Na placu przygotowano dwa stosy. Milicja Chrystusa uwijała się przy nich, pragnąc zarobić na pochwały Savonaroli i aprobatę mieszkańców Florencji. Pierwszy, bardzo duży, stanął na południowym krańcu Piazza della Signoria. Drugi był znacznie mniejszy, ale wzbudzał większe zainteresowanie, bowiem to właśnie w nim miały spłonąć płótna Sandra Filipepiego, znanego jako Botticelli. Tym stosem opiekował się Ezechiele Aureliano. Dumnie i gorliwie popędzał pięciu przydzielonych mu do nadzoru ludzi.

— Pozwól mi wziąć ze dwa — usłyszał nagle Sandro i odwrócił się szybko ku mówiącemu bez akcentu właścicielowi łagodnego i melodyjnego głosu.

— Francesco!

— Germain — poprawił go Rakoczy z uśmiechem. — Pozwól mi wziąć dwa obrazy, Sandro. Oszczędź je. I tak zostanie ich ponad dwadzieścia do spalenia. Nikt tego nie zauważy.

— Nie mogę tego zrobić — rzucił ze złością Botticelli.

— Dlaczego? Daj mi *Persefonę*. Ta legenda zawsze do mnie przemawiała, a obraz jest całkiem niewinny i tylko szalony dominikanin może dopatrzeć się w nim czegoś gorszego. — Nie

mówił głośno, ale Botticellemu zdawało się, że cudzoziemiec krzyczy na całe gardło.

— Nie mogę. Przysięgałem.

— Złam przysięgę. Dla swego dzieła. Dla tych pięknych i kruchych istot, które żyją, chociaż są tylko farbą na płótnie. — Nagle chwycił Botticellego za ramiona i spojrzał mu badawczo w oczy. — Naprawdę wiesz, co robisz, Sandro? Naprawdę wiesz?

Po drugiej stronie placu Savonarola wychwalał głośno członków Milicji Chrystusa, podając nazwiska tych najbardziej oddanych sprawie. Oni zaś witali to krzykiem, mimo wszystko płoniąc się z dumy.

Botticelli próbował wyrwać się Rakoczemu i ze zdumieniem odkrył, że nie może tego zrobić. Cudzoziemiec był o wiele silniejszy, niżby można było oczekiwać.

— Zostaw mnie, Francesco.

Rakoczy spróbował raz jeszcze. Kątem oka dostrzegł młodzieńców z Milicji Chrystusa idących, aby zebrać obrazy. Ich arogancki przywódca, Ezechiele Aureliano, uśmiechał się radośnie na perspektywę ich palenia.

— To niewyobrażalna strata, Sandro. Przy nich — wskazał na obrazy — ani ty, ani ja nic nie znaczymy. Ten obłąkany dominikanin też jest niczym w porównaniu z nimi. Jest w nich więcej człowieczeństwa niż w połowie ludzi na tym placu. Proszę, Sandro.

— Lepiej odejść — odparł matowym głosem Botticelli i nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do najbliższego żołnierza Chrystusa. — Jestem gotowy. Pomóżcie mi je przenieść.

Aureliano uśmiechnął się jeszcze szerzej. Mimo wysiłków nie potrafił zachować całkowitej powagi.

— Sam musisz to zrobić, Filipepi. W przeciwnym razie nie będzie to prawdziwe poświęcenie.

Przez moment Sandro wyglądał, jakby dostał nagłego ataku mdłości, po chwili jednak wzruszył ramionami.

— Niech będzie. Pokaż mi, co mam robić. — Przepchnął się obok Rakoczego, unikając spojrzenia mu w twarz.

— Najpierw mniejsze — powiedział Aureliano. — Duże zachowaj na koniec. Najbardziej ohydny to *Diana i Akteon*. Dość duży, aby był ostatni. *Jowisz i Io* oraz *Semele* nadadzą się idealnie do wykładu Savonaroli.

— Wykładu? — spytał Sandro, niemal dławiąc się tym słowem.

Aureliano spojrzał na malarza obojętnie.

— Oczywiście. Savonarola pokaże na przykładzie tych prac, że słusznie je odrzuciłeś, aby zainspirować innych do zniszczenia własnych grzesznych przedmiotów. Uświadomi, jak bardzo pobiłdziłeś w swojej sztuce, i wyjaśni, jak bardzo takie błędy szkodzą nam wszystkim.

Botticelli przysunął dłonie do ust, jakby obawiał się z wymiotować. Zmusił się jednak do spokoju.

— To nie jest konieczne — powiedział, opuszczając ręce.

— Ależ jest — uśmiechnął się Aureliano. — Jeśli nie zaczniesz szczerze wyznawać swoich grzechów, jak możesz oczekiwać szczerości od innych? Savonarola ujawni ludziom trawiące sztukę zepsucie, dzięki czemu to, co wcześniej budziło ich pożądanie, zacznie wywoływać odrazę — dodał, kołysząc się na piętach.

Sandro rozejrzał się gorączkowo w poszukiwaniu pomocy, ale wszędzie widział tylko pełne szyderstwa twarze młodych ludzi <sup>419</sup> oraz kilku dominikanów, dzielących obrazy na sterty. Chciał zrobić krok, ale Milicja Chrystusa zastawiła mu drogę. Botticelli zastanowił się, co by było, gdyby sam rzucił się w płomień. Ruszył w kierunku najbliższego mnicha, który pochylał się nad *Persefoną* i *Semele*, i dopiero wtedy dostrzegł, że domniemany dominikanin miał na

nogach błękitne buty na obcasie. Niemal się roześmiał, zdumiony śmiałością Rakoczego, jednak moment uniesienia szybko minął. Sandro spojrzął na Aureliana i serce ścisnęło mu się w piersi.

— Możemy zaczynać — powiedział młodzieniec. — Gotowy? Sandro spojrzął po raz ostatni na *Semele* i *Persefonę*.

— Może być. Przynieś *Jowisza i Io*. To bardziej znana opowieść.

— Sam musisz ponieść obraz — przypomniał Aureliano, krzywiąc się pogardliwie.

— Czemu nie? — rzucił Sandro gdzieś w przestrzeń i podszedł do stosu malowideł. Wziął *Jowisza i Io*, przyjrzał się krytycznie obrazowi, jakby chodziło o pracę kogoś całkiem innego, kogo nawet nie znał. *Io*, przedstawiona jako wspaniała, ale porzucona kobieta o jasnych włosach, na wpół leżała na chmurze, która mieniła się wszystkimi barwami zachodu słońca. Sama chmura była zapewne mężczyzną i można było dopatrzeć się w oparach przystojnej twarzy. Sandro pomyślał, że zwłaszcza szyja *Io* była ciekawie namalowana, podobnie jak i te fragmenty chmury, które przypominały obejmujące *Io* dłonie. Ze zdumieniem zauważył, że obraz był całkiem dobry, lepszy zapewne, niż byłby wcześniej skłonny pomyśleć o jakimkolwiek swoim dziele.

— Filipepi — upomniał go Aureliano, przerywając tok myśli.

— Idę. — Sandro ujął pozłacaną ramę. Młodzieńcy z Milicji Chrystusa ustawili się w szpaler, aby dać mu przejść przez tłum na pusty środek placu. Ludzie prawie umilkli i słychać było tylko cichy szmer ich głosów.

Savonarola czekał między kolumnami Loggia della Signoria. Sandro przyjrzał się dominikaninowi, dostrzegając jego brzydotę i pokurczowatość. Przez chwilę, krótką chwilę, ogarnęło go obrzydzenie do kaznodziei.

— Florencjo! — zaczął dominikanin, gdy Botticelli przyniósł obraz.

— Oto jest jeden z tych, którzy zdobyli sławę dzięki błędzeniu, malował bowiem rzeczy, na które chrześcijanin nie powinien nawet patrzeć. Widzicie? — Skinął na dwóch członków milicji, aby unieśli obraz jak najwyżej. — Zobaczcie zgniły owoc talentu, który mógłby być wykorzystywany do chwalenia Boga! Oto apoteoza żądzy, obraz pogańskich przyjemności. Patrzcie, jak zepsuta kobieta rozkłada swe ciało bez cienia wstydu i jak błyskając nagimi udami wita monstrualnego w swym najściu Jowisza, który nie lepszy jest od diabła!

Tłum cisnął się nieustannie, aby zobaczyć obraz i doznać zgorzzenia. Sandro słyszał dziwne okrzyki wydawane przez bliżej stojących ludzi. Najchętniej zawołałby do nich, że Savonarola się myli, bo obraz powstał dla oddania radości i rozkoszy. Nie żądza w nim była zawarta, ale piękno. Za jego plecami rozległ się trzask krzesiwa. Płomienie ogarnęły błyskawicznie narzuconą na stos słomę.

— Jednak Sandro Filipepi zrozumiał swój grzech i odczuł skruchę — oznajmił Savonarola. — Oto zaraz weźmie ten plugawy obraz w ręce... — Skinął na Sandra, aby to właśnie uczynił. — Weźmie go w ręce, aby przyjąwszy z pokorą wyrok Boży, cisnąć świadectwo zepsucia w płomienie!

Sandro poruszał się jak we śnie. Przycisnął obraz do piersi i podszedł do stosu. Czuł buzującą w nim nienawiść do samego siebie, która wydawała mu się gorętsza niż płomienie. Uniósł malowidło nad głową i cisnął je w ogień.

Tłum ryknął i to samo uczyniły płomienie. Sandro spojrzął na swojego brata, Simone'a, który stał po drugiej stronie stosu i unosił triumfalnie ręce do nieba. Za nim mignęła okolona czarnym, dominikańskim kapturem twarz Rakoczego.

Gdy woń palonej farby i zwęglanego płótna wypełniła Piazza della Signoria, Rakoczy przycisnął mocniej skrywane pod habitem obrazy.



Chwilę potem uznał, że dość ma już tego widowiska, i zaczął przepychać się przez tłum, powtarzając mrukliwie, że wraca do San Marco.

Był w połowie drogi poza plac, gdy jęk tłumu obwieścił rzucenie na stos drugiego obrazu.

Zapis wizji siostry Estasii del Mistero degli Angeli:

*W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen. Z czcią dla Błogosławionej Dziewicy, świętych, aniołów i męczenników, którzy są gospodarzami nieba, niech zostanie powiedziane, co moc boska mi objawiła.*

*Gdy ulegałam słabościom tego świata, dając się ponieść żądzom trawiącym me ciało, i nie obudziła się jeszcze moja dusza, przepędzając grzeszne myśli, mieszkałam razem z moim kuzynem Sandrem Filipepim, który znany jest także jako Botticelli. Wiele razy widziałam, wtedy jego bezwstydną malunki, które wczoraj zostały poddane oczyszczającemu działaniu ognia. Myśląc o tej wspaniałej chwili, zwracam się do Boga i Jego wspaniałości, Jego promiennej postaci, która jaśnieje tak bardzo, że nawet archaniołowie ślepną w Jego obecności. Przed Nim wszyscy królowie ziemi padają na kolana i nie ma niczego, co przerastałoby Jego piękno. Najświętsze obrazy są tylko nędznym i urągającym Mu odbiciem Jego piękna. Najbardziej melodyjny hymn to skrzek tylko w porównaniu ze słodyczą Jego głosu.*

*Moja dusza uleciała, oczarowana Jego widokiem, i oto ujrzałam, jak ognie Florencji sięgają nieba. Odór palonych obrazów i strojów był tam dla Boga najmiłszym i wonnym zapachem. Popioły ubrań, mebli, peruk, koronek i brązowych postaci, które zaścielały Piazza della Signoria, przemieniły się i przybrały postać kwietnego wieńca, co ozdobił Jego głowę i lśnił blaskiem Jego twarzy.*

*Chaos płomieni był dla Niego tańcem, a modlitwy, które ku Niemu się unosiły, brzmiały jak lutnie i trąbki. Gdy znaki próżności i zła zniknęły w ogniu, Bóg został uhonorowany w swej chwale. Nie ma bowiem niczego równie pięknego jak Bóg. Nic lepiej nie przysłuży się naszym duszom niż myśl o Bogu. Nic lepiej nie przyozdobi nas niż cnota i modlitwa, bowiem skromność jest szatą, jakiej nawet najlepszy mistrz z l 'Arte di Calimala nigdy nie odtworzy.*

*Widziałam, jak Bóg wziął Florencję w objęcia, przyjmując jej ofiarę, i ognisty miecz, który płonął w Jego prawicy, odwrócił się od nas i skierował w stronę diabelskiego rynsztoka, którym jest Rzym. Jednak On pozostał czujny, bowiem nie wszyscy przyczynili się do ofiary. Jest jeszcze trochę takich, którzy nie chcą pozbyć się swych dóbr doczesnych dla większej chwały nieba i nagrody niebieskiej. Te niechrześcijańskie dusze uniosły z placu dwa obrazy, które miały zostać spalone wraz z innymi pogańskimi malowidłami. Boga jednak nie da się oszukać i nawet teraz czeka, aby zniszczyć tych, którzy postanowili szydzić z naszego szczerego żalu i oczyszczenia z grzechów.*

*Ochrypty jest mój głos od wychwalania Pana naszego. Oczy mnie bolą od wpatrywania się w Jego chwałę. Moje słabe ciało siania się ze zmęczenia od czuwania modlitewnego i postu, które przywiodły mnie blisko tronu niebieskiego.*

*Bóg przekazał mi, że Jego wielki plan zbawienia Florencji niebawem się dokona. Savonarola wstanie wyniesiony i chociaż jestem tego niewarta, jasna niczym kwiaty w słońcu i wszystko ogarniająca chwała stanie się też moim udziałem w dobroci i nieogarnionym Bożym miłosierdziu.*

*Módl się, Florencjo. Nie ustawaj w żarliwych modłach. Nie schodź z drogi wiary. Nie rezygnuj z triumfu, który jest tak blisko. Gdy oczyścimy nasze grono z nieprawych i heretyków, którzy przywiedli nas do zepsucia, radość wielka zapanuje w raju i zyskamy odkupienie dzięki temu, co teraz czynimy. Damy przykład świętości i cały świat zacznie nas naśladować.*

*Uwolnijcie się od zdradzieckich potrzeb ciała i nauczcie się modlić do Boga w czystości i pełnym oddaniu. Znajdźcie w sobie odbicie Bożego miłosierdzia, dzięki któremu największy nawet grzesznik może znaleźć się w niebie, jeśli dokona pokuty.*

*Miłość Boga przesyje każdą zbroję i pokona wszystkie przeciwności. Armie aniołów, świętych i męczenników walczą o zbawienie i wyniesienie naszych dusz. Widziałam, ile radości w niebie sprawia nawet jeden grzesznik, który odrzuci swój grzech i wejdzie na drogę cnoty. Widziałam, z jaką pasją aniołowie ratują tych, którzy wystawiani są na pokusy, a łzy ronione przez te święte istoty zmiękczyłyby serca nawet najbardziej zepsutych i przekupnych ludzi.*

*Jakaż ludzka miłość może równać się z niebiańskim braterstwem? Cóż znaczą ziemskie triumfy, skoro nawet najmożniejsi obracają się w pył, nawet największe skarby rozsypują się w proch? Jedyne, co trwa, to Boża chwala. Jeśli odwrócimy się od Boga, odwrócimy się od wiecznego źródła życia i nieskończonej dobroci, która jest światłem tego świata.*

*Piórem fra Mariano z ust siostry Estasii del Mistero degli Angeli  
W Sacro Infante pod Florencją, 5 maja 1498*

— Co znaczy ta napaść? — spytał Rakoczy, gdy wprowadzono go do kaplicy Madonny w Santa Maria Novella. Uwolnił ręce z uścisku dwóch lansjerów, którzy byli jego eskortą w drodze do starego kościoła dominikanów, i rozejrzał się po ciemnym wnętrzu. W zestawieniu z zaciężnymi żołnierzami wyglądał na niepokojąco prawdziwego arystokratę, a jego postawa jako żywo przypominała to, co można było dojrzeć na średniowiecznych freskach, które zdobiły kaplicę. Rakoczy wyprostował mocno zdobiony kaftan bez rękawów nałożony na tunikę z zielonego atłasu. Buty były niebieskie, skórzane, czapka bogato wyszywana perłami.

Dwóch siedzących za długim stołem dominikanów wymieniło niespokojne spojrzenia, jednak trzeci, młody człowiek, który nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat, spojrzał na Rakoczego surowo.

— Siadaj. To my jesteśmy od zadawania pytań.

— Postoję — odparł Rakoczy, spojrzał na młodego dominikanina i coś sobie przypomniał. Przyjęcie w świąteczny wieczór... To chyba było wtedy. Przyjęcie w wieczór Trzech Króli! Ten zakonnik był przywódcą bandy, która wdarła się do pałacu i narobiła zamieszania. Nie zmieniając wyrazu twarzy, San Germano pomyślał, że tym razem jest w trochę gorszej sytuacji niż przy poprzednim spotkaniu.

— Germain Rakoczy, tak? Dziedzic nikczemnego Francesca Rakoczego da San Germano?

Rakoczy spojrzał na niego hardo.

— Nie ująłbym tego w ten sposób. Francesco Rakoczy był moim stryjem, a ja jestem jego spadkobiercą. O ile wolno mi będzie przejąć jego majątek. — Ostatnia uwaga nie poszła na marne, bowiem obaj starsi dominikanie znowu spojrzeli po sobie i jeden z nich lekko

pokręcił głową.

— Gdy pewne kwestie zostaną ustalone w satysfakcjonujący nas sposób, podjęta zostanie też decyzja o losie majątku. Taka albo inna — wycedził młody mnich.

— A czy ustaliliście już, co by was satysfakcjonowało? Jeśli tak, proszę o wyłożenie mi tego, abym wiedział, jakie kłamstwa was zadowolą. — Rakoczy założył wyczekująco ręce na piersi.

— Jestem fra Mario Spinnati — powiedział młody dominikanin i spojrzał uważnie na Rakoczego, jakby oczekiwał jakiejś szczególnej reakcji.

San Germano uniósł brwi.

— Przedstawiasz mi się z własnej woli? Musisz być bardzo pewny swego.

To nie było to, na co brat Mario liczył. Poczerwieniał na twarzy i wstał.

— Nosisz błękitne buty. Buty z tłoczonych skóry. Na obcasach. Rakoczy uniósł jedną nogę i obejrzał swój but, jakby nigdy wcześniej go nie widział.

— Owszem.

— I nosiłeś je podczas Stosu Próżności! — krzyknął Mario, aż echo poszło po świątyni. Wyraźnie zaczął tracić nad sobą kontrolę.

— Bardzo możliwe — zgodził się Rakoczy, stając znowu na obu nogach.

— Nosiłeś je wtedy. Wiem, bo byłeś widziany. Rakoczy wzruszył ramionami.

— Wcale się nie ukrywałem.

— Ale dlaczego tam byłeś? — spytał brat Mario.

— Zapewne z tego samego powodu co wielu innych. Chciałem zobaczyć po raz ostatni obrazy Botticellego. — Wiedział, że to niebezpieczna odpowiedź, ale iniał nadzieję, że osłabi w ten sposób

zasadniczy atak.

— Obywatele Florencji przyszli tam zobaczyć kres próżności — wyjaśnił mu Mario.

— Tak? To dlaczego tyłu z nich płakało podczas palenia obrazów? — Spojrzał braciszkowi prosto w oczy.

— Płakali z radości — odparł Mario trochę niepewnym głosem. — Bo byli wreszcie wolni. — Poniewczasie pojął, że cudzoziemiec znowu zepchnął go do defensywy. — Czy to dlatego ukradłeś obrazy? — spytał, zaciskając pięści.

— Jakie obrazy?

— *Semele* i *Persefonę*. — Zakonnik miał nadzieję, że zdoła sprowokować Rakoczego do reakcji, która by go zdradziła i pozwoliła dominikanom szybko wygrać to starcie.

— A co, zginęły?

— Wiesz, że tak!

— Bo ty mi powiedziałeś. — Na twarzach obu starszych mnichów odbiło się zakłopotanie i Rakoczy poczuł ulgę. To była raczej sprawa między nim a Mariem. — Cieszę się — dodał z namysłem — że ktoś miał odwagę je zabrać.

Zadziałało tak, jak miało zadziałać. Brat Mario wyszedł szybkim krokiem zza stołu.

— Ty to powiedziałeś, cudzoziemski psie!

— Tak — przyznał spokojnie Rakoczy. — Powiedziałem, bo tak uważam. I ktokolwiek to był, z czasem świat okaże mu wdzięczność.

— A ty zabrałbyś jakieś obrazy?

Rakoczy poznał po tym pytaniu, że Mario tracił z wolna pewność siebie. Spojrzał uważnie na mnicha.

— Tak — odparł w końcu. — Spróbowałbym przynajmniej, gdybym miał po temu sposobność. Tyle że zamiast *Semele* wybrałbym *Jowisza i Io* — dodał, nie odrywając oczu od twarzy brata Maria, co

wyraźnie go rozdrażniło.

— Signor Rakoczy — odezwał się w tym momencie jeden ze starszych mnichów. Mówił zdumiewająco mocnym głosem. — Jestem fra Stanislao. Chciałbym zadać panu kilka pytań.

— Oczywiście. — Rakoczy z miejsca rozpoznał w nim o wiele groźniejszego przeciwnika niż młody zakonnik. — Jeśli tylko będę umiał, odpowiem zgodnie z prawdą.

Brat Stanislao pokiwał głową, jakby to akurat wiele go nie obchodziło.

— Powiadasz panie, że jesteś spadkobiercą Francesca Rakoczego?

— Tak.

— Czy możesz tego dowieść?

— Noszę herb, który winien być wam znajomy, uskrzydłone zaćmienie na srebrnym polu. Mam też listy od mojego stryja oraz dokument wystawiony przez dwóch braci hieronimitów, którzy donieśli o jego śmierci i przekazali jego ostatnią wolę. — Hieronimici byli bardzo nieliczni w Italii, większość z nich żyła w Iberii, co mogło sugerować, że Francesco Rakoczy udał się do Hiszpanii albo Portugalii. — O ile wiem, przebywał wówczas w towarzystwie znajomego alchemika, mistrza Branco.

Brat Stanislao ponownie pokiwał głową.

— Czy mógłbyś, panie, przedstawić te dokumenty? Rakoczy westchnął, jakby chodziło o coś, co jest i jego zmartwieniem.

— Od dnia przyjazdu próbuję przedstawić je komuś odpowiedniemu w Signorii. Może gdybyście się tym zainteresowali, poszłoby szybciej. Poślę zaraz kogoś, aby powiedział mojemu zarządcy, że ma wam je przynieść.

Jeśli ta deklaracja zrobiła na bracie Stanislao jakieś wrażenie, nie dał tego po sobie poznać.

— To może później. — Spojrzał na leżący przed nim pergamin. —

Teraz sprawa Demetrice Volandrai. Starasz się, panie, ojej zwolnienie.

— Owszem — zgodził się Rakoczy, czując przyływ niepokoju. — Mój stryj nakazał dopilnować, abym w nagrodę za dobrą służbę zapewnił jej dach nad głową i środki do życia. Jednoznacznie kazał mi się tym zająć.

— Ale obecnie ciąży na niej zarzut herezji — zaznaczył brat Stanislao.

— Z tego, co wiem, nie wyznała jeszcze tej zbrodni. Oskarżenie mało znaczy. Możliwe, że zostało spowodowane tym, iż pobierała nauki u mojego stryja, który był alchemikiem. Jak długo nie zostanie skazana, będę honorował ostatnią wolę stryja. — Wyprostował się trochę i zmienił akcent na twardszy, bardziej cudzoziemski. — Nie wiem, jak we Florencji, ale w moich rodzinnych górach Transylwanii honoru rodziny czy nazwiska broni się niezależnie od ceny, a odstęstwo od tego uznawane jest za jedną z najcięższych zbrodni.

Wreszcie doczekał się jakiejś reakcji ze strony brata Stanislao, który odłożył gwałtownie pergamin.

— Honor to nieodłączna cecha chrześcijanina — powiedział lekko podniesionym głosem. — Ty, panie, jesteś zaś chrześcijaninem, jak słyszałem. Dokładnie katolikiem.

Rakoczy przytaknął skromnie.

— Tak, jestem. Regularnie uczestniczę we mszy, ale to pewnie wiecie. — Pomyślał, że może warto jednak zaryzykować. — Czy to tylko fra Mario uważa, że ukradłem obrazy Botticellego, czy może brat zgadza się z nim w tej materii?

Starszy zakonnik zmarszczył czoło. Cudzoziemiec uprzedził jego pytanie, zaburzając planowany porządek przesłuchania.

— Nie mam jeszcze zdania w tej sprawie.

— Jeśli chcecie, przeszukajcie Palazzo San Germano. Milicja Chrystusa już to zrobiła, ale mogli przeoczyć coś w szale niszczenia —



powiedział trochę głośniej, marszcząc brwi. — Przy okazji proszę, żeby w razie kolejnego przeszukania ktoś nadzorował tych młodych ludzi, aby nie narobili więcej szkód.

— Wydaje się, że złość przez pana przemawia, signor Rakoczy — wtrącił się Mario.

— Trudno, żeby było inaczej. Każdy byłby zły, gdyby ujrzał w swoim domu podobny obraz zniszczenia. — Zbliżył się do stołu, za którym siedzieli dominikanie. — Chcecie przeszukać mój dom?

Brat Stanisłao machnął lekceważąco ręką.

— Skoro tak gorliwie nas, panie, do tego zapraszasz, to znaczy, że obrazy są gdzie indziej.

— Słucham? — zdumiał się Rakoczy i spojrzał na mnichów, jakby miał przed sobą trzy nieznane zupełnie zwierzęta. — Rozumiem. Jeśli nie wpuszczę was do Palazzo San Germano, to dlatego, że trzymam tam wspomniane obrazy. Jeśli zaś zezwolę na przeszukanie, to dlatego, że mam je gdzie indziej. To czyni mnie winnym niezależnie od tego, co powiem, i oszczędza wam tropienia winnego wśród Florentyńczyków. Cudzoziemcy lepiej nadają się na podejrzanych? — Prawie odwrócił się od stołu, aby okazać swoje oburzenie.

— Nie chodzi o bycie cudzoziemcem — odezwał się Mario, ignorując ostrzegawczy ruch dłoni brata Stanisłao. — Wiemy, że jest pan w to zamieszany. Widziano pana w pobliżu obrazów. Rozmawiał pan z Botticellim.

— Nie zaprzeczam — odparł Rakoczy z ulgą. — Botticelli prosił mnie o zwrot obrazu, który mój stryj kupił od niego kilka lat temu. Szukałem go, ale nie znalazłem, i to właśnie miałem do przekazania. Powiedziałem mu też, że cieszę się, iż w ten sposób wspomniany obraz nie spłonie. — Postanowił zaryzykować raz jeszcze. — Chciałem obejrzeć obrazy przed spaleniem, ale Milicja Chrystusa mocno ich pilnowała. Dopuszczała do nich tylko dominikanów.

Przyglądałem się więc z takiej odległości, w jakiej mogłem stanąć. — Wiedział, że kilku młodzieńców z Milicji Chrystusa na pewno potwierdzi jego słowa, gdyby ktoś ich spytał. Szczęśliwie nikt nie zauważył, gdy narzucał na ubranie dominikański habit.

Brat Stanisłao przytaknął niechętnie.

— Tak też słyszeliśmy. Ale jeden z tych młodych ludzi twierdzi, że widział mnicha w błękitnych butach z tłoczzonej skóry.

Rakoczy wybuchnął śmiechem i brat Stanisłao przeżegnał się, aby nie dać do siebie przystępu nieświętemu odgłosowi.

— Błagam o wybaczenie, dobry dominikanie — powiedział Rakoczy, gdy już się wyśmiał. — Jednak myśl, że mnich mógłby nosić coś takiego... — Znowu pozwolił sobie na prychnięcie. — To byłoby nader osobliwe. Przyznaję, że stałem blisko, gdy paru mnichów sprawdzało obrazy. Być może ktoś patrzący z boku i na szybko dostrzegł moje buty obok stóp braci. Ale żeby dominikanin... — Tym razem opanował wesołość.

Brat Stanisłao spojrzał na niego chłodno.

— Możliwe, że młody człowiek się pomylił. — Z obojętną całkiem twarzą przesunął palcami po pergaminie. — Palenie heretyków odbędzie się dziesiątego. Dzisiaj jest szósty. Jutro albo pojutrze donna Demetrice zostanie poddana badaniu przez członków naszego zakonu dla sprawdzenia, czy zarzut herezji jest prawdziwy. Podczas wstępnego badania zaprzeczyła wszystkiemu, ale nie było ono dokładne.

Rakoczemu zrobiło się zimno.

— Co to znaczy, że nie było dokładne?

— Chcę powiedzieć, że jak dotąd tylko jej grożono. Odmówiła odpowiedzi. Konieczne zatem będzie badanie właściwe.

Rakoczy wiedział, że polegało to na zadawaniu tylko wybranych tortur. Nie zdradził się jednak ze swoją wiedzą.

— Sądzę, że jej złożone pod przysięgą słowo wystarczy. Tym razem brat Stanisłao pokręcił ze smutkiem głową.

— Nie rozumiesz, panie. Diabeł jest sprytny, a jego metody pokrętne. Nigdy nie spotkał pan tej kobiety i nie wie, do czego może być zdolna. Dla zbawienia jej duszy trzeba udęczyć ciało. Dla chwały Pana musi przejść oczyszczenie i wyznać prawdę.

Ta chłodna recytacja przywołała uśmiech na usta brata Maria, który spojrzał na Rakoczego.

— Gdy badanie dobiegnie końca, ona zaś dowiedzie swojej niewinności, wówczas zostanie panu wydana.

— A jak może dowieść swojej niewinności? — spytał Rakoczy, chociaż znał odpowiedź.

— Umierając, cudzoziemcze. Umierając. To było już za wiele dla brata Stanisłao.

— Starczy, że okaże swoją niewinność podczas badania. Jeśli umrze, będzie to dowód na jej zbawienie. Jeśli jednak przeżyje i przekona nas, wówczas nie będzie problemem dopilnować, aby do pana trafiła. Gdyby jednak została uznana za winną, spłonie dziesiątego wraz z innymi heretykami.

Rakoczy spojrzał na zakonników.

— Powiedzcie mi, ilu spośród uwięzionych i oskarżonych o herezję wykazało swoją niewinność i będzie żyć?

— Żaden — odparł z satysfakcją Mario. — Ale zostało ich jeszcze jedenaścioro do zbadania.

— Rozumiem. Co za zbieg okoliczności. — Rakoczy odsunął się od stołu. — I co teraz, bracia dominikanie? Czy zamierzacie oskarżyć mnie o herezję, aby ułatwić sobie życie? Czy będziecie dalej utrzymywali, że ukradłem obrazy Botticellego? A może pošlecie po prostu po moje dokumenty, aby się przekonać, czy jestem tym, kim jestem?

Brat Stanisłao zacisnął usta, ale po chwili powiedział coś, co było trudne do przyjęcia:

— Będzie na to dość czasu po akcie wiary. Ale musisz, panie, zrozumieć nasze położenie i naszą troskę o miasto oraz stan twojej duszy. Przydzielimy ci strażnika, który będzie panu towarzyszył do chwili, gdy zdecydujemy, co robić dalej. Jeśli podejmiesz jakąkolwiek próbę ucieczki albo oszukania strażnika, będziemy wiedzieli, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz, i nakażemy aresztowanie i osadzenie w więzieniu.

Coś błysnęło nieprzyjemnie w oczach Rakoczego.

— Rozumiem. Tak jak gotowi jesteście oskarżyć mnie, jeśli nie pozwolę przeszukać mego domu, oraz wtedy, gdy na to pozwolę, również i w tym przypadku, jeśli zgodzę się na strażnika, zdradzę mój ród i zhańbię nazwisko, jeśli zaś powiem nie, oskarżycie mnie o herezję i pozbawicie dobrego imienia. Zgrabnie pomyślane, bracia. — Rozejrzał się po pustym kościele.

Żaden z mnichów nie wychwycił brzmiącego w jego głosie sarkazmu.

— Cała sprawa rozstrzygnie się za kilka dni, signor Rakoczy — powiedział z niezmałym spokojem brat Stanisłao. — Nie ma powodu, dla którego nie miałbyś, panie, tego przyjąć. Fra Sansone będzie twoim strażnikiem — powiedział i skinął na kogoś, aby wszedł.

Brat Sansone zasłużył w pewien sposób na swoje imię. Był wysoki i muskularny, nawet habit dominikanina nie mógł ukryć jego szerokich ramion. Ukłonił się bratu Stanisłao i spojrzął z chłodną wrogością na Rakoczego.

— Witaj, bracie Sansone — powiedział San Germano. — Postaram się, aby było ci u mnie wygodnie. Chyba że to też jest grzech?

Stary mnich był całkiem wyprany z poczucia humoru.

— Przysłużysz się, panie, wielce donnie Demetrice, jeśli będziesz

traktował tego człowieka z możliwie jak największym szacunkiem. Fra Sansone należał kiedyś do świeckiego ramienia Kościoła i nadal potrafi wiele z tego, czego się wówczas nauczył. — Brat Stanislao chciał powiedzieć w ten sposób, że Sansone był po prostu katem i torturował ludzi. — Ufam, że mnie pan rozumie, Rakoczy.

— Rozumiem — odparł ponuro San Germano.

— W takim razie możesz, panie, odejść. Porozmawiamy jedenastego. — Brat Stanislao skinął na swoich towarzyszy.

— A do tego czasu? Skąd będę wiedział, co się dzieje z donną Demetrice? Skąd się dowiem, jak mam się bronić, jeśli wysuniecie przeciwko mnie jakieś zarzuty? — Teraz pytał naprawdę.

— Jedenastego, Rakoczy — powiedział Mario, ciesząc się chwilą władzy nad cudzoziemcem. — Walczyłem kiedyś z twoim stryjem. Nie był tak rośły jak ty, ale walczył dobrze. Chętnie bym się przekonał, co ty potrafisz.

Rakoczy nie zareagował na tę prowokację. Zwrócił się do brata Stanislao:

— Czy dobrze się domyślam, że nie będę mógł w tym czasie uczestniczyć we mszy ani chodzić do spowiedzi?

— Trafny domysł — odparł stary dominikanin, nijak niezainteresowany już Rakoczym.

— A jeśli się sprzeciwię? — spytał, opierając się o stół i kładąc obie dłonie na blacie. — Odpowiedzcie, dobrzy bracia. Co będzie, jeśli się sprzeciwię?

Brat Stanislao spojrzał mu w oczy.

— Wówczas oskarżymy cię, panie, o herezję i spotka cię taki sam los jak wszystkich heretyków. Zginiesz na stosie, a twoje prochy zostaną rozrzucone na wietrze. Do jedenastego, signor Rakoczy.

List papieża Aleksandra VI do Girolama Savonaroli:

*Do bezbożnego i nieposłusznego ekskomunikanta Girolama Savonaroli we Florencji od Jego Świątobliwości Aleksandra VI z ostatnim ostrzeżeniem.*

*Z niepokojem dowiedzieliśmy się, że wiedziony dumą i wszechogarniającą próżnością postanowiłeś sprzeciwić się Stolicy Piotrowej oraz Świętemu Kościołowi. Mimo nałożonej ekskomuniki odprawiasz msze i udzielasz sakramentów, co nie tylko ściąga na Ciebie większe jeszcze potępienie, ale gubi tych, którzy zwiedzeni przez Ciebie ufnie przyjmują świętości z rąk bluźniercy.*

*Tym samym wszczynamy przeciwko Tobie proces, w którym wykazemy, że poprzez ciągłe i niepoprawne sprzeciwianie się nam winien jesteś najcięższej herezji i z tego tytułu poniesiesz najsurowszą karę, zarówno w tym świecie, jak i w świecie, który nadejdzie.*

*Jednak Bóg jest miłosierny i bardziej cieszy Go powrót jednej zgubionej owieczki niż całe wierne mu stado. Gdyby nie to, proces zostałby wszczęty bez ostrzeżenia i bez dania Ci szansy na zejście z drogi grzechu. Zdradzilibyśmy świętego Piotra, gdybyśmy pozwolili Ci dalej podążać tą drogą. Tym samym masz jeden tydzień na publiczne okazanie skruchy za swoje nieposłuszeństwo i konsekwentne ignorowanie naszej bulli i naszego interdyktu. Twoja skrucha musi być szczera, wyznanie grzechów pełne i musisz upowszechnić je, aby cały świat mógł się z nim zapoznać. Potem musisz oddać się do dyspozycji generała zakonu dominikanów i od niego dowiesz się, w którym klasztorze spędzisz resztę życia jako pustelnik żyjący w zamurowanej celi.*

*Mamy dziś dzień świętego Tomasza Akwinaty, którego przykład niech będzie Ci inspiracją we własnych przemyśleniach i niech skłoni Cię do przyjęcia osądu Kościoła. Aktem tym oszczędzisz swojej kongregacji wiele cierpienia i licznych a dotkliwych rozterek. Uratujesz ją przed wielkim grzechem, przez to i Tobie wiele zostanie wybaczone.*

*Z radością dowiemy się o Twoim powrocie na łono Kościoła. Jeśli to nie nastąpi, uderzymy z całą siłą Kościoła wojującego i wołi Bożej*

*Aleksander VI Pontifex Maximus*

*Rzym, Stolica Piotrowa, w dzień świętego Tomasza Akwinaty, 8 marca  
1498*

## . 12 .

Gelata rzuciła głową, rwąc się do wyjścia ze stajni i galopu. Rakoczy ściągnął wodze i pochylił się w siodle. Mrok stajni rozświetlała tylko jedna świeczka, ale i to wystarczyło mu, aby dostrzec ciemnonocnego Ruggiera, który pojawił się w drzwiach.

— Jak długo będzie spał brat Sansone? — spytał służący, biorąc się do otwierania wrót stajni.

— Powinien obudzić się gdzieś przed południem. Do tej pory będę już z powrotem. Gdyby rzucał się w nocy, dosyp do piecyka w jego pokoju tych suszonych liści, które ci dałem. To powinno go uspokoić. — Otulił się ciaśniej czarnym płaszczem. — Wyjadę przez Porta Corsa del Prato. Trzymają ją otwartą przez całą noc dla latrynowych. Potem wrócę inną bramą. — Sprawdził, czy ma nóż w bucie. — Jestem gotowy. Otwieraj.

Ruggiero zawahał się.

— Co mam powiedzieć, gdyby o ciebie pytali? Na przykład dominikanie...

— Powiedz, że się modlę i nie można mi przeszkadzać. I dopilnuj, żeby nie zobaczyli spakowanych skrzyń. Mogliby się wtedy domyślić, że wyjeżdżamy.

— Możesz na mnie polegać — powiedział Ruggiero, jak tyle już razy wcześniej.

— Całym życiem, przyjacielu. — Pochylił się w siodle, gdy wrota otworzyły się, i zniknął w mroku nocy, zanim jeszcze służący zdążył je zamknąć.

Florencja była jak wymarła pod niebem pełnym zimnych gwiazd. Rakoczy jechał pustymi ulicami, słuchając uderzeń podków klaczy podążającej w kierunku Porta Corsa del Prato w zachodniej części



miasta, tuż nad Arno. (idy mijali Santa Maria Novella, kazał jej zwolnić, bo w oknach niektórych cel migotał jeszcze blask świec i słyhać było szmer modlitw. Opóźnienie nie było wielkie i kilka minut potem przejechał przez bramę, mijając w niej robotników, którzy wywozili nieczystości z miasta, i zniknął w ciemności.

Nocna galopada nie była bezpieczna, przytrzymał więc Gelatę w kłusie, samemu pilnie przepatrując drogę w poszukiwaniu pułapek. Raz klacz spłoszyła się, słysząc wycie psa, innym razem Rakoczemu zdało się, że słyszy pościg, i popędził ją do galopu. Byli już jednak daleko pośród wzgórz i stary zamek pojawił się za następnym zakrętem. Rakoczy zwolnił i rozejrzał się, szukając nowego miejsca dla ukrycia wierzchowca. W końcu zsiadł i wprowadził klacz za wielki głaz. Był dalej niż zwykle, obawiał się jednak, że tuż przed dniem stosów dominikanie mogą stać się bardziej czujni. Uwiązał Gelatę do grubego korzenia drzewa, które rosło prawie na skale, i ledwie odróżnialny od cienia ruszył pieszo w stronę zamku.

Tym razem kamienie były suche, a i desperacja przydała mu sił, przez co nim minął kwadrans, wciągał się już przez okno do celi Demetrice. Opadł na podłogę i zawołał dziewczynę szeptem. Nie zdziwił się, gdy mu nie odpowiedziała.

Leżała skulona na sienniku pod ścianą. Rakoczy przyklęknął przy niej i dotknął łagodnie ramienia Demetrice, aby ją obudzić.

Otworzyła oczy z bolesnym jękiem. Oczy miała zaczerwienione, powieki opuchłe, na czole widniało głębokie rozcięcie pokryte niedawno zakrzepłą krwią.

— Nie... — wyszeptała.

Rakoczy poczuł wzbierającą w nim wściekłość i przymrużył oczy. Zaczął badać delikatnie jej obrażenia, starając się chociaż je oczyścić. Brakowało mu lampy albo nawet świeczki, wiedział jednak, że zapalenie tutaj światła skończyłoby się najpewniej katastrofą. Gniew

narastał w nim przy każdym jęku Demetrice i kolejnych, odkrywanych z wolna, oparzeniach i ranach.

Gdy zrobił, co mógł, ponownie spróbował ją obudzić. Wierzchy jej dłoni były otarte do krwi, pocałował więc je z drugiej strony, wymawiając szeptem imię dziewczyny.

Tym razem powieki poruszyły się i uchyliły na tyle, na ile opuchlizna pozwalała. W jej oczach czaiło się przerażenie i uniosła zaraz jedną rękę, aby się osłonić.

— Dość. Dość już. Powiedziałam, co chcieliście. Powiedziałam już. — Mówiła coraz głośniej, szarpiąc się jednocześnie, jakby chciała się skądś wyrwać. Nagle krzyknęła i odsunęła się gwałtownie.

— Nie trzeba, Demetrice. To ja, San Germano. Demetrice. — Przynął się bliżej i serce mu się ścisnęło, gdy spróbowała uciec przed nim z wyrazem panicznego strachu na twarzy.

— Powiem to raz jeszcze. Powiem. Powiem cokolwiek. Ale dość. Dość już. — Zaczęła płakać. Cicho, jak najciszej, co było chyba straszniejsze, niż gdyby krzyczała.

— Demetrice — powtórzył Rakoczy, odsuwając się od niej, aby nie potęgować strachu dziewczyny. — To ja, San Germano. Jestem Francesco, amica mia. Wróciłem, jak obiecałem.

Nie oczekiwał tak naprawdę, że go usłyszy, ale zamrugała nagle i rozplakała się jak dziecko. Dopiero po chwili Rakoczy pojął, że odczuła po prostu wielką ulgę.

— San Germano — powiedziała, uspokoivszy się trochę. Ostrożnie wyciągnęła ku niemu rękę. — Powiedziałam im, że jestem heretyczką. Powiedziałam, że profanowałam krzyż i mieszałam hostie z ekskrementami. — Potrząsnęła z niedowierzaniem głową. — Musiałam im powiedzieć. Bez tego by nie przestali.

Ujął jej dłoń, uważając, aby nie dotknąć zranionych miejsc.

— To nieważne — powiedział, aby ją pocieszyć. Nie wątpił, że

mówiła prawdę. Takiego właśnie wyznania od niej oczekiwano, zwłaszcza że stosy miały zapłonąć już za dwa dni i Savonarola bardzo potrzebował ofiar, aby dopełnić swój bunt przeciwko Rzymowi i papieżowi. Tymczasem Rakoczy najchętniej wziąłby Demetrice w ramiona i osłonił ją przed wszystkim, co jej groziło.

— Spalą mnie — dodała spokojnie. — Już mi to powiedzieli.

Ogień w tym życiu i w następnym. — Zacisnęła na chwilę powieki, jednak szybko się opanowała. — Twoja petycja nic nie dała. Ale pewnie nic by nie pomogło, prawda, San Germano?

— Zapewne nie — przyznał, wspominając rozmowę sprzed dwóch dni, kiedy to wbrew własnej woli został doprowadzony do Santa Maria Novella. W ciemności nie mógł dokładnie dojrzeć jej twarzy, ale sądząc po tym, jaka była ciemna, musiała być bardzo poobijana.

— Cóż, przynajmniej się kochaliśmy — powiedziała melancholijnie i zamilkła na chwilę. — Wiesz, jaka byłam z początku spłoszona, ale teraz jest mi przykro, że tak mało ze sobą byliśmy...

Oczy Rakoczego pojaśniały.

— Mamy jeszcze jedną szansę.

— Tak. I bardzo mnie to cieszy. — Spróbowała się oprzeć, ale kamienie zanadto raniły jej plecy i musiała znowu usiąść prosto.

— Boję się płomieni. Żałuję, że dłużej nie stawiałam oporu. Umarłabym już dzisiaj. — Kiedyś sama oburzyłaby się na takie słowa, ale teraz wizja samobójstwa nie wydawała się już straszna.

— Nie nadaję się na męczennika, Francesco — powiedziała, pierwszy raz zwracając się do niego po imieniu.

— Co? — spytał trochę nieprzytomnie, odrywając się od własnych myśli. Przez chwilę nie był pewien, czy powinien podzielić się z nią tym, co przyszło mu do głowy. Zaraz jednak porzucił wątpliwości i przysunął się bliżej, aby mogła widzieć jego twarz.

— Słuchaj mnie, Demetrice. Nie mogę uratować cię od śmierci. W

każdym razie nie całkiem. Jest jednak coś, co mogę zrobić. Mogę zaoferować ci... uwolnienie.

— Uwolnienie? — spytała zdumiona. — Jak? Znowu ujął jej dłonie i tym razem ich nie wyrwała.

— Pamiętasz, przed czym cię ostrzegałem? Ze jeśli za często będziemy się kochali, staniesz się taka jak ja? Czy pamiętasz, że jest jeszcze jeden sposób na wywołanie zmiany? Dokona się, jeśli wymienimy się krwią. Możemy to zrobić dzisiaj. Zaraz.

— Ale stos i tak mnie nie ominie — powiedziała cicho, nie mając śmiałości uwierzyć, że może jednak jest dla niej ratunek.

— Ominie, jeśli wcześniej umrzesz. Pochowają cię potem gdzieś z dala od poświęconej ziemi, a w pierwszą noc po pochówku obudzisz się i będziesz znowu żyła. Takim życiem jak ja.

— Mówił szybko, aż jego słowa zlewały się ze sobą.

— Ale jak umrę? Jeśli rano ponownie wezmą mnie na tortury, może się zdarzyć... — Malujące się na jej twarzy przerażenie powiedziało mu więcej niż wszystkie słowa.

— Nie. Nie tak. Pokażę ci — powiedział, wysuwając sztylet z buta. — Dwa małe nacięcia, Demetrice mia. Tylko dwa i dominikanie już cię nie tkną. — Przesunął palcami po jej twarzy. — Podziel się ze mną krwią, Demetrice. Przyjmij życie. Ratuj się. Proszę.

Wyczuwała szczerłość w jego głosie. Gdy spróbowała przypomnieć sobie, jaką odrazę wywoływała kiedyś w niej ta myśl, nie odnalazła już w sobie niczego, co by ją odstręczało. Każdy ruch wywoływał ból i wiedziała, że następnego dnia będzie jeszcze gorzej. Zapowiedzieli jej, że rano trafi na łożo tortur, a widziała już wcześniej, co takie rozciąganie potrafi zrobić z człowiekiem. Zadrżała i zakryła twarz dłońmi.

— Nie, Demetrice — powiedział Rakoczy coraz bardziej przerażony, że ją straci. Nie chciał jej dotykać, aby nie sprawić

niechący dziewczynie jeszcze większego bólu, ale też niewiele więcej mógł powiedzieć. Obawiał się, że odmówi. Niestety, nie miał czasu, aby łagodniej wprowadzić ją w całą sprawę.

— Co mam zrobić? — spytała słabym głosem. Odetchnął z ulgą.

— Pozwól mi się kochać tak jak wcześniej. Tyle że tym razem będziesz robiła to samo co ja. Natnę moją skórę. Starczy, że przyjmiesz tylko trochę krwi. Potem pokażę ci, jak... — Objął ją.

— Potem będę musiał cię zranić.

— Nie szkodzi — powiedziała, nim pocałował ją w usta. Jeśli nawet nie zapomniała o ranach, zdawała się nie zwracać na nie uwagi. Rozdarł jej więzienną szatę i przycisnął głowę do piersi Demetrice.

Jego ręce były zdecydowane, ale czułe. Gdziekolwiek podążyły, tam w ślad za nimi zjawiały się jego usta, łagodząc ból posiniaczonego ciała, ogrzewając ją i kojąc. To, jak bardzo jej pragnął, objawiało się jedynie lekkim drzeniem jego rąk. Przemawiał cicho, pragnąc wzbudzić w niej iskrę radości, a w jej uszach każde zdanie brzmiało muzyką najdoskonalszych lutni.

— Była kiedyś kobieta jasna jak gwiazda, co płonęła w przestworach nieba. Niczym Wenus wisiała nad horyzontem po zachodzie słońca, jarząc się jednak całkiem własnym blaskiem. Gdy wędrowała, drzewa drżały z miłości do niej, a ziemia pieściła jej stopy. Leżąc przy niej, czuło się w skroniach pulsowanie przyływów, wieczny rytm oceanu oddającego cześć księżycowi. Jej usta smakowały przyjazną wiecznością. Nikt nie potrafił ogarnąć jej piękna.

Demetrice sama zdumiała się własną reakcją, wcześniej bowiem tylko przyjmowała to, co Rakoczy pragnął jej przekazać, co budził w niej swoimi pieszczotami. Teraz jednak sama wyciągnęła do niego ręce. Jej usta poszukały jego ust i przerwały opowieść, potem

skierowały się ku otwarciu stroju jeździeckiego Rakoczego. Tam właśnie, wysoko na piersi, naciął lekko skórę i schował nóż do buta. Pocałował ją znowu i cofnął się.

— Chodź, Demetrice. Przyjmij me życie.

Zanim skończył to mówić, jej wahanie zniknęło bez śladu. Usta dziewczyny dotknęły zranionego miejsca. Westchnął gwałtownie, z rozkoszą, i przysunął ją bliżej, aż zległa na nim, mocniej wciąż go ściskając, tak że poczuła, iż stają się jednym, w jednej połączeni rozkoszy.

Gdy w końcu się poruszył, dała się porwać fali jego pocałunków i jej radość wybuchła pełnią sił. Otoczona jego miłością i kojona jego wargami otworzyła się przed nim całkowicie, aż wypełniło ją bezbrzeżne poczucie triumfu. Drżała jeszcze, dochodząc do siebie po wielkim zwycięstwie, gdy ponownie się odezwał:

— Jesteś gotowa, Demetrice?

Usłyszała go tak, jakby była to jej własna myśl ujęta w uroczyste i słodko brzmiące słowa. Wyciągnęła ręce.

— Dostojne rzymskie kobiety z czasów cesarów sprowadzały sobie w takich chwilach muzyków, aby melodiami umilali im odejście. Tutaj brak muzyków i perfumowanej kąpieli, ale przytulę cię, amica mia, a jeśli chcesz, będę ci śpiewał. — Spróbował wyczytać coś z jej twarzy, ale na to było jednak za ciemno.

Ostrze noża było zimne i musiał je ogrzać. Szybko wykonał dwa nacięcia na nadgarstkach. Upewniwszy się, że otworzył arterię, oparł się o ścianę i wziął ją w ramiona.

— Musisz trzymać ręce nisko, amante mia. Oprzyj dłonie o podłogę, aby rany pozostały otwarte. — Objął ją mocniej i wpatrzył się gdzieś przed siebie. Trochę później zaczął śpiewać. Nie była to melancholijna pieśń o straconej miłości ani namiętne wyznanie, ale napisana niegdyś przez Laurenza pochwała krótkiej i szybko mijającej

młodości.

*(Juanie bella giovenezza Che si fugge tuttavia Chi vuol esser lieto, sia;  
Di doman non ce certezza.)*

Pogrążona już w półśnie Demetrice rozpoznała wiersz Laurenza i przypomniała sobie tamte bezsenne noce, które spędzała w jego objęciach. Przez chwilę wspomnienie stało się tak wyraźne, jakby Lorenzo znowu był obok. Potem poczuła drobną dłoń Rakoczego na swoich włosach i zdumiała się jego szczodrością. Ofiarował jej nie tylko swoją miłość, ale ożywił też uczucie Laurenza. Spróbowała się uśmiechnąć, ale nie podołała takiemu wysiłkowi. Wtulając się mocniej w pierś Rakoczego, westchnęła szczęśliwa i zamknęła oczy.

List Feba Janaria Anastasia di Benedetto Volandrai do Marsilia Ficina, napisany 19 grudnia 1497, doręczony 19 kwietnia 1498:

*Marsiliowi Ficinowi, mistrzowi i nauczycielowi, darzonemu głębokim szacunkiem, Febo Volandrai przesyła pozdrowienia z Paryża. List ten przekazuję za pośrednictwem Rene Benoita Richesse'a mojego kolegi ze studiów, który wybiera się do Montovy i Rzymu, aby kontynuować studia. 'Zgodził się doręczyć go w zamian za popołudnie w Twym towarzystwie, spędzone na nauce. Ufam, że spotka go ten zaszczyt.*

*Dopiero co dowiedziałem się o aresztowaniu mojej siostry i poczułem się całkiem bezradny. Nie pojmuję, czym mogła zasłużyć na podobne oskarżenie. Myślałem, że żyje bezpiecznie pod opieką tego cudzoziemca. Mogę tylko przypuszczać, że nadal studiowała alchemię, co nie było mądre, jak jej zresztą wspominałem. Jednak wszystko zdaje się nie mieć sensu i jestem pewien, że starczy kilka wyjaśnień, aby problem zniknął, i to zapewne na długo wcześniej, niż ten Ust do Ciebie dotrze.*

*Mam jednak jeszcze inny powód, aby do Ciebie pisać, drogi mistrzu. Potrzebuję porady w sprawie pozycji mojej siostry jako gospodyni*

cudzoziemca. Zapewnia mnie, że nie kupczyła wówczas ciałem. Jakkolwiek zaś było, sądzę, że tyle lat po jego zniknięciu cała sprawa dawno już wygasła, niemniej ona nadal korzysta z jego dobroczynności. Nie wydaje mi się, aby było to dla niej dobre. Cudzoziemcy często nie są świadomi problemów, które sprawiają innym, zwłaszcza w takich i podobnych sytuacjach, przez to wskazane by było rozwiązać ten problem.

Moje studia weszły w okres, w którym nie mogę łatwo ich przerwać, jednak jeśli uznasz to za właściwe, ściągnę ją tu i znajdę jej jakieś stosowne zajęcie w Paryżu. Skoro raz została naznaczona jako heretyczka, niełatwo będzie jej żyć we Florencji. Za pół roku zaczniesz się przerwa w nauce i wtedy będę mógł wybrać się do Florencji i wracając, zabrać Demetrice ze sobą.

Oczywiście lepiej by było, gdyby pozostała we Florencji, o ile uznasz, że niczej tam naprawdę nie zagraża. Ufam, że napiszesz mi o jej położeniu i zasugerujesz najwłaściwsze rozwiązanie.

Pewien jestem, że wiesz, jak wiele jej zawdzięczam. To ona wyposażyła mnie w środki, dzięki którym mogę kontynuować studia w Paryżu, za co jestem jej bardzo wdzięczny. Sama pierwsza by jednak przyznała, że nie można lekko traktować tak ciężko wywalczonych studiów. Miej to na względzie, gdy będziesz mi o niej pisał. Świadom jestem moich powinności wobec siostry, wiem jednak, że byłaby mocno rozczarowana, gdybym zmarnował jej dar, rzucając teraz studia i wracając pospiesznie do Florencji tylko po to, aby dowiedzieć się, że nic jej nie zagraża, aresztowanie zaś było pomyłką, dawno już wyjaśnioną i zapomnianą.

Gdyby jej dobroczyńca wrócił do Florencji, porozmawiaj z nim koniecznie jako mój przedstawiciel i zaproponuj mu, aby zerwał kontakty z Demetrice, skoro to głównie przez niego spotkały ją te wszystkie nieprzyjemności. Jestem pewien, że sam będziesz świetnie wiedział, co powiedzieć, on zaś pojmie, czego od niego oczekuję. Złe się złożyło, że wciągną ją w swoje sprawy, bo wcześniej czy później musiało się to na niej



*zemścić. Jednak z dystansu wszystko lepiej widać. Gdybym wówczas pojmował, jak wielką cenę będzie musiała zapłacić za swój wybór, nalegałbym, aby dołączyła do mnie w Wiedniu. Nikt mi jednak nie przekazał ani słowa na ten temat i aż do teraz nie miałem powodu, aby się martwić.*

*Proszę Cię usilnie, abyś odpisał mi tak szybko, jak tylko uznasz to za właściwe. Jeśli nic jej nie zagraża, nie przerywaj niepotrzebnie pracy. Demetrice jest bardzo mądra, przynajmniej jak na kobietę, i bez wątpienia napisałaby do mnie, gdyby mnie potrzebowała.*

*Mam nadzieję, mistrzu, że zdrowie Ci dopisuje i że Twoje obawy związane z zachodzącymi we Florencji zmianami okazały się bezpodstawne. Pozdrawiam zatem i polecam się na przyszłość, z góry dziękując za rady i Twoje zainteresowanie losem mojej siostry.*

*Febo J.A. di B. Yolandrai*

*W Paryżu, na Universite, 10 grudnia 1497*

## . 13 .

Wiadomość o śmierci Demetrice Volandrai dotarła do Palazzo San Germano dopiero późnym popołudniem. Przyniósł ją brat Sansone, ciągle jeszcze zerkający nieprzyjaźnie na Rakoczego po dziwnie mocno przespanej nocy.

— Przyszła wiadomość — obwieścił oficjalnym tonem.

— Jaka? — spytał Rakoczy, udając znudzenie, chociaż domyślał się, o co może chodzić.

— Ta oskarżona o herezję kobieta ostatecznie przyznała się do winy — powiedział nie bez satysfakcji. — Popełniając najcięższy z możliwych grzechów, odebrała sobie życie, co potwierdziło jej zeznania.

Rakoczy odwrócił się od stołu, gdzie odmierzał na szalkach przyprawy, i spojrzał na mnicha z lekką irytacją.

— Jak mam to rozumieć?

Brat Sansone ucieszył się wyraźnie, że może rozwinąć temat.

— A tak, cudzoziemcze, że okazała się na tyle zatwardziała w grzechu, że wolała ujawnić wprost swe heretyckie zepsucie, niż przejść przez oczyszczające płomienie. Popełniła w nocy samobójstwo.

Wprawdzie nie było to łatwe, ale Rakoczy zmusił się do naturalnej reakcji.

— To niemożliwe — powiedział, lekko tylko rozdrażniony. — Mój stryj zapewniał mnie, że... żyła zgodnie z zasadami chrześcijaństwa. Nie zdziwiłbym się, gdyby umarła podczas waszych tortur, ale samobójstwo... — Skończył ważyć porcję, wsypał wonny proszek do małego pudełka i zajął się kolejnym opakowaniem. — Kto ci to przekazał?

Brat Sansone zmarszczył brwi. Nie podobała mu się ta rozmowa, na dodatek powiedział więcej, niż zamierzał.

— Sam fra Stanislao, niecałą godzinę temu. Miała zostać dzisiaj szczegółowo odpytana w sprawie jej heretyckich aktów, jednak gdy krótko po wschodzie słońca strażnicy przyszli po nią do celi, była już zimna. Przecięła sobie nadgarstki i miała tajemnicze znaki na całym ciele.

Rakoczy pamiętał te znaki i wiedział, że nie było w nich nic tajemniczego.

— Naprawdę?

— Tak. Oprócz niej w nocy zmarło jeszcze troje podejrzanych, ale tylko ona wyparła się Chrystusa i odebrała sobie życie. Pozostali dowiedli swej niewinności, umierając po badaniu. Otrzymają chrześcijański pochówek. Z nią jednak będzie inaczej. — Zakonnik uniósł ręce i złożył pobożnie dłonie. — Zostanie zakopana w żebraczym dole na rozstaju dróg.

— Może dobrzy dominikanie pozwolą mi zająć się jej pogrzebem — zasugerował Rakoczy na tyle niepewnie, aby brat Sansone poczuł się usatysfakcjonowany. — Stryj kazał mi o nią dbać. Nie mogę tak całkiem jej zostawić.

— Była heretyczką — przypomniał mu zakonnik z błyskiem w oku.

— Była gospodynią mego stryja — odparł zdecydowanie Rakoczy i odwrócił się od wagi. — Gdzie jest teraz?

Nie była to taka reakcja, na jaką liczył Sansone, ostatecznie jednak odpowiedział na pytanie:

— Po zachodzie słońca zostanie przewieziona do San Marco. Jeśli pójdzie pan po ciało, może wydadzą je panu i zezwolą na pogrzeb — poinformował, krzywiąc twarz. — Ale mogą się też nie zgodzić, uznając, że skoro była heretyczką, nie zasługuje na pogrzeb. Ale spytać zawsze można. — Rozejrzał się po pokoju miar i skrzywił się

jeszcze bardziej. — Przeróżający zbytek — skomentował.

— Jak możesz tak twierdzić? — oburzył się Rakoczy, pozostając w roli. — Wszystko to jest często używane. Żaden to grzech, gdy coś jest funkcjonalne i piękne równocześnie. — Położył dłoń na rzeźbionej komódce do przypraw, masywnym meblu z pięćdziesięcioma szufladkami. — Owszem, każda mocna skrzynka może być dobra na przyprawy i puzderka też nie będą gorsze od szuflad, ale sam przyznasz chyba, że taka komódka sprawia się o wiele lepiej. Nie mówiąc już o tym, że lepiej wygląda.

Brat Sansone zamachał rękami, jakby przypominał sobie czasy, gdy trudnił się łamaniem i niszczeniem.

— Co może być warta twoja dusza, jeśli nie potrafisz uwolnić się od kilku kawałków dopasowanego drewna?

— Krzyż to też kawałki dopasowanego drewna, jak sądzę. W sumie dobry przykład — rzucił od niechcienia i ponownie zajął się przyprawami. Nie zwracając uwagi na głośnie sapanie wzburzonego do granic zakonnika, wysunął szufladkę z cynamonem. — Jeśli masz mi jeszcze coś do powiedzenia, proszę cię, abyś powiedział to teraz. W przeciwnym razie proszę, abyś wyszedł i starannie zamknął za sobą drzwi. Ruch powietrza może rozrzucić proszek, a jak sam wiesz, przyprawy są niemal równie cenne jak złoto.

— Wyjdę już — wycedził przez zęby dominikanin.

— Dziękuję. Aha, i przekaz Ferrugiowi, aby do mnie przyszedł, dobrze? — Mówiąc to, starał się prezentować kwintesencję arogancji, co dało zamierzony skutek. Zakonnik mruknął coś pod nosem i wyszedł, trzaskając z całej siły drzwiami.

Gdy jakiś czas później Ruggiero zjawił się w pokoju wag, Rakoczy poznał po zaniepokojonym obliczu sługi, że wiadomość o śmierci Demetrice dotarła i do niego.

— Spóźniłeś się? — spytał Ruggiero.

— Nie, to dominikanie się spóźnili. — San Germano przysiadł na skraju stołu, kiwając nonszalancko jedną nogą. Skóra wysokiego, czerwonego buta odbijała rytmicznie promienie słońca. — Mają sprowadzić ją do San Marco. Pójdę tam po zachodzie słońca i zażądam wydania ciała. Wtedy jeszcze dziś wieczorem złożylibyśmy ją w rodzinnej ziemi i jutro rano moglibyśmy wyjeżdżać. Jeśli znikniemy przed uroczystością, przebędziemy wiele staj, nim połapią się, że nas nie ma. Ziemię masz?

Ruggiero pokiwał głową.

— Mam. Niewiele, ale poprosiłem alchemika z Rimini, aby wysłał jej więcej do Wenecji, i wydałem odpowiednie instrukcje Gian-Carlowi.

Rozmawiali w obcym języku, który był ojczystą mową Rakoczego.

— Czy musimy aż tak bardzo uważać? — zastanowił się głośno San Germano.

— Idąc po schodach na górę, widziałem, jak Sansone krąży po galerii.

— Zatem lepiej będzie zachować ostrożność. — Rakoczy zachichotał, wyobrażając sobie frustrację podsłuchującego zakonnika.

— Gdzie złożyłeś ziemię? Ile jej dokładnie jest?

— W tej chwili dwa worki. Leżą w stajni. — Przerwał na chwilę, jakby poważnie się nad czymś zastanawiał. — Jesteś pewien, że dokona przemiany? Byłeś z nią tylko trzy razy. To może nie starczyć.

— Mimo spokojnej twarzy w głosie Ruggiera przebijał szczery niepokój. — Podziwiam ją. Nie chciałbym jej stracić.

— Starczy. Wymieniliśmy się krwią. Ruggiero aż uniósł brwi i gwizdnął z cicha.

— Nie byłeś pewien, czy się zgodzi.

— W końcu się przekonała. Wczoraj poddali ją tylko badaniu i nie ranili jej rozmyślnie, ale dzisiaj miał być ciąg dalszy. W porównaniu z

tym, co oni robią, wampiryzm to igraszka — dodał z goryczą, chociaż nie było to dlań wcale świeże odkrycie. — Potem dla pewności podciąłem jej nadgarstki.

Ruggiero pokiwał głową.

— Sądysz, że może tego żałować? — Pytanie nie było łatwe, ale dokładnie ta sama myśl prześladowała Rakoczego od chwili, gdy nocą wymknął się z celi Demetrice.

— Nie wiem. Wolałbym uwolnić ją żywą, ale nie było jak. Próbowałem opóźnić jej sprawę w nadziei, że nasz przeor nie doczeka. Wtedy miałyby wolny wybór i czas, aby przywyknąć do myśli o zmianie. Zgodziła się, bo alternatywą była śmierć podczas tortur. Trudno było o inną decyzję w takiej sytuacji, prawda? — Pokręcił ze smutkiem głową. — Ale nic, nie dowiemy się tego, dopóki się nie obudzi. Jeśli wpadnie w złość, będę musiał wysłać ją gdzieś daleko do czasu, aż zrozumie.

— Porozmawiam z nią — zaproponował Ruggiero, podchodząc do drzwi. — Będę czekał na ciebie przy bramie. W ten sposób dobry mnich nie będzie zmuszony jej oglądać. — Otworzył gwałtownie drzwi i brat Sansone cofnął się z miną winowajcy.

— Otrzymałem wyraźne instrukcje — powiedział, patrząc na nich ze złością.

— To oczywiste — zgodził się Rakoczy. — Mam nadzieję, że przekażesz swoim przełożonym naszą rozmowę dokładnie, słowo w słowo. — Uśmiechnął się do dominikanina. — Robi się późno. Niebawem pójde do San Marco. Ufam, że jesteś gotów zająć się ciałem — powiedział na użytek brata Sansone, chociaż patrzył na Ruggiera.

Sługa skłonił lekko głowę i wyszedł, zamiatając strojem podłogę. Wszystkie okna kościoła San Marco jaśniały blaskiem, który wylewał się na ulicę i oświetlał okoliczne budynki. Długa jasna smuga od otwartych drzwi przecinała Piazza San Marco.

Rakoczy wszedł tymi drzwiami, a jego tunika rozjarzyła się, gdy setki maleńkich, polerowanych diamentów, które zdobiły ją na karku i ramionach, odbiły blask świateł. Strój uzupełniały czarne lamówki biegnące od wysokiego kołnierza przez cały przód oraz widoczne też u samego dołu na zakończeniach rękawów. Białe buty sięgały niemal do kolan, a ich czarne obcasy mieniły się od jasnych kamieni szlachetnych. Krótka biała peleryna ze sznurami z czarnego jedwabiu zwieszała się malowniczo z ramienia. Pośród takiej bieli włosy i oczy Rakoczego wydawały się jeszcze ciemniejsze. Jeden z krzątających się w pośpiechu zakonników przystanął, aby zagadnąć gościa:

— To pan jest tym cudzoziemcem?

— Owszem. Zastanawiam się, czy brat byłby tak miły, aby zaprowadzić mnie do osoby, która jest odpowiedzialna za przyniesienie do kościoła ciała — powiedział uprzejmie, czym wzbudził wyraźny szacunek mnicha.

— Jakie ciała? — Dominikanin zwinął ciaśniej dwa z niesionych zwojów pergaminu i wetknął je pod pachę.

— Słyszałem od brata Sansone, że ciała zmarłych heretyków mają zostać złożone właśnie tutaj. Ponieważ jedna z tych osób była służką mego stryja, poczuwam się do obowiązku, aby wyprawić jej stosowny pogrzeb, nawet jeśli nie da się go przeprowadzić na poświęconej ziemi. — Pochylił się w kierunku mnicha. — Wiem, że to niezwykła prośba, ale chcę wypełnić moje zobowiązania.

— Oczywiście, oczywiście — rzucił nerwowo zakonnik, przesuając palcami po pergaminach. — Tym zajmuje się brat Cataline. Jest w południowej części kościoła. Ma tam małe pomieszczenie obok bocznego wejścia... — Rozejrzał się nerwowo wkoło. — Trzeba do brata Cataline.

— Dziękuję, dobry bracie — odparł Rakoczy, żałując, że nie może sprawdzić, co zapisano na niesionych przez mnicha pergaminach.

Odwrócił się i przeszedł przez kościół, zatrzymując się tylko na chwilę, aby przyklęknąć przy ołtarzu.

Przed kostnicą kościelną natknął się na grupę stojących tam mnichów. Gdy spytał ich, co się dzieje, nie uzyskał odpowiedzi. Postanowił więc zdobyć ich uwagę.

— Gdzie jest brat Cataline? — spytał tak głośno, że słyhać go było w całej świątyni. — Muszę się z nim pilnie zobaczyć. — Mówił z wyraźnym cudzoziemskim akcentem, co powinno wywołać jakąś reakcję.

Niemal natychmiast wypadł ze środka dominikanin w późnym wieku średnim i spojrzął ze złością na mnichów.

— Powiedziałem wam, że nie wydam żadnego, jak długo nie przygotuję aktów zgonu!

— Po tysiącokroć błagam o wybaczenie, dobry bracie, ale to ja cię wołałem. — Rakoczy przepchnął się do niego.

Brat Cataline zmierzył obcego zaciekawionym spojrzeniem.

— Kim jesteś, panie?

— Germain Rakoczy — odparł San Germano, wpatrując się intensywnie w zakonnik. — Przyszedłem prosić o wydanie ciała Demetrice Volandrai. Umarła zeszłej nocy, będąc pod waszą pieczęcią.

— Wydanie? — spytał niedowierzająco brat Cataline. — Dopiew po spaleniu.

— Co? — Rakoczy zwalczył chęć, aby chwycić mnicha za habit i nieco nim potrząsnąć. — Dlaczego nie teraz? Na pewno nie ma żadnego powodu, aby przetrzymywać tu ciało. Brat Cataline westchnął z irytacją.

— Oczywiście, że nie. Ciało już tu nie ma. Żadnego. Były wcześniej.

— To gdzie są teraz? — spytał spokojnie i z szacunkiem Rakoczy, jednak Cataline aż pobladł. Inni bracia, widząc przerażenie towarzysza, cofnęli się i przeżegnali, rzucając przy tym ukradkiem



spojrzenia na odzianego w biel obcego.

— Na... Na Piazza della Signoria — wyjąkał brat Cataline, odwracając oczy od Rakoczego. — Nasz przeor, błogosławiony Girolamo, nakazał... aby wszyscy, którzy umarli, nie pożałowawszy swych grzechów, zostali spaleni razem z innymi heretykami.

Rakoczy przymknął powieki, ogarnięty nagle bólem, złością i rozpaczą. Przez chwilę miał ochotę urządzić we Florencji przedświąteczną rzeź dominikanów.

Gniew minął mu szybko, zastąpiony twardą determinacją i trudnym do zniesienia przecuciem straty.

— Signor stragnero... — zaczął niepewnie brat Cataline. — Może pan dostać prochy. Nasz przeor tego nie zabrania.

Rakoczy obrócił się na pięcie. Mnisi rozstąpili się przed nim i kilka chwil później wyszedł z kościoła. Desperacko szukał rozwiązania i gdy dotarł do Palazzo San Germano, miał już w głowie gotowy plan działania.

— A jeśli się nie uda? — spytał jego sługa, gdy usłyszał nowe instrukcje.

Rakoczy pokręcił ze smutkiem głową.

— Wtedy, przyjacielu, wyjedziesz natychmiast z Florencji. Pamiętaj o płótnach Botticellego. Dasz je na moją klacz. Jest bardzo szybka i ma równy krok.

— A ty? — Ruggiero znał odpowiedź, ale musiał spytać.

— Dla mnie będzie już wtedy za późno. Jeśli nie uratuję Demetrice, będę martwy. Prawdziwie i nieodwołalnie martwy.

List siostry Merzede, przeoryszy zakonu celestynek z Sacro Infante, do Girolama Savonaroli, przeora San Marco:

*Przełożona Sacro Infante zwraca się z pokornym sercem i modlitwą do*

*błogostawionego Girolama Savonaroli, przeora San Marco we Florencji.*

*Wprawdzie żadną miarą nie pragnę Cię niepokoić albo utrudniać Ci świętego dzieła, muszę jednak napisać o czymś, zanim stanie się to sprawą publiczną. Zapowiedziałeś, jak wiemy, że jutro odbędzie się uroczyste wyznanie wiary, podczas którego dla chwały Bożej i zbawienia Florencji zostanie spalonych wielu heretyków. Nakazałeś też, aby siostra Estasia deł Mistero degli Angeli była obecna na ceremonii, opowiedziała swe wizje i odśpiewała hymny.*

*Błagam Cię usilnie, dobry przeorze, abyś rozważył te postanowienia. Wiem, że Twoim zdaniem zazdroszczę siostrze Estasii jej laski i tego, że przez swe szczególne zdolności odmieniła nasze życie i życie Sacro Infante. Nie po to jednak zostałam zakonnica, aby szukać sławy, ale dla służby Bogu. Wdzięczna Mu jestem, że nasz konwent stał się znany, bo więcej dobrego możemy uczynić w ten sposób dla świata. Dobry przeorze Savonarolo, muszę Cię ostrzec, że siostra Estasia nie czuje się obecnie najlepiej. Od miesiąca stosowała ostry post, który umniejszył jej siły. Co więcej jednak, ostatnio narastają w niej dziwne stany. Sama mówi, że nigdy wcześniej nie czuła niczego podobnego, i chociaż ma je za upragnione, zachowuje się coraz osobliwiej i coraz bardziej jest wobec siebie surowa. Ostatniej nocy zdarła habit i tak zapamiętała się batożyła, że słowo tego nie odda. Powiedziała, że wyganiała z siebie w ten sposób diabła, ale gdy to mówiła, oczy płonęły jej jak w gorączce.*

*Obawiam się, że gdy sprowadzisz ją teraz do Florencji i pokażesz wszem wobec, emocje tej chwili wprowadzą ją w kolejny taki trans, w którym może zrobić krzywdę sobie albo innym. Zapamiętując się w natchnieniu, które zsyła na nią Duch Święty, nie zawsze pamięta o ograniczeniach swego ziemskiego ciała i łatwo coś może się jej przydarzyć.*

*Pamiętasz zapewne, jak zachowywała się, zanim jeszcze poddała się Bogu, dokonała przed Tobą spowiedzi i otrzymała rozgrzeszenie. Jej duszą nadal targają gwałtowne emocje, chociaż dzięki temu pobożność płonie w*

*niej jaśniejszym płomieniem niż w większości z nas. Módl się za nią, ale nie wystawiaj jej, proszę Cię, na takie doświadczenie. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu był u nas jej kuzyn, Sandro Filipepi, i wyrażał się o niej z wielką troską. Sam wiesz, że ktoś tak pobożny i sprawdzony w swej wierze jak Filipepi nie martwiłby się bez powodu.*

*Niewątpliwie heretycy spłoną tak samo bez względu na to, czy siostra Estasia będzie w pobliżu czy nie. I na pewno Florencja więcej zyska, jeśli siostra Estasia obecna będzie na placu modlitwą, nie zaś własną osobą na podwyższeniu, które kazaleś wznieść także i dla niej.*

*Nie jest jeszcze za późno. Będę czekała w nocy na Twą odpowiedź. Zamierzam czuwać z siostrą Estasią, która już teraz leży w kaplicy z twarzą przyciśniętą do kamieni i rękami rozrzuconymi na podobieństwo naszego Pana. Od godziny prawie się nie ruszyła. Powiedziała, że jej pobożność musi być doskonała i pragnie całkiem dać się pochłonąć boskiej jasności. Ma ze sobą pejcz, ten, który jej sprezentowałeś, z metalowymi haczykami na siedmiu rzemieniach.*

*Boję się o nią, dobry przeorze. Obawiam się tego, co może zrobić. Pozwól jej pozostać tutaj, gdzie możemy chronić ją i otaczać opieką. Wszystkie siostry bardzo ją kochają. Jej wiarajest mocna, ale ciało słabe. Nie wystawiaj jej na próbę, której może nie wytrzymać. Bóg na pewno nie chce dla niej takiego losu i jeśli powiesz jej, by jednak przyszła, wyświadczysz jej mocno wątpliwą przysługę. Żywi do Ciebie tak wielki szacunek, że gdyby była zwykłą kobietą, powiedziałabym, że stałeś się dla niej wyobrażeniem Boga, a jej oddanie Tobie graniczy z bluźnierstwem.*

*Zastanów się nad tym, dobry przeorze, i nie wystawiaj na niebezpieczeństwo tej, która tak bardzo nie myśli o sobie, zapamiętawszy się w pobożności. Czekam na Twoją odpowiedź. Jeśli do świtu jej nie przyślesz, niechętnie, ale wyślę ją do Ciebie, jak nakazałeś.*

*Spośród wszystkich powinności postuszeństwo wobec Ciebie jest dla mnie najważniejsze, zaraz po postuszeństwie Bogu i memu zakonowi.*

*Siostra Merzede przełożona sióstr celestynek z  
Sacro Infante  
Sacro Infante pod Florencją, 9 marca 1498*

## . 14 .

Pierwszy blask dnia rozjaśniał niebo ponad wzgórzami na wschód od Florencji. Ulice były jeszcze ciemne, ale dachy połyskiwały już z lekka ognistą czerwienią. Nad rzeką niska mgła czekała cierpliwie na dotyk słońca, ptaki spieszyły się ze śpiewem, aby zdążyć przed kościelnymi dzwonami.

Jednak samo miasto już dawno się obudziło. Ludzie gromadzili się z wolna na Piazza della Signoria tak samo jak wtedy, gdy przyszli tłumnie oglądać palenie wszelkiej próżności. Dzisiaj zapłonąć miały kolejne stosy, tym razem z heretykami, chociaż niektórzy mieszkańcy miasta kręcili ze smutkiem głowami i powtarzali sobie w myślach, że Florencja stała się równie niebezpiecznym miejscem jak Hiszpania. Jednak więcej było takich, którzy ganili wszystkich wątpiących, wypominając im słabość oraz niedostatek wiary i zapewniając głośno, że palenie heretyków przyniesie tyle samo dobrego co wcześniejsze niszczenie przedmiotów zbytku.

Milicja Chrystusa krzątała się po placu, układając drewno wkoło stosów, które umieszczono na drewnianych platformach. Wiadomo było, że gdy stosy zapłoną, platformy runą i tym samym pociągną heretyków w gorejące dookoła piekło. Platform wzniesiono dziewięć, jako dziesiąte dodano przed Palazzo della Signoria podwyższenie, z którego Savonarola miał przemówić do heretyków tuż przed wzniesieniem ognia. Budowniczy sprawdzali jeszcze platformy w poszukiwaniu usterek.

Gdy nad Florencją poniósł się dźwięk porannych dzwonów, na placu zjawiała się grupa mnichów. Większość z nich ciągnęła za sobą drewniane wózki, do których przywiązano przeznaczonych do spalenia. Siedmioro heretyków rozglądało się z niedowierzaniem.

Oczy mieli przekrwione od nadmiaru cierpienia, ciała pod więziennymi szatami poranione i posiniaczone, ciemne od krwi i brudu. Na ostatnich dwóch wózkach znajdowały się nagie ciała, jedno męskie i jedno kobiece. Mężczyzna został przed śmiercią poddany torturze buta hiszpańskiego, przez co jego wlokące się po ziemi stopy były tylko sinymi i bezkształtnymi bryłami zakrwawionego ciała i zgruchotanych kości. Kobiece ciało należało do Demetrice i było bardzo blade. Nawet sińce stały się ledwie widoczne na skutek dużego upływu krwi. Uczyniono dla niej jedną rzecz miłosierną, a mianowicie przywiązano ją do wózka twarzą w dół, aby nie wystawiać pełnej nagości ciała na pożądlive oczy tłumu.

Zgromadzeni zaszemrali niecierpliwie. Nie było ich jeszcze aż tak wielu, góra dwa tysiące tych najbardziej gorliwych albo spragnionych widoku okrutnego przedstawienia. Przepychali się do przodu, aby lepiej widzieć heretyków, gdy zdejmowano ich z wózków, przenoszono na stosy i przywiązywano do nich łańcuchami. Działo się to bardzo powoli i zanim zostało ukończone, słońce wynurzyło się już znad horyzontu, opromieniając góry i Florencję i rozpraszając z wolna nadržeczną mgłę.

Z zachodniej części miasta nadeszła procesja braci dominikanów z Santa Maria Novella. Z namaszczeniem przystawali przed kolejnymi platformami, a brat Stanislao powtarzał formułę nałożonej na heretyków anatemy.

Tłum robił się coraz liczniejszy i bardziej niespokojny. Członkowie Milicji Chrystusa odeszli od platform, aby pilnować napierających ludzi i odsuwać najbardziej ciekawskich, którzy mogliby potem ucierpieć od gorąca. Mimo narzekań szeregi widzów cofnęły się trochę.

W końcu zjawił się Savonarola. Zamieniwszy kilka słów z bratem Stanislao i Ezechielem Aurelianem, wspiął się na długie podwyższenie

i spojrzął na tłum. Oto była chwila jego triumfu. Mimo wszystkich przeciwności zdołał poniżyć Florencję, aby ofiarować jej zbawienie. Ani potęga Medyceuszy, ani nawet sam papież nie zdołały zatrzymać jego krucjaty przeciwko grzechowi. Jaśniejąc z emocji, której sam nigdy nie nazwałby dumą, uniósł chude ramiona ku niebu.

Tłum ucichł z wolna, a niektórzy padli na kolana, aby oddać się modlitwie. Promienie słońca dotknęły Piazza della Signoria, po równi dzieląc swój blask między heretyków i pobożnych obywateli.

— Florentyńcy! — zawołał nagle Savonarola. — Ujrzyjcie swój triumf! Oto nadszedł wreszcie dzień, gdy uwolnimy się od niegodnych! — Jego chrapliwy głos krążył echem w wąskich uliczkach i nad głowami ludzi. Kaznodzieja poczekał, aż umilknie pierwsza reakcja na jego słowa. Smakował tę chwilę. — Widzicie? Oto, co dzieje się z tymi, którzy nie zaufali Bogu! — Wskazał na przykute do stosów postaci.

Rakoczy przemieszczał się w tłumie bez większego trudu. Wspaniały biały strój sprawiał, że ludzie sami się przed nim rozstępowali. Trzymał się z dala od pierwszych szeregów, aby aż do ostatniej chwili nie rzucać się w oczy. Demetrice została umieszczona pechowo na jednej z wewnętrznych platform, co oznaczało, że dla wyniesienia jej ciała musiałby przebiec między dwoma innymi, płonącymi już wtedy stosami. Przymrużywszy oczy, zastanawiał się nad najlepszą drogą. Ostatecznie wyszło mu, że nie zdoła ująć bezpiecznie inaczej, jak tylko przebiegając przez podwyższenie Savonaroli i kierując się dalej na wschód, ku znajomej fasadzie Santa Croce.

Po chwili doszło do małego zamieszania, gdy w tłum wjechał zaprzężony w woły wóz z Sacro Infante. Zatrzymał się obok trybuny Savonaroli i wysiadło z niego pięć ubranych na biało zakonnic, z czego jedna z bardzo zatroskaną twarzą. Tłum zaszemrał ponownie,

bowiem była wśród tej piątki także siostra Estasia del Mistero degli Angeli.

Siostra Merzede ujęła ją pod ramię.

— Nie musisz tego robić, siostró — powiedziała, gdy szły ku podwyższeniu. — Jeśli nie czujesz się dobrze, odwiozę cię do domu.

Estasia zwróciła ku niej rozmarzone oczy.

— Nic mi nie jest, suor Merzede. Naprawdę. Czuję, jak moja dusza tęskni do chwały niebieskiej. Dziś Bóg wejdzie we mnie, przyniesie mi natchnienie i spełnienie, jakiego nigdy nie doświadczyłam. — Wychudła mocno przez posty i jej uśmiech przypominał wyszczerzenie trupiej czaszki. Uniosła różaniec i ucałowała krucyfiks. — To będzie dzień chwały, suor Merzede.

Savonarola dostrzegł przybycie sióstr z Sacro Infante i uśmiechnął się kwaśno.

— Dzisiaj, dobrzy Florentyńczycy, obchodzimy święto Czterdziestu Męczenników. Dzisiaj nasze myśli winny być z tymi dzielnymi rzymskimi żołnierzami, którzy przez swą wiarę i miłość Boga zginęli na lodzie, podczas gdy dowódcy kusili ich, by ogrzać się przy ogniu. Pomyślcie o tych nagich ludziach na pokrytym lodem jeziorze, w nocy i zadymce, podczas gdy towarzysze obserwowali ich ze strachem. Pomyślcie o nich, gdy tak stali na mrozie, znosząc cierpienie, aż Bóg wyzwolił ich i przyjął do siebie.

Siostra Estasia uklękła obok Savonaroli i pochyliła się, by ucałować jego stopy.

— Przybyłam, drogi mistrzu. Wzywałeś mnie i oto jestem. — Spojrzała w jego oczy i przeżegnała się z twarzą obleczoną w taki zachwyt, jakby ujrzała samego Boga.

— A teraz pomyślcie o tych obmierzłych heretykach! — Wskazał na żałosne postaci na stosach. — Pomyślcie o ich obrzydliwych grzechach! Oni to są jako te ogniska, którymi kuszone czterdziestu



męczenników. Tyle że oni niebawem padną ofiarą własnych pokus.

Rakoczy był już nieopodal podwyższenia Savonaroli, ale nadal dość daleko, aby nie przyciągnąć uwagi dominikanina. Dotknął czyjś ramienia i przeszedł jeszcze bliżej frontu.

Jeden z heretyków, mężczyzna z wywichniętymi w stawach rękami, uniósł zbolące oczy na Savonarolę.

— To ty jesteś kusicielem! — krzyknął ochryple. — Ty jesteś heretykiem! Zostałeś ekskomunikowany! Nie masz władzy, aby czynić, co czynisz! — Zamilkł, zakaszłał krwią i obwisł w łańcuchach.

Młodzieniec z Milicji Chrystusa stojący obok stosu niepokornego skazańca wspiął się na górę i uderzył mężczyznę krótką pałką w twarz. Tłum nagrodził go wiwatami i chłopak zeskoczył uśmiechnięty na ziemię.

Na drugim końcu placu, gdzie słońce złociło fasady domów, ustawił się Ezechiele Aureliano z dwoma jeszcze członkami Milicji Chrystusa oraz zapasem krótkich pochodni owiniętych sztywnymi od smoły szmatami. Obok stał kosz z płonącymi węglami. Aureliano wziął jedną pochodnię i pochylił ją nad koszem. Szybko zajęła się ogniem. Uniósł ją, pragnąc w duchu, aby zajaśniała jaskrawiej niż słońce.

Kłęcząca obok Savonaroli siostra Estasia zaczęła kołysać się rytmicznie, wydając przy tym dziwne, gardłowe odgłosy. Oczy uciekły jej w głąb czaszki, a półprzymknięte powieki zastygły. Tłum zafalował, pragnąc ją naśladować. Ona jednak wstała nagle z takim impetem, że omal nie upadła. Wyciągnęła obandażowane ręce. Przypominała teraz wielkiego, zrywającego się do lotu ptaka. Oddech jej przyspieszył.

— O Boże! — krzyknęła nagle, wydawszy wcześniej serię nieartykułowanych dźwięków. — Boże, czemu nie chcesz do mnie przemówić?

Savonarola wymienił spojrzenia z siostrą Merzede, tyle że ona

spojrzała na niego znacząco, on zaś na nią z niepokojem. Dominikanin przysunął się do siostry Estasii, ona jednak znów się odezwała:

— Czy aż tyle tu grzechu, że ukrywasz się przede mną? Jesteś jak blask słońca za chmurami. Zabłyśnij! Zabłyśnij, aby Twoje światło poprowadziło nas ku tronowi miłosierdzia!

Tłum jęknął, współczując Estasii. Niektórzy zapłakali, inni zaczęli się modlić. Szmer modlitw narastał mimo okrzyków, rozlegających się z podwyższenia.

— Nie opuszczaj nas! Patrz, ofiarujemy Ci te istoty, co do jednego heretyków, aby się oczyścić i tym samym złożyć ich w ofierze dla odkupienia naszych grzechów! — Estasia opadła ponownie na kolana i zaniosła się histerycznym łkaniem.

Savonarola wykorzystał tę chwilę.

— Już pora! — krzyknął do Ezechiela Aureliana. Młodzieniec uśmiechnął się szeroko i wręczył zapaloną pochodnię najbliższemu członkowi Milicji Chrystusa.

— Jest południowy wiatr. Zapalaj od północy, bo inaczej będziesz musiał robić to w dymie.

Wybuchła olbrzymia wrzawa krzyków, zawodzeń i modlitw. Trzask pierwszych płomieni utonął w tym hałasie. Rakoczy nie tracił czasu. Wykorzystując zamieszanie, przepchnął się przez ciżbę i wbiegł na plac. Blask pochodni odbił się w diamentach zdobiących jego białą, jedwabną tunikę i przez chwilę jaśniały czerwienią niczym rubiny. San Germano rozejrzał się szybko i ruszył ku centralnym platformom.

Jakiś młodzieniec z Milicji Chrystusa krzyknął ostrzegawczo, ale prawie nikt go nie usłyszał, poza jednym z budowniczych, którzy wcześniej wznosili platformy. Stał akurat najbliżej, jak to było możliwe, i patrzył na ogarniające stos płomienie. Gdy dojrzał, że młodzieniec z Milicji Chrystusa wskazuje na kogoś, cieśla pobiegł w kierunku biało odzianej postaci.

Rakoczy znajdował się już prawie między dwoma pierwszymi stosami, gdy poczuł czyjąś rękę na ramieniu. W innych okolicznościach zachowałby ostrożność, nie ujawniając swojej rzeczywistej siły, teraz jednak liczyła się każda sekunda. Sięgnął do tyłu, złapał tę rękę i nagłym szarpnięciem poderwał mężczyznę, przerzucając go nad swoją głową. Budowniczy upadł z trzaskiem na ziemię i krzyknął, trafiwszy dłońmi na płonące drewno. Próbował jeszcze złapać obcego za nogę, ten jednak najpierw zmiażdżył mu butem dłoń, potem złapał za ręce i poderwał na równe nogi. Mężczyzna ujrzał przed sobą ciemne, przenikliwe oczy i w jednej chwili poznał, z kim przyszło mu się spotkać.

— Ty jesteś Francesco Rakoczy! — krzyknął zdumiony Lodovico na moment przed tym, jak San Germano cisnął go w piekło płomieni najbliższego stosu.

Wprawdzie walka z Lodovikiem zajęła mu mniej niż minutę, starczyło tego czasu, aby obok pojawiło się dwóch młodzieńców w szarych guarnaccach Milicji Chrystusa. Jeden trzymał krótki miecz, drugi pochodnię, obaj byli gotowi na wszystko, aby tylko zagnać intruza w ogień, który ogarnął już sześć stosów.

Rakoczy cofnął się, jednak tylko po to, aby mieć więcej miejsca. Gdy był już dość daleko, wyskoczył, trafiając stopą od dołu młodzieńca z pochodnią, łamiąc mu zuchwę i odrzucając go ponad metr dalej, prosto na jeden z niezapalonych jeszcze stosów.

Drugi chłopak zamachnął się szeroko mieczem. Miast odsunąć się na bok, Rakoczy poczekał, aż ostrze go minie, i podskoczył do przeciwnika, przeginając jego uzbrojoną rękę dalej, niż przemieściłaby się w tym zamachu, aż dał się słyszeć ostry trzask i ręka młodzieńca zwiśla bezwładnie.

Teraz płomienie lizały już wszystkie stosy i Rakoczy czuł pulsujące wkóło gorąco. Wiedział, że jeszcze kilka chwil, a ubranie zacznie się

na nim palić.

Czarny i tłusty dym przesłonił słońce. Trzask ognia tłumił krzyki tych, którzy w nim płonęli.

Rakoczy przebiegł kilka kroków dzielących go od stosu Demetrice i skoczył na górę, lądując obok dziewczyny. Ujrzał, że końce jej włosów zaczęły się już tlić, dobył więc nóż z buta, zebrał włosy w garść i uciął je na wysokości karku. Łańcuchy były już bardzo gorące, ale szarpnął je raz i drugi, aż pękły.

Wiatr rozwiął trochę dym i w tłumie rozległy się krzyki. Ludzie pokazywali sobie obcego, który uniósł ciało Demetrice ze stosu.

Savonarola słyszał, że coś się dzieje, ale z powodu dymu nie widział wszystkich stosów. Poczł jednak strach i dziwne przecucie. To na pewno nie było nic dobrego. Przebiegł szybko na drugi koniec podwyższenia, gdzie stała wzburzona, ale milcząca siostra Merzedo. Spojrzał na nią wściekle, jakby to ona była winna.

— Co jest?

— Nie widzę, dobry przeorze. Nie wiem. — Okolona bielą twarz zakonniczy wydała się prawie nierzeczywista, wyczuwał jednak buchającą od niej nienawiść niemal równie gorącą co trawiący stosy ogień.

Warknąwszy coś niecierpliwie, Savonarola odwrócił się od niej i ponownie spróbował dojrzeć coś przez dym. Nie udało mu się, skinął więc na jednego ze strażników z Milicji Chrystusa, jednak dym zakrył zaraz również i jego. Krzyczeć nie miało sensu wobec ryku tłumu, huku płomieni i wrzasków płonących heretyków.

Rakoczemu trudno było utrzymać równowagę z ciałem Demetrice na ramieniu, jakoś mu się jednak udało. Czł smród palonych ciał i kwaśny odór spoconego tłumu. Podeszwy go paliły i wiedział, że jeśli nie chce stracić skrytej w butach i chroniącej go warstwy ziemi, musi jak najszybciej wyjść spomiędzy stosów. Poprawiwszy ciężar na

ramieniu, zeskoczył ze stosu na kamienne płyty Piazza della Signoria.

Wylądował pośród piekła płomieni i nie oglądając się, ruszył w stronę jedynej pozostałej mu luki między stosami. Prowadziła ku podwyższeniu Savonaroli, gdzie siostra Estasia stała z rękami wyciągniętymi w stronę płomieni, jakby chciała je błogosławić.

Savonarola był akurat na drugim końcu podwyższenia, gdy z dymu wyłoniła się przedziwna postać. Trwało chwilę, nim pojął, że to nie demon, ale człowiek w błuźnierczej bieli z nagim ciałem przerzuconym przez ramię. Kaznodzieja ruszył w jego kierunku i zamarł, gdy siostra Estasia nagle wrzasnęła tak głośno i przenikliwie, że jej głos przedarł się przez ogólną kakofonię.

Rakoczy dotarł już do podwyższenia, gdy tuż przed sobą dostrzegł Estasię. Wyczytał z jej oczu, że go poznała, i zamarł na chwilę. Przycisnął mocniej ciało Demetrice i spojrzał w udręczone oczy Estasii.

— Estasio — zawołał do niej.

— Francesco... — Wyciągnęła do niego zabandażowane ręce, patrząc na niego tak, jakby był częścią jej wizji. — Czy to mnie niesiesz? Dokąd mnie zabierasz?

Rakoczy przełknął ciężko i poszukał drogi ucieczki. Wolną ręką dotknął półotwartych ust Estasii.

— Nie wydaj mnie, diletto mio. Nie wydaj. Pręgo. Wpatrzyła się w niego, w jego biały strój, nie dostrzegając w ogóle brudzącego go kopcium, widząc za to odbicia ognia igrające w diamentach na jego piersi.

— Nie wydam — wyszeptwała, dotykając swoich warg w miejscu, gdzie chwilę wcześniej były jego palce.

Rakoczy skinął głową i pobiegł ku przeciwnemu końcowi podwyższenia niż ten, na którym przebywał Savonarola.

Estasia spojrzała w ślad za nim tym samym sennym wzrokiem,

który cechował wszystkie jej ekstazy.

— Nie — szepnęła do siebie. — Nie wydam cię. — Powoli, metodycznie zaczęła zdzierać z siebie habit. Najpierw odrzuciła kornet, ukazując ciasno spięte kasztanowe włosy. — Nie wydam cię — powtórzyła, rozdzierając zębami opatrunki.

Savonarola patrzył z przerażeniem na jej poczynania. Stojąca za nim siostra Merzede rozplakała się gorzko.

Tłum zaczął z wolna dostrzegać zrzucającą kolejne sztuki odzieży siostrę Estasię. Wielu patrzyło z fascynacją, jak przechodziła po podwyższeniu, przesuwając dłońmi po swoim wynędzniałym ciele. W pewnej chwili zaczęła się modlić:

— O Boże, któryś zesłał mi posłańca, aby okazać swą miłość, wybacz mi. Byłam ślepa na Twe pieszczoty. — Uniosła swe skurczone piersi i pomasowała brodawki. — Patrz, jak me ciało płonie dla Ciebie. Posiądź mnie, o Boże! Jestem Twoją służebnicą. Tęsknię za Twymi objęciami, ciało me ofiaruję dla Twej rozkoszy.

Savonarola ruszył w jej stronę, ona zaś wyciągnęła ku niemu ręce i przytuliła go do swego nagiego i poczerwieniałego jeszcze od użycia pejcza ciała. Lubieżnie pocałowała go w usta i wcisnęła dłoń w habit w poszukiwaniu genitaliów. Przeor San Marco zawył i zamachał na oślepie rękami, aby się uwolnić, i z wyrazem przerażenia na twarzy cofnął się gwałtownie w stronę siostry Merzede.

Estasia uśmiechnęła się do buzujących stosów i powoli, z namysłem zeszła z podwyższenia. Spojrzała na piekło płomieni, potem na obserwujący ją, zszokowany tłum. I zaczęła śpiewać.

Rakoczy wyszedł już prawie z ciżby, gdy trzech dominikanów rzuciło się za nim w pogoń. Ścisk utrudniał im dogonienie uciekiniera, spowalniał jednak także i Rakoczego. Ostrożnie poprawił Demetrice na ramieniu i zaczął rozglądać się za jakąś lepszą bronią niż noszony w bucie nóż.

Z pierwszym zakonnikiem poszło łatwo. Był stary i chorobliwie otyły. Jedno uderzenie w brzuch posłało go na kolana. Dwaj pozostali wyglądali na sprawniejszych i byli coraz bliżej, Rakoczy zaczął więc energiczniej przepychać się przez rzednący już tłum. Estasia stanęła przed ryczącym wściekłe ogniem, twarz miała rozjaśnioną miłością.

— Dojrzyj, Boże, jak za Tobą tęsknię. — Wcisnęła dłonie między uda i odrzuciła głowę do tyłu, gdy targnął nią pierwszy spazm. — Tęsknię za Twoją miłością, Boże, Twoją wszechogarniającą miłością. — Wyciągnęła ręce do ognia i zaśmiała się radośnie, gdy jej skóra poczerwieniała, spuchła i poczerniała. — Pozwól mi być częścią Ciebie! — zawołała. — O Boże, mój kochanku, mój małżonku, mój zbawco i wybawco! Niczego nie ma, tylko Ty! Porwij mnie i zgwałć! Unicestwij mnie!

Tłum ucichł, patrząc w przerażeniu, jak siostra Estasia del Mistero degli Angeli wchodzi prosto w płomienie.

Świadeństwo spisane przez Orlanda Ricci, przeora Santa Croce, przedstawione podczas procesu ekskomunikowanego dominikanina Girolama Savonaroli:

*Do Jego Świątobliwości papieża Aleksandra VI, Pontifexa Maximusa. Orlando Ricci z Santa Croce we Florencji w swym postuszeństwie i zgodnie z poleceniem przedstawia relację ze strasznego dnia 10 marca tego roku, kiedy to zdradziecki heretyk Girolamo Saruonarola doprowadził na podstawie fałszywego oskarżenia o herezję do spalenia na stosie ośmiu mężczyzn i kobiet z Florencji, co z kolei spowodowało jeszcze pięć śmierci przypadkowych: siostry Estasii del Mistero degli Angeli, budowniczego Lodovica da Roncale, dwóch młodzieńców z Milicji Chrystusa (praktykującej niesprawiedliwości zaprowadzającej tyranie organizacji młodych Florentyńczyków, którą Savonarola wykorzystał do realizacji swych wszetecznych planów) oraz pewnej młodej kobiety, która chcąc*

*ratować palonego na stosie ojca, rzuciła się w płomienie.*

*Wielu z tych, którzy stali blisko, odniosło oparzenia. Niektórzy mieli potem wielkie pęcherze na skórze, inni stracili włosy i brwi. Doszło do fatalnego zamieszania i w pewnej chwili wydawało się, że cała Florencja spłonie, nie było bowiem komu przynieść wody, chociaż Arno odległa jest tylko o kilka kroków od Piazza della Signoria.*

*Zanim doszło do rozpalenia tego potwornego ognia, rzeczony Savonarola przymusił ludzi do uznania jego działań, zapewniając, że są one miłe Bogu i jako takie wybawią miasto od grzechu. Był to dowód jego pychy, niestawnej próżności, jedno z największych bluźnierstw, bowiem ekskomunikant nie ma przystępu do Boga i jako pozbawiony sakramentów znajduje się w stanie śmiertelnego grzechu.*

*Działalność rzeczonego Savonaroli szkodziła wielce Florencji także na innych polach. Dobrzy ludzie opuszczają miasto w związku z wysuwanymi przez niego oskarżeniami i jego poczynaniami. Wielu uczonych, którzy nie chcieli już tu mieszkać z obawy o własne życie, uciekło z Florencji. Artyści o wielkiej reputacji, którzy pracowali tak w Rzymie, jak i we Florencji, nie chcieli już tu malować, bowiem ich prace były oceniane wedle surowych i niezrozumiałych kryteriów narzucanych przez dominikanina z San Marco. Muzycy nie mają co robić, bowiem muzykowanie jest przez większość dni zabronione. Kupcy bławatni, szwacze i inni rzemieślnicy są prawie bezrobotni w związku z zakazami wytwarzania albo kupowania takich tkanin, jakie nie podobają się Savonaroli. Ponieważ większość Florentyńczyków żyje z tkactwa, skutkiem takich edyktów miastu zaczęły zagrażać głód i nędza. Obcokrajowcy, którzy wcześniej ściągali do nas po nauki, boją się obecnie wchodzić w obręb murów miejskich, aby nie zostać oskarżonymi o herezję tylko i wyłącznie za sprawą ich cudzoziemskiego pochodzenia.*

*Dobry Ojciec Święty, zło czynione przez rzeczonego Savonarolę obrazą jest dla Boga i Kościoła. Jego smród sięga aż do nieba, gdzie aniołowie*



wymiotują od niego. Dla dobra naszej wiary, dla pokoju i dla dobra Florencji doprowadźcie do skazania tego szalonego eks-komunikanta, tak jak on skazał już wielu. To wściekły pies, zarażający wszystkich, których zdarzy mu się ugryźć.

Przysięgam, że wszystko, co napisałem, jest prawdą i modłę się, aby Bóg skazał mnie na wieczne potępienie, jeśli byłem w czymś nieszczerzy. Nie mogę powiedzieć, że nie ma we mnie złości, bowiem więcej żywię dla tego potwora, który sprawił Florencji tyle cierpień. Modłę się, aby Bóg zdjął z nas to brzemie, abyśmy mogli wybaczyć temu ohydnemu wrogowi rodzaju ludzkiego, tak samo jak nasz Pan wybaczył tym, którzy przywiedli go do haniebnej śmierci.

*Orlando Ricci przeor Santa Croce franciszkanin*

*We Florencji, 12 marca 1498*

Ruggiero przytrzymał głowę klaczy, gdy Rakoczy uwiązywał wielki toból do siodła.

— Jesteś pewien, że będzie bezpieczna? Może nie być łatwo, gdy ruszymy.

— Wytrzyma — odparł Rakoczy, szarpiąc na próbę za rzemienie.  
— Gdzie będzie zmiana koni?

— Jest takie miejsce na drodze do Bolonii. Hodują tam wyścigowe konie. Kupiłem cztery do naszego użytku.

— Dobrze. — Rakoczy obejrzał się przez ramię na czarną chmurę dymu, która rosła coraz bardziej nad Florencją. — Musimy zaraz ruszać. To niebawem się skończy, a jeden z tych dominikanów, z którymi walczyłem, na pewno gdzieś tu węszy. — Strzepnął sadzę i popiół z białego jedwabiu. — A co z bratem Sansone?

Ruggiero prawie się uśmiechnął.

— Zatrzasnął się pechowo w jednej z piwnic. Chyba niezbyt wiedział, gdzie wchodzi.

Rakoczy uniósł brwi.

— Musisz mi kiedyś opowiedzieć, jak ci się to udało. — Poszedł do jucznego konia i sprawdził popręgi. — Obrazy?

— Są pod sakwami.

— Świetnie. — Sięgnął do uzdy Gelaty, ale zatrzymał się jeszcze, aby położyć dłoń na niekształtnym tobole, który krył Demetrice. — Mam nadzieję, że ma dość ziemi. Musi obudzić się wieczorem, jeśli mamy dotrzeć do Bolonii o czasie. — To nie wymagało komentarza, więc żaden nie padł. — Nic już nie można zrobić prócz czekania — dodał cicho. Chwilę potem wskoczył na siodło i zwrócił głowę klaczy ku bramie. Ostatni raz spojrzął na dziedziniec Palazzo San Germano.

— Będzie mi brakowało tego domu. I będę tęsknił za Florencją. — Całkiem już bez słowa uderzył piętami w boki wierzchowca i wyjechał za bramę. Ruggiero podążył za nim, prowadząc jeszcze dwa konie. Bramę zostawili otwartą, bo nie było już w pałacu nic wartościowego poza skrzyniami, które też miały szybko stąd zniknąć.

Przejazd ulicami nie nastreczył trudności. Prawie wszyscy byli jeszcze na placu, a obcy nie odwiedzali obecnie Florencji. Rakoczy skierował się do Porta Santa Croce. Co jakiś czas oglądał się na prostą sylwetkę wieży Palazzo della Signoria z wieńczącym ją stalowym lwem.

Pełniący służbę przy bramie lansjerzy interesowali się przede wszystkim chaosem, który narastał wokół Piazza della Signoria. Obaj spojrzeli tylko badawczo na juczne konie i nie próbowali ich zatrzymać. Rakoczy i Ruggiero nie poczuli się jednak bezpieczni. Wiedzieli, że mają najwyżej godzinę, nim Florencja wyśle za nimi pościg. Nie było szans, aby oszukany Savonarola nie spróbował ukarać sprawcy podobnego czynu.

Na wzgórzach dookoła widać było liczne znaki budzącej się wiosny. Nad płynącymi wzdłuż drogi potokami rosły już kwiaty. Ich zapach pozwalał prawie zapomnieć o odorze palonego ciała.

Na szczycie drugiego wzniesienia Rakoczy zatrzymał się i spojrzał na miasto. Dym nad Piazza della Signoria niemal się już rozwiął, ogień przygasał. Z tej odległości miasto wydawało się nierzeczywiste, jakby zestawione z zabawek, a srebrzysta wstęga Arno tylko potęgowała to wrażenie. Jasne ściany i czerwone dachy przypominały Rakoczemu krajobrazy widziane dawno temu w Grecji. W pewnej chwili dostrzegł drobne postaci jeźdźców wyjeżdżających podwójną kolumną z bramy Santa Croce. Słońce odbiło się w ich napierśnikach.

— Lansjerzy — powiedział, wskazując ich Ruggierowi.

— Jak daleko za nami? — spytał nerwowo sługa.

— Niecałą godzinę. Gdybyśmy nie prowadzili tych dwóch koni, dalibyśmy radę. Ale tak to nie wiem.

— Może poszukamy ukrycia? — zaproponował bez większego przekonania Ruggiero.

— Aby znaleźć się w pułapce? — Rakoczy zmarszczył brwi. — Szkoda, że nie ma innej drogi przez te góry. Zbyt niebezpiecznie byłoby zjeżdżać na bezdroża. — Obrócił się w siodle. — Trudno. Musimy przed nimi uciec. Ile zostało do pierwszej zmiany koni?

Ruggiero wyglądał na coraz mniej pewnego siebie.

— Trochę ponad godzina. Gospodarstwo leży w niewielkiej dolince, wyżej w górach.

— To nie będzie łatwe zadanie, stary przyjacielu — powiedział Rakoczy bez wyrzutu, tonem sugerującym raczej znużenie. — Nie więcej niż kłus, bo konie pod nami padną.

Słońce było już wysoko, gdy dotarli do gospodarstwa, jednak nikt nie wyszedł im na spotkanie, z kominów nie unosił się dym. Rakoczy spojrzał pytająco na Ruggiera.

— Nie ma ich. Myślałem, że tak będzie najlepiej. Zapłaciłem im z góry i kazałem pojechać dzisiaj na targ albo do kościoła.

— I jesteś pewien, że konie będą na miejscu? — spytał ostro San Germano. — Nie chciałbym dać się tu osaczyć, a Gelata nie zniesie kolejnej godziny.

— Są. Przysięgli, że będą.

Rakoczy wiedział, że różnie bywa z przysięgami, ale nic na to nie odparł. Zeskoczył z siodła i zahaczył wodze Gelaty o bramę. Stajnia była za wybiegiem, niski budynek z szerokimi drzwiami i dachem, który głośno dopominał się naprawy. Gdy Rakoczy szedł przez wybieg, wyczuł na sobie czyjeś spojrzenie i pochylił się, aby wyciągnąć nóż z buta. Dochodząc do stajni, nadal był przekonany, że

ktoś tu jeszcze jest. Otworzył drzwi i zajrzał ostrożnie do ciemnego wnętrza. Stały tam cztery konie. Zamknął drzwi i cicho obszedł budynek.

Przy drzwiach po drugiej stronie też nikogo nie było i Rakoczy uznał, że jego wrażenie musiało wiązać się z podążającymi ich tropem lansjerami. Poszedł obejrzeć konie. Zbadał ich nogi w poszukiwaniu czegoś niepokojącego, ale niczego nie znalazł. Sprawdził kopyta i też uznał, że wszystko jest w porządku, chociaż jeden koń nie był podkuty. Postanowił przeznaczyć go do niesienia Demetrice, jako że była najłżejsza. Usatysfakcjonowany wyszedł na zewnątrz i skinął na Ruggiera. Szybko i w milczeniu przesiodłali konie i przenieśli bagaże.

Rakoczy ciągle miał wrażenie, że jest obserwowany, ale nic nie potwierdzało, aby faktycznie tak było. Po kwadransie byli gotowi. San Germano obejrzał się jeszcze na Gelatę, którą zostawił na wybiegu. Żałował, że się z nią rozstaje. Była to piękna i silna, a do tego spokojna i przyjazna klacz.

Dalej droga robiła się bardziej stroma, na dodatek od zachodu napływały wysokie chmury, które przesłaniały słońce. Ruggiero nic nie mówił, wiedział jednak nie gorzej niż Rakoczy, że dystans między nimi a lansjerami zmniejszał się z każdą chwilą. Dobrze po południu gniadosz, który niósł skrzynki, zaczął pracować bokami. Łapał ciężko powietrze i jego sierść pociemniała od potu.

— Co mu jest? — rzucił Rakoczy, oglądając się na konia, który toczył niespokojnie oczami, a język zwisał mu z pyska. Mocno niezadowolony San Germano musiał zsiąść i obejrzeć zwierzę. Poklepał konia po karku i oglądał dokładnie, szukając innych jeszcze objawów. Ostatecznie rzucił pełne rezygnacji spojrzenie.

— Głowy nie dam, ale powiedziałbym, że ktoś dał mu wieczorem soli, a dzisiaj rano pozwolił napić się do woli. Dziwne, że doszedł aż

tutaj.

— Ale dlaczego? — spytał skrajnie zdumiony Ruggiero.

— Kto wie. Na pewno nie dla naszego dobra. — Zaczął odwiązywać skrzynki. — Musimy je przełożyć. Tak, wiem — dodał, widząc niezadowolenie Ruggiera. — Lansjerom może się udać. Ale co innego nam zostaje? Nie mamy broni palnej ani nawet miecza. Nie urządzimy na nich zasadzki i nie możemy też zjechać z drogi. Jeszcze nie teraz. Od zachodu idzie burza i moglibyśmy się w niej zgubić. — Zdjął pierwszą skrzynkę. — Weź. Przywiąż ją do swego siodła.

Ruggiero posłuchał odruchowo.

— Rozbójnicy? — spytał, skończywszy wiązać węzły.

— Też mi to przyszło do głowy — przyznał Rakoczy. Zdjął już drugą skrzynkę i mocował ją przy siodle swojego deresza. — Mam nadzieję, że się mylimy, ale nie liczyłbym na to.

Ruggiero spojrzął z troską na tobół z dziewczyną.

— Sądzisz, że zadziała? Rakoczy wrzucił ramionami.

— Mam nadzieję. Ale pewności nie mam. — Skończył mocować skrzynkę i wsiadł na konia. — Nie możemy teraz forsować koni, na wypadek gdybyśmy musieli je później pogonić.

Ruggiero odpowiedział czymś pośrednim między westchnieniem a jęknięciem i uderzył konia piętami w żebra. Po reakcji zwierzęcia poznał, że nie nawykło do dźwigania podobnych ciężarów. Chmury gnały po niebie i zanim znowu się zatrzymali, zerwał się silny wiatr.

— Są nie więcej niż kwadrans za nami — powiedział Rakoczy, nakazując postój. — Poszukajmy lepiej jakiegoś ukrycia. Albo i kamieni, aby obrzucić ich nimi z góry.

Ruggiero pokiwał głową. Było już późne popołudnie i czuł się zmęczony po długiej i niełatwej jeździe. Do następnej zmiany koni została prawie godzina i wiedział na pewno, że nie zdążyliby tam przed lansjerami. Obejrzał się na tobół z Demetrice.

— Co z nią zrobimy?

— Cóż, jeśli dojdzie do walki, lepiej, żeby była gdzieś z boku. Ukryta pod drzewami albo w jakiejś stodole. — Podobnie jak Ruggiero wiedział, że żadnej stodoły tu raczej nie znajdą. — Zostawimy przy niej jedną skrzynkę i miejmy nadzieję, że któryś z nas zdoła jej potem wytłumaczyć najważniejsze. — Zmęczonym ruchem pogonił znowu konia.

Gdy w końcu usłyszeli za sobą tętent, było już ciemno. Wiedzieli, że nie dadzą rady dłużej uciekać. Zsiadając z wierzchowca, Rakoczy poczuł przewrotną radość, że oto kończy się ucieczka, a zaczyna walka. Znajdowali się na szczycie niewielkiego wzniesienia, co dawało im tyle przewagi, że widzieli dobrze drogę. Jednak wobec braku jakiegokolwiek broni palnej czy chociaż kuszy nic więcej im z tego nie przychodziło. Ruggiero sprowadził konie z drogi, zostawiając je nad strumykiem, który pluskał radośnie w dół zbocza.

— Nie przeprowadzaj ich na drugi brzeg — zawołał za nim Rakoczy. — Gdy się obudzi, bez butów z ziemią nie zdoła przejść strumienia.

— Ile zostało nam jeszcze do zachodu słońca? — spytał Ruggiero.

— Nie wiem dokładnie. Przy tak grubych chmurach trudno coś wyczuć, ale pewnie mniej niż godzina. — Zaparł się i spróbował pchnąć leżący przy drodze głaz, jednak okazał się za duży nawet dla niego. — Zawsze to jakieś ukrycie — powiedział. Wspomniał róg i łuk, które spakował do skrzyń. Wtedy wydawało mu się rozsądne, aby podróżować tylko z tym, co najbardziej niezbędne, poza tym nauczył się z latami, że noszenie broni oznacza nierzadko proszenie się o kłopoty. Teraz jednak łuk by się przydał. Oraz miecze. Jeden był z toledańskiej, drugi z damasceńskiej stali. Miał jeszcze trzeci miecz, szczególną broń zdobytą w walce z japońskim wojownikiem. Dawno i bardzo daleko od domu. Jednak on też podróżował z głównym

bagażem.

Podszedł do miejsca, gdzie Ruggiero uwiązał konie.

— Masz linę? — spytał. Służący zastanowił się chwilę.

— Jak długą?

— Trochę dłuższą niż na szerokość drogi. — Ich spojrzenia spotkały się i odżyła w nich nadzieja. Ruggiero przytaknął i zaczął przeszukiwać małe sakwy, które obaj wozili przyczepione z przodu siodła. W końcu wydobył linę długości czterokrotnego wzrostu przeciętnego człowieka.

Szybko zamocowali ją z jednej strony drogi, sami zaś ukryli się naprzeciwko.

— Pamiętaj — powiedział Rakoczy, sprawdziwszy raz jeszcze, czy lina trzyma. — Nie podnoś jej, aż pierwsze konie będą prawie nad nią.

— Jasne.

— Gdy ci pierwsi padną, łap broń, jaka się nawinie. Jeśli nie zdołasz sięgnąć nią lansjera, tnij konia po nogach. To okaleczy zwierzę, ale w tej sytuacji trudno. — Spojrzał na pierwsze krople deszczu spadające na drogę i zmrużył oczy. — Błoto może nam pomóc.

Ruggiero spróbował się uśmiechnąć, ale niewiele mu z tego wyszło.

— Panie...

— Co, stary przyjacielu? Sługa poszukał słów.

— Warto było. — Potem odwrócił się i skupił uwagę na linie. Oczekiwanie było męczące, ale nie trwało długo. Po kilku chwilach usłyszeli tętent i podzwanianie rzędów. Hałas mieszał się z szumem coraz mocniej padającego deszczu.

— Gotowy? — szepnął Rakoczy, gdy lansjerzy byli prawie przy nich. Ruggiero kiwnął głową. San Germano ustawił się, aby jak najszybciej wybiec z ukrycia. — Teraz!



Lina napięła się, podcinając nogi pierwszej parze koni. Wierzchowce zarżały, potknęły się i runęły do przodu, gdy kolejne dwa wpadły na nie z tyłu. Jeden z pierwszej pary pośliznął się i upadł na bok. Potem zapanował chaos.

Ruggiero i Rakoczy poczekali tylko chwilę potrzebną na upewnienie się, że lansjerzy mają chwilowo dość własnych kłopotów, aby nie móc zorganizować obrony. Wypadli z ukrycia, starając się omijać młóćące powietrze kopyta i rzucających się najemników. Rakoczy pierwszy dopadł drogi i złapał dwuręczny miecz. Odstąpił zaraz, wyciągnął go z pochwy i ruszył do walki. Lansjerzy z dalszej części kolumny nie wpadli w pułapkę i szykowali się już do ataku. Ruggiero złapał pikę, i chociaż nie nadawała się za bardzo do walki pieszej, oparł ją końcem o głaz, aby mogła się jednak na coś przydać.

Droga była już całkiem śliska i Rakoczy omal się nie przewrócił, unikając ciosu krótkiego miecza. Przeskoczył na pobocze, wiedząc, że biały strój czyni go łatwiejszym celem niż w przypadku Ruggiera, który był odziany w rdzawe szaty. Gdzieś z końca kolumny dobiegły ich wykrzykiwane energicznie rozkazy i Sześciu konnych ruszyło poboczem, opuszczając piki. Rakoczy pobiegł w stronę drzew. Musiał mocno uważać, aby się nie pośliznąć, na dodatek miecz był w tej sytuacji gorzej niż bezużyteczny. Jak długo lansjerzy mieli w rękach swoją broń, nijak nie mógł zbliżyć się do nich na tyle, aby owego miecza użyć. Ruggiero krzyknął coś do niego, ale wiatr porwał słowa. Rakoczy nie śmiał się teraz oglądać. Lansjerzy byli zbyt blisko, a długie ostrze w plecach mogło przy odrobinie pecha sprowadzić prawdziwą śmierć nie mniej skutecznie niż płomień. Po chwili usłyszał kolejny krzyk, i jeszcze jeden. I odgłos nowej grupy zbliżających się koni. Ścigający Rakoczego lansjerzy też coś dosłyszeli i zaczęli się rozglądać. W końcu i Rakoczy się obejrzał, akurat w porę, aby zobaczyć ze dwudziestu konnych wypadających zza zakrętu

drogi. Na widok lansjerów zwolnili, ale tylko po to, aby dobyć broni i ruszyć do walki. Sądząc po starych zbrojach i długich mieczach, była to jedna z licznych band grasujących ostatnimi czasy po drogach rozbójników.

Rakoczy nie czekał, co będzie dalej. Dał znak Ruggierowi i pobiegł między drzewa. Był już całkiem mokry i jego wspaniały strój kleił się nieprzyjemnie do ciała. Zatrzymał się pod drzewami i poczekał na Ruggiera.

— Ile to potrwa? — spytał sługa, kiwając głową w stronę drogi.

— Nie wiem. Chyba niedługo. — Rakoczy spojrział poprzez listowie na chmurne niebo. Było ciemne i bezbarwne.

— Słońce zaszło — powiedział z przejęciem i pobiegł w kierunku strumienia.

Konie stały tam, gdzie je zostawili. Obok, pod niezgrabnym szaląsem z gałęzi leżał toból, który wozili cały dzień. Mokra twarz Demetrice nie była już trupioblada. Na policzkach pojawiły się rumieńce, i chociaż dziewczyna nie poruszała się, widać było, że śpi snem całkiem zwykłym, nie wiecznym.

Rakoczy uklęknął przy niej. Stara, rdzawa gonella, w którą ubrał dziewczynę, była ciężka od wody, co wcale mu się nie spodobało.

Zgiełk walki nasilił się, po czym dały się słyszeć krzyki i odgłosy ucieczki.

— Lansjerzy chyba wygrywają — mruknął Rakoczy. — Nie możemy tu zostać.

— Budzi się? — spytał Ruggiero. — Czy będziemy musieli ją ponieść?

Rakoczy dotknął delikatnie jej twarzy i zauważył, że na ustach Demetrice pojawił się lekki uśmiech.

— Obudzimy ją, Ruggiero. — Ujął dłoń dziewczyny, całkiem ignorując przy tym deszcz i kwiki koni dobiegające z drogi. —

Demetrice — powiedział łagodnym tonem. — Demetrice.

Jej powieki zacisnęły się, potem powoli otworzyły. Rozejrzała się wkoło i ze zdumieniem ujrzała ciemny las w deszczu i mokrą twarz pochylającego się nad nią Rakoczego.

— Fran... cesco? — spytała, przykładając dłoń do głowy. — Nie odchodź jeszcze.

— Obawiam się, że musimy już ruszać — powiedział, ściskając mocniej jej dłoń.

— Dlaczego tu jest tak mokro? Czy to kolejna tortura? To ich pomysł? — Zasypała go pytaniami, na które nie dawało się odpowiedzieć. Przetoczyła się na bok i uniosła na łokciu. — Ale to nie jest moja cela.

— Nie — potwierdził spokojnie Rakoczy i poczekał na dalsze jej refleksje.

— Gdzie jesteśmy? — spytała prawie krzykiem i w jej bursztynowych oczach błysnęło przerażenie. — Co to za miejsce?

— Jesteśmy na drodze do Bolonii. No, może niedokładnie na drodze. — Zamilkł, dając jej czas na zrozumienie sytuacji. Nagle wyrwała dłoń i uniosła obie ręce, aby spojrzeć na nadgarstki. Ujrzała dwa małe nacięcia, ale oba były zabliznione, i to tak, jakby zagoiły się bardzo dawno temu. Spojrzała na Rakoczego.

— Zrobiłeś to.

— Tak. — Twardo chciał znów ją wziąć w ramiona, ale wiedział, że była zbyt wstrząśnięta. Zamiast tego przyłożył jej dłoń do policzka. — Jeszcze dziś rano leżałaś na stosie na Piazza della Signoria. Leżałaś tam, przykuta łańcuchami, chociaż byłaś martwa. Stos zaczynał już płonąć. Gdybyś była tam żywa, wszystko przebiegłoby tak samo.

— Nie. — Spróbowała się unieść. — Ale co my tu robimy? Rakoczy uśmiechnął się niemal przepaszająco.

— Staramy się nie wpaść w ręce lansjerów albo rozbójników, do

wyboru. I musimy szybko się stąd zbierać. — Pozwoliła, aby pomógł jej wstać. Trzymając się Rakoczego, podeszła do koni. Gdy wspięła się już na siodło, dojrzała skrzynki przymocowane do pozostałych wierzchowców.

— Mam nadzieję, że wieziecie tam suche ubrania — powiedziała.

— Niezupełnie — odparł Rakoczy, wskakując na siodło.

— To co tam jest? Odpowiedział jej dopiero po chwili:

— Ziemia z Rimini. Twoja rodzinna ziemia. Zmarszczyła brwi, pierwszy raz czując lodowaty dreszcz przebiegający jej po plecach.

— Moja rodzinna ziemia? — spytała powoli, z niedowierzaniem.

— Sama się przekonasz, że będzie ci potrzebna, Demetrice. Wszyscy naszej krwi jej potrzebują. — Potem, zanim zdołała powiedzieć cokolwiek, pogonił konia i niebawem wrócili na drogę do Bolonii.

List Marsilia Ficina z Florencji do weneckiej poetki Cassandry Fedele:

*W dniu świętego Germana z Paryża Marsilio Ficino przesyła swojej drogiej koleżance i miłej przyjaciółce, Cassandrze Fedele, pozdrowienia z Florencji.*

*Z całego serca dziękuję Ci za wspaniałe wiersze, które przysłałaś mi w zeszłym miesiącu. Nadeszły w dobrym czasie, bo kwiecień był miesiącem obfitującym w ważne wydarzenia i Twoje wiersze świetnie się weń wpisały.*

*Na pewno słyszałaś już, że Savonarola został skazany za herezję, ale nie wiesz zapewne, że ten wyrok, przewidujący duszenie i spalenie, został wykonany pięć dni temu na Piazza della Signoria, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie ponad dwa miesiące wcześniej doszło za jego sprawą do okrutnego auto-dafe. Dziwny i pełen grozy był to widok, gdy powieszono go wysoko ponad głowami tej garstki ludzi, która przyszła*

popatrzeć na jego śmierć. Kilku mnichów, gorliwych aż do przesady w nawrocie prawdziwej religijności, krzyczało do niego, aby uczynił jakiś cud, jeśli to naprawdę Bóg nim kierował i chronił. Nie wiem, czy dosłyszał ich czy nie, bo płomienie strzelały już wysoko i zaraz dym zakrył skazańca.

Nie żywię szczególnego szacunku dla Aleksandra VI, ale w tym przypadku zrobił, co do niego należało. Jego sąd był bezlitosny, ale nic innego nie wchodziło w grę w przypadku kogoś tak zepsutego jak Savonarola. Okazuje się, że czasem nawet Borja y Lara może przydać się papieżowi.

Florencja nie doszła jeszcze do siebie po rządach Savonaroli. Wielu urzędników Signorii to jego ludzie i tylko czas może pozbawić ich wpływów. Jednak wczoraj widziałem młodą kobietę z koronkowym wieńcem we włosach, i był to widok kojący serce. Posty nie są już tak skrupulatnie przestrzegane, a odkąd rozwiązano Milicję Chrystusa, wielu obywateli wyciągnęło z ukrycia to, co przed nimi wcześniej zostało schowane. Piękno wraca do Fłorencji, i chociaż nie dożyję czasu, gdy miasto stanie się na powrót sobą, wdzięczny jestem Bogu, że pozwolił przekonać się na własne oczy, że Florencja nie zginęła i dzieło Cosima, Piera i Laurenza nie zostało zaprzepaszczone.

Domyślam się, że Rakoczy przebywa w Wenecji. Proszę, przypomnij mi o mnie, gdy następnym razem go zobaczysz. Zachował się bardzo odważnie, wracając do Fłorencji. Zapewne nie byłoby wskazane, aby przyjeżdżał ponownie, ale wielu będzie długo tutaj pamiętać o jego męstwie.

Sandro bardzo ciężko przeżył śmierć kuzynki. Popęłniła samobójstwo podczas auto-dafe. Przypuszczam, że musiała oszaleć, ale Sandro i tak się zadrecza. Maluje obecnie bardzo mało, wspominał jednak ostatnio coś o dużym obrazie alegorycznym mającym upamiętnić siostrę Estasię.

Być może malując go, pogodzi się z Bogiem i zdoła wybaczyć sobie to,

*czemu tak naprawdę nie był winien.*

*Trafiłem ostatnio na kilka świetnych przekładów Arystotelesa, które pozwalam sobie przestać Ci wraz z tym listem. Moim posłańcem jest jeden ze służących kardynała Giouanniego, jemu samemu bowiem nie dozwolono wrócić do Florencji. Ponieważ i tak ma już kilka przesyłek do Wenecji, zgodził się wziąć i moją.*

*Możesz być pewna, że towarzyszy jej moja miłość i moje błogosławieństwo dla Ciebie. Nigdy się nie dowiesz, jak wiele znaczyła dla mnie Twoja pamięć podczas najczarniejszych dni despoty. Ja jednak to pamiętam i Bóg to wie i objawi się to w Tobie jasnym blaskiem, gdy przyjdzie na nas dzień sądu. I w tym, i w przyszłym świecie tak samo jesteś i będziesz mi droga, donna Cassandra.*

*Marsilio Ficino*

*We Florencji, 28 maja 1498*

## . EPILOG .

List Olivii do Francesca Rakoczego:

*Do przebywającego w Wenecji Sanct' Germaina od Olivii z Wiecznego Miasta wraz z miłością, tej samej dokładnie jakości.*

*Zatem Demetrice jednak Cię opuściła? Może mi nie uwierzysz, ale naprawdę jest mi z tego powodu bardzo przykro. Pechowo się złożyło, że musiała przejść przemianę, zanim stała się naprawdę gotowa. Gdyby było więcej czasu, bez wątpienia czułaby się teraz inaczej. Wiem od Ciebie, że to inteligentna i wrażliwa dziewczyna, a czas leczy rany, w pewnej chwili zatem zaakceptuje to, kim jesteś i kim ona się stała.*

*Wiem jednak, że to dła Ciebie bolesne. Od tak dawna szukasz kogoś, kto przyjąłby Cię takim, jakim jesteś, zrozumiał to i pokochał Cię. Nie jestem pewna, czy taka kobieta istnieje, ale jeśli tak, albo jeśli kiedyś zaistnieje, mam wielką nadzieję, że spotkasz ją i znajdziesz w niej miłość, i będziesz z nią razem aż po kres czasu.*

*Z tego, co opowiedziałeś mi o tej drugiej, Estasii, to sądzę, że może i lepiej, że spłonęła. Gdyby doszło u niej do przemiany po zwykłej śmierci, byłaby jednym z tych wampirów, które sprawiły, że nasza reputacja jest taka właśnie, jaka jest. Przypominamy słonie, kochany przyjacielu. Większość słoni pędzi szczęśliwe życie między ludźmi, pomagając im i towarzysząc. Jednak to nie o nich się mówi, tylko o tych szalonych słoniach, które w napadach szaleństwa pustoszą miasta, zabijając wszystkich na swojej drodze. Ktoś tak nienasycony, jak Estasia, byłby właśnie podobnym słoniem. Jej śmierć oszczędziła nam wszystkim niebezpieczeństw i bólu.*

*Kolejny kardynał zmarł niedawno i oczywiście wszyscy winią za to Aleksandra. Zupełnie nie pojmuję, dlaczego nasz papież miałby się trudzić*

*truciem niedołęznego starca, który miał już osiemdziesiąt sześć lat, ale cóż.*

*Borgiowie też cieszą się swoistą reputacją, która prześladowuje ich podobnie, jak nasza zatruiwa nam życie.*

*Gdybyś ruszał się z Wenecji, zajrzyj na trochę do Rzymu. Tęsknię za Tobą, na dodatek przy obecnej atmosferze, która gęsta jest od płotek oraz nieustannego doszukiwania się we wszystkim trucizny, moje życie towarzyskie kuleje potężnie. Gdybyś przyjechał, może byśmy się wypuścili do którejś ze starych willi w Ostii albo na Sycylię. Mam własną łódkę, z ziemią jak trzeba, zatem nie musiałbyś obawiać się choroby.*

*Dziękuję za obraz. Jak świetnie wiesz, opowieść o Semele to jedna z moich ulubionych alegorii, chociaż nie wiem, czy po tylu latach pamiętasz dlaczego. Zrobię, jak piszesz, i nie powieszę go w miejscu, gdzie mógłby być widywany. Jak ktokolwiek mógł uznać coś równie pięknego za dzieło zła? Mniejsza z tym. Nawet gdybyś mógł mi to wyjaśnić, i tak nigdy tego nie zrozumieć.*

*Musisz mi wybaczyć. Przybył właśnie pewien wyjątkowo przystojny młody człowiek i myślę poznać go trochę lepiej. Zapewne potem znowu napiszę. Och, Sanct' Germain, chciałabym, abyś znalazł to, za czym tęskni Twoja dusza. Gdyby moja miłość mogła pomóc Ci w tym lub przydać Ci wytrwałości, wiesz, że ją masz, jak zawsze miałeś.*

*Olivia*

*W Rzymie, w święto*

*Błogosławionej Dziewicy,*

*w upiornie upały*

*25 sierpnia 1498*